

red. nauk. Stanisław Pigoń

Miscellanea z pogranicza XIX i XX wieku

Archiwum Literackie 8, 1-533

1964

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MISCELLANEA
Z POGRANICZA XIX i XX WIEKU

I N S T Y T U T B A D A Ń L I T E R A C K I C H
P O L S K I E J A K A D E M I I N A U K

ARCHIWUM LITERACKIE

POD REDAKCJĄ

KAZIMIERZA BUDZYKA, STANISŁAWA PIGONIA,
ROMANA POLLAKA I CZESŁAWA ZGORZELSKIEGO

TOM VIII

MISCELLANEA
Z POGRANICZA XIX i XX WIEKU

WROCLAW — WARSZAWA — KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WYDAWNICTWO POLSKIEJ AKADEMII NAUK

MISCELLANEA
Z POGRANICZA XIX i XX WIEKU

WROCŁAW — WARSZAWA — KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WYDAWNICTWO POLSKIEJ AKADEMII NAUK
1964

OD REDAKCJI

Już po raz drugi w ciągu ostatnich lat na karcie tytułowej *Archiwum Literackiego* pojawia się czarna obwódka okalająca nazwisko członka zespołu redakcyjnego serii. Przed paru miesiącami — 5 marca 1964 r. — zmarł Kazimierz Budzyk, którego nazwisko towarzyszyło serii od momentu powołania jej do życia w Instytucie Badań Literackich PAN w 1953 r. Odszedł z grona polonistów jeszcze jeden wybitny przedstawiciel pokolenia międzywojennego.

Praca w kolegium redakcyjnym *Archiwum Literackiego* była tylko drobnym epizodem w wielostronnie bogatym życiu naukowym Kazimierza Budzyka. Dlaczego określeniem „drobny epizod” scharakteryzować pragniemy wielokrotne pojawianie się nazwiska Budzyka na kartach tytułowych *Archiwum Literackiego*? Słów parę przypominających wybrane fakty z biografii naukowej zmarłego niech starczy za wyjaśnienie.

Kazimierz Budzyk należał jak najściślej do tego pokolenia polonistycznego, które najpełniej określiło się w działalności naukowej pierwszego dziesięciolecia po ostatniej wojnie. Po odbyciu studiów polonistycznych w Uniwersytecie Warszawskim w 1934 roku pod kierunkiem prof. Gubrynowicza początki pracy zawodowej związał z Biblioteką Narodową, gdzie od 1937 r. pracował w dziale Starych Druków i gdzie pozostał do roku 1945 z przerwą na czas powstania warszawskiego i obozu powstańcowego w Nadrenii.

Jeszcze w czasie wojny doktoryzował się w Uniwersytecie Poznańskim, działającym podziemnie w Warszawie, u prof. R. Pollaka i Z. Szweykowskiego na podstawie pracy: „Konstytucje sejmowe XVII wieku”. Nim doświadczenia wyniesione z pracy w bibliotekarstwie dały plony, zainteresowania Budzyka pozostawały głównie w kręgu zagadnień stylistyki. Badania w tym zakresie były mu bliskie od początku jego pracy naukowej, debiutował bowiem pracą „Gwara a utwór literacki” oraz opublikował szereg rozpraw, dając w zredagowanym przez siebie tomie „Stylistyka teoretyczna w Polsce” (1946) studium będące zarysem dziejów tej dyscypliny oraz ocenę jej ówczesnych osiągnięć. Po latach studia szczegółowe nad wierszem związał ściśle z szeroką problematyką stylistyczną.

W czasach pracy w bibliotekarstwie, gdzie współpracował blisko z Kazimierzem Piekarskim, wyniósł doskonałą znajomość księgoznawstwa i bibliografii, niezbędną dla historyka literatury, zwłaszcza starszej. Badania księgoznawcze, szczególnie sztuka ustalania właściwej kolejności wydań, metoda szczegółowego zapisu bibliograficznego dla potrzeb identyfikacji wydań, przyniosły trwałe rezultaty nie tylko w licznych studiach i zestawieniach bibliograficznych (bibliografie: dzieł prawniczych Bartłomieja Groickiego — 1951, „Konstytucji sejmowych XVII w. w Polsce” — 1952, wydań „Worka Judaszowego” i „Sielanek” Szymonowica — 1953), lecz także w teoretycznym pogłębianiu rozwijającym znaczenie możliwości badawczych poszczególnych metod bibliografii, a także wyznaczającym miejsce księgoznawstwa i bibliografii w nauce o kulturze. Toteż kiedy w 1950 r. z inicjatywy Państwowego Instytutu Wydawniczego powołano komitet redakcyjny „Nowego Korbuta”, Kazimierz Budzyk mianowany został redaktorem naczelnym tej monumentalnej imprezy naukowej, której patronował w wysiłku niemałym do końca życia.

Głównym wszakże zrębem działalności naukowej Budzyka były prace historycznoliterackie skupione przede wszystkim wokół staropolszczyzny. Cenne były zwłaszcza próby podjęcia periodyzacji literatury staropolskiej, a także studia nad literaturą mieszczańską i ukazanie jej właściwego miejsca w procesie historycznoliterackim. Prace z tego zakresu przeszły próbę bardzo wszechstronnej dyskusji w czasie Sesji Odrodzenia (1953). Z wieloletniej pracy nad monografią Biernata z Lublina, a przede wszystkim głównego jego dzieła, „Ezopa”, stworzył Budzyk olbrzymi warsztat do badań bajki polskiej na najszerszej pojętym materiale komparatystycznym, poczynszyszy od bajki greckiej i łacińskiej. Roboty te, którym poświęcił ostatnie lata intensywnej pracy, doprowadzone zostały zaledwie do półmetka.

Zasięg zainteresowań badawczych Budzyka nie zamykał się na tym. Jemu przypadła także rola uczestnika bądź inicjatora wielu dyskusji na tematy podstawowe w zakresie teorii literatury. Z tym wszystkim łączył cechy niepożytego organizatora życia naukowego, pedagoga i popularyzatora. W pierwszych latach powojennych był aktywnym członkiem wielu instytucji dla programów nauczania w szkolnictwie podstawowym i średnim, organizatorem katedry historii literatury we Wszechnicy Radiowej, z czasem członkiem komisji programowych w szkolnictwie wyższym. Był jednym z współzałożycieli Instytutu Badań Literackich w r. 1948, w tymże czasie powołany został na profesora nauk pomocniczych historii literatury na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w r. 1955 zorganizował Katedrę Teorii Literatury. Z Instytutem Badań Literackich związany jednak najściślej od początku

jego istnienia, był inicjatorem i kierownikiem wielu prac zespołowych, czynnym członkiem komitetów redakcyjnych szeregu serii wydawniczych i czasopism humanistycznych. Wymienić tu należy choćby tylko założoną wspólnie z Alodią Gryczową serię *Książka w Dawnej Kulturze Polskiej*, samodzielnie prowadzoną serię *Studiów Staropolskich* czy też zainicjowaną i zorganizowaną w ostatnim czasie serię *Z Dziejów Form Artystycznych w Literaturze Polskiej*.

Przy tak bogatej i wszechstronnej aktywności udział Budzyka w *Archiwum Literackim* musiał być z natury rzeczy epizodem w jego biografii naukowej, niemniej przeto cennym dla rozwoju samej serii dzięki wielokierunkowemu doświadczeniu Redaktora.

Redakcja *Archiwum Literackiego* utraciła ze śmiercią Kazimierza Budzyka jednego z inicjatorów i oddanego współpracownika.

FELICJAN MEDARD FALEŃSKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

UWAGI WYDAWCY

Po śmierci Felicjana Medarda Faleńskiego, która nastąpiła 11 X 1910, stosunkowo szybko ujawnione zostały jego pamiętniki. Stało się to dzięki Wacławowi Przeclawskiemu. Przeclawski, syn Kazimierza, kustosa zbiorów Branickich w Wilanowie pod Warszawą, miał dostęp do spuścizny literackiej autora *Meandrów*. W Bibliotece Wilanowskiej bowiem Faleński złożył w r. 1909 znaczną część swoich papierów, wśród których znajdowały się również jego *Wspomnienia*¹. Przeclawski, pomagając ojcu w zajęciach bibliotecznych, zainteresował się specjalnie tymi papierami. Prawdopodobnie jednak nie tylko zwykły przypadek, lecz również głębsze przyczyny skłoniły późniejszego monografistę Felicjana do poświęcenia przynajmniej ośmiu lat życia szperaniu w jego szpargałach rękopiśmiennych, studiom kart zapisanych charakterystycznym „maczkiem”.

W r. 1914 Przeclawski ogłosił na łamach „Przewodnika Naukowego i Literackiego” obszerny artykuł pt. *Młode lata Felicjana M. Faleńskiego*². Materiału do tej pracy dostarczyły mu *Wspomnienia*. Do nich się nawet ograniczył, nie sięgając do innych źródeł, natomiast przytaczając sporo ustępów z pamiętnika.

W stosunku do spuścizny pamiętnikarskiej Faleńskiego już wówczas Przeclawski miał ustalone plany. Obiecywał, że skoro przejrzy i uporządkuje pamiętniki, ogłosi je, „najpierw w pismach literaturze poświęconych (w wyjątkach), następnie w książkowym, zupełnym w treści wydaniu”³. Z przyrzeczeń tych starał się wywiązać po pierwszej wojnie światowej, w niepodległej Polsce.

W r. 1921 w I tomie „Nowego Przeglądu Literatury i Sztuki” drukował wybór ze *Wspomnień*, zatytułowany *Z pamiętników Felicjana Medarda Faleńskiego*⁴. Wybór ten ujął w dwa rozdziały: I — *Wspomnienia z czasów szkolnych (W liceum dla młodzieży. Karol Baliński. Cyprian Norwid. Kazimierz Kaszewski. Kazimierz Brzeziński i Onufry Polakiewicz. Szkoła na „Działyńskim”. Położenie młodzieży szkolnej. Inni koledzy. Włodzimierz Wolski. Kozerski. Zmorski. Niewiarowski. Koniec „dni sielskich, anielskich”)* i II — *Warszawa na przełomie (okres międzypowstaniowy)*, zamknięty latami 1842—1859. Objętość ogłoszonych wyjątków po wyłączeniu uwag wydawcy nie

¹ Felicjan Medard Faleński, *Kodycył do testamentu złożonego u rej. Masłowskiego 19 III 1909*. Biblioteka Narodowa w Warszawie, rkps 5901.

² W kolejnych zeszytach od maja do września: s. 450—464, 526—536, 624—635, 722—728, 812—825. Echem tej pracy jest artykuł Zdzisława Dębickiego w „Kurierze Warszawskim” z 14 VI 1914 pt. *Pierwsze kartki „Pamiętników” Felicjana Faleńskiego*.

³ „Przewodnik Naukowy i Literacki”, 1914, s. 450.

⁴ Zeszyty 1—3 za styczeń—marzec, s. 310—327.

dochodzi do jednego arkusza druku. W stosunku do dzisiaj znanego tekstu wynosi to około jednej piątej.

W tym samym czasie Przeclawski zabiega o wydanie *Wspomnień* w całości i wierzy w powodzenie przedsięwzięcia. Przy okazji dokonanego wyboru pisze: „Co zaś pamiętników dotyczy [...] obecnie dzięki pozwoleniu rodziny poety przystępuję do zupełnego w treści ich wydania, którego podjęła się »Biblioteka Polska«, której kierownictwo, rozumiejąc doniosłe znaczenie pośmiertnej puścizny Faleńskiego, nie baczycy na dzisiejsze trudności i przeszkody”⁵.

A jednak jakieś przeszkody (może natury finansowej ze strony wydawnictwa) okazały się większe niż entuzjazm Przeclawskiego, gdyż do druku *Wspomnień* nie doszło⁶.

Oprócz Przeclawskiego była jeszcze druga osoba, która chciała wydać *Wspomnienia* Faleńskiego. Świadectwem tego jest odpis sporej części pamiętnika ($\frac{3}{4}$ znanego obecnie tekstu), będący w posiadaniu Michała Pawlikowskiego⁷. Na pierwszej stronie tego manuskryptu już znacznie później (jak wskazuje ołówek) zanotował właściciel: „Rękopisy i pamiętnik Faleńskiego otrzymane od jego córki (czy wnuczki), pani Marconi”. Po ręce, która sporządzała odpis, widać, że sprawczynią była Eleonora Marconi⁸, córka młodszej, przyrodniej siostry poety, Józefy, i Leonarda, rzeźbiarza, od r. 1874 profesora Politechniki Lwowskiej. Starannie, kaligraficznie przepisane *Wspomnienia* nie posiadają dochowanego początku. Pozwala to wnosić, że właścicielka przesała początkowy fragment odpisu jakiemuś czasopismu do dyspozycji; nic nie wiemy, co się z nim stało. Zachowany, spaginowany przez siostrzenicę Faleńskiego rękopis zaczyna się od strony 17 zdaniem: „W tych marzeniach kończyłem właśnie kształcić gimnazjalną moją wiedzę”. U dołu strony 55 urywa się pamiętnik w środku zdania, w tym samym miejscu, co i w jedynym, znanym nam autografie, o którym będzie jeszcze mowa. Przerwane zdanie brzmi: „Siedział właśnie w tym tak licznym zawsze zebraniu, jakby był sam w pustyni, i <...>”.

Notatki i uwagi redakcyjne, poczynione na egzemplarzu, wskazują, że tekst był przysposobiony do druku. Sprawę wyjaśnia zapis na zachowanej stronie początkowej. Umieścił go Pawlikowski w tym czasie, w którym notował wiadomość o p. Marconi. Notatka ta informuje: „Miało to być drukowane widocznie w »Lamusie«, rocznik V, który już nie wyszedł. Zdaje się, że w archiwum moim nie było początku (16 stron)”.

Odpis *Wspomnień* jest więc pozycją archiwum kwartalnika lwowskiego pt. „Lamus”. Pisma tego, wydawanego z dużą troską o zawartość i o szatę zewnętrzną pod redakcją Michała Pawlikowskiego, wyszły cztery tomy w l. 1903–1913. Zamierzony tom piąty nie ukazał się z powodu wybuchu wojny. W związku z tym nie doszedł do skutku druk pamiętnika⁹.

Wydanie obecne w swoim głównym trzonie (do r. 1865) opiera się na autografie, który w porównaniu z kopią p. Marconi jest kompletniejszy (ma początek), a przede wszystkim poprawniejszy.

⁵ Tamże, s. 310.

⁶ W roku następnym, 1922, Przeclawski wypowiedział się o autorze *Kwiatów i kolców* w monografii, która wyszła w Poznaniu nakładem Księgarni Św. Wojciecha pt. *Felicjan Medard Faleński. Żywot i dzieła*. Warto zauważyć, że w pracy tej autor przytoczył wszystkie już ogłoszone ustępy z pamiętników.

⁷ Dostęp do tej kopii zawdzięczam Prof. Stanisławowi Pigoniowi.

⁸ Wynika to z zestawienia pisma listu Eleonory Marconi, adresowanego do Felicjana Faleńskiego dnia 3 VII 1892 r. (Biblioteka Narodowa, rkps 5902 II), i kopii *Wspomnień*.

⁹ Po wojnie, ok. r. 1920, p. Marconi starała się odpis odebrać (o zapisce w tej sprawie, znajdującej się w tekach „Lamusa”, wiem dzięki życzliwej uprzejmości Prof. Pigonia). Do zwrotu jednak nie doszło.

Autograf ten przez czas drugiej wojny światowej przeleżał u Branickich w Wilanowie. Po wyzwoleniu przeszedł na własność Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, skąd w r. 1955 przekazany został Bibliotece Narodowej w Warszawie (rkps 5812).

Mieści się on w zeszycie o wymiarach 28 × 22,5 cm, którego karty początkowe (od 1 do 27) są czyste. Notatki, porobione na nich ołówkiem przez Faleńskiego, wskazują, że miał to być pewien rodzaj albumu z autografami różnych znaczniejszych osobistości, jak Tadeusz Kościuszko, książę Józef Poniatowski, książę Adam Czartoryski, Kazimierz Brodziński, Franciszek Kowalski, Klementyna Tańska, Stanisław Jachowicz, Narcyza Żmichowska, Cyprian Norwid i inni. Karty końcowe (od 53) wypełnia autograf poematu Faleńskiego *Smutne dzieje serca na pokucie*¹⁰. Część środkową (k. 28–52) zajmują *Wspomnienia mojego życia*.

Przyjrząwszy się kopii z tekstem urwanym na stronie 55, po której następuje leżąca na odwrocie tej samej karty strona 56 czysta, oraz autografowi, w którym bezpośrednio po ostatnim wierszu k. 52v. jest luka spowodowana wycięciem sześciu kart, na co wskazują pozostałe waziatki, gołe ścinki, przypuszczamy, że usunięte karty autografu zawierały dalszy ciąg *Wspomnień*.

Kart tych brakło już przed pierwszą wojną światową, kiedy p. Marconi sporządziła kopię *Wspomnień*. Nie znał ich korzystający z tego autografu Przeclawski, gdyż żaden z ogłoszonych przez niego fragmentów nie wychodzi poza tekst w nim zawarty. Na pytanie, kto wyciął karty, kiedy i dlaczego, nie da się zadowalająco odpowiedzieć. Urwanie w środku zdania dowodzi tylko pośpiechu, z jakim usuwano karty. Zdaje się, że nie zrobił tego sam autor, zniszczyłby przecież nie tylko kilka kart odpisu, ale całość dzieła.

Tymczasem wiadomo, że dalszy ciąg *Wspomnień* istniał do r. 1938. Wiadomość o nim podał i pewne fragmenty zeń ogłosił Zygmunt Łotocki¹¹ w „Skamandrze” z 1936¹² i w „Wiadomościach Literackich” z 1938 r.¹³ Fragmenty dotyczą Matejki i Wyspiańskiego, odnoszą się do czasów około 1869 r. oraz do lat 1901–1908, a więc pochodzą z części nie objętej dochoowanym autografem wilanowskim. Nie znany bliżej wydawca poskąpił informacji o pochodzeniu i miejscu zachowania posiadanego rękopisu. Napomyka tylko: „Te kilkaset pożółkłych kart, które mam u siebie, są niewyczerpaną kopalnią przepysznych spostrzeżeń, charakterystyk [...]”

„Kilkaset kart” — to dużo, to mógł być cały pamiętnik. Może to był brulion całości, wcześniej znajdujący się wśród papierów Faleńskiego w Wilanowie, który Przeclawski zamierzał uporządkować i wydać¹⁴. Brulion ten bowiem gdzie się podział i nie znaleziono go już po ostatniej wojnie.

Czy ten, co zabrał brulion, zniszczył także część końcową jego odpisu? Narzuca się takie pytanie, ale i ono musi zostać bez odpowiedzi. Orientując się w charakterze *Wspomnień* Faleńskiego, zapalczywego weredyka i zgryźliwca, nie oszczędzającego na ogół ludzi ze swego otoczenia, nie powściągającego ostrych, nierzadko

¹⁰ Od k. 75 idą karty czyste.

¹¹ O Zygmuncie Łotockim nie zdołano zebrać bliższych informacji. Był to literat, który w latach 1927–1935 ogłosił kilka wierszy i nowel w czasopiśmie warszawskich: „Głos Literacki”, „Kobieta w Świecie”, „Gazeta Poranna Warszawska”, „Bluszcz”. Pod tym imieniem i nazwiskiem wyszły też w latach 1929 i 1934 dwie książeczki o łucznictwie.

¹² Zygmunt Łotocki, *Antagonista Wyspiańskiego*, „Skamander”, 1936, nr 77, s. 546–554.

¹³ Zygmunt Łotocki, *Felicjan o Matejce*, „Wiadomości Literackie”, 1938, nr 41, s. 4.

¹⁴ Zob. przyp. 3.

przejaskrawionych osądów i ujemnych niedyskrecji, wolno by przyjąć, że tej zgłady dokonał ktoś... *cui nocuit*. To, co obrzezano, zapewne też i zniszczono. O bruilonie czy jakimś innym odpisie, który był w dyspozycji Z. Łotockiego, również nie umiemy powiedzieć, czy ocalał i gdzie go szukać.

W tym stanie rzeczy wydawca obecny musi się ograniczyć do przedrukowania ogłoszonych już fragmentów, a raczej wybranych strzępów. Podano je więc niżej w części drugiej.

Wracamy do podstawy tekstu głównego, wypełniającego część pierwszą. Autograf jego jest czystopisem, nakreślonym bardzo drobno, sinym atramentem, który na k. 48v. u dołu ustępuje atramentowi czarnemu. Z wyjątkiem niewielkiej części wstępnej tekst pisany jest na połowie strony. Drugą zajmuje margines, miejsce wielu nieraz obszernych dopisków i przypisów. Czasami uzupełnienia wciskają się na dolny margines stronic, często zajmują dodatkowe karty.

Zdanie pamiętnikarza na k. 21r.: „Gorycz moją niech usprawiedliwi choć w części chwila bolesna, w której słowa te kreszę; jest to schylek roku 1876” — mówi, że jakaś część tekstu powstała w owym czasie, może nawet wtedy Faleński zaczął pisać *Wspomnienia* (na wstępie nazywa żonę „ukochaną towarzyszką” i podaje fakt, że są bezdzietni; zatem małżeństwo niemłode). Perspektywa, z jakiej spogląda autor na życie, jest znaczna. W stosunku do najwcześniejszych wydarzeń rozgrywających się w okresie powstania listopadowego wynosi ona ponad czterdzieści lat. W stosunku do znanego nam końca *Wspomnień*, gdy w r. 1865 „Bluszcz” drukował Faleńskiego powieść *Nad morzem* — przynajmniej lat dziesięć.

Zasadniczy wątek pamiętnika jest dość ogólnikowy. Autor poszerzał go dopiskami, które powstawały w toku kilkakrotnego odczytywania wspominków. Są miejsca, w których sam pamiętnikarz zaznacza, że dopisywał je w r. 1902 i 1905. O chronologii uzupełnień świadczy również atrament, jakim są napisane: najwcześniejsze — sinym atramentem, późniejsze — czarnym, a ostatnie — czarnym ołówkiem.

Przepisywanie na czysto nastąpiło dopiero po kilku lekturach, co widać z planowości w rozmieszczeniu dopisków, z rezerwowania dla nich dostatecznego miejsca. Lecz Faleński odczytywał jeszcze i czystopis, poprawiając słabo widoczne lub zartarte litery (zwłaszcza w części pisanej sinym atramentem), wprowadzając nowe uzupełnienia. Treść *Wspomnień* wskazuje, że przy pisaniu posługiwał się niekiedy materiałami drukowanymi osobno lub w czasopismach, że pisząc starał się dokumentować. Jedynie jego dopiski ołówkiem mają charakter spontaniczny, bezpośredni, nie przytłaczają ich zaczerpnięte z boku materiały.

W wydaniu obecnym staraliśmy się uczytelnić *Wspomnienia*. Mając to na względzie, włączyliśmy do tekstu głównego wszystkie dopiski i przypisy, które logicznie z nim się wiązały i nie rozbiły myśli tak, by była niezrozumiała. W zasadzie uzupełnienia weszły na miejsca wskazane przez autora. Gdy jednak odnośnik znajdował się w środku zdania, włączenie nastąpiło dopiero po skończonym zdaniu bez wyjaśnienia tego przesunięcia w przypisie. W wypadkach, gdy marginaliom brakło odnośników, wydawca włączał je według własnego uznania, kwitując to odpowiednim przypisem. Uzupełnienia włączone do głównego zrębu pamiętnika wyróżniono gwiazdką na początku i na końcu każdego uzupełnienia. Jeżeli wstawka składa się z kilku odstępów, wówczas gwiazdki początkowe (otwierające) znajdują się przed pierwszym wyrazem pierwszego i pozostałych akapitów wstawki, a końcowe (zamykające) jedynie na końcu ostatniego odstępu. Interpolacje Faleńskiego, nie dające się włączyć do głównego tekstu *Wspomnień* ze względów logicznych, potraktowano jako przypisy autorskie i umieszczono u dołu poszczególnych kolumn pamiętnika. Przed uzupełnieniami dopisywanymi później, czarnym atramentem lub ołówkiem, wprowadzono w nawiasie prostokątnym odpowiednie informacje. Fragmenty ogłoszone przez Łotoc-

kiego podano (jako część drugą) po zespole *Wspomnień* pochodzących z autografu.

W tekście autorskim zmodernizowano tylko pisownię oraz interpunkcję — zgodnie z zasadami ogólnie przyjętymi w publikacjach tego typu. Natomiast zachowano wiernie wszelkie właściwości i odcienie języka i wymowy, jak np.: *Paszkiewicz, pasport, mięszkali, mógłem, wziąć, weźmy, przecież, tęsknota, traiczenie, podchlebnie, egzamen — egzamina, wskrós — wskroś, kurytarz — korytarzyk, niezamarżnięte — niezamarznęte.*

W przypisach wydawcy (umieszczonych po tekście głównym) nie uwzględniono określeń pozostających w pośrednim powiązaniu ze *Wspomnieniami*, np. *Słowo o pułku Igora* w uwadze o Augustcie Bielowskim („Z dziwnym poszanowaniem spoglądałem na tego potężnego przekładcę *Słowa o pułku Igora*”), Henryk i Józef Wieniawscy w zdaniu: „Apolonia wyszła za Tadeusza Wieniawskiego, brata słynnych: Henryka i Józefa”. W komentarzu, który podano, zdarzają się nieraz luki wynikłe z niemożności ustalenia niektórych szczegółów, jak imiona wymienionych osób, daty ich życia itp. Pewne osoby nie otrzymały wcale wyjaśnień z powodu trudności w zidentyfikowaniu. Na ogół jednak postaci te nie mają większego znaczenia dla *Wspomnień*, jak również dla kultury polskiej połowy i obu ostatnich ćwierci XIX wieku.

Jadwiga Rudnicka

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA^a

[I. DO ROKU 1865]

W chwili, kiedym wziął w rękę pióro w celu rozpoczęcia niniejszych wspomnień, nastęrczyły mi się następcne dwie uwagi. Naprzód: dla kogo ja je spiszę, bo przecież ani dzieci nie mam, dla których by one drogą mogły być spuścizną, ani nawet w rodzinie mojej nikogo tak dalece tej po mnie pamiątki wyczekującego. Po wtóre zaś: jeśli nie dla moich najbliższych, tylko dla obcych, to znowu czyż to ja jestem taką znakomitością, żeby aż warto było potcmność w szczegóły mojego życia wtajemniczać? Na jedno, jak na drugie odpowiedź nietrudna. Piszę je z serca potrzeby, w części jako obrachunek sumienia, w części jako *silva rerum* przypuszczalnie ogólnej (jak to dawnymi czasy bywało) doniosłości. Może ich nie dokończę, może dokończywszy spalę lub o ich spalenie poproszę, bo je dla siebie tylko odtwarzam i dla mojej ukochanej towarzyszki, jeśli by mię przeżyła¹. W razie zaś, gdyby te wspomnienia nas oboje przeżyć miały, to i wtedy względny jakiś — jak sędę — przynieść mogą pożytek. Najzwyczajniejszy bowiem człowiek, jeśli pamiątki życia swego zgromadzi, to jeszcze wśród tej plewy ziarno się jakie pożywne tu i ówdzie znajdzie. Co do mnie zaś, wprawdzie do powagi żadnej rościć sobie prawa nie mogę, jednak myślę, że przecież w życiu moim choć o cal jaki tuzinkowego człowieka przerósłem, z mniejszym lub większym dla współbraci moich pożytkiem w tej wielkiej pracowni się dorabiając, kędy to Bóg opatrny

^a [Ołówkiem:] Pisane dorywczo, w rozmaitych czasach i usposobieniach. Wątpię, czy dokończę kiedy, chyba przerobiwszy.

każdemu jego dzienny wydział naznaczył. Na tej to drodze, jeśli się kiedy w czymkolwiek uznania jakiego dobił, nie inaczej się to stało, jak pracą moją i nieustanną myślą o obowiązkach mego powołania, ale najwięcej podobno łaską tego Boga dobrotliwego, który oby mi do ostatniej chwili życia równie jak dotąd miłościwym być raczył.

*

Pochodzę z dawnej rodziny szlacheckiej skromnego bytu, ale tradycyjnie godnościami duchowymi i uczością odznaczonej.

* Są tego samego co i my herbu (Sas), widocznie więc tegoż rodu, choć pewnie innej linii, piszący się Falińscy. Nazwisko jednak pierwotne brzmi tak, jak myśmy je zachowali, to jest: Faleński. W dramacie Kiszfaludego *Klara Zacz* (przełożył go Wł. Wędrychowski, 1865)², w którym ten autor z danych kronikarskich odtwarza znaną katastrofę na dworze Karola Roberta, kędy to omal nie padła ofiarą królowa Elżbieta, siostra Kazimierza W. (1330 r.), jest właśnie jeden z przodków naszych głównym sprawcą całego nieszczęścia i nazwisko jego najzupełniej tam odpowiada dzisiejszej pisowni. Zdaje się, że już od owej pory z Węgier uchodzić zmuszeni, z rodu niegdyś magnackiego, zesłiliśmy na kondycję zubożałej szlachty, która się już nigdy wyżej nie wzniosła.*

Urodziłem się w Warszawie 8 czerwca 1825 roku. Od kolebki bardzo wątłego byłem zdrowia — w dzieciństwie gnębiły mnie prawie nieustannie cierpienia dotkliwe, i z tych na resztę życia wyniosłem brak wszelkich wyższych zdolności, stępioną pamięć, a zwłaszcza lenistwo, któremu dopiero w latach dalszych siłą woli potrafiłem dać radę.

Rzecz dziwna — jedyny talent, jaki od najwcześniejszych lat objawiałem, była to niesłychana łatwość chwytania i zatrzymywania w pamięci najtrudniejszych motywów muzycznych oraz dziwnie w tej mierze drażliwe ucho. Mógłbym w tym względzie przytoczyć objawy nie do uwierzenia osobliwe — dość tylko, gdy powiem, że najdokładniej wypiętnowały mi się w pamięci wydarzenia, którym towarzyszyła jakaś melodia. Do dziś dnia, byłem wspominał którą, w całości zaraz dorabia mi się do niej obraz tak żywy, jakbym w niego dopiero po raz pierwszy patrzył, a są w tej skarbnicy wspomnienia z lat całkiem nawet niemowlęcych.

* Zaledwie śmiem³ tu przytoczyć coś równie nieprawdopodobnego, jak to, że do dziś dnia pamiętam najdokładniej piosenkę, którą mi matka nad kołyską śpiewywała, a kiedy słowa te dopisuję, liczę sobie już pełną lat 77. Co najdziwniejsza — nie słyszałem, żeby w rodzie moim odznaczał się kto kiedy muzykalnością. Owszem ani rodzice moi, ani ich rodzice, ani nikt z dość licznej mojej rodziny darem tym się nie zalecał. Więc tu o dziedziczności nie może być mowy³.

* Przy wcale tępej (jak powiedziałem) skądinąd pamięci, w tym kierunku miałem ją zawsze tak rozbudzoną i tak wierną, że nieraz dość mi było coś raz usłyszeć; a są całe uwertury, koncerty, oratoria, opery, które jestem zdolny w całości bez omyłki powtórzyć. Stąd nie było dla mnie [większego] udręczenia, jak usłyszeć coś z takich rzeczy fałszywie zagrałego, bo wtedy, mimo wszelkiego z mej strony oporu, obok właściwej melodii pozostawał mi w pamięci i ów wariant utrapiony i sprawiał mi katusze zarzutu cudzej krzywdy, o którą by mnie poza oczy posadzono. Całe życie usiłowałem zbadać, na co też mógł mi być przydatny ów dar osobliwy? W muzyce próbowano mię kształcić i sam nawet różnymi czasy dobrowolnie do niej wracałem, ale zawsze stało mi na przeszkodzie bądź wspomniane wyżej lenistwo, bądź ta zbyt duża łatwość słuchu, która w połączeniu z pierwszym to sprawiała, że przeskakując stopnie powolnego kształcenia, zaraz chciałem móc wygrać wszystko, co tylko usłyszałem. W zastosowaniu też do mego zawodu literackiego na nic mi się nigdy muzykalność owa nie przydała. Wiersz mój mimo wszelkich moich usiłowań zawsze był twardy, proza też z nielicznymi wyjątkami chropawa, słowem — melodii brak tam zupełny, harmonii też, co by to powabnie szczegóły wszystkie w okrągłą całość spajała, sądzę, że zawsze w moich utworach brakło. Z tego przychodzę do wniosku, że mi był wrodzonym jedynie dar w pewnej mierze naśladowczy. W czyje zaś ja kiedy ślady szedłem, powiedzieć bym nie umiał i sam tego nie wiem, ale czuję, że tak być musi. Ktoś biegłyjszy w tym ode mnie rzecz tę może kiedy rozstrzygnie, jeśli warto... ja nie mogę.*

Do tego odumarła mię matka⁴, kiedy zaledwie miałem lat sześć. Pamiętam ją jak przez sen. Cicha, łagodna, z bezprzykładną słodyczą znosiła cierpienia, które ją nieubłaganie ku grobowi wiodły. Myślę, że od niej przyjąć musiałem to uzdolnienie bierne do znoszenia największych dolegliwości, usposobienie, jakie nieraz w dalszym życiu sam u siebie podziwiałem. W ogóle też pewny jestem, że co bądź dobrego było kiedy we mnie, z niej to pochodzić musi. Złe tylko wpływy resztę działy.

Biedna moja matka! Przypominam ją sobie bladą, ze złożonymi rękami, w których krzyżyk trzymała. Stał ojciec ze łzami w oczach i wszyscy płakali. Wkrótce potem ubrano mię w czarną sukienkę i poszliśmy odprowadzić ją tam, skąd już nie wróciła...

W czas jakiś odwiózł mię ojciec na wieś^a do ciotki Kluczewskiej. Była to rodzona siostra mojej matki. Nie mając własnych dzieci, pieściła mię i psuła, i byłaby chciała zatrzymać choćby na zawsze, ale czas już było o książkę myśleć dla mnie, a ońa serca do tego nie miała. Za czym wraz z starszą siostrą oraz guwernantką Francuzką wyprawiono mię do wuja

^a Wieś ta nazywała się Chlewiska i zdaje mi się, że się już znajdowała pod zaborem pruskim.

Krzyckiego^a. Ten był wdowcem po siostrze mojej matki i miał troje dzieci, nieco ode mnie starszych^b, z którymi razem lat parę na nauce przebyłem. Pamiętam dobrze ów dworek szlachecki, gęsto nawiedzany przez sąsiadów, którzy o wypadkach w kraju się wówczas toczących nader gwaro rozprawiali⁵. Mieliśmy tam nauczyciela Wasserpolaka⁶ z Warmii, wysokiego, chudego, w długim surducie, na pół Niemca. Wywiózłem stamtąd wielką biegłość w języku francuskim i niemieckim, ale ta w następnych latach skutkiem braku potrzebnej wprawy prawie mię całkiem odeszła, z czego nabyłem przekonania, że o wiele jest korzystniej praktyką mowy obcej kończyć wychowanie, aniżeli od niej rozpocząć.

Za powrotem do kraju oddano mię na pensję do niejakiego Birnbau-
ma⁷, ale tam zapomniałem tylko tego, com już umiał, więc mię wzięto
znów do domu. Sądzę, że w owym czasie nieco za mało zwracano na mnie
uwagi, dużo się wałęsałem samopas, a mając już i tak wrodzoną żyłkę do
próżniactwa, tym więcej rozleniwiałem i stałem się do złego sposobny.
W domu też rodzeństwo było znacznie ode mnie starsze⁸, więc i towarzy-
stwa stosownego mi brakło. Jakoż uczucia moje całkowicie przeniósłem
na młodszą o lat pięć ode mnie siostrę, którą matka niemal na świat wy-
dając odumarła. Imię jej też było jak matce: Apolonia⁹. Z tą się ja sercem
związałem na dolę i niedolę i doprawdy we dwoje zawsze i nadal szliśmy
razem. Powiedzieć też mogę, żeśmy się z całego rodzeństwa może najstalej
z sobą kochali.

Z tej epoki pamiętam tylko, że się osobliwie wyćwiczył w historii
polskiej. Stało się zaś to tym, że nadzwyczajnie polubiwszy *Śpiewy hi-
storyczne*¹⁰, wyuczyłem się ich od deski do deski na pamięć. Co prawda,
ile mógł, dopomagał mi w tym ojciec¹¹, ale on niewiele miał czasu, po no-
cach nawet nieraz pracując.

Nareszcie wzięto do mnie nauczyciela, ażeby mię do szkół przysposo-
biał. Tą razą pozornie wybór wypadł jak nie można szczęśliwiej. Nauczy-
cielem tym był słynny później ze swoich nieszczęść i talentu poetyckiego
Karol Baliński¹². Naonczas kończył on szkołę wojewódzką na Lesznie¹³.
Był to serdeczny chłopiec, którego niepodobna było nie pokochać, ale ani
stworzony dla trzymania w ryzie takiego, jak ja byłem wtedy, roztrze-
pańca i urwisa. Robił, co tylko było w zakresie jego możliwości, to jest gorli-
wie nade mną pracował, nieustannie się starając budzić drażliwość mojej
miłości własnej, ale sądzę, że w tym razie nierównie skuteczniejszą by
była dobra różga, trzymana w mniej łagodnej dłoni. Co prawda jednocze-

^a Mieszkał on w Zagajewicach, w prowincji poznańskiej, zdaje mi się — w po-
bliżu Pakości.

^b Z tych Flora wyszła za Chosłowskiego, Anna za Wereszczyńskiego, Alojzy zaś
ożenił się ze Słubicką.

śnie gotował się on do egzaminu dojrzałości, a także kochał się w niejkiej pannie Zefiryńie, po nocach Mickiewicza czytał i sam wiersze pisywał. Skutkiem tych wszystkich okoliczności stało się wreszcie, że egzamin z postępow moich w obecności ojca wypadł nader świetnie, ale gdy go przyszło w kancelarii szkolnej zdawać, pokazało się, że nic a nic nie umiem, i musiałem ze wstydem wrócić do domu.

W czas jakiś zaszło też potem zdarzenie, które mię z pocziwym nauczycielem moim na długie lata rozłączyło. Słuszna jest rzecz w całości je przytoczyć, wykazuje bowiem wczesną wartość człowieka. W szkole owej na Działyńskim zapowiedziane były odwiedziny jakiegoś wizytatora, który miał osobliwsze upodobanie ćwiczyć uczniów w zadaniach łacińskich. Właśnie ku temu przygotowana była tablica, kiedy wszedłszy ów dygnitarz, wyczytał na niej napis: „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor...”¹⁴ Wówczas, jak i długo jeszcze potem, młodzieży bardzo się w głowach paliło, rząd zaś, prawie świeżo na zgłiszczach rewolucji listopadowej ustalony, nader był w tym przedmiocie podejrzliwy a surowy. Ujrzawszy tedy ów napis, wszyscy struchleli z obawy o zamknięcie szkoły, którą dopiero w owym roku wraz z innymi otwarto. Na groźne zapytanie rektora¹⁵, kto się odważył na podobne zuchwalstwo, kiedy wszyscy milczeli, wstał Baliński i oświadczył, że to on zrobił, co było nieprawdą, bo — jak się potem pokazało — dopuścił się tego syn jego opiekuna, którego on tym sposobem chciał ocalić. Za to biednego chłopaka sromotnie ze szkół wygnano. Ale taki to już w nim wcześniej siedział duch szlachetny, a do ofiar gotowy.

* Znane są każdemu dalsze jego losy. Prześladowany, różnymi czasy w Cytadeli¹⁶ więziony, aż wreszcie na Sybir wyprawiony, po powrocie stamtąd znowu więziony, w r. 1848 kraj opuścił, czas jeszcze jakiś na emigracji się tułał, w końcu umarł we Lwowie¹⁷. Człowiek był mocno wrażliwej wyobraźni, a bardzo kochającej duszy i niezrównanego serca. Cierpienia moralne, acz je może nieraz i przeceniał, niewątpliwie żywiej od drugich odczuwał. Stąd też, ile razy je kreśli, nie należy w tym widzieć szukanej przesady. Za dni dzisiejszych weszło w modę rzucać kamieniem na ten kierunek, tak zwany obecnie rozstrajający, ale kto żył w owych czasach, wie, że podobni do Balińskiego ludzie potrzebni byli, jak niegdyś prorocy Izraela w babilońskiej niewoli. Poniżej opiszę te smutne chwile upadku moralności, z którego nieustanną tylko ofiarnością dźwigać trzeba było popychanych na bezdroża braci. Baliński większym był może w czynie jak w słowie. Człowiek niezrównanej zacności, na wskrós piękny i czysty, w każdej okoliczności czujny, a na każdą chwilę pilny. Chlubię się, że mi od lat najwcześniejszych był przewodnikiem. Kochał mię zawsze tak, że nie nazywał inaczej, jak swoim najmilszym synem. *

Co do tamtego, który w milczeniu strachu poświęcenie jego przyjął, ten

i w następstwie rozwinął tylko instynkta człowieka lichego, aż się wreszcie rozpił i zmarniał, choć już w dosyć późnym wieku...

Niedługo potem ożenił się mój ojciec raz powtórny. Nasza matka przybrana była to młoda jeszcze, ładna, bardzo miła i wykształcona osoba¹⁸. Ona nam w dom wniosła z sobą pcwaby towarzyskiego życia, wesołości, dobrej myśli, zamiłowania wszystkiego, co piękne, ona — jednym słowem — rozpromieniła nam to wdowie gniazdo ojcowskie, nieco już przy-mierzchłe i zapuszczone. Słodka, łagodna, miłosierna, słowem — najzac-niejszego sposobu myślenia, od pierwszej chwili matką mi się stała praw-dziwą. Ona mię odchuchała troskliwie, ona pierwsza rozbudziła we mnie zastanowienie nad sobą, a nawet pewnie ową tęschnotę do rzeczy szlachet-nych, która w następstwie zrobić mię miała poetą, że już nie powiem — artystą. Zapewne dużo w tym już przygotował wpływ Balińskiego, sędzę jednak, że w tych rzeczach, zwłaszcza w warunkach, w jakich ja się znaj-dowałem, ciepłe a miękkie działanie kobiecego serca o wiele skuteczniej-szym być musiało.

* Nigdy sobie nie przebaczę, zem jej przypisał *Kwiaty i kolce*¹⁹. Garść ta rzeczy niedbale zgarniętych w jedno, a pochodzących z najrozmaitszych czasów, okoliczności i usposobień, do których zrozumienia ja sam tylko klucz posiadałem, niegodna była ani pierwszego mego występu, ani tym bardziej ofiarowania jej osobie, dla której miałem zawsze najżywszy sza-cunek. Ale naonczas wydawało mi się to wcale inaczej. Sądziłem, że da-łem tam siebie całego. Dopiero krytyka otworzyła mi oczy. Znajduję, że jeszcze była zanadto pobłażliwa. Dużo tam barłogu. Sądzę tylko, że się omylono nieco, przypisując mi upędzanie się za dziwactwem²⁰. Już to, przyznać muszę, wrodzone mi jest łączyć niesmaczną formę z niestrawno-ścią pomysłów. Zresztą sam w tym względzie wymierzyłem dostateczną [^] sprawiedliwość, spaliwszy cały nakład owych pierworodnych grzechów mego żywota²¹. *

Nareszcie, wpływem pocziwym tej mojej nowej matki, ojciec sam się mną zajął. Pamiętam, jak mię naprzód dokładnie ze wszystkiego wypro-bował. Pokazało się, że w niektórych przedmiotach usposobiony byłem do klasy trzeciej, ale w innych do drugiej, a były i takie, z których za-ledwie w pierwszej popisać się mógłem. Za czym wiedząc już, czego mi braknie, gorliwie pracować zaczął nad jakim takim wyrównaniem tych zapasów mojej wiedzy. Jakoż w przeciągu kilku miesięcy dzięki staraniom ojca, a po części też i własnej mojej pilności, do której dobra moja ma-cocha zachęcać mię umiała, tyle się jakoś poduczyłem, że kiedym znów do egzaminu z duszą na ramieniu stanął, nadspodziewanie zdałem do klasy trzeciej²².

* Tam znalazłem się w koleżeństwie z Cyprianem Norwidem. Nie bar-dzo świetnie on się uczył (choć to był spory podrostek, znacznie ode mnie

starszy²³), za to talent już objawiał niepośledni. Nie wiem, czy wiersze wtedy pisał, ale ćwiczenia jego bywały zwykle podziwem nauczycieli i uciechą całej klasy. Myślę, że chyba dalsze wychowanie w domu odbywać musiał, bo go już w następnych klasach nie spotkałem. *

W nadgodę moich postępów na święta wielkanocne następne wzięli mię z sobą rodzice w Lubelskie, jadąc tam w odwiedziny równie do naszych krewnych, jak i rodzeństwa macochy.

* Z rodziny naszej mieszkaly tam dwie moje siostry cioteczne, urodzone z nie żyjącej już siostry ojca, która wyszła była do Galicji za Janowskiego. Z tych Konstancja, mająca już dzieci znacznie ode mnie starsze, była za Rechchronem, także Galicjaninem, dawnym wojskowym; druga zaś, Zofia, za majorem Troszczyckim, dzielnym żołnierzem jeszcze z kampanii hiszpańskiej. Prócz tych dwóch siostr było jeszcze Janowskich troje rodzeństwa: Adam, urzędujący naówczas w Warszawie, Aleksander, oficer rewolucyjny, który na emigracji właśnie tylko co ożenił się był z córką kontradmirała Bourdet w Roszelli²⁴, i wreszcie Marcjanna, będąca za Walerym Stamirowskim gdzieś w okolicach Częstochowy. Tego znów Stamirowskiego siostra była za pułkownikiem Felicjanem Fredrą²⁵, rodzonym bratem mojej macochy. Stąd niby niejaki z nią powinowactwo; choć sądzę, że z Fredrami i przez Janowskich także było jakieś połączenie. *

Wspomnienie tej wycieczki zaliczam do najprzyjemniejszych w moim życiu. Osobliwie też pobyt w rodzinie macochy. Przyjęty od razu przez tych obcych za własne dziecko, nie myślę, żebym nawet w dalszym życiu serdeczniejszych miał kiedy przyjaciół^a.

Niestety same tam już dzisiaj mogiły! A ile jeszcze nieszczęść udręczyło wprzód tych zacnych ludzi! Taki na przykład Jerzy i Konstancja Tomaszewscy. Mój Boże — dziś nawet w żywej mam pamięci ten ich skromny dworek w Zawalowie²⁶, drewniany, szczupły, ale taki w ścianach swoich sprężysty, że — jak to Pol powiada — rozszerzał się stosownie do potrzeby²⁷, a potrzeba tam była prawie nieustanna, tak go gęsto nawiedzano. Staropolska królowała w nim gościnność, a także dostatek wszystkiego, ba, nawet zamożność nie lada. Następnie przecież, kiedy jedyną córkę za mąż wydali, na miejscu jego stanął inny, większy nierównie, muryrowany, ale cóż, kiedy szczęścia już w nim nie było. Wszedł weń bowiem człowiek ograniczony a zarozumiały, który nie tylko przysporzyć, ale nawet zachować tego, co wziął, nie umiał, nawet gorzej nierównie, bo i rozproszył więcej, niż mu dano, a za to niechby choć rodziców starych ofiarność uszanować był potrafił. Gdzie tam! Ci nieszczęśliwi w nędzy niemal pomarli! Biedny ten wujaszek —^{ff} typ w swoim rodzaju — z pozoru niby

^a Żałuję, że tego o moich własnych krewnych powiedzieć nie mogę. Z owymi macierzystymi w Wielkiej Polsce co prawda nigdy się już więcej nie zszedłem, ale ojcowscy w ogóle zawsze byli dla mnie bardzo niedobrzy.

sprzeczny, a najłagodniejszy pod słońcem, niby kłótlivy, a najzgodniejszy w świecie, niby nieuczynny, a taki kochany, że koszulę by z siebie zdjął ostatnią i dał nawet niekoniecznie potrzebnemu. I ta ciotka serdeczna, która umierając jeszcze o mnie pamiętała, błogosławieństwo mi z daleka przesyłając...

Tegoż roku macocha moja zamieszkała na wsi, którąśmy mieli w pobliżu Siennicy²⁸. Ojciec co tydzień tam dojeżdżał. Skutkiem tedy braku stosownego dozoru, jak bądź szczęśliwie jakoś przebrnąłem klasę trzecią, kiedy jednak do czwartej przyszło, musiano wziąć mi korepetytora, głównie dla matematyki, z którą też i w następstwie nawet nigdy dojść do ładu nie mogłem. Nauczyciel ów nowy był to uczeń klasy ósmej wydziału technicznego, chłopak energiczny, nie znający żartów, nie lubiący dwa razy jednego powtarzać, a przy tym wytrawny pedagog, umiejący łopata naukę w głowę wgarniać, ale też i ta łopata jego, przyznać muszę, za katy była żelazną. Do dziś dnia pamiętam pewną linię, która za najmniejszym z mojej strony czy roztargnieniem, czy niedbalstwem, czy nieposłuszeństwem natychmiast bywała w robocie. Ale też i do dziś dnia pamiętam na palcach wszystko, czego mię wyuczył. Z tego przychodzę do wniosku, że gdybym od dzieciństwa podobnego miał kierownika, trochę by było więcej o mnie słyhać później w świecie. Bo niech tam sobie jak kto chce te rzeczy uważa, ja mam przekonanie, że karnością więcej zdziałać można niż, wszelkimi mazgajowatymi łagodnościami. Przynajmniej ze mną tak było, a nie przypuszczam, żebym był wyjątkiem. Swoją drogą nauczyciela tego bojąc się jak ognia, niemniej mocno go poważałem, a dziś mam dla niego uwielbienie jako dla człowieka, który mi pierwszy — mogę powiedzieć — wraził szacunek dla nauki.

Do jakiego jednak stopnia krótko mię trzymał i jak mi to dzielnie skutkowało, przytoczyć mogę na dowód następne zdarzenie. Na święta Bożego Narodzenia znajdując się w Dobrzyńcu, godzinami całymi ślizgałem się sobie po Świdrze, który tuż za ogrodem w olszynie dołem się przewijał. Ale raz przyszło mi do głowy odbyć po nim dalszą jakąś wycieczkę, w której ni stąd, ni zowąd nadybałem nareszcie niezamarznięte oparzelisko. Ciekawy, czy tam ryb nie dostrzegę, pochyliłem się ponad krawędzią, ale ta załamała mi się pod nogami i w jednej chwili poszedłem na dno. Z powrotem stamtąd głową w łód uderzyłem — widocznie prąd mię unióś — i już było po mnie. Jednak, ratując się rozpaczliwie, a raczej — sądzę — cudem Bożej ręki (bo miejsce niezamarznięte wynosiło zaledwie z parę sążni kwadratowych przestrzeni) wydobyłem się jakoś na wierzch, uchwyciłem krawędzi, ta się raz jeszcze załamała, ale już byłem panem położenia i z niejakim wysiłkiem nareszcie na łód wyskoczyłem. Z tej katastrofy, mówiąc nawiasem, wyniosłem to przekonanie, że łód nie jest to znowu rzecz tak twarda, jak to powszechnie za pewnik

uchodzi, można w nim bowiem w danej okoliczności palce prawie w całości zagłębić. Ale uwaga ta przysłała mi znacznie później. W chwili zaś, o której mówię, w oka mgnieniu zapomniałem o uniknionym niebezpieczeństwie, a za to pomyślałem zaraz, jak się ja tu, tak sobie prosto z kąpieli, w domu przedstawię? Do tego ręce miałem szkaradnie pokrwawione, ale o to już mniejsza. Niewiele bawiąc, umyłem się i siadłem podumać, co ja tu zrobię. Dzień był słoneczny, mrozu nie więcej jak z kilka stopni, dla rozgrzania się tedy zacząłem biegać, następnie ślizgać się, jakby nic nigdy — i tak jakoś w parę godzin wszystko na mnie obeschło. Dziś sam niełatwo bym uwierzył, gdyby mi coś podobnego opowiadano; tak jednak było — i mniejsza już o ten szczegół, żem o mało nie utonął, bo w żadnym razie dziura by się od tego w niebie nie była zrobiła, idzie mi tylko o wydalenie energii, do jakiej uzdolnić może chłopca karność domowa, zwłaszcza kiedy, jak u mnie było, trafi jeszcze na pewien odcień zawziętości w przeciwnościach. Bo już to zdrowia ja byłem wątłego zawsze, ale wytrzymałości nie lada^a. To tedy na uwadze mając, mniej dziwnym się okaże, żem ani kąpieli podobnie ryzykownej, ani tym bardziej połączonego z nią wrażenia w najmniejszej mierze nie odchorował. Po prostu wybił się tu klin klinem, to jest strach jeden z pomocą drugiego strachu został zwycięsko przepłoszony. I nikt się też nigdy w domu naszym o tym wszystkim nie dowiedział, tajemnica pozostała pomiędzy mną i tym Bogiem dobrotliwym, który sam tylko jeden wie dotąd, dlaczego mię wówczas od śmierci ocalił..

W tej klasie, którą wtedy przebywałem, po raz pierwszy zszedłem się z Kazimierzem Kaszewskim, ale właściwie mieliśmy się pobratać nie prędzej aż na szerszym nierównie świecie; i to w lat dwadzieścia kilka dopiero²⁹. * W podobnych warunkach kolegowałem tam i z malarzem Ruśkiewiczem³⁰. * Natomiast niezmierne uwielbienie moje, a także zazdrość niepomierną obudzał Kazimierz Brzeziński^b satyrycznymi wierszami, którymi dopiekał niektórym kolegom. Że jednak tuż przy mnie siedział niejaki Onufry Polakiewicz, również parający się poezją, z nim się tedy związałem we wspólkę, pomagając mu w napisaniu tragedii, do której — pamiętam — wchodził jakiś wojewoda sędziwy, mający syna, wierutnego niegodziwca, którego słusznie udręczał duch jakiejś prababki. Dużo też tam było zamkowych podziemi, kruzganków tajemniczych, księżycowych nocy, zdrad i przekleństw, ale z pewnością bardzo mało zdrowego rozsądku. Zresztą rzecz sama, nie wiem, czy dociągnęła do końca pierwszego aktu (a miało ich być pięć), za to ten jedyny dziwnie był długi i nawet nie bardzośmy wiedzieli, jak go tu wreszcie skończyć. Co do mnie, na własną rękę tłu-

^a Było też to na schyłku r. 1836, kiedy miałem zaledwie rok jedenasty.

^b Zmarły jako jeden z najzawołanych prawników w r. 1876.

maczyłem tylko bajki Fedra³¹, ale z tym naonczas wobec żarliwej zewsząd czci dla romantyzmu nie było się co i chwalić.

* Mówiąc nawiasem, w dalszym ciągu ten Polakiewicz stał się przeciwnie bardzo zagorzałym klasykiem, ja zaś z góry począłem patrzeć nie tylko na Fedra, ale i na chrestomatię grecką, a następnie nawet na Owidiusza, Wirgiliusza, ba, i na Homera. Wpłynął na to w parę lat potem (jak wspomnę poniżej) Włodzimierz Wolski³², ale i ten miał mi zawsze do zarzucenia przejmujące zimno, w czym był — sędzę — przejęty duchem proroczym. Tu wspomnę także na dowód, jak to już wcześniej człowiek na właściwe sobie trafia kierunki, że w lat dwadzieścia potem Kaszewski, odsądzwszy mnie (w „Kronice” z r. 1856) od wszelkiego prawa do oryginalności, przyznał mi tylko niejaki uzdolnienie do przekładów³³, na co się też ostatecznie zgodził i Sowiński (w *Historii literatury*, 1876), którego sąd o mnie z wyjątkiem niezasłużonego zaszczytu, że mię w jednym rządzie stawia z Deotymą i Asnykiem, ze wszech miar mi się trafnym wydaje³⁴. *

Skutkiem impulsu nadanego mi przez mego nauczyciela, przebywszy z niezaprzeczoną korzyścią klasę czwartą, mogłem już dalej iść o własnych siłach. Zresztą ojciec dzielnie mię wspomagał w łacinie. Za to z matematyką w wiekuistym byłem rozstroju. Już to algebra i trygonometria żadną miarą włązić nie chciały w moją ciasną głowę. Co też mając na względzie, już w piątej klasie zdecydowałem się iść na wydział filologiczny^a i to mi uzyskało pobłażliwość ze strony tych profesorów, którzy mię już w zamian za to oglądać więcej nie mieli. Jednakże w klasie następnej, kiedy, zwyczajem moim niemal cały rok przepróżniaczywszy, dopiero w ostatnim kwartale na pazury się wzięłem, niespodzianie *veto* przeciw temu założył profesor wykładający jednocześnie łacinę i greczyznę^b i ani rusz do klasy siódmej mię puścić. Mimo usilnych moich przełożeń, popartych zresztą bardzo starannym przygotowaniem się do egzaminu, nawet mię do niego dopuścić nie chciał, twierdząc ku tym większemu memu upokorzeniu, że byłoby zgorszeniem dla całego gimnazjum, żeby taki malec i smarkacz miał z wąsatymi na jednej ławie siedzieć.

* W istocie miałem wtedy lat trzynaście, byłem zaś tak mały, że wyglądałem raczej na pierwszoklasistę (tak zwanego pogardliwie „prymaka”); nie pojmuję nawet, dlaczego — mając być w następstwie wcale dobrego wzrostu — tak długo żadną miarą od ziemi się jakoś dźwignąć nie

^a W owym czasie gimnazja były ośmioklasowe. Poczynając od klasy szóstej, wykłady dzieliły się na dwa wydziały, z których na jednym szły dalej przeważnie nauki filologiczne, na drugim zaś matematyka.

^b Był to Felicjan Kozłowski³⁵, znany historyk Mazowska oraz przekładca Platona. W czas jakiś potem wygrał wielki los na loterii, co go skusiło porzucić stan nauczycielski i wieś sobie kupić. Niebawem jednak na tym gospodarstwie co do grosza wszystko straciwszy, wrócił znów do profesury i na niej aż do śmierci pozostał.

mógłem? Przyszło do tego nie prędzej, aż kiedym już nauki kończył, i to — można powiedzieć — w ciągu roku jednego. Wówczas przecież naprawdę i smarkacz byłem, i taki pędrak, że istotnie na pośmiewisko chyba mógłem o siódmej klasie myśleć. Wyobrażam sobie, jak musiałem być zabawny, ku wielkiemu memu udręczeniu wiekuiście w pierwszej ławie siedzieć oraz w pierwszej parze do kościoła chodzić zmuszony. Z powodu wielkiej mojej czarności nazywano mię też kapitanem cygańskim. *

Tak więc, nie dostawszy promocji, uprosiłem ojca, żeby mię chociaż do innego gimnazjum przeniósł^a. Jakoż na rok następny przeszedłem na Leszno, i tu też spędzone ostatnie lata nauki zaliczam do najprzyjemniejszych w życiu. W ogóle szkoła na Działyńskim pomiędzy studentami uchodziła za zakład nieporównanie więcej od Liceum dla młodzieży starszej pożądaną. W istocie, poczynając od klasy czwartej, nikogo tu już (chyba wyjątkowo) cieleśnie nie karano. Było też tu więcej — powiedziałbym — polskości, równie w wykładach, jak i w obejściu z uczniami. W Liceum wiekuiście pod najbliższym nadzorem kuratora system rządowy surowością swoją coraz dotkliwiej dawał się we znaki. Karność zaprowadzano coraz wydatniej sołdacką. Na czele zakładu stał dyrektor, który sam w tym przedmiocie napisał był rozprawę, przez zwierzchność skwapliwie zatwierdzoną i jako regulamin wszystkim zakładom w kraju do wykonania zaleconą³⁹. Inspektor, podobnież człowiek lichy (nazywaliśmy go Ćwikiem, bo miał osobliwsze upodobanie sam w skórę ćwiczyc⁴⁰), zaprowadził system szpiegowania starszych uczniów przez malców z klas niższych; urządził też w każdej klasie (podobnie jak w celach Cytadeli) szybki we drzwiach, przez które co chwila z kurytarza naglądać mógł równie uczniów, jak nauczyciela. Na Lesznie tego wszystkiego nie było. Nawet pedanteria w wykładach, którą się odznaczało Liceum, prawie wyłącznie przez młodszych obsadzone nauczycieli, tu — można powiedzieć — nie istniała wcale. Owszem naukę umiano jakoś po przyjacielsku niemal — że się tak wyrażę — po domowemu, po ojcowsku uczniom zalecać. W znacznej też tu części eks-pijarzy, jak Sz wajnic⁴¹, Waga⁴², Smarzewski, nie tyle może pedagogowie, ile więcej wytrawni miłośnicy prawdy i piękna, profesorami byli i oni to umieli wykładom nadawać powaby, którymi się też i młodszy od nich przejmowali. Zresztą szkoła ta zewnątrznie nawet wyglądała jakby jakieś z innych czasów i miejsc kolegium, przez pół — że tak powiem — po magnacku, przez pół po sielsku. Stary to był pałac Działyńskich⁴³, suto zewsząd w rzeźby strojny, z okazałym wewnątrz przedsionkiem, marmurowymi schody, z salami w kolumnady, ponad którymi sklepiły się stropy w złotę gwiazdy na dnie ciemnoszafirowym na

^a Tu wspomnieć jeszcze muszę, że o dwie klasy nade mną do tegoż Liceum uczęszczał Wacław Szymanowski³⁶ i Edward Chojecki³⁷, a także Artur Bartels³⁸, znany później autor zabawnych śpiewek w rodzaju Beranżera.

podobieństwo firmamentu. Z przodu mający obszerny dziedziniec, od tyłu niemniej duży ogród, cały wciśnięty pomiędzy ciche Leszno z jednej strony, z drugiej zaś objęty ustronnym zaułkiem. Z dala od wszelkiego gwaru i niemal widoku miasta, wyglądał istotnie na opustoszałą świątynię, w którą by miłość wiedzy na ciche schroniła się dumanie^a. Istotnie też zaciszno tam było, ciepło jakoś, serdecznie. Do tego duch polski wszystko tam na wskroś przewiewał. Także i nauczyciele Rosjanie, całkiem spolaczeni, jak bądź z książek rosyjskich uczyli, najczęściej woleli z nami po polsku rozmawiać.

* Rzec godna zastanowienia mimochodem, że w owym czasie mocno przestrzegano, ażeby języka rosyjskiego nie nazywać ruskim. Nawet w wykładzie historii objaśniano nas nader troskliwie, skąd się nazwa Rosji wzięła. Oto — powiadano nam — ludność w dawnych czasach bardzo była rozprzecznięta i dlatego nazywała sama siebie Россияны как будтобы рассеяные⁴⁵. Nie umiem dziś powiedzieć na pewno, czy taki był pogląd Ustriałowa, z któregośmy się naówczas uczyli⁴⁶. Faktem jest jednak, że wszystkie podręczniki z owych czasów, jak gramatyki, chrestomatie, historie literatury, tak a nie inaczej rzecz tę rozumiały. Mniemam zaś, że dopiero wytworzenie kwestii rusińskiej⁴⁷ nasunęło Moskałom widoki korzyści z przyswojenia sobie tej całkiem obcej im narodowości, choć niemają z tym sprzeczność stanowi do dziś niepozbyta nazwa Rosji. Bądź jak bądź, wszystko już, co tylko dawniej rosyjskim się zwało, dziś urzędownie ruskim się zowie. Nie bez tego, żebyśmy sami się do tego nie przyczynili, bo, powtarzam to, że za czasów, kiedym był w szkołach, już wtedy uporczywie nas w tym poprawiać musiano. Ale „ruski” było zawsze krócej do wymówienia, a więc wygodniej, a u nas — jak wiadomo — lenistwo zawsze z nieogłędnością w parze się trzyma. Przytoczyć nawet mogę ciekawą w swoim rodzaju tego popędu obronę (mianowicie w n. 11 „Bluszczu” z r. 1877) pióra Gustawa Fryczego⁴⁸; przebiega tam stanowczość sądu tego najchwiejniejszego może pod słońcem człowieka. „W potocznej mowie — powiada on — wszyscy dążymy do jak największego skracania. Anglicy doszli w tym do ideału, gdyż używają samych prawie jednozgłoskowych wyrazów” (coż dopiero Chińczycy, którzy żadnych innych nie mają!). „Wszelkie zatem przepisy, które dążności tej do skracania na zawadzie stają, są niepotrzebne i nigdy w użycie nie wejdą”⁴⁹. — Mówi to⁵⁰ mianowicie, potępiając używanie formy: Rakiewiczowa, Wereszczakówna, Jundziłłowie itp. *

Kiedy zaś zaprowadzono wykład historii powszechnej i jeografii w ję-

^a Znacznie później potem, bo w lat kilkanaście, kiedy już gimnazjum gdzie indziej przeniesiono, miał tam sobie Simmler⁴⁴ cichą pracownię, w której — pamiętam — tworzył sceny z *Marii*, a także ów prześliczny portret swojej córeczki. Tam także, jeśli się nie mylę, zrodziła się i *Katarzyna Jagiellonka* oraz pomysł do *Barbary*.

zyku rosyjskim, podjął się tego stary Kucharski⁵¹ i rzecz tę, co prawda po dyletancku, prowadził. Sądzę, że chyba spostrzegł się na tym nareszcie Okuniew (nadzwyczaj żarliwy paskiewiczowski stupajka, który rad był co najprędzej szkoły wszystkie na koszary kantonistów poprzerabiać⁵², co też wreszcie i skutecznił, jak to zaraz opowiem) i postanowił ten półśrodek jednym cięciem zniweczyć³. Rzecz się miała, jak następuje.

Kończyłem wtedy siódmą klasę i odbywaliśmy właśnie popis publiczny z łaciny, kiedy wtem znać dano, że — jak to zwykle bywało — kurator przyjechał. Ten wszedłszy oświadczył zaraz, że zamyśla sam egzaminować, i to wyłącznie z historii. Jakoż z listy imiennej wyzwał na środek tuż przed siebie wszystkich mających stopnie celujące (pomiędzy którymi i ja byłem) i w najlepsze rozpoczął nas żyłować z biografii Don Żuana austriackiego⁵⁴. Dziś przypuszczam, że się sam chyba wprzód do tego przygotował, przeczytawszy jakieś dzieło specjalne. Co do nas, przechodziliśmy wtedy kurs historii wieków średnich w połączeniu z nowożytną, godzin dwie na tydzień, to razem, odliczywszy święta i dwumiesięczne wakacje, wynosiło nie więcej jak z jakie osmdziesiąt godzin całego rocznego wykładu. Pytam tedy, skąd tu możność podobnego rozmachu w szczegółach, wcale nawet zresztą podrzędnych. Toteż wypowiedziawszy już wszystko, cośmy tylko czy z kursu wiedzieli, czy skądinąd zasłyszeli: że ten bohater utrapiony był synem Karola V, bratem Filipa II, że odniósł nad Solimanem II zwycięstwo pod Lepantem, że był przyjacielem Cerwantesa, staliśmy dalej jak kołki, a on, szybkim pociągami pióra przemaszawszy nam nasze piątki i napisawszy natomiast jedną wspólną palkę, począł rozgłośnie wypominać Kucharskiemu, żeśmy w całym znaczeniu tego słowa osły i że zapewne on sam niewiele co więcej od nas umie. To się stało — jak powiadam — publicznie i nie trzeba myśleć, żeby jakimś wyjątkowym wypadkiem.

Tu też jest może miejsce opowiedzieć choćby w kilku słowach, jaka to była w ogóle ówczesna dola studentów (a *respectively* i nauczycieli)^b. Młodzież dzisiejsza, swobodna, rozbawiona, przez nikogo nie nagładana, niczym się od drugich nie różniąca, wszystko czytająca, co jej się tylko zamarzy — niełatwo temu uwierzyć zechce, że w owym czasie w teatrze nawet nie wolno było inaczej bywać, jak tylko z rodzicami lub z kim starszym, w ogródkach zaś, po kawiarniach lub cukierniach pod żadnym

^a Był to czwarty z kolei za mojej pamięci tak zwany nasz kurator. Pierwszym był Gołowiń, najgładszy z nich wszystkich Europejczyk, po nim nastał Pisarew, a potem Szypow, wszyscy trzej zarazem dyrektorowie Komisji Spraw Wewn. Dopiero Okuniew był już wyłącznie kuratorem tak zwanego Okręgu Naukowego Warszawskiego⁵³.

^b [Dopisek bez odnośnika do tekstu głównego — ołówkiem:] To było pisane przed wstąpieniem na tron kuratorski Apuchtina⁵⁵.

a żadnym pozorem; że mieszkania uczniów podzielone były na rewiry, z których każdy pod odpowiedzialnością doglądany był przez naznaczonego na to profesora, mającego obowiązek wejść, kiedy mu się podoba, i zdawać raport, co i jak u ucznia zastał^a; że poezje Krasińskiego, Słowackiego lub Mickiewicza (najczęściej przepisywane) czytać można było tylko ukradkiem, i to pod strachem pójścia za to na Kaukaz w żołdacy bez wyśługi⁵⁷ lub w orenburskie aresztanckie roty; że wreszcie po cywilnemu pod karą wypędzenia ze szkół nawet w wakacje chodzić nie było wolno.

Forma zaś ubrania była następna. Naprzód włosy przy skórce po rekrucku ostrzyżone i najmniejszego nigdzie zarostu (od czasu do czasu ogólną po klasach rewizję w tym przedmiocie robiono i bywał wtedy zwykle golarz w pogotowiu, nie licząc już surowej na przestępcę kary)^b. Następnie mundur, początkowo z szafirowym kołnierzem, a następnie z czerwonym. * broń Boże tylko nie z karmazynowym * (równie jak czapka), w niczym nas nie wyróżniający od policji^c; był to ciemnozielony surdut, koniecznie po kolana, i także spodnie. Surdut ten, o dwóch rzędach metalowych guzików oraz trzech haftkach u kołnierza, zawsze i wszędzie musiał być aż pod szyję zapięty.

^a Później byli od tego dymisjonowani podoficerowie, tak zwani diad'kowie⁵⁶.

^b Dodać tu muszę nawiasem, że urzędnikom pod karą dymisji zabronione było nosić wąsy, prywatnym zaś brody mieć nie było wolno. Pamiętam — przyjechał raz do Warszawy, gdzie miał krewnych, niejaki Czwalina, syn cenzora z Poznania, akademik berliński, naturalnie z brodą. Ten, o Bożym świecie nie wiedząc, znalazł się raz na drodze przejeżdżającego Paszkiewicza⁵⁸ i jeszcze do tego kapelusza przed nim nie zdjął (co było również bardzo ostro przestrzegane). Paszkiewicz skinał na kozaków, kazał go porwać, i ci, ani się opatrzył, jak go do Cytadeli odstawili. Tam coś cztery tygodnie śledztwo z niego ciągniono i tylko na reklamację ojca, a także jako pruskiego poddanego nie już na Sybir, ale do granicy odstawiono żandarmami z zaleceniem, żeby się nie ważył więcej w kraju tutejszym pokazywać. — Tych rozlicznych zakazów można by przy sposobności i więcej przytoczyć (w ogóle życie wówczas było porządnie utrudnione). Np. nie wolno było także na ulicach palić (a jak studentom, to nawet w domu). Nawet nie tylko na ulicach, ale — co się zowie — w obrębie całego miasta. Raz wracając z kąpeli, szedłem sobie pustym brzegiem Wisły, dopalając zaczęte w łazience cygaro. Natychmiast przyczepił się do mnie policjant i nuż mię do ratusza ciągnąć, ledwie mi się złotówką gdzieś w zaułku wykrcił. Wyjątek w tym względzie raz tylko zrobiono, to jest — jeśli się nie mylę — w r. 1853, w czasie wielkiej cholery. Trwała ta swoboda coś z miesiąc może. Ale tak jak ją udzielono milcząco, tak też i milczkiem jedną razą ni stąd, ni zowąd zaczęto znowu łapać po ulicach i do kozy za nią pakować.

^c W Warszawie żył sobie wtedy w stronach Starego Miasta niejaki Narwojń, były oficer polski, rodzaj przeraźliwego dzieciaka (wyglądał naderwany⁵⁹, ale może był i z głupia frantem), którego uprzątano zwykle, ile razy spodziewany był przyjazd kogo z cesarskiej rodziny, bo zawsze takiemu śmieszność jakąś na ulicy przyczepił. Ten tedy, ujrawszy po raz pierwszy przeciągające w tej nowej formie do kościoła któreś gimnazjum, wytrzeszczył oczy, rękami się za kolana złapał i zawołał: „O! dla Boga! a toż, widzę, policja się okociła! Co to teraz będzie?”⁶⁰

Dla ułatwienia nadzoru w tych wszystkich obostrzeniach każdy uczeń obowiązany był mieć na daszku czapki (a ta nie była wcale dzisiejszym kepi, ale stojąca na fiszbinach na podobieństwo cebra) wydrukowane imię, nazwisko oraz gimnazjum i klasę, do której należał. Tą zaś czapką winien się był kłaniać każdemu oficerowi, zdejmując ją aż do dołu, jak już dziś żaden żołdat nawet nie robi; przy spotkaniu zaś jakiego generała należało wyprostowawszy się zrobić front, zrzucić płaszcz z prawego ramienia i czapkę trzymając przy kolanie stać tak, dopóki nie przeszedł. W razie uchybienia tym przepisom wojskowy lub obecny temu policjant miał prawo zedrzyć uczniowi z głowy czapkę i z tym dowodem w ręku natychmiast go władzy zadenuncjować^a. Toteż studenci z daleka już na widok lada wojskowego w pierwszą lepszą bramę dawali drapaka. Ale i to się nie zawsze udawało. Ja sam miałem w tym względzie wcale ryzykowne zajście, i to jeszcze z Okuniewem. Pogonił za mną do bramy, na szczęście dom był przechodni i skończyło się tylko na tym, że mię od ostatnich słów zwymyślał.

* Owymi czasy krążyła między nami pogłoska, że razu jednego spotkawszy jakiegoś ucznia w ciasnym przejściu od Pałacu Kazimierzowskiego ku Wizytkom (był to korytarzyk ze schodkami pod daszkiem, dziś już zniesiony), kiedy mu chciał czapkę zedrzyć, ten niewiele myśląc, dał mu po polsku w papę od ucha. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, pewnym jest jednak, że długi czas przejście to było zamknięte. *

Później tych samych czolobitności wymagał i Muchanow⁶² i jak bądź nie wszystkim studentom znany (tym bardziej, że po cywilnemu się ubierał), niemniej bywało nieraz, że za nieukłonienie się sobie kazał ucznia ze szkół wypędzić. Bo już to w ogóle wszelkie tego rodzaju uchybienia chętnie zaraz pod kategorię buntu podciągano.

* Do tego dość było niekiedy niezbyt powabnej powierzchowności. Tak np. w czasie jednego z przeglądów (bo trzeba wiedzieć, że nas jeszcze i przeglądano, podobnie jak to dziś bywa z porządkiem straży ogniowej lub dorożek) sam we własnej swej osobie cesarz Mikołaj⁶³, spostrzegłszy w jednym z dalszych szeregów studenta mającego gęste brwi czarne środkiem zrosnięte, pięścią mu pogroził mówiąc: „Ach, ty skatina! Kakaja u ciebia roża!”⁶⁴ Za czym winowajcę jako podejrzanego malkontenta niezwłocznie ze szkół wydalono. Był nim niejaki Walenty Młocki, syn obywatela z Sandomierskiego. *

Zapomniałem też dodać, że uczniowi nigdy nie wolno było z parasolem chodzić, a na noszenie okularów trzeba było mieć specjalne pozwolenie,

^a [Dopisek bez oznaczonego miejsca w tekście głównym — czarnym atramentem:] Poniekąd jako szyderstwo Nemezy dziejowej bezkarnie sprzedają też dziś (dopisując to w listopadzie 1905 r.) pocztówki, wyobrażające uczniaka w rogatywce, z chorągwią czerwoną, na której widnieje napis: „Nowy zaprowadzim ład”⁶¹.

udzielone tylko za świadectwem rządowego lekarza. Więc jakże, czy nie mam słuszności twierdząc, że niełatwo uwierzy podobnej doli studenta lada niedorostek dzisiejszy, którego po wszystkich ogródkach pełno, z papierosem, w binoklach, nawet i z parasolką od słońca. A jednak w tym srogim ucisku naszym, kiedy spróbowano narzucić nam jeszcze fraki mundurowe od występów galowych (z dwiema belkami srebrnymi na kołnierzu, co nawet niejednego skusić mogło) oraz płaszcz wojskowy, nie było nikogo (z wyjątkiem chyba Moskali), który by, składając się ubóstwem, nie wolał czekać, aż go do tego przymuszą, czego wszakże nie zrobiono. Wobec tego biernego oporu jakże nam się dziwnym dziś wydaje ten widok młodzieży w szynelach^a, z tornistrami (noszą je nawet pensjonarki), do których nikt jako żywo nie przymusza, i w baszłykach, które nawet w początkach zabraniać musiano.

* W istocie tak było w pierwszych latach po uśmierzeniu ostatniego naszego powstania, raz, za karę nad narodem niegodnym podobnych prerogatyw, a po wtóre, że nieraz żołnierze, biorąc studenta za oficera (bo tylko ci wtedy baszłyki nosili), broń przed nim — bywało — prezentowali. Czas jakiś pożądane te ozdoby kobiety nawet nosić poczęły, wszakże, jak zawsze i we wszystkim od nas mężczyźni rozumniejsze, niebawem się tego wyrzekły.*

Bądź jak bądź postępowanie tu widoczny. Tylko, niestety, na tym różnica jedyna, że myśmy wyglądali jak żołdaci moskiewscy z rekrutów gwałtem wziętych, ci zaś jak oficerowie z dobrowolnej wysługi. Ale precz ode mnie wszelki pogląd czerniący własne gniazdo! Przeżyłem ja dźwignięcie się niejedno i niejeden upadek, a we wszystkim widniał palec Boży... Któż wie, czy jutrzienka tuż nie za pasem? Gorycz moją niech usprawiedliwi choć w części chwila bolesna, w której słowa te kreślę. Jest to schyłek roku 1876⁶⁵. W roku tym odjęto nam nawet resztki resztek, tak że już nic nie mamy prócz tego, co w piersi...

* Utartym stało się dziś⁶⁶ pewnikiem przekonanie, a raczej luźny tylko rzut oka w przeszłość, jakoby pogorszenie naszej doli datowało [się] dopiero od lat czterdziestu. Jest to pogląd pokolenia zrodzonego w epoce popowstaniowej, skrzętnie zaraz adoptowany przez ugodowców ze szkoły „Teki Stańczyka”⁶⁷. Sądzę tedy, że zobrazowanie życia u nas w czasie trzydziestolecia poprzedzającego wypadki z 1861 roku może w tym względzie dostarczyć dowodów, zdolnych rozszerzyć powyższe przekonanie na lat cały siedemdziesiątek. Rządy Mikołaja I, oddające na pastwę kraj nasz tak nazwanemu przez niego księciu warszawskiemu⁶⁸, z góry już przygotowały wypadki, którym, nawet przy większej przenikliwości, niż ją miał Margrabia⁶⁹, zapobiec było niepodobna. Bowiem posiewy wiatrów,

^a [Dopisek bez odnośnika do tekstu głównego — ołówkiem:] Po dzisiejszemu nawet już *sziniele*.

jak wiadomo, koniecznie prędzej czy później burzliwe tylko wydać mogą plony.

* Słowa te dopisuję w początkach dwudziestego stulecia, świadek naczynny, wyzywający swoje istnienie właśnie w epoce dziś już świeżymi wrażeniami zagłuszonej i przeto w pamięci ludzkiej niejako zamierzchłej. Z kroniki niniejszej, świeżo przeze mnie rozpatrzonej, słowa marnego nie cofnę, owszem niejedno dodać by może jeszcze należało. Wszakże sądzę, że i tego już dosyć dla przyszłego z dziejów epoki owej sprawozdawcy. *

Wracam na moje ciche Leszno.

Tu przynajmniej, jak to już wyżej rzekłem, trochę niby poza światem się było. Wyższe nasze klasy miały nawet zupełnie oddzielne pomieszczenie w niskich domkach drewnianych, stanowiących oficyny bliżej uliczki Mylnej. Dziwne tu panowało zespolecie uczniów z nauczycielami, pomiędzy nami zaś nie już koleżeństwo, ale bractwo — powiedziałbym — było. Nie brakło takich, co się rwali do pióra. Wydawaliśmy — pamiętam — pismo jakies tygodniowe. Należeli do jego współpracownictwa: Jan i Władysław Balińscy, synowie Michała^a, Paweł Szczyt^b, Michał Morzkowski⁷², Włodzimierz Wolski, ja i jeszcze kilku innych, którzy — sądzę — że od tej pory pióra chyba do ręki nie wzięli. Bywała tam proza w najrozmaitszych przedmiotach naukowych, ale osobliwie — ma się rozumieć — poezja. Pismo to poprowadziło nas niebawem w kierunku, o który nie trudno było przy rozpalonych, jak nasze były podówczas, wrzących wyobraźni głowach. Ale o tym poniżej rozpowiem.

Z nas wszystkich, dopiero co wymienionych, największym talentem niewątpliwie odznaczał się Szczyt i Wolski. Nawet bodaj czy nie wybrałbym pierwszego — i dotąd pojąć nie mogę, jak się to stało, że on w literaturze nie zasłynął. Co prawda, chłopak to był skromny, cichy, nieśmiały, ale z kośćmi poczciwy.

* Pamiętam — na popisie z klasy siódmej (tym samym, co go to Okuniew tak traicznie rozstrzygnął) mieliśmy deklamować nasze własne utwory. Jakoż na skutek otwartego w tym przedmiocie konkursu on jeden się utrzymał. Ale kiedy przyszło wiersz publicznie wygłosić (był to przekład *Jehowy* z Wiktora Hugo⁷³), coś mu ze strachu jakby kością w gardle uwieźło, spocił się biedaczysko i tak bąkał pod nosem, że nic a nic nie zrozumiano. Dopiero poprawił wrażenie wspomniany wyżej, a będący wówczas w klasie ósmej Polakiewicz, z wielką pewnością siebie wypowiedziawszy brzmiącą odę w rodzaju Sarbiewskiego⁷⁴. *

^a Jan słynie dziś jako znakomity psychiatra w Petersburgu⁷⁰, Władysław zaś w lat kilka potem z niewiadomej przyczyny zastrzelił się w Archangielsku.

^b Był to wielki mój naonczas przyjaciel. Nie wiem, co się z nim stało⁷¹. Pochodził z ziemi witebskiej. Z nim do wspólki pisywałem jakies ballady, on zaś na swoją rękę przetłumaczył był po francusku *Powrót taty*.

Co do Wolskiego, był to wówczas nadzwyczaj gładki, ujmującej powierzchowności, z wytwornym z domu wychowaniem paniczek. Wybornie mówił po francusku i po niemiecku, starannie się ubierał i miał gusta wykwiłtne. Zdolny, jak zdolniejszego w życiu nie widziałem, nigdy ani książki żadnej nie miał, ani kajetu, na lekcjach zaś wiecznie romanse czytywał; ale niech tylko wziął w rękę książkę czy notatki którego kolegi (zwłaszcza, jeśli przewidywał, że zostanie wyrwany, do czego także miał wdech nie ładu), to byle spojrzął, już umiał jak najlepiej; słowem — pamięć, objęcie, przytomność umysłu niesłychane. Zresztą ekscentryk, bajronista, w pojęciach swoich o sztuce dziwnie jaskrawy, a razem z temperamentu chłodno jakoś namiętny, wszystko rad był zburzyć, wyśmiać, precz odepchnąć przeszłość całą i żyć tylko chwilą obecną, marząc naprawy społeczne, pełne ponurych cieniów, płomieni, krwi oraz moralnej rozpusty.

* Nie zapomnę nigdy, jak mię boleśnie raził parodiami (dowcipnymi zresztą) utworów z epoki zygmuntońskiej. Wybornie umiał naśladować tamtoczesny język, ale wybierał tylko formy wyrażen oraz pomysły zupełnie już dziś zdziwaczałe, dzieciństwo rymów oraz kulejące rytmy Rejowskie, w pocie czoła dorabiając się chudej sławy. Sądzę, że właśnie to uporczywe z jego strony prześladowanie pomników sztuki, które wówczas bardzo powierzchownie tylko znałem, tym silniej pociągało mię do ich dokładniejszego zbadania, za czym poszło i dziwne ich umiłowanie, które w następstwie po wielekroć, ile mię stać na to było, starałem się wyrazić⁷⁵. *

W owym czasie, jak wiadomo, porównanie warstw społecznych na zasadach przygłuszonej Rewolucji Francuskiej znowu podnosić zaczynało wiecznie odrastającą głowę. Ucisk ludu, a razem i jego wyzwolenie groźnie się na porządek dzienny pały. Ci, co te rzeczy u nas prowadzili, nie odłączali ich od wyjarzmienia narodu⁷⁶. Ale sądzą, że w tym przedmiocie Wolski jak najmniej był Polakiem. To jest, o ile przypuścić w nim można jakiegokolwiek zasady, bo tych z pewnością miał jak najmniej — zresztą w dalszym przebiegu swego życia dał tego najsmutniejsze dowody⁷⁷. Takim to był naonczas ten przysły autor *Ojca Hilarego*, *Halki* i *Wielkiego pana*, błyszczący fantastyk, wytworny chłopoman, chciwy użycia epikurejczyk, duch do szpiku kości lekkomyślny, umysł genialnie zdolny, ale niesforny. Słowem, przy płomienistej głowie człek dziwnie wystygłego serca i przeto, razem wzięwszy, podziwu godzien, ale nigdy kochania.

* W przedmiocie pogardy dla wszelkich prawideł sztuki ulegał on wpływowi Zmorskiego oraz Niewiarowskiego⁷⁸, dwóch osobliwych, równie literackich, jak obyczajowych warcholów, których wówczas właśnie za łobuzerię i niepoprawne nieuctwo tylko co ze szkół się pozbyto. Ci ręka w rękę rozpoczynali brzemienne w klęski erę wichrowatej swojej dzia-

łałości, w imię półkwatka głosząc dogmat zdeptania wszystkiego, co człowiekowi niewygodnym być może. W dalszym ciągu Zmorski, jak wiadomo, w kierunku sztuki i poważniejszego myślenia nieco się zawrócił. Niewiarowski zaś, o wiele od niego talentem wyższy, ale próżniak i duch z sumienia wyzuty, do dziś dnia nader krzykliwie dawną drogą kroczy. Zresztą obszerniej jeszcze o tym poniżej rozpowiem. *

Jak bądź niezaprzeczenie Wolski ponad nami wszystkimi górował, to niemniej miał i on ponad siebie mistrza. Był nim niejaki Jan Nepomucen Kozerski.

* Miał [on] tak znakomity talent do poezji i tak głęboką wiedzę tajemnic sztuki, że chyba nie było w szkole Mickiewicza zdolniejszego ucznia⁷⁹. A jednak tyle go tylko naśladował, że niby przesiąkł mistrzostwem jego formy, szlachetnością myśli, prostotą stylu i tym niewypowiedzianym wdziękiem, co to nie będąc wrodzonym, nigdy nabyty być nie może. Pamiętam, kiedy przeczytał opisowy jego poemat *Wylew Wisły*, a następnie zaczęty dopiero dramat *Wzięcie Warszawy*, przejęty wstydem, rzuciłem w ogień wszystko, com był dotąd napisał, i z jakich lat parę anim się kuśił być poetą. *

Ten, znacznie starszy, zrazu z daleka się od naszego kółka trzymał, naglądał je tylko bacznie, po czym niepojętym sposobem, który tylko wyższością jego wytłumaczyć można, począł z wolna wpływ nad nami ogarniać. Był to człowiek o wiele od nas dojrzałszy, poważny, dumający, słodkiego obejścia, dziwnie sympatyczny. Powoli wokoło niego niby u ożywczego ogniska wszystkie nasze dążenia ześrodkowywać się poczęły. Z kolei przyszła wymiana myśli, a dalej schadzki tajemnicze...

Ocalił mię w tym razie wyjazd na wakacje. Ale kiedy wrócił, już nasze kółko zastałem w rozbiściu. Kozerski, Wolski i kilku innych w Cytadeli byli uwięzieni; reszta mniej lub więcej pod ścisłym nadzorem.

* Wtedy zmuszony też był z kraju uciec kolega nasz, niejaki Rogalewicz. Ten miał wielki talent do rysunku. W lat kilka potem dowiedziałem się, że osiadłszy stale w Londynie, tam się w sztycharstwie wykształcił. Roboty swoje podpisywał podobno Benedict (tak mu było na imię). Nie wiem, co się z nim dalej stało. *

Wiadomy jest dalszy przebieg tej sprawy. Levittoux heroicznie samobójstwem, co mógł, uratował⁸⁰. Niemniej Kozerski osobą swoją za wszystko zapłacił. Co do Wolskiego bowiem, ten w okoliczności tej smutnej okazał się, czym był w istocie, czym już całe życie miał pozostać, to jest człowiekiem bez najmniejszego poczucia obowiązku, tchórzem wobec trudności życia, wierutnym samolubem i lekkoduchem bez serca. Na skutek tego, kiedy z więzienia wypuszczony został, wszyscy się od niego odwrócili. Są tacy, co twierdzą, że gdyby nie to odepchnięcie, byłby może w dalszym ciągu nie tyle splugawiał. Ale mniemanie to błędnym nazwać

muszę. Przez kilka lat następnych widywać go było można z całą arogancją używającego świata — karetami jeździł, strojny, uśmiechnięty, rozbawiony, jednocześnie z chorobliwej fantazji krwawy cień *Ojca Hilarego* snując; przyjacielowi najserdeczniejszemu żonę uwiódł⁸¹, od pojedynku sianem się wykręcił, a tymczasem tkliwą *Halkę* tworzył. Słowem, używał z całą wrodzoną sobie chciwością wrażeń łatwych, kosztujących tylko zdrowie ciała, bo co do duszy, ta w nim od urodzenia — myślę — cierpiała suchoty. Trwało to dopóty, dopóki co do grosza nie przehulał całego odziedziczonego mienia. Co gdy się stało, zeszedł na pieczeniara ludzi bogatych, coraz bezwstydniej cudzym kosztem żyjąc i coraz niżej w hierarchii społecznej zjeżdżając, aż póki na szynkowni nie skończył. Uliczny wieszcz, bezczelny żebrak, trefniś i cynik, drwił w oczy z tych, których objadał, a zwłaszcza opijał, i poza ich plecami jeszcze *Wielkiego pana* ostatnim swojej muzy wysiłkiem tworzył⁸². Słowem, ku epoce upadku moralnego, która się zbliżała, dążył jak coś pełzającego do swojej kałuży i bodaj czy nie był jednym z płatnych narzędzi zepsucia, jakich wtedy niemało system rządowy pomiędzy młodzież porzupuszczał.

Nie chciałbym ani na chwilę, aby mię w tym surowym moim sądzie o stronność mógł kto podejrzewać lub o przesadę⁸³. Osobiście nic mi nigdy Wolski złego nie zrobił, ci zaś, co jak ja w czasach jego działalności żyli, wiedzieli, że tu raczej nie dosadzić można, niż przesadzić. Istotnie byli tacy, co w tej otchłani zepsucia bądź czystymi zostali (jak Ignacy Komorowski⁸⁴ i Lenartowicz⁸⁵), bądź się z błota podnieśli (jak to kosztem życia własnego zrobił Gierdziejewski⁸⁶), byli też, co się w nim więcej lub mniej unurzali, ale z pewnością nikt od Wolskiego niżej nie upadł. Bo on splugawił w sobie charakter człowieka, który zdolnościami swymi miał prawo iść na przewodzie. Jakoż i szedł on przodem, liczny też zastęp drugich za sobą ciągnąc, tylko że niestety... na zgubę.

W owym czasie poniosłem też najsroższy cios, jaki moją przyszłość mógł dotknąć — straciłem ojca⁸⁷. Umarł on w drodze do Wrocławia, wracając z Reinerz⁸⁸, dokąd już kilkakrotnie był jeździł, ratując się od piersiowej choroby. Myślę, że jej zarody nadmiar pracy w nim rozwinął. W istocie w życiu moim nie spotkałem czynniejszego człowieka; przy zajęciach swoich urzędowych, które zwykle do późnej nocy spełniał, wystarczał jeszcze gospodarstwu, niejednej powierzonej sobie opiece oraz rozlicznym obywatelskim sprawom, od których nigdy nie umiał się wymówić. Do tego czytał wiele i dorywkami nad historią polską pracował.

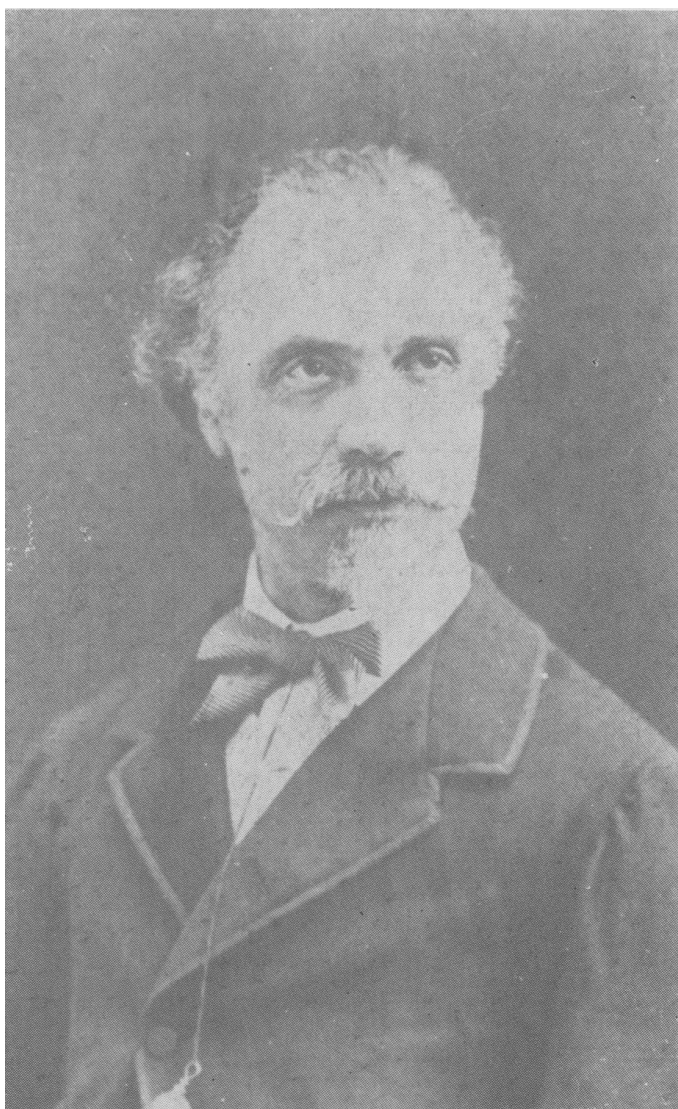
* W r. 1819 wydał był *Historię polską krótko zebraną*. Pozostawił zaś rękopism drugiego wydania tego dzieła, więcej niż w dwójnasób zwiększonego. Także niemało studiów po większej części filozoficznomoralnych. *

W pożyciu łagodny, usłużny, wyrozumiały, nigdy o nikim nie powie-

dział złego słowa i przeto zawsze miał przyjaciół poczet liczny. Bardzo skromnych był obyczajów, bardzo ograniczonych potrzeb, zamiłowany w domu, cichy, mało wymagający. Słowem, z wszech miar szlachetny wzór mi z siebie zostawił, który jednak (i przyznaję to ze skruchą) za nadto mało w życiu naśladować umiałem. Do tego był to człowiek tak surowych pojęć o obowiązku, że mu to nawet w wypadkach 1831 roku chwilowo niezasłużoną plamą czyste życie przyćmiło⁸⁹. Sądzę, że przekonania te jego już przez to samo, że przekonania były, uszanować należało. Nie szukał z nich, jak drudzy, odznaczenia się i kariery, owszem na skromnym swoim stanowisku niemal biednym pozostał, bowiem nad imię uczciwe niewiele co więcej w spadku nam po sobie przekazał, chyba to, co zabiegłością swoją a odmawianiem sobie przyjemności życia mógł dla dzieci zaoszczędzić.

W miejscu tym przypada kilka najsmutniejszych lat mojego życia. Na opiekę poszedłem. Niebawem nasz majątek w drodze działów sprzedać musiano, a tak straciłem nawet ostatni przytułek u domowego ogniska. Młodsza ode mnie siostra przy macosze chociaż została, więc przynajmniej niedostatek oraz wpływ bezpośredni opieki owej nie tyle jej dokuczył. Za to dla mnie stała się ona najprzykrzejszą w świecie, pod każdym względem przeprawą i kiedym się z niej wreszcie wydobył, ujrzałem się sam na szerokim świecie, bez mienia, bez środków do życia, bez zapewnionego bytu lub choćby moralnej pomocy jakiej takiej, zmuszony walczyć jeszcze o resztki mienia siostry, sobie zaś radzić, jak mogłem i umiałem. Ale o tym poniżej choć pobieżnie wspomnę.

Tymczasem zaś kończyłem jeszcze klasę siódmą, kiedy wtem nadeszła reforma szkół, a z nią zniesienie dotychczasowego systemu ośmioklasowego⁹⁰. Dla uzyskania patentów pozwolono nam klasę ósmą w Kursach Dodatkowych⁹¹ sobie dopełnić. Był to dwuletni wykład nauk, na stopie już uniwersyteckiej trzymany, który jeszcze po skończeniu szkół, kto chciał, odbywał. Tam prócz kilkunastu stypendystów, kształcących się na nauczycieli, resztę uczniów stanowili wolno słuchający, nie obowiązani do żadnych zapisów, egzaminów lub jakiej bądź nad sobą kontroli. Ale z nami wszedł zaraz do tej szkoły rygor gimnazjalny. Powyznaczano nam obowiązkowe przedmioty, z tych pilnie na każdej lekcji nas przesłuchiowano i — co za tym idzie — codziennie przestrzegano z listy imiennej, czy każdy jak do zwykłej klasy uczęszcza. Że jeszcze do tego mundurami od innych wyróżniać się byliśmy zmuszeni, spowodowało to wprędce najzupełniejsze odosobnienie nasze od reszty współtowarzyszy, którzy jako cywilni i całkiem swobodni (choć byli między nimi i koledzy nasi szkolni) za coś lepszego od nas uważać się poczęli. Niebawem wyrodziło to jakiś rodzaj arystokracji, przebiegającej w stosunkach, z wielką przykrością dla nas, cośmy dotąd właśnie w całkiem przeciwnym kierunku



Felicjan Medard Faleński
fotografia wykonana po r. 1873



Maria z Trembickich (Trębickich) Faleńska
fotografia wykonana po r. 1873

ić byli nawykli. Zacnej pamięci pułkownik Józef Paszkowski⁹², będący wówczas inspektorem kursów, próżno powagą swoją radzić na to usiłował; rozstrój ten, wielce rządowi dogodny, pewnie nawet zachęcany, coraz wyraźniej się zarysowywał. Zresztą ci panowie, Bóg raczy wiedzieć, czy się nawet czego i uczyli, hucznie się za to bawiąc i zbytkując (bo się już wtedy ów karnawał kilkoletni na dobre rozpoczynał), a tego właśnie jak najmocniej sobie życzone. Po trosze już i niektórych pomiędzy nami zarażać to poczęło.

Co do mnie, w roku owym poza obrębem obowiązkowej nauki nader żarliwie w literaturze się kształciłem. Pilnie czytałem Grabowskiego, Wiszniewskiego i Jochera⁹³. Uczęszczałem też do Biblioteki Publicznej⁹⁴. Tam niezbyt uprzejmie do czytania zachęcano; przy cierpliwości jednak można było od biedy to i owo wyprosić. W ten sposób przestudiowałem sobie cały Wybór Pisarzy Polskich wydania Mostowskiego⁹⁵. A także dzieła Krasickiego, Brodzińskiego oraz *Polihymnię*, w której po raz pierwszy z Tymonem Zaborowskim zabrałem znajomość⁹⁶. W domu zaś z niejakim wysiłkiem czytałem Schillera⁹⁷, alem już za to sam nic a nic nie pisał. W owym czasie bowiem dużo się też był ożywił ruch piśmienniczy bieżący i ten wielce mi imponował. Gdzie mi to było do takich, jak Szabrański, Norwid, Józef Paszkowski i Antoni Czajkowski⁹⁸, nie mówiąc już o Korzeniowskim, którego świeżo wówczas wyszłe *Dramata* ogromne budziły wrażenie⁹⁹. Z tego powodu miewałem nawet chwile najzupełniejszego o sobie zwątpienia, a jednak zdawało mi się koniecznie, że w literaturze jedynie właściwy był dla mnie kierunek.

W tych marzeniach kończyłem właśnie kształcić gimnazjalną moją wiedzę, kiedy wtem na osobiste moje nieszczęście (bo już ci z niemałą skądinąd dla kraju korzyścią) zaprowadzono dwuletni Kurs Prawa¹⁰⁰. To mię niezwłocznie, wbrew mojej chęci, wtrąciło w zawód, do którego nigdy najmniejszego nie miałem pociągu. Dziś, kiedy się nad tym zastanawiam, sam czuję się winnym straconych próżno trzech lat sposobności wzbogacenia sobie umysłu. Było to w r. 1841, miałem wtedy ledwie lat szesnaście, więc jeszcze w najlepsze uczyć się potrzebowałem. Nauka prawa w każdym razie przydać mi się mogła i nawet nie powiem, żebym i tak z niej coś nie skorzystał, ale właśnie te moje lat szesnaście i ta literatura w głowie potrzebowały choć trochę przyjaźniejszego kierunku; a ten tymczasem, wcale przeciwnie, despotyczny był i bardzo niemiły. Więc zeszło na to, że niby na złość zrobiłem... ale sam sobie. Pamiętam — za życia ojca, ile razy mowa była o wybraniu dla mnie zawodu, ja się zawsze przy literaturze mojej, bywało, trzymałem. „Ale zważ, chłopcze — mówił mi ojciec — literatura chleba nie daje, nawet uczoneść. W najlepszym razie możesz być nauczycielem drugich, a to znowu chleb twardy”. Miałem zawsze wielkie upodobanie do nauki języków. Chcąc to w jakiś korzyst-

niejszy nieco sposób użytkować, miał zamiar ojciec do Paryża mię na uniwersytet wysłać, na wydział wschodnich języków. Tam do kariery dyplomatycznej miałem się sposobić lub choćby na orientalistę, jak Kazimierski, Chodźko lub Żaba¹⁰¹. Myśl ta stała się już była życia mego marzeniem, jak tu z niej tedy teraz do tej przemocą narzuconej mi rzeczywistości było zstąpić? Więc też doprawdy na owych Prawnych Kursach wcale przykładowym uczniem nie byłem.

* Bezstronność zmusza mię wspomnieć w tym miejscu, że były jednak przedmioty, do których, mogę powiedzieć, zamiłowanie nawet miałem. Do takich liczę prawo rzymskie oraz dawne nasze polskie. Inne za to suchym wykładem swoim odstręczały mię i dziwnie mi się przykrzyły. Przypomina mi się¹⁰² w tym względzie stary, może nawet palestrancki, ale pewniej chyba rybałtowski, następujący morał:

Niewiele wskórasz *ex codice*,
Jeżeli w kabzie masz *modice*.
Niewiele dadzą ci *leges*,
Jeżeli *pecuniam eges*.
Ni też wzbogacisz się *jure*,
Jeśli w kieszeni masz dziurę¹⁰³. *

Jeszcze kurs pierwszy przebyłem jako tako; wierzyłem bowiem, że, jak mi to zaręczono, na nim się cała moja nauka skończy. Ale potem, kiedy mi oświadczono, że mam stanowczo prawnikiem zostać, z wolna opuściłem się zniechęcony, i do tego stopnia, że już z drugiego kursu egzaminu nie zdałem. Zmuszono mię zostać na rok następny — ten zaś fatalnie się dla mnie zakończył, jak o tym poniżej powiem. Obecnie chciałbym jeszcze choć kilku słowy streścić osobliwsze dzieje owej epoki, wpośród której obok rozlicznych przykrości domowych rozwijało się tymczasem życie moje młodzieńcze.

▼ Polska nasza, a właściwie Warszawa, przedstawiała wtedy na małą skalę niby Rzym pogański, uczujący niegdyś szalenie ponad cichą katakumb robotą. Katakumbami tymi była tu, ma się rozumieć, nie próżnująca nigdy Cytadela, ale z tą, jak tam z katakumbami, nic nie mieli wspólnego — ci, co życia używali^a. A używali go aż do zużycia. Ale tak sobie właśnie rząd opiekuńczy uprzejmię życzył, więc sposobności po temu, spodziewam się, nie brakło, owszem na każdym kroku ją nastęrczano. Byстрыm nadzorcą wszelkich możebnych uciech, a w tej liczbie i prezesem Dyrekcji

|r

† a Trochę pod wpływem bardzo wziętego naówczas Suego¹⁰⁴ napisałem był na razie dwutomową powieść pod tytułem *Pan z facjatki*. Tam starałem się niejako dwa te światy z sobą zestawić. Ale później, już to dla nazbyt jaskrawego kolorytu, już z przyczyn, które poniżej wyłuszczę, (w r. 1844) zmuszony byłem ją spalić.

Teatrów był naonczas wielce poufny Paszkiewiczowi oberpolicmajster Abramowicz¹⁰⁵; za czym samo już połączenie dwóch tych władz w jednym ręku dostatecznie o ich wzajemnej pomocy objaśnia. Więc tedy dramatu jakiegoś podnioslejszego ani było marzyć, Szekspira Boże uchowaj, za to komedie ile możności jak najweselsze, najbrudniejsze i najgłupsze.

* Sądzę, że potomność miałaby wszelkie prawo dość surowo w tym względzie Żółkowskiego¹⁰⁶ sądzić. W istocie wielki ten geniusz sceniczny — śmiało to powiedzieć można — za nazbyt łatwą popularnością goniąc przy wrodzonym sobie lenistwie, na czas długi sztukę naszą poniżył. Na obronę jego wyrzec się godzi, że za mało z natury inteligentny, a jeszcze mniej wykształcony, nigdy się ani opatrzył, że był tylko nader pojętym w ręku władzy narzędziem. Bo przecież wiadomo skądinąd, że jednocześnie wyrastającego niespodzianie Dawisona bardzo gburowato z Warszawy się pozbyto¹⁰⁷. A kiedy wreszcie zawitał na scenę Korzeniowski, to niemal tyleż ze strony Dyrekcji jako autor doznawał trudności, ile i Komorowski jako aktor prawdziwie poważnego scenicznego nastroju¹⁰⁸. *

Opera włoska — a mieliśmy jednak swoją własną wyborną (Dobroski, Troszel, Rywacka, Rivoli, później Miller, Keller, Leśniewska¹⁰⁹) — a zwłaszcza balet zawsze nader troskliwie w licznej rzeszę ładnych tancererek zaprowidowany.

* Przy ogólnym wtedy wycieńczeniu umysłowym — nierzadko bywało — gorączkowano się stronniczo w obronie wdzięków czy tańca tej lub owej baletniczki. Byli zapaleni zwolennicy panny Wend lub Trawny (ta ostatnia nawet, na złość przeciwnikom, wyszła za hr. Henryka Starzyńskiego)¹¹⁰. Kiedy przyjechała do Warszawy słynna Lola Montez, niezbyt przez Abramowicza protegowana (bo on wierzył tylko w Gwozdecką), gruby Lesznowski, redaktor „Gazety Warszawskiej”, tak zamaszysty ku jej obronie animusz w sobie rozwinął, że aż do kozy za to na dni kilka poszedł, a jeszcze w dodatku długo potem o teatrze ani źle, ani dobrze pisać nie było wolno¹¹¹. *

Stąd już proste jest przejście do owego nieustającego karnawału, na którym one czy im podobne równie dniem, jak nocą z powołania swego przodowały. Trudno dziś zrobić sobie pojęcie, ile to w tej Warszawie ówczesnej, o połowę niż dziś mniejszej, znajdowało się wtedy sal, ogródków, przejażdżek za miasto i najprzeróżniej uciesznych wycieczek. Do najsłynniejszych (we względy *sans façon*¹¹²) należały: sala w pałacu Paca¹¹³, w pałacu Kossowskich (dziś hr. Zawiszy)¹¹⁴, ogródek Ohma (tuż za rogatkami Wolskimi), jakiś inny jeszcze na końcu Leszna, Zacisze, Ogródek Zielony, Czerwony, był nawet Czarny (wszystko to w Alei Ujazdowskiej) i diabli już wreszcie wiedzą, ile tam jeszcze najrozmaitszych Ustroni, Pawilonów Rozkoszy i Miłych Schronień. Tam wszędzie kankan¹¹⁵ panował nieposzlakowany, tam kwiat młodzieży, rozpasanej, straconej,

zgranej^a, pijanej, wyzutej z wszelkiego wstydu, szargał resztki zdrowia, zszargawszy już sumienie, a jeszcze wprzód zaprzedał się lichwiarzom lub, co gorsza jeszcze, tajemnemu rządowemu wsparciu. Warszawa sama nie byłaby podolała owej saturnalii, więc też prowincja^b dostarczała obfity zastęp tych miłośników trzęsawiska społecznego, w którym tonęło się po uszy, a jeszcze ciągle pod nogami grunt się obsuwał. Sam znałem takiego (niejaki Juliusz Brzozowski z Kaliskiego), który, spieniężywszy ojcowiznę, w ciągu tylko jednej zimy wszystko co do grosza zmarnował.

Przewodniczył zwykle na podobnych balikach (szpicbalami je zwano) szacowny mąż stanu Ignacy Turkuł¹¹⁷, minister sekretarz do spraw Królestwa Polskiego, we własnej swej osobie. Tego istotnie wszędzie było pełno; cudownym jakimś sposobem pomnażał się jak niegdyś słynny Pinetti; można powiedzieć, że jednocześnie wszędzie się znajdował, bo Pod Trzema Murzynami i na Srebrnej Sali¹¹⁸, pilnując bacznie, żeby nawet lud prosty rozpustą swoją zarazić. Im kto bezczelniej na głowie sobie stawał, tym był mu pożądanym, bo nawet od serca miłym; takiego karmił, poił, wynadgradzał, za przykład drugim stawiał. Jego wiceprezesem bywał zwykle Kucz¹¹⁹, gorliwie przy nim naonczas wiszący. W równej mierze poniewierali się obok tego zapoznanego dziś mędrca: Kenig, Lesznowski, Lewestam, Niemojewski, Pathié, Wolski i Chojecki¹²⁰.

* Już prawie po zupełnym ustaniu tego szału w Warszawie, długo jeszcze u słynnego Salwiana Jakubowskiego¹²¹ (w jego własnym domu na ulicy Niecałej) podobna się ciągnęła uciecha. Przynajmniej, że już nie była publiczna. Za to trudno sobie zrobić pojęcie rozpusty, która tam panowała. Pomysłów do tych orgii dostarczał Lewestam i sam też na nich pracowicie zwykle przeżywał.*

Z bogiń owego pandemonium odznaczały się szczególnie baletniczki: Obuchowska, Bobrowska, Jagielska, najdrapieżniejsze w świecie harpie, które do koszuli młodzież obdzierały, a potem nierzadko ze schodów zrzucały, jak się to właśnie z Niemojewskim stało, który nawet z przeprawy podobnej ze złamaną nogą wyszedł. Nie trzeba jednak myśleć, żeby owych balików (przyjacielskich czy towarzyskich, bo i tak, i tak się one nazywały) same tylko jawnogrzesznice bywały ozdobą. O, nie! Najwykwintniejsze panie, zdarzało się, prosto z balów u Paszkiewicza (na zamku królewskim!) przyjeżdżały same dla niepoznaki przebrane w domina. Jednej

^a Wszystko to praktykowało się niemal publicznie. Tak u niejakiego Listowskiego¹¹⁶, dymisjonowanego majora (wojsk rosyjskich, zwano go pułkownikiem), niby trochę kompozytora i amatora teatru, dniem i nocą, czy był w domu, czy nie, nigdy nie próżnowały zielone stoliki; nie brakło też pań uprzejmych, których on zawsze pełno przy sobie trzymał.

^b Swoją drogą byle jarmark, jak w Łowiczu, Łęczny, Jędrzejowie, to znowu Warszawa tłumnie zjeżdżała utarzać się w prowincjonalnym błocie, a tak nie było bez wzajemnej wymiany.

z nich nawet (Michalinie Rzyszczewskiej¹²²) razu jednego spróbowano wesoło maskę zedrzeć z twarzy. Powstała z tego zwada, aż i bijatyka, którą dopiero policja powagą swoją zagodzić była zmuszona. Już to panie ówczesne, przyznać to trzeba, równie kieliszka się nie bały, jak i złych języków. Konno latały lub, z kozła powożąc, diabłami sadyły, papierosami się zaciągały i żadnych narodowych nie miały przesądów. Nazywano je lwicami^a, te zaś, ma się rozumieć, lwów swoich miały.

Pomiędzy takimi w wyższej sferze stanowczo się odznaczał Edmund, Chojecki, salonowy dowcipniś, kieszonkowy poeta, znakomity pod każdym względem kuglarz, jeden z najwcześniejszych na naszej ziemi blagierów. Niżej zaś nieco berło trzymał Aleksander Roźniecki (syn znanego generała)¹²⁶ oraz niejaki Łagiewnicki, dwóch najzabawniejszych w świecie współzawodników, goniących o lepsze, który z nich jutrzejszą modą prędzej się ubierze. Jeden był zwolennikiem Majewskiego, a drugi Nowakowskiego (dwóch niepożytej chwały krawców), a oba mieli liczną zgrają naśladowników. Roźniecki, powiadano, twarz sobie cieleciną na noc okładał, w rękawiczkach sypiał, bieliznę tylko w Paryżu praną nosił, a ten i tamten mieli zawsze od rana tak ufryzowane głowy, że doprawdy trudno już dziś orzec, który z nich wyglądał mądrzejszy? Ale oto dość już może o tej całej mądrości, o której dziś jeszcze wspominając, człowiek głupieje.

Jak powiedziałem, w czasach owych na prawnika kierować mi się kazano, a ja posłuszny temu byłem, ale na podobieństwo wilka, którego by w pług wprzężono. Już to i życie, przyznać trzeba, na tych naszych kursach nie bardzo było powabne. Z jednej strony, jak bądź sama już na nie uczęszczała młodzież skończona (bo tylko patent wejście tam dawał), niemniej obchodzono się z nami całkiem po szkolnemu; tak dalece chodziło o to rządowi, aby nam w głowach nawet nie zaświtało, żeśmy jakąś akademią. Więc też same co i w szkołach mundury i tenże rygor w ich noszeniu, goleniu wszelkiego zarostu, stryżeniu głowy, kłanianiu się wojskowym, a nawet wydawaniu lekcji, na które też pod kontrolą codziennego czytania listy pilnie uczęszczać należało. W razie zaś uchybienia któremu z tych przepisów z największą przyjemnością nas wydalano,

^a Wysztytował je w znanej komedii Stanisław Bogusławski¹²³, za mało jednak znał najcelniejsze pomiędzy nimi okazy, które wyłącznie tylko w śmietance towarzystwa studiować było można. Taka np. Czosnowska, istny pierwowzór balzakowskiej Torpilli¹²⁴. Tu także miejsce wspomnieć, że niby na przekór owemu upadkowi w górze z kałuży społecznej wyrastały tymczasem kobiety z nieposzlakowaną przywoitym tonem, wykształcone, dziwnie powabne, choć nawet nie zawsze piękne. Miała osobliwszy talent wychowywać takie niejaka Manassowa, publiczna ciocia, i te zwykle bardzo drogo sprzedawała. Ostatecznie wszystkie one porobiły świetne partie i będąc niegdyś po prostu Józiami i Fruziami, dziś nazywają się sobie: hrabina Kolowrat, wicehrabina de Calonne (żona właściciela „Revue Contemporaine”, a jak powiadają — główna tego pisma współpracowniczka i redaktorka), wreszcie pani Feydeau (żona sławnego romansopisarza)¹²⁵.

znajdując (zwłaszcza w początkach), że tych prawników będzie trochę za dużo. Na rozpustę tylko uprzejmie patrzano przez szpary.

* W owym czasie założono też Gimnazjum Realne¹²⁷. Tego uczniowie osobiwszym odznaczali się rozpasaniem. Na paradyżu¹²⁸ wiecznie burdy robili; po najplugawszych miejscach schadzki sobie urządzali; nocą bandami po mieście się włóczyli, włączając w drogę przechodniom, zwłaszcza z kobietami idącym. Ostatecznie jeden z ich przywódców (niejaki Jan Drewnowski, odznaczony następnie w powstaniu 63 r. tym mianowicie, że cały oddział, którym dowodził, w ręce Moskali wydał) Pod Karczochem¹²⁹ przy bilardzie pobił się z Czerkiesami, co gdy po mieście gruchnęło, policja rada nierada musiała w tym uznać niejaki cechy przestępstwa politycznego i jego sprawców nieco poskromić, wszakże o Cytadelę się to nie oparło. *

Z drugiej znów strony zawiązany już na Kursach Dodatkowych separatyzm tu jeszcze mocniej się uwydatnił. Nie mówiło się tu już ani „ty”, ani nawet „kolego”, ale tylko „pan”^a, a byli tacy, co zanim przy tobie usiedli, dochodzili naprzód, czym jesteś synem.

* Baczny na te symptomata „rząd ojcowski” usłużnie wkrótce zaprowadził Instytut Szlachecki¹³², którego uczniowie od reszty studentów mundurami się już nawet różnili. Tu już od najmniejszych smarkaczy pańską butę wpajano. Tak np. nie godziło się tym paniczom w teatrze w krzesłach nawet siedzieć, ale najmowali sobie łoże. Również nie jeździli nigdy do rozżkami, tylko najętą kareta.

* To, co tu mówię¹³³, nie ma w niczym uwłaczać stosunkowi naszemu z profesorami. Ci przeciwnie, z niewielkim wyjątkiem byli to ludzie zaci, światli, po większej części wysocy urzędnicy sądowi, chcący i umiejący utrzymać nas na wysokości udzielanej nam nauki. Ale wspomniałem też o wyjątkach. Do tych zaliczam niejakiego Miszkiela¹³⁴, lichego Litwina, udającego, że nie umie po polsku (wykładał *swod zakonów*¹³⁵), jak bądź później, w czasie powstania 63 r., słyszałem go mówiącego tak przeczystą polszczyzną, że nawet akcentu litewskiego nie zdradzał. Ten był, moge

^a To mi przypomina mimochodem nieopłacone słowa radości, wygłoszone w tym przedmiocie przez Aleksandra Tyszyńskiego. Cudaczny ten pisarz, którego nie ustające nigdy powodzenie oraz powaga wiekuistą dla mnie były i są zagadką, tak oto *a parte sua*¹³⁰ powiada w „Bibliotece Warsz[awskiej]” z maja r. 1874 (na str. 257): „Kraj nasz..., którego losem (!) były we wszystkim oryginalność — oryginalność w formacie, oryginalność w życiu, oryginalność w śmierci, oryginalność po śmierci (!), i w tym gramatycznym, czyli lingwistycznym szczególe, o którym mówimy, odrębność wyraził; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach »waszmość« i »waćpan«, lecz w miejscu »oni« lub »wy« ukażało się nagle we wszystkich ustach krajowych (!) krótkie, znaczące »pan« i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju i przez wszystkie klasy w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych”¹³¹. Genialne to spostrzeżenie nadzwyczajnie w piśmie wszystkich podnoszone...

powiedzieć, usilnym naszym ciemiężcą w nauce, o której sam bardzo chaotyczne miał pojęcie (podobno nawet uniwersytetu nie skończył), poza obrębem zaś wykładów żarliwym nadzorcą naszych pojęć politycznych, a nierzadko i denuncjantem. Drugim takim był następnie Pawliszczew (wykładał statystykę rosyjską)¹³⁶. Ten znów żołnierskiej subordynacji nader pilnie przestrzegał. Woźni zmuszeni byli nazywać go j. wielmożnym rzeczywistym radcą stanu. Rad byłby tego i od nas wymagał, nie mogąc zaś tego dokazać, uzyskał przynajmniej, że do niego nie wolno było mówić inaczej, jak stojący (mieliśmy bowiem tę jedyną prerogatywę, że na zapytania profesorów odpowiadało się z siedzenia). Pomiedzy profesorami był jeszcze jeden Moskał, nazwiskiem Aleksiejew (wykładał historię literatury ros[yjskiej])¹³⁷, ale ten był z kośćmi poczciwy. Polegając na tym, żeśmy już w gimnazjum dostateczną z tego przedmiotu zdobyć musieli wiedzę, godzinami całymi czytał nam tylko Puszkina, Żukowskiego, Lermontowa, Gogola, a także swoje własne utwory (był bowiem poetą), na egzaminach zaś prawie sam nas wyreżał, pisząc czym prędzej stopnie dobre, choć nie zawsze było za co. *

Z tego powodu żyliśmy początkowo podzieleni na kółka, po większej części prowincjami, to jest jednej szkoły koledzy. Ale powoli swój swego znajdował i kółka te się zwiększały. Że zaś było pomiędzy nami dość zbytujących światowców z porządnie pustymi głowy, wyrodziło to w przeciwieństwie rodzaj niby stowarzyszenia, któremu, myślę, nieobcy był Majorkiewicz¹³⁸. Ci, przesadzając pogardę zewnętrznej formy, chodzili w lada jakim ubraniu, czasem z dziurami na łokciach i wyrwanymi pachami, ile możliwości w wykoszlawionych butach, włosy też mając w schody, byle jak, pocięte. Za to grosz każdy wspólnie składali i za to kupowali książki, prenumerowali pisma i co bądź przeczytali, natychmiast streścić to i ocenić byli obowiązani. Głównym ich bowiem zadaniem było wciągnięcie siebie i drugich w poważniejsze myślenie, w przeciwstawieniu znowu nazbyt rozgoszczonemu wtedy w literaturze beletryzmowi.

Jakoż już i Trentowski, Cieszkowski, Wiszniewski, Kremer, Libelt zjawiać się wtedy poczynali¹³⁹. Jednocześnie też Hegel wszystkim głowy zawracał¹⁴⁰. Tego znów osobliwsiymi byli zwolennikami: Edward Dembowski^a, Bachmann^b, Walenty Zakrzewski^c, nawet w początkach i Zie-

^a Następnie główny filar „Przeglądu Naukowego”, który podobno własnym kosztem założył i utrzymywał. Zginął on w sposób dziwnie zagadkowy w czasie pamiętnego pochodu na Podgórzu Krakowskim w r. 1846¹⁴¹.

^b Brat słynnej Cwierciakiewiczowej, tyleż wykwinny salonowiec, ile tamta była zawsze tuzinkową przekupką. Człowiek zdolny, ale niesłychany rozpustnik. Skończył na tym, że się powiesił w Lasku Bielańskim, nie wiadomo dotąd, czemu¹⁴².

^c Także głowa niepospolita, ale wierutny próżniak i warchoł. Uwagę powszechną zwrócił jego tak zwane *Ćwiczenia gramatyczne* (właściwie filozoficzne) w „Dzwonie” Wilkońskiego. W czas jakiś potem odebrał sobie życie w Paryżu¹⁴³.

mięcka¹⁴⁴. W beletrystyce zaś, która mię nierównie bliżej obchodziła, świetniało także gwiazd niemało; coż, kiedy i tam swawola w najlepsze hulała. Na szczęście założona świeżo „Biblioteka Warszawska” stosownym wyborem i zdrową krytyką wybryki te poskramiać poczęła¹⁴⁵; inaczej nie wiadomo, do czego byłoby doszło, tak dalece zdziczała jakaś maniera, rozczochrane formy, niesforność stylu, słowem pogarda wszystkiego, co mogło być prawidłem lub nauką, na bezdroża wiodły najzdolniejszych.

* Powszechnie mi zawsze zarzucano (i nawet słusznie bardzo) przesadę w kierunku estetycznym, wyszukanie formy, zbyt dużą surowość tonu, posuwaną aż do zaciemnienia myśli, zwięzłość stylową, wysiloną wiersza oglądę i wreszcie nie dość usprawiedliwione archaizmy językowe. Ale kto, jak ja, ze zgrozą patrzeć był zmuszony na to, co sobie pozwalali tacy koryfeje ówcześni, jak Zmorski, Niewiarowski, Wolski, Filleborn, Dziekoński, nawet Tyszyński (bo i on się wtedy w powieść bawił i poezję), a następnie jeszcze Żeligowski (Sowa), Apollo Korzeniowski i Karol Piętkowski¹⁴⁶, dla których był przesądem rozsądek wszelki, a za to szukany zaletami dziwactwo stylu, szalona wiersza dowolność, częstochowskie rymy i pogarda średniówki, ten choć w części usprawiedliwionym być powinien, że od owych krzyczących nadużyć nieco za śmiało odskokczył. Niewątpliwie przy większym talencie byłbym umiał w porę się powstrzymać, alem go nigdy nie miał w tej mierze, co tamci, a za to chęci moje o wiele były lepsze. Zresztą niechbym choć zostawił po sobie wzór, czego przy lepszym od mojego smaku unikać należy, to już i tak, mniemam, zadanie moje tymczasem spełnione. *

Trzymało się to ściśle z ich zachowaniem się towarzyskim — tego zaś straż oraz kierownictwo było wyłączną chwałą nieodżałowanej pamięci (jak dziś mówią) Wilkońskiego¹⁴⁷. Ucieszny ten wujaszek całego świata uprzejmie do gościnnego swego łona garnął wszystkich, życzących sobie bezpowrotnej zguby, słusznie pierwszeństwo dając takim, którzy cokolwiek jeszcze do stracenia mieli (mianowicie we względzie pieniędzy). Nazywała się ta rzeczpospolita Muszkieterią¹⁴⁸. Istotnie równość tam panowała rozczulająca wobec flaszki z wódką. Bywało tak, że do serdecznego wujaszka o każdej godzinie nocy przyjść było można i zanocować na podłodze, choćby nawet w jego nieobecności, bo on, pocziwiec, najczęściej z rankiem dopiero wracał, a zawsze się zastało bochenek chleba, serdelki i gorzałkę do użytku szklankami^a. Wpisowe do tej archikonfraterni nie kosztowało zbyt wiele (przynajmniej tych, co się rozboju nie bali). Byłeś

^a W lat kilka potem wyjeżdżał z kraju, ścigany zarzutem płatnego przez rząd agenta. Powiadają, że mu to nawet życie skróciło. Niech go Bóg sędzi. Narobił niemało złego, ale może był tylko, jak wielu drugich, bezwiednym narzędziem, bo już to nierząd i lekkomyślność tego człowieka były w swoim rodzaju niczym niezrównane.

zapuścił długie kudły i koniecznie był oberwańcem i brudasem, już gotowy z ciebie wielkich nadziei artysta czy poeta, czy w ogóle wielki człowiek, a *respective* muszkieter. Zresztą trafiałeś już tam na swoich mistrzów (nie licząc wujaszka), jak Wolskiego, Ćwierciakiewiczów^a, Zmorskiego *et consortes*. W tej pożytecznej szkole przepadało zdolności co niemiara. Dość wyszczególnić niektórych. Taki Bohdan Dziekoński, Seweryn Filleborn, Tadeusz Brodowski^{152a}, Gierdziejewski^b, Teodozjusz Krzywicki¹⁵⁴. Pierwsi czterej dosłownie na śmierć się zapili, ostatni wyniósł z tego życia zabawnego zarody piersiowej choroby, która go w lat kilka w kwiecie życia zabrała. Był to szkolny mój kolega. Talent miał do poezji niemały, ale czasu mu do rozwinięcia się zabrakło. Później jeszcze do niego powrócę.

Takie to tedy były smutnej owej pory uciechy a rozrywki błogie. Ślad • wrażeń tej saturnalii odbił się w niejednym utworze Żmichowskiej¹⁵⁵, bo ona biedaczka miała także brata, który po uszy w tej rozpuszcie siedział, że zaś osobiwie był jej ukochany, przyjechała więc aż z Paryża, żeby go ratować, ale już było za późno. W czas jakiś potem życiem to przypłacił¹⁵⁶.

* Jako przyczynek do dziejów¹⁵⁷ upadku moralności w owej epoce, wspomnieć tu jeszcze muszę o nadmiernej mnogości zdarzających się wtedy oszustw i kradzieży. I, jak zwykle w takich razach bywa, nie z nędzy je popełniano, ale dla dogodzenia wyuzdanym zbytcom. Ile sobie przypominam, początek w tym względzie wyszedł od Lewestama. Ten,

^a Tych było coś pięciu¹⁴⁰. Jeden z nich w czasie wielkiej cholery w r. 1852 założył się o dziesięć złotych, że się naje ogórków i nic mu się nie stanie. W grze tej o dziesięć złotych przegrał i życie. Daje to miarę wartości człowieka. Zdarzenie to dostarczyło mi przedmiotu do powiastki, drukowanej w *Kalendarzu Ungra* z r. 1862¹³⁰. U tych Ćwierciakiewiczów miewały miejsce fantastyczne piątkowe przyjęcia, rozpoczynające się o samej północy. Odbывwały się tam rzeczy nie do opisywania. A jednak uczestniczył w nich i ojciec owej miłej dziatwy, dokazując na równi z synami. Działo się zaś to, przyznać trzeba, wpośród godnej podobnych zaprzątnień umysłu areny... gdyż w zabudowaniach więzienia przy Arsenale (którego stary Ćwierciakiewicz był nadzorcą¹⁵¹). Było tam zawsze na zawołanie dwóch urzędowych trefnisiów. Z tych jeden Minasowicz¹⁵² (nazywany przez tych warchołów Minasem, choć mógł być niemal ich dziadem), starszy brat Józefa Dionizego, przekładcy Schillera, sam utalentowany niegdyś portrecista, zdziecinniały jakiś idiota i zagadkowy sknera czy nędzarz, który tam przychodził opychać się chlebem, nieraz milczkiem partyki sobie jeszcze do kieszeni biorąc, tam pozwalał drwić z siebie, ile wlaźło, i nigdy się nie gniewał. Drugim był niejaki Dutkiewicz, syn słynnego prawnika Walentego; w tego wmówili geniusz do śpiewu i do sztuki aktorskiej, a on zgłupiał na tym punkcie, i — jak się zdaje — nigdy już do rozumu nie wrócił.

^b Genialny kompozytor w rodzaju Kaulbacha¹⁵³. Biedaczysko w Rzymie później, zakochawszy się w jakiejś pannie i chcąc się stać jej godnym, nagle najzupełniej pić przestał. Ten godny podziwu wysiłek woli gwałtownie rozwinął w nim gorączkę trawiącą. Nic nie pomogły zabiegi lekarzy, radzących stopniowe odzwyczajanie organizmu, nieszczęśliwy nabrał dziwnego wstępu do poprzedniego życia i kto wie, czy nawet nie był rad swej śmierci.

zostawszy wówczas inspektorem szkół, nie tylko łapówkami uczniów i ich rodziców nader obcesowo obdzierać począł, ale jeszcze, kiedy zaszły wakacje, wszystkie potrzeby kancelaryjne, bibliotekę i nawet sprzęty szkolne (aż do ławek) Żydom posprzedawał, za co wydalony ze służby, wyrokiem sądu kryminalnego na Sybir skazany, następnie skutkiem ubocznych zasług ułaskawiony, czas jakiś aplikował niby w zarządzie Komunikacji Lądowych i Wodnych, ale właściwie, pokątnie załatwiając zlecenia, z gadzinowych funduszków płatny, broił dalej bezkarnie i nie było tak brudnej sprawy, w której by ręki po łokieć nie unurzał. Człowiek ten pod każdym względem szkodliwy, do którego na nieszczęście nieraz mi jeszcze wrócić wypadnie, przeważnie zaś bezwstydnym (nawet w tak zwanych literackich pracach swoich), przemysłowcem i rzezimieszkiem, w chwili obecnej używa pewnego rodzaju rehabilitacji dzięki nader groźnemu stanowisku, jakie w krytyce zagarnąć potrafił. Dziś mu się kłaniają ludzie najuczciwsi twierdząc, że należy w nim rozróżniać niegodziwca od człowieka wielkich zdolności¹⁵⁸. Tych istotnie odmówić mu nie można, idzie tu jednak o cele, nie o środki. Ale cóż? O całym tym kierunku przekonań dzisiejszych nie to jedno byłoby do powiedzenia...

* Wracam do przerwanoego przedmiotu. Żłodzijski przemysł śladem tego arcyministra szerzył się sobie dalej coraz groźniej. W czas jakiś wykryto całą szajkę kieszonkowych rzezimieszeków oraz podrabiaczy kuponów¹⁵⁹. Niemało w niej uczestniczyło studentów (osobliwie z Gimnazjum Realnego), nawet z Kursów Prawnych niejaki Żołądkiewicz. Rosło to jak lawina. Niebawem zjawili się kunsztowniejsi przemysłowcy. Była to już wykwinna młodzież, głównie z przybocznej kancelarii Paszkiewicza. Ci znowu, przebierając się to za policję, to nawet za generałów, postrachem prześladowań politycznych albo obietnicami uwalniania z Cytadeli^a długi czas wyłudzały pokątnie od potrwożonych mieszkańców znaczne nawet sumy, aż póki to na wierzch nie wyszło następnym sposobem: Jeden spośród nich (niejaki Kołakowski), działając na własną rękę, przebrany za komisarza, w towarzystwie niby żandarmów, wpadł nocą do klasztoru

^a W owym czasie miano to za rzecz pewną, że z woli Paszkiewicza utworzona była przez Storożenkę¹⁶⁰ (ze współdziałaniem zapewne Lejchtego¹⁶¹ i Grassa¹⁶²) lista zamożniejszych obywateli, których synowie z tego powodu osobliwie miani byli na oku. W razie najbliższego pozoru natychmiast brano takich do Cytadeli, skąd wypuszczano tylko za grubą opłatą. Że coś podobnego w istocie chyba istniało, za przykład przytoczyć mogę znaną mi dobrze rodzinę Grodzickich. Z tych wzięto naprzód Aurelego, którego ojciec wykupił, dawszy 20 000 zł. Ale kiedy w czas jakiś potem, uwięziwszy drugiego (Ewarysta), domagano się za niego bodaj czy nie dwa razy większej ceny, stroskany ojciec, mając w domu jeszcze trzeciego syna, wołał już jednego poświęcić, byle uniknąć grożącej mu ruiny. Z tych Grodzickich Aureli i Felicjan pożenili się później z córkami pułkownika Fredry, brata mojej macochy. Ewaryst zaś, wywieziony na Syberię, wrócił dopiero po kampanii krymskiej.

bernardynów, zarządzając natychmiastową rewizję. W chwili jednak, kiedy jego towarzysze po celach płądrowali, on wziął na bok gwardiana i oświadczył mu, że wprawdzie ma rozkaz wzięść go zaraz do Cytadeli, ale że jeśliby dostał od niego 300 rubli, rzecz się może da zgodzić. Gwardian, czy nie miał pieniędzy, czy też, co pewniejsza, nie w ciemię był bity, prosił go o cierpliwość do jutra, tymczasem dał zaś wiedzieć policji. W ten sposób ptaszków na uczynku przychwymano, aż i po tej nici reszta kłębka się znalazła. W tymże czasie zaszły także słynne w Banku Polskim kradzieże, za które niebawem odpokutowali Henryk Łubiński i Józef Lubowidzki¹⁶³.

* W owym czasie krążyła¹⁶⁴ po mieście karykatura, przedstawiająca stojący przed gmachem bankowym zaprzężony do drogi wielki wóz towarowy. Do niego urzędnicy bankowi znosili wory z pieniędzmi, a na koźle siedział tam Fuhrmann (ówczesny prezes Banku)¹⁶⁵, ma się rozumieć odwrócony plecami do tej roboty i gotów ruszyć w drogę, jak tylko będzie już pora.

* Zdarzały się też i bardzo bezczelne oszustwa, jak np. młodego Badenięgo, nazwanego świętym Piotrem, a to z tej okoliczności, że, napatrzysz sobie w Starym Mieście jakąś histeryczną dewotkę, ukazywał się jej przebrany za owego apostoła, wyłudzać od niej grube datki na ś[wię]topietrze i kościoły. Ten był synem Ignacego, dyrektora Komisji Spraw Duch. i Oświecenia, również słynnego w swoim czasie łapownika¹⁶⁶. Z tego powodu po wykryciu się sprawek jego syna ktoś napisał na domu Badenich (na placu Krasieńskich, obecnie Epsteina, okazała kamienica z kolumnadą):

O! dla Boga! co się dzieje!
Syn i ojciec dwaj złodzieje!

* Ów stary Badeni później już znacznie, bo w jakie lat dziesięć, miał wydarzenie, dowodzące, że jednak prędzej czy później trafić musi swój na swego. Na nabożeństwie za Paszkiewicza¹⁶⁷ siedział on w ławce tuż obok Czapskiej, córki Henryka Rzewuskiego¹⁶⁸, podobnież porządnej ze wszech miar osoby. Modląc się nader żarliwie, gdyż był równie pobożnego^a, jak wiernopoddańczego ducha, parę razy uraczył sobie nos ze złotej bardzo ozdobnej tabakierki, którą następnie włożył do bocznej kieszeni. Ale za powrotem do domu, kiedy znów po nią sięgnął, na jej miejscu znalazł już tylko rozpiętą bransoletkę z miniaturą pułkownika Protasowa, naówczas bardzo zażyłego pani Czapskiej przyjaciela. Wprost się tedy do tej damy udawszy, wręcz zaproponował jej wymianę owych przedmio-

^a Pisał też i tłumaczył nader budujące rzeczy i te wydawszy, rozsyłał niby w podarunku przyjaciółom i znajomym, ale następnie, nic się nie wstydząc, ściągął za nie grubą należność. Bawił się nawet w poezję¹⁶⁹.

tów, co też bez wszelkich korowodów na poczekaniu nastąpiło. Rzec ta jednak niedługo snadź pozostała tajemnicą. Ni stąd, ni zowąd bowiem pomiędzy ogłoszeniami „Kroniki Wiadomości Kraj. i Zagr.” ktoś złośliwy zamieścił obwieszczenie, jako zgubioną została bransoletka damska z cyfrą (odpowiednią) i koroną hrabiowską, mieszcząca w sobie miniaturę młodego wojskowego. Łaskawy znalazca raczy ją odnieść do hrabiny Czapskiej (tam i tam) albo do pułkownika Protasowa (w hotelu czy nawet w koszarach — już nie pamiętam)¹⁷⁰. Narobiło to straszliwego rumoru, skutkiem którego pismo tylko co nie zostało zamknięte. Tak to błogie tradycje owych czasów pamiętnych długo się jeszcze sporadycznie przeciągały. Działo się to nieraz nawet z krzywdą ludzi całkiem niewinnych, jak np. Fryderyka Skarbka, o którym krążyła powszechna pewność, jakoby interesantom swoim (był wtedy dyrektorem Komisji Sprawiedliwości) grubo się opłacać kazał¹⁷¹. Tymczasem robił to bez jego wiedzy syn jego, Henryk, dając do zrozumienia, że niby gra w tym razie rolę pośrednika. Porządnie się też tym sposobem obławiał. *

Mówiłem to już poprzednio, że narzuconą mi w owym czasie naukę coraz opieszalej w głowę brałem. Po roku pierwszym wcale jeszcze dobrze zdałem egzamen, ale z drugiego kursu już nie wybrnąłem i zmuszony byłem pokutować jeszcze rok następny. Przyczyniło się do tego zalecenie mi jako dziwnie zdolnego, którego też z tego powodu ostrzej od drugich pilnować należało. Tym zniechęcony, do reszty się opuściłem. Zbałamuciła mnie też ostatecznie literatura, nęcająca ideałami, których coraz mocniej wkołało mnie brakło. Począłem się wałęsać w dzielnicy Starego Miasta i po Nadwiślu, wchodząc w stosunki z ludowym żywiołem, z czego w następstwie wyniosłem dość biegłą znajomość życia tej biedniejszej warstwy społecznej, w której mimo wszelkich wpływów rozkładowych najwięcej podobno, przechowało się dotąd pierwotnego zdrowia duszy. Owocem tych cierpliwych studiów był wspomniany już wyżej *Pan z facjatki*¹⁷².

Jednocześnie też pod wrażeniem bolesnych owej epoki wypadków pisać począłem niemało burzliwych poezji. Próbowałem też skleić kilka dramatów. Z tych *Dido* i *Jugurta* miały jeszcze nastrój klasyczny, sztucznie spokojny, a za to mocno deklamacyjny, *Lech* zaś, *Krak* i *Wanda* był to rodzaj trylogii lirycznej, przejętej na wskroś *Rękopismem Krółodworskim*¹⁷³. Ta ostatnia robota (trochę w rodzaju libretta do opery, bo znajdowały się tam i recitativa, i chóry) jedna tylko w całości była skończona, reszta istniała tylko w mniej więcej znacznych ułamkach. Chodził mi też po głowie dramat *Gertruda* (Komorowska), mniemałem bowiem, że z przedmiotu tego przy zachowaniu wierności historycznej dałoby się wysnuć coś nierównie potężniejszego od płacziwej *Marii* (takie przynajmniej miałem wtedy o niej pojęcie). Ale, ma się rozumieć, skończyło się na bezsilnej zachciance.

Z tego wszystkiego jednak łatwo się przekonać, że Kodeks Napoleona był wtedy rzeczą najmniej podobno zaprzatającą mi głowę. W tym czasie także wrócił był z Syberii kochany mój Karol Baliński i to mi osłodziło chwil przykrych niemało. Niebawem we dwóch z Ciepłińskim poczęli wydawać „Snopek Nadwiślański”¹⁷⁴. Ofiarowałem do niego kilka poezji, lecz te dla braku wartości odrzucono; a jednak wybrałem, jak mi się zdawało, najlepsze; cóż tedy sądzić o reszcie? Natomiast powierzono mi korektę „Sнопka”, w której nierównie więcej okazałem zdolności.

W tych okolicznościach zbliżały się egzamina. Poczęliśmy się w kilku razem do nich gotować i rzecz tą razą byłaby się może w sposób korzystny dla mnie załatwiła (bom się istotnie bardzo szczerze zabrał znów do pracy), gdyby nie to, żeśmy już od niejakiego czasu wplątani byli w pewne Bractwo...¹⁷⁵ Rozpoczęły się aresztowania... Pamiętam, po jednej takiej nocy, kiedyśmy się na Kursach zeszli, patrzę — Leon Kapliński czerwone i podpuchłe ma oczy i nawet gadać z nami nie chce; powiadają mi: całą noc ręce tylko łamał z rozpacz i zanosił się od płaczu^a. Mówię do kolegów: „Bójcie się Boga, toż tego smarkacza trzeba by co tchu w kącie schować, bo niech tylko różgę pokażą, powie wszystko, co wie, a nawet, czego nie wie”. Jakoż, rada w radę, sfabrykowaliśmy mu pasport, zebrali co można było pieniędzy i pod pewną opieką wypchnęli za granicę.

Ale i około nas wszystkich coraz kusiej być zaczęło. Co noc też albo który drapnął, albo został wzięty. Co do mnie, chodziłem z duszą na ramieniu, coraz gdzie indziej nocując, zwlekając jednak ucieczkę dla powodów, które zaraz opowiem. W tych okolicznościach trafiłem raz na uprzejmego kolegę (jedyne, co prawda), który mię, z obawy odpowiedzialności, za drzwi od siebie wyprawił. Noc tę, pamiętam, przebłąkałem po mieście i przesiedziałem nad Wisłą. Szło mi tymczasem o ocalenie kogoś, nad którym miałem rodzaj moralnej opieki. Był to Jędrzej Fredro, siostrzeniec mojej macochy, student z gimnazjum, chłopak zdolny, gorący, bardzo mi ukochany. Tego koniecznie wyprawić należało^b. Trudności były niemałe. Mieszkał u profesora, pod baczynym nadzorem, i już się czegoś domyślać zaczynało. Koniec końcem i to się jednak szczęśliwie udało¹⁷⁷.

Za czym, nie mając już nic więcej do roboty, sam wzięłem nogi za pas i tyle mię widziano^c. Nie oparłem się aż w Prusach Zachodnich. Tam, tu-

^a W następstwie rozwinął się z niego dzielny człowiek, który nawet w dwa lata potem bił się w Poznańskiem i za to odsiadywał więzienie w Berlinie, ale w owym czasie (1844) był to tylko bardzo zabawny dzieciak, utalentowany karykaturzysta i dowcipniś do upękania¹⁷⁶.

^b W lat kilka potem umarł na emigracji w Interlaken szwajcarskim wskutek wybuchu palnych materii w fabryce zapalek, gdzie się był pomieścił.

^c Wtedy też zmuszony byłem zniszczyć wszystkie moje rękopisma, niektóre zaś cenniejsze papiery spróbowałem przechować w znanej mnie jednemu (jak mniemałem) skrytce w pewnym kościele, tych jednak za powrotem także już nie znalazłem.

łajac się tu i ówdzie, pilnie naglądałem, jak też w Warszawie rzeczy się obróca. Zależało to wszystko od przytomności umysłu tych, którzy już nie uniknęli swego losu, oraz umiejętności tłumaczenia się przy śledztwie, a głównie przemilczania tego, o co nie pytano. Ale jak bądź by się to było pokierowało, w czas niedługi wołałem już najcięższą dolę w kraju, a nawet wywiezienie z niego z nadzieją powrotu, niż swobodę z dala od rodzinnej ziemi.

Jakoż, dręczony teschnotą, wróciłem wreszcie chyłkiem, zdając się na wolę Opatrzności. Na szczęście niebezpieczeństwo już było zażegnane. Uniknąwszy przecież jednego, wpadłem w drugie, z tego zaś własnym już przemyśleniem wyplątać się musiałem. Podano mię bowiem za znikłego, co znów w innym kierunku obudziło podejrzenia. Stąd długie śledztwo, zrazu osobiście prowadzone przez Grassa i Abramowicza, następnie w Cytadeli, gdzie z kolei przeszedł przez ręce Blumenfelda¹⁷⁸, Lejchtego, aż wreszcie samego Storozenki. Ten ostatecznie nazwał mię „bydłciem” i kazał mi „iść do diabła”, co też z tajoną radością co prędzej skutecznieniem wiedząc, że to było hasło pożądanej swobody. To zaś, że mię nazwał bydłciem, do dziś dnia dziwnie mi jest podchlebne, daje bowiem miarę, do jakiego stopnia z powodzeniem a konsekwencją niemalą udawać umiałem głupiego wobec tylu tych panów, z których każdy dokładnie słyssał, jak trawa rośnie. Tłumaczenie moje było z pozorów bardzo naiwne: po prostu uciekłem ze strachu przed egzaminami, i to broń Boże nie za żadną granicę, ale do jednego obywatela w Płockie, z którym się już poprzednio w tym względzie umówiłem. Do tego jednak pilnie podorabiać należało rozliczne jak najprawdopodobniejsze szczegóły i od tych ani się już ruszyć krokiem. Tu, jak mniemam, rozwinąłem niepośledni dar inwencji, a zwłaszcza loiki, który oby mi był zawsze w równej mierze w utworach moich literackich służył! Ale też okoliczności były wyjątkowe — o skórę tu szło, nie o sławę — a w takich zając nawet lisem się stawa. Więc, jak bądź różnymi czasy i coraz bieglejzym badaczom na próbę mię dawano, nigdy anim się zaciął — tak łągałem gładko — i to mię jedno zbawiło.

W tym względzie nie zapomnę nigdy ostatniego badania. Wezwano mię na jaką godzinę może przed zebraniem się Komisji. Siedzę jak na cenzurowanym, wtem, niby przypadkiem, zamówiwszy się o coś, nadchodzi Lejchte. Pyta, kto jestem i po co? i dowiedziawszy się od Blumenfelda, nuż ze mną w przyjazną pogawędkę. Znał moich krewnych (!), z niektórymi nawet służył w wojsku polskim za księcia Konstantego. Dobrze to były czasy! ale potem ta nieszczęsna rewolucja, a po niej emigracja. Emigranci są istotnie współczucia i politowania godni, a także i młodzież dzisiejsza w kraju. Niezdrowe książki czyta, ale o to mniejsza; rząd znowu nie taki srogi, byle zaufanie do niego miano. I te tam niby spiski to także dzieciństwo, nikt rozsądny nie przywiązuje do tego wielkiej wagi. Co do mnie,

poznał zaraz, że jestem umysłu bystrego i że mogę, gdy zechcę, zajść daleko. Wszystko to przeplatane było gładkimi wycieczkami: w szczególności życia koleżeńskiego na Kursach Prawnych, w trudności pobytu w Galicji (skąd, jak wiadomo, zbiegów odstawiają) albo w Poznańskie (które, czy bardzo jest zniemczone? on tego nie wie), wreszcie w przyjemności pobytu na wsi (która to wieś mianowicie? w jakiej się znajduje okolicy? czy miłe ma sąsiedztwa? i tym podobne). Miałem tyle zimnej krwi, że podziwiać mogłem cały arcyzm owej niby pogawędki, która w istocie była w swoim rodzaju arcydziełem śledztwa. Sam mówiłem tylko pytany, i to jak mogłem najmniej, ale swobodnie i, jak w poprzednich zeznaniach, udając głupiego; sądzę jednak, że mimo to on jeden odgadł we mnie franta. Wobec Komisji bowiem z serdecznego wprzód przyjaciela stał się z nagłą najzapałczywszym wrogiem, drwił z moich odpowiedzi, przyskakiwał do mnie z pięścią twierdząc wreszcie, że jak bądź niby gadać nie umiem, on by się podjął nauczyć mię śpiewać.

Koniec końcem, jak powiedziałem, puszczone mię wolno, oddając tylko pod baczny nadzór policyjny, który też trwał coś lat parę. W ciągu tego czasu, ponieważ o służbie rządowej mowy już nawet być nie mogło, zmuszony byłem szukać sobie prywatnego pomieszczenia. Jakoż zdarzyło się takie przy urządzaniu Biblioteki Ordynacji Zamojskiej¹⁷⁹ i to też bez wahania przyjąłem. Wynadgodzenie tam było szczupłe, ale przynajmniej starczyło na opędzenie pierwszych potrzeb, czego mi wtedy, dzięki mojej opiece, prawie całkiem brakło.

Biblioteka ta, z pewnością najcelniejsza z prywatnych w kraju naszym zbiorów, z chwilą śmierci Rychtera^a znajdowała się w najopłakańszym nieładzie. Wypadło po prostu od inwentarza zaczynać. Tym sposobem wyszło na jaw blisko 34 000 numerów dzieł, nie licząc kilku tysięcy duplikatów oraz kilkuset rękopismów. Pomiedzy tymi ostatnimi znalazły się rzeczy niesłychanej ceny. Z powodu jednej z takich miałem sposobność widywać tu Augusta Bielowskiego, wysłanego *ad hoc*, jeśli się nie mylę, kosztem Zakładu Biblioteki Ossolińskich (dla dokładnego zbadania kodeksu *Kroniki Galla*, który już poprzednio opisał był Maciejowski)¹⁸¹. Bielowski człek był poważny, milczący, swoją pracą tylko zajęty; równo z nami przychodził o dziewiątej, siadywał jak i my aż do trzeciej. Z dziwnym poszanowaniem spoglądałem na tego potężnego przekładcę *Słowa o pułku*

^a Ignacy Lojola Rychter, bibliotekarz i literat, znany z uporczywej polemiki z Maciejowskimi¹⁸⁰. Wnosząc z nagromadzonych przez niego w bibliotece materiałów, zabierał się do pisania dziejów Akademii Zamojskiej, ale opieszały i do najwyższego stopnia nieporządny, sądzę, że ostatecznie sam się w zrobionym przez siebie chaosie obłąkał i nareszcie dał za wygranę. Wszystkie poprzednie katalogi pozatracił. Natomiast zostały po nim bezładne kupy kartek z notatami bibliograficznymi, z których jednak nigdy się nikt niczego doczytać nie potrafił.

Igora oraz twórcę *Pieśni o Henryku Pobożnym*. Staralem się oddawać mu tysiące drobnych przysług, ale on na to ani zważał — cóż ja mu tam zna-czyłem! Nie spotkałem go już nigdy więcej w życiu i on się też pewnie nigdy o moim istnieniu nie dowiedział.

Przychodził też tu często Cyprian Walewski¹⁸², pilnie przeglądając broszury oraz *Dzieje opactwa czerwińskiego*¹⁸³, także Maciejowski¹⁸⁴ i Stronczyński¹⁸⁵. Ten ostatni, pamiętam, razu jednego zjawił się w towa-rzystwie jakiegoś księcia Światopełka Mirskiego¹⁸⁶. Mówiąc nawiasem, naj-surowiej zabronione było komu bądź z obcych (wyjątek zrobiono tylko dla Bielowskiego) dawać do rąk szacowne rękopisma z miniaturami. Ci pano-wie jednak potrafili sobie jakoś ująć kustosa¹⁸⁷ i ten dał im do przeglą-dania żywoty, jeśli się nie mylę, biskupów krakowskich¹⁸⁸. Jest to wspa-niały wolumin pergaminowy, iluminowany z rzadkim przepychem. Nad nim tedy strawili kilka godzin, przepatrując, podziwiając, zazdroszcząc. Aliści w czas jakiś potem ordynatowa Konstantowa Zamoyska, bawiąca wtedy w Paryżu, odbiera przyslaną sobie z Zakładów Lemerciera chro-molitograficzną podobiznę tytułowej karty tego rękopismu, przedsta-wiającą grono biskupów krakowskich, królujących w niebieskiej chwale. Na domiar złośliwości wydawca (którym był nie kto inny, tylko ów utrapiony książę Światopełk) sztych ten wytworny bardzo szumnie ordynatowej przypisał¹⁸⁹. Narobiło to ogromnej wrzawy. Ordynat Konstancy¹⁹⁰ ostro za to zmył głowę, komu należało, i znajduję, że słuszność była po jego stro-nie. Pokazało się bowiem, że Stronczyński na poczekaniu ową miniaturę przekalkował (podobno i wiele innych), do czego nawet pogrubiał obrisy, co zepsuło całkiem pierwotną delikatność malowidła.

W Bibliotece tej miałem sposobność i widzieć dużo rzadkich rzeczy, i przeczytać też niemało, choć to ostatnie robiło się tylko dopadkami, bo praca była mozolna i pilna, jednak z postępem czasu, nabywszy wprawy, można było po parę godzin dziennie bez wyrzutów sumienia na swą ko-rzyść od niej oderwać. Tylko że niebawem począłem silnie cierpieć na oczy, skutkiem czego zmuszony byłem wyjechać na kąpiele do Buska¹⁹¹. Tam odbywszy się w ciągu sześciu tygodni, pozostałe mi jeszcze dwa umyśliłem • obrócić na zrobienie wycieczki po Krakowskiem^{191a}.

* Co prawda rozrywka jakakolwiek i z innych jeszcze powodów wielką stała mi się potrzebą. W roku tym bowiem doszedłem do pełnoletności, a stąd obowiązek wystąpienia w obronie zagrożonych praw młodszej siostry. Bogu tylko wiadomo, kosztem jakich wysiłen udało mi się wreszcie ocalić jej schedę, a raczej przemocą wydrzeć ją z pazurów opieki. Z mo-jego własnego mienia udało mi się uratować zaledwie parę tysięcy złotych oraz część spadku po matce. *

Wybraliśmy się tedy pieszo we dwóch z kolegą moim szkolnym i przy-jacielem, Hieronimem Ciemnewskim, i śmiało to powiedzieć mogę, że ma-

ło w życiu moim odbyłem pożyteczniejszych podróży. Zwiedziliśmy tę prastarą naszą dzielnicę wzdłuż i wszerz (nie pomijając nawet zakładów górniczych na pograniczu Szląska), wyrastaliśmy, gdzie nas nie posiano, nie było piędzi ziemi wstawionej w dziejach (a przecież Bogu jest wiadomo, że tam wszystko przesławne), której byśmy nie uczcili, nie było tak zapadłego kąta, w którym byśmy nie szukali guza. Bo już to bywało się na wozie, ale także i pod wozem. W Czarkowach wzięto nas za emisariuszów galicyjskich (było to bowiem dość świeżo po wypadkach w r. 1846). W Korczy nie latały za nami dzieciaki sądząc, żeśmy wędrowni komedianci, w Grodzisku wreszcie o mało nas nie wygrzmocili chłopię¹⁹².

* Zdarzenie to warte jest szczegółowego opowiedzenia. Zaszliśmy tam na noc, do karczemki dość odludnej, w której za całe jedzenie dostaliśmy glon chleba i kawałek sera. Ale że wieczór był chłodny, chcieliśmy się wprzód napić wódki. Wódki nie ma ani piwa nawet nie ma. Jak to? Żeby zaś w karczmie?... A tak... Dziedzic sam w lochu oto beczki obie na kłódkę zamknął. Bo dzisiaj odpust w Skale¹⁹³. Nie mogliśmy pojąć powinowactwa tych dwóch wyobrażeń. A to zaś rzecz tak się miała, że ile razy jest gdzie jarmark albo odpust w miasteczku, wtedy na całą okolicę wyszynk się już nie opłaci. Chłopi bowiem wracając do domu podochoceni, wszędzie po drodze radzi dolewają, aż nareszcie gdzieśkolwiek nad miarę przelawszy przy śpiewie a tańcu, że to naród dziwnie jurny, nuż się za łby, a że w takich razach nie żartują, więc z tego zwykle kalectwo, a czasem i co gorszego.

* Po tym objaśnieniu tylko cośmy się ułożyli na ławie, aż tu rym we drzwi: „A otwierajcie ta!” Otwarto. „Wódki!” „Nie ma”. „Piwa!” „Nie ma”. „Jak to nie ma? ty, psia wiaro”. „No, no, nie psiewiarujcie. Dziedzic nie kazał, to i dosyć”. „Dziedzic? A! Patrzcie go! No to my się tu przez wszyckiego obędziewa. Hej! muzyka!” W oka mgnieniu izba się zapełniła. Wszyscy byli porządnie podchmieleni. Najwięcej przewodził rosły, tęgi, przystojny chłopak z czarnym wąsem, w zupełnie świeżych butach, którymi też rad ciągle przytupywał. Ten zaraz porwał z tej ciżby jakąś dziewczuchę, ujął się w boki i zaczął wniebogłosem śpiewać krakowiaka, do którego się skrzypek, jak mógł, dostrajał, ale nie bardzo to szło gładko, czapka mu ciągle na oczy spadała; co zaś do basetlisty, ten przez sen wodził smykkiem, gdzie trafiło. Rozpoczął się taniec, taniec we dwoje; pierwszy raz w życiu widziałem podobny. Dziewucha uciekała, on gonił, gonił klaszcząc, kukając, sypiąc iskry z podkówki, przyklekając, odsadzając się, kółkami brzęcząc, powiewając czapką. Dziewucha śmigiała dokoła z gracjami, których by się nie powstydzila najbieglejsza warszawska tancerka. Miała na sobie haftowaną spódnicę, naszywany gorset, huk wstążek i koralu. Wszystko to szumiało wkoło niej i niemal warczało jak u frygi. Odrzucała

warkocze, sunęła jak łania, wywijiała się jak łasica. Nie była ładna, ale zgrabna i gibka, zdrowa i rzeźwa. Krew z mlekiem.

* Nie wiem już, jak się tam ten taniec skończył, nagle bowiem powstała wrzawa i nawet coś podobnego do kłótni. Każdy chciał, żeby skrzypek jemu tylko do śpiewu towarzyszył, a tu co głowa, to rozum osobny, dość że zrobiło się jak w trybunale. Wtem, kiedy się tak swarzą, ten, co tańczył przed chwilą, jak nie huknie pięścią w stół, aż wszystko podskoczyło: „Cichajcie, tam do stu diabłów! Ja wam tu dopiruj zaśpiewam, co zobaczycie!” Tu nastawił się bardzo buńczucznie i wpośród ogólnej ciszy zaczął śpiewać, co następuje:

Cieście się, Polaki,
Bo już je po wojnie
Cysorz (rozumieć tu należy: austriacki) ustępuje
Dobrowolnie.

Cysorz ustępuje,
Ale Mośkol nie chce.
Cieście się, Polaki:
Bandzie wojna jesce.

A no wy, Polaki...

* Ale wtem któryś ze starszych trącił go łokciem, pokazując w naszą stronę. Za czym zbito się w kupę i poczęły się szeptki, wcale dobrze nie wróżące. Tedy nie było co dłużej tu popasać, tym bardziej, że i gospodyni do odwrotu nas zachęcała. Więc wysunęliśmy się gładko i poszli przespać pod brogiem na polu.

* A no owa *veritas in vino*¹⁹⁴ dała mi do myślenia. Z niej bowiem przekonać się mogłem, jak dalece myślą się ci, co mniemają, że lud nasz ani rozumie, ani dba o to, co to ojczyzna albo co być Polakiem. Choć znowu jak tu z tym pogodzić i objawy całkiem przeciwne?

* Jednocześnie z zamierzonym powstaniem¹⁹⁵ w Galicji, jak wiadomo, przyszło też i do ruchu w Krakowskim, ale chłopci rzucili się na dwory, pobrali obywateli i powiązanych podstawiali do powiatów. Za tę przysługę rząd ich powynadgradzał, ale swoją drogą za samowolę (snadź w obawie rzezi) srodze w Radomiu karał. Jednak ruchawka ta chłopska miała całkiem inne niż w Galicji objawy. Nigdzie się nie dopuścili najmniejszego buntu. Pilnie tylko szukali wszędzie broni i „zakazanego — jak mówili — papieru” twierdząc, że „nie chcą żadnych buntaków”. *

Właśnie w tej samej, którą opisuję, wędrowce miałem sposobność oglądać ślady tego ich gospodarstwa. Było to w Dobiesławicach¹⁹⁶, skąd wydali byli Mieczysława Zarębskiego (ten skazany był potem do ciężkich ro-

bót i umarł na Sybirze). Dwór tam wytrzymał najściślejsze obleżenie, trwające dniem i nocą przez dni kilka. Podczas kiedy na zewnątrz nieustannie obozowano pilnując, żeby pod żadnym pozorem nikt z domu nie wyszedł, drudzy tymczasem plądrowali po najskrytszych kątach. Mocne bardzo podejrzenie obudziły w nich nuty leżące na fortepianie: „O! widzita, toć to nie pismo żadne, ino jakieś pałki — tak mówili — trza będzie tę zmwę zawieźć do jednerała, on to się ta na tym rozumie”. Ledwie się udało organiście wywieść ich z błędu. W czasie, kiedy tam gościłem, nie było już innych śladów ich pobytu prócz powypalanych w ogrodzie i na dziedzińcu trawników, ludzie zaś miejscowi, jakby nic nigdy, po dawnemu robili swoje i ani się odgrażali, ani choćby przypominali, co się stało.

* Trzeba tedy przypuścić, że jak wszędzie, tak i tu ten sam jest stosunek złych i dobrych, głupich i nie w ciemię bitych, w czym polepszenie może i niekoniecznie od oświaty zależy. Toćże w Galicji, przy całkiem równych co do ciemnoty warunkach, jedni łupili i zabijali, a drudzy z największym poświęceniem bronili osób i mienia.

* W późniejszym czasie¹⁹⁷ (w latach 1869 i [18]70) miałem sposobność zjeść nieco soli z góralami w Zakopanem¹⁹⁸. Lud ten taki, jakim jest dzisiaj, to jest wiedzący dokładnie, co się w kraju, ba, i po świecie dzieje, niewątpliwie wykształciła oświata, rzadko dziś bowiem pomiędzy nimi znaleźć niepiśmiennego. Ale przypatrzmy mu się właśnie za owych wypadków. Mam te dane o nich od miejscowego proboszcza, księdza Stolarczyka¹⁹⁹. Ten, we Lwowie wówczas przy biskupie się trzymając, że był człek bardzo zdolny, znajdował się na drodze do świetnej kariery. Wtem jedną razą wybuchły krwawe wypadki. Żywo się nimi zajmując, ujrzał ze zdumieniem, że w Tatrach, skąd sam pochodził, górale zakopiańscy stanęli po stronie dworów, a już o miedzę stamtąd, nad Białką²⁰⁰, objawy były całkiem inne. To go stanowczo skłoniło na drodze poświęcenia szukać raczej chwały. Jakoż postarał się o probostwo zakopiańskie, i te mu zaraz dano, bo nikt się o tę biedę ani kusił. Kiedy przybył na miejsce, kościoła tam nawet nie było i osada przeszło trzytysięczna aż o milę na nabożeństwo chodzić była zmuszona; w całym zaś Zakopanem jedna tylko obca jakaś kobieta czytać umiała i tę też z tego względu nazywano „pieśniennicą”. Dziś widnieją już bujne owoce kilkudziesięcioletnich zabiegów zacnego kapłana. A jednak białczanie mimo wszelkich jego usiłowań dotąd ani się pozbyli swego drapiestwa, i tylko sposobności im braknie, żeby się znowu opryszkami stali.

* Zresztą co do Krakowiaków przypominam sobie, co mi na miejscu z przekonania o nich mówiono: Lud to z kośćmi dobry, a stworzony do wojaczki. Szkoda tylko, że taki niesforny. Ale jakby ich do karności ułożyć... Ba, ba, do karności! podobno tego dobrego nam wszystkim braknie... *

Bodaj to młodość! Dwa tygodnie czasu, i to piechotą — rzecz prawie

nie do uwierzenia. Tak jednak było. Podróż tę całą opisałem nader pracowicie i próbowałem nawet wyjątki z niej w „Bibliotece Warsz[awskiej]” pomieścić, ale ich niestety nie przyjęto, więc w piec poszły, a z nimi i reszta. W tym czasie poezję też porzuciłem prawie zupełnie i nie wróciłem do niej aż w porze ruchów roku 1848. Wtedy znów mi się w głowie rozpaściło, książki w kącie poszły, począłem tworzyć gorączkowo. Rzeczy te były przepojone werwą komiczną, po większej części okolicznościowe pamflety polityczne w lirycznej, dość zręcznej formie. Utwory te z przyczyn, jakby się dziś powiedziało, od autora niezależnych (to znaczy, że dla bezpieczeństwa raczej się je na pamięć umiało, niż powierzało piśmni) powoli przestarzały i bez wielkiej szkody poprzepadały. Mogę się mylić i zapewne się mylę, sądę jednak, że w innych okolicznościach, to jest gdyby drukowanymi być mogły, byłyby mi pewien rozgłos zyskały.

* Na usprawiedliwienie tego twierdzenia przytoczę parę wyjątków, które zapamiętać zdołałem. Oto na przykład *Le Flô*²⁰¹ *sprawujący się z poselstwa swego w Petersburgu*. Stosownie do ówczesnego mniemania miał on mieć zlecenie upomnieć się o swobody dla Polski, zapewnione traktatem wiedeńskim. O tym tedy mówić zamierza, ale Mikołaj wciąż nie daje mu przyjść do słowa. Nie pamiętam pierwszej strofy, dalsze zaś brzmią, jak następuje:

— A! no! co tam! Rzuć do biesa
Etykiety, interesa...
Kto raz pierwszy u nas gości,
Zwiedzi miasta, ciekawości:
Peterhofy²⁰², Carskie Siela²⁰³,
Cerkwie, dworce, cudów dzieła,
A wieczorem z głębi łoży
Śpiew i balet raj mu stworzy,
Śpiew, co w całym świecie słynie,
Baletniczki jak boginie!

— Sire!²⁰⁴ Waść bardzo mi ubliża...
Jam tu przybył aż z Paryża
Nie dla tańca lub śpiewaków,
Lecz z potrzeby,
To jest, żeby...
To jest, żeby dla Polaków...

— A! no! co tam! to nie zginie,
Chodź, przedstawię cię rodzinie.
Mój brat, Michał on się zowie,
To są córki, to synowie,
A to żona — Fedorówna.

Patrz, a tamtej cóż dorówna?
To frejlina²⁰⁵ — bierz się do niej.
Graf jej ojciec, z szczodrej dłoni
Sypnie posag brzmiący mile,
A ja dodam drugie tyle.

— Sire! Waść mocno mi ubliża,
Jam tu przybył aż z Paryża
Nie dla posażnych buziaków,
Lecz z potrzeby,
To jest, żeby...
To jest, żeby dla Polaków...

— Dajże pokój! Ja cię chciałem
Zrobić pełnym gienierałem.
Co ukradniesz, będzie twoje,
Ja tam o to tak nie stoję!
Znak nieskazitelnej służby
Dać ci każę. No, a cóż by
Jeszcze chcieć, gdy w dworskie święto
Plecy twe przewiążę lentą²⁰⁶
I przez mnogie manifesty
Piersi przyozdobię w chresty²⁰⁷.

— Sire! Waść wielce mi ubliża...
Jam tu przybył aż z Paryża
Nie dla krzyżów ani znaków,
Lecz z potrzeby,
To jest, żeby...
To jest, żeby dla Polaków...

— A! no! to już o tym przecię
Mówmy lepiej w gabinecie.
Patrz! ta złota z herbem blaszka,
Z herbem moim, głupstwo, fraszka,
Jednak, proszę, na pamiątkę
Chciej zachować tę pieczętkę,
Że zaś mogą skraść w podróży
I by przyjaźń trwała dłużej,
Racz więc przyjąć z chęci szczerzej
Egzemplarzy worów cztery.

— O, prawdziwie... To klin w głowie!
Co Lamartine²⁰⁸ na to powie?
Lecz ten obrazić się gotów.

Ha! traf z nieba!
 Ulec trzeba!
 Co też człowiek ma kłopotów!

* W innej pieśni (*Metamorfozy Makiawela*) Franciszek Józef²⁰⁹ spowiada się Makiawelowi²¹⁰ z chwilowego osłabienia swojej władzy. Po dawnemu może on i dziś wydawać patenta, poczynające się szumnie od słów sakramentalnych: „Wir Franz Joseph...”²¹¹

Tylko widzisz — to *Wir* głupie.
 Jest dwojakię. Ja sam jedno.
 Drugie składa aż trzech w kupie:
 W — Windischgraetz²¹², wódz nad wodze,
 I — Jellaczyc²¹³, banus luby,
 R — Radecky²¹⁴ bitny srodze.
 Otóż ci mię wzięli w kluby,
 Choć mi to nie szkodzi w niczem,
 Owszem sami tego życzem,
 Drąg — drąg zawsze, choć obcieszasz,
 Tak i cesarz — zawsze cesarz.
 Niech kto chce ich klnie i zgrzyta,
 A jam sobie pan i kwita.

* Dalej Makiawel przedstawia Mikołajowi takich, których by można forytować²¹⁵ na gubernatorów w Paryżu:

— No, a gdyby Bonaparte?²¹⁶
 — E, to także czorta warte!
 Toż stryj jego czy tam ociec
 (Bo już dzisiaj trudno dociec)
 Gorzkich nam napędzał pieprzy.
 Czy ty myślisz, co ten lepszy?
 Niech no Francji skórę orznę,
 Pan Bonapart won w katorżne!²¹⁷
 — No, to gdyby Cavaignaca?²¹⁸
 — Co, Cavaignac? ten sobaka?
 Któż i czym mu gardło zatka?
 Ojciec jego ścinał króle,
 Matka wściekła demokratka,
 On sam, hultaj, puszczał kule
 Na czerwcowe barykady,
 Którem kazał wzniesć dla siebie...²¹⁹
 — A Lamartine? — Pfu! Ten blady,
 Ten wymoczek, co to grzebie

W żyrondistach²²⁰ i w swą lutnię
Wierzy nazbyt rezolutnie!...

— No, a Raspail-komunista?²²¹

— Co? co? Bierz go czortów trzysta!

Psom tym niczym nie dogodzi,
Choć z nich każdy oszust, złodziej.

Usyp z złota Himalaje,
Jeszcze mało dla tej zgraje.

U nich własność zwie się: kradzież.

By ją odkraść, dyszą chciwie.

Syp im, kadź im, nie nadkładziesz —

Więcej mają w perspektywie!

* Wreszcie w *Pochodzie Bema* (do którego dorobił nawet muzykę Ignacy Komorowski) była jedna strofa taka:

Nasz Bem²²², ni z konia, ni piechotą,

On na armacie oklep, oto

Wziął ją za uszy obie,

Ostrogą w boki dziobie,

Kule jej daje do łykania

I gołą szablą w marsz poganiam.*

Tak zaś skończyło się tylko na tym skromnym uznaniu, jakie dać może nieliczne kółko życzliwych. Zresztą prawdopodobnie przecenił ich wartość, która, jak dziś, byłaby już tylko historyczna. Przewijały się tam bowiem postacie wszystkich głównych działaczy owoczesnych, jak: Lamartine, Raspail, Cavaignac, Napoleon, Le Fló, Oudinot, arcyksiążę Jan, Jellaczyc, Radecky, Windischgraetz, Urban, Haynau, Skarjatin, Willisen, Pfuhl, Colomb i wielu innych²²³. Oto tytuły niektórych pieśni (było ich ze trzydzieści): *Urna* (wyborcza) *w Paryżu*, *Poseł* (francuski, Le Fló) *w Petersburgu*, *Ucieczka* (Ferdynanda) *do Inspruka*, *Modlitwa* (króla na balkonie) *w Berlinie*, *Metamorfozy mistrza Makiawela*, *Rozhovor trojga orłów współbraci*, *Wjazd* (zawiadowcy państwa, arcyksięcia Jana) *do Frankfurtu*, *Budowa floty niemieckiej*, *Wielkanoc w Siedmiogrodzie*, *Pochód Bema*, *Dobrywanie Rzymu*, *Risquons tout*²²⁴ itp.

W owym czasie mieszkała nas, rzecz można, kolonia cała w klasztorze karmelitów na Lesznie w tych samych celach, które patriotom przedrewolucyjnym za więzienia służyły²²⁵. Boże drogi! jak się to tam wtedy żyło! Mimo stanu wojennego w kraju, stanu oblężenia w mieście, mimo nieustannego nadzoru policji, nawet rewizji dość częstych wypadki lutowe, rozpoczynające ów rok jubileuszowy, wydawały nam się rozpoczęciem jakiejś promieniejszej ery²²⁶. Z dniem każdym niemal to jakiś nowy tron przymierzchał, to jakieś niespodziane braterstwo świtało — jak się tu było

nie ludzi, jak nie cieszyć? Jedynym niewesołym naszym towarzyszem był Teodozy Krzywicki²²⁷. On biedaczysko dogorywał na cierpienie wątrobiane, aż wreszcie przyszła gorączka trawiąca, a z nią i smutny koniec pełnego nadziei życia^a. Przynajmniej własnej wiary nie przeżył i nie doczekał się zawodu jak my, pozostali.

Niebawem też i kółko nasze uszczuplać się poczęło. Wielu z niego na Sybir poszło i na Kaukaz, niektórzy tylko szczęśliwsi w zamojskich kazamatach rekolekcje odsiadawali. Żmichowska i Skimborowiczowa w Lublinie pokutowały²²⁸. Karol Baliński, powtórnie do Cytadeli wzięty, tam jakiś czas trzymany, z ręcznie się jakoś wywikławszy, mimo surowego policyjnego dozoru uszedł z kraju i już go odtąd więcej nie widziałem. Okoliczności te wszystkie w połączeniu z coraz posępniejszym obrotem sprawy wolności po świecie bardzo przykro na mnie oddziaływały. Osowiałem, świat mi spochmurniał, popadłem w zwątpienie. Na domiar złego skończyła się też praca w bibliotece i znów zostałem na bruku.

Właśnie wtedy Andrzej Zamojski począł urządzić Żeglugę na Wiśle²²⁹; tam obiecano mi pomieszczenie, wszakże nie prędzej, aż na wiosnę roku przyszłego (1850). Zatem, nie mając co dłużej robić w Warszawie, wybrałem się do Szczebrzeszyna²³⁰. Mieszkała tam od niejakiego czasu moja macocha — głównie dla wychowania swoich dzieci, a razem, żeby być bliżej rodziny. Tam także siostra moja Apolonia wyszła była za Tadeusza Wieniawskiego (brata słynnych w świecie artystycznym Henryka i Józefa). Ten zajmował wtedy posadę naczelnego lekarza w dobrach Ordynacji Zamojskiej. Człowiek bardzo zacny — nie miałem w życiu serdeczniejszego przyjaciela — i śmiało to powiedzieć mogę: w domu jego w każdej przykłej okoliczności życia znajdowałem zawsze przystań obustronnie pożądaną.

Szczebrzeszyn w owym czasie był to rodzaj małej metropolii. Znajdowała się tam najlepsza może szkoła w kraju, Gimnazjum imienia Zamojskich, powstałe na gruzach zniesionej w końcu zeszłego wieku Akademii. Z przyczyny, że rząd ubocznie tylko w sprawy tego zakładu mógł się mieszać (sami bowiem ordynaci byli jego kuratorami)^b, swoboda tam jakaś

^a Niemało utworów jego drukowała „Biblioteka Warszawska”, „Pielgrzym”, „Dzwon”, „Przegląd Naukowy”. Były to rzeczy może nieco za pośpiesznie tworzone, stąd brak im rozmysłu i wiersze rozwlekłością grzeszą, tu i owdzie jednak spotyka się w nich ustępy wielkiej piękności. W swoim czasie wielce zachęcony i ceniony, dziś mniej słusznie całkiem zapomniany został, tak że nikt już prawie o nim nie wie. Niech więc choć tych kilka słów przyjaciela odświeży przywiedle kwiaty na jego mogile.

^b W następstwie stopniowo, rzeczy się zmieniały. Rząd począł podglądać, podbadywać, następnie z ramienia swego coraz nowych nauczycieli nasycić, coraz ciekawszych, coraz więcej sobie oddanych, aż wreszcie Turkuł wziął na siebie gimnazjum owo od Zamojskich dla rządu wytargować. Jednocześnie, nie wiem już, czy

panowała poczciwa i duch szczeropolski, mimo że nauka szła może ostrzejszym niż gdzie indziej porządkiem. Profesorowie, po większej części wychowawcy szkoły krzemienieckiej, wszystko ludzie wysoko wykształceni, stanowili znakomity dobór, godny tradycji dawnej Akademii.

* Stamtąd pochodził też Józef Żochowski, ów nieszczęśliwy entuzjasta, có to w przystępie mistycznego uniesienia w r. 1848 z piedestału pomnika Małachowskiego u Ś-go Jana w Warszawie wśród nabożeństwa wygłosił do ludu podżegawczą przemowę²³². Zdaje się, że już wtedy skutkiem nadmiaru pracy niezupełnie przy zdrowych był zmysłach. Niemniej wysłano go do Omska, gdzie też umarł wkrótce w szpitalu. *

Słowem, rzec mogę, znalazłem tu niemal ten sam powiew ożywczy, który nam niegdyś na naszym cichym Lesznie uprzyjemniał pracę. Dodało też uroku otoczenie, wśród którego się tam żyło. Już to Ordynacja Zamojska tradycyjnie bywała przytułkiem wszelkiego rodzaju rozbitków, a i dziś jeszcze czyż to jeden się tam tuli emigrant lub sybirak? W owym czasie zarząd dóbr prawie wyłącznie obsadzony był dawnymi wojskowymi polskimi lub innymi źle notowanymi, rewolucyjnymi duchy. Obywatelstwo też okoliczne, po większej części dzierzawcy ordynacy, przeważnie do tej samej należeli kategorii. Stąd ten swojacki, jak powiedziałem, nastrój życia, obywatelsko-starodawny. Miasteczko samo w uroczym położeniu, wśród wzgórz, ponad Wieprzem, mając w pobliżu niemniej ludne osady Zwierzyńca i Klemensowa, pełne było ruchu. Niemało rodzin z Wcłynia i Galicji zjeżdżało tam dla wychowania dzieci (bo była nawet i pensja żeńska). Zimą bawiono się jak za dobrych czasów. Słowem, pobyt w tej miejscowości bardzo był przyjemny, a jak dla nas, którzyśmy tam jeszcze w pobliżu i krewnych, i znajomych mieli dużo, podwójnie pożądanym. Tam też, niemal w ciągłych przejazdach, przebyłem część lata, jesień i zimę roku 1849. Wreszcie na wiosnę następnego roku wcześniej zgłosiłem się do Klemensowa²³³, gdzie obecny tam hr. Andrzej Zamojski ponownie upewnił mię o swoich dobrych chęciach. Ale kiedym, polegając na tym, w Warszawie do dyrektora Żeglugi, Barcińskiego²³⁴, się stawił, ten zbył mię ni tym, ni owym; a kiedym nalegać począł, oświadczył mi, że nie wyglądam na to, abym mógł podołać trudom nieodłącznym od podobnej pracy. Może i miał słuszność. Bądź co bądź osiadłem znów na koszu.

Tymczasem porobiłem niektóre literackie stosunki za pośrednictwem przyjaciela mego, Teofila Nowosielskiego (chwalebnie zasłużonego krajowi filantropa, a właściwie nawet pedofila — osobliwie bowiem umiłował

z jego porady, czy też może tylko na jego rachunek to zrobiono, ale z nagłą odkryto tam niby jakiś spisek pomiędzy młodzieżą. Usłużnie urządził to niejaki Horoszewicz. Za czym poszły zaraz uwięzienia, wywózki, w końcu pożądane zamknięcie szkoły, w której gmachach czym prędzej moskiewskim obyczajem pomieszczono lazaret, ażeby zabudowania (a te były bardzo okazałe) ile możności spustoszyć²³¹. Od tej chwili miasteczko także bezpowrotnie upadło.

dzieci)²³⁵. Poznałem się ze Stanisławem Jachowiczem²³⁶. Temu zaraz deklamować musiałem ustępy z poematu mego *Marek Jakimowski*; nie mógł się ich odchwalić^a. Serdeczny ten człowiek od razu mię polubił. Doprawdy psuł mię do tego stopnia, że przygotowując nowe całkiem wydanie, a raczej wybór swoich bajek²³⁷, rady mojej zasięgał, jakie z dawniejszych zachować, a jakie usunąć. Na szczęście mniej ufał w tym razie Józefowi Paszkowskiemu (znanemu przekładcy Szekspira)²³⁸; z nim tedy wspólnie działając, połowę przynajmniej odpowiedzialności zdjąć z siebie zdołałem. W owym czasie pracował on właśnie nad pomysłami do poznania zasad języka polskiego. Rzecz to była zachęcająca się oryginalnością metody i przedziwną jasnością wykładu. Pamiętam, gramatykę rozpoczynano tam loiką i teorią składni. Nie wiem, czy to z druku kiedy wyszło. Gromadził także materiały do słownika przysłów, a raczej — jak sądzę — wyrażen stylowych, ale i z tym nie wiem, co się stało²³⁹. Przez letnie miesiące mieszkał sobie Jachowicz w Kaskadzie²⁴⁰. Chodziliśmy tam z Nowosielskim i wracali nieraz późnym wieczorem, kiedy księżyc wschodził, czasem w towarzystwie Dobrzyńskiego lub Troszla²⁴¹. Chwile te dotąd mam w żywej pamięci. Ten zacny człowiek tak nam bywał rad zawsze, tak się nami serdecznie cieszyć umiał, tak się nami bawił wybornie! Już on nieboraczy-sko wzrok wtedy tracić zaczynał. Był to człowiek niezrównanej słodczy charakteru, dziwnej prostoty uczuć i pojęć, niezmiernej, udzielającej się zaraźliwie wiary we wszystko, co dobre, piękne, szlachetne; niepodobna go było nie kochać.

• Wójcicki²⁴² także bardzo przyjaźnie mię przyjął i mimo że w lat kilkanaście potem całkiem się dla mnie odmienił, nie mogę jak tylko z żywym uczuciem wdzięczności wspominać chwile niejednokrotnie w jego domu spędzone. Nie szczędził mi nigdy ani zachęty, ani pomocy wszelakiej. Biblioteka jego i zbiory stały mi zawsze otworem, równie jak i dobra porada; i on to pierwszy zachęcił mię do studiowania wzorów epoki zygmunto-wskiej, co może z całego literackiego zawodu za jedyną mi będzie kiedyś poczytano zasługę.

W tym miejscu chciałbym jeszcze choć kilku słowy przyczynić się do uznania zasług tego człowieka, którego dzisiejsze pokolenie tak lekkomyślnie od wszelkich praw do stanowiska w literaturze odsądza. Że go postępowanie w metodzie badania przeszłości wyprzedził, nic to przeciw niemu nie mówi, bo niemniej on spełnił swoje. Samouk, a raczej w ogóle człowiek mało co umiejący, tym bliższy był prostoty owych rzeczy, które żarliwie gromadził; że zaś żadnego twórczego talentu nie posiadał, tym pewniejsze są jego wskazówki; że zamiast rozumować, po prostu kochał, tym zacniej-

lr

^a Właściwie był to początek tylko i nawet na nim się skończyło, a i ten mi przepadł bezpowrotnie. Należał bowiem także do rzędu tych utworów, które w rękopiśmie nie bardzo było bezpiecznie trzymać w domu wówczas.

sze są jego sądy. Przyszli po nim przenikliwsi, zasobniejsi w dary Boże, w zdobywcze wiedzy, tacy jak Ignacy Chodźko, Pol, Rzewuski, Syrokomla, Kaczkowski, ale on ma to do siebie, że przed nimi wyszedł i że im torował szlaki. Oni są sławni i takimi zostaną, on już dziś z pola zeszedł, ale niemniej był pożyteczny i robota jego nie przepadnie. Inni, jak Oskar Kolberg, jak Kazimierz Turowski²⁴³, rozszerzyli zakres jego działalności, niemniej on jest ich przewodcą. W młodości żył z Bielowskim i Siemieńskim²⁴⁴, kto wie, czy wpływem swoim nie pokierował dalszego ich zawodu. Bo już to odznaczała go zawsze chwalebna uporczywość w rzeczach, które mu były miłe. Sam mi opowiadał, jak niegdyś Andrzej Kucharski²⁴⁵ drwił sobie z tej jego, jak nazywał, „chłopskiej literatury”, to go jednak nie zniechęciło i robił dalej swoje. Słowem, co bądź o nim powiedzieć można, niepodobna mu odjąć tej chwały: gorąco kochał wszystko, co swoje, i że miłość tę udzielać umiał. Człowiek zresztą wysokich cnót domowych, wzorowy mąż^a i ojciec. Zawsze zajęty pracą, żywił przy sobie bardzo liczną rodzinę, bo nie tylko najbliższą, ale i dalszą. Wiecznie tam jakieś siostrzenice się przytulały lub podrastali bratańcy. Nigdy też nie odepchnął nikogo z młodszych pracowników, owszem, chętny wszystkim, umiał każdego ośmielić i natchnąć otuchą.

Co do mnie, jak to już wyżej powiedziałem, przy pierwszym zaraz poznaniu mocno się mną zajął. Wiedział już o mnie od Karola Balińskiego, żądał tedy koniecznie czytać moje utwory; przeczytawszy zaś, wybrał dwa (moim zdaniem najslabsze, to jest *Tęschne chłopię* oraz *Dziwne dziewczę*), w których upatrzył niejakię powinowactwo z Bohdanem Zaleskim (!), i oświadczył, że czy się na to zgodzę, czy nie, on to w „Bibliotece Warszawskiej” wydrukuje²⁴⁸. W to mi graj — właśnie nie co innego było życia mego marzeniem^b. Potem spojrział na podpis: „Felicjan? Cóż to? Pseu-

^a Zmarli²⁴⁶ w Warszawie: Anna z Magnuszewskich Wójcicka, wdowa po literacie, zmarła dnia 22-go października, przeżywszy lat 87²⁴⁶ [czarnym atramentem:] 1899. Tylko tyle²⁴⁷. Była też siostrą Dominika Magnuszewskiego, także sobie literata.

^b Kiedy sobie przypominam pierwsze wrażenie poznania takich ludzi, jak Wójcicki, Jachowicz, Korzeniowski, Żmichowska, Bartoszewicz²⁴⁹ itp., szczerze to powiedzieć mogę, że się zwykle ograniczało na tym, że po prostu, jak to mówią, trzech zliczyć nie umiałem. Dziś stosunki w tym względzie o wiele się ułatwiły. Mógłbym na to przytoczyć tysiąc przykładów, ale poprzestanę na kilku poczerpniętych z własnego doświadczenia. Przede wszystkim usuwam na bok wszelkie pokuszenie równania mojej osoby z wyżej przytoczonymi znakomitościami, chcę tu mieć tylko na względzie wiek mój prawie już sędziwy i zresztą jakie takie, niechby już najmniejsze, zasługi. Niedawno temu w pewnym towarzystwie jakiś młody człowiek, sam zapragnąwszy mi się przedstawić, zaczął rzecz w te słowa: „Przede wszystkim przyznam się panu dobrodziejowi, że nie lubię i nie uznaję żadnej poezji. Trzeźwość poglądów, kochany panie, jest jedyną zasadą mojego życia, choć naprawdę, ściśle biorąc, powiem panu łaskawemu, zasady nawet uważać należy za przesady” itd. ... O tym jegomości sądzić by można (choć tak wcale nie jest), że mu piątej klepki braknie — więc wreszcie mniejsza już o niego. Inny znowu (tą razą był to już zakrój

donim?" — „Nie, to jest moje imię”. „A czemu nie nazwisko?” Zrozumieć nie mógł moich powodów; musiałem mu stanowczo oświadczyć, że od swego nie odstępaję.

* Powody zaś moje, gdyby i dziś przyszło rzecz tę decydować, byłyby te same, co wtedy. Jest jakaś fatalność przywiązana do mego nazwiska. Sądzę, że musi być tak trudne czy też tak mało wybitne, jak rzadko. Nieraz najbliżsi nazywali mię Fałęckim, Felińskim lub nawet Falkowskim. Nie widziałem nigdy, żeby się równie płącano pomiędzy np. Wójcickim, Wojczyńskim i Wójcikiewiczem; Górskim, Gurowskim i Góreckim; Trębickim, Trębińskim i Trąbczyńskim, choć warunki tu przecie jednakowe. Ale już to i z moim pseudonimem nie lepiej mi się wiodło. Nikomu nigdy na myśl nie przyszło dopełniać takie podpisy, jak Deotyma, El-y, Jeż, nawet weźmy mniej znanych, jak Miron, Ordon, Zbigniew²⁵⁸ itp. Co do mnie, wiecznie mi dorabiano do niego nazwisko, i to w sposób, jak wyżej, bardzo trafunkowy. Nie dalej oto, jak tymi dniami, przy wystawieniu na scenę *Krzyżyka na drogę*, nie wiem nawet, jakim prawem, bo wbrew mojemu wyraźnemu życzeniu, na afiszach uparcie nazywano mię Felińskim, aż wreszcie „Echo” odezwało się ze sprostowaniem²⁵⁹. *

na literata) powiada mi ni stąd, ni zowąd: „Słyszałem, że pan użył w tragedii swojej (*Althei* — była już naówczas drukowaną²⁵⁰) wierszy miarowych. Przyznam się panu, że wiersze nierymowe w języku naszym uważam za rzecz pozbawioną wszelkiej przyczyny bytu”. Tak mię gładko nauczył rozumu ów młodzieniaszek, którego całą powagę stanowi dotąd to tylko, że jest siostrzeńcem Deotymy²⁵¹. Przechodzę do ludzi rozumniejszych. Dwa lata temu na odebrane zaproszenie z redakcji „Niwy” pośpieszyłem ofiarować temu pismu przekład wstępnej satyry Juwenalisa. Trzymano go dość długo w zawieszeniu, nareszcie zażądano, żebym dołączył wstęp objaśniający, co też i skutecznym, i kiedym z gotowym już rękopismem do redakcji przyszedł, zastałem tam Ochorowicza, Chmielowskiego i Sienkiewicza²⁵². Ten ostatni wziął rękopism, począł go przeglądać i na poczekaniu robił mi zarzuty błędów stylowych. Była to w ogóle pogadanka bardzo sobie poufała. Inną razą, kiedy tu po raz pierwszy przyjechał Fredro młodszy (w towarzystwie Koźmiana)²⁵³, przyjaciele umyślili wydać dla niego obiad. Odebrałem zawezwanie do składki, ale nic na to nie odpowiedziałem. W dni parę zatrzymuje mię Lubowski²⁵⁴ w Saskim Ogrodzie i pyta o powód odmowy. „Bom ani aktor, ani pisarz dramatyczny, ani choćby sprawozdawca teatralny” — powiadam mu, żeby się go pozbyć: „Przecież byli tam i literaci”. „Zapewne znajomi tych panów. Co do mnie, to ani ja nie mam przyjemności znać ich, ani oni zapewne nigdy o mnie nie słyszeli”. A on mi na to: „No, tak. Co do Fredry — zapewne, ale Koźmianowi, zdaje mi się, że Estreicher²⁵⁵ kiedyś wspominał o panu”. To są własne jego słowa. W ogóle tak mi się zdaje, że nie ma nic łatwiejszego, jak nie powiedzieć komuś niegrzeczności. Ale na to trzeba podobno umieć zamilczeć w porę, a młodzież dzisiejsza tak nawykła dużo mówić i z zachwyceniem słuchać tej swojej mowy, że jej trudno czasem nie powiedzieć głupstwa. Wracam jeszcze do przyjezdnych. Ludzie starej daty, jak Zachariasiewicz, Małecki, Estreicher, Szujski, ile razy tu przyjadą, sami się jęć najchętniej trudzą to dawne odnawiać znajomości, to zawierać nowe²⁵⁶, ale młodym panom przedstawiać się trzeba w garkuchni przy butelce. Prawda, że na tych sympozjach (jak dziś przynajmniej) prezyduje zwykle Lewestam i Jaksa Bykowski²⁶⁷.

Tak więc nareszcie dobiełem się przecię wyjścia w świat boży. Dziś nie wiem, czy się te rzeczy równie żywo odczuwają. Pism się namnożyło i trzeba być chyba ostatnim bazgraczem, żeby się gdziekolwiek nie przyczepić. Tacy zaś, co darmo dają swą pracę (rzadcy bardzo, i to chyba na początek, dla zachęty), liczą się do dobrodziejów pisma. W owym czasie nikomu nic nie płacono^a, a wymagania były o wiele większe. Przekonałem się o tym niebawem, kiedy, zbyt zaufany w moim powodzeniu, ofiarowałem „Bibliotece” wzmiankowany wyżej ustęp z *Wycieczki w Krakowskie*, niewielką powiastkę, oraz poemat *Termopile*. * Właściwie tylko pieśń jego pierwszą, gdyż dalsze znacznie później dorobiłem²⁶⁰. * Wszystko to sromotnie mi odrzucono. Przykreść mi to sprawiło niemałą — przyznaję — głównie ze względu na *Termopile*, o których miałem przekonanie, że posiadają wartość niejaką. W istocie dość się nawet podobały Sewerynowi Gołębiowskiemu²⁶¹, który też jeden bronił ich na posiedzeniu, i to sprawiło, że ich nie spalił. One także zjednały mi znajomość z Henrykiem Cieszkowskim²⁶², a ta mi się bardzo przydała, jak o tym poniżej powiem.

Poprzednio wspomniałem jeszcze, że się przez Nowosielskiego poznał z Tripplinem²⁶³. Doprawdy mało w życiu spotkałem sympatyczniejszych ludzi. W lat wiele potem, kiedy mię doszła wiadomość o jego rozbiściu, miałem z tego taką przykreść, jakbym utracił kogoś bardzo mi bliskiego. Istotnie, niepowetowana to szkoda. Człowiek był niezmiernie dobry, ostatnią koszulę z siebie byłby oddał biednemu. Dziwnie łatwy w pożyciu, zawsze dobrej myśli, umysł miał bystry, serce na dłoni, wielkie do kraju przywiązanie. Z tego powodu był na noże ze swym bratem cenzorem²⁶⁴. Nie mogąc się z krwi wywieść Polakiem, wolał już być Francuzem z pochodzenia niż Niemcem, bo Niemców z duszy nie cierpiał. Jakoż, śledząc pilnie w papierach domowych, doszedł wreszcie, że istotnie pochodzili z rodziny francuskiej, osiadłej w Niemczech po odwołaniu edyktu nantejskiego²⁶⁵, skutkiem czego byli nawet kalwinami. Z chlubą powiadał mi nieraz, że ojciec jego mógł do grobu zstąpić z tą myślą udęcącą, że był Niemcem, gdyby on mu nie był otworzył oczu. Istotnie z krwi, z temperamentu, z powierzchowności nawet czysty to był Francuz.

^a Jako zabytek tego błęgiego zwyczaju do niedawna jeszcze „Biblioteka Warszawska” od czasu do czasu zamieszczała zawiadomienie, jako ona płaci za artykuły takim ludziom, co by się o to wyraźnie upomnieli. Widocznie tedy liczone tu na wyjątkowe jakieś zuchwalstwo, które już z góry hańbą piętnowano. Zresztą i tak datuje to od chwili, kiedy już inne pisma płacić poczynaly, skutkiem czego mogło „Bibliotece” zabraknąć współpracowników. Ale nawet i bezczelnością nie zawsześ tu wskórał, a jeśliś i wskórał, to już jak najskromniejsze było twoje wskóranie. W latach od 1861 do 1869 włącznie byłem stałym „Biblioteki” owej współpracownikiem. Pomieszczałem tam mnóstwo artykułów, a płacono mi tylko za krytykę, i to w stosunku 150 złotych za arkusz druku tak zwanym petitem, co wynosiło ledwie po cztery grosze za wiersz.

Kto go nigdy nie znał, w całości dowiedzieć się go może z portretu Simmlera, który jest jednym z arcydzieł tego mistrza. Z postawy, spojrzenia, z rysów, z ruchu głowy wydatnie tam ten umysł rdzennie południowy, wrażliwy, zapalny, do uniesień skłonny, a razem do cyganii usposobiony i do błagi. Jednak nieprawda jest, co o nim powiadano, że noga jego nie powstała w większej części krajów, które opisywał; wiem, że wszędzie tam miał stosunki, które podtrzymywał nieustającą korespondencją, nie licząc już tego, że wybornie posiadał kilka języków, z którymi cały świat zwiedzić można; usposobienia zaś nadto był ruchliwego, żeby zdołał długo na miejscu jednym wysiedzieć. Literaturę też angielską, hiszpańską, włoską, nie licząc już polskiej, francuskiej i niemieckiej, znał na palcach i sąd miał o wszystkim niewątpliwie własny. W owym czasie zaczynał już być pieśczochem towarzystw, a oraz i literackich nakładców, i to go — jak miemam — z wolna zepsuło, a w następstwie o upadek przywiodło. Miałem w nim serdecznego przyjaciela. Z delikatnością sobie właściwą koniecznie życzył sobie być mi użytecznym. Nie mogąc inaczej, podjął się uczyć mię po hiszpańsku i mocno żałuję, że do tego nie przyszło, ale nagle wypadło mi wyjechać z kraju.

Powiadam „z kraju”, bo — jak wówczas — dla nas istniała tam granica^a; a jednak nie dalej to było jak na Wołyń, tuż za Włodzimierzem. Właśnie polecił mię był Henryk Cieszkowski (sam z tamtych stron pochodzący) hrabiemu Feliksowi Czackiemu²⁶⁶, który potrzebował kogoś do urzędu mu zbiorów bibliotecznych. Jakoż niebawem się tam wybrałem.

Sielec była to całą gębą pańska, choć już nieco nadpróchniała rezydencja, i to bynajmniej nie skutkiem braku środków do jej podtrzymania, ale tak oto właściwym Wołyńniowi szykiem pyszno-skąpskim, który tak dosadnie Pol w *Pieśni o ziemi naszej* podchwycić na uczynku potrafił. Pałac półkolisty, ogromny, w cudownym położeniu na wysokiej górze, skąd tarasami spuszczały się ogrody ku rozległemu jezioru, z daleka już wyglądał bardzo okazale. Bibliotekę zastałem tu dość zasobną (przeszło 5000 dzieł) i zaraz się zabrałem do jej urzędu, ale się pokazało, że właściwie potrzebny byłem do towarzystwa staremu hrabiemu. Był to człowiek blisko już siedemdziesiątletni, dobry, grzeczny, wykształcony, ale całkiem zdzieciniał. Zdawszy całe gospodarstwo na żonę (także z domu Czacką²⁶⁷), sam bawił się w muzykę dworską, ale osobiwie w historię rewolucji francuskiej. Był to synowiec Tadeusza, wnuk po matce Ignacego

^a Za tę granicę nieporównanie trudniej nawet udzielano pasportów niż gdzie dalej na obczyźnie, tak dalece, nie życzo no sobie wzajemnego stosunku tych dwóch części jednego kraju, dopóki jeszcze coś sobie robiono z kongresu wiedeńskiego. Ukaz zaś, zarządzający zniesienie tej granicy, był — rzecz można — postanowieniem jeszcze jednego rozbioru Polski, przygotowującym ostatecznie włączenie jej reszty, co niechybnie i tak miało nastąpić, jak bądź ułatwiły to wypadki roku 1863.

Potockiego^a, syn Michała, bardzo zasłużonego w swoim czasie obywatela i miłośnika rzeczy ojczystych, i sam nawet nie bez zasług (był bowiem w r. 1826 bardzo pożytecznym prezesem Komisji Edukacyjnej trzech zabranych guberni), tym więc dziwniejsza ta jego monomania rojalistowska w rzeczy nic a nic z nami nie mającej wspólnego. Tym jeszcze dziwniejsza, że mówił po francusku najopłakańszym akcentem polskim, którego nabył — jak mi sam powiadał — od swego nauczyciela Wiszniewskiego²⁶⁸, ojca sławnego Michała, i to mu tak było w naturę wrosło, że nawet w Paryżu lekcje deklamacji, które tam brał od Talmy²⁶⁹, nic na to poradzić nie zdołały. Historię zaś tę swoją do nieskończoności przerabiał i wyglądał, i ciągle przepisywać kazał (miał do tego wyłącznego sekretarza), i wszystkim, czy kto chciał, czy nie chciał, czytywał lub do czytania zalecał, przy czym najczęściej zasypiał wprzód jeszcze niż drudzy. Zasypiał pisząc, zasypiał z fajką w zębach, czasem nawet przy obiedzie.

Był to typ w swoim rodzaju. Do tego niesłychanie roztargniony, nigdy nie wiedzący na dobre, co się z nim dzieje. Nie było nic pociesniejszego, jak widzieć, kiedy go ubierano. Odbywało się to często chodzący. Biegał za nim kamerdyner, goląc go, myjąc, czesząc, koszulę mu wdziewając, a za nim też lokaje z miednicą i szczotkami. On tymczasem albo do fortepianu siadał, albo śpiewał coś uporczywie, będąc też — jak się rzekło — wielkim melomanem. Latem, bywało, kiedy szedł do kąpieli, niesiono za nim książki, papier, pióra, atrament, fajki, bo tam co najmniej dwie godziny przebywał, wskakując do wody, potem leżąc na ławce, czytając, pisząc, fajkę paląc, drzemiąc i znów do wody wskakując. A pływał jak ryba. Człowiek zdrowy, krzepki, nigdy nie chorujący, swojego czasu zawzięty jeździec, bywało do Krzemieńca (miał coś 18) wierzchem się puszczał, wtedy konie mu na drodze rozstawiano. Z usposobienia żywy, niczym się nie trudzący, widocznie stworzony był do czynnego życia, szkoda więc, że kierunek jego wychowania (jak mi się zdaje, przeważnie macierzyński) nie wyzyskał tych jego zdolności w sposób korzystniejszy. A jako sam był żelaznego zdrowia, tak i u drugich nie rozumiał zmęczenia. Owego sekretarza swego na całą noc zasadzał nieraz do przepisywania, jakby to były rzeczy terminowe, a nazajutrz najczęściej ani się o to spytał. Wszystko mu było dziwnie pilne. W podróży nieustannie tylko poganiał stangreta: „No, dalej, dalej! cóż ty w miejscu stoisz? jak to? jeszcze tu?” Przytaczam te szczegóły, bo charakteryzują równie człowieka, jak w ogóle magnata wołyńskiego, jeszcze o wiele rozumniejszego i więcej wartego od drugich.

^a Beacie Potockiej, słynnej z talentu malarskiego. W wielkiej sali pałacu sieleckiego pamiętam rodzinny portret jej roboty, przedstawiający ją samą z trojgiem dzieci (to jest synem Feliksem oraz córkami: późniejszą generałową Szeptycką i Anielą, która umarła panną) jako matkę Grakchów.

W młodości przyjaźnił się z Kropińskim²⁷⁰, znał też Felińskiego²⁷¹; nie potrzebuję zaś mówić, że niezmiernie wiele ciekawych szczegółów miał zawsze do opowiadania o swoim sławnym stryju, Tadeuszu²⁷². Tego zaś syn jedynej, Wiktor²⁷³, w Porycku mieszkał, ale nieosobliwie o nim w Sielcu mówiono, nawet przy obcych, co mi się zawsze dziwnym zdawało, żyli bowiem z sobą na stopie przyjaznej.

Ale co prawda, na Wołyniu owym obyczaje nie w jednym względzie od reszty naszego kraju odstają. Pamiętam np. i to mię zawsze mocno raziło: ile razy przyjechał kto z gości, konie i służba zawsze do karczmy odchodziły i nikt się temu nigdy nie sprzeciwiał. Co większa, przyjeżdżały nieraz do Sielca na czas dłuższy siostry pana Feliksa²⁷⁴, wtedy służba tych pań musiała się żywić własnym przemysłem, urządzając sobie za swoje strawne stół na folwarku lub na wsi. A przecież rodzeństwo to kochało się serdecznie; a znowu z drugiej strony na stole dworskim w Sielcu żywiło się do stu ludzi, więc cóż tam znaczył przybytek pary osób lub kilku?

W ogóle życie tam prowadzono dość jednostajne. Pani najczęściej za domem, objeżdżała folwarki, naglądała ekonomów, bo była bardzo skrzętna, i to jej za zasługę poczytać należy; inaczej bowiem nie wiem, jakby tam szły interesa przy owej historii rewolucji francuskiej, a także po części i muzyce. W niedziele jednak państwo oboje zawsze byli u siebie i to było powszechnie wiadomo. Wtedy zwykle ściągali sąsiedzi i najczęściej tańczono. Zimowe miesiące przepędzano w Warszawie; wtedy też miałem więcej swobody, choć co prawda niewiele się na tym zyskiwało, bo znow z kolei przychodziło osamotnienie, i gdyby nie książki, nie starczyłaby skóra za wyprawę.

Miejscowy doktor i kapelmistrz Czech byli to tylko starsi lokaje i jedyne znośne towarzystwo przedstawiało się tam w osobie niejakiego Malczewskiego, głównego zarządcy dóbr, którego żona była siostrą Józefa Korzeniowskiego. U nich też roku następnego w lecie miałem pierwszą sposobność poznać tego słynnego pisarza²⁷⁵. Wracał wtedy z Odessy, gdzie miał również siostrę za Sowińskim, zdaje mi się, stryjem Leonarda.

Korzeniowskiemu na szczęście od razu zdołałem przedstawić się w warunkach bardzo dla mnie przyjaznych. O próbach moich literackich wiedział już z Warszawy, od siostry zaś miał przesadne o mnie zalecenie, żem z usposobienia wesoły i zmysłu dość spostrzegawczego. Sądzę, że osobliwie te dwa względy ostatnie dobrze go dla mnie usposobiły. Miał w sobie sporo złośliwości i zawsze lubił takich, co tę żyłkę zdradzali. Do tego znał swój Wołyń na palcach i w ogóle niewiele podchlebnego miał o nim do powiedzenia. Od razu mię tedy ośmielił i niebawem byliśmy jakby dawni znajomi — powiem więcej — jakby literaccy współtowarzysze. Kiedym się potem opatrzył, sam się zdumiałem, jak to się stać mogło. Ale już to

Korzeniowski w wysokim stopniu posiadał tę poufalącą swobodę obejścia, byle tylko chciał. Cóż, kiedy nie zawsze chciał i nie z każdym. W pałacu na przykład grzeczności mu robiono wielkie, on jednak w ogóle dosyć szorstko to przyjmował. Wtedy to mogłem się przekonać o prawdziwości robionego mu zarzutu: jakoby lubił niekiedy powagę swoją nosić nazbyt wysoko. Co do mnie jednak śmiało to powiedzieć mogę, że nigdy z jego strony na sobie tego nie doświadczyłem. Zawsze był mi szczerze życzliwy, bardzo moich postępów ciekawy i w każdym czasie ku pomocy chętny.

W sierpniu tego samego roku, po ukończeniu mojej roboty, opuściwszy Sielec, byłem znowu czas jakiś w Szczepieszynie i u krewnych, po czym wróciłem do Warszawy. Tu zastałem ruch ogromny. Właśnie jakoś w owym czasie zniesiono granice od zabranych krajów²⁷⁶, skutkiem czego wylała się — rzecz można — istna nawałnica narodów na naszą mało dostępną dotąd Kongresówkę. Nie, takiego zbiorowiska wszelkiego rodzaju cudaków, a nawet awanturników, chyba Warszawa od czasów stanisławowskich nie oglądała.

* Jako typ tego rodzaju niedobitków zacytować tu można znanego Piotra Jakś Bykowskiego²⁷⁷. Ten ostatecznie uwiązał w Warszawie, bo zdaje się, że już nie miał do czego wracać. Stary ten satyr, zmarnowawszy ojcowiznę, na początek bardzo buńczucznie posiał w mieście parę tysięcy rubli, po czym z rozmaitym powodzeniem pieczeniarczył tu i ówdzie, robił długi, dopełniał wychowania bogatych młodzików, stręczył się do rozmaitych posług. Następnie wyspekulował sobie posadę w Komitecie Urządzącym. Dziś zaś jest jednym z potężnych filarów „Przeglądu Tygodniowego”²⁷⁸. I byle się wydarzył obiad jaki składkowy ku czyjemu uczczeniu, on tam zaraz z równym powodzeniem bywa przedstawicielem obywatelstwa, jak Lewestam literatury. *

Niebywali jacyś nababowie²⁷⁹, fantastyczni pseudobogacze, problematyczni obywatele, bajeczni magnaci, od siedmiu boleści marszałkowie, naderwani bałaguli²⁸⁰, słowem najhumorystyczniejsze z końca świata postaci, wirujący wprzód jak ćmy około Odessy, Berdyczowa i Petersburga, zleciały się naonczas do Warszawy, jakby dawszy sobie wspólne hasło. Wszystko to cierpiało jakieś monomanie, to do muzyki, to do teatru, to do koni, to do psów, to do polowania na posagi, to do pozbywania się córek, czasem nawet żon, zapamiętałe się kręciło, grało w karty, piło, po wschodniemu szumiąco jakimiś resztkami, potem brnęło w długi i najczęściej kończyło skandalem lub cichaczem dawało drapaka przed wierzyicielami, niektórzy nawet gardła sobie podrzynali lub w inny sposób pozbywali się utrapionego życia, którego nie było już czym podtrzymywać.

Wtedy też zjawił się i Henryk Rzewuski²⁸¹, który już nawet w Cudnowie swoim nie miał za co siedzieć. Że był jednak człek przedsiębiorczego ducha, niebawem tedy wydworaczył sobie posadę przy Paskiewiczzu oraz

koncesję na wydawanie „Dziennika Warszawskiego”²⁸². Wypadek ten ostatni stanowi rodzaj ery w dziejach pracy literackiej w naszym kraju, było to bowiem pierwsze pismo, które zaprowadziło „odcinek”, a co ważniejsza, za artykuły płacić poczęło. Tu także rozpoczyna się działalność Wacława Szymanowskiego²⁸³. Nie wiem już, jakim sposobem stał się on satelitą Rzewuskiego, bom przy tym nie był, ale to pewna, że mu się umiał stać niezbędnym. Niebawem nawet wprowadzał się do niego, bo tamten obyć się już bez niego nie mógł. Kiedym go u Łuszczewskich poznał, sam mi opowiadał, że z Rzewuskim do Krakowa jeździć musiał (czy też może gdzie dalej), że zaś w owym czasie o pasport niesłychanie było trudno (nie licząc kosztu, który na osobę wynosił 200 rubli), pojechał więc w charakterze jego lokaja.

Tylko co wspomniałem Łuszczewskich²⁸⁴. Wprowadził mię do nich Ignacy Komorowski, o którym, równie jak o bracie jego Józefie, dwóch najserdeczniejszych moich przyjaciółach, osobno powiem. Właśnie wtedy pojawiła się była Deotyma i cudownymi istotnie improwizacjami swymi szalone tłumy do domu rodziców swoich ściągała. Rzeczywiście w tych niewielkich trzech pokoikach (w lewym skrzydle Pałacu Saskiego²⁸⁵, gdzie jest środkowy balkon od strony ogrodu) bywało po dwieście osób, tak że nie tylko siedzieć, ale i stać nie bardzo było gdzie; na szczęście jedni wchodzili, wychodzili drudzy. O salonie tym dużo byłoby do powiedzenia, zasługa jego jest niezmierną. Istniał lat dwadzieścia kilka, przebył najprzykrzejsze chwile i ocenić należy poświęcenie jego gospodarzy, którzy dla owych poniedziałków sami wyrzekli się wszelkiej zmiany trybu życia i — rzec można — do bruku warszawskiego przyrosli. Zgromadzał się tam wybór towarzystwa, istotnie to, co kwiatem jego zwać się godzi — arystokracja rodu, pieniędzy, inteligencji, sztuki wszelakiej. Słowem tacy, którzy by się nigdy w życiu z sobą nie zeszli, tam spotykali się i zawiązywali stosunki.

* Na tych wieczorach, bywało, panie usuwały się wedle północy, po czym podawano cygara i papierosy, a w parę godzin zostawała już tylko garstka nieliczna na poufałą pogawędkę. Wtedy to dopiero istotnie się bawiono. Ktoś grał lub śpiewał, lub czytał, przeglądano najnowsze książki, zawiązywała się rozmowa ogólna, zwykle pouczająca, a w każdym razie jak najmniej powierzchowna. *

Przypomina mi się²⁸⁶ z tej okoliczności następujące opowiadanie Szymanowskiego. Raz, kiedy w powrocie od Łuszczewskich pod wpływem improwizacji Rzewuski, nie mogąc się uspokoić, Deotymę niezrównanym nazywał geniuszem, Szymanowski powiada: „E, to nic tak nadzwyczajnego, ja tak samo potrafię. Niech mi hrabia podda jaki temat, a ja podejmuję się z tego powodu gadać wierszami, aż dopóki w gardle nie zaschnie”. „No dobrze. Niech będzie: dajmy na to — obiad czwartkowy

u króla Stanisława”. Siadł w fotelu, zawinął się w szlafrok i słucha, aż wreszcie zasnął i chrapie. Wtedy Szymanowski buch pięścią w stół, aż się wszystko zatrzęsło, a tamtem zrywa się na równe nogi: „Co to takiego?”

„A to właśnie wchodzi Tremo²⁸⁷,
Mówiąc swą postacią niemą
Pożądane wszystkim słowa,
Że już zupa jest szczawiowa”.

„Jak to? i ty ciągle gadałeś wierszem?” „A jakże. Czy mam dalej ciągnąć?” „Nie, nie, już będzie dosyć. Widzę z tego, żeś i ty geniusz. No, chodźmy spać”.

Co do improwizacji owych, byli tacy, co je podawali w wątpliwość, ja jednak śmiało twierdzę, że się mylili. Deotyma istotnie posiada ten dar nadzwyczajny (nie wiem, czy dotąd); Bóg wie, ile razy później nawet miałem sposobność sam to sprawdzić. Tajemnica formy dla niej nie istnieje, ma ona jakiś niepojęty dar szykowania sobie zdobyczy swoich naukowych w dziwnie harmonijne porządki, z których, jakby za najlepszych czasów greckich, tworzą się godne czci świątynie.

* Poza obrębem tego daru jest to osoba mierna całkiem. Własne sądy jej o rzeczach sztuki są tuzinkowe, w życiu zaś codziennym zdaje się chodzić omackiem i nigdy jeszcze nie trafiła, gdzie potrzeba, a raczej zawsze tam zaszła, gdzie się jej najmniej spodziewać godziło. Na pogrzebie pięciu poległych²⁸⁸ niosła koronę cierniową i improwizowała *Dzwon zmartwychwstania*, a w jakiś czas potem zrzuciła żałobę narodową i nie wiedzieć po co bywała w Zamku i w Łazienkach. Później, kiedy pomimo tych wszystkich objawów lojalności ojca jej wywieziono, pojechała z nim dobrowolnie; i to się jej chwali. Ale dlaczego zaraz po powrocie poczęła znowu uczęszczać do Zamku (na którym już nawet nie książę Konstanty²⁸⁹ ani Wielopolski siedział, ale taki krwawy oprawca kraju, jak Berg²⁹⁰ wiekopomny, który jeszcze w dodatku ojca jej wywieźć kazał)? Tego nikt nigdy nie dociekl.

* Następnie, po śmierci rodziców, jak bądź byt miała aż nadto zapewniony, ni stąd, ni zowąd osiadła na rezydencji u niejakiego Wolfa²⁹¹, wielkiego brudasa, który w ciągu lat kilkunastu z niczego zrobił kilka milionów majątku. Zdaje się, że na dnie tego wszystkiego próżność siedzi, odziedziczona po matce, dręczona zawsze żądzą oryginalności oraz cierpiącej chronicznie brak taktu. Deotymie wiecznie się wydawało, że jest czymś tak wielkim w narodzie, że nie tylko nie może robić tego, co drudzy, ale owszem drudzy powinni robić to, co ona. Nie bez tego, żeby się tu i zamiłowanie zbytku za coś nie liczyło. U tych Wolfów mieszkając, urządziła wieczory sobotnie, na których występowała w charakterze królowej, mającej swój dwór symboliczny i porozdawane godności. Dygnitarze tego

osobliwszego dworu nosili odpowiednie godła w dziurce od guzika. Składał się on z samych niedorostków, wśród których jednak stary Odyniec nie wstydził się nosić ucho (jako niby spowiednik) oraz Skimborowicz²⁹² książkę (jako bibliotekarz). Śmieszność dochodziła tam do swego zenitu. Niejakiego Milkowskiego²⁹³ (podobno szambelana jej królewskiej mości), bardzo lichego smarkacza i po trosze nawet rzezimieszka, wcale jednak nie za te jego sprawki, ale za jakieś duchowe przemieszanie, publicznie tam dekapitowano *in effigie*²⁹⁴, to jest ucięto głowę jego fotografii. Zresztą wszystkim jest znana pocieszna uroczystość uwieńczenia przez Deotymę Prądyńskiego, autora *Praw kobiety*²⁹⁵ (ten — trzeba także komicznej Nemezy! — w czas niedługi potem, wplątany po uszy w słynne przekradanie okowity, zmuszony był wziąć nogi za pas i bodaj czy się z tego wydobył).

* Na wieczory te przychodzić należało ubranym jak na bal, sama gospodyni (*risum teneatis*²⁹⁶) pilnie tego przestrzegała. Z tego powodu o brak białego krawata miał z nią raz bardzo przykre zajście hr. Stanisław Zamoyński²⁹⁷, tak że się rzekł przyjść tam więcej; co prawda niepotrzebnie i wprzód tam chodził. Nareszcie zaprowadziła tam czytanie swoich utworów, które już wszyscy znali z druku. Wtedy, bywało, wznoszono jej tron ponad głowami obecnych, na tym ona uroczystości zasiadała (na wzniesieniu) i rozpoczynała ową ucztę duchową, która trwała czasem parę godzin bez przerwy. Że zaś wielki ścisk tam panował, a z nim zwrotnikowe gorąco, wielu tedy zasypiało i ci bardzo źle bywali notowani. Na te ucztę wiecznie zapraszała Berga i nareszcie jedną z takich raczył obecnością swoją zaszczyścić. Rzuciło to postrach na całą dzielnicę, ten Jowisz bowiem zjechał tam, jak zwykle, w otoczeniu Czerkiesów, policja zaś obsaczyła tymczasem wszystkie wejścia i wyjścia. W innym czasie nawiedziny podobne byłyby raz na zawsze salon wieszczki opróżniły, ale dziś pozbyto się już niejednego przesądu, zresztą i towarzystwo tam bywało stosownie dobrane.

* Nadskakiwania te²⁹⁸ — pokazało się wreszcie — nie były bynajmniej bezinteresowne. Jakoż uwieńczone zostały dożywotnią pensją 1500 rubli, które wieszczka (równie jak i Odyniec — trudno wiedzieć, za co) od rządu pobiera²⁹⁹. Takich smutnych wypadków można by i więcej naliczyć. Niedawno temu, kiedy umarł kasztelan Dembowski³⁰⁰ (ostatni z kasztelanów, jak się o nim niechcący nader trafnie wyraził Skimborowicz), człowiek nie bez zasług niegdyś dla kraju, ale dziwnie rozpustny i nierządny i przeto sponiewierany wieczną u rządu żebranią, Kotzebue³⁰¹ kazał go pochować swoim kosztem,¹¹ a za to karty pogrzebowe były po rosyjsku i Własow całym obrzędem osobiście kierował. Policja też rozpędzała wierzycieli i rozmaite jejmoście, używając opieki córce nieboszczyka³⁰², która zaraz po śmierci ojca pobięła prosić o to do Zamku.

* Od niejakiego czasu już te przyjęcia ustały. Sądzę, że miały na celu reklamę dla Wolfów i porobienie im stosunków, ale to — jak się zdaje — chybiło. Doprawdy, rzecz przykra nawet powiedzieć, do jakiego stopnia Deotyma się w tym względzie zapominała. Raz zastałem ją na wieczorze u Januszostwa Rostworowskich³⁰³. Tam bawiono się nią w jak najlepszym tonie, nareszcie, wiedząc że tego tylko pragnie, proszono, żeby co swego zadeklowała. Wtedy na jej skinienie lokaj wniósł grubą torbę, w której się mieściły wszystkie jej poezje; i z tych wybrałszy jedną (na początek), rzekła bardzo majestatycznie: „*Pieśń błękitna* przypisana serdecznej mojej przyjaciółce, Eugenii Wolf...” Wtem, zwracając się do Zofii Ossolińskiej³⁰⁴: „Pani nie zna Eugenii Wolf? O, pani! życie tej kobiety jest jedną ciągłą poezją!” Tu dopiero poczęła wyliczać wszystkie jej cnoty, zupełnie na podobieństwo komiwojażera zachwalającego próbki barchanów albo markę wdowy clicquot^{304a} (mówiąc nawiasem, ta osoba o nieustającej poezji w sam dzień ślubu z jakimś ukochanym młodzianem, kiedy się z nagłą Wolf jej oświadczył, bez namysłu zerwała z tamtym i za tego poszła, bowiem tamten był sobie tylko urzędnikiem w Nieszawie, ten zaś, choć i Żyd, i okropnie brzydki, i — jak się powiedziało — brudas niepośledni, ale miał już gruby worek, do którego coraz więcej rubli przybywało). Nie, ta torba z próbkami uczucia, wożona po wszystkich drogach, to rozdawanie przy nich adresów — było dla mnie czymś tak dojmująco przykrym, że byłbym się pod ławę schował ze wstydu. Przypuszczać się godzi, że Deotyma poczyna już sama siebie przeżywać. Za dowód posłużyć może jej powieść *Na rozdrożu*³⁰⁵, która na niewidziane na wagę złota jak zwykle zapłacona, w rzeczywistości okazała się być kotem w worku, zdolniejszym podstraszać prenumeracyjne myszy, aniżeli choć jedną przywabić i schwytać, jak na to liczone. *

Improwizacje te jednak od razu z niezmiernym a jednoznacznym przyjęto uniesieniem. W następstwie rodzicom Deotymy (a pewnie i jej także) dziwnie uderzyły do głowy. Łuszczewscy oboje nigdy nie grzeszyli zbyt-kiem taktu; przyszło tedy do tego, że kiedy te utwory krytyka na zimno rozbierać poczęła i nieco umiarkowanie przed nimi bić czołem, brali to za osobistą urazę. Wtedy Niewiarowski jakąś dowcipną parodią improwizacji dobrowolnie drzwi sobie ich salonu przed nosem zatrzaskał. Mniej dobrowolnie spotkało to Szymanowskiego, który, dziwnym duchem sprzeczności³⁰⁰, w oczy każąc im niepomiernie (tak, że każdą improwizację w „Dzienniku”³⁰⁷ zamieszczoną kazał odbijać złotymi czcionkami na różowym papierze), jednocześnie tu i ówdzie ośmieszał Deotymę, sam improwizując jej wzorem w sposób pocieszny, do czego ma istotnie talent znakomity. Co gdy do nich doszło, po prostu zalecili lokajowi ze schodów go zrzucić, gdyby się zjawił. Nie wiem już, jakim sposobem w czas jakiś znowu sobie drogę na tych schodach do góry utorował, niemniej pewnym

jest, że do łaski wrócił i odtąd stale już przy niej pozostał. Stało się wreszcie, że Prusinowski, zatrwożony bezwzględny bałwochwalstwem krytyki, wystąpił w „Gazecie Warsz[awskiej]” z trzeźwiejszym nieco poglądem, oddając rzecz pod miarę i wagę³⁰⁸. Zrobił to — jak mówiono — z naprawy³⁰⁹ Kraszewskiego, ale pewności o tym nie było, a niemniej za pierwszej tego ostatniego w Warszawie bytności Łuszczewski nie omieszkał publicznie a ostro mu to wymówić. Kraszewski słusznie się tym obraził i nie było nikogo, kto by nie wziął jego strony. Już to też nareszcie próżność tych ludzi doszła była do szczytu śmieszności^a; ale bodaj czy nie głównie w tym winno nadmierne dworactwo tych, co niemal byli ich domownikami. Święcki³¹¹ (jeśli się nie mylę) zrobił był popiersie Deotymy, Kaniewski³¹² wymalował ją w zachwycie, z twarzą pełną jasności nadziemskiej, Simmler improwizującą w wieńcu laurowym w otoczeniu dwóch geniuszów spisujących na kolanach jej słowa. Do wszystkich tych portretów pozowała w stroju greckim, bo już weszło było w zwyczaj, że do popisów swoich wieczorowych występowała w coraz jakimś innym przebraniu. Stawało się to coraz pociesniejsze. Nareszcie doszło do tego, że obie z matką przebrały się w stroje pielgrzymkie i tak chodziły po mieście, nie używając już innego ubrania. Potem zaczęły robić wycieczki artystyczne, urządzając popisy (jak to między innymi miało miejsce w Krakowie³¹³).

* W jednej z takich, w Paryżu, na samym schyłku r. 1860, a więc nieomal o świcie gotujących się wypadków, wypowiedziała Deotyma (*Do młodzieży w Batignollach*³¹⁴) jedno z najświetniejszych swoich uniesień twórczych, prawdziwie pindaryczne arcydzieło, pełne proroczego jasnowidztwa; niestety! na tym, zdaniem moim, zawód swój poetyczny najzupełniej zakończyła. *

Aż nareszcie, skutkiem tych częstych nieobecności w domu, owe słusznie słynne niegdyś u nich poniedziałki, powoli straciwszy znaczenie, z czasem całkiem ustały.

* Śmierć Skimborowicza³¹⁵, a następnie Odyńca³¹⁶ najzupełniejszy przewrót w przyjęciach Deotymy sprowadziła. Zawalenie się tych dwóch filarów tronu na dobre jej wyszło. Zeskromniała, z wolna kółko dwora-

^a Do jakiego to stopnia sam Łuszczewski był człek próżny, za dowód przytoczę tylko, że kiedy go jako jednego z niebezpiecznych w roku 1863 policja przysłała porwać w nocy, ubrał się w mundur szambelański i w tym prosto z domu (bo tak wszystkim zrobiono wtedy) pojechał na wygnanie. Jako zaś rys charakterystyczny do dziejów owej epoki dodam tu jeszcze, że go naprzód spytano, gdzie jest jego syn? A gdy się pokazało, że syna nigdy jako żywo nie miał, „no, to nic nie przeszkadza — rzekł na to oficer dowodzący ową wyprawą — to w takim razie pan sam pójdiesz z nami”. Widocznie bowiem brodziło się tu omackiem, zapuszczając niewód na chybił trafił, stąd i nie dziwota, że tyle się w nim znalazło ryb śniętych, jak pomieniony Łuszczewski, jak Reszka, Kucz, Węgliński³¹⁰ i tylu innych, tym podobnych.

ków się rozpierzchło i nareszcie sama szukać poczęła dawnych zaniedbanych stosunków. Jakoż na obchodzie jubileuszu Zachariasiewicza³¹⁷ zbliżyła się do nas i po staremu szczerze prosiła o powrót do dawnej przyjaźni. Nawiązało się to tym łatwiej, ile że wszelki nastrój uroczysty jej salonu bezpowrotnie w mgłę się rozwiął. Wreszcie z wiekiem przyszło niezdrowie, aż i obecnie coraz silniej jest cierpiącą i prawie już chodzić nie może. Garstka odwiedzających ją coraz się ścieśnia. Czasem zastać ją można najzupełniej samą. Z tym wszystkim nic nie robi dla ulżenia sobie cierpienia. Po dawnemu nocami żyje, nadmiernie pracuje; zachowała jednak całą żywość umysłu, a nawet — powiedziec można — bardzo jej jakoś wypogodniała dusza, co bywa tylko wyższych usposobień udziałem³¹⁸. *

Wspomniałem wyżej mój stosunek z Komorowskimi. Niebawem doszedł on do najserdeczniejszej zażyłości. Poznałem naprzód Józefa³¹⁹. Ten tylko co się był rozłączył ze swą żoną. Kobieta była niewątpliwie płocha, bo naprzód, jak już wyżej nadmienilem, z Wolskim się bałamuciła, następnie z Bachmanem gorszący miała stosunek; ale kiedy się ten powiesił, w czas jakiś uczciwie za niejakiego Tuncelmana wyszła i odtąd nic już jej nie było do zarzucenia. Stąd wnoszę, że po prostu z Komorowskim niemożliwe miała pożycie. W istocie, przy wszystkich swoich zacnych przymiotach, człowiek to był najmniej zapewne stworzony na męża. Artysta do szpiku kości, poeta, marzyciel charakteru dziwnie wrażliwego a oraz jak wosk miękkiego, w życiu domowym kapryśnik był niezmierny i tylko wyrozumiałością a spokojem niezachwianym zjednać go sobie było można. Zjednany zaś w ogień by za ciebie wskoczył, bo nie umiał nic robić przez połowę.

Co zaś do Ignacego³²⁰, to ten — wyznać muszę — od razu każdego bez najmniejszych zastrzeżeń przywiązać do siebie musiał. Charakteru najzupełniej biernego, dziwnie uczuciowy, namiętnie kochający wszelkie piękno, prostaczy sercem, a umysłem aż do nieba wzniosły, robił mi zawsze wrażenie jednego z tych idealnych chłopiątek, Bożej sprawy świadomych, jakie tylko Lenartowicz odgadywać umiał. On też Lenartowicza rozumiał jak drugiego siebie, i kiedy go stracił³²¹ (właśnie w tym czasie go poznałem), wyglądał nieswój, mocno przybity i całą duszą dźwigać go było trzeba. Zresztą, po prawdzie, nie miał on i przyjemnego życia. Słabego zdrowia, wątły, kaszlący, ciężko pracować musiał, wieczorami w orkiestrze teatralnej grywając, w dzień lekcje dając i jeszcze chodząc do Frejera³²² na naukę harmonii, stąd nocami tylko mógł dla siebie coś zrobić. Jednak przy całym tym wysiłku zarabiał zaledwie do 1200 zp. rocznie, co w połączeniu z 6000, które Józef pobierał (kto się dziś nie uśmiechnie na podobne wynagrodzenie najcelniejszego w owym czasie dramatycznego artysty?), wystarczało zaledwie na jakie takie ich obu utrzymanie. Aleć i to już uważali za względny dobrobyt.

Czas długi bowiem bardzo byli biedni. Ojciec ich (dawny polski wojskowy, następnie murgrabia przy pałacu Łazienkowskim), łatwo pojąć, że zaledwie był w stanie w szkole ich utrzymać, a jeszcze była i córka w domu (ta, kiedym ich poznał, już nie żyła). Biedny ten ojczysko! Znaczono mu było wszystkie swoje dzieci przeżyć! W Łazienkach zajmował on pawilonik skryty w klombie. Była tam na piętrze salka z balkonikiem; tam ileż razy nocowaliśmy, a raczej przegawędzili noce całe, bo do Łazienek bywała ulubiona wycieczka nasza w pogodne wieczory letnie po teatrze. Później, kiedy już Ignacy tyle się miał niedobrze, że zmuszony był orkiestrę opuścić, bywało, tygodniami całymi tam przebywałem, pocieszając biedaka i wzmacniając, miał bowiem niemyślne przeczucie niedalekiej śmierci. A może tylko — jak to rzecz zwykła suchotnikom — rad był, żeby mu przeciono, bo to tym mocniej utwierdzało jego własne złudzenia. Stamtąd także odprowadziłem go, kiedy jechał w podróż na południe, ani przewidując, że go już więcej nie ujrzę...³²³

Ale nie uprzedzając wypadków, wrócić muszę do dalszego ciągu własnych moich wydarzeń. Od wspomnianego wyżej powrotu z Wołynia aż do jesieni r[oku] 1852 prawie nie opuszczałem Warszawy. Pracowałem i czytałem dużo. Tłumaczyłem *Wilhelma Tella* i *Narzeczoną z Messyny*³²⁴; ale nie dokończywszy tych przekładów, w ogień je rzuciłem i sędzę, że niczego też lepszego nie były warte. Z rzeczy oryginalnych prócz niektórych drobiazgów, które weszły później w skład *Kwiatów i kolców*, napisałem tylko *Z daleka i z bliska*, *Psie pole* i drugą pieśń *Termopil*. Tymczasem nadciągała straszliwa cholera; i kiedy kto w Boga wierzył uciekał od niej z miasta, ja, wziąwszy na upór, zostałem i do dziś tego nie żałuję. Wrażenia pobytu w owym rosole utrwaliłem później w powiastce *O złotych dziesięć* (była drukowana w *Kalendarzu Ungra* za rok 1862³²⁵). Zdarzenie tam opisanie nie jest żadnym zmyśleniem. W istocie zakład ten zrobił jeden z Cwierciakiewiczów, jak już wyżej wspominałem. Nareszcie, pod koniec już zarazy, zmęczony równie fizycznie, jak i moralnie, wyjechałem do Radomia, gdzie wtedy mieszkał szwagier mój, doktor Wieniawski.

Tam odpocząwszy, kiedym znów do Warszawy wrócił, wypadło mi myśleć o nowym jakim pomieszczeniu. W tym celu zdałem egzamin na nauczyciela³²⁶ i już gotów byłem na wsi gdzie obowiązki przyjąć, kiedy wtem przyjaciele, chcąc mię w Warszawie zatrzymać, upatrzyli mi dwie roboty, jak się zdawało — dość zyskowne. Z tych pierwsza niebawem okazała się być gruszką na wierzbie. Szło tam o napisanie libretta do *Flibustierów* Dobrzyńskiego, a raczej o całkowitą przeróbkę dawnego, które od początku do końca psu na budę się nie zdało. Nie wiem już, kto się tam na nie wysilał, przypuszczam, że chyba sam Dobrzyński, ale widocznie nie dano mu było wyprzedzić Wagnera. Koniec końcem, dorabiać

tekst do gotowej już muzyki było istotnie robotą co się zowie; wszakże i to jeszcze mniejsza, gdyby choć było z kim gadać. Ale już to wiedzieć trzeba, Dobrzyński przy całym swoim znakomitym uzdolnieniu osobliwszy był wartogłów, próżniak i niedbalec. W domu nigdy nie zagrzał, śniadania lubił i butelkę, i bywało, dni całe na mieście przebajał, a osobliwie przekpił i przebaraszkował. Z lekcji żył, a te jednak miesiącami całymi zaniedbywał, choć mu je opłacano, jak nikomu. Słowem, nie mam nawet pojęcia, czy z tym człowiekiem kiedykolwiek poważnie pomówić było można. Tak i w tym razie nie wiedzieć, ile czasu mi zmarnował, wiecznie odkładając na jutro, aż się wreszcie przyznał, że, co prawda, już tę rzecz z dawną Wolskiemu powierzył. „Wyszukałeś go w korcu maku” — pomyślałem i odszedłem jak zmyty.

* Owo utrapione libretto, znacznie już później, po przyjaźni, napisała mu Seweryna Pruszkowa (dziś Duchńska), ale kiedy je wydał w druku, zrobił to tak niedbale, tak poplątał z poprzednią robotą, tak osobliwszy stworzył z tego bigos, że wstydząc się przyznać tę rzecz za swoją, zmuszona była protestować w „Bibliotece Warsz[awskiej]” jako przeciw nadużyciu własnego nazwiska³²⁷. *

Za to druga proponowana mi praca obiecywała być o wiele pewniejszą, a nawet dość zyskowną. Szło tu o nowy całkiem przekład kancjonału protestanckiego. W tym celu zalecono mię pastorowi Otto³²⁸. Ten dał mi zaraz tekst niemiecki i wybrał kilka psalmów do przekładu na próbę. W dni parę, kiedy mu odniósłem robotę, bardzo był z niej zadowolony, ale oświadczył zarazem, że ostatecznie w tym względzie rozstrzygnięcie zależy od doktora Malcza³²⁹, ówczesnego prezesa gminy. Sądziłem, że tu szło już tylko o ułożenie ostatecznych warunków obustronnej umowy, ale jakież było moje zdumienie, kiedy mi również zdumiony Malcz oświadczył, że do tej roboty od dawną się już Wolski zobowiązał, co przecież pastorowi Otto wcale nie było tajne. Dlaczego tedy, wiedząc, że z tego nic być nie może, na swoją rękę ze mną się układał? nigdy dojść nie potrafiłem, nieraz jednak w życiu miałem sposobność sprawdzić własnym doświadczeniem, że nie więcej kosztuje na zawód kogo narazić, jak i zawodu komu oszczędzić^a. Tak więc ostatecznie równie tu jak i tam Wolski

^a Co zaś do pastora Otto, to ten znacznie później, w nierównie ważnej dla mnie okoliczności jeszcze mniej uczynnym, a równie lekkomyślnym się okazał, z czego wnoszę, że albo szczęścia do niego nie miałem, albo że niezupełnie jest tak niepospolitym człowiekiem, za jakiego uchodzi. Szło tu o polubowne rozsądzenie sprawy, którą mu oddawałem w ręce, zawierając w tym razie potrójnemu charakterowi jego osoby, to jest jako obywatela, jako duchownego i wreszcie jako starszego krewnego strony przeciwnej. Z góry uprzedził mię, że go stawiam w drażliwym położeniu i że z tego powodu zapewne nic dla mnie nie będzie w stanie uczynić. Jakoż nie tylko nie usiłował sprowadzić jakiegokolwiek porozumienia, ale nie zganił nawet obelżywego listu, który do mnie napisał mój przeciwnik, człowiek młody, mogący być moim

wlził mi w drogę. Jednego i drugiego nie zrobił i wiedziałem, że nie zrobi; wszakże nie było innej rady, jak dać za wygraną.

Nie namyślając się tedy dłużej, za pośrednictwem Gregorowicza³³⁰ przyjąłem obowiązki nauczycielskie w domu niejakiego Zarzyckiego w Sandomierskiem, tuż pod samym Opatowem, prawie u podnóża Gór Świętokrzyskich. Miałem tam dwóch uczniów, których należało do szkół przysposobić. Miejscowość urocza, sąsiedztw prawie żadnych, stąd sposobność obcowania z najcudniejszą w świecie przyrodą wpośród mnóstwa wspomnień prastarych. Pomijając już sąsiedztwo Łysicy i odwiecznego na niej opactwa³³¹, tuż opodal znajdował się Karwów, gniazdo niegdyś Kadłubkowe³³²; w innej znów stronie Tudorów³³³ ze starą czworoboczną strażnicą; ale zwłaszcza Opatów, a w nim wspinała owa kolegiata z grobowcem Szydłowieckich³³⁴. Mało pamiętam w życiu przyjemniejszych samotni. Toteż wyobraźnia bujała tam jakby w jakim u chmur uwieszonym hamaku. Tam skończyłem *Termopile*, napisałem *Ponad źródłem i Zamiennika, Wiano królowny, Zaślubiny świętej Katarzyny* oraz niemało *Kwiatów i kolców*, a także niektóre *Świstki Sylena*³³⁵.

Więc też kiedym, te rzeczy w tece mając, w r. 1855 do Warszawy wrócił, natychmiast wziął mię w obroty Szymanowski, będący już wówczas członkiem redakcji „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”. Wszystkiego[!] ³³⁶ jednak skończyło się na *Wianie królowny*³³⁷, reszta bowiem albo mu się nie podobała, albo nie przydała, to zaś, co się przydać mogło, nie było cenzuralne. Bądź co bądź zjednało mi to stosunek z Julianem Bartoszewiczem, którego z dawna już gorąco poznać pragnęłem^a. Stosunek ten był mi odtąd nieocenionym skarbem zdrowych wskazówek, dobrej rady, zachęty do pracy. Chlubię się życzliwością tego człowieka, jakby własną jaką zasługą. W istocie miał on dar osobliwy uzacniać każdego, kogo do siebie pociągnął, bo już to byli i tacy, których trzymał z daleka. Ci pomawiali go o uprzedzenie, ale on wiedział, co robił. Człowiek przedziwnie czysty, nieugiętego, prawdziwie żelaznego charakteru, niczym nie przejędnanych przekonań, gotów zawsze do walki w imię prawdy; z tego powodu mógł miewać i miewa nieprzyjaciół, ale nie było takich, co by mu odmawiali szacunku, bo i ci byliby mieli nie z nim jednym do czynienia. Dla mnie był on zawsze ideałem: nigdy i niczym nie strudzonego pracownika, naukowego ascety, niebywałego już za dni naszych benedyktyna, wiecznie głodnego wiedzy, jak bądź zasoby jej miał

synem i rozpoczynający dopiero zawód życia, kiedym ja już prawie u jego kresu. A jednak, Bóg mi jest świadkiem, że go nie skrzywdził i że tylko sam się od krzywdy broniłem.

^a Zdaje mi się, że on był głównie kierownikiem „Kroniki”, choć właściwie redakcję stanowił komitet złożony ze współwłaścicieli pisma, jakimi byli wówczas: Feliks Sobański, Konstanty Górski, Leon Zbyszewski, Antoni Ostrowski i Feliks Ogiński.

i tak już nad miarę zwyczajnego czelaka. Obdarzony wielką bystrością poglądów, słusznie też sięgał wyżyny, z której się rozległe tylko ogląda widnokreśli. Te słów kilka, niezdolnych nawet dać choćby przybliżonej miary wartości wpływu, jaki wywierał, piszę, wiedziony jedynie potrzebą serca — człowieka tego nie kochałem, ale ceniłem, podobnie jak i wszyscy młodzi, którzyśmy mieli szczęście z bliska czy z daleka za swego mistrza go uważać. Jakoż zjawiła się nas wtedy w różnych kraju stronach wzajemnie o sobie nie wiedzących garstka jednak dość spora: Jabłoński, Laskarys, Korotyński, Zachariasiewicz, Wilczyński, Prusinowski, Wiczorkowski^a.

Czasy te wydają mi się podobne do jakiegoś wiosennego zarania. Było to tylko co po ukończeniu kampanii krymskiej³⁴⁰. Paszkiewicz dogorywał w niełasce, Wincenty Krasiński³⁴¹, wyręczający go czasowo w zarządzie krajem, marzył o namiestnictwie, na którym miał nadzieję z narodem się przejednać, Turkuł³⁴² — mówiono — czekał tylko zręczności, żeby nowemu panu Statut Organiczny do wprowadzenia podsunąć^{342a}. Słowem, kto mógł, śpieszył dowieść, że nie on był winien odstępstwa, tylko żelazna wola mocarza, którego że już nie ma³⁴³, to Bogu za to dzięki, a narodowi błogie nadzieje.

* Śmierć cara Mikołaja była istotnie czymś wyrocznym, czymś dziwnie oczekiwanym i jakby ogólnie upragnionym. Pamiętam, kiedy nastąpiła, niepojętym sposobem dnia tego samego (2 marca 1855) żołnierz jakiś w Opatowie o tym gadał i za to go przez różgi puszczano. W trzy dni dopiero potem nadeszła wiadomość, o której dowiedzieliśmy się z tego tylko, że zaraz wszystkich do nowej przysięgi powołano. Niebawem w ślad za tym srogim mocarzem poczał precz odchodzić i cały jego system nieubłagany. Paszkiewicz, wróciwszy z niczym spod Sylistrii^b, gdzie nawet nigdy nieznanym poprzednio wydarzeniem wojsko posłuszeństwa mu odmówiło³⁴⁴, udręczony upokorzeniem i niełaską carską, wkrótce śmiertelnie się rozniecił. Nareszcie już i żyć nie chciał, a jeszcze umrzeć nie mógł, w czym niewątpliwie mniej okazał odwagi od swego pana³⁴⁵, który — jak to powszechnie wiadomo — nie wahał się w porę skrócić sobie życie. Czy zaś jest prawdą, że długo skonać nie mogąc, kazał wszędzie szukać

^a Syn jedyny zasłużony twórca Osad Rolnych³³⁸, z powołania historyk, skutkiem nadmiaru pracy wpadł w chorobę piersiową. Wysłany na południe, umarł na okęcie w drodze do Messyny, w wieku zaledwie lat dwudziestu kilku. Mniej więcej w tym samym wieku, tylko nieco później umarł i Jabłoński w Zanzibarze, gdzie miał miejsce przy konsulacie austriackim³³⁹.

^b Jeździł tam z nim jako dworak nieodstępny Henryk Rzewuski. Tego tedy na przewozie w Uściługu spotkawszy wypadkiem Podhorodeński z Hrabiennego, dawny polski wojskowy: „A to skąd hrabiego Pan Bóg prowadzi?” — pyta obcesowo. „Z Sylistrii”. „Nie może być. Chyba spod Sylistrii” — rzekł stary żołnierz. Rzewuski zielonkowato się na to uśmiechnął.

matki Artura Zawiszy³⁴⁶, ażeby zdjęła z niego wyrzeczone niegdyś w godzinę śmierci syna przekleństwo, tego nigdy nie badałem bliżej; w owym czasie jednak wszyscy w to wierzyli. Wkrótce pociągnęli za nim i drudzy, nie zdążywszy mimo nawet chęci niekłamanych (jak: Krasiński, Turkuł, Jezierski³⁴⁷) ku schyłkowi życia oskrobać z siebie błoto, w które wleźli: jedni przez próżność, drudzy przez tchórzostwo. Tak to krzywda wszelaka sama w sobie zarody własnej pomsty nosi. *

Jakoż o nowym panu³⁴⁸ jak najsympatyczniejsze krążyły wieści. Przypominano sobie legendy o nim dziwne, że się kiedyś w Polce podobno kochał, że ojciec, zszedłszy go raz na czytaniu czwartego tomu Mickiewicza³⁴⁹, za karę na odwach go wsadził. Uważano go za człowieka bardzo łagodnych obyczajów, skłonnego do ustępstw i tyleż przystępnego podszepptom uczucia, ile ojciec jego dbał tylko o to, żeby go się bano. Niebawem entuzjazm ten począł w literaturze się ujawniać. Odyniec nastroił zaraz lutnię, ażeby wyśpiewać *Przyjście Królestwa Bożego*, i w ogóle dziwnie się w tym kierunku odznaczyło *Album wileńskie*, tak że w końcu Klaczko w „Wiadomościach Polskich”, wychodzących naówczas *ad hoc* w Paryżu, zmuszonym się widział rozhukaną tę werwę do niejakiego opamiętania napędzić³⁵⁰. Cośkolwiek bądź zaprzeczyć niepodobna, że otucha zdawała się każdemu wtedy w żyłach niemal krążyć. Posiewy swobody opływały cię zewsząd. Było niby, jakbyś z zatęchłego wydostawszy się więzienia, otwartym wreszcie oddychać począł powietrzem. Powietrze to było zaledwie podwórkowe, a wkoło siebie czuleś jeszcze dawne kraty i mury, względnie jednak piersiom o wiele lżej było.

Niestety! nikt nie przewidywał wtedy, że w niedalekiej przyszłości pożałować przyjdzie Mikołajowskiego ucisku, który przynajmniej wiedział, czego chciał, nie tak wcale, jak ów nowy, tak zwany *bien intentionné*³⁵¹, uśmiechnięty, z pazurami w rękawiczkach paryskich, mało już nawet dziegiem pachnący, a za to zataczający się po pijanemu, w chwilach zaś wytrzeźwienia ratujący się wyzyskiwaniem nienawiści stronnicych i rasowych, a wreszcie poburzający je bodaj czy nie ku własnej swojej zgubie. Ale co tam — na bok z polityką.

Jak powiedziałem wyżej, mając niemało rzeczy w tece, nie widziałem jednak możliwości umieszczenia ich gdziekolwiek. Do „Biblioteki Warszawskiej” zgłaszać się już nie śmiałem, tym mniej do „Gazety Warszawskiej”, która, zmonopolizowawszy Syrokomlę³⁵², z żadną inną poezją mieć do czynienia nie raczyła.

* Mimo to już powziąłem był zamiar pokornie się tam wprosić, kiedy wtem na szczęście moje usłyszałem raz u Łuszczewskich Keniga opowiadającego, w jaki sposób odpalił z niczym jakiegoś młodego poetę, który przyniósł mu swoje utwory. „Uważasz, panie” (tak mu miał powiedzieć), „my drukujemy tylko nazwiska”. *

W powieści zaś królował tam Korzeniowski, Kaczkowski i Chodźko³⁵³, ale ponad wszystkimi górowała „gwiazdka” Niewiarowskiego, istotnie dziwnie zręczny, dowcipny, błyskotliwy, zaciekawiający, jak jeszcze przedtem nie było, felieton, i z tego też powodu bardzo chciwie czytany, a nawet (co się dziś już dziwnym wyda) używający niejakej powagi³⁵⁴. Tymczasem, Bogiem a prawdą, była to tylko muszkieteria starodawna³⁵⁵ ustrojona w brzęczącą blagę, a ta — jak to wiadomo — w połączeniu zwłaszcza z nader wesołym żywotem była zawsze nieodłączną właściwością redakcji „Gazety Warszawskiej”.

Później nieco bractwo to kufłowe (które ma na sumieniu rozpojenie Syrokomli) poczęło się nieco rozprzęgać, przyszło nawet do zajścia pomiędzy Niewiarowskim i Kenigiem³⁵⁶, które się zakończyło pojedynkiem, ale w owej porze Niewiarowski był tam niemal samowładcą, i do tego stopnia, że mu powierzono wreszcie dział krytyki literackiej. Jak się z tego wywiązywał, to już do historii należy. Zresztą w owym czasie w ogóle tak mało umiano, że sądy podobnego krytyka mogły sobie spokojnie pewnej wziętości używać. I jeszcze było pół biedy, dopóki tylko poezję obrabiał, bo na tej znał się nieco, a raczej miał jej przecucie, będąc szczerym entuzjastą Słowackiego³⁵⁷, ale kiedy zaślepiony powodzeniem jał się po kolana w nauce brodzić, przyszło do tego, że z wielką prozopopeją³⁵⁸ opisując raz czyjś grobowiec, wytłumaczył nieświadomym, jako *piis manibus*³⁵⁹ znaczy „pobożnymi rękoma”, i na tym nieco karku nadkręcił^a. W owym czasie jednak stał on u szczytu swojej powagi i albo jak Lewestama po prostu kupić go należało, albo go spoić, co na jedno wychodziło, albo się na chybił trafił powierzyć jego kapryśnej fantazji.

* Sam mi raz później powiedział w zaufaniu: „Dostałem też tymi dniami dwa zbiorki poezji do ocenienia; dowiedziawszy się zaś, że jednego z nich autorem jest książę (Giedroyć, który wydał swoje poezje pod pseudonimem Kazimierza Snopka³⁶²), naturalnie księciu panu po łbie dałem, a drugiego (zdaje mi się Maszewskiego³⁶³) oceniłem, jak należy”. *

Wybrałem, jak się wyżej rzekło, stanowczo dać pokój „Gazecie”. Pozostawała mi więc tylko „Kronika”. Tam chętnie chciano drukować *Z daleka i z bliska*, ale znowu cenzura na przeszkodzie stała. Z porady tedy Szymanowskiego powierzyłem rękopism Konstantemu Górskiemu³⁶⁴ i ten

^a Już to łacina od niepamiętnych czasów stała się słabą naszą stroną. Znacznie już później, po śmierci Syrokomli, któreś z pism zamieściło wiersz jego *Cupio dissolvi*³⁶⁰, przez pomyłkę wydrukowawszy *Upio*. Wszystkie pisma, jak jedno, nawet uczona „Biblioteka Warszawska”, przedrukowały za nim *Upio* i nikt nie zwrócił na to uwagi. Nawet niedawno jeszcze temu ktoś (wprawdzie w „Kurierze Warszawskim”), pisząc o *Świecznikach* Siemiradzkiego, wytłumaczył napis na ich ramie: *et tenebrae eam (lucem) non comprehenderunt* — „a ciemności jej nie zrozumiały”³⁶¹, to jest zapewne ciemności głowy sprawozdawcy łaciny.

zawiózł go do Krakowa. Tam Lucjan Siemieński zużytkował go niebawem w wydawanym wówczas przez siebie dodatku do „Czasu”³⁶⁵ i to mogę nazwać pierwszym moim pomyślnym wstępem w literackie szranki. W istocie powiastka ta miała trochę rozgłosu; wkrótce przetłumaczono ją na język niemiecki³⁶⁶, ale — co najważniejsze — zjednała mi serdeczne uznanie Lenartowicza, jak o tym poniżej opowiem³⁶⁷. Zachęcony tym powodzeniem, zawiązawszy na własną rękę listowny z Siemieńskim stosunek, w dalszym ciągu zamieściłem w dodatku *Zamiennika*, *Termopile*, *Zaślubiny św. Katarzyny* i kilka lirycznych drobiazgów³⁶⁸, skutkiem czego (a głównie z przyczyny *Z daleka i z bliska*) powziąłem mniemanie, że jest prorokiem choć gdziekolwiek indziej, gdy mi się nie udało między swymi.

Niestety! ze złudzenia tego wyleczył mię dopiero w lat kilkanaście potem (w r. 1869) pierwszy mój przyjazd do Krakowa³⁶⁹. Tam, pomnę, kiedy mi Estreicher pocziwy zalecił za konieczność odwiedzenie znakomości miejscowych, przekonać się mogłem, że oprócz Siemieńskiego (z Szujkim poznałem się już był poprzednio w Warszawie) jako żywo nikt nigdy o moim istnieniu nie słyszał. „Pan z Litwy?” — pytano mię zwykle, nie wiedząc, od czego zacząć rozmowę (w owym czasie dużo Litwinów odwiedzało Kraków). „Nie, jestem z Warszawy” — odpowiadałem i to ułatwiało nieco zawiązanie stosunku. „Co słyhać w Warszawie?” Jak mi się Kraków podobał? Czy jadę gdzie dalej? I tym podobnie. Dopiero przy rewizytach, zasięgnąwszy wprzód języka, mówiono coś o literaturze. Ujejskiego zastałem raz w Bibliotece Jagiellońskiej. „Poznajcież się z sobą, dwaj poeci” — rzekł Estreicher. Ten zamysłony rzucił mi się na szyję, ale sądzę, że to uczynił na chybił trafił, nie bardzo nawet świadom, co robi. Poszliśmy stamtąd do Franciszka Trzecieckiego³⁷⁰, przez drogę nie mówił ani słowa, niewiele też więcej na owej gościnie, po czym pożegnał się i odjechał do Lwowa, i już go więcej nie widziałem. Zniechęcony, nie dałem się już namówić na odwiedzenie Pola. Ociemniałego po co miałem utrudzać znajomością, do której powód z mej strony mógł mieć już tylko pozory reklamy. Na szczęście moje (bo mogłem wiecznie tego pożalować) jakoś w tym czasie czytano mu poemat mój *Pod Kannami*. Dowiedziawszy się, że autor jego znajduje się w Krakowie, sam życzył sobie mię poznać, i oto jak się zawiązał stosunek jeden z najserdeczniejszych, jak to na swoim miejscu opowiem³⁷¹.

Doprawdy rzecz dziwna, ale ów tak zwany kordon od naszej strony jest niby dla Galicji murem chińskim. Nie mówię już o pierwszorzędnym osobistościach, ale my tu u siebie o takich Łozińskich, Sztarklach, Powidajach, Szukiewiczach, Kłobukowskich, Zawadzkich³⁷² i tylu innych, śmiem sądzić — na równi stojących ze mną, mamy jak najdokładniejsze wiadomości, oni zaś o nas nic nie wiedzą, czy też wiedzieć nie chcą. To

ostatnie nawet, przynajmniej w wielu razach, wydaje mi się więcej przypuszczalne.

Na dowód przytoczę na przykład pierwsze moje poznanie ze Stanisławem Tarnowskim (w Warszawie w r. 1871). Przedstawiono mię jemu jako literata. „A! Bardzo mi przyjemnie” — powiedział, prosząc oraz, żeby mu wyraźniej wymieniono nazwisko, widziałem jednak, że i to go niczego nie nauczyło. Dla wyjaśnienia dodano mu, że jest autorem *Syna Gwiazdy*, ale i o tym słuchał jak o żelaznym wilku. Jednak utwór ten tylko co uzyskał był zaszczytną wzmiankę na konkursie krakowskim, którego Tarnowski był jednym z najbardziej wpływowych sędziów³⁷³. Poznałem później, że mię zaliczał do motłochu, który zrobił sobie zadanie wyrzucać sromotnie z przedsionka świątyni zasługi. Jednak z Lubowskim żyje za pan brat, a ten nie miemam, żeby był geniuszem godnym zasiąść w przytułku, w którym nawet dla Zaleskiego, Pola, Lenartowicza i Syrokomli pobytu wzbroniono.

Wracając do stosunku mojego z Lucjanem Siemieńskim, nadmienić muszę, że ten stał się niebawem dla mnie jednym z najprzyjaźniejszych. Wytwornego tego pisarza, którego nie waham się nazwać literackim epikurejczykiem, osobiście poznałem — jak się wyżej rzekło — dopiero w r. 1869. Tymczasem zaś porozumiewaliśmy się listownie. Od samego początku dziwnie mię do siebie ośmielił. Pomijam już to, że wcale niezasłużenie stanął w obronie pierwszych moich prób poetyckich³⁷⁴ (bo mu to mógł podszeptywać kuszący go niekiedy duch sprzeczości), sądzę jednak, że w tym względzie może mu się obiecującą wydała przyszłość młodego zapaleńca, szukającego pomysłów do powieści w szarej doli prostaczego ludu, a do poezji — w Grecji, choćby nie tak, jak on żądał, klasycznej. W dalszym ciągu dowiedziawszy się, że cierpiący, proponował zabrać mię z sobą na wycieczkę w Tatry, na Spiż, na Węgry. Wreszcie udzielił mi wiadomości, że się na dobre zabrał do przekładu *Odysei*³⁷⁵. Tak to on mię, że tak powiem, ku sobie ciągnął w mniemaniu, że się doczeka we mnie godnego siebie ucznia. Że się na tym zawiódł, to już moja, a nie jego wina; — zresztą niech już będzie chociaż po połowie.

Ostatecznie stosunek z nim niemało dopomógł do zwrócenia na mnie pilniejszej uwagi w Warszawie. Jakoż niebawem redakcja „Kroniki” zamówiła u mnie powieść. Tę, aby móc spokojnie wykończyć, udałem się na wieś do krewnych w Lubelskie. Tam doszła mię smutna wiadomość o zgonie ukochanego mego Ignasia. O tym zaraz obszerniej rozpowiem³⁷⁶. Śmierć ta, aczkolwiek od dawna przewidywana, niemniej bardzo boleśnie mię dotknęła. Czas jakiś nie mogłem myśli do porządku przywołać, a tu jak na złość nalegano o rękopism. Przywiózłem go wreszcie, ale zanim do jego wydrukowania przyszło, „Kronika” istnieć przestała³⁷⁷. Przy rozrachowaniu się wzajemnym współwłaściciele podzielili pomiędzy siebie nie

wydane rękopisy w celu pokrycia sobie niedoborów. Mój dostał się Feliksowi Sobańskiemu. Zapłacony był (1000 złp.), nie miałem skąd zwrócić wziętego honorarium — i tak w zawieszeniu zostało.

* Powieść ta (*Nad morzem*) widocznie pod złą przyszła na świat gwiazdą. Nie odzyskałem jej aż w 1865 [r.]; na samo rozpoczęcie wychodzenia „Bluszczu”. Nabył ją Glücksberg i poszła od pierwszego numeru³⁷⁸. Na nieszczęście stało się to w mojej niebytności. Redaktorka, Maria Ilnicka, chcąc z niej w mniemaniu swoim utworzyć arcydzieło, nie spytawszy mnie nawet o upoważnienie, porobiła w niej zmiany, a nawet dodatki obszerne nie do uwierzenia (*édition revue, corrigée et considérablement augmentée*³⁷⁹), i wszystko to wyszło pod moim nazwiskiem. W lat parę później Lewestam, zabrawszy się do mojej skóry, osobiwie mię za ten utwór zjeździł³⁸⁰. Wiedział bowiem, że ani dowodów owej przeróbki w rękę nie mam, ani nawet, choćbym je miał, protestować nie mogę wobec zamieszczonego mego na owym dziwotworze nazwiska. *

W tym czasie na jednym z poniedziałków u Łuszczewskich zabrałem znajomość z Aleksandrem Tyszyńskim³⁸¹ w sposób dziwnie osobiwy. Tyszyński był to mały, cienki, czarnowłosy człowieczek, o długiej szyi, nieustannie wykręcający głową jak wrona, wiecznie roztargniony i nie wiedzący, co się wkoło niego dzieje. Siedział właśnie w tym tak licznym zawsze zebraniu, jakby był sam w pustyni, i (...)³⁸²

[II. FRAGMENTY]

[O JANIE MATEJCE]

[1869, Kraków]

Dotąd wszystko się jeszcze względnie da usprawiedliwić. Matejko jest Matejko³⁸³ i nie należy go mierzyć skalą zwykłych śmiertelników. Bogiem się świadczę, że wybierając się do niego, czułem się tak maluczkim, jakbym szedł na posłuchanie monarsze. Ani mi w głowie powstało zwiedzać jego pracownię lub w jaki bądź inny sposób z nim się spoufalić. Wydawało mi się w prostocie ducha, że niby poselstwo do niego sprawiam i że takowego bez ubliżenia jego majestatowi nie godziłoby się komukolwiek ustąpić. Stąd i te mało zachęcające zaprosiny jego wprost za rozkaz wzięłem, którego w mniemaniu moim usłuchać należało pod karą posądzenia o nieznanomość pierwszych zasad dworskiej sztuki. Tak samo też przyjąłem i zawód, jaki mię spotkał³⁸⁴. Matejce wolno było tak zrobić — panem jest. Względy te nie tylko wtedy, ale i dziś, i zawsze znać jestem gotów i nic mię to nigdy kosztować nie będzie; dla Matejki żywię cześć niemal bałwochwalczą i usposobiony jestem po wschodniemu w każdej chwili głośno wyznawać wobec świata, że jeden jest Bóg i jeden Matejko jego prorok.

Ukloniłem mu się, głową kiwnął, ale przywitał się tylko z Duchińską i z nią jedną rozmawiał³⁸⁵. Siadł nawet przy tym samym stole, a jednak nie raczył mię zaszczyścić ani jednym słowem. Nie, doprawdy, jestem pewien, że nawet Rubens lub Tycjan lub jaki inny malarz z rzędu tych, którym królowie podnosili pędzle, jeszcze by się zdobył w podobnej okoliczności powiedzieć takiemu jak ja lichemu człeczynie: wybaczyć, mój panie, żeś do mnie na próżno chodził, byłem zajęty, czy spałem, czy miałem gości, czy co podobnego, a tamten odszedłby z tym przekonaniem, że miał do czynienia z geniuszem, który umie być łaskawym.

*

Wracając do Matejki — przypuszczam, że byłby może inny, gdyby miał trochę mądrzejszą żonę³⁸⁶. Toż ta zabawna kobiecina, ile razy przyjdzie do pracowni jej męża kto z Potockich, Zamoyskich albo Lubomirskich (bo tacy tylko wstęp tam zawsze mają), wychodzi do nich w brudnym *ad hoc* szlafroku, w pantoflach i roztargana, gdyż — jak twierdzi — potrzebuje takim pokazać, jak dalece nic sobie z nich nie robi. Z tego sądzić się godzi o reszcie. W lat kilka po mojej katastrofie używała kąpieli w Rabce żona Jenikego³⁸⁷. Rabka jest to zatracony kąpielisko na boku, do którego ani teatr żaden, ani weselsze towarzystwo, ani choćby rozrywka jaka nigdy nie zagląda, więc jedynie stosunki społeczne mogą tam nieco życie osłodzić, tym bardziej że osób bywa niewiele, a u wód cóż łatwiejszego jak znajomość? Otóż znajdowała się tam pani Matejkowa i dokazała tej sztuki, że przez całe kilka tygodni swego pobytu, żyjąc tylko z Karolową Estreicherową³⁸⁸, bardzo dobrą Jenikowej znajomą, ani razu nie raczyła z tą ostatnią szukać zbliżenia. A przecież względnie niejednego skłonić ją był do tego powinien. Jenikowa jest to osoba miła, wykształcona, słodka, łagodna. Była tam wtedy osamotniona, smutna, cierpiąca. Do tego przecież żona redaktora pisma, z którym miał zawsze Matejko bardzo ściśle stosunki. Ale nade wszystko należy ona do rodziny dziwnie zaleczonej ofiarnością dla ojczyzny, a takich rzeczy żonie Matejki nie godzi się przecież nie wiedzieć — cóż dopiero, wiedząc, nie uznać.

*

Już to Bogiem a prawdą niejednego z naszych niepospolitych ludzi osobliwie sobie życie domowe zaplątało. Tak Bielowski i Matecki pouwiązywali sobie na szyi lalki kosztowne, światowe i rozbawione. Tak Szujski, nieboraczysko, ma sobie towarzyszkę, która jest tylko trudnym do prowadzenia dzieciakiem. To tłumaczy, dlaczego zmuszony myśleć i pracować za dwoje, przedwcześnie zdrowie stracił i zdziałał (tak się nawet żona o nim wyraża). Przy słabym jego charakterze kobieta, choćby niekoniecznie naukowo mądra, ale rozumiejąca go i kochająca równie moralny jak

i materialny męza swego dorobek, byłaby mu aniołem stróżem w niejednym wypadku, w którym po prostu dał się użyć za narzędzie bierne ludziom wyzyskującym do swoich celów czystość serca i dobrą wiarę człowieka, który jest prosty jak gołąb, ale ani pytać u niego przezorności węża.

*

[1898, Warszawa]

Obraz ten [*Unia*] po jego skończeniu na prośbę prezesa Majera³⁸⁹ wystawiony był w czasie odbywającego się wtedy zjazdu lekarzy w Krakowie. Florkiewicz³⁹⁰, bawiący wtedy za granicą, kiedy wreszcie na ów zjazd przyjechał, obrazu już nie było, bo go Matejko na dwa dni tylko użyczył. Dowiedziawszy się jednak, że go właśnie w tym czasie dla odfotografowania w dziedzińcu Akademii Umiejętności umieszczono, poszedł tam i — trzeba nieszczęścia — trafił na Matejkę. Ten, ujrawszy go, pyta z góry: „Czego pan tu chcesz?” Florkiewicz powiada, kim jest, i chce się tłumaczyć, ale Matejko nie daje mu przyjść do słowa, tylko coraz głośniejsz powtarza: „Proszę stąd wyjść natychmiast”. Gdy tamten próbuje go zmiękczyć, odwołując się do jego pobłażliwości, Matejko wpada w gniew i tupnawszy woła: „Wyjdz pan, bo każę cię wyprowadzić...” Kiedy się Florkiewicz usprawiedliwiał, że przyszedł widzieć obraz, bo go w swoim czasie, nie będąc w kraju, oglądać nie mógł, Matejko powiada mu w najwyższym gniewie: „To wy tak mało cenicie sztukę narodową, że kiedy Matejko swój obraz wystawia, siedzicie sobie za granicą!”

*

Któryś z uczniów Akademii, kopiując jego obraz, nie mógł sobie dać rady z jakimś szczegółem kolorystycznym i pyta go jako mistrza, jakimi środkami mógłby tego dokazać? A on mu na to: „Nigdy tego nie zrobisz, boś nie Matejko, a dwóch Matejków nie ma i być nie może”.

*

Słabości jego, Matejki, zaliczyć należy do rzędu tych, jakimi grzeszyli z dawna w kraju naszym sięgające po korony królewską. A on był niewątpliwie jednym z takich. Tylko zapewne mniej starannie wychowany. Więc te kanty, które u tamtych znośnie jakoś zaokrąglą ogłada światowa, z niego sterczały z całą niewykwinną surowością pierwotnego prostacka.

[O STANISŁAWIE WYSPIANSKIM]

{f

[Listopad 1901, Warszawa]

Wyspiańskiego Stanisława³⁹¹ *Wesele*, dramat:

Obecnymi czasy, mówiąc o przedstawieniach scenicznych, tak dalece nieraz nadużyto wyrazu „szopka”, że kiedy przychodzi zdać sobie sprawę

z takiego utworu, jak ten tu oto, wydaje się rzeczą nie do odżałowania, że z tym określeniem nie poczekano cierpliwie, ażeby się on, nie kto inny światu objawił.

Lalki na kijkach, brane z koszyka, gadające wprawdzie nie zawsze od rzeczy, ale po ich wypowiedzeniu rzucające na kupę, wśród której leżą kolanami przy łokciach, piętami przy brodzie, wreszcie do góry nogami, ale im to wszystko jedno, bo ani żyją, ani tym bardziej ruszać się mogą bez czyjej pomocy. W najlepszym razie wygląda to jakby pomysł z czasów dzieciństwa czy chwilowego zdziecinnienia sztuki w rodzaju *Dialogu dominikańskiego*³⁹² albo *Szkolnej mizerii*³⁹³. Rad bym niezmiernie, aby kto z adeptów opowiedział treść owego tak zwanego naiwnie dramatu. Tylko że w podobnych okolicznościach niejednego już doznałem zawodu.

Oto będzie temu lat z dziesięć, kiedy to po raz pierwszy odkryto u nas Szelleja³⁹⁴, i to w taki sposób, że go od razu nazwano „największym wszystkich miejsc i czasów poetą”. Przypada do mnie jedna z kuzynek i zaklina na wszystko, na czym świat stoi, że ona co najprędzej musi przeczytać *Prometeusza rozpętanego*, inaczej życie będzie jej niemiłe. „Dobrze — powiadam — dołożę wszelkich możebnych starań, żeby ci świat w kwiecie wieku ciężarem nie był, stawiam tylko ten warunek, że mi po przeczytaniu zdasz sprawę z wrażeń tej lektury, a zwłaszcza treść mi jej opowiesz”. Wzięła książkę, przeczytała i naturalnie nie odniosła, tylko trzeba było samemu przyjść po jej odebranie. Pytam jej tedy: „No, a cóż mi o tym masz do powiedzenia”. „A, to jest tak piękne, że tego... Bo prawdę powiedziawszy... No, juściż w epoce takiej jak dzisiejsza wyziębęj... Ale że dążenie do ideału i ta tęsknota... Ale kiedy wujaszek z niedowierzaniem tego słucha”. „Wcale nie. Chcę się czegoś nauczyć. Wszak do grobowej deski człowiek rad wiedzę zdobywa. Powiedz mi chociaż w krótkości, o co tam chodzi”. „A! to są poglądy! Zresztą... niezmierna podniosłość... rzeczy niebotyczne... niewypowiedziana potęga”. Spojrzała na zegarek (nieszczęśliwy zegarek, czasem co chwila nakręcany, a czasem razem z paskiem przy rozbieraniu niechcący na ziemię rzucony). — „Ach! jakżem ja się zapóźniła! A tu właśnie pora odczytu pani Reinschmitowej czy Szelligi³⁹⁵. To powiedziawszy, zabrała się i prędko poszła przyzwoicie się na ów odczyt spóźnić. I tyle ją widziałem.

Innym razem wraca z miasta służąca moja ogromnie spłakana. „Cóż się to stało?” „A to ona wraca z kazania u Reformatów niejakiego księdza Wojciecha. Narodu jak nabił — ludzie zanosili się od płaczu, ryk taki, co niech ręka boska obrania!” „A o czymże było to kazanie?” „No — powiada — ksiądz mówił: prawowierni chrześcijanie!” Tu rozpląkała się i mówi szlochając: „Powiada: Prawowierni chrześcijanie. Tak dopiruj...” I znowu zaczęła nos wycierać. Pytam zniecierpliwiony: „No, ale cóż on mówił dalej”. Spojrzała na mnie zgorziona. „No, przecie sprawiedliwie

mówię, jak było: Prawowierni chrześcijanie... i tam... Ale co to gadać. Ludzie okrutnie płakali i tego..." Dość, że nigdy z niej nic już więcej wyciągnąć nie mogłem...

Tak więc, jak się patrzy, nie mając zgoła szczęścia do wyjaśnień, myślę właśnie, do kogo by się tu zwrócić w sprawie ciemności owego *Wesela*. Juściz chyba do Tetmajera. Ale jakże? Do tego rozdawcy szczodrobliwości, który właśnie tylko co uwieńczył na Kapitolu sprawcę tej rzeczy?³⁹⁶ A nużby mnie w odpowiedzi kopnął tylko nogą wzorem Przybyszewskiego, tak że poleciałbym wprost na gemońskie schody przy wielkim śmiechu wtajemniczonych w ową zagadkę³⁹⁷.

Nie, tak nie można. Trzeba samemu sobie radzić! Jakże się to nazywa? Dramat. No, więc musi tu być gdzieś jakiś bohater. Szukajmy. Jest to zapewne Jasiek, który róg zgubił i przeto cierpi wstrząśnienia traiczne. Ale ten jest tylko pacholkiem Gospodarza, który upiwszy się widział nadziemskie zjawisko, czyniące go nadczłowiekiem. Ale ten nadczłowiek jest znowu pod pantoflem swojej połowicy, która mu iść spać kazała, sama zaś skrzętnie schowała złotą podkowę. Więc niby ona. Ale znowu takie tuzinkowe babsko, będące w służbie własnej chciwości. Toć już od niej kosztowniejsza chyba owa podkowa! A! jestem nareszcie na tropie. Bohaterem jest tu idea patriotyczna, nowe pokuszenie do powstańczego ruchu, z którego uśmieją się sobie grubo Branicki i Szela, a Stańczyk smutnie tylko głową pokiwa. Dobrze. Tym razem Ruś niby idzie w pomoc Koronie, bo to Wernyhora, stosownie do przepowiedni, przybywa do czynu pobudzić. Dlaczego on jednak na weselu się zjawia? Zapewne z tego samego powodu, co Żeglarz Coleridża³⁹⁸ również na wesele nie zaproszony, a jednak przybyły. Ale mniejsza o to. Gorzej daleko, że to nie jest ten sam, który u Słowackiego jeździ „w świetlistej delii”, dobry duch Ukrainy, niemal pobratymiec księdza Marka. Wcale nie. Raczej on z piekła rodem. Koń jego parzy ogonem i grzywą, bucha z nozdrzy płomieniami i wreszcie ogniem „piardnął”, zanim odleciał³⁹⁹. A cóż tu ma za znaczenie ów Chochół słomiany (Chochłami — jak wiadomo — nazywają Małorusów), który drwi z Jaśka, kiedy ten, schyliwszy się po czapkę z pawim piórkiem, zgubił ów róg złoty, mający lud pobudzić do czynu? Widocznie gra on tu rolę tak zwanego w dzisiejszych tendencyjnych dramatach rezonera (mądrali). I na tym kończy się ów dramat, który że nosi nazwę *Wesela*, więc właściwie jemu po słuszności przypadłaby rola tytułowa; ale to bohater tak roztrzepany, że nim doszło do końca, on już własnego nazwiska zapomniał.

^a Tak stoi w druku. Nie wiem, czy się też wygłasza na scenie. Ale że to chłopskie wesele, więc swoboda wszelka dopuszczona. Nie wszyscy są tu równie źle wychowani. Owszem wcale przeciwnie, chłopci np. mówią z pańska „basta” zamiast dotychczas przez siebie używanego „i już” albo „i tyle”.

No, ostatecznie przy najmoźniejszym wysiłku nie dowiedziałem się tu niczego. Taką już mam ciasną głowę. Bo przecież utwór ten ogólnie uznano za arcydzieło, o którym wreszcie wyrokuje Tetmajer (w „Tyg. Il.”, n[r] 44, na str. 861), że „będąc koroną dotychczasowej Wyspiańskiego poezji, owo sławne *Wesele* legendową aureolę rzuca na czoło poety”. A mówi to w ciągu rozprawy, w której z góry zaznacza mu stanowisko wielkiego (co rozumieć należy: największego) naszego poety. Tak więc *habemus papam*. Ale Przybyszewski to samo twierdzi o Kasprowiczu, a Bukowiński jeszcze wprzódy o Żeromskim⁴⁰⁰. Więc jest ich trzech jednocześnie, jak już bywało i w Kościele. Który też z nich na stanowisku się utrzyma? Ale co mnie do tego.

Co się zaś tyczy Wyspiańskiego, mam sobie o nim następujące odszczepieńcze mniemanie. (Gadam to wszystko na osobności, do siebie samego, więc mnie nie słyszy ani Marennowa, ani Ignacy Matuszewski, ani Władysław Jabłonowski⁴⁰¹, ani nikt z takich, którzy — jak to twierdzi Deotyma — nie mają odwagi narazić się na utratę chleba, wyznając głośno, że im nie w smak bieżącej kołowacizny upodobanie.) Otóż tak jak bywają kobiety ogólnie zwane pięknymi, o których jednak nikt nie powie, żeby były ładne, tak — moim zdaniem — Wyspiański może sobie być geniuszem, ale niepodobna mu przyznać talentu. Czyli, przetłumaczywszy na prozę: ten wielki poeta ani wielkim, ani nawet poetą być się nie wydaje. Na to dość zbliżyć z sobą takie dwa utwory jak owo *Wesele* i Rydla *Zakłęte koło*⁴⁰². Oba one pochodzą z jednej szkoły. *Zakłęte koło* jest przeróbką *Balladyny*, tak na owo *Wesele* szeroko zaproszono: *Sen srebrny Salomei*, *Niepoprawnych*, *Księdza Marka*, *Króla Duchy*, *Beniowskiego e tutti quanti* — przecież ślepy chyba nie dopatrzy, kto tu mistrzem, a kto par-taczem. Nie ma co nawet porównywać z sobą logiki pomysłu dwóch tych robót. *Zakłęte koło* przy wszystkich swoich usterkach jest bądź co bądź dramatem pełnym wzruszeń, wypowiedanych wprawdzie w formie prze-ważnie lirycznej. Ale bo też liryka jest osobistą właściwością Rydla, bodaj czy nie najwdzięczniejszego obecnie u nas poety. I jaka to liryka! Na wskroś piękna, szlachetna, słoneczna, sama z siebie idąca w serce, a dźwięczna jak szczere złoto. I czy podobna, choćby z daleka, przymie-rzyć do niej ową retorykę Wyspiańskiego, wypowiedaną niezdarne, wierszem koszlawym, lichym, nierzadko nawet zgoła śmiesznym (sądzę, że mam w tym względzie niejakię prawo być wybrednym).

Wreszcie w całej tej sprawie użyczymy głosu samemu tak zwanemu wielkiemu poecie. Oto co powiada Radczyni do Panny Młodej (na str. 181):

Ja wiem, że twoja uroda
Niejedną trudność przesili,
Ześ sobie młoda.
No, ale o czym wy będziecie mówili,

Jak tak nadejdzie wieczór długi?
Mówić się nie chce, trza przesiedzieć.
On wykształcony, ty bez szkół.

A na to Panna Młoda:

Po cóż by, prosię pani, godoł,
Jakby mi nie miał co powiedzieć?
Po cóż by sobie gębę psuł?⁴⁰³

Tak więc powiedzieć się godzi: Wyspiański również w całym tym dramacie niepotrzebnie sobie tylko gębę popsuł, o ile gadał do takich jak ja i niektórzy mnie podobni, nie mający patentu z modernistycznej szkoły.

Dość tedy, że wkraczamy nader okazale w świątynię piękna wcale dotąd niebywałą. Jak to niebywałą? Spójrzmy nie dalej, jak na owe boginie porozstawiane tu i owdzie w Saskim naszym ogrodzie. A toćże im już i wtedy karki od powykręcania trzeszczały, ręce ich bolesny kurcz miał w władaniu, a zaś nogi dziś jeszcze bierze ochota powsadzać w odpowiednie stawy.

I co się tu zastawiać Słowackim? Najwięksi geniusze — bywało — w epigonach swoich karykaturalni się stawali. Michał Anioł stworzył barok, w którym krzywizna wygnała za drzwi prostotę. W tym względzie prosię jeszcze raz posłuchać „wielkiego poety”, Mówi on z pomocą Nosa (niby przez nos, na str. 159):

Chciałem
Do prostoty się przymusić.
Ale cóż, kiedy natura
Rozśpiewała moją duszę.
Czuję — psiakrew — serce czuję⁴⁰⁴.

W tym miejscu raz jeszcze ku Rydlowi się zwróćmy. Wprawdzie jego się to tam z łaski Wyspiańskiego odprawia *Wesele* i — jak to mówią — darowanemu koniowi nie wypada zaglądać tak dalece w zęby przy ludziach, ale dajmy na to na osobności, w zamkniętej szczelnie komorze, zastanowiwszy się nad własną wartością, czy się przypadkiem za boki nie wziął jak ów niegdyś augur rzymski, dla oka tylko wierzący w drewniane, dobre jedynie dla motłochu, bożyszczka. I doprawdy miałby wszelkie po temu prawo. Bo jeżeli kto, to on istotnie wyczuwa w sobie serce zbiorowe; i nie co innego, jak popęd wrodzony rozśpiewał jego duszę i przeto wcale się on do prostoty przymuszać nie potrzebuje, bo ta mu jest, jak życie samo, wrodzona⁴⁰⁵. ¶

*

Z wielkiego rozmachu twórczego ku zdobyciom ducha w dziedzinie nie znanych niby to do tej chwili pomysłów bodaj czy nie cofamy się,

sami o tym nie wiedząc, w epokę, z której się już naśmiano w czasach romantyzmu, poniekąd słusznie, chociaż to ośmieszenie, jak się patrzy, nie było zabójcze. Bo oto poemat Tetmajera *Podczas wiatru* („Bibl. Warsz.” z lutego 1902)⁴⁰⁶ czyż nie jest znowu w stylu *Ogrodów Delila* i w ogóle tych dydaktycznych utworów owego pompatycznego poety, jak *La pitié*, *La conversation*, *L’homme des champs* itp.?⁴⁰⁷ Nawet pisany jest zaniedbanym już od dawna klasycznym trzynastozgłoskowym wierszem, tyle tylko, że jeszcze nie dystychami, rymującymi po dwa wiersze z rzędu. Albo czy manifest do narodu, ogłaszający Wyspiańskiego za największego swoich czasów poetę, nie przypomina nadętej apologii Stanisława Potockiego o Józefie Szymanowskim z powodu *Świątyni Wenerę w Knidos*, którą uważa za epokowe arcydzieło, mniemanego zaś jej twórcę za opatrnościowego pieśniarza godnego uwieńczenia na Kapitolu?⁴⁰⁸

Sądzić by się z tego godziło, że postęp miewa chwile, w których w tył się odsadza zapewne (co daj Boże) na to, aby tym energiczniej naprzód się kopnąć. Bądź co bądź niełatwo to jednym skokiem zdziałać coś nowego pod słońcem. Ostatecznie wydaje mi się Wyspiański najznakomitszym poetą między malarzami i bodaj czy także nie największym malarzem wśród poetów. Ostatecznie zaś bodaj czy nie godziłoby się powiedzieć w prywiślińskim narzeczu, że „jest u niego porywy z niedostatkami”.

*

[O Wyzwoleniu:]

[...] Ostatecznie rzecz streszczając, sądzę, że zarówno o niniejszym tak zwanym dramacie, jak i o całej dątychczasowej działalności tego uwiecznionego przez Tetmajera poety, imieniem pojętych jego wielbicieli powiedzieć się godzi to, co Konopnicka wkłada w otwartą gębę małego pińczuka, który, wprowadzony do izby sądowej, na widok portretu cesarza w orderach i w złożonej ramie nie mógł się powstrzymać od wykrzykniku: „Wielka bogatość, okropnie wielka bogatość!”⁴⁰⁹

*

[1906]

Wydaje mi się Wyspiański najdokładniejszym wyobrazicielem epoki, którą godziłoby się nazwać po prostu dziecinnością sztuki. Jakoż istotnie charakter jego działalności posiada w sobie wszelkie cechy starczych niedomagań, cofających osobnika w czasy, kiedy się to dopiero zębów nabywało. Język mu się płacze najczęściej z gramatyką w niezgodzie w mierze — powiedziałbym — zgoła przedrejowskiej; również jak i wiersz, utykający na każdym kroku w rytmach i budowie. Forma

też tych jego dramatów czy to nie coś pośredniego pomiędzy tworzonymi niegdyś przez żaków misteriami szopkowymi i rybałtowskimi późniejszym dialogowaniem? Pomysły też w swej reformatorskiej bucie czyż nie przywodzą na pamięć zarozumiałości trzecioklasisty, przekonanego o niedołęstwie nauczycieli z tego powodu, że go wyrwali właśnie wtedy, kiedy lekcji nie umiał? *Cyda* przerabia, *Dziady* dodatkami bogaci, słowem tak te rzeczy przykrawa, jakby je w przekonaniu jego zdziałać byli powinni Kornel⁴¹⁰ i Mickiewicz, gdyby byli mieli choć trochę rozzagnięcia. Historię nawet, jak mu się podoba, nakręca. W tym względzie najpocieszniejszym jest pomysłem (w *Legionie*) cesarz Mikołaj I (!) przed obliczem Grzegorza XVI (!), dający drapaka (!) na sam widok Makryny Miecznikowskiej (!)⁴¹¹. Te zaś niewyczerpane nigdy objaśnienia nawiasowe, o wiele zwykle sam tekst przenoszące, ta niesłychana gadatliwość w powtarzaniu do nieskończoności jednych i tych samych upodobanych sobie samemu wykrzykników, często już tylko nawet znaków zapytania, czy nie charakteryzuje osobnika cierpiącego nieuleczalny nałóg grafomanii?...

Z tym wszystkim bądź co bądź ze wszech miar godna jest podziwu ta chmara wielbicieli, owszem fanatyków nawet owego zagadkowego geniusza! Jednak już i za dni naszych zdarzały się podobne prądy o niedługim trwaniu, to może i ten — da Bóg — przewieje. Meterlink wynoszony był nad Szekspira⁴¹², Rostanda *Cyrano* miał u nas od razu aż trzy przekłady⁴¹³, a oto o jednym jak o drugim głucho już wobec koszlawej potęgi Wyspiańskiego. Ale oto sięgając dalej nieco, bo aż w wiek XVII i aż w ojczyznę Dantego, Petrarcki, Ariosta i Tassa, czy nie spotykamy tam zapomnianego już od dawna na zabój niejakiego Marino⁴¹⁴, który — kiedy wjeżdżał do Neapolu — zgotowano mu uroczystość rzymskiego tryumfatora? Niedługo zaś potem, wytrzeźwiawszy w sposób z rozumem zgodny, wszelkie cudactwo równie w piśmie jak i w mowie, równie w pomyśle jak w wykonaniu dla śmiechu marynizmem od niego nazwano. Tak to prędzej czy później zdrowa prawda jak oliwa z przygodnego mętnych prądów wylewu na wierzch się wreszcie wydobywa.

*

[Refleksja po zgonie Wyspiańskiego:]

[...] Owe, rzekłbym, bluźniercze moje aż dotąd o wielkości Wyspiańskiego przekonania po świeżo zaszłym jego zgonie już mnie samego wreszcie gorszyć poczynają!

{r

*

[Wycinek z gazety z 23 XI 1908:]

„Ślub pani Wyspiańskiej. W poniedziałek pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Raciborowicach związek małżeński p. Teodory

Wyspiańskiej (wody po śp. Stanisławie Wyspiańskim, z p. Wincentym Woską, gospodarzem z Węgrzec⁴¹⁵).

[U dołu dopisek Faleńskiego:]

Niech nikt nad grobem mym nie płacze,
Prócz jednej mojej żony.
Za nic mi wasze łzy sobacze
I smutek wasz zmyślony.

*Wesele czy Wyzwolenie*⁴¹⁶

PRZYPISY WYDAWCY

¹ Mowa o żonie Faleńskiego, Marii z Trembickich (Trębickich). Nie przeżyła ona jednak męża (zm. 24 V 1896), osierocając go na lat kilkanaście.

² W Bibliotece Narodowej w Warszawie znajduje się egzemplarz dramatu Karola Kisfaludiego *Zacz Klara* w tłumaczeniu Wędrychowskiego (Lwów 1865); był on niegdyś własnością Faleńskiego i ma jego notatki treści genealogicznej, związane z herbem Sas (sygn. 167122 I).

³ Od słów „Zaledwie śmiem” do „nie może być mowy” pismo czarnym atramentem. Podany wiek Felicjana wskazuje, że dopisek powstał w r. 1902.

⁴ Apolonia Faleńska, jak widać z dalszego ciągu pamiętnika, pochodziła z Poznańskiego. Dokładniejszych danych biograficznych nie udało się znaleźć.

⁵ Mowa o wypadkach w kraju, związanych z powstaniem 1830/1831 r.

⁶ Wasserpolak — Polak mówiący źle po niemiecku. Tak nazywano Niemczyłych Polaków na Pojezierzu Pomorskim i na Śląsku.

⁷ Nie udało się znaleźć bliższych informacji o pensji Birnbauma; prawdopodobnie nie odegrała ona poważniejszej roli w Warszawie.

⁸ O starszym rodzeństwie Faleńskiego brak szczegółowych wiadomości. *Wspomnienia* świadczą, że autor odnosił się do niego obojętnie.

⁹ Apolonia, siostra Felicjana, później wyszła za mąż za Tadeusza Wieniawskiego, lekarza. Mowa o niej jeszcze w dalszym ciągu *Wspomnień*.

¹⁰ *Śpiewy historyczne* Juliana Niemcewicza, o których popularności świadczy kilka wydań ówczesnych (Warszawa 1816, 1818, 1819 i Kraków 1835).

¹¹ Józef Faleński (1784—1839), urodzony w ziemi sochaczewskiej, szkoły kończył we Lwowie. W r. 1810 rozpoczął służbę sądową, w 1819 przeniósł się do Warszawy, gdzie też umarł jako sędzia najwyższej instancji. Z prac swoich pisarskich wydał: *Historię Polski krótko zebraną* (Wrocław 1819) i przekład Remera *Historii powszechnej starożytnej* (Wrocław 1822).

¹² Karol Baliński (1817—1864), poeta i działacz patriotyczny. O kolejach jego życia w dalszym ciągu pamiętnika. Zob. też przyp. 17.

¹³ Szkołę wojewódzką na Lesznie nazywano również szkołą na Działyńskim od pałacu Działyńskich, w którym miała pomieszczenie. Pałac ten Faleński opisuje w związku z własnymi przenosinami do szkoły na Lesznie. Zob. w dalszej części *Wspomnień*, s. 22 i n.

¹⁴ „Niech z kości naszych powstanie mściciel!” (Wergiliusz, *Eneida*, ks. 4, w. 625).

¹⁵ Rektorem, czyli dyrektorem gimnazjum przy ul. Leszno w Warszawie był w tym

czasie Tomasz Sylwester Dziekoński (1790–1875), pedagog, autor podręczników szkolnych, ojciec Józefa Bogdana.

¹⁶ Po upadku powstania listopadowego na rozkaz cara kosztem miasta zbudowano Cytadelę na północnym brzegu Wisły, na tzw. Żoliborzu. Budowa trwała od 1832 do 1835 r. Po jej ukończeniu wzniesiono tam pomnik cara Aleksandra I. Kazamaty Cytadeli służyły za więzienie.

¹⁷ Informację pamiętnikarza o losach Balińskiego trzeba uzupełnić. Po uwolnieniu z więzienia, gdzie dostał się w r. 1833 jako uczeń VIII klasy, był więziony w 1838 jako członek Stowarzyszenia Ludu Polskiego. W l. 1839–1842 został zesłany na Syberię. Po powrocie należał do grupy działaczy związanych z „Przeglądem Naukowym”. Aresztowany w r. 1846, przebywał w Cytadeli warszawskiej do kwietnia 1847. Zagrożony uwięzieniem w r. 1848, opuścił Królestwo.

¹⁸ Macochą Faleńskiego była Tekla z Fredrów (zm. 1884).

¹⁹ Wiersze, które Faleński wydał w Warszawie w 1856 r. pt. *Kwiaty i kolce*, poprzedzone są drukowaną dedykacją: „Tekli, matce mojej duszy, z prośbą o błogosławieństwo dla tej pierwszej mojej, w świat idącej pracy”.

²⁰ Autor ma na myśli recenzję *Kwiatów i kolców* pióra Kazimierza Kaszewskiego, ogłoszoną w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 16/28 X 1856 r. Do tej recenzji odwoła się on jeszcze we *Wspomnieniach*.

²¹ Całego nakładu *Kwiatów i kolców* Faleński nie spalił, gdyż zachowało się do dziś kilka egzemplarzy tego tomiku (np. w Warszawie w Bibl. Narodowej i Bibl. Instytutu Badań Literackich).

²² Mowa o Liceum Warszawskim, które od r. 1816 mieściło się w pałacu Kazimierzowskim.

²³ Cyprian Kamil Norwid (1821–1883) był o cztery lata starszy od Faleńskiego.

²⁴ La Rochelle, miasto portowe we Francji, położone niedaleko ujścia Garonny.

²⁵ Felicjan Fredro (1792–1848), ojciec wymienianego w dalszym ciągu *Wspomnień* Andrzeja, major 2 pułku ułanów w Królestwie Polskim, dzierżawca Jakubowic Murowanych w guberni lubelskiej.

²⁶ Zawałów (Zawałów), wieś i folwark w powiecie hrubieszowskim.

²⁷ Tutaj Faleński przypomina sobie fragment *Pieśni o ziemi naszej* Wincentego Pola, mianowicie: „Dom niewielki — wtem gość wchodzi./ Ot i domek się rozszerzył/ I wnet miejsce gdzie się rodzi./ Przybył drugi i dziesiąty/ I nieciasno jest nikomu./ Wyprzątnięto wszystkie kąty./ Coraz szerzej w małym domu./ Zda się, że pan domu sobie Ścian i miejsca gdzieś przysporzył./ A on tylko w domu tobie/ Drzwi i serce swe otworzył”.

²⁸ Z dalszej treści wynika, że mowa o wsi Dobrzyniec, położonej w pobliżu Sienicy, nad rzeką Świder, w powiecie nowomińskim, ok. 40 km od Warszawy. Należała ona do rodziców Faleńskiego.

²⁹ Kazimierz Kaszewski i Faleński spotkali się po r. 1850 jako współpracownicy „Biblioteki Warszawskiej”. Kaszewski występował wówczas jako krytyk literacki i tłumacz.

³⁰ Zapewne August Ruśkiewicz (ur. 1826), który później studiował w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie.

³¹ Bajki Fedra (Caius Julius Phaedrus) od dawna stanowiły lekturę szkolną. Nie zachowały się tłumaczenia Faleńskiego.

³² Włodzimierz Wolski (1824–1882), poeta, autor m. in. *Ojca Hilarego* i libretta do *Halki* Moniuszki. Faleński później z nim kolegował w szkole na Lesznie. Poświęca mu stosunkowo dużo uwagi w dalszym ciągu pamiętnika.

³³ Por. przyp. 20. Istotnie recenzję tę Kaszewski kończy radą, aby Faleński, zamiast pisanem wierszy, zajął się przekładami.

³⁴ W III tomie *Rysu dziejów literatury polskiej*, który podług notat Aleksandra Zdanowicza opracował i do ostatnich czasów doprowadził Léonard Sowiński (Wilno 1876), s. 776—781 poświęcono Faleńskiemu. Zdaniem Sowińskiego z poezji Felicjana najlepsze są *Kwiaty i kolce*, „jakkolwiek i te nie są wolne od pretensjonalności”. W poematach *Termopile* i *Pod Kannami* oraz w powieści *Sama jedna* znajduje historyk nagromadzenie efektów, silenie się na nadzwyczajność, które prowadzą nieraz do niezrozumiałości. Najlepsze według niego są: powieść *Z daleka i z bliska*, studia literackie i recenzje. Sowiński włącza Felicjana do grupy poetów, którzy piszą nie ze wzruszenia, lecz z rozwagi, jak Jadwiga Łuszczewska (Deotyma) i Adam Asnyk.

³⁵ Faleński myli imię Kozłowskiego. Feliks Antoni Kozłowski (1805—1870) od czasu reorganizacji szkół po klęsce powstaniowej, tj. od r. 1833, uczył w Liceum Warszawskim, wykładając język i literaturę grecką i łacińską. W r. 1845 wydał tłumaczenie dzieł Platona, w 1858 *Dzieje Mazowsza za panowania książąt*.

³⁶ Wacław Szymanowski (1821—1885) po r. 1840 brał czynny udział w życiu literackim Warszawy, szczególnie był popularny jako redaktor „Kurier Warszawskiego”, którym kierował od r. 1868 do śmierci.

³⁷ Edmund Chojecki (1822—1899) zaczął działalność pisarską w Warszawie ok. 1840 r. Wyjechał jednak do Francji w 1844 i tam zyskał większą sławę jako dziennikarz, dramaturg i powieściopisarz piszący po francusku. Należał do założycieli paryskiego pisma „Le Temps”, używał pseudonimu Charles Edmond.

³⁸ Artur Bartels (1818—1898), autor popularnych piosenek, słusznie porównywany do ówczesnego piosenkarza francuskiego, P. J. Bérangera.

³⁹ Był to regulamin karny, który ukazał się w Warszawie 1835 r. z tekstem polskim i francuskim pt. *Powody, jakie skłoniły do uzupełnienia przepisów karności szkolnej, z dodaniem instrukcji dla tejże zwierzchności tudzież przepisów dla uczniów*. Faleński za autora tej publikacji uważa dyrektora Liceum, tj. Samuela Bogumiła Lindego. Linde, twórca pomnikowego *Słownika języka polskiego*, po upadku powstania cieszył się zaufaniem rządu Królestwa Polskiego, m.in. zasiadał w Komitecie, który rozpatrywał projekt ustawy dla szkół, przysłany z Petersburga w 1832 r., a realizowany od 1833. Domniemania jednak co do autorstwa *Powodów* są różne. Ludwik Jenike i Piotr Chmielowski jako autora wysuwają Tomasz Dziekoński, dyrektora gimnazjum przy ul. Leszno. Jan Kucharzewski, historyk szkolnictwa tych czasów, jest zdania, że broszurę napisał ktoś bardziej wpływowy niż Dziekoński, może Józef Kalasanty Szaniawski (Kucharzewski, *Epoka paskiewiczowska. Losy oświaty*, Warszawa, Kraków 1914, s. 192—203).

⁴⁰ Według ustawy szkolnej Królestwa Polskiego z r. 1833 inspektor szkolny miał dozór nad karaniem uczniów. Kto był inspektorem Liceum Warszawskiego, nie udało się ustalić.

⁴¹ Jan Sz wajnic (1795—1867), historyk, od r. 1829 uczył w szkole na Lesznie, od 1833 był też członkiem komitetu egzaminacyjnego. Ogłosił kilka prac, np. *Principia iuris Romani* (1822), *Historia narodu i państwa rzymskiego* (1845—1847, 3 tomy).

⁴² Antoni Waga (1799—1890), przyrodnik, od r. 1829 nauczyciel w Liceum Warszawskim, a po powstaniu — w gimnazjum na Lesznie. Drukował dużo prac z dziedziny nauk przyrodniczych, zwłaszcza w czasopismach („Biblioteka Warszawska”).

⁴³ Pałac Działyńskich, pierwotnie własność Leszczyńskich, do których należało całe Leszno, pochodzi z drugiej połowy XVII w. Po sprzedaniu go w r. 1714 przez Leszczyńskich zmieniał wielokrotnie właścicieli. W l. 1792—1820 należał do Działyńskich. W l. 1830—1850 zajmowało go gimnazjum, którego dyrektorem był T. Dziekoński.

⁴⁴ Józef Simmler (1823—1868), malarz zajmujący się tematyką historyczną i religijną, portrecista.

⁴⁵ Россияны как будтобы рассеянные (ros.) — Rosjanie to jakby rozsiani.

⁴⁶ Mowa o dziele Mikołaja Gerasimowicza Ustriałowa (1805—1870), profesora Uniwersytetu Petersburskiego i członka Imperatorskiej Akademii Nauk, pt. *Русская история*; pięć jego tomów wyszło w l. 1837—1841 (t. I drukowano także po rosyjsku w Warszawie w r. 1838).

⁴⁷ Kwestia rusińska albo kwestia ruska powstała w Galicji w okresie Wiosny Ludów, kiedy Rusini, podobnie jak Polacy, pod zaborem austriackim zaczęli upominać się o niejaki swobody. Rząd Austrii wykorzystał Rusinów dla swoich celów. Pozwolił im na utworzenie Rady Narodowej Ruskiej we Lwowie przy katedrze Św. Jura (tzw. świętojurcy). Rusinów jednak używał za narzędzie w zwalczaniu dążeń wolnościowych Polaków.

⁴⁸ Nazwisko Gustawa Fryczego dopisane później czarnym atramentem po zakreśleniu nazwiska Kazimierza Kaszewskiego. Gustaw Frycze był jednym z drugorzędnych dziennikarzy warszawskich po powstaniu styczniowym.

⁴⁹ Cytat wyjęty z recenzji pracy Aleksandra Walickiego pt. *Błędy nasze, w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane*, Warszawa 1876. Recenzja — zgodnie z informacją Faleńskiego — ukazała się w 11 nrze „Bluszczu” z r. 1877. Autora jej pismo nie wymieniło.

⁵⁰ Od słów „Mówi to” do „Jundziłłowie itp.” dopisek czarnym atramentem.

⁵¹ Andrzej Kucharski (1795—1862), sławista, filolog, w ostatnich latach życia nauczyciel gimnazjum w Warszawie; autor pracy *Księdza Stanisława Zaborowskiego ortografia polska* (1825).

⁵² Mikołaj Okuniew, generał rosyjski, od grudnia 1839 do 1850 r. kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego. Kucharzewski (*op. cit.*, s. 223) pisze o nim: „wojskowy, niewiele z oświatą, a już stanowczo nic wspólnego z oświatą wyższą nie mający, był kreaturą Paskiewiczza”. Odpowiada to określeniu Faleńskiego: „nadzwyczaj gorliwy paskiewiczowski stupajka, który rad był co najprędzej szkoły wszystkie na koszary kantonistów poprzerabiać”. — Stupajka (z ros.) — tępy służbista. — Koszary kantonistów (z franc. cantonner — umieszczać w kwaterach) — koszary wojskowe, do których zabierano dzieci polskie nie posiadające rodziców, aby je wychować w duchu rosyjskim.

⁵³ Wymieniając dyrektorów Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Wyznań i Oświecenia Publicznego, Faleński popełnił pomyłki. Aleksander Pisarew był wojskowym gubernatorem warszawskim. Dyrektorami Komisji byli: pierwszy po powstaniu Aleksander Strogonow, po nim od r. 1834 Eugeniusz Gołwin i ostatni od 1838 Szypow. Gdy w grudniu 1839 r. utworzono Okręg Naukowy Warszawski, podległy bezpośrednio ministrowi oświecenia cesarstwa, Mikołaj Okuniew został jego kuratorem.

⁵⁴ Don Juan d’Austria (1547—1578), znakomity wódz, który pod Lepanto zwyciężył Turków 7 X 1571 r.

⁵⁵ Aleksander Apuchtin był kuratorem warszawskim od r. 1879.

⁵⁶ Diad’kowie (ros.) — piastuni, opiekunowie.

⁵⁷ To znaczy zabrać do wojska rosyjskiego na zawsze, bez możliwości zwolnienia (normalnie po 25 latach służby wojskowej wracało się do domu).

⁵⁸ Iwan Paskiewicz (1782—1856), hrabia erywański, książę warszawski, brał udział w wojnie rosyjsko-polskiej 1831 r., w l. 1832—1856 był namiestnikiem carskim w Królestwie Polskim.

⁵⁹ Naderwany — nadszarpnięty, tutaj: chory umysłowo.

⁶⁰ O Narwojniu (notując jego nazwisko: Narwoń), który na widok uczniów w ciemnozielonych mundurach z pasowymi kołnierzami krzyczał: „Policja się okociła”, pisze Paulina Wilkońska w pamiętniku (*Moje wspomnienia o życiu towarzy-*

skim w Warszawie. Opracowała Zofia Lewinówna pod redakcją Juliusza W. Gomulickiego, Warszawa 1959, s. 194–195). Pisownia nazwiska, jaką stosuje Faleński, występuje także w *Skorowidzu mieszkańców miasta Warszawy na r. 1854* (Warszawa 1854, s. 220).

⁶¹ Spostrzeżenie to Faleński dopisał w okresie rewolucji rosyjskiej r. 1905. Rewolucja ta sprawiła duże poruszenie na ziemiach polskich włączonych do Rosji. Socjaliści polscy współdziałali wówczas z rosyjskimi, mając na celu ogólne wyzwolenie z ucisku, czego wyrazem było hasło z pieśni B. Czerwieńskiego *Czerwony sztandar*: „Nowy zaprowadzim ład”.

⁶² Paweł Aleksandrowicz Muchanow, od r. 1850 następca po Okuniewie na stanowisku kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, odznaczał się gorliwością w rusyfikowaniu szkół Królestwa Polskiego.

⁶³ Mikołaj I (1796–1855) od r. 1825 rządził Rosją, w 1829 był koronowany na króla polskiego w Warszawie.

⁶⁴ Ах, ты скатина! Какая у тебя рожа (ros.) — Ach, ty bydlaku, jaki ty masz pysk.

⁶⁵ W r. 1876 wprowadzono do Królestwa Polskiego system sądownictwa carskiej Rosji.

⁶⁶ Od słów „Utartym stało się dziś” do „z dziejów epoki owej sprawozdawcy” dopisane czarnym atramentem, bez odsyłacza do tekstu głównego.

⁶⁷ Konserwatywne stronnictwo galicyjskie, które przyjęło nazwę od pamfletu politycznego z r. 1869, ułożonego przez Stanisława Tarnowskiego, Stanisława Koźmiana, Józefa Szujskiego i Ludwika Wodzickiego. Stronnictwo to występowało przeciw spiskom i ruchowi wywoleńczemu.

⁶⁸ Książe warszawski, tj. namiestnik Paskiewicz.

⁶⁹ Aleksander Wielopolski (1803–1877), naczelnik Rządu Cywilnego Królestwa Polskiego w l. 1862–1863, zwolennik ugody z caratem.

⁷⁰ Jan Baliński (1827–1902), profesor psychiatrii na Uniwersytecie Petersburskim. Ojciec jego Michał, zięć Jędrzeja Śniadeckiego, historyk.

⁷¹ Paweł Michał Szczyt (1822–1870), syn Adama, wnuk chorążego witebskiego Marcina.

⁷² Michał Morzkowski, mierny poeta współpracujący z „Biblioteką Warszawską”, pierwszy mąż Walerii Marrené.

⁷³ Oda *Jéhovah* należy do wcześniejszych utworów Wiktora Hugo; powstała w r. 1822.

⁷⁴ Pokazną część twórczości Macieja Kazimierza Sarbiewskiego stanowiły ody w stylu Horacego. Uczniowie znali je z podręczników szkolnych.

⁷⁵ Studia Faleńskiego związane z epoką zygmuntofską: *Jan Kochanowski jako poeta liryczny* („Tygodnik Ilustrowany”, 1864), *Treny Jana Kochanowskiego* („Biblioteka Warszawska”, 1866, i osobno 1867), *Pogadanka o „Fraszkiach” Jana Kochanowskiego* („Biblioteka Warszawska”, 1881) i *Mikołaj Sęp Szarzyński* („Ateneum”, 1881).

⁷⁶ W l. 1836–1839 na terenach polskich działały tajne organizacje, inspirowane przez węglańską „Młodą Polskę” (która powstała na emigracji w r. 1834 i miała związki z „Młodą Europą” Mazziniego) lub też przez Stowarzyszenie Ludu Polskiego (założone przez S. Goszczyńskiego w 1836 r.), Organizacje te miały cele rewolucyjno-demokratyczne: obalenie systemu monarchicznego, wyzwolenie spod jarzma zaborców i zrównanie społeczne.

⁷⁷ Z tych słów wynika, że w okresie spisku młodzieży warszawskiej i łukowskiej w l. 1841–1842 Wolski odegrał jakąś niegodną Polaka rolę. Zob. też przyp. 83.

⁷⁸ Roman Zmorski (1822–1867), poeta, zbieracz podań ludowych i tłumacz pieśni serbskich, oraz Aleksander Niewiarowski (1824–1892), dziennikarz i późniejszy re-

daktor „Pszczoly”, ok. r. 1840 należeli do tzw. „cyganów warszawskich”, występujących szczególnie ostro przeciw tradycyjnym salonom towarzyskim.

⁷⁹ Zdaje się, że Jan Nepomucen Kozerski nic nie publikował, bo nie notują go bibliografowie, a także nie wiadomo nic o jego rękopisach.

⁸⁰ Karol Levittoux był wzięty do Cytadeli w r. 1842 spomiędzy stowarzyszonej tajnie młodzieży gimnazjum łukowskiego. Aby nie wydać kolegów, postawił świecę pod siennik i zginął samobójczo w pożarze.

⁸¹ Mowa o uwiedzeniu żony Józefa Komorowskiego (będzie o tym w dalszym ciągu *Wspomnień*).

⁸² Powiastkę *Wielki pan* wydał Wolski w r. 1852. Później napisał jeszcze kilka powieści (najlepsza z nich *Domek przy ulicy Głębokiej*, 1859), ułożył libretto do *Hrabiny Moniuszki*. Faleński czuł do niego antypatię jako do człowieka i przenosił ją także na jego utwory.

⁸³ Oskarżenie Wolskiego o współpracę z zaborcą wydaje się niesłuszne. Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeź) spotykał autora libretta *Halki* w Paryżu r. 1863 wśród działających w organizacjach patriotycznych. Później Miłkowski, bez przerwy zaangażowany w prace konspiracyjne, utrzymuje przyjazne stosunki z Wolskim (Miłkowski: *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, Do druku przygotował Adam Lewak, wstępem poprzedził Aleksander Brückner, Kraków 1937, t. 3, s. 214, 426–429, 452–456).

⁸⁴ Ignacy Komorowski (1825–1857), muzyk, który m. in. spopularyzował swoją melodią wiersz Lenartowicza *Kalina*, z Faleńskim był w wielkiej przyjaźni, o czym świadczy dalszy ciąg *Wspomnień*, jak również listy Komorowskiego w papierach Felicjana (autogr. w Bibl. Narodowej w Warszawie, rkps 5902). Słowa Faleńskiego: „w tej otchłani zepsucia czystymi zostali” oznaczają nienależenie do towarzystwa ówczesnej rozpitej młodzieży, środowiska dość typowego dla Warszawy lat czterdziestych.

⁸⁵ Teofil Lenartowicz (1822–1893), poeta, także rzeźbiarz, w r. 1848 opuścił Warszawę z obawy przed aresztowaniem i do końca życia przebywał na emigracji.

⁸⁶ Ignacy Gierdziejewski (1826–1860), malarz historyczny, interesujący się również tematami alegorycznymi. Faleński ma tu na myśli pijaństwo artysty, o którym powie jeszcze dokładniej w dalszym ciągu pamiętnika.

⁸⁷ Zob. przyp. 11.

⁸⁸ Reinerz, obecnie Duszniki-Zdrój w powiecie kłodzkim, uzdrowisko bardzo uczęszczane w XIX w.

⁸⁹ Ze słów Faleńskiego można wnosić, że jego ojciec odmówił udziału w powstaniu 1831 r., czując się związany z rządem Królestwa swoją przysięgą sędziowską. Syn ze zrozumiałych powodów nie wspomina nic o nadmiernej służbistości ojca.

⁹⁰ Ustawa szkolna, wydana w r. 1840, dążyła do zrównania szkół Królestwa ze szkołami cesarstwa rosyjskiego. W gimnazjach usunięto podział klas wyższych na filologiczne i techniczne, zniesiono klasę ósmą. Już w szkołach elementarnych zalecano uczenie w języku rosyjskim. W gimnazjach liczba godzin języka polskiego tygodniowo wynosiła 14, rosyjskiego – 28.

⁹¹ Mowa o Kursach Dodatkowych Pedagogicznych, które zorganizowano w Warszawie w grudniu 1836 r. Do 1842 były one dwuletnie, uczęszczali na nie kandydaci stali i wolni słuchacze. Potem je zreformowano, wykłady ograniczono do jednego roku i zniesiono wolnych słuchaczy. Po r. 1850 Kursy zostały zamknięte.

⁹² Józef Paszkowski (1787–1858) służył w wojsku polskim, z którego wyszedł w stopniu pułkownika, w l. 1833–1846 prowadził w Warszawie pensję męską, w 1837–1842 był inspektorem Dodatkowych Kursów Pedagogicznych. Z dużą sympatią wspomina go Wilkowska (*op. cit.*, s. 157–173).

⁹³ Faleński zapewne studiował Michała Grabowskiego (wpływowego naówczas krytyka) *Literaturę i krytykę* (1837–1838), Michała Wiszniewskiego *Historię literatury polskiej* (t. 1 w r. 1840, ostatni w 1850) i Adama Jochera *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury polskiej* (1839–1857).

⁹⁴ Przed powstaniem 1831 r. Biblioteka Publiczna w Warszawie spełniała funkcje biblioteki uniwersyteckiej. Po jego upadku uniwersytet zamknięto. Z biblioteki większość zbiorów wywieziono do Petersburga. Potem przybywały do niej książki kasowanych szkół i dary. Gdy powstał Okręg Naukowy Warszawski, mianowano ją Biblioteką Główną Okręgu Naukowego Warszawskiego.

⁹⁵ Tadeusz Mostowski wydał w Warszawie w l. 1803–1805 25-tomowy Wybór Pisarzy Polskich. Większą jego część wypełniły dzieła twórców z wieku XVIII (Naruszewicz, Krajewski, Niemcewicz, Bohomolec, Szymanowski, Węgierski), niewiele miejsca zajęli pisarze wcześniejsi (Orzechowski, Szymonowicz, Zimorowicz).

⁹⁶ W antologii, wydawanej przez Jana Juliana Szczepańskiego we Lwowie w l. 1827–1828 pt. *Polihymnia, czyli piękności poezji autorów tegoczesnych*, m. in. ogłoszono utwory Tymona Zaborowskiego (1799–1828), dobrze zapowiadającego się poety, który przedwcześnie skończył życie samobójstwem.

⁹⁷ Określeniem: „z niejakim wysiłkiem” – Faleński wyraża zapewne, że czytał dzieła Fryderyka Schillera w oryginale.

⁹⁸ Faleński wylicza poetów i tłumaczy, którzy byli najbardziej głośni w Warszawie ok. 1840 r. Utwory ich znano głównie z druku w nowo powstałych czasopismach, jak „Panorama Literatury Krajowej i Zagranicznej”, „Piśmiennictwo Krajowe”, „Przegląd Warszawski”, „Przegląd Naukowy”, „Biblioteka Warszawska”. Antoni Szabrański i Józef Edmund Paszkowski odznaczyli się wtedy przekładami Goethego, Schillera, Szekspira, Byrona, Wiktora Hugo, a Cyprian Norwid i Antoni Czajkowski poezjami.

⁹⁹ Mowa o tomie 1 *Dramatów* Józefa Korzeniowskiego, które miały dwa wydania w Kijowie (1839 i 1840). Znajdowały się tam sztuki: *Klara*, *Aniela* i *Piękna kobieta*.

¹⁰⁰ Ustawą z kwietnia 1840 r. wprowadzono naukę prawa dla młodzieży Królestwa Polskiego. Kandydaci na pośrednie stopnie sądowe kształcili się na dwuletnim Kursie Prawa przy gubernialnym gimnazjum warszawskim, na wyższe stopnie sądowe – na uniwersytecie w Petersburgu i w Moskwie.

¹⁰¹ Wymienieni orientaliści przez niejaki czas pracowali także w rosyjskiej służbie dyplomatycznej. A. Kazimierski (Kazimirski) de Biberstein (1808–1887) znał Arabię, Aleksander Chodźko (1804–1891) – Persję, August Żaba (1801–1894) – Jaffę, Saloniki i Smyrnę.

¹⁰² Od słów „Przypomina mi się” do „masz dziurę” dopisane czarnym atramentem.

¹⁰³ Użyte w wierszu wyrażenia łacińskie: *ex codice* – z księgi; *modice* – skromnie, mało; *leges* – prawa; *pecuniam egēs* – potrzebujesz pieniędzy; *iure* – prawem.

¹⁰⁴ Powieści ówczesnego pisarza francuskiego, Eugeniusza Suego, zdobyły wielkie powodzenie wśród czytelników różnych krajów. Najważniejsza z nich, *Tajemnice Paryża*, w której autor przedstawia obyczaje wielkomiejskie i z sympatią traktuje niziny społeczne, w przekładzie polskim F. Chlewaskiego ukazała się w Warszawie 1844 r.

¹⁰⁵ Ignacy Abramowicz (1793–1867), Polak-renegat, jako adiutant Paskiewicza brał udział w wojnie polskiej 1831 r.; dowódcą warszawskiego dywizjonu żandarmerii został w 1835 r., prezesem Dyrekcji Teatrów w 1842, a oberpolicmajstrem warszawskim w 1844.

¹⁰⁶ Alojzy Gonzaga Żółkowski (1814–1889), utalentowany aktor, komik, syn komika Alojzego Fortunata.

¹⁰⁷ Bogumił Dawison (1818–1872), aktor specjalizujący się w rolach dramatycznych, który w kraju spotkał się z niechęcią otoczenia. Po występach w Warszawie, Wilnie i Lwowie dostał się do Hamburga, gdzie zdobył wielkie powodzenie. Utrzymywał przyjacielskie stosunki z Józefem Komorowskim (zob. przyp. 108), z którym w zażyłości pozostawał Faleński (za pośrednictwem Komorowskiego mógł znać Dawisona).

¹⁰⁸ Józef Komorowski (1818–1858), aktor dramatyczny, od r. 1839 pierwszy amant sceny warszawskiej, odznaczający się dobrym głosem i urodą.

¹⁰⁹ Wymienione osoby, związane z operą warszawską, to: Julian Dobrski (1812–1886), Wilhelm Karol Troszel (albo Troschel, 1823–1887), Ludwika Rywacka (w Warszawie występowała od r. 1837, ok. 1855 przeniosła się do Lwowa), Paulina Rivoli (od r. 1842 na scenie warszawskiej), Miller (występował w Warszawie od r. 1849), Keller (może Wawrzyniec Kellerman, wiolonczelista), Ludwika Leśniewska (ur. 1830 r., wcześniej śpiewała w Warszawie, później wyjechała do Niemiec i Włoch, gdzie zdobyła powodzenie).

¹¹⁰ Nazwisko tancerki Wend (Wendt) często występuje na łamach „Kuriera Warszawskiego” lat czterdziestych XIX w. Bliższych szczegółów biograficznych o niej nie udało się jednak odszukać. Tancerka Julia Trawna wyszła za mąż za Henryka Starzyńskiego (Starzeńskiego), właściciela dóbr klukowskich na Podlasiu, członka komitetu Towarzystwa Rolniczego w Warszawie w l. 1859–1863. Był on jednym z pierwszych, którzy oczynszowali włościan.

¹¹¹ O zajęciu z policją, jakie miała sławna tancerka, Lola Montez, występująca z tańcami hiszpańskimi w Warszawie w październiku 1843 r., tudzież popierający ją redaktor „Gazety Warszawskiej”, Antoni Lesznowski, wspominają także inni pamiętnikarze (Fryderyk Skarbek, *Pamiętniki*, Poznań 1878, s. 248–249, i Wilkońska, *op. cit.*, s. 197–199). Policja interweniowała na zlecenie prezesa Dyrekcji Teatrów, Abramowicza. Zdaniem Faleńskiego namówiła go do tego baletnica warszawska, Teodozja Gwozdecka, jego kochanka. Nie ze wszystkim trafia to w sedno. Lola Montez nie kryła się z tym, że sympatiami stała po stronie żywiołów radykalnych i prądów rewolucyjnych, sympatie te ujawniała nierządkiem w sposób zuchwały i wyzywający, rzucając na szalę swój ogromny rozgłos. Abramowicz mógł pozwolić na jej atrakcyjne występy, ale na krzewieniu jej sławy nie zależało mu i ze względów politycznych.

¹¹² Sans façon (franc.) — bez skrupowania, swobodnie, bez ceremonii.

¹¹³ Pałac Paca przy ul. Miodowej, obecnie Ministerstwo Zdrowia.

¹¹⁴ Pałac Kossowskich przy ul. Bielańskiej miał salony gry i dawał pomieszczenie kawiarni. W r. 1860 zaniedbany budynek kupił Jan Zawisza i na jego miejscu wystawił nowy, okazały.

¹¹⁵ Kankan — swobodny taniec francuski, naówczas przedmiot zgorszenia opinii.

¹¹⁶ Andrzej Listowski (1802–1860), amator muzyki, kompozytor; przybył do Warszawy w 1840 r.; był sekretarzem Dyrekcji Teatrów.

¹¹⁷ Ignacy Turkuł (1798–1856) pochodził z Kaliskiego, kształcił się we Lwowie i Wiedniu, w r. 1818 wstąpił do służby rządowej, w której szybko awansował, zostawszy ministrem-sekretarzem stanu Królestwa Polskiego, senatorem, członkiem Rady Państwa i Komitetu Ministrów, prezesem Komisji do Rewizji i Ułożenia Praw dla Królestwa Polskiego (nekrolog w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 1856, nr 66).

¹¹⁸ Mowa o najpopularniejszych ówczesnych salach tańca w Warszawie. Pod Trzema Murzynami znajdowała się na rogu ul. Solnej i Ogrodowej. Srebrna to być może Sala Wrocławska, najstarsza sala tańca w stolicy, konkurująca z salą Pod

Trzema Murzynami, która mieściła się na rogu Krochmalnej i Waliców (Juliusz W. Gomulicki, *Sale tańca*, „Stolica”, 1959, nr 22).

¹¹⁹ Karol Kucz (1815–1892) początkowo należał do grupy tzw. cyganów warszawskich, pisał wiersze, później ustalił swoją pozycję jako dziennikarz i redaktor (w l. 1848–1863 redagował „Kuriera Warszawskiego”).

¹²⁰ Wśród wymienionych nazwisk po raz pierwszy występują: Józef Kenig (1821–1900), dziennikarz, szczególnie związany z „Gazetą Warszawską”, jej główny redaktor w l. 1859–1889; Fryderyk Henryk Lewestam (1817–1878), w l. 1842–1843 wydawca „Roczników Krytyki Literackiej”, potem znany jako krytyk literacki, w 1864–1869 profesor historii literatury powszechnej w Szkole Głównej (Faleński będzie jeszcze o nim wspominać, najczęściej z żalem i odrazą); Ludwik Niemojewski (1823–1892), literat, w 1863–1874 był na Syberii; Konstanty Pathié (ur. 1816 lub 1817, zm. 1866), dziennikarz, krytyk artystyczny, wydawca albumów.

¹²¹ Salwian Jakubowski, dzierżawca dochodów loterii (notowany w *Skorowidzu mieszkańców miasta Warszawy na r. 1854*, Warszawa 1854, s. 118).

¹²² Michalina Rzyaszczewska (1816–1883), córka Michała Radziwiłła z Nieborowa, żona Leona, literata, wydawcy *Kodeksu dyplomatycznego polskiego* (2 tomy, 1847–1853).

¹²³ Mowa o sztuce Stanisława Bogusławskiego *Lwy i lwice*, która wyszła w drugim tomie jego *Komedii* (Warszawa 1849).

¹²⁴ Określenie „pierwowzór balzakowskiej Torpilli” odnosi się do ulicznicy, która pod tym imieniem występuje w powieści Balzaca *La Torpille* (przekład polski pióra F. Wołczaskiego pt. *Torpilla* wyszedł w Wilnie r. 1840). Później powieść tę autor włączył do większej całości *Splendeurs et misères des courtisanes*.

¹²⁵ Ze słów Faleńskiego wynika, że polskiego pochodzenia były żony: Alfonsa Bernarda de Calonne (1818–1902), redaktora i właściciela paryskiego pisma „Revue Contemporaine”, oraz Ernesta Aimé Feydeau (1821–1873), powieściopisarza.

¹²⁶ Aleksander Roźniecki, syn generała Aleksandra (1774–1845), szefa żandarmerii za czasów wielkiego ks. Konstantego.

¹²⁷ Ustawą z 28 XI 1840 r. powołano do życia Gimnazjum Realne w Warszawie, które liczyło 7 klas. Gdy ilość uczniów w nim wzrastała, podniesiono znacznie wpisowe (w 1850 r.) i wtedy zmniejszył się napływ kandydatów. Później powstały w Królestwie jeszcze trzy gimnazja realne: w Kaliszu, Kielcach i Szczebrzeszynie, ostatnie z kierunkiem agronomicznym.

¹²⁸ Najwyższe i najtańsze miejsca dla widzów w teatrze, tzw. jaskółka.

¹²⁹ Restauracja z salą tańca w Alejach Ujazdowskich.

¹³⁰ *A parte sua* (łac.) – ze swej strony.

¹³¹ Cytat z artykułu Aleksandra Tyszyńskiego *Ty, wy, pan, czyli o oznaczaniu osobowości w języku polskim (uwaga do psycholingwistyki)*, drukowanego – zgodnie z informacją Faleńskiego – w majowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” z r. 1874. Tyszyński, będąc jednym z założycieli „Biblioteki”, przez wiele lat występował na jej łamach jako krytyk; w swych wywodach był zagmatwany i niejasny.

¹³² W l. 1848–1849 gimnazjum w pałacu Kazimierzowskim zostało przekształcone na Instytut Szlachecki.

¹³³ Od słów „To, co tu mówię” do „nie zawsze było za co” dopisek na marginesie bez znaku wskazującego jego miejsce w tekście głównym.

¹³⁴ Andrzej Miszkiel wykładał prawo cesarstwa (Kucharzewski, *Epoka paskiewiczowska*, s. 467).

¹³⁵ *Свод законов* (ros.) – zbiór praw.

¹³⁶ Mikołaj Iwanowicz Pawliszczew (1802–1879) brał udział w wojnie polskiej 1831 r., po powstaniu był sekretarzem Królestwa Polskiego, od r. 1838 profesorem nauk historycznych w gimnazjum warszawskim.

¹³⁷ Piotr Aleksiejew (por. Kucharzewski, *op. cit.*, s. 467).

¹³⁸ „Rodzaj niby stowarzyszenia” młodzieży warszawskiej, stanowiący przeciwieństwo zbytkujących światowców, to tzw. entuzjaści, którzy w l. 1843–1848 łączyli się nie tylko w celach samokształceniowych (o czym w dalszym ciągu tego ustępu pamiętnika), lecz również prowadzili działalność wolnościową. Jedną z ważniejszych osób w tym ugrupowaniu był Jan Majorkiewicz (1820–1847), kolega Faleńskiego z kursów pedagogicznych i prawnych w Warszawie. Później studiował na wydziale prawnym w Moskwie, skąd wrócił do stolicy Królestwa w r. 1845 i pracował jako urzędnik w Komisji Rządowej Sprawiedliwości. Ogłaszał artykuły krytycznoliterackie i filozoficzne w czasopismach warszawskich, a szczególnie w „Przeglądzie Naukowym”, podpisując się często pseudonimem: Mazur z Płocka.

¹³⁹ Opublikowane wówczas ważniejsze dzieła i rozprawy wymienionych autorów: Bronisław Trentowski, *Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej* (Poznań 1842, 2 tomy); August Cieszkowski, *Prologomena zur Historiosophie* (Berlin 1838); *Gott und Palingenesie* (Berlin 1842); Michał Wiszniewski, *Charaktery rozumów ludzkich* (2 wydania: Kraków 1837 i 1842); Józef Kremer, *Fenomenologia ducha* (Kraków 1837); Karol Libelt, *O odwadze cywilnej* (Poznań 1843), *O miłości ojczyzny* (Poznań 1844).

¹⁴⁰ Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831), filozof niemiecki, miał w latach trzydziestych i czterdziestych XIX w. entuzjastycznych zwolenników wśród młodej generacji polskiej.

¹⁴¹ Edward Dembowski (1822–1846), znany z przekonań demokratycznych, finansował „Przegląd Naukowy” od początku jego istnienia, tj. od r. 1842, do czasu ucieczki z Królestwa w sierpniu 1843 r. Później brał czynny udział w powstaniu krakowskim 1846 r. Gdy 27 II zginął od kuli austriackiej w czasie pochodu na Podgórze Krakowskim, długo nie chciano dać temu wiary.

¹⁴² Karol Bachman (ur. 1821, zm. między 1850 a 1860), brat Lucyny z Bachmanów Ćwierciakiewiczowej, autorki książek kucharskich, prawnik, ogłosił kilka artykułów z zakresu nauk prawnych w „Bibliotece Warszawskiej”.

¹⁴³ Walenty Zakrzewski (1821–1862), literat, współpracował z pismem „Dzwon”, wydawanym przez Wilkońskiego w Warszawie w l. 1846–1853, tłumaczył Cervantesa i Chateaubrianda, od r. 1855 przebywał w Paryżu, gdzie przyjaźnił się z Norwidem.

¹⁴⁴ Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka (1819–1869), autorka artykułów filozoficznych, książki *Myśl o wychowaniu kobiet* (1843) i redaktorka „Pielgrzymy” w l. 1842–1846. Od entuzjazmu dla Hegla przeszła prędko na stanowisko jemu przeciwnie.

¹⁴⁵ „Bibliotekę Warszawską” założyli Michał Baliński, Leon Potocki i Aleksander Tyszyński, którzy na redaktora wybrali Antoniego Józefa Szabrańskiego. Pismo wychodziło od początku r. 1841. Miało charakter umiarkowany, poświęcając dużo miejsca rozprawom językoznawczym, historycznym, archeologicznym, a w dziale literackim unikając nowatorstwa i ekstrawagancji.

¹⁴⁶ Roman Zmorski, Aleksander Niewiarowski, Włodzimierz Wolski, Seweryn Filleborn (1815–1850), Józef Bogdan Dziekoński (1816–1865) należeli do awangardy warszawskiej, która wydawała „Przegląd Warszawski”, „Nadwiślanina” i „Jaskułkę”. Pisma te starały się zerwać z marazmem popowstaniowym, głosiły hasło ludowości i postępu, krytkowały dawne salony towarzyskie, arystokrację. Wymienieni pisarze ze względu na tryb życia twórczyli grupę tzw. cyganów. Na łamach „Nadwiślanina” drukował także nie-cygan Aleksander Tyszyński oraz debiutował Edward Żeligowski (pseud. Antoni Sowa, 1816–1864), autor późniejszy „fantazji dramatycznej” pt. *Jordan*. Apollo Korzeniowski (1820–1869) dał się poznać trochę później; w Warszawie drukował przekład fragmentów z *Burgrafów* Wiktora Hugo („Dzwon”, 1946), także *Komedię* („Biblioteka Warszawska”, 1854). Karol Pieńkowski (1836–1877), drugorzędny

poeta i powieściopisarz, na pole literackie wystąpił dopiero ok. 1858 r. Faleński wymienia go tutaj zapewne przez pomyłkę.

¹⁴⁷ August Wilkoński (1805–1852), autor wesołych ramot, drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej” i osobno, pochodził z Wielkopolski, żoną jego była Paulina z Lauczów, literatka (powieści, pamiętnik). Ok. 1840 r. Wilkońscy osiedli w Warszawie, prowadzili dom otwarty, który odwiedzało wielu młodych ludzi, m. in. A. i E. Dembowski, N. Żmichowska, T. Lenartowicz. W r. 1851 wyjechał w Poznańskie. Faleński jest wyraźnie niechętnie ustosunkowany do Wilkońskiego.

¹⁴⁸ Zapewne mowa o Cechu Głupców, jaki zawiązali miodzi zbierający się u Wilkońskich. Cech Głupców zamierzał wydawać pismo „Upiór Literacki”; po pokonaniu dużych trudności, stawianych przez cenzurę, doszło do publikacji „Dzwonu Literackiego”, który wychodził w l. 1846–1853.

¹⁴⁹ Spośród nich Józef Ćwierciakiewicz (1822–1869), dziennikarz, odegrał poważną rolę w przygotowywaniu powstania 1863 r.

¹⁵⁰ Powiastka Faleńskiego o zmarłym podczas cholery nosi tytuł *O złotych dziecię* i jest podpisana drugim imieniem autora: Medard.

¹⁵¹ Ojcem wspomnianych Ćwierciakiewiczów był Maksymilian, nadzorca Arsenалу (notowany w *Skorowidzu mieszkańców miasta Warszawy na r. 1854*).

¹⁵² Jan Klemens Minasowicz (1799–1854), malarz, wydał także tomik przekładów z francuskiego: *Śpiewy duchowne* (1852).

^{152a} Tadeusz Brodowski (1821–1848), malarz, w listopadzie 1841 r. wyjechał do Włoch, lecz tam nadszarpnął zdrowie wesołym życiem i zapadł na gruźlicę.

¹⁵³ Ignacego Gierdziejewskiego (zob. przyp. 86) Faleński porównuje do Wilhelma Kaulbacha, malarza niemieckiego z I połowy XIX w., uprawiającego malarstwo historyczne.

¹⁵⁴ Teodozjusz Krzywicki (1824–1849), poeta, utwory ogłaszał w czasopismach, wydawał również osobno; jego *Pisma wybrane* opublikował Faleński (Warszawa 1887).

¹⁵⁵ Głównie w *Książce pamiętek* i w *Pogance*.

¹⁵⁶ Mowa o najmłodszym z braci Narcyzy Żmichowskiej, Januszu (1814–1843), bardzo przez nią kochanym, który zmarł na gruźlicę.

¹⁵⁷ Od słów „Jako przyczynek do dziejów” do „tym sposobem obławiał” dopisek sinym atramentem bez znaku wskazującego jego miejsce w tekście głównym.

¹⁵⁸ Zob. przyp. 120.

¹⁵⁹ Kupon – odcinek od arkusza przyłączonego do papieru kredytowego, upoważniający do odbioru przypadającego procentu.

¹⁶⁰ Andriej Jakowlewicz Storożenko (1790–1857), prezes Komisji Śledczej dla badania przestępców politycznych.

¹⁶¹ Franciszek Leichte (Lajchte), były lokaj, dezertor z armii polskiej, za usługi Komisji Śledczej wyniesiony do stopnia pułkownika żandarmerii rosyjskiej, zastrzelony w powstaniu 1863 r.

¹⁶² Józef Gras (Grass), były handlarz uliczny w Warszawie, przechrzta, inspektor policji śledczej, ulubieniec Paskiewicza i Abramowicza ([Adolf Jabłoński], *Dziesięć lat niewoli moskiewskiej*. Napisał Jasieńczyk, Lipsk 1867, s. 6–9. Wiadomość o materiale zawdzięczam prof. Bogdanowi Zakrzewskiemu).

¹⁶³ Henryk Lubieński (1793–1883), syn ministra sprawiedliwości z czasu Księstwa Warszawskiego, wiceprezes Banku Polskiego po powstaniu listopadowym, i Józef Lubowidzki, ówczesny prezes Banku Polskiego. W r. 1842 obydwaj zostali zwolnieni ze stanowisk, a następnie skazani na więzienie; rok przesiadzieli w Zamościu, a przez 3 lata byli zesłani do Orenburga. O pobycie Lubieńskiego i Lubowidzkiego w Zamościu pisze Wilkońska w *Moich wspomnieniach...*, s. 411, 434.

¹⁶⁴ Od słów „W owym czasie krążyła” do „będzie już pora” dopisek czarnym atramentem.

¹⁶⁵ Fuhrmann, po upadku powstania listopadowego główny dyrektor przychodu i skarbu Królestwa Polskiego.

¹⁶⁶ Ignacy Badeni (1786–1859), od r. 1826 do końca 1835 (z przerwą po powstaniu) dyrektor funduszków Komisji Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego, miał dwóch synów: Atanazego i Seweryna. Trudno rozstrzygnąć, o którym z nich tu mowa.

¹⁶⁷ Paskiewicz zmarł 1 II 1856 r., nabożeństwo żałobne odprawione zostało 9 II 1856 r. w katedrze prawosławnej Św. Trójcy przy ul. Długiej.

¹⁶⁸ Maria z Rzewuskich Czapska, córka powieściopisarza Henryka, żona Adama, kamerjunkra dworu cesarsko-rosyjskiego, hrabiego od r. 1874.

¹⁶⁹ Ignacy Badeni (zob. przyp. 166) zajmował się także pracami literackimi, m. in. tłumaczył dzieło Augusta Nicolasa *Badania filozoficzne o chrystianizmie* (1853), napisał wierszem *Dumanie nad prawdą duszy i Boga* (1858).

¹⁷⁰ W „Dzienniku Warszawskim” ani w jego kontynuacji, „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” z r. 1856, nie znaleziono ogłoszenia o zgubionej bransoletce.

¹⁷¹ Fryderyk Skarbek (1792–1866), powieściopisarz i ekonomista, był dyrektorem Komisji Sprawiedliwości od listopada 1854 do 18 marca 1858 r.

¹⁷² Zob. przyp. autora na s. 34.

¹⁷³ Ze słów Faleńskiego wynika, że jego młodzieńcza, zaginiona, trylogia *Lech, Krak* i *Wanda* została napisana pod wpływem utworu czeskiego, zwanego *Rękopisem Krółodworskim*, który przypominał przeszłość i budził uczucia patriotyczne. W owym czasie *Rękopis Krółodworski* uchodził za najstarszy zabytek języka czeskiego; dopiero później okazało się, że jest falsyfikatem z XIX w.

¹⁷⁴ Karol Baliński pod pseudonimem: Karol B. z Jarosławca — oraz Marcin Ciepłiński, podpisujący się jako Marcin Ossoria, wydawali swoim nakładem „Snopek Nadwiślański”, którego wyszły dwa tomy w l. 1844–1845. Na wydawnictwo to, „z plodów piśmiennictwa krajowego zebrane”, złożyły się przeważnie wiersze, na ogół bardzo przeciętne.

¹⁷⁵ Mowa o tajnej organizacji sprzed 1846 r., w skład której wchodził studenci, rzemieślnicy itp.

¹⁷⁶ Leon Kapliński (1826–1873) w maju 1844 r. opuścił Warszawę, potem studiował we Wrocławiu, brał udział w powstaniu 1846 r., po 1848 zamieszkał w Paryżu; dał się poznać jako literat, a jeszcze bardziej jako malarz (obrazy treści historycznej i portrety).

¹⁷⁷ Andrzej Maksymilian Fredro (1827–1851) po szkole średniej w Lublinie i w Warszawie wstąpił do warszawskiej Szkoły Prawa, lecz latem 1844 r. uciekł ze stolicy z obawy przed poborem do wojska. Należał do konspiracji we Wrocławiu i na Śląsku, więziony przez Prusaków w 1846 r., po uwolnieniu wyjechał do Paryża, gdzie zbliżył się do Słowackiego. W 1848 razem ze Słowackim i Zygmuntem Felińskim przyjechał do Poznania, gdzie jednak został aresztowany i odesłany do Francji. Później brał udział w powstaniu w Badenii.

¹⁷⁸ Blumenfeld, sekretarz Komisji Śledczej w Cytadeli.

¹⁷⁹ Biblioteka Ordynacji Zamojskiej, przeniesiona w pierwszym dziesięcioleciu XIX w. do Warszawy, mieściła się w pałacu Błękitnym przy ul. Żabiej.

¹⁸⁰ Ignacy Lojola Rychter (ur. 1804, zm. 6 XI 1844), magister filozofii, autor pracy *Wiadomość historyczna o kościele i klasztorze księży dominikanów warszawskich*, polemizował w r. 1841 namiętnie, choć niegruntownie, z W. A. Maciejowskim na łamach „Biblioteki Warszawskiej” w sprawie jego *Pamiętników o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa Słowian* (Warszawa 1839).

¹⁸¹ Biblioteka Ordynacji Zamojskiej posiadała najstarszy tekst *Kroniki* Galla, odpis na pergaminie z XIV w. August Bielowski (1806–1876) ogłosił ten tekst w *Monumenta historica Poloniae vetustissima* (t. 1, Lwów 1864). Maciejowski wykorzystał go w *Pamiętnikach o dziejach* (zob. przyp. 184). *Nb.* Rękopis zamojski był podstawą wydania *Kroniki* przez K. Maleczyńskiego w 1952 r.

¹⁸² Cyprian Walewski (1820–1872), bibliofil, bibliograf, autor kilku rozprawek o dawnych pisarzach polskich.

¹⁸³ Zapewne mowa o rękopisie zawierającym przywileje opactwa czerwińskiego, istniejącego od XII w. Rękopis ten pochodził z 1475 r., a przechowywał się w księgozbiore Zamojskich, lecz zaginął w ostatniej wojnie.

¹⁸⁴ Wacław Aleksander Maciejowski (1793–1883), historyk, był nauczycielem Liceum Warszawskiego od r. 1818, profesorem prawa Uniwersytetu Warszawskiego od 1819, po jego zamknięciu sędzią apelacyjnym Trybunału Mazowieckiego, od 1837 profesorem literatury starożytnej w Akademii Duchownej w Warszawie, w l. 1841–1846 profesorem historii prawa na Kursach Prawnych. Jest autorem kilku poważnych dzieł naukowych, jak *Historia prawodawstw słowiańskich* (4 tomy, 1832–1835), *Pamiętniki o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa Słowian* (2 tomy, 1839), *Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830* (3 tomy, 1851–1853).

¹⁸⁵ Kazimierz Stronczyński (ur. 1809), kolekcjoner książek i monet, autor dzieła *Pieniądze Piastów za czasów najdawniejszych* (1847).

¹⁸⁶ Jan Tomasz Bogumił książę Światopełk Mirski (1788–1852), tytuł książęcy otrzymał w r. 1821, w r. 1845 przyjął amnestię, przeciwko której protestowali towarzyscy (zob. list A. Mickiewicza z 19 III 1845). Przebywał potem w Warszawie.

¹⁸⁷ Zapewne mowa o Antonim Cyprysińskim (1806–1860), wychowanku Uniwersytetu Warszawskiego, który po śmierci Rychtera zarządzał księgozbiorem Zamojskich (Bogdan Horodyski, *Zarys dziejów Biblioteki Ordynacji Zamojskiej*, w: *Studia nad książką*, Wrocław 1951, s. 326).

¹⁸⁸ Rękopis dzieła Jana Długosza pt. *Catalogus archiepiscoporum Gnesnensium et catalogus episcoporum Cracoviensium*, wykonany na pergaminie w l. 1531–1535, z 25 cennymi miniaturami, posiadał już Jan Zamojski, kanclerz wielki Stefana Batorego. Obecnie znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie (Stanisława Sawicka, *Les principaux manuscrits à peintures de la Bibliothèque Nationale de Varsovie, du Château Royal et des bibliothèques: de Zamojski à Varsovie, du Séminaire de Plock et du Chapitre de Gniezno*, „Bulletin de la Société Française de Reproductions de Manuscrits à Peintures”, 19 année, 1938, s. 222–231).

¹⁸⁹ Aniela z Sapiehów Zamoyska, żona Konstantego (zob. przyp. 190). O przypisanym jej sztychu nie udało się znaleźć dokładniejszych wiadomości.

¹⁹⁰ Konstanty Zamojski (1799–1866), wnuk Andrzeja, kanclerza wielkiego koronnego, najstarszy syn Stanisława i Zofii z Czartoryskich.

¹⁹¹ Busko, uzdrowisko w Kieleckiem ze źródłami siarczano-słonymi.

^{191a} Tak nazywa autor południową część Małopolski w granicach Królestwa Kongresowego.

¹⁹² Wymienione miejscowości leżą na pograniczu Kieleckiego i Krakowskiego: Czarkowy (Czarkowa), wieś nad rzeką Nidą, znana z kopalń siarki, w XVII w. siedziba braci Moskorzewskich, arian; miasto Korczyn, przy ujściu Nidy do Wisły, spełniało ważną rolę za Piastów (zamek); Grodzisko nad Prądnikiem, w połowie drogi między Skalą i Ojcowem, z zamkiem z XIII w.

¹⁹³ Skala, stara miejscowość w dolinie Prądnika, w powiecie olkuskim.

¹⁹⁴ Veritas in vino (łac.) – dosłownie: prawda w winie, tzn. po pijanemu mówi się prawdę.

¹⁹⁵ Od słów „Jednocześnie z zamierzonym powstaniem” do „ani choćby przypo-

minali, co się stało” dopisek na marginesie, odnoszący się do uzupełnienia, które zaczyna się od słów „Zdarzenie to warte”.

¹⁹⁶ Dobiesławice, miejscowość w pobliżu rzeki Nidzicy, w Kieleckiem.

¹⁹⁷ Od słów „W późniejszym czasie” do „opryskami stali” dopisek, odnoszący się do uzupełnienia, które zaczyna się od słów „Zdarzenie to warte”.

¹⁹⁸ Faleński wraz z żoną spędził w Zakopanem okres letni 1869 i 1870 r. (*Korespondencja Karola Estreichera z Marią i Felicjanem Faleńskimi, 1867—1903*. Z autografu wydała i komentarzem opatrzyła Jadwiga Rudnicka, Wrocław 1957, s. 37—39, 67—69).

¹⁹⁹ Książd Józef Stolarczyk (1816—1893).

²⁰⁰ Białka, wieś na Podhalu nowotarskim, nad rzeką tej samej nazwy, dopływem Dunajca. Mowa tu o wypadkach 1846 r.

²⁰¹ Adolphe Emmanuel Charles Le Flô (1804—1887), francuski dyplomata; w 1848 r. był ministrem pełnomocnym w Rosji.

²⁰² Peterhofy — pałace Piotra Wielkiego.

²⁰³ Carskie Siedo, tj. Carskie Sioło, wówczas letnia rezydencja carska w pobliżu Petersburga.

²⁰⁴ Sire (ang.) — tytuł króla: Najjaśniejszy Panie.

²⁰⁵ Frejlina (z niem. *Fräulein*) — panna dworska.

²⁰⁶ Lenta (ros. лента) — wstęga.

²⁰⁷ Chrest (ros. крест) — krzyż.

²⁰⁸ Alphonse de Lamartine (1790—1869), poeta francuski, brał czynny udział w rewolucji 1848 r.

²⁰⁹ Franciszek Józef (1830—1916), cesarz austriacki od 1848 r.

²¹⁰ Niccolò Machiavelli (1469—1527), dyplomata i historyk włoski.

²¹¹ Wir Franz Joseph (niem.) — „My, Franciszek Józef”, formuła, od której zaczęły się rozporządzenia cesarza austriackiego.

²¹² Alfred Windischgraetz (1787—1862), wódz naczelny wojsk austriackich w okresie Wiosny Ludów, działał przeciwko Węgrom walczącym o wolność.

²¹³ Jellacyc (Jellachid, Jelaczić) de Buzim (1804—1859), ban chorowacko-slawonko-dalmacki, walczył po stronie Austrii przeciw Węgrom.

²¹⁴ Joseph Wenceslaus Radecky (1806—1858), feldmarszałek austriacki, w l. 1847—1849 działał na terenie Włoch.

²¹⁵ Forytować (z niem. *vorreiten*) — popierać, protegować.

²¹⁶ Bonaparte — Ludwik Napoleon, podówczas jeszcze pretendent. Utrzymywała się plotka, że był nie synowcem, ale nieprawym synem Napoleona I.

²¹⁷ Won w katorżne (właściwie ros. *вон в каропры*) — precz na ciężkie roboty.

²¹⁸ Eugène Cavaignac (1802—1859), generał II Rzeczypospolitej Francuskiej, dyktator w czerwcu 1848 r.

²¹⁹ Barykady, wznoszone w czerwcu 1848 r. w Paryżu przez rewolucjonistów-robotników przeciw rządowi burżuazyjnemu Francji, według Faleńskiego miały też służyć interesom cara rosyjskiego, zostawiając mu większą swobodę w załatwieniu sprawy tureckiej.

²²⁰ Żyrondyści (od Gironde, nazwa prowincji francuskiej) — stronnictwo polityczne o poglądach umiarkowanych z czasu rewolucji francuskiej XVIII w. Mowa o głośnym dziele Lemartine'a *Histoire de girondins* (1846).

²²¹ François Vincent Raspail (1794—1878), chemik francuski, radykalny demokrat i polityk, brał czynny udział w rewolucji 1848 r.

²²² Józef Zachariasz Bem (1794—1850).

²²³ Napoleon III (1808—1873), brataniec Napoleona I; jego starania o obalenie Ludwika Filipa skończyły się pomyślnie: po rewolucji 1848 r. został prezydentem

Francji, w 1852 ogłosił się cesarzem. — Michel Charles Oudinot (1791—1863), generał w Algierii; polityk, po zamachu stanu w r. 1851 więziony, autor dzieł treści ekonomicznej i wojskowej. — Jan, arcyksiążę austriacki (1782—1859), syn cesarza Leopolda II, po upadku Związku Rzeszy Niemieckiej we Frankfurcie nad Menem w r. 1848 został powołany na zawiadowcę państwa w Tymczasowej Władzy Centralnej, równocześnie był zastępcą cesarza austriackiego, Ferdynanda. — Julius Jacob von Haynau (1785—1853), generał austriacki, który w r. 1848 tłumił krwawo rewolucję na Węgrzech. — Prawdopodobnie Władimir Dymitriewicz Skarjatin, ówczesny dowódca floty, późniejszy dziennikarz. — Wilhelm Willisen, generał pruski, w r. 1848 komisarz królewski w Poznaniu. — Pfuell, zapewne Pfuhl, następca Willisena na stanowisko komisarza w Poznaniu w r. 1848. — Ferdynand August Peter von Colomb (1775—1854), generał komenderujący siłami pruskimi na terenie Poznańskiego w r. 1848.

²²⁴ Risquons tout (franc.) — odważamy się na wszystko.

²²⁵ W r. 1822 na rozkaz w. księcia Konstantego klasztor karmelitów na Lesznie zamieniono na więzienie, które utrzymywało się do czasu wzniesienia Cytadeli.

²²⁶ W lutym 1848 r. rewolucjoniści we Francji odebrali władzę Ludwikowi Filipowi i ogłosili republikę. W marcu 1848 r. wybuchła rewolucja w Niemczech, a następnie w Wielkim Księstwie Poźnańskim, do którego przedzierało się wielu młodych spod zaboru rosyjskiego.

²²⁷ Zob. przyp. 154.

²²⁸ Narcyza Żmichowska należała do grona kierującego akcją spiskową w Królestwie Polskim w r. 1848. Aresztowana została w październiku 1849 i osadzona w więzieniu lubelskim, w 1852 wypuszczono ją na wolność zezwalając na mieszkanie u siostry w Lublinie. — Anna z Sokołowskich Skimborowiczowa, żona redaktora „Przeglądu Naukowego”, była założycielką tajnego stowarzyszenia kobiet w Warszawie. Aresztowana wraz z mężem (mimo że był przeciwnikiem konspiracji) o rok wcześniej od Żmichowskiej, osadzona została w Cytadeli. Wyrokiem z r. 1850 skazano ją razem z mężem na osiedlenie w guberni wołyńskiej (stamtąd pochodził Skimborowicz).

²²⁹ Andrzej-Zamoyski (1800—1874), brat ordynata Konstantego, ok. r. 1850 stanął na czele Towarzystwa Żeglugi Parowej na Wiśle. Towarzystwo to dostało od rządu monopol na 20 lat i w r. 1851 zaczęło własną produkcję statków parowych i barek.

²³⁰ Szczepreszyn, miasto nad Wieprzem, położone niedaleko na zachód od Zamościa.

²³¹ W r. 1849 gimnazjum w Szczepreszynie zamienione zostało na szkołę realno-agronomiczną, którą w 1852 zamknięto na skutek raportu „o szkodliwym wpływie nauczyciela gimnazjum szczepreszyńskiego, Fijałkowskiego, który „wymyślił i poprzylepiał na domach w mieście wezwanie do buntu”. Funduszu, przeznaczonego przez Zamoyskich na utrzymanie gimnazjum, użyto na Brzeski Korpus Kadecki (Kucharczyński, *op. cit.*, s. 369—370).

²³² Zajście to w katedrze św. Jana w Warszawie opisuje także Wilkońska (*op. cit.*, s. 235).

²³³ W Klemensowie znajdowała się siedziba Zamoyskich.

²³⁴ Antoni Feliks Barciński (1803—1878), były profesor matematyki Gimnazjum Gubernialnego w Warszawie, jako emeryt w r. 1846 został dyrektorem Zarządu Żeglugi Parowej na Wiśle.

²³⁵ Teofil Nowosielski (1812—1888) od r. 1835 przebywał stale w Warszawie, przyjaźnił się z Jachowiczem (zob. przyp. 236) i działał podobnie jak on, urządzając wzorową ochronę dla dzieci oraz pisząc książki dla młodocianych.

²³⁶ Stanisław Jachowicz (1796—1857), nauczyciel języka polskiego po domach i pensjach żeńskich, filantrop, bajkopisarz, autor wielu książek dla dzieci.

²³⁷ Zapewne mowa o zbiorcu Jachowicza *Sto nowych powiastek dla dzieci z dodaniem wierszyków moralnych*, który wyszedł w Warszawie w r. 1853.

²³⁸ Józef Edmund Paszkowski (1817–1861), poeta i tłumacz, którego główną usługą jest przekład dramatów Szekspira.

²³⁹ Losy pracy Jachowicza nad zasadami języka polskiego i słownikiem przysłów nie są znane.

²⁴⁰ Kaskada, ulica oraz park (założony przez gen. Rautenstraucha) na terenie Marymontu w pobliżu Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego.

²⁴¹ Ignacy Feliks Dobrzyński (1807–1867), kompozytor, od r. 1852 dyrektor opery warszawskiej. — Wilhelm Karol Troszel (zob. przyp. 109) był również kompozytorem. — Jachowicz, Dobrzyński i Troszel przyjaźnili się, czego dowodem są Jachowicza *Nowe śpiewy dla dzieci*, wydane w Warszawie w r. 1856, z melodiami m. in. Dobrzyńskiego i Troszla.

²⁴² Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879), bardzo czynny literat, powieściopisarz, zbieracz pieśni ludowych i przysłów, wydawca, pamiętnikarz, współredaktor, a później redaktor „Biblioteki Warszawskiej”.

²⁴³ Oskar Kolberg (1814–1890), zbieracz pieśni ludowych, autor wielkiego dzieła *Lud, jego zwyczaje, sposób życia... pieśni, muzyka, tańce* (1865–1910, około 40 tomów, obecnie wznawiane w monumentalnej edycji *Dzieł wszystkich*). — Kazimierz J. Turowski ogłaszał w Sanoku zabytki piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych do połowy XIX w. w wielotomowej serii Biblioteka Polska (1855–1862).

²⁴⁴ Wójcicki, już jako autor *Przysłów narodowych* (Warszawa 1830), z powodu udziału w powstaniu listopadowym uchodził z Królestwa najpierw do Wielkopolski, a następnie do Galicji, gdzie zetknął się z tamtejszymi postępowymi literatami, m. in. z Augustem Bielowskim i Lucjanem Siemieńskim.

²⁴⁵ Zob. przyp. 51.

²⁴⁶ Od słów „Zmarli” do „przeżywszy lat 87” wycinek z którejś z gazet warszawskich (nie z „Kuriera Warszawskiego” ani z „Gazety Warszawskiej”).

²⁴⁷ Narzekanie Faleńskiego na niepamięć o wdowie po Kazimierzu Władysławie Wójcickim nie jest słuszne, gdyż „Kurier Warszawski” 24 X 1899 r. umieścił nekrolog, a „Gazeta Warszawska” 27 X 1899 ogłosiła notatkę biograficzną, podając w niej, że zmarła „zostawiła po sobie w rękopisie obszernie pamiętniki, które rodzina obiecała nam powierzyć”.

²⁴⁸ Wyszły w 3 tomie „Biblioteki Warszawskiej” z r. 1850: na s. 124 *Tęschne chłopię*, podpisane inicjałem F., na s. 271–272 *Dziwne dziewczę*, oznaczone inicjałami F. F.

²⁴⁹ Julian Bartoszewicz (1821–1870), utalentowany historyk, współpracownik „Przeglądu Naukowego”, później innych czasopism warszawskich, w l. 1847–1848 wydalony z Warszawy, uczył w szkole powiatowej w Końskich. Gdy wrócił do stolicy, pracował początkowo również jako nauczyciel, następnie jako kustosz Biblioteki Głównej (1866–1869).

²⁵⁰ *Althea* ukazała się w „Bluszczu”, 1875, nr 13–17.

²⁵¹ Mowa o Janie Wacławie Komierowskim (zm. 1897), który pisał pod pseudonimem: Wacław Pomian.

²⁵² Czasopismo „Niwa”, założone w r. 1872 w Warszawie, było organem umiarkowanych postępowców. W latach 1874–1875 redagował je Julian Ochorowicz (1850–1917). Piotr Chmielowski (1848–1904) i Henryk Sienkiewicz (1846–1916) byli współpracownikami „Niwy”. ¶

²⁵³ Jan Aleksander Fredro (1829–1891), syn Aleksandra, też komediopisarz, i Stanisław Koźmian (1836–1922), współautor *Teki Stańczyka*, założyciel „Przeglądu Polskiego” i dyrektor teatru krakowskiego w l. 1871–1885, gościli w Warszawie w maju 1878 r.

²⁵⁴ Edward Lubowski (1837–1923), komediopisarz, krytyk teatralny, od r. 1866 mieszkał w Warszawie.

²⁵⁵ Karol Estreicher (1827–1908) był w stosunkach serdecznej przyjaźni z Faleńskim od czasu swego pobytu w Warszawie (zob. *Korespondencja Karola Estreichera z Marią i Felicjanem Faleńskimi*, Wrocław 1957).

²⁵⁶ Jan Zachariasiewicz (1825–1906), powieściopisarz pochodzący z Galicji, po r. 1848 często odwiedzał Warszawę, przyjaźnił się z Faleńskimi (*Korespondencja*, s. 35, 45, 97 i in.). — Antoni Małecki (1821–1913), filolog, od r. 1856 profesor literatury polskiej na Uniwersytecie Lwowskim. — Józef Szujski (1835–1883), literat i historyk.

²⁵⁷ Piotr Jaksa Bykowski (1823–1889), autor powieści szlacheckich, jak *Pamiętniki włóczęgi*, *Skarby prababki*, pochodził z Podola, od r. 1866 mieszkał w Warszawie.

²⁵⁸ Pseudonimy: Marii Sadowskiej (1835–1890?) — Zbigniew, Aleksandra Michaux (1839–1895) — Miron, Władysława Szancera (1847–1914) — Ordon.

²⁵⁹ W dzienniku warszawskim „Echo” z l. 1877–1879 nie udało się znaleźć sprostowania dotyczącego pisowni nazwiska autora na afiszu *Krzyżyka na drogę*, jak również daty wystawienia tej sztuki. Autograf jej znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie (brulion — rkps 5830, czystopis — rkps 5821). Ukazała się drukiem w „Bluszczu” w r. 1876.

²⁶⁰ *Termopile*, poemat w trzech pieśniach; kopia, sporządzona ręką Marii Faleńskiej, znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie (rkps 5836). Zob. też przyp. 368.

²⁶¹ Seweryn Gołębiowski (1820–1854), historyk, około 1852 r. zamieszkał na stałe w Warszawie, był współpracownikiem „Biblioteki Warszawskiej”.

²⁶² Henryk Cieszkowski (1808–1873), uczeń Liceum Krzemienieckiego, poeta i powieściopisarz, od r. 1849 przebywał w Warszawie, tłumaczył z francuskiego trzytomowe dzieło Feliksa Czackiego *Studia historyczne nad rewolucją francuską* (Warszawa 1862), napisał pamiętnikarskie *Notatki z mojego życia* (Poznań 1873).

²⁶³ We *Wspomnieniach* nie było dotąd wzmianki o zapoznaniu się Faleńskiego z Tripplinem. — Teodor Tripplin (1813–1881), lekarz i podróżnik, głośny jako autor opisów podróży i powieści podróżniczo-sensacyjnych.

²⁶⁴ L. T. Tripplin, starszy cenzor w Warszawie w l. 1850–1852.

²⁶⁵ Tj. po zniesieniu tolerancji, jaką zapewniał kalwinom we Francji edykt wydany w Nantes w r. 1598.

²⁶⁶ Feliks Czacki (1783–1862) miał posiadłości na Wołyniu, w r. 1857 wydał w Paryżu *Études historiques sur le révolution française de 1789* (3 tomy), a w 1862 przekład polski tego dzieła. Zmarł bezpotomnie.

²⁶⁷ Maria, córka Dominika Czackiego.

²⁶⁸ Aleksander Wiszniewski, ożeniony z Marcjaną z Borzków.

²⁶⁹ François Joseph Talma (1763–1826), francuski aktor tragiczny.

²⁷⁰ Ludwik Kropiński (1767–1844), autor tragedii *Ludgarda*, powieści *Julia i Adolf* oraz innych utworów, był wizytatorem szkół guberni wołyńskiej.

²⁷¹ Alojzy Feliński (1771–1820), poeta, autor *Barbary Radziwiłłówny*, od r. 1819 był dyrektorem Liceum w Krzemieńcu i profesorem literatury polskiej.

²⁷² Tadeusz Czacki (1765–1813), syn Feliksa i Katarzyny Małachowskiej, założyciel Liceum Krzemienieckiego, autor dzieła *O litewskich i polskich prawach*, właściciel cennych zbiorów w Porycku.

²⁷³ Wiktor Grzegorz Czacki (ur. 1801) syn Tadeusza, ożeniony z Pelagią Sapieżanką.

²⁷⁴ Konstancja Szeptycka (zm. 1855) i Aniela (zm. 1855), niezamężna.

²⁷⁵ Józef Korzeniowski (1797–1863), w l. 1823–1832 profesor wymowy i poezji

w Krzemieńcu, potem wykładowca na uniwersytetach w Kijowie i Charkowie, ok. r. 1850 był już głośnym dramaturgiem i powieściopisarzem.

²⁷⁶ W r. 1850 zniesiono granicę celną pomiędzy Królestwem Polskim a resztą zaboru rosyjskiego, włączonego do cesarstwa.

²⁷⁷ Jaksa Bykowski dopiero w r. 1866 osiadł w Warszawie (por. przyp. 257), tymczasem tekst pamiętnika Faleńskiego (na skutek późniejszego dopisania) stwarza mylną sugestię, jakoby się to stało zaraz po r. 1850, po utworzeniu granicy celnej.

²⁷⁸ „Przegląd Tygodniowy”, organ pozytywistów warszawskich, redagowany przez Adama Wiślickiego od r. 1871, miał jednak lepsze niż Jaksa Bykowski filary w osobach Piotra Chmielowskiego, Aleksandra Świętochowskiego i in.

²⁷⁹ Nabab (z hind.) – Europejczyk, który w Indiach zdobył duży majątek, przeźnośnie: bogacz.

²⁸⁰ Bałagula, bałagura, baragula, baragoła (z hebr.) – zawiadiaka, lekceważący przyjęte zwyczaje, rodzaj postępowca popularny na Ukrainie w połowie XIX w.

²⁸¹ Henryk Rzewuski (1791–1866), powieściopisarz.

²⁸² W Warszawie Rzewuski był od r. 1851 urzędnikiem do specjalnych poleceń przy namiestniku Paskiewiczzu, od 31 III 1851 wydawał też „Dziennik Warszawski, poświęcony wiadomościom krajowym i zagranicznym, literaturze i sztukom pięknym”. Organ, który w odcinku zamieszczał powieści głośnych współczesnych autorów polskich, a wiadomości opierał na bezpośrednich korespondencjach (nie na przedrukach, praktykowanych wówczas przez inne gazety), początkowo zdobył wielką wziętość. Kiedy jednak w maju 1851 r. ogłosił w nim ryzykowny artykuł *Cywilizacja i religia*, chwalaący *status quo*, a nawet przedstawiający religię jako jedną z podpór caratu, poczytność pisma od razu zmalała i mimo różnych usiłowań redakcji popularność pisma niewiele się podniosła.

²⁸³ Wacław Szymanowski (1821–1886) od r. 1851 współpracuje z „Dziennikiem” Rzewuskiego, drukując w nim m. in. szkice obyczajowe z życia Warszawy, później podpisuje się na gazecie jako jeden z jej redaktorów.

²⁸⁴ Magdalena (Nina) z Żółtowskich i Wacław Łuszczewscy prowadzili w Warszawie w l. 1840–1860 salon, gdzie co poniedziałek spotykali się literaci, dziennikarze, muzycy, przedstawiciele przemysłu, ziemiaństwa i handlu. Spotkania te opisuje Wilkońska w rozdziale „Wieczory poniedziałkowe pani Niny Łuszczewskiej” (op. cit., s. 38–64). Od 17 V 1852 r. w salonie Łuszczewskich improwizowała ich córka Jadwiga (Deotyma, 1834–1908).

²⁸⁵ Pałac Saski wybudowany został przez Augusta II w l. 1713–1724 przy Krakowskim Przedmieściu, pomiędzy ul. Królewską i Trębacką. Lewe skrzydło pałacu znajdowało się od ul. Królewskiej.

²⁸⁶ Od słów „Przypomina mi się” do „chodźmy spać” dopisek czarnym atramentem bez oznaczonego miejsca w tekście głównym.

²⁸⁷ Tremo, mistrz kuchni króla Stanisława Augusta.

²⁸⁸ Pogrzeb pięciu poległych od kul wojska rosyjskiego podczas manifestacji patriotycznej w Warszawie 27 II 1861 r. odbył się 2 III przy udziale tłumu Polaków i był wyrazem uczuć narodowych, przeciwrosyjskich.

²⁸⁹ Mowa o wielkim kłęczu Konstantym, bracie cara Aleksandra II, który w l. 1862–1863 był namiestnikiem w Królestwie Polskim.

²⁹⁰ Fiodor Fryderyk Rembert Berg (1790–1874) brał udział w kampanii polskiej 1831 r., mianowany głównodowodzącym wojsk i namiestnikiem Królestwa Polskiego w r. 1863.

²⁹¹ Może to Robert Wolff (Wolf, ur. 1832), współwłaściciel firmy księgarskiej Gebethner i Wolff, założonej w Warszawie w 1857 r.

²⁹² Antoni Edward Odyniec (1804–1885). – Hipolit Skimborowicz (1815–1880).

²⁹³ Stanisław Milkowski, autor *Opisu Królestwa Polskiego pod względem geografii, statystyki i historii* (Warszawa 1861).

²⁹⁴ In effigie (łac.) – na wizerunku.

²⁹⁵ Edward Prądzyński, *O prawach kobiety*, Warszawa 1873.

²⁹⁶ Risum teneatis (łac.) – wstrzymajcie śmiech, nie śmieście się.

²⁹⁷ Stanisław Zamoyski (1820–1890), żonaty z Różą Potocką, właściciel Podzamcza, pałacu przy ul. Siennej w Warszawie.

²⁹⁸ Od słów „Nadskakiwania te” do „o to do zamku” dopisek czarnym atramentem.

²⁹⁹ Po ogłoszeniu tego tekstu przez Przeclawskiego w monografii *Felicjan Medard Faleński* w r. 1922 wywiązała się od razu ożywiona polemika na łamach czasopism, jak „Bluszcz”, „Rzeczpospolita”, „Tydzień Polski”, „Kurier Warszawski”, „Nowa Reforma”. Zabierali w niej głos: K. Bartoszewicz, A. Kraushar, W. Przeclawski, E. Krzymuski, W. Rabski i in. Broniono Deotymę przed zarzutem kolaboranctwa z rządem rosyjskim, ale i oskarżano. Nikt z oskarżających nie przytoczył jednak dowodów, że szkodziła rodakom. Ostatecznie – tak jak i Faleński – wyjaśniano, że improwizatorka otrzymywała rentę od rządu za swoje kokietowanie Berga (tak również tłumaczy sprawę K. Tokarzówna w artykule *Odwiedziny wieszczki*, drukowanym w *Literackich przystankach nad Wartą* pod red. Z. Szweykowskiego, Poznań 1962, s. 382).

³⁰⁰ Leon Dembowski (1789–1878), ojciec Edwarda, senator-kasztelan Królestwa Polskiego od r. 1830, członek Rady Stanu i dyrektor Komisji Rządowej Sprawiedliwości w r. 1861, następnie dyrektor Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, prezes Komisji Emerytalnej, prezes Najwyższej Komisji Edukacyjnej.

³⁰¹ Paweł Kotzebue (1801–1880), generał armii Paskiewicza, w styczniu 1874 r., po śmierci Berga, mianowany generał-gubernatorem warszawskim.

³⁰² Kasztelan Dembowski miał dwie córki z żony Seweryny Chłędowskiej: Jadwigę i Marię. Trudno ustalić, o której z nich mowa.

³⁰³ Janusz Rostworowski, cesarsko-rosyjski szambelan i dyrektor stadnin rządowych w Janowie, następnie ochmistrz dworu rosyjskiego, żonaty z wdową po Franciszku Potockim, zmarła 22 XI 1885 r.

³⁰⁴ Zofia z Chodkiewiczów Ossolińska (zm. 1871) przyjaźniła się z Faleńskimi, o czym świadczy list Marii Faleńskiej, pisany do Estreicherów 9 XI 1871 r. (*Korespondencja*, s. 106).

^{304a} Wdowa cliquot – firma wina szampańskiego.

³⁰⁵ Dwutomową powieść Deotymy *Na rozdrożu* drukował „Tygodnik Ilustrowany” w nrach 1–33 z 1876 r.

³⁰⁶ Od słów „który dziwnym duchem sprzeczności” do końca tekst główny i wszystkie uzupełnienia pisane czarnym atramentem.

³⁰⁷ Mowa o „Dzienniku Warszawskim”, do którego redakcji m. in. należał Wacław Szymanowski.

³⁰⁸ W „Gazecie Warszawskiej” z l. 1856–1860 nie znaleziono artykułu Prusinowskiego o improwizacjach Deotymy.

³⁰⁹ W autografie wyraz „naprawa” w znaczeniu „namowa” ma niewątpliwie związek z określeniem staropolskim „napraw”, tj. namowa, poduszczenie.

³¹⁰ O Reszce brak danych biograficznych. – Karol Kucz (zob. przyp. 119) został wywieziony do Rosji w r. 1863. – Franciszek Węgleński (Węgliński), współwłaściciel „Roczników Gospodarstwa Krajowego” w r. 1854, członek Komitetu Towarzystwa Rol-

niczego, działającego w Warszawie w l. 1858–1861 (Władysław Grabski, *Historia Towarzystwa Rolniczego, 1858–1861*, Warszawa 1904, t. 1, s. 164; t. 2, s. 10, 329; ustalenie to zawdzięczam dr Halinie Chamerskiej).

³¹¹ Wojciech Święcki (1825–1873), rzeźbiarz, autor popiersi, medalionów (m. in. Mickiewicza).

³¹² Jan Ksawery Kaniewski (1809–1870), malarz, od r. 1845 profesor w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, po śmierci Kokulara (1859) dyrektor tej Szkoły.

³¹³ W Krakowie Deotyma była pierwszy raz w r. 1854, później w 1881. Z tego jej ostatniego pobytu Faleński miał dokładne relacje dzięki Karolowi Estreicherowi (list z 16 III 1881, *Korespondencja*, s. 192).

³¹⁴ Aluzja do wzrastających nastrojów narodowo-patriotycznych w Królestwie Polskim, które poprzedziły wybuch powstania 1863 r. Dnia 29 XII 1860 r. w liceum polskim, mieszczącym się na przedmieściu Paryża Batignolles, po odśpiewaniu przez młodzież hymnu *Jeszcze Polska nie zginęła* Deotyma improwizowała wiersz *Do młodzieży polskiej*.

³¹⁵ Od słów „Śmierć Skimborowicza” do „wyższych usposobień udziałem” dopisek bez oznaczonego miejsca w tekście głównym.

³¹⁶ Skimborowicz umarł w 1880, Odyniec – w 1885 r.

³¹⁷ Jan Zachariasiewicz obchodził 40-lecie pracy powieściopisarskiej w r. 1895 (większa jego powieść, *Uczony*, wyszła w 1855). Z okazji tego jubileuszu „Tygodnik Ilustrowany” w nrze 17 z r. 1895 drukował artykuł Heleny Janiny Rogozińskiej (Hajoty) pt. *Jan Zachariasiewicz. Sylwetka jubileuszowa*.

³¹⁸ Deotyma zmarła w r. 1908.

³¹⁹ Zob. przyp. 108.

³²⁰ Zob. przyp. 84.

³²¹ Mowa o ucieczce Lenartowicza z Warszawy w sierpniu 1848 r. z obawy przed aresztowaniem.

³²² August Frejer (Freyer, 1803–1883), organista, kompozytor i nauczyciel, od r. 1836 organista kościoła ewangelicko-augsburskiego w Warszawie, od 1861 profesor Instytutu Muzycznego Warszawskiego.

³²³ Ignacy Komorowski wyjeżdżał do Włoch dla poratowania zdrowia, wróciwszy, wkrótce zmarł, w r. 1857, w Warszawie. Faleński akurat w tym czasie przebywał w Lubelskiem (zob. niżej).

³²⁴ Dwa dramaty Fryderyka Schillera.

³²⁵ Zob. przyp. autora a na s. 41 oraz przyp. wydawcy 150.

³²⁶ Widocznie w Komitecie Egzaminacyjnym przy Kursach Dodatkowych Pedagogicznych Faleński zdał po r. 1850 egzamin na nauczyciela szkół powiatowych i odpowiadających im szkół prywatnych. Warto przypomnieć, że po reformie gimnazjów w 1840 r. (znoszącej ostatnią klasę) autor *Wspomnień* przeszedł na Kursy Dodatkowe Pedagogiczne, aby skończyć swoją naukę. Wtedy jednak poziom Kursów był wyższy niż później, po reformie z r. 1842.

³²⁷ Opera Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego *Monbar, czyli Flibustierowie* w trzech aktach z librettem Seweryny Pruszkowej i Ludwika Paprockiego, napisana jeszcze w r. 1838, wyszła drukiem w Warszawie 1863. W związku z tym wydaniem Pruszkowa ogłosiła w „Bibliotece Warszawskiej”, 1863, t. 1, s. 384–386, list, w którym m. in. pisze: „Z wielkim podziwieniem ujrzałam na okładce wydrukowane moje nazwisko, za mały bowiem udział wzięłam w tej pracy, abym mogła przyznać się do niej”. Na dowód przytacza ustępy libretta ze swego rękopisu i odpowiednie z druku, wskazując rozbieżności pomiędzy nimi.

³²⁸ Leopold Otto (1819–1882), pastor protestancki, autor wielu książek religijnych. Nie ustalono jednak, czy został zrealizowany ów nowy przekład protestanckiego kan-

cjonatu (jak z dalszych zdań *Wspomnień* wynika — przez Włodzimierza Wolskiego) i czy był drukowany.

³²⁹ Jan Fryderyk Wilhelm Malcz (1795—1852), lekarz, autor rozpraw medycznych, wydawca „Pamiętnika Lekarskiego” w l. 1829—1830 i współwydawca „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego” w r. 1837.

³³⁰ Jan Kanty Gregorowicz (1818—1890), pseud. Janek z Bielca, autor licznych powieści dla ludu, zanim w r. 1849 przeniósł się do Warszawy, posiadał w Sandomierskiem wieś dziedziczną, w której przez kilka lat gospodarzył; niewątpliwie też miał tam różne znajomości.

³³¹ Na Łysicy, tj. Łysej Górze, jednym z najwyższych szczytów Gór Świętokrzyskich, w XII w. powstał klasztor benedyktynów, który, odbudowywany po wielu wojnach, istniał w czasach Faleńskiego tak, jak istnieje i dzisiaj.

³³² Karwów, wieś nad rzeką Opatówką, miejsce urodzenia Wincentego Kadłubka.

³³³ Tudorów, wieś i folwark nad rzeką Opatówką w powiecie opatowskim.

³³⁴ Opatów, w powiecie radomskim, posiada kolegiatę, w której znajdują się nagrobki Krzysztofa Szydłowieckiego i innych członków tej rodziny, stanowiące arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej XVI w.

³³⁵ *Kwiaty i kolce* zob. przyp. 19 i 20. *Świstki Sylena* ukazały się w Poznaniu w r. 1876. O losach innych wymienionych tu utworów będzie mowa w dalszym ciągu *Wspomnień*.

³³⁶ W autografie „wszystkiego”, a powinno być „wszystko”.

³³⁷ *Wiano królowny* ukazało się w 6 nrze „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” z r. 1856.

³³⁸ Syn Józefa Wiczorkowskiego, jednego z założycieli Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych, które, utworzone w r. 1872, prowadziło instytut wychowawczy dla małoletnich przestępców w Studzieńcu.

³³⁹ Henryk Jabłoński (1828—1868), kolega Leonarda Sowińskiego, autor poematu *Gwido* oraz dumek i wierszy drukowanych w pismach lwowskich, później zamieszkał u wschodnich brzegów Afryki. — Jerzy Laskarys publikował poezje i utwory prozaiczne w piątym i szóstym dziesiątku XIX w. po czasopismach warszawskich i wileńskich. — Wincenty Korotyński wszedł na pole literackie za pośrednictwem Syrokomli, pisał wiersze, obrazki, tłumaczył Bérangera. — Zachariasiewicz zob. przyp. 256 i 317. — Alfons Wilczyński (1829—1900), autor powieści *Kłopoty starego komendanta* i in. — Jan Prusinowski, autor *Poezji* (Warszawa 1856), wydawca niektórych utworów Słowackiego i materiałów związanych z jego życiem. — Władysław Wiczorkowski (ur. 1833 lub 1834, zm. 1857) ogłaszał artykuły w „Bibliotece Warszawskiej” i „Dzienniku Warszawskim”.

³⁴⁰ Wojna Rosji z Turcją, wspomaganą przez Anglię i Francję, prowadzona w l. 1854—1856 przeważnie na Półwyspie Krymskim, zakończona klęską Rosji.

³⁴¹ Wincenty Krasiński (1783—1858), ojciec poety (Zygmunta), w okresie powstania listopadowego stał po stronie cara, później należał do grona zaufanych rządu.

³⁴² Zob. przyp. 117.

^{342a} Statut Organiczny z lutego 1832, nadany Królestwu zamiast zniesionej konstytucji, zostawiał jeszcze niektóre swobody autonomii. Ograniczono go raz po raz, a w r. 1847 zniesiono całkowicie. Turkuł się ludzi, że teraz uda się go przywrócić.

³⁴³ Mowa o śmierci cara Mikołaja I.

³⁴⁴ Sylistrii (twierdzy, położonej na prawym brzegu dolnego Dunaju, na ziemiach należących do państwa tureckiego) Paskiewicz nie zdołał zdobyć w r. 1855.

³⁴⁵ Faleński wyraża panujący wówczas pogląd, że car Mikołaj I na skutek klęsk ponoszonych w wojnie z Turcją popełnił samobójstwo.

³⁴⁶ O przekleństwie matki Artura Zawiszy, przywódcy polskich partyzantów, powieszono go w Warszawie w 1833 r., które miało gnębić Paskiewicza przed śmiercią, pisze również Skąrbek (*op. cit.*, s. 275—276).

³⁴⁷ Jan Jezierski (1786—1858), długoletni marszałek szlachty guberni lubelskiej, zwolennik ugody z caratem (wspomina go Wilkońska, *op. cit.*, s. 246, 414).

³⁴⁸ Aleksander II (1818—1881), syn Mikołaja I, car od r. 1855, zginął w zamachu.

³⁴⁹ Mowa o IV tomie Poezji Mickiewicza wydania paryskiego z 1832 r., który zawiera III część *Dziadów*.

³⁵⁰ Z okazji pobytu cara Aleksandra w Wilnie, 6 i 7 września 1858 r., została wydana księga w języku rosyjskim i polskim pt. *Album wileńskie*. Rozpoczyna ją napis „Na pamiątkę pobytu Najjaśniejszego Cesarza”. Zawartość księgi stanowią: wiersz Antoniego Edwarda Odyńca *Przyjdź Królestwo Boże*, opis gościny cara pt. *Dzień 6 i 7 września 1858 r.* pióra Ignacego Chodźki, Историко-статистические очерки города Вильны Adama Honorego Kirkora i *La Lithuanie* Mikołaja Malinowskiego. Recenzja pt. *Odstępcy*, potępiająca to carofilskie wydawnictwo, ukazała się w emigracyjnym organie paryskim „Wiadomości Polskie” 3 V 1860 r. (nr 6). Autorem tego nie podpisanego omówienia jest Julian Klaczko (1825—1906).

³⁵¹ Bien intentionné (franc.) — przychylny, życzliwy.

³⁵² Istotnie w r. 1865 „Gazeta Warszawska” z poezji drukowała przeważnie utwory Ludwika Kondratowicza (gawędy, wyjątki z jego większych utworów).

³⁵³ W r. 1857 w odcinku „Gazety Warszawskiej” drukowane były: Kaczkowskiego *Bajronista*, Korzeniowskiego *Krewni* i Chodźki *Rodzina Tamierana na Zmudzi*.

³⁵⁴ Od 1854 r. do września 1857 Niewiarowski ogłaszał w „Gazecie Warszawskiej” tygodniowe pogawędki na tematy aktualno-kulturalne, które na początku nosiły znak gwiazdki i od niego dostały nazwę „gwiazdek”. Ówczesny sprawozdawca z krakowskiego „Czasu”, podpisujący się kółkiem z kropką, relacjonuje o tym felietonie Niewiarowskiego: „Nie wchodzimy w powody, jak i dlaczego, dość że potrafił obudzić zajęcie; i gdy jedni wykrzykiwali na artykuły jego, drudzy z największą niecierpliwością wyglądali ich ukazania się” (nr 288 z 17 XII 1857). Piotr Chmielowski, pisząc później o „gwiazdce” Niewiarowskiego z „Gazety Warszawskiej”, stwierdza, że nie odznaczała się bezstronnością ani starannością, a mimo to interesowała.

³⁵⁵ Muszkieterią pamiętnikarz nazywa młodych literatów warszawskich, działających ekstrawagancko w latach czterdziestych XIX w. („cygani” i grupa przy Wilkońskim), zaznaczając, że z nich się wywodzi też późniejsza działalność Niewiarowskiego.

³⁵⁶ Do zajścia między Niewiarowskim i Kenigiem, prawą ręką Antoniego Lesznowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej”, przyszło przy końcu września lub w październiku 1857 r. (jeszcze 24 IX drukowany był felieton Niewiarowskiego w „Gazecie”, a 29 X donosił „Czas”, że Niewiarowski opuścił „Gazetę Warszawską”). Wtedy Niewiarowski przeniósł się do „Gazety Codziennej”, której został właścicielem i głównym redaktorem (w r. 1859 sprzedał ją Kronenbergowi).

³⁵⁷ W l. 1847—1851 Niewiarowski był za granicą, m. in. w Paryżu, gdzie poznał się z Juliuszem Słowackim i został wielkim miłośnikiem jego poezji, dając temu wyraz wielokrotnie w swych artykułach krytycznych.

³⁵⁸ Protopopeja (z grec.) — uosobienie, figura stylistyczna, polegająca na przypisywaniu cech ludzkich przedmiotom lub osobom nieżyjącym.

³⁵⁹ Piis manibus (łac.) — czcigodnym ceniom przodków.

³⁶⁰ Cupio dissolvi (łac.) — pragnę wyzwolenia.

³⁶¹ Mowa o obrazie Henryka Siemiradzkiego *Świeczniki chrześcijaństwa*, przedstawiającym męczeństwo pierwszych chrześcijan za czasów Nerona, z umieszczonym

na nim cytatem z Ewangelii św. Jana (rozdz. I, w. 5): „Et tenebrae eam (lucem) non comprehenderunt” — „a ciemności jej (światłości) nie ogarnęły”.

³⁶² Kazimierz Giedroyc pod pseudonimem: Kazimierz Snopek — wydał w Warszawie w r. 1862 zbiorek pt. *Kilka urywków wierszy*.

³⁶³ Adam Maszewski drukował w Warszawie w r. 1862 *Próbki poetyczne*.

³⁶⁴ Konstanty Górski (1827—1901), ziemianin, polityk konserwatywny, w l. 1856—1858 należał do współwłaścicieli „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, o czym zresztą wspomina Faleński.

³⁶⁵ *Z daleka i z bliska* wyszło w dodatku miesięcznym „Czasu” z września 1856 r.

³⁶⁶ Przekład niemiecki pt. *Von Nah und Fern*, dokonany przez Mariana Emila Pola, drukowany był w nrach 92—112 „Krakauer Zeitung” z r. 1857.

³⁶⁷ W zachowanym fragmencie *Wspomnień* brak wyjaśnienia, w jaki sposób doszło do serdecznych stosunków Faleńskiego z Lenartowiczem. Prawdopodobnie Lenartowicz po przeczytaniu *Z daleka i z bliska* wystosował jakiś list z uznaniem dla autora. Korespondowali bowiem później z sobą (w papierach Faleńskiego nie dochowały się te listy, miał je jednak w rękach Przeclawski, który w monografii *Felicjan Medard Faleński. Żywot i dzieła*, Poznań 1922, pisze o nich, cytując kilka ustępów). Faleński dedykował też „T. Lenartowiczowi, bratu” powiastkę *Ponad źródłem* (autograf w Bibliotece Narodowej w Warszawie, rkps 5853, druk w „Tygodniku Ilustrowanym”, 1861, nr 104—105) oraz zbiór wierszy *Odgłosy z gór* (Warszawa 1871).

³⁶⁸ W dodatku miesięcznym „Czasu” wyszły: w styczniu 1857 r. powieść *Zamiennik* (podpisana: F. Medard), w kwietniu 1857 poemat w trzech pieśniach *Termopile* (podpisany: Felicjan), w czerwcu 1857 wiersze *Złoty cielec*, *Afrodyte Anadiomene* i *Kochanka króla Cefrena* (podpisane: Felicjan). *Zaślubin św. Katarzyny* nie udało się odnaleźć.

³⁶⁹ Pierwszy raz w Krakowie Faleński był razem z żoną w lecie r. 1869 (*Korespondencja*, s. 36—39).

³⁷⁰ O Franciszku Trzeciekim (1807—1875), założycielu Towarzystwa Oświaty w Galicji, jako o kimś znanym Faleńskiemu pisze Estreicher w liście z 26 III 1870 r. (*Korespondencja*, s. 57).

³⁷¹ W zachowanej partii *Wspomnień* brak innych informacji o stosunkach Faleńskiego z Wincentym Polem. Poemat Faleńskiego *Pod Kannami* ukazał się w „Kłosach” z 28 IV 1870 r., nr 252, i zapewne z tego pisma był czytany ociemniałemu Polowi. Stąd wydaje się prawdopodobne, że Faleński odwiedzał Pola nie za pierwszej bytności w Krakowie, lecz za następnej, w r. 1870 (*Korespondencja*, s. 66—67).

³⁷² Autor wymienia nazwiska ówczesnych pisarzy i dziennikarzy galicyjskich: Walerego Łozińskiego (1837—1861), powieściopisarza, lub jego brata, Władysława (1843—1912), redaktora „Gazety Lwowskiej” i jej dodatku, „Przewodnika Naukowego i Literackiego”; Juliusza Sztarkła (Starkła, Starkiela, ur. 1834), redaktora „Dziennika Literackiego” i powieściopisarza; Ludwika Powidaję, nakładcę i redaktora odpowiedzialnego „Przeglądu Polskiego” w l. 1866—1874; Aleksandra Szukiewicza (1816—1885), redaktora politycznego „Czasu” od r. 1852; Antoniego Kłobukowskiego (1813—1892), jednego z redaktorów „Czasu”; Władysława Zawadzkiego (ur. 1821), historyka i dziennikarza lwowskiego, autora *Grodów polskich* (1866) i tłumacza *Historii cywilizacji Anglii* Buckle’a (1867).

³⁷³ Faleński poznał się ze Stanisławem Tarnowskim (1837—1917) pierwszy raz w r. 1871, gdy omawiali warunki druku sztuki *Syn Gwiazdy* w „Przeglądzie Polskim”. Utwór ten brał udział w krakowskim konkursie teatralnym, który się odbył w lutym 1871 r. Do jury tego konkursu wchodził Tarnowski. Sztuka Faleńskiego nie otrzymała nagrody, jedynie wzmiankę w sprawozdaniu konkursowym, którego autorem był Estreicher, przyjaciel autora *Syna Gwiazdy*. Po wyjściu sztuki drukiem

w „Przeglądzie Polskim” w r. 1871 Faleński był niezadowolony z powodu otrzymania 300 egzemplarzy odbitek (zamiast 500) i błędów w utworze. Nie chciał też nic więcej drukować w „Przeglądzie Polskim” (*Korespondencja*, 77—79, 143).

³⁷⁴ Mowa o recenzji *Kwiatów i kolców*, ogłoszonej przez Siemieńskiego w dodatku miesięcznym do „Czasu” z listopada 1856 r.

³⁷⁵ Tłumaczeniem *Odysei* Homera zajmował się Siemieński od r. 1844, ogłaszając poszczególne pieśni („Orędownik Naukowy”, 1844; „Przyjaciel Ludu” 1847). Przekład całości wyszedł dopiero w r. 1874.

³⁷⁶ W dochowanym fragmencie pamiętnika brak dokładniejszej relacji o śmierci Ignacego Komorowskiego.

³⁷⁷ Gazeta, stanowiąca kontynuację „Dziennika Warszawskiego”, pod nazwą „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” istniała do końca r. 1860 (potem nabył ją Niewiarowski i wydawał pt. „Pszczoła”).

³⁷⁸ Powieść Felicjana *Nad morzem* drukowana była od 1 do 13 nru „Bluszczu” w r. 1865 (3 X—26 XII).

³⁷⁹ Édition revue, corrigée et considérablement augmentée (franc.) — wydanie przejrzane, poprawione i znacznie powiększone.

³⁸⁰ Nie udało się znaleźć artykułu, w którym Lewestam krytykował powieść Faleńskiego *Nad morzem*.

³⁸¹ Aleksander Tyszyński (1811—1880), zob. przyp. 131.

³⁸² Na spójniku i urywa się tekst *Wspomnień* w rękopisie.

³⁸³ Jan Alojzy Matejko (1838—1893).

³⁸⁴ Z kontekstu wynika, że Faleński, zwiedzając Kraków, chciał złożyć hołdowniczą wizytę Matejce i że... nie został przyjęty. Przypisuje to wyniosłości i zarozumiałstwu mistrza. Bodajże się myli. Jak skądinąd wiadomo, w podobny sposób obszedł się z nim naonczas także Stanisław Tarnowski. Powód był inny, choć trudno powiedzieć, do jakiego stopnia Felicjan się w tym orientował. Powodem był ojciec jego Józef, a raczej osława, jaka jego nazwisku towarzyszyła. Był on dygnitarzem w sądownictwie warszawskim (zob. przyp. 11) i w okresie walki rządu z konspiracją patriotyczną stał się oddanym, ślepym narzędziem Nowosilcowa. W procesach politycznych był jego prawą ręką i wyróżnił się bezwzględnością i okrucieństwem w śledztwach. Odegrał rolę podobną, jaką w procesie filareckim osławił się Botwinko. Nic dziwnego, że społeczeństwo patriotyczne polskie z podobną odrazą odnosiło się do jednego i drugiego i długo po śmierci ojca przenosiło niechęć na syna. Przyjęcia krakowskie są tego przykładem. Jeżeli Felicjan zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia nazwisko jego było osławione w opinii publicznej, tłumaczyłoby to poniekąd, dlaczego jako pisarz występował pod pseudonimem, a w życiu osobistym do tak znacznego stopnia był zgorzkniałym odludkiem.

³⁸⁵ Z objaśnień Z. Łotockiego w „Wiadomościach Literackich” wynika, że do spotkania doszło w hotelu Saskim w Krakowie. Faleński, jego żona Maria z Trembickich i Seweryna Duchńska byli tam na obiedzie. Spotkanie było zapewne przypadkowe.

³⁸⁶ Żona Matejki, Teodora z Giebułtowskich, była osobą nie zrównoważoną, chorośliwie złośliwą i zazdrosną, stała się dla męża powodem wielu udręczeń. Kronikaż życia i działalności Matejki, Marian Gorzkowski (*J. Matejko, epoka lat dalszych do końca życia artysty. Z dziennika prowadzonego w ciągu lat siedemnastu*, Kraków 1898), mnóstwem wypadków zilustrował to nieszczęście rodzinne artysty.

³⁸⁷ Aniela Jenikowa (zm. 1869), żona redaktora „Tygodnika Ilustrowanego”, Ludwika.

³⁸⁸ Stefania z Grabowskich Estreicherowa (1836—1917).

³⁸⁹ Józef Majer (1808—1899), prezes Krakowskiego Towarzystwa Naukowego,

antropolog, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, był głównym organizatorem pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, który odbył się we wrześniu 1869 r. w Krakowie. Obraz Matejki *Unia Lubelska* był wystawiony 11 IX 1869 r. (Marian Gorzkowski: *O artystycznych czynnościach Jana Matejki od lat jego najmłodszych, to jest od r. 1850 do końca roku 1881*, Kraków 1882, s. 57).

³⁹⁰ Władysław Florkiewicz (1834—1902), lekarz, zasłużony działacz społeczny, autor kilku prac naukowych, mieszkał na terenie zaboru rosyjskiego.

³⁹¹ Stanisław Wyspiański (1869—1907).

³⁹² *Dialog* tzw. *dominikański*, trzydniowe misterium dramatyczne o Męce Pańskiej z pierwszej połowy XVI w., nie dochowane.

³⁹³ *Szkolna mizeria*, dramat satyryczny z XVII w., z kręgu tzw. literatury rybałtowskiej.

³⁹⁴ Percy Bysshe Shelley (1792—1822), poeta angielski, którego dramat *Promeusz rozpętany* w tłumaczeniu Feliksa Jezierskiego ukazał się w Warszawie 1887 r.

³⁹⁵ Zapewne mowa o Paulinie Kuczalskiej-Reinschmittowej i Marii Czarnowskiej-Loevy (pseud. Szeliga), które na przełomie XIX/XX w. brały czynny udział w ruchu emancypacyjnym kobiet, pisały na ten temat artykuły i oczywiście wygłaszały odczyty.

³⁹⁶ Mowa o artykule Kazimierza Tetmajera pt. *Wielki poeta*, drukowanym po entuzjastycznym przyjęciu *Wesela* w nrach 44, 46—47, 49—50 „Tygodnika Ilustrowanego” z r. 1901. Faleński będzie jeszcze kilka razy wracać do tego artykułu.

³⁹⁷ Określenie „gemońskie schody” pochodzi z rzymskich *Gemoniae scalae*, tj. schodów bez możliwości zatrzymania się, prowadzących w głąb studni, do której spychano przestępców. Z tekstu wynika, że Faleński miał jakieś przykre zajście ze Stanisławem Przybyszewskim. Nie udało się jednak wyjaśnić, co to było. Może mu nie przyjął do „Życia” jakiegoś nadesłanego utworu?

³⁹⁸ W poemacie filozoficznym Samuela Taylora Coleridge’a (1772—1834) pt. *The Ancient Mariner* — zgodnie ze słowami Felicjana — bohater, Żeglarz, jest na weselu. Fragmenty tego poematu ogłoszono w przekładzie polskim Stanisława Kryńskiego w *Angielskich poetach jezior* dopiero w 1963 r.

³⁹⁹ W krytycznym wydaniu *Wesela* jest: „ogniem piernól, ogniem łysną!” (akt 2, scena 27).

⁴⁰⁰ Mowa o odczycie Stanisława Przybyszewskiego, poświęconym Janowi Kasprovczowi, pt. *Syn ziemi*, wygłoszonym w Krakowie w czerwcu 1900 r. (sprawozdanie z odczytu w „Kraju” petersburskim, 1900, nr 24, dział ilustrowany, s. 326—327), i o artykule Władysława Bukowińskiego *Stefan Żeromski. Z powodu nowej powieści* pt. „*Ludzie bezdomni*” w nrach 1—2 „Prawdy” z 1900 r.

⁴⁰¹ Wymienione tu osoby to literaci czynni naówczas w Warszawie: Waleria z Malletskich *1 voto* Morzkowska, *2 voto* Marrené (1832—1903), powieściopisarka i autorka wielu szkiców z życia literackiego; Ignacy Matuszewski (1858—1919), krytyk i kierownik literacki „Tygodnika Ilustrowanego” w latach 1898—1907; Władysław Jabłonowski (1869—1956), publicysta i recenzent piszący m.in. na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w latach 1899—1900.

⁴⁰² Właściwie tytuł utworu Lucjana Rydła brzmi *Zaczarowane koło* (druk. w „Bibliotece Warszawskiej”, 1899, i osobno: 1900).

⁴⁰³ Faleński cytuje 1 wydanie *Wesela*, Kraków 1901. Fragment z aktu 3, sceny 13.

⁴⁰⁴ *Wesele*, wyd. cyt., akt 3, scena 2.

⁴⁰⁵ Kontekst wskazuje, że Felicjan stawiał o wiele wyżej L. Rydła, twórcę *Zaczarowanego koła*, od Wyspiańskiego, który w *Weselu*, użyczając wielu jego rysów Panu Młodemu, zdaje się traktować swego przyjaciela z żartobliwą pobłażliwością.

⁴⁰⁶ Poemat Tetmajera *Podczas wiatru z Tatr* drukowała „Biblioteka Warszawska” w zeszytcie lutowym 1902 r., s. 274—289.

⁴⁰⁷ Jacques Delille (1738—1813) swoimi opisowymi utworami poetyckimi zdobył za życia wielki rozgłos w ojczyźnie Francji i za granicą.

⁴⁰⁸ Mowa o *Pochwale Józefa Szymanowskiego* wygłoszonej przez Stanisława Kostkę Potockiego na posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1801 r. Potocki chwali w niej nadmiernie przekład Szymanowskiego *Le temple de Gnide* Montesquieugo.

⁴⁰⁹ Z noweli Marii Konopnickiej pt. *Z włamaniem*.

⁴¹⁰ Pierre Corneille (1606—1684), dramaturg francuski.

⁴¹¹ Przepisanie się Faleńskiego; powinno być: Mieczysławskiej, a nie: Miecznikowskiej.

⁴¹² Maurice Maeterlinck (1862—1949), pisarz belgijski, twórca dramatu symbolicznego. Ponad Szekspira wyniósł go Zenon Przesmycki (Miriam) w studium, które stanowi przedmowę do Maeterlincka *Wyboru pism dramatycznych* (Warszawa 1894).

⁴¹³ Dramat Edmunda Rostanda *Cyrano de Bergerac* miał trzy przekłady polskie w r. 1898: jeden w Krakowie, podpisany inicjałami A. O., i dwa w Warszawie — Bolesława Londyńskiego i Marii Konopnickiej.

⁴¹⁴ Giambattista Marino (1569—1625), poeta włoski doby baroku.

⁴¹⁵ Wycinek z „Nowej Reformy” nr 544 z 25 listopada 1908 r.

⁴¹⁶ W rzeczywistości jest to pierwsza zwrotka lirycznego wiersza Stanisława Wyspiańskiego, bez tytułu, napisanego w Rymanowie 22 VII 1903 r.

FELICJAN MEDARD FALEŃSKI

TAŃCE ŚMIERCI

UWAGI WSTĘPNE

Tańce śmierci, najbardziej kłopotliwy utwór Felicjana Faleńskiego, w całości zachowały się w rękopisie Biblioteki Narodowej (nr 5828) w Warszawie. Autor ogłosił drukiem kilka zaledwie fragmentów, niewielkie oczywiście dających wyobrażenie o całym dziele. W trzecim tomie *Pism dramatycznych* (Kraków 1899) znalazły się dwa monologi Lucjana Daniela, monolog *Widzenia Lilii*, *Intermezzo* – w rękopisie noszące tytuł *Tajemnicze jasełka w zwaliskach Belwederu* – i scena misteryjna w Smocznej Jamie. Numeracja tych fragmentów różni się nieco od rękopiśmiennej, lecz fakt ten świadczy tylko o nieustaleniu całości. W obecnym wydaniu utrzymana będzie numeracja zgodna z czystopisem. Zachowany również brulion (rkps 5829) pozwala na określenie chronologii niektórych cząstek kompozycyjnych, nie tyle jednak dostarcza nam dat, ile sposobności do określenia czasowego następstwa poszczególnych partii. Faleński datował utwory drobniejsze, samodzielne liryki, satyry, lecz jego tekst ciągle dat już nie mieści, toteż wcielone do *Tańców śmierci* drobiazgi poetyckie użyczają niejednokrotnie potrzebnych wskazówek. Zestawienie czystopisu z brulionem informuje nas, że układ *Tańców śmierci* nie jest ściśle chronologiczny, chociaż rzeczywiście najwcześniejsze są początkowe sceny części pierwszej, a być może najpóźniejsza jest kończąca całość groteska *Posiedzenia członków Brazylijskiego Towarzystwa Poszukiwaczy Starożytnych Zabytków*. A jednak początkowy wiersz, który pozwalamy sobie nazwać „argumentem”, w brulionie znajduje się na pozycji siódmej, stanowiąc tam wewnętrzny komentarz odautorski. Nieobecny w brulionie *Hymn spoza kraty* pochodzi z roku 1885, jak świadczą *Melodie z domu niewoli* (rkps 5839). Zaświatowe *Intermezzo* rozpoczynające część drugą kończy się trzema oktavami, lecz w brulionie tworzą one całość z dwiema innymi, które należą do sceny w Smocznej Jamie. Ze względu na adres zawartej w tej scenie trawestacji *Ody do młodości* trzeba cząstkę tę odnieść do okresu modernizmu, a to oznacza sam schyłek XIX stulecia. I takich poszczególnych cząstek jest sporo, lecz niektóre Faleński włączył pomiędzy napisane wcześniej. W brulionie widzimy zbiór najrozmaitszych kart, kartek i karteczek, są tam poźółkie ze starości, czerpane tuż obok glansowanych i bielutkich, niewątpliwie nowszych, a więc pochodzących z ostatniego dziesięciolecia.

Trudno określić gatunkowo całość *Tańców śmierci*, zaczęte były jako dramat, ściślej – poemat dramatyczny, lecz po wkroczeniu liryki odautorskiej i partii narracyjnych przeobraziły się w luźny gatunkowo cykl. Wszystko jednak zostało przez autora ponumerowane w sposób ciągły: sceny, liryki, opowiesci, satyry. A więc „nie wiadomo co, czyli romantyczność”, w dodatku na początku niewątpliwa, skoro pierwsze sceny powstawały przed rokiem 1860. Dla opisu całości potrzebna nam

i numeracja ciągła, i ścisła nomenklatura gatunkowa cząstek, ponieważ nie zawsze autor stosował tytuły. Podając więc liczby porządkowe zgodnie z intencją poety, musimy zgodnie z prawdą określać cechy gatunkowe cząstek, toteż będziemy je nazywać: scena 1, opowieść 29, legenda 30 itp.

Brak gatunkowej i tematycznej spójni w *Tańcach śmierci* widać już było w drukowanych dawniej fragmentach, lecz w podobnej redukcji trudno było mówić o zrozumieniu intencji pisarza. Utwór to nieudały, a nawet potworkowaty, miejscami bardzo słaby, miejscami świetny, nie stanowi on jednak niezrozumiałej, hermetycznej całości. Poszczególne cząstki i ich grupy zachowują się autonomicznie, toteż można określić, do jakiego zagadnienia, do jakiego wycinka rzeczywistości odnosi się dana scena czy dana partia narracyjna. A jednak omylił się co do wymowy poszczególnych fragmentów nie byle kto, bo Wilhelm Feldman: „Nadzwyczajnie zajmującym jest szereg fragmentów Felicjana pt. *Tańce śmierci*. O ile z urywków można sądzić, jest to parodia romantyzmu w formie wprowadzonej przez najprawdziwszy romantyzm” (*Współczesna literatura polska*, wyd. VII, s. 28). Omyłka Feldmana polegała na tym, że nie odczytał w *Intermezzo* satyry na pozytywizm ani w scenie w Smocznej Jamie satyry na modernizm. Zwiódła go parodia *Ody do młodości*. Parodia romantyzmu znajduje się, owszem, w *Tańcach śmierci*, lecz w rękopiśmiennych partiach części pierwszej. Hrabina Thiana to portret romantycznej „wielkiej damy” kochanej przez uboższego poetę. Zna takie damy i Norwid — Palmyra, Lia, Maria Harrys są to powinowate hrabiny Thiany, choć o sobie nie wiedzą. A pokojowa Phoebe jest tylko głupsza od pani Bovary, ale według podobnego wykroju uszyta. Takie wysoki antyromantyczne były tuż przed rokiem 1860 najzupełniej na czasie. Tę część *Tańców śmierci* pozwólmy sobie nazwać „dramatem epigonów”, po nim jednak czytać nam przyjdzie co innego, a mianowicie fragment dramatu o powstaniu styczniowym. W porze walki starej i młodej prasy *Tańce śmierci* wzbogaciły się o satyrę atakującą pozytywizm, pretensjonalne emcypantki, grynderów (Ganzmann) i system rządów w Kraju Przywiślańskim. Potem przyszła kolej na rozprawę z modernizmem, stulecie rozbiorów dało początek biblijnie i dantyszkowo stylizowanym wizjom historiozoficznym, a okres rodzących się rewolucji proletariackich i zbrojnego pokoju państw imperialistycznych odbił się w katastroficznej grotesce *Posiedzenia* brazylijskich archeologów.

Poetyka części pierwszej istotnie trąci myszką, dramat epigonów przypomina nazbyt *Dziady* wileńskie i początek *Kordiana*, sceny powstania — *Dziady* drezdeńskie i trzeci akt *Kordiana*, może i *Nie-boską komedię*. W dalszym ciągu obok dantyszkowej scenerii polskiego Piekła uderzy nas rytm anhelicznej prozy. To prawda. Problematyka własnego pokolenia, problematyka powstania, problematyka martyrologii narodowej wyrażone zostały środkami romantycznymi, a więc po epigońsku. Nie inaczej też wygląda rozprawa z modernizmem, wychowanym właśnie w Smocznej Jamie u stóp Wawelu pod opieką stańczykowskiej „straży pożarnej”, w młodości starczym i pozbawionym wiary. Jednakże rozprawa z pozytywizmem uderza nas artystyczną świeżością. Bardzo trafnie posłużył się tam Faleński poetyką dialogów rybałtowskich, niedarmo wprowadzając króla Marchołta, królestwa Dzwonkowe i Żołędne, Małgorzatkę tańczącą z huzarami i karykaturę Fausta, czyli emcypowaną królową Febronię. A jak komiczna jest jej dama dworu, Marfissa! W dodatku ta straszliwa góra gruzów Warszawy i niemiecki *Drang nach Osten*! Zastanowić też nas może problem rewolucji proletariackiej w ujęciu Felicjana, który w tym samym stopniu potępia militarizm, co lęka się światowej rewolucji, w tym samym stopniu rozumie konieczność socjalizmu (myłonego zresztą z nihilizmem), co wątpi w postęp świata ku dobru. Wynika stąd pesymizm poety i interpretacja dziejów jako straszliwego tańca śmierci. Byłby ten pesymizm podobny do modernistycznego, gdyby nie

przeróżne konstrukcje mistyczne, którymi podpira Felicjan swą na Schopenhauerze kształconą filozofię. Ambicją *Tańców śmierci* była synteza drugiej połowy XIX wieku i ta się nie udała. Chybione dzieło życia starego poety zawiera wszelako kilka interesujących fragmentów. Uwaga dopisana ołówkiem: „Poniekąd dalszy ciąg pamiętnika” świadczy o związku *Tańców śmierci* z drukowanymi w tomie niniejszym *Wspomnieniami z mojego życia*. Zbieżna jest też z pamiętnikiem inwektywa na „cyganerię warszawską”, włożona w usta Nieznajomego czerwieńca w scenie ósmej. Reszta jest istotnie dalszym jego ciągiem. Ale groteski przypominają nam co innego: *Króla Ubu* Jarry’ego i *Zieloną gęś* Gałczyńskiego, może i *Zakopanoptikon* Struga. I to właśnie jest najciekawsze.

Tekst *Tańców śmierci* nie nasuwa nam większych kłopotów, ponieważ rezygnujemy z wprowadzania wariantów tekstu w brulionach. Należy jednak omówić układ całości.

Czystopis mieści się w dużym zeszytcie folio (35 × 24 cm), bez linii, liczącym 103 karty. Na pustej karcie 1 recto mieści się przytoczona już notatka, mówiąca o związku z pamiętnikiem. Wierzch karty drugiej, tytułowej, został ścięty jakby dla usunięcia epigrafu, może tego, który znalazł się na karcie tytułowej części drugiej. Notatka o zaczęciu utworu przed rokiem 1860, również ołówkiem, wpisana została nieco niżej linii odcięcia. Na odwrocie karty tytułowej znajduje się wiersz „argument”: „Chcę, by ten dzieciuch gnany był w ojczyźnie // Niesnaski rządzeń”. Nie chodzi tu o ojczyzna, ale o „ojczyzmę”, o ziemię-macochę.

Część pierwsza

Scena 1 i dalsze, aż do sceny 6 włącznie, pisane są jednym ciągiem na kartach: od 3 recto do 16 recto, nie zapisanej do końca. Na czystopisie znajdują się liczne poprawki stylistyczne dokonane później, ale tylko w scenie 5 spotykamy się z poprawką naklejoną na tekście pierwotnym. Są to wiersze: od połowy 2 do 12 włącznie i wiersz 15. W brulionie sceny 6 przytoczone zostały trzy triolety *Antiquam exquirite matrem!* i sonet *Exoriatu!*, a także długa elegia *Dangouleh*. W brulionie mieści się ona na osobnej karcie i nosi dokładną datę: „Szczepbrzeszyn, 24 lutego 1857 r.” Oprócz tego w luźnych fragmentach (rkps 5847, k. 24) znajduje się tekst prawie identyczny, o nieco innym zakończeniu.

Poczekaj na mnie! ... Wieje, pierzcha coś, ulata,
Dobranoc... już mnie więcej nie tęsknić ze świata.

Po zakończeniu elegii znajdujemy tam dwa wiersze ze *Świstków Sylena* (*Afrodyte Anadiomene* i *E pur si mouve*), widocznie jednoczesne, a więc powstałe krótko po wydaniu *Kwiatów i kolców* (1856), a na długo przed wydaniem *Świstków Sylena* (1879).

Wszystkie te sceny w brulionie następują po sobie bez przerwy i po nich zjawia się wiersz-argument, po nim zaś monolog Lucjana stanowiący scenę 7.

Scena 7 rozpoczyna się na karcie 17 verso, kończy zaś na wklejonej karcie 18 recto. Przypuszczać należy, że została wpisana później, ale jeszcze przed dokonaniem numeracji, i że wymagała dodatkowego miejsca. Czyste karty 16 verso i 17 recto wskazują, że w tym miejscu miała przypadać granica części kompozycyjnej, jakby pierwszego aktu dramatu epigonów. Monolog Lucjana w scenie 7, coś w rodzaju wprowadzającej Kordiana na Mt Blanc, narzuca już z pozycji późniejszych wątek udziału bohatera w powstaniu styczniowym, wątek zresztą nie rozwinięty w dalszym ciągu. Wtedy też zjawić się musiał „argument” wpisany na odwrocie karty tytułowej. Monolog należy do nielicznych fragmentów drukowanych w *Pismach dramatycznych*.

Scena 8 rozpoczyna się na karcie 19 recto. W brulionie tekst wplecionego tu *Hymnu węglarzy* zaznaczony jest incipitem i dołączony w całości na osobnej karcie (21); jest to kwit pocztowy z roku 1861, wyprzedzający nieco datę napisania wiersza (Stryhów, 19 czerwca 1861). Data ta zbiega się historycznie z utworzeniem pierwszych dziesiątek organizacji czerwonych, do czego są w wierszu przejrzyste aluzje. Niezłe był o tym widać Faleński poinformowany i wyraźnie ze sprawą się wówczas solidaryzował. Odwiedziny dziedzicznej wsi żoninej i wizyta latem u szwagra, Gotarda Turny, nie musiały mieć zresztą celów ubocznych, choć je mieć mogły. Sama scena 8 jest prawdopodobnie późniejsza, popowstaniowa, została w brulionie włączona pomiędzy scenę 6 i scenę 9, a chyba potem poprzedzona sceną 7 i „argumentem”. Brulion nosi na sobie liczne poprawki, o nich też świadczy wklejenie karty 20 do rękopisu.

Scena 9 rozpoczyna się na karcie 21 recto, kończy zaś na 22 recto. Teksty liryczne w brulionie zaznaczone są w incipitach, przynależały one pierwotnie do cyklu *Harmonie jesieni* i z wyborem wierszy z tego cyklu znajdują się w *Pieśniach późniejszych* (Kraków 1893) jako pozycja: „II. Ghazell” (I — tam nie ma). Trudno na podstawie obu rękopisów wnioskować, czy „polityczne” zakończenie sc. 9 nie zostało dodane później. W tym wypadku jednak można by zaliczyć tę scenę do wcześniejszego zarysu dramatu epigonów.

Scena 10 może się tak zwać tylko w przybliżeniu, bo to już liryka roli, *Widzenie Lili* i *Hymn spoza kraty*. Mieści się na kartach 22 verso i 23 recto. W brulionie odnajdujemy ją na świeżutkim liniowanym półarkusiku listowym, lecz *Hymn*, widocznie nieco wcześniejszy, zaznaczony został tylko tytułem. Należy ten liryk do *Melodii z domu niewoli* (rkps 5839, poz. 14, k. 18 recto) i tam znajduje się data 1885 z notatką: „do *Tańców śmierci*”. Tekst troszkę się różni, są tam mniej szczęśliwe: „Twych skrzydeł szwały”. Numeracja scen odtąd się zmienia: począwszy od *Widzenia Lili* zaczynają się skreślenia numerów niższych i podwyższenia ich o jeden. Można sądzić, że scena 10 (liryk sceniczny) została wpisana na pozostawionej pustej stronie już po wpisaniu następnego *Intermezzo*. Puste karty wynikały stąd, że Faleński właśnie zamknął część pierwszą.

Część druga

Scena 11 (10), *Intermezzo*, znajduje się na kartach 25 verso—27 recto. Dopełniają ją na tej samej stronicy trzy oktawy liryczne. W brulionie brak tytułu *Intermezzo* i oktaw, które odnajdą się później, natomiast papier brulionu w tej scenie i w poprzedniej okazuje się identyczny, omówione więc zmiany redakcji zaszły w kolejności podanej poprzednio, ale w bardzo zbliżonym czasie. Tym to bardziej prawdopodobne, że czystopis *Intermezzo* ma doklejone aż dwie karty (26 i 27), sama zaś scena rozpoczyna się trochę niewłaściwie verso. Ze względu na osobę Stańczyka można sądzić, że oktawy są jakby nagrobkiem zmarłego w roku 1883 Józefa Szujskiego.

Scena 12 (11) jest chyba wcześniejsza, i to znacznie. Rozpoczyna się na karcie 29 recto i na dwu linijkach kończy verso, w brulionie jest to arkusik zapisany dwustronnie (karta 27), stanowiący całość z kartą 28, na której już jest scena następna.

Sceny 13—15 (12—14), począwszy od karty 31 recto (po czystej karcie 30), stanowią jeden ciąg „nocy styczniowej”. W brulionie mieszczą się na różnego koloru arkusikach listowych, podwójnych, oczywiście znacznie starszych niż bielutkie karty 24 i 25. Można sądzić, że są to prawif: dokumentarne zapiski, bliskie czasom powstania.

Liryk sceniczny 16 na karcie 33 verso, tuż po ostatniej scenie „nocy styczniowej” zakończony recto, w brulionie zaznaczony został tytułem hymnu *Morituri te salutant* (brul. k. 32 recto).

Dwie notatki ołówkiem na karcie 34 recto to wzmianka o śmierci Mieczysława Romanowskiego pod Józefowem i o śmierci Lili jako sanitariuszki pod Ignacewem.

Scena 17 (16) znajduje się na kartach 35–37 recto. W brulionie jest to luźna kartka 33 zapisana dwustronnie i podwójny arkusik, na którym (w połowie karty 34 verso) zaczyna się scena, a raczej grupa scen następnych.

Sceny 18–22 (17–21) zaczynają się tuż po scenie 17 na karcie 37 recto. Rozpoczyna je *Śpiew idących na śmierć*, przechodzący w scenę uliczną (sc. 18) itd. W brulionie *Śpiew* ten występuje tylko w tytule, jest to znany wiersz *Zaplata po pracy*, 9 pozycja *Melodii z domu niewoli* (k. 10) z dopiskiem: „W dzień egzekucji członków RN.” – a więc piątego sierpnia 1864 roku.

Scena 23 (22), znajdującą się na kartach 41 recto–42 verso, zamyka się lirycznym komentarzem w postaci wiersza „Choćby ci w prawdy obronie”. W brulionie (k. 38 recto–39 verso) widzimy liryk ten na osobnym półarkusiku żalobnego listu z napisem *Harmonia XXXII* i datą 7 kwietnia 1897. Dodatek to bardzo późny.

Karta 43 – zupełnie czysta.

Liryki 24 (23) są zupełnie różnego gatunku: A) Karta 44 recto zawiera niby monolog Lucjana. Jest to doklejona ćwiartka, a przypisany bohaterowi monolog nosi cyfrę XII, znamy go jednak z *Pieśni spóźnionych* jako XI *Harmonii jesieni*, odmieniana cyfra pochodzi z różnych redakcji cyklu i w *Tańcach śmierci* jest zbyteczna, toteż ją pomijamy. B) Należąca do właściwego zeszytu karta 45 mieści recto dwa meandry oznaczone pierwotną liczbą porządkową 23. Meandry te zostały opuszczone w trzecim wydaniu (*Meandry. Strzępy myśli rozwianych*, Warszawa 1904) z powodu cenzury, ale w rękopisie 5844 mają kolejność 348 („Wielkiego płacząc Kazimierza”) i 347 („W krakowskim rynku, w noc świetlaną”). Meander 348 nie powstał chyba z okazji królewskiego pogrzebu w roku 1869, lecz później, drugi może się łączyć ze stuleciem insurekcji. Całej tej trójki liryków brak zupełnie w brulionie, są to zatem dość późne interpolacje, szczególnie pozycja A.

Satyra 25 (24), nosząca w czystopisie tytuł *Intermezzo*, a więc jakby rozpoczynająca trzecią część *Tańców*, znajduje się na kartach 50 i 51. W brulionie – na kartach 41–42. Data: 1875 powtarza się w *Melodiach z domu niewoli* (pozycja 11, karty 13–15). Ze względu na jej intermedialny charakter poprzedzamy ją interpolacją: [Część trzecia].

Scena 26 (25), *Tajemnicze jaselka w zwaliskach Belwederu* wraz z kontynuacją w postaci prozy (jak *Biblia targowicka*), znajduje się na kartach 52–58. W brulionie: karty 43–48. Jako *Intermezzo* została wydrukowana w *Pismach dramatycznych*.

Opowieść 27 (26) znajduje się na karcie 62, po kilku kartach czystych. Brulion (k. 43–48) nosi datę 8 kwietnia 1899, a więc powstał tuż przed oddaniem innych fragmentów do druku. Stąd można przypuszczać, że Faleński drukował je przed zakończeniem całości.

Scena 28 (27), drukowana jako fragment XXX w *Pismach dramatycznych*, nosi w brulionie datę 3 kwietnia 1899, o kilka dni wyprzedza więc poprzednie opowiadanie. W brulionie są to karty następujące: A) kompletna kopia na kartach 50, 51 i 54, B) część brulionu na karcie 52 recto, mającej rachunki domowe z roku 1883, a wreszcie C) karta 53 zawierająca pięć oktaw, z których dwie tworzą odautorski komentarz *Hymnu samobójców* (trawestacji *Ody do młodości*), trzy zaś dalsze należą do *Intermezzo* rozpoczynającego cz. II.

Opowieść 29 (bez zmiany numeracji odtąd) na kartach 71–75, ma również kilka brulionów: A) opowieść o Piekłach polskim na kartach 55–57, B) kopię tego rękopisu na kartach 58–59, C) brulion opowieści o Czyścicu na kartach 61–64 z datą 1897. Jest to także data *Harmonii* wpisanej po scenie 23.

Legenda 30 *Chusta Weroniki*, uscenizowana jako opowieść Lutuwera, mieści się na kartach 79–80, w brulionie: 65–66, z datą 1890. Drukowana była poprzednio w *Pieśniach spóźnionych* jako pozycja X cyklu *Sponad mogił*.

Liryki 31 i 32, kilkuzwrotkowe meandry spoza zbioru, noszą daty: „Wielki Piątek 1891” i „9/1 92”, drugi z tych wierszy został wklejony na ćwiartce o prostokątnej kratce; brak ich w brulionie.

Scena 33 rozpoczyna się na k. 99 recto, kończy na karcie 102 verso, ostatnia uwaga odautorska sięga do 1/3 strony. W brulionie są to karty 68–70.

Liryk bez liczby porządkowej, *Dopowiedzenie*, znajduje się na karcie 103 verso. Jest to XX *Harmonia jesieni*, drukowana w *Pieśniach spóźnionych*. W brulionie zamiast niej mamy nie drukowaną (rkps 5847) *Harmonię IV*, na kartce z zapisanymi ołówkiem tytułami cyklu *Odgłosy z gór* (Warszawa 1871):

Nad mogiłami

Nad mogiłami szumią drzew widziadła,
Bo przez nie dzionek z nieba bram przebłyska —
I buja senno cień ich jak kołyska,
Od której pierzcha noc czuwaniem zbladła.

I patrz — gdzie tylko jasność [znów] upadła —
Diamentów strojne budzą się zjawiska
Czy też nadziemskich kwiatów skarb — choć z bliska
Nikie to tylko ziemskich łez zwierciadła.

Czyżby spod cichej mogił tych osłony
To, co im niegdyś zwierzył druh młodzieńczy,
Setnymi pociech dziś wschodziło plony?

Pewnie. Tak błogo niebo im się wdzięczy —
I tak doprawdy z siedmiu barw spleciony
Gra w nich blask wschodni — jak w przymierza tęczy.

Sonet ten jest oczywiście wcześniejszy od *Dopowiedzenia*, inną też ma wymowę, brzmi w nim nadzieja zwrócona jeszcze ku ziemi, *Dopowiedzenie* spoza grobu patrzy w zaświaty.

Z opisu kodeksu zawierającego *Tańce śmierci* i z porównania go z brulionem wynika jasno, jak trudno przychodziła Faleńskiemu poetycka synteza epoki. Na dramat swojego pokolenia porwał się jeszcze w młodości, ale zbił go z wytkniętej drogi rozwój wypadków politycznych po roku 1860. Na syntezę powstania styczniewego nie mógł się zdobyć, chyba z powodów podobnych do tych, które wystąpiły u wielkich romantyków po roku 1831. A Faleński absolutnie im nie dorównywał, idąc ich drogami natomiast miał perspektywy o wiele bardziej czarne, wprost rozpaczliwe. W dodatku ideologia powstań została oficjalnie wyklęta przez stańczyków i przez pozytywistów. Stąd się wzięła groteskowa satyra na pozytywizm. Ale *Tańce śmierci* dażył poeta wciąż uczuciem przywiązania i postanowił je skończyć. Ten koniec wygląda przeważnie bardzo żałośnie. Jest to mozolna składanka różnych fragmentów wiersza i prozy, niekiedy samych w sobie dobrych, razem bardzo nijakich. Na siłę wchodziły tu utwory z różnych lat, ale nie nadsztukowały olbrzymich luk. Ratowała całość, rzekomo w romantycznym stylu rozbitą, kompozycyjnie otwartą, miały nawet puste karty. Jest ich pod koniec mnóstwo. Na początku są to tylko estetyczne przerwy, potem — pustki: 46–49, 59–60, 68–70, 76–78, 81–95, czyżby tam miało coś jeszcze się zjawić? Chyba nie. Na początku wydawało się, że scena 33 powstała na ostatku, teraz wiadomo, że ostatnie są opowieści o widzeniach Lucjana. Archeologiczna groteska je poprzedza i może, jako przeznaczona na koniec i wpisana do kodeksu, oddzielona była od *Jasełek* trzydziestką pustych kart, choć w czasie nie tak odbiegła daleko. Obie te groteski są zresztą związane ideowo, operują podobnymi środkami ekspresji, podobną techniką figur kukiełkowych, toteż należy je traktować jako chronologicznie dość bliskie, ale kompozycyjnie rozbite przez scenę misteryjną otoczoną opowieściami. W ten sposób domniemana trzecia część *Tańców śmierci* nie jest cał-

kowicie bezkształtna, występuje troista struktura całości: dramat epigonów, dramat powstania styczniowego, tragigroteska współczesności. Tryptyk ten bez powodzenia starał się Faleński powiązać osobą Lucjana i podwatować wstawkami odrębnymi poetycko. A to było najgorsze.

W całości – pomimo niedociągnięć artystycznych, co gorsza, zwichnięcia koncepcji, pomimo nudnej niekiedy dewocji, kliwej apoteozy Jasnej Góry – występuje jednakże moralna i patriotyczna postawa Faleńskiego, który potępia wyzysk i ucisk człowieka, protestuje przeciwko niewoli i przeciwko zgodzie na nią, buntuje się przeciwko władzy pieniądza i pięści, jak przystało zabląkanemu w imperializm wychowańcowi Wiosny Ludów.

Tekst *Tańców śmierci* nie nasuwał zasadniczych trudności, jest dostatecznie czytelny, zwłaszcza w późniejszych partiach, i w swojej fragmentarycznej strukturze – kompletny. Opracowanie rękopisu wymagało decyzji co do ortografii i interpunkcji. Faleński pisze zasadniczo bezbłędnie, ale manierycznie, nadużywa dużych liter inicjalnych, czasem dla rzadszych nazw, czasem dla etosu i patosu. Jego interpunkcja początkowo bywała niedokładna, np. brakło w niej przecinków przed *że*, później systematycznie się różni od konwencjonalnej, przed *że* zjawia się dwukropek. Z reguły występuje on po czasownikach wprowadzających mowę zależną: *wiem, mówię, wierzę* itp. Tekst został zmodernizowany i znormalizowany bez zachowania wskazanych odrębności graficznych. Inaczej należało potraktować takie osobliwości, które odpowiadają cechom języka Faleńskiego albo wyrażają, choćby błędnie, jakiś zamysł artystyczny.

A więc należało zachować formy: *tęschnić, tęschnota* itd. W czasie pisania *Tańców śmierci* panowała ona niepodzielnie, ustąpiła zaś po roku 1900. Jest to провинjonalizm, ale niektórzy poeci romantyczni zachowują go wskutek adideacji, tak jest z Karolem Balińskim, Narcyzą Zmichowską i Faleńskim. Błąd ten jest u nich nacechowany stylistycznie, oni chyba „usychają z tęschnoty”. Zachowujemy też naturalnie nieliczne rusycyzmy składniowe, które się wkradły w język poety: *chorągiew których...* zamiast *których chorągiew, stan, wprost z którego...* i in.

Stylizacja dialogu zdąża w *Tańcach śmierci* w kilku kierunkach: nadziemskie *Intermezzo* ma lekką archaizację, *Tajemnicze jasełka* niekiedy wpadają w gwara, innym razem w barbaryzm łamanego języka, to znów w szarżowanie słowami pełnymi erudycji. Najważniejsze kierunki to gwara i język łamany. W ugwarowaniu zdarzają się dobre obserwacje: *posetem, pukwaterek*, ale obok nich zasadnicze błędy w mazurzeniu; jeden chłop ma *ojczyznę*, drugi *ojczyznę*, jeden powiada poprawnie z punktu widzenia gwary: *cysorz*, drugi *taza się*. Omyłki te należy zachować, usunięcie ich fałszowałoby tekst. Język łamany z niemiecka i z żydowska można ocenić głównie ze względu na jego funkcję komiczną, narzecz „boćwińskie” Wojdyły dobrze go charakteryzuje. Najtrudniej osądzić łamaninę polsko-rosyjską majora Jazłowieckiego. Jego rosyjski język nasycy się polonizmami, a wśród tych polonizmów krzewią się rusycyzmy. Jest to język konstruowany, fantastyczny, absurdalny, ale właśnie dlatego nie do poprawiania, gdyż ma on charakteryzować hybrydę, Polaka renegata w carskiej służbie.

Specjalne wypadki zachowania pisowni autorskiej należy usprawiedliwić. Zachowujemy pisownię *Gete* zamiast *Goethe*, ponieważ występuje ona w kontekście komicznym. Zachowujemy *Prorok* i *Lutnista*, wprowadzone nie tylko dla emfazy. Wypadki szczegółowo wyjaśnia się w przypisach. Wszystkie spisy osób są interpolacją wydawcy.

TAŃCE ŚMIERCI¹

CZEŚĆ PIERWSZA: LUCJAN DANIEL

OSOBY

Lucjan Daniel — poeta
 Onyx — jego przyjaciel (Podróżny)
 Lutuwer — przyjaciel poprzednich
 Lilia — ukochana Lucjana Daniela
 Hrabina Thiana — ukochana Lutuwera
 Służący Lutuwera
 Grabarz Jacenty
 Pocztylion Bartłomiej
 Noemi — stara wróżka, cyganka
 Phoebe — pokojowa Thiany
 Dangouleh — dziewczyna murzyńska służąca u Thiany
 Nieznajomy — czerwieniec (różny od szpiega w cz. II)
 Jędrus Modrzewski
 Oliwski — jego przyjaciel
 Gospodarz oberży

Chcę, by ten dzieciuch gnany był w ojczymie
 Niesnaski zrządzeń... Lucjan ma na imię,
 Gdyż mu nad skronią zorza rozedniały,
 A Daniel przeto, iż jest śnieżnobiały —
 A także jako ten, co w lwiej pieczarze
 Swój żywot spędza, aż mu Pan rozkaże,
 By wyszedł stamtąd w pole czynów chwały,
 Chorągiew których gromem burz spłowieje
 I krwawą kartę ich — ten świat zdydziały
 Wypruje z księgi, w której mgłą się dzieje.
 A przecież Pan Bóg dar ten ofiarniczy
 Przyjmie i w drgnięcia życiodawcze wliczy...

1

Dzika okolica leśna. Gwar polowania w oddaleniu. Wchodzi Lucjan, sądząc, że jest sam, za nim Onyx.

ONYX

Czekaj. Gdzie idziesz?

¹ Tytuł utworu poprzedza Faleński dwiema uwagami: „Poniekąd dalszy ciąg pamiętnika” i „Zaczęte jeszcze przed rokiem 1860”.

LUCJAN

spozstrzegając się

Śledziłeś mię?

ONYX

Słowo

Gorzkie! Lecz mniejsza. Z dawna chwilę ową
Schwytać pragnąłem. Chcesz, bym został, czyli
Mam odejść?

LUCJAN

Zostań.

ONYX

Mówisz to z wahaniem,
Lecz — stać się musi. Obadwa zostaniem
Lub pójdziem oba. Posłuchaj — od chwili
Niedawnej dziwne widzę w tobie zmiany.
Tyś smutny.

LUCJAN

Smutny?

ONYX

Tak jest. Zadumany,
Unikasz gwaru. Z miejsc, gdzie radość gości,
Skrycie do cichej wzdychasz samotności.
Nieraz wśród uciech i hucznej zabawy
Ust uśmiechowi przeczy wzrok twój łzawy.

LUCJAN

Zda ci się.

ONYX

Mówisz, nie podnosząc czoła —
Ty mię nie zwiedziesz. Oko przyjaciela
Widzi i sercu troskę swą udziela.
Wzrok widzi — serce czuje łzy. Tyś zgoła
Nie ten, co dawniej.

LUCJAN

Prawda. Lecz przeminie
Stan ten. Sam nie wiem, co to jest.

ONYX

Nie wierzę.
Nie mówisz prawdy. Wiesz, lecz chcesz jedynie
Wiedzieć sam jeden.

LUCJAN

A więc wyznam szczerze:
Tak jest. Mnie dziwno. Mnie jest, jakby szatan
Dał cios w zwierciadło duszy mej, skąd zmysły
Drobnymi szczątki z wstrętem się rozprysły,
Coś każdy niby jeden z drugim zbratan,
Nie czują spójni między własną wolą
I chceniem ducha; ten sobie — ta sobie.
Duch w lot chce — ciało szponą się sokołą
Przy ziemi trzyma. W ciągłej strony obie
Walce bez zwycięstw. A jam, jak na niwie
Kłos chwian od wiatrów, kędy zechcą. Oto
Choroba moja, którą ci tęschnotą
Nazwę tymczasem; gdyż to jest właściwie
Czczość —

ONYX

Czczość?

LUCJAN

I przesył —

ONYX

Przesył? Dziwne słowa
Z twych ust ja słyszę.

LUCJAN

Widzisz, w dwie połowy
Łamie się życie. Jedną wszelki nowy
Dzień powszednieje, a druga połowa
Na dni świątecznych blasków albo chowa
Moc swą na chwilę, gdy się nieba wzburzą.
A wyście obie radzi wyżyć sami!
Wy wyżywacie zbyt szybko, zbyt dużo —
Jam nie jest w stanie wydażyć za wami.
Jam między wami dziecię, duch prostaczy
Sił słabych, stopy słabej, czy też raczej
Skąpiec, rad skarb swój używać po trosze.

Co zechcesz wreszcie, o cale czy grosze
 Idzie mi w życiu, czym skąpiec lub dziecię —
 Nie wyżyć mnie, gdzie wyżyć wy możecie.
 Do łez mi tęskno, sieroctwa i biedy,
 Mnie żal mej nędzy — jam był stokroć wtędy
 Bogatszy. Żal mi sieroctwa — mnie było
 Ludniej niż teraz. Mnie w łachmanach ciepłej,
 Wśród łez weselej było. Pod mogiłą,
 Kędy sypiałem, pierś tych, co zakrzepi
 Wprzód, nim ich znałem, była mi pościelą —
 Pierś ukochana, swoja. Dziś kurhany
 Samotnie kośćmi drogimi się bielą,
 Gdy ja wesoły, strojny i pijany,
 A jednak więcej nagi niżli Adam
 Przed swym upadkiem... Och! Cóż to ja gadam!
 „Co mi jest?” — pytasz przyjaznymi słowy.
 Nic. Puść mię. Nic mi nie jest. Ot... ból głowy,
 Także szum w uszach, także mgłość i nudy —
 I wreszcie senność wraz z myśli zawrotem.
 Jam, widzisz, chory, jam chory, a potem —
 A potem — jam już nie ten, com był wprzód —
 Przebac mi, że cię odejdę...

chce odejść

ONYX

zatrzymując go

Lucjanie!

LUCJAN

Co chcesz?

ONYX

Słuchałem cierpliwie i trwoga
 Teraz w mym sercu, jak politowanie
 Przedtem. Ty — kochasz?

LUCJAN

Skąd wiesz? Och! Jezeli

Nad twą kolebką jasny anioł w bieli,
 Nie szatan czuwał, jeśli w twej pamięci
 Choć jedno słowo modlitwy się święci,
 Milcz!

ONYX

Głupie dziecko! śmieszne, biedne dziecko!
 Wieszże, gdy godzisz w pierś, gdzie dłoń zbójceją
 Wstrzymasz, by tylko cios, nie śmierć zadała?
 Zdarzeń manowcem, co jak lotna strzała
 Nazad się wraca, dano biec niewieście —
 i biada człeku zbiec się z jej pustotą.
 Bo jak zawrotny czarta płas wśród niwy,
 Tak ta, tumanem rajskich żądź najcichszy
 Zakątek serca wzburzy i rozwichrzy.
 O! szkoda ciebie, wierz mi. Człek, żyć chciwy,
 Na to się tylko uczy łez, by wreszcie
 Płakać zapomniał. Dużo widzi po to,
 By olsnął. Na to wzlata, by wpadł w błoto.
 Bo słuchaj — życie, dziwna to zagadka:
 Walka bez nagród, bez chwały, bez świadka —
 Lub spokój święty. Wybór łatwy przecie...
 Zechceszże walczyć? Wierz mi, wy nie wiecie,
 Że wam pod ręką, za czym w świat gonicie:
 Bo szczęście ziemskie — to tylko użycie.
 Lecz trzeba jemu ciepła, mgły i cieni,
 I odległości, co kształty upiększa,
 I szkieł, przez które piękność zda się większa,
 I znów przez które blask się tęczą mieni,
 I gwaru, w którym lubią być pijani,
 A nade wszystko ciemnej tła otchłani.
 To jak przekwitłych wdzięków zalotnica,
 Której wzrok zgasły i uwiedle lica
 W niezgodzie z słońcem; lecz niech nocne ciemnie
 Krasi blask sztuczny — ona wtedy pani.
 Życie być winno dręczącym przyjemnie
 Snem, co ci daje, czego nie masz ani
 Mieć możesz, bowiem wcale tego nie ma.
 Jawa — to nędza Adamowa naga,
 Którą koniecznie zewsząd wiatr osmaga,
 Bo jej nie zakryć choćby dłońmi dwiema.
 Stąd tylko kto się ogłusza, odurza,
 Może nie słyszeć, ani dbać, że burza
 Szaleje choćby tuż nad jego głową.
 Bądź zdrow i pomyśl nad tym...

wraca

Jeszcze słowo:

Pewnie niebieskie oko, co w łzach tonie,
I mlecze lica, co rumieńcem kwitną,
Biała sukienka z przepaską błękitną,
Trwożne serduszko w marmurowym łonie...
Och! Anioł niebios z skrzydłem podskubanym —
Oto kobieta! Z górnych sfer w odmęty
Błota ziemskiego Pychy Król zepchnięty!
Kto się jej oddał, wstąpił w mir z szatanem!
Miłość płacna garścią złota — oto
Jedyna miłość! Raj, który marzycie:
Miłość i świętość, i sława, za złoto
Dostać wszystkiego! A życie — o! życie —
Jedynе życie — użycie! Opły
Stan, wprost z którego idziesz do mogiły,
Jako szczęśliwiec w śmiertelnej malignie
Z oschłym językiem, z spękanymi wargi,
Co w swym zdrętwieniu nie ma chwil dla skargi,
Bo właśnie w porę z marzeń w sen zastygnie...
Idź, dziecię, tęschnij, kochaj... Tylko później,
Gdy raj, z którego ludzkość raz wygnano,
Nad ranem pierzchnie tobie, w owe rano
Zbudzenia twego przekleństwem nie zbluźnij.
Bo ci powiadam: jeśliś cierpieć srogo
Nierad, posłuchaj: nie kochaj nikogo
Prócz siebie...

LUCJAN

Dosyć! Odejdź! Dziwny człecze,
Okropny człecze, puść mię! Twoje słowo
Jak nóż oprawczy i ziębi, i siecze.

ONYX

Słowo to ludzie doświadczeniem zową.
Jako na drzewie z wiosną: krasne kwiecie,
Potem szypułka brzydka i pękata
Z szerniałym rąbkiem, aż na krańcu lata
Rumiany owoc — tak i w życia lecie
Człowiek się rodzi aniołem, z anioła
Szatan z obwisłym skrzydłem, aż dokoła,
Gdy już nadziei liście wiatr rozwiewa,
Człowiek dopiero — owoc z Wiedzy Drzewa.
Lecz ... trzeba wytrwać. Łatwo wątek przetnie
Kula rozpaczna lub błyszcząca świetnie

Nóż chłodny, wierz mi, bywały przykłady,
 Także trucizna przegryza bez rady,
 Nikt też powrozem braku pasm nie dopnie —
 Nie dość żyć... trzeba umieć żyć...

LUCJAN

Okropnie!

Onyxie, słuchaj, ty mię dręczysz srodze.
 Strzeż się, cierpienie matką jest rozpaczy.
 Precz! Tyś jest moim duchem złym...

ONYX

Odchodzę.

LUCJAN

pociera sobie czoło

Jestem zbyt prędki... Nie wiem sam, co robię,
 Co mówię. Słuchaj, zostań. To jest, raczej
 Odejdź na chwilę. Widzisz, mnie potrzeba
 Zostać samemu.

spozstrzega się

Odszedł? co? O, nieba!

Onyxie! zostań! Przez litość! W tej dobie
 Och! nie zostawiaj mię samemu sobie!

2

Lutuwer z książką na kolanach. Przez okno widać zachód słońca.

LUTUWER

Księga słów ludzkich to jak trumny wieko,
 Które przybrano w wstęgi, w kwiaty świeże,
 By nakryć trupa z przymkniętą powieką
 Na wieczne spanie. A myśl, co stąd bierze
 Swój lot jak morski ptak, co zbyt daleko
 Od skał rodzinnych odbił się w bezbrzeże,
 Gdy się opatrzy, strach jej pójść oczyma
 Równie w przebyte, jak i w dalsze kraje.
 I własna siła cięższą się jej staje,

I własna wola, co ją w wiatrach trzyma,
 I własne życie, co na skrzydle kruchem
 Dźwiga ołowie spowinięte puchem.
 I jeśli w zmroku, który świat obleka,
 Latarni zbawczej ujrzy błysk z daleka,
 Mniema oglądać brzask dnia i tamtędy
 Wyjście na światło i przyspiesza pędy,
 I pierś rozbija o jej zimne szkliwa,
 I u stóp światła pada wpół nieżywa...

u okna

Ostatnie blaski! W ogniach topniejące,
 Jak z śmiercią feniks, mocuje się słońce,
 Niby w nich ginie i znów zmartwychwstawa,
 Aż własnych żarów załala je lawa
 I już go nie ma.

Księga cudów świata
 Blaskami mówi. Kto z nią wzrok pobrata,
 Ten Boga ujrzął i z nim już zostanie.
 Na tym bezbrzeżnym zewsząd oceanie
 Ptakiem puszczone myśl jak puch pajęczny
 Ni spocząć tęschni, ni się sobą zmęczy;
 Duch Boży, który niegdyś nad otchłanie
 Ważył się skrzydły, tchem jej sprzyjać będzie
 I nawet gdy ją nocy mrok ogarnie,
 O zbawczą światła Bożego latarnię
 Piersi swej białej nie rozbije w pędzie.
 Tak. Słowo Żywe, które świat przenika,
 W człowieku mieszka, choć się z Boga wzięło.
 Kepler², gdy światu swoje dawał dzieło,
 Kiedy czytane będzie — nie dbał więcej:
 — Wszak Bóg — powiada — przez lat sześć tysięcy
 Cekał na cudów swoich czytelnika.
 Bóg jest cierpliwy...

ŚLUŻĄCY

wchodząc

Panie, wywożaj już tego człowieka, co to sobie dzisiaj w łeb strzelił.

² Jan Kepler (1571–1630), matematyk i astronom, twórca trzech praw dotyczących ruchu planet.

LUTUWER

Dobrze. Możesz odejść.

Służący odchodzi

W łeb! Mocny Boże! Głowa, co przed chwilą
Pragnęła tyle, wrzała ogni tyłą,
Która marzyła, kochała i była
Podskarbib serca, którą wróg Adama
Miał godną zguby, której własna siła
Tyle za ciężką stała się, że sama
Chciała tej kuli — zbyt skorej — od chwili,
Jak jej posłuszna była dłoń, ta głowa
Łbem jest już tylko, jak u psa na śmiecie
Padłego nędznie. Tak ją osądzili
Ludzie wprzód jeszcze, zanim Bóg, a przecię
Bóg czyn osądzi, lecz też i ich słowa...

zamysła się

Jan Paweł³ prawi, „że człek w każdej porze
Żył dość i przeto śmiało umrzeć może,
Gdy zechce”; przecięż pośmiewiskiem srogiem
Od lwa zdechłego żywy pies wart więcej...⁴

patrzy przez okno

Wóz przytrząśnięty gnojowym barłogiem,
Na nim rzucony jakby ścierw bydłęcy,
Nagi, skrwawioną, podartą w kawały
Płachtą nakryty od stóp aż do głowy
Trup — oto cały przybór pogrzebowy
Nie nazbyt świetny. I za orszak cały
U woza tego lichy pies w oblędzie
Tęsznoty rzewnej, niepewny: czy biada
Już się spełniła lub dopiero będzie,
Wietrzy i skomli, skacze i przysiada;
Zwiesiwszy ogon, wyciągnąwszy szyję,
Patrzy wokoło okiem pół zdziczałem
I liże płachtę, która trupa kryje;
I kiedy ruszą z jego pana ciałem,
On jeden tylko ostatniej posługi
Mu nie odmówi — on — pies... i ja drugi.

wychodzi

†

³ Jan Paweł, pseudonim J. P. Richtera (1763–1825), niemieckiego poety romantycznego.

⁴ Przysłowie biblijne (*Eklezjasta*, IX, 4), kilkakrotnie cytowane przez Faleńskiego, np. w meandrze 163, aluzyjnie powtarza się w sc. 28 („Wybuch z głębi”).

3

Droga rozstajna u stóp krzyża. Wchodzi Lucjan zamyślony.

LUCJAN

Gwiazdo dziewicza! wieczornych pacierzy
 Aniele cichy z srebrnymi promieniami!
 Ciebie ja wybrał, w ciebie duch mój wierzy.
 Jam cię umieścił nad jej czołem bładem
 I jak ze światłem zbawczym za twym śladem
 Pójdę, gdzie sama zechcesz; tylko zmień mi
 W jasne świtanie szczęścia noc mej duszy.
 O gwiazdo Lili! tyś jest jak płonąca
 Jasność na skale, o którą się skruszy
 Bałwan niewiary i w mgłę poroztrąca
 Wyniosłe zręby — i nim ziemskie zorze
 Noc ziemska światu urodzi nade dniem,
 Poprzez chłód życia, wśród szyderstwa świstań
 Ty mię wprowadzisz w cichą nieba przystań,
 Gdzie dom spokoju.

chce iść dalej i pochyla się na krawędzi świeżo wykopanego dołu pod krzyżem

Grób! O mocny Boże!

Jestże zjawiskiem smutno przepowiedniem
 Ten grób, co z nagła spod mych stóp wyrasta?
 Ten dom spokoju wśród umarłych miasta,
 Głęboko cichy, tak cichy, jak właśnie
 Nie ma cichszego...

zapada w niespokojne marzenia

Tylko, że w tym domu,
 Gdy się za tobą raz klamka zatrzaśnie —
 Sam jeden jesteś. Tylko, że raz komu
 Z marzeń o szczęściu w twardy sen przejść dano —
 Ten, gdy zbudzenia błysnie blade rano,
 Wstanie z zwiędłymi promieniami u głowy
 I z żarem w piersi ściętym w łód grobowy...

siada na krawędzi mogiły

Świetna wieczorna gwiazda, w toń świetlaną
 Strumieni mlecznych zanurzywszy skronie,
 Zmierzchnęła — i tylko księżyc poprzez liście

Niepewne blaski roztrząsa srebrzyście.
 Jakiż to orszak z wolna, w głuchej ciszy,
 Miarowym krokiem ciągnie ku tej stronie?
 Wóz, pies za wozem i dwóch towarzyszy.
 Jeden z nich... własnym oczom mym nie wierzę..
 Wszak to Lutuwer —

nadciąga orszak samobójcy

Witaj, Lutuwerze!

LUTUWER

A! Dobry wieczór, czyli raczej dobranoc ci, Lucjanie.

LUCJAN

Dobranoc? Mamże odejść?

LUTUWER

Jak zechcesz — jak zechcesz. (*do Grabarza*) Możesz robić swoje.

LUCJAN

Jakieś zwłoki...

Co znaczy trup ten? i skąd z nim idziecie?

LUTUWER

Widzisz, nie było komu pożegnać tego szczęśliwca — jeden tylko pies szedł za pogrzebem, więc ja poszedłem za psem — i oto mnie masz.

LUCJAN

Ależ ten pogrzeb sprawiany tajemnie,
 Chyłkiem, wśród nocy, bez trumny, bez krzyża,
 Ta płachta krwawa —

LUTUWER

To nic. Nie zważaj na to. Jest to jeden z niektórych. Bóg odszedł go na chwilę i zdziwi się mocno, gdy go nie zastanie za powrotem. Zresztą, czułe objęcie matki ziemi stanie mu za trumnę, a krzyż rozdroża to jakby zawczasu postawiony dla niego.

LUCJAN

¶

O! miej litość przecię!

Szydź jak Onyx. Gdzie bądź w świat szeroki
 Zwrócę się, każdy szydzi tylko ze mnie.
 Bracie mój! pomnij, że twój śmiech ubliża
 Mogile owej — czyja bądź jest ona.

LUTUWER

Cóż ci powiem? Człowiek ten odebrał sobie życie.

GRABARZ

W łeb sobie strzelił, proszę jaśnie pana. Gadają ludzie, że miał kochankę. Wszystko to — te tam romanse — to tylko z przeproszeniem diabła warte.
zażywa tabaki

LUTUWER

Poczekaj, pomogę ci złożyć go w dole (*biorą ciało i zakopują je*). Dostyć już będzie. Możesz jechać do domu.

GRABARZ

z czapką w rękę

Spodziewałem się od łaski jaśnie pana — nie za duszę tego potępionego, bo już ją diabeł, tfy! porwał i nic jej już nie poradzi — ale z parę groszy na wódeczkę za zdrowie pańskie.

LUTUWER

Masz. Tylko znowu nie chciej być zbyt życzliwym, bo się upijesz i wygrzmoci cię żona, która zapewne czule dba o twoją skórę.

Grabarz odjeżdża kiwając głową. Lutuwer schyla się, bierze ukradkiem grudkę ziemi, rzuca w mogiłę i mówi w sobie:

Amen. Zbyt ciężkim było niebo dla cię —

Bądź tobie ziemia lżejsza, biedny bracie.

do Lucjana

Chodźmy, Lucjanie.

LUCJAN

Więc ten człowiek z łona

Matki nadziei szczęściu uciekł skrycie?

LUTUWER

To jest, po prostu zapomniał w zapale,

Że... że od czaszki kula twardszą będzie.

LUCJAN

A świat tak piękny! tak jest pięknym życie!

Czyż żyć nie warto?

LUTUWER

Sądzę, żeś jest w błędzie.

Świat dziwnie brzydki, życie nędzne, ale

Właśnie dlatego człeku żyć należy.

LUCJAN

Więc żyć nie warto — tylko żyć potrzeba —

LUTUWER

Życ jest zasługą, cnotą, chwałą nieba.
Kto życiu nierad, ten, jak pierzchający
W najtęższym boju z szyku współżołnierzy,
Zwycięskiej sprawie skryty cios zadawa.
Imię mu: małość, zdrada i niesława.

LUCJAN

Dziwneż to słowa!

LUTUWER

Przecież od słów dźwięku
Tkwiąca w nich prawda większe tworzy dziwy...

LUCJAN

Więc człek ten —

LUTUWER

Zdrajca, tchórz i skrytobójca.

LUCJAN

Godzien jest —

LUTUWER

Łez, modlitwy i współczucia.

LUCJAN

Milcz! bo, przez Boga, bluźnisz, sędzio krzywy!

LUTUWER

Słuchaj mnie, dziecko. Koło tej mogiły
Przejsć ci nie wolno, byś nie rzucił na nią
Kamienia klątwy^{4a}; przecież ten sam kamień,
Gdyby z najtrwalszej skały był i gdyby
Mniej jednak twardym był od twojej duszy,
W dłoni twej, nim go rzucisz, w proch się skruszy;
Bo ten, w którego godziłby, najtkliwiej
Kochał —

^{4a} Według szeroko rozpowszechnionego przesądu ludowego przechodząc koło mogiły samobójcy należy dorzucić na nią kamień, by się zabezpieczyć przed napaścią upióra.

LUCJAN

On? kochał?

LUTUWER

I ciebież to dziwi?

LUCJAN

Tak jest, o Boże! wieczniesz w mgłach i błędzie
Dusza się moja poniewierać będzie?
Więc — cóż jest mądrość?

LUTUWER

Mądrość to zasłona,
Którą z drżącego narzeczonej łona
Tylko mąż zdjąć ma prawo.

LUCJAN

Dziwny człecze —
Wierzyszże w miłość?

LUTUWER

Tchnienie, co oczyszcza
Mogił wyziewy, kałuże i zgliszcza,
Wszak jest? wszak leci? ... Tylko że nie wraca —

LUCJAN

Wierzyszże w szczęście?

LUTUWER

Kto się chętnie zrzecze
Zapłaty w zamian, temu dzienna praca
Zamiast osłabić — do walk wzmocni ramię.

LUCJAN

Więc gdzież jest prawda, jeśli szczęście kłamie?

LUTUWER

Nie szukaj prawdy. Ona, jak powietrze
Którym oddychasz, zewsząd cię opływa,
Lecz jeśliślibyś go dotknąć chciał, nie znajdziesz.

LUCJAN

Chodźmy stąd! chodźmy! chłód wieczorny zda się
Płomienie zionąć! w całym, niezmiernym
Powietrzokręgu nie ma czym odetchnąć!

LUTUWER

Chodźmy —

LUCJAN

A pies ten?

LUTUWER

On od tej mogiły

Nie pójdzie za nic.

LUCJAN

Jednak, Lutuwerze,
Gdyby go zwabić słowem ugłaskanem?

LUTUWER

do psa

Pójdź ze mną — będę tobie dobrym panem.
Nie chce. To może: przyjacielem, bratem?
I tego nie chce. A więc skończmy na tem.
Tak jakieś pragnął, daje ci to zwierzę
Miłości przykład żywy. Pójdźmy sobie.
Jeśli mu Bóg da zdechnąć na tym grobie,
Mieć będziesz przykład szczęścia... w które wierzę.
odchodzą oba

4

U zjazdu z innej drogi rozstajnej łąk koniczyny. Stoi przy nim Grabarz z wozem.

GRABARZ

Diabli nadali z tym miesiącem! Oto podpasłbym sobie szkapinę w koniczynie sąsiada Krzysztofa — a tu jak na raz ani węź! — Gdzie! jasno jak w dzień biały! Bodaj cię choroba, ty utrapiony ciekawcze! ty nocny włóczęgo!

nadjeżdża pocztylion konny i zatrzymuje się

¶

POCZTYLION

Znowu jakaś droga rozstajna. Którędyż tu, u pioruna? Szczęściem księżyc świeci, dzięki Bogu, inaczej człowiek by kark gdzie skręcił po tych wertepach. (*spostrzega Grabarza*) He! słuchajcie no, pocziwy człecz!

GRABARZ

A no, co tam takiego?

POCZTYLION

Którędy tu droga do Orlej Skąły?

GRABARZ

Prosto jak strześlił, a potem od figury na lewo.

POCZTYLION

Bóg zapłać.

zabiera się odjeżdżać

GRABARZ

A do kogo to?

POCZTYLION

Ze sztafetą, z telegramem, bardzo pilno.

GRABARZ

częstuje go tabaką

A do kogo to?

POCZTYLION

Dalibóg zapomniałem. Ale stoi napisano na liście (*dobywa listu*). Co prawda, to ja tam niepiśmienny, może wy potraficie.

GRABARZ

Umiałem ci ja kiedyś, ale tylko drukowane, a teraz to i zapomniałem.

POCZTYLION

Podobno do jakiejś tam hrabiny Plamy czy Bramy.

GRABARZ

Thiany może?

POCZTYLION

Może i Piany. Dziwne to tam teraz hrabiowie.

zsiada z konia

GRABARZ

Oj! co dziwne to dziwne. Wszystko to tam teraz neofity albo ekonomczuki, powyhrabiane za pieniądze przez Miemców. Ani jednego prawdziwego ślachcica. To, mosindziejku, miarkujcie sobie, panie... jak was zwać?

POCZTYLION

Bartłomieju.

GRABARZ

Otóż miarkujcie sobie, panie Bartłomieju, jak to tam kazali stawać do tej lejtymacji, tak co robiący, zbieram ja moje papierzyska i wędruję do miasta. Gdzie! Urzędniki się za łby pochwytyli, wierzyć nie chcieli! A toćże to człek miał przodka w jakiejś tam wojnie na Psim Polu, gdzie, słyszę, okrutnie nasi Miemców zsiekli. Wojewoda pono czy starosta, czy ki tam diabli? Ale nic. Zatwierdzili. Bo było wszystko w porządku, czarno na białym.

POCZTYLION

He! he! Mam ci i ja u siebie drzewo takie, co to wylazi z boku rycerzowi. To jakiem z nim poszedł do Heroldyji (w Warsiawie), to także się tam nakiwali głowami — no! Taki rycerz, to ci jest cały obłożony zielastwem, jak się już tera nie ubierają, i także pod jakimś Grundewalem Miemców kropił. Pod tym Gru ... Gruwaldenem to tam podobno diablo gorąco było! Musi to być więcej jak jakie sto lat temu, bo się okrutnie dziwowali.

GRABARZ

podając mu rękę

Hm! Tośwa bracia ślachta, mości Bartłomieju. Ja się nazywam Jacenty. Mieszkam tu przy smętarzu, niedaleko karczmy Poczekajki, gdzie dalibóg lepska gorzałka. Może tam wstąpicie wracając?

POCZTYLION

A jakże. Spodziewam się, że da kawalerski tryngiel ta tam wasza hrabina. Ale komu w drogę, temu czas. Mój poczmajster okrutny impetyk, o lada co bije po pysku. Szczęściem człek się odbija na jego kieszeni, czasem też się i szkapom coś urwie od złoba. Ostajcie z Bogiem.

odjeżdża

GRABARZ

Szczęśliwa droga! (*do siebie*) Jak to on tam powiedział? pod Grubentalem czy coś. Nigdy o tym nie słyszałem. Musiało to być jeszcze za króla Stanisława Poniatowskiego. A no, mały! wiśta! ho! Pożywisz się kiedy indziej.

odjeżdża

5

Lucjan i Lilia

Ustronie w Zwierzyncu Zamkowym, u wodotrysku, w cieniu jaworów.

LUCJAN

Dziewico biała, ty mi prawdę powiedz,
Choćby ta prawda jak u twego łona

Ten kwiat przypięty, co z rozkoszy kona,
 Na szczęścia mego miała paść grobowiec!
 Ja — prawdy tylko zebrzę. Grosz ten wdowi,
 Dany mi w duszę, zrobi z niej skarboneę
 Wyżywić zdolną myśli uciszone,
 Jakich są syci ludzie sercem zdrowi...
 Więc, dziewczę, prawdy nie skąp żebrakowi...
 Mów szczerze — choćby mych nadziei szwały
 Jak sen się wiotki od twych słów rozwiały,
 Choćbym miał odejść stąd... osamotniały.

po chwili

Tylko cię błagam, nie bądź jak ciekawi
 Rzeczy splątanych z życiem zagrobowem —
 Nie igraj, proszę, z twym wyrocznym słowem.
 Bo widzisz, nie jest dobrze, kto się bawi
 Z różańcem, choćby z pereł był nizany.
 Różaniec tylko do modlitwy bywa,
 A każda perła to w zakłębieniu tkliwa
 Łza, którą kiedyś w zmartwychwstania chwili
 Ludzkość przed Panem głośno się rozkwili,
 Zewsząd krwawiące ukazując rany...

po niejakiej przerwie

A więc, słoneczne dziewczę! w ducha skrusze
 Słucham cię. (klęka) Milczysz... (wstaje)

Cóż? więc i te lica

Tyle promienną zwiastujące duszę
 Niebo mi kłamia? — Więc i ta żrzenica,
 Wspomnieniem raju straty taka łzawa,
 Szczęście mi kłamie? Więc i ta postawa,
 Tyle pogody pełna, spokój kłamie?
 Więc nawet białość nieprzystępna plamie,
 Nawet uroków słodkie królowanie,
 Wszystko — to tylko złudą jest?...

LILIA

łkając

Lucjanie!

Kocham cię, kocham, biedny mój!

opamiętywając się

Drzę cała —

O Boże! cofnij, bom nie rozważała

Słów mych!

LUCJAN

Bóg dobry tego nie uczyni.
klęka i całuje brzeg jej sukni
 Dzięki ci. (*wstaje*) W dawnych czasach prorokini
 Słów własnych również nie bywała panią,
 Lecz co mówiła — to Bóg wiedział za nią.

LILIA

Lucjanie! o! posłuchaj mię —

LUCJAN

u nóg jej

Mów, pani,

Myśmy oboje równo zasłuchani:
 Ty — w głosie twórczym, ja — w twej wieszczej mowie,
 Którą Pan do mnie mówi. Któż wypowie
 Obce mi dotąd wrażeń rajskich dziwy?
 Właśnie przed chwilą wietrzyk westchnął wonią,
 A jam się pytał: czemu kwiaty ronią
 Łez tyle, skoro świat jest tak szczęśliwy?

LILIA

Biedny mój! biedny! Ja bym tyle miała
 Powiedzieć tobie... Wszak twe serce wierzy
 Duszy mej?...

LUCJAN

Słucham mym istnieniem całym
 Z twych ust słów życia. Jam, dziewico biała,
 Jak ten, co wzniosłych słyszy szept pacierzy.
 Widzisz — i mnie się także coś należy.
 Ludzie bywają choć raz w życiu młodzi...
 Ja nawet nigdy matki mej nie znałem.

LILIA

Ja — o! posłuchaj! Jam też —
słysząc szelest nadchodzących kroków
 Ktoś nadchodzi,
 Wstań — odejdz.

wybiega

|r

LUCJAN

wstaje i pociera sobie czoło
 Snem być musi u mej skroni
 Ta z gwiazd równianka; snem słowo, co dzwoni

Wszehmocy tyle. Lecz nie, królowanie
Podobne niech mi nie śni się. Inaczej
Jeśli się zbudzę — umrę...

LUTUWER
nadchodząc
Czyś, Lucjanie,

Sam?

LUCJAN

Sam.

LUTUWER
Czyś pewny słów twych?

LUCJAN

I cóż znaczy

Podobna mowa?

LUTUWER

Masz słuszność. Toć przecię
Kto jest sam jeden tak jak ty na świecie,
Kto jak ty, prawdy szukając, w gęstwinie
Ustronnej mówi głośno — to jedynie
Płaczącej brzozie swych się tęsknot żali,
Zwierza się rybkom pierzchającej fali;
Jemu zaś wzajem głośno odpowiada
Mgły senność mleczna, gwiazdy światłość blada,
Szelest wietrzyka —

LUCJAN

Wierz mi — błędzisz srogo.
Prócz mnie nie było w miejscu tym nikogo.

LUTUWER

A więc posłuchaj, mój samotny człeczce:
Ani ci wierzę, ani także przeczę,
Bowiem, co prawda, zmysły kłamać mogą,
Jak i człek kłamie. Jednak mi się zdało
W ciemnościach nocy widzieć postać białą,
Wśród ciszy słyszeć szelest lekkiej szaty.
Ale to pewnie kłamca, wiatr skrzydlaty,
Który ogniki błędne gdzieś ugania.

LUCJAN

A więc — więc była tu kobieta, której
Nie znam.

LUTUWER

I słusznie. Próżno mózg swój suszy,
Kto by chciał zbadać znak ten zapytania,
Który się szczyci mianem ziemskiej córy.
Bowiem zagadki takiej nie odgadnie,
Choćby się nawet z sfinksem zmówił zdradnie.

LUCJAN

Szudzisz jak zwykle, mędrco chłodnej duszy.

LUTUWER

Wszak prawdy szukasz. Prawda to zasłona,
Którą z drżącego narzeczonej łona
Tylko mąż zdjąć ma prawo. Jesteś mężem?
Milczysz, Lucjanie?

zabiera się odejść

LUCJAN

A więc, tą kobietą —

NOEMI

występując z gestwiny

Ja byłam.

LUCJAN

cofając się

Przebóg! Co to jest?

LUTUWER

A! Któż ty jesteś, poczciwa kobieto, która się równie w porę zjawiasz,
jak w parę?

NOEMI

Przed laty

Piękną mię zwano.

LUTUWER

No proszę! Nikt by tego dziś nie powiedział.

NOEMI

Wierzyłam, kochałam,

Byłam szczęśliwa.

LUTUWER

Moja dobra kobieto, nie ciekawiśmy tego, coś dawniej robiła na świecie, ale raczej co obecnie porabiasz w tym tu miejscu. Nie idzie nam też o to, czym byłaś niegdyś, ale czym dziś jesteś.

NOEMI

Dziś kim jestem? Nędza,
Którą po świecie chłodny wiatr przepędza,
Imię jest moje.

LUTUWER

A! Bardzo nam przyjemnie. Ja także nazywam się Nędza. I ten pan podobnież. Właściwie nawet każdy jest nędzarzem mniej lub więcej... każdy nie jest, czym był. Ale to dopiero nazwa ogólna, tak jakby o kimś powiedziano, że jest człowiekiem, bliżej zaś nieco nazywać się on będzie Gaweł lub Kleofas. Właśnie jeden z moich przyjaciół, łachman poniewierający się dziś na śmietniku, wyznał mi w zaufaniu, że był kiedyś adamaszkiem. Cóż robić? cóż robić? — zwykła to kolej rzeczy ludzkich —

NOEMI

Czy wiesz, samotniku,
Który się niby w świata bawiąc wrzawę,
Złamane życie i wspomnienia łzawe,
I tkliwej duszy moc, i złudzeń reszty
W szyderstwa chowasz pustelni; czy wiesz, ty,
Zem ja kapłanka, której skrytych rzeczy
Skarb pod tajemnic wieszczy klucz oddano?

LUTUWER

Co? co? Szaleństwo! przywidzenie! Cóż mi tedy powiesz, mniemana kapłanko?

NOEMI

Ta, którą kochasz, panią jest swej ręki.

LUTUWER

zmieszany

Ta, którąm kochał niegdyś — już nie żyje!

NOEMI

Więc biada temu, kto na nici cienkiej
Wzorem pająka zaklął szczęście czyje
Pomiędzy niebo i ziemię!

LUTUWER

Kobieto!

Z krwią zimną, z głazem w sercu, z okiem suchem
Boleści wskrzeszasz. Odejdź. Gdyby nie to,
Że mnie od dawna dręczyć już daremnie,
Mniemałbym, żeś pokusą, żeś złym duchem.
Idź sobie. Pan Bóg z tobą. Precz ode mnie!

Noemi znika wśród drzew

Lucjanie! Kto jest ta kobieta?

LUCJAN

Nie wiem.

Przysięgam, że jej nie znam. Po raz pierwszy
Widzę ją w życiu. Słuchaj, Lutuwerze,
Ty drżysz, ty bledniesz, więc i ty kochałeś!
Ha! jakżeś zmała! Mów! jam pan twój! słyszysz?
Tyś sługa teraz!

LUTUWER

Milcz, bezsilne chłopię!

Gdyby ci echa słowa twe odniosły,
Sam byś je nazwał niewiernymi posły
I wstydem spalił twarz. Ty — panem komu?
Czyś naprzód panem sobie? Czy twej stopie
W świat poprzez ciernie droga jest wytknięta?
Czyś ty oderwał wzrok twój od poziomu?
Czyś ty pokorny nędzy, łez towarzyszy?
Czyś choć ubrany od wielkiego święta?
Bo ci powiadam: miłość, którą marzysz,
To wielki odpust, kędy grzeszne duchy
Probują moc swych piersi pięścią skruchy
I gdzie dopiero każdy śluby czyni,
By mu otwarto wejście do świątyni.
A znasz strzegące progów jej skrzydlatem
Błyskaniem wielkie tajemniczy słowo?
Wybrani Pańscy cierpieniem je zowią —
Przed nim schyl czoło, a będę ci bratem.
A nad tę siłę królującą długo
Jest jeszcze władztwo, co trwa nieskończenie,
Ten raj wskrzeszony zwie się: poświęcenie.
Jemu się oddaj, a będę twym sługą.
Inaczej — odejdź.

LUCJAN

Nie, ty nie masz prawa
 Słów takich wiatru powierzać bezkarnie!
 W chwili gdy dźwięk ich na twoich ustach kona,
 Własne twe serce przeciw tobie stawia!
 Bo i ja zdolny wziąć w mą pierś męczarnie...
 Jam jak ty zdolny przycisnąć do łona
 Ciernie milczące, z którymi się pieści
 Krwią zachodzące słońce dróg boleści.
 Więc — bądź mi mistrzem, i jeśli odchodzę,
 Niech z tobą idę, bym nie zbłądził w drodze...

LUTUWER

Żądasz ode mnie więcej, niż dać mogę.
 Idź, cierp i szukaj — znajdziesz sam twą drogę.
zabiera się odejść

LUCJAN

Sam? Sam? Sam jeden? A więc wiem, co znaczy
 Słowo twej wiary pastwiącej się srodze:
 Więceś ty tylko nędza pozłacana!
 Precz! Nie znam w tobie brata ani pana.
 Ten Bóg, przed którym ja zginam kolana,
 Bogiem miłości jest, a nie rozpaczy.
 Dość! Jam nie nędzarz, który wiary słowo,
 Olsnąwszy blaskiem, spycha w tłum prostaczy.
 Ja, w dłoń gałązkę wzięwszy oliwkową,
 Na przebój pójdę tam, gdzie wy idziecie
 Drżąc ze zwątpienia...

LUTUWER

A jak nad twą głową
 Przed czasem Boska ocieżeje ręka?
 A jak ci w piersi serce w kęsy spęka,
 To czy się zdołasz nosić z nim po świecie?
 Kiedy dąb w niebo silne dźwignął ramię,
 Mniema, że ziemia pod nim godna wzdargy,
 I gdyby nie ta dziwna w sobie łaska,
 Że go grom Pański w samą porę strzaska,
 Mocarza borów zmógłby jeden lichy
 Na dumnej skroni wzrosły grzyb...
oddała się zadumany

LUCJAN

On kłamie.

Jak Bóg na niebie, kłamie człek ten twardy!
 Co? grom przedwczesny? Co? jemiola pychy?
 Bluźnierstwo! Kłamstwo! Wszak miłości siła
 Na to stworzyła świat, by go zbawiła.
 odchodzi

6

Thiana w gotowalni przed zwierciadłem. Lilia na otwartym krużganku zamkowym, z którego daleki widok na okolicę. Noc.

PHOEBE

Co jaśnie pani rozkaże sobie wpiąć we włosy?

THIANA

Co bądź. Co sobie sama chcesz. Wszystko mi jedno.

PHOEBE

Może rajskiego ptaka pośród gniazda z warkoczy przetykanych sznurami pereł?

THIANA

Ach, moja droga! tylkoż daj mi święty pokój z twoim rajskim ptakiem. Przypomina mi to zaraz ów bal na dworze pruskim, gdzie się nudziła tak śmiertelnie. Pokaż no mi orchideę.

PHOEBE

podając

Cudowny kwiat. Można by go podpiąć tą wielką pryzmą z diamentu. Będzie rzucał płomienie jak świetlik surynamski^{4b}.

THIANA

Surynamski? Co też ty gadasz, Phoebe? Weź go sobie, nieznośnie podobny do motyla. Daj mi tę rubinową kalinę z szmaragdowymi liśćmi.

Phoebe wpina złotą gałązkę

^{4b} *światlik surynamski* — chrząszcz długości 4 mm, ciemnoszary, żyjący w Ameryce Środkowej po Brazylię, którego plamki świecące barwy zielonożółtej dają blask tak silny, że owad bywa używany przy pracy, a także stosowany przez kobiety do wieczorowego stroju, np. we fryzurach.

THIANA

spojrzawszy w zwierciadło

Och! jakżem blada. (*zrywa szmaragdy*) Nie! Weź to sobie precz — i daj mi święty pokój! Kłamać musi to zwierciadło (*rzuca w nie grzebieniem*). Podaj mi inne. (*Phoebe podaje zwierciadło, Thiana odpycha je, nie spojrzawszy nawet*) Precz! I to kłamie. Wyglądam blada, brzydka, niezdolna, stara — mając zaledwie rok osiemnasty! (*załamuje ręce*) To coś okropnego! Kłamie, co żyje i co nie żyje. Kłamią ci, co się u nóg mójch na kolanach czołgają, oszukuje mię świat, zawodzą wrażenia, omylają uciechy, zdradza mię własne zwierciadło. Zewsząd i zawsze kłamstwo tylko — kłamstwo — kłamstwo! Daj mi różu, Phoebe, ja sama teraz kłamać spróbuję. (*odpycha puszkę z różem i pada w krzesło*) Nie! Tego już nadto! Wszystko mię nudzi, zniechęca, zabija! Och! co za życie! (*zwracając się ku Lilii*) Jakaś ty piękna, Lilio, w twojej skromnej sukience, z tym kwiatem we włosach gładko zaczesanych. Co to za kwiat? — stokrotka tylko. No proszę! patrząc na ciebie, zdaje się, żeś w koronie.

LILIA

zamyślona

Patrz, Thiano, jak cudownie księżyc wschodzi...

THIANA

Nie. To tyś sama cudownie piękna. Musisz kochać lub być kochana. (*ustaje i zrywa z siebie naszyjnik z pereł*) Te łzy piersi mi żarem przejadają. Boże! Jakżem ja nieszczęśliwa!

pada w krzesło, zastania twarz rękami i płacze z cicha

PHOEBE

podając jej flakonik

Jaśnie pani raczy powąchać orzeźwiających soli. A może podać uspokajające krople? W cierpieniach nerwowych rzecz nieznównanej dzielności. Doświadczyłam tego nieraz na sobie.

THIANA

patrząc na nią poprzez łzy z uśmiechem na ustach

Toś ty także nerwowa, Phoebe?

PHOEBE

Jaśnie pani, ja cierpię tak częste bicie serca, tak szalone bóle głowy! do prawdy, chyba umrę niedługo.

THIANA

I nic ci nie żal będzie świata?

PHOEBE

Świata? Niestety! Czyliż życie nie jest tylko bezowocną męczarnią? Śmierć to przynajmniej odpoczynek, sen — może i rozkoszne marzenie.

THIANA

To dobrze. Powiedzże mi: czyś ty kochała kiedy w życiu?

PHOEBE

spuszczając oczy

Proszę łaski jaśnie pani, miłość to podobno coś bolesnego, to śmierć wszelkich złudzeń; nie, nie kochałam nigdy, obawiam się miłości, złamałaby mię rzuciwszy o ziemię.

THIANA

Dosyć! dosyć! idź sobie! nudzisz mię! Jesteś sroka!

Phoebe odchodzi z westchnieniem

LILIA

Moja dobra Thiano, dlaczego ty tak dręczysz tę biedną Phoebe?

THIANA

Dręcę? Przeciwnie, uszczęśliwiam ją nad wszelki wyraz. Na samą wzmiankę o przeciwnościach losu uśmiechają się wielkie baranie oczy tej papudze, wypchanej zamiast słomy szmatami poezji i romansów, które pochłania nader żarliwie, zakładając kartki motkami jedwabiu. Czyż nie widzisz, że to jest istota niepojęta przez ludzi? Niemniej przecież daje się pojmować kuchcikowi, którego matka przychodziła właśnie przed chwilą skarżyć się, że jej bałamuci syna. Pozwolisz: że kuchnia i zniechęcenie do życia to są dwie rzeczy trochę trudne do pogodzenia bez szczerzej chęci. Eteryczne to jestestwo wygrzmocił też niedawno jakiś owczarz utrapiony, któremu w przystępie zazdrości rzuciła się z paznokciami do oczu — jest w tym nieco eklogi. Ani z tego umarła, ani nawet dostała serdecznego śmiechu. Była tylko mocno czerwona, i kiedym ją spytała o przyczynę, wyznała mi: że cierpi napady newralgii przechodzące jej słabe siły. Taka jest ta wiotka istność, przeszło po dwakroć pełnoletnia, lubiąca po cichu ananasowy ponczyk i pożyczająca na grubą lichwę.

LILIA

Czy podobna?

THIANA

Na tym słodkim świecie niepodobieństw nie ma.

LILIA

Co ci jest, Thiano? Nie poznaję cię, tyś taka zawsze dobra, łagodna.

THIANA

chodząc niespokojnie

Nie wiem sama. Serce uderza mi do głowy, czuję napady rozpusty duszy. Wypiłabym perłę z octem, nie tyle dla perły, ile dla octu. Konam z wyczerpania, a wsiadłabym na strusia i przebiegała uragany pustyni. Na męki bym poszła nie za żadną świętą sprawę, ale dla przekonania się jedynie: czy jeszcze czuję, jak drudzy. Śmierć grozi mojej duszy — roztrwo- niłam się. Zamiast cierpliwie brać po łyżeczce, wyżyłam naraz całe lekar- stwo na chorobę życia — nadużyłam wrażeń. Jestem jak chory z przywi- dzenia, który się leczył, choć nie było na co — za to, kiedy przyszła cho- roba, nic już na jego organizm działać nie chce. Do tego łaknę w sposób popychający do rozpacz. Jestem jak smakosz, którego podniebienia nic już nie drażni, z głodu umiera, a odpycha z wstrętem najsmaczniejsze potrawy. Ocaliłby go czarny chleb nędzarza, ale zepsuty żołądek strawić go już nie zdoła. (*pada w krzesło i zasłania sobie twarz rękami*) Jestem więcej niż nieszczęśliwa, jestem nieznośna sobie samej...

LILIA

składając jej rękę na czole

Biedna! Uspokój się, odpocznij. Cała
Jak trwożny listek drzysz i skroń twa pała,
I w pierś twą biją rozszalałe tętna.

chce ją uprowadzić

O! chodź, chodź do tej spokoju świątnicy,
Gdzie drząc z rozkoszy orszak bladolicy
Gwiazd szmerem wiatru modli się. W tej chwili
Jakże tam błogo zewsząd! Ledwie kwili
Gdzieś w cichej dali pieśń pastusza smętna,
Kołysze dźwięk jej blade mgły tumany,
Usnęło echo i las zadumany
Szmerząc przymierzchłe czoło do snu kłoni.

u krużganka

O patrz! tam, w dali, księżyc poprzez drzewa
Srebrzyste pyły zgarnia i przesiewa
Na ziarna blasku wśród zroszonej błoni —

THIANA

Patrzę tylko w ciebie — w ciebie tylko patrzeć mogę. Jakaś ty dziwnie biała dzisiaj, Lilio, jak cudownie piękna, napatrzeć ci się niepodobna. Promienie zdają się tryskać z twej piersi, wzrok twój blask rzuca — tyś chyba szczęśliwa — dlaczego to?

PHOEBE

z listem na złotej tacy

Proszę jaśnie pani, sztafeta.

THIANA

chciwie list chwytając

Co? co? list nagły? niespodziana wiadomość? Phoebe! ukochana moja! co ty mówisz? Ha! może ratunek w porę, jaki cios zabójczy lub choćby męczarnia, dawaj, dawaj prędko! śpiesz się! (*chodząc niespokojnie*) Phoebe moja, powiedz mi: co jest w tym liście? Nie mów mi, że tam gdzieś daleko pękły oba świata bieguny, że przepadł bez śladu jakiś naród wszystek, powiedz mi tylko, żem straciła całe mienie, żem żebraczka, a do nóg ci upadnę, w diamentach cię skąpię...

PHOEBE

Jaśnie pani raczy zerwać pieczętkę.

THIANA

Prawda, prawda, na nic mi się przydasz. Czegóż stoisz? Idź sobie! (*Phoebe zabiera się odejść*) Czekaj, dasz posłańcowi (*zbiera drżącą ręką garść kosztowności*) — albo nie, niech się zatrzyma, wprzód sprawdzę jego zasługę (*Phoebe odchodzi*). Cóż jest w tym liście? (*łamie pieczętkę, czyta w milczeniu i wreszcie kładzie rękę na sercu*) Czy też serce na jotę choć śpieszniej uderza? (*dotyka czoła*) Czy w skroniach pała choć trochę? Nie. Nic, nic, wszystko, jak było. (*dzwoni, wchodzi Phoebe*) Posłańcowi dasz jak zwykle dukata i niech sobie jedzie z Bogiem (*Phoebe odchodzi*). Nie zgadłabyś nigdy, Lilio, co jest w tym liście. Oto wiadomość, że Grzmisław odebrał sobie życie.

LILIA

Twój mąż?!

THIANA

Tak jest. Czyż cię to dziwi?...

LILIA

Doprawdy, dziwi mię —

THIANA

Ze ja to znoszę tak chłodno — wszak to chciałaś powiedzieć?

LILIA

Tyś chora, Thiano.

|| THIANA

Nie. To świat chory — śmiertelnie chory. (*podając jej list*) Masz, czytaj te triolety, ten sonet, ale nade wszystko postscriptum. Powiadają, że w listach kobiecych postscriptum dopiero mieści treść rzeczy. Czy to ręka kobieca kreśliła te słowa? Czytaj, proszę cię.

LILIA

czyta

Z Jaskini Wichrów u wodospadu Niagary
8 sierpnia

Antiquam exquirite matrem^{4c}

1

Och! wichrów! błysków! gromów! burzy!
Życ chcę i razem żyć nie mogę!
O! jak szczęśliwi ludzie, którzy
Byli choć raz wśród gromów burzy!

*

Dajcie mi puchar. Czas już w drogę.
Tam, w dali, się widnokrąg chmurzy...
Precz! już nie będę czekał dłużej,
Sam pójdę szukać gromów burzy.

2

Zawsześ mi równie ukochana,
O Thiano moja! Choć odchodzę
W noc nie znającą gwiazd ni rana,
Zawsześ mi równie ukochana.

*

Chociaż mię odepchnęłaś srodze,
Choć pamięć twą zdrętwiła zmiana,
Choć żyć nie mogę, piękna Thiana
Zawsze mi równie ukochana.

3

O Thiano moja – do widzenia!
O tam, w miesięcznej cichej chwili,
U źródła, który dąb ocienia,
O Thiano moja! do widzenia!

*

Choć mówię sam, choć nie wiem, czyli
Ostatnich człeka chwil życzenia
Śmierć w rzeczywistość słodką zmienia,
To zawsze kiedyś do widzenia!...

Exoriatu r!^{4d}

Gdy już cichy zachód spłonie
W płomienistej tonąc fali,
Nim różany świt rozpali
Zorzy blask we wschodniej stronie,

^{4c} «Starej szukajcie macierzy!» — tytuł wzięty z *Eneidy* Wergiliusza, p. III, w. 97.

^{4d} «Niech wstanie!»

Ni to wiatr roznosi wonie,
 Ni się słowik pieśnią żali,
 Tylko ja z mej mglistej dali
 Duszę w lot ku tobie gonię.

Cieniem, co jak sen przemyka,
 Zbiegłszy wzdłuż i wszecz po niebie,
 Gdzieś koniecznie znajdę ciebie.

Cichym tchem jak szept wietrzyka
 Dam ci krótkiej treści słowa:
 — Bądź mi zdrowa! bądź mi zdrowa!

Krótko mówiąc — uprzykrzyło mi się życie. Za chwilę skoczę wraz z Dalilą w ziejącą podę mną otchłań wodną. Obecny tej wyprawie przyjaciel mój Douglas Grosvenor założył się ze mną o 20 000 funtów szterlingów, że zwłoki moje, lub przynajmniej mego konia, wypłyną po stronie Kanady. Jeśliby przegrał, o czym nie wątpię, chciej z tej sumy założyć bank wsparcia dla rodaków wygnańców i tułaczy po obcych ziemiach. Wygraną zaś odbierze od bankiera w Wiedniu, na co wysłałem stosowny weksel. Zresztą wszystko twoje, com tylko posiadał kiedy i co jeszcze posiadać mogę.

Żegnam cię i kocham do ostatniego tchnienia. Jakże mi cię żal, żeś jeszcze żyć zmuszona na tym nudnym świecie! Do zobaczenia — tam — gdzieś — daleko — poza boleścią i szaleństwem...

Wiecznie twój
 Grzmisław

THIANA

Dalila jest to klacz śnieżnej białości, perła arabskiego stada Nedż-Kochejlan. Nabył ją od szejka pokolenia Ben Hossein u stóp Libanu, za nie wiem już ile tam tysięcy gwineów. Wypróbował jej skoku w Czufut-Kale, kędy przesadził przepaść bezdenną deklamując *Sonet krymski*.

LILIA

Mów mi o mężu twoim, Thiano.

THIANA

Niewiele jest do powiedzenia. Młody, piękny, wzniosłego umysłu, szlachetnej duszy, wysokich, jak widzisz, poetyckich zdolności. Byłabym go może i pokochała kiedy ...

LILIA

Cóż stało temu na przeszkodzie?

Gr

THIANA

Ty mię badasz? Strzeż się, dziecko, i serce ma swoje prawa.

LILIA

Rozumiem, przymus.

THIANA

wstaje i wyciera sobie czoło zroszone potem

Mylisz się, biała dziewczico, nie było przymusu. (*osuwając się i łkając pada na kolana twarzą ku ziemi*) Precz! precz! nie skała więcej kłamstwo ust moich. Grzmisław mógł mi dać bogactwa, burzliwe światła rozkosze, królestwo powodzenia i zbytku — dlatego go wybrała ...

LILIA

O! jakżeś biedna, Thiano!

THIANA

wstając

Biedna — tak, biedna. Słowo w słowo to samo powiedziała mi pewna Cyganka wędrowna w dzień ślubu. Dzień to był olśniewająco pogodny, roziskrzony szalonym zbytkiem jakby oczy zalotnicy. Niebo zdawało się jedną olbrzymią półkulą z szafiru, pośród której przelewały się falami ognie słoneczne. Diamenty, topazy, rubiny poniewierały się pod nogami. Złote pyły ulatywały w powietrzu, obłoki zdawały się topnieć i złotem kapać. Szłam do ołtarza przysięgę z ust wyrzucić — a serce milczało. Wkoło szeptano z podziwu — wydawałam się wszystkim królową. Dwór miałam liczny i zaprzędany duszą całą memu szczęściu. On jeden tylko stał na boku milczący i smutny...

LILIA

On? Kto taki?

THIANA

Stał oniemiały. Serce uderzyło mi do oczu i zapłakałam. Cieszono się z tego jakby z wróżby dobrej — jam jedna złorzeczyła tej wróżbie, przeklinając w duszy serce i jego niezblagane prawa. Jakże wtedy nieznośnie pogodne było niebo, jak przeraźliwie uśmiechnięte! Kiedym wymawiała przysięgę, Grzmisław słuchał jej uważnie — a on — on — stał jak wprzódy, błydy, ze spuszczonej oczyma, drżały mu usta, na powiekach łąza drżała. Spełniasz krzywoprzysięstwo — szepnęło mi w duszy. Och! czyś ty kochała kiedy, Lilio? I czyś także choć na chwilę zniżyła kiedy twój lot śnieżny ku tej połyskującej kałuży, która się światem nazywa? Dość jej końcami piór dotknąć, żeby się zawałać. Ty płaczesz?

LILIA

To nic. Nie zważaj na to, słucham cię uważnie, mów dalej, Thiano.

THIANA

Zaraz. Niech pozbieram porozpierzchane myśli. (*słuchać w dali żalosne nucienie*) Tylko cicho, cicho, na Boga cię zaklinam! to Dangouleh, wiesz, ta czarna dziewczyna, którą dostałam dni temu parę. (*wstaje i nastuchuje*)

Ten śpiew Nigrycji duszę mi upaja na podobieństwo fletni czarodzieja, przy której tańczą grzechotniki na skwarnym piasku pustyni. Czy słyszysz to głuche warczenie szakala (*śpiew się wzмага*), te niespokojne lwicy przeczucia, te niecierpliwe podskoki orkanu czającego się po spiekłych głazach, żeby zewsząd obskoczyć zbłąkaną karawanę? (*śpiew coraz mocniej podrasta*) A co? czy ci nie drętwi zmysłów ta rozszalała pieśń podobna do bachantki, która by się upiła serdeczną krwią niewiernego kochanka? Czy cię nie przenosi w zatracone głębie Darfuru, ponad tajemnicze brzegi jeziora Ngami, w Księżycowe Góry, przypatrujące się sobie w nurtach Białego Nilu, który nie wiadomo skąd się bierze? Ale osobiwie w krwią ociekające uroczystości Dahomeju, na których się obchodzi wesele rzezi i cierpienia, święto męczarni, wyuzdane szaleństwo silnych wrażeń...

LILIA

Thiano moja, do mnie, do mnie! Wzrok ci krwią nabiegł, opamiętaj się!

THIANA

I co za zbytek rozpusty! Heban i kość słoniowa, fatamorgana bezwodnych pustyń i gorączki zabójcze, piasek złoty i trzody ludzi pędzone na sprzedaż! (*chodząc niespokojnie*) W istocie, duszno tu, chodźmy powietrza zaczerpnąć. (*u krużganku*) Cudowna noc miesięczna. Wspieram dłonie na marmurach, marmury zdają się topnieć pod moim dotknięciem; przyciskam do nich skronie — i wyraźnie tętno w nich uderza. Muszę mieć gorączkę jakby po zażyciu haczysz. Co? co? czy kochałam? czy ja kochałam kiedy? pytasz? Cicho — śpiew słabnie — wkrótce znajdą się słowa. (*wybuchając śmiechem*) Cha! cha! cha! Gdybyś wiedziała, jak pociesznie wprzódę głową wykręca, jak się całym ciałem kołysze, dopóki nie rozbuja w sobie duszy, dopóki nie wykołysze z siebie natchnienia... Słuchaj, na Boga, słuchaj, bo ona już drugi raz nie powtórzy słów tych samych. Cicho — oto zaczyna ...

DANGOULEH

śpiewa w dali

Płyną chmury, wiatr szumi tchnieniem tajemniczem —
 Och! nie wytrzymam — umrę. Sieczono mię biczem
 Dni temu kilkanaście, znów w dni kilka jeszcze,
 Potem znowu w dni parę, sądząc, że się pieszczę,
 Żem wcale chora nie jest. Daremnie! daremnie!
 Sił nie ma w członkach moich, duch uchodzi ze mnie,
 Nie wstać mnie już do pracy. Jeśli jutro rano
 Przyjdą tu — martwe zwłoki jedynie zastaną.

Widząc, żem jeść nierada, na myśl im przypadło,
 Że się głodem chcę morzyć. Gdzie tam! Cóż mi jadło

Bez chęci? Cóż się próżno wylegać do woli?
 Kiedym ani jest chora, ani mię co boli,
 A jednak umrzeć muszę. Niechaj myślą sobie,
 Co chcą, ja już nie mogę dłużej żyć — cóż zrobię?

Dawno już tęschni we mnie dusza rozboleła.
 Czemu? dokąd? nic nie wiem. Niby w lot bym chciała,
 Niby do ziemi lubej, z której mię porwali,
 Niby gdzieś dalej jeszcze i gdzieś jeszcze dalej...

Tak dziwny sen dziś miałam... Och! błękitne góry
 I brzegi mej rodzinnej krainy, ku której
 Blade obłoki ciągną, wiatr szumiący goni!
 Przeplłynąć by potrzeba, by się dostać do niej,
 Mórz kilka: jedno morze i drugie, i trzecie,
 I dużo jeszcze innych — (i dokąd to przecię
 Przeplływa wody tyle? dokąd srebrna rzeka
 Dolin naszych tak śpiesznie z czarnych puszczy ucieka?
 Co znaczy szmer przeciągły, którym ona pluszcze?
 Co szum, którym odwieczne kołyszą się puszcze?
 Co też mówi to wszystko? dokąd wszystko płynie?)
 I przebyć by też jeszcze niejedną pustynię,
 A i góry niejedne, które w poprzek biegną.
 Dalekoż to, daleko!

Umrę — to cóż z tego?

Wzleci duch, dokąd tęschni nieścigłymi pędy.
 Tylko dokąd on tęschni? tam czy dalej kędy?

Gdy oczy zmruję, widzę chaty naszej szary
 Wierzch, z gęstymi bananu spleciony konary.
 Obok źródło, gdzie skwarem gdy południe gore,
 Pierzchliwa antylopa, upatrzywszy porę,
 Lub struś, gromady ptasząt odpędziwszy, chciwie
 Pić przybiega spragniony. Chwieją się na niwie
 Żółte fale maisu^{4e}, których strzec wypada
 Śpiewając bez ustanku, by odstraszać stada
 Gołębi chciwych ziarna; a dalej straszliwa
 Wśród kotlin i czaharów puszcza, gdzie przebywa
 Lew grzmiący i gazylo płochy, i pantera
 Czająca się zdradliwie, i wąż, co jad zbiera
 Z ziół trujących, i słonie wśród zielonych fali
 Łąk kołysanych wiatrem; a tam, jeszcze dalej,

^{4e} *mais* — kukurudzy.

Góry błękitnoczarne. Zapadł zmrok, do sioła
Z bawołów stadem wraca gromada wesoła —
Gwar i śpiew...

W myśli mojej mąci się i plecie!
Skądże bo ja to wszystko widzieć mogę? Przecież
W oczach moich spalono starą chatę naszą —
Jedni zgłiszczą dymiące krwią mych drogich gaszą,
Ci upędzają trzody, ci spętany w dyby
Lud oszczędzon od rzezi...

Sen dziś miałam. Niby
Matka moja w otwarte wabi mię ramiona:
— Wróc do nas, wróc — powiada. Dziwnie! przecież ona
Nie żyje już. W mych oczach głowę jej obuchem
Rozwalono na miejscu, gdy z zgrzytaniem głuchem,
Biegła zasłonić ojca piersią bólem wzdętą...

A jeślibym wróciła, skąd mnie z dawna wzięto,
Cóż tam zastanę? Ojca ani matki miłej,
Ani kogo ze swoich. Nawet święte pyły
Chaty mojej rodzinnej rozwał wiatr. A może ...
A może też nie wrócę?...

Nie wrócić? Mój Boże,
To niepodobna! Prawda, że człek czarny po to
Stworzonym jest jedynie, by ciągnął tęschnotą
Łzawiło mu się życie i był wiecznym sługą
Białych Wybranych Pańskich, i tak cierpiał długo,
Życie całe, nie mając na pierwsze potrzeby
Nic swojego — a przecież niepodobna, żeby
Bóg dobry karał człeka i po zgonie jeszcze.

Szumi wiatr — szumi tęschno — szeleszcze — szeleszcze —
Płynie woda, obłoki, a wszystko ucieka —
Ucieka — płynie — wieje.

Gdybyż choć z daleka,
Choćby spoza obłoków przez tkanekę świetlaną
Choć raz jeszcze rodzinny kraj mi ujrzeć dano!

I co też mówi szum ów, który słuch zamąca?
Co płynienie obłoków? co ubiegająca
Woda — kryształ przestrzeni?...

Nie wytrzymam dłużej —
Popłynę i ja także. Do sennej podróży
Da mnie Bóg skrzydeł ptaszyc lub skrzeli modrej ryby...
Gdybyż w własnej krainie umrzeć chociaż! gdyby

Choć na piasku wybrzeża białym, kędy w pyle
 Nagie kości tych, których nie ma już lat tyle,
 Czekają, aż im z pustyn wicher przyściele łoże.
 A mnie kto tu usypie mogiłę? Toż może
 Też dłoń Boża tchem wicheru. A jednak — daremno!
 Ciężką mi będzie ziemia cudza! Któż nade mną
 Zanuci pieśń żalowaną? Kto mi nad mogiłą
 Zapali lampę drżącą, by mi jasno było
 Czas jakiś, zanim błędny wzrok mój się oswoi
 Z cieniami wiecznej nocy? Na mogile mojej,
 Zanim ją trawa bujna i chwasty oblegą,
 Kto zasadzi pachnący tkliwie kwiat, którego
 Imię noszę? Och! sam on wykwitnie! inaczej
 Skoro z ziemią się zrówna, czymże się odznaczy
 Miejsce, gdzie ja spać będę? — O! i biada ręce,
 Która by zerwać śmiała kwiat, w którym dziewczęce
 Tchnienie, wiecznie ku swoim słodkie ziejąc wonie,
 Tęschnić będzie — choć wzrokiem w niebiosach utonie!...

Jakież to chłód ziębiący aż do głębi duszy?...
 Szumi jeszcze, ale już głuszej, coraz głuszej;
 Płyną jeszcze obłoki, lecz już pociemniały,
 Czyżby noc już? ... Nie jeszcze, owszem, jasny, biały,
 Dzień świetlisty. Ktoś płynie obłoczkiem czy łódką —
 Czyżby ja? ... Matko moja! chwilę tylko krótką
 Czekaj na mnie!... Jak dziwnie świat się w oczach zmienia!
 Dobranoc! Zostajecie? No to do widzenia ...

śpiew ustaje

THIANA

obcierając łzy

Dusza moja odświeżyła się w tej dobroczynnej lez kąpieli. Serce jakby na nowo mówić się uczy, myśleć, działać. Jest na świecie tyle dobrego do spełnienia, tyle złego do zaniechania. (*wołając*) Dangouleh! Dangouleh! (*wbiega czarna dziewczyna*) Czy wiesz, dziewczę hebanowe, żeś mi do głębi rozdarła duszę, żeś jej męczarnię zadała, żeś ją uleczyła? Nie drzyj, zbliż się śmiało, siądź tu, u nóg moich, nie panią, ale tkliwą siostrę uważaj we mnie.

DANGOULEH

u nóg jej

Dobra pani, chętnie serce bym ci dała z piersi, nie mam nic więcej. Ale prawda. Weź ten amulet, który mi w dzieciństwie włożono na szyję. Ma to być dzielny środek przeciw ukąszeniu najjadowitszej gadziny.

THIANA

biorąc amulet

Dziewczyno czarna, nie będziesz tęschnić dłużej. Odeszłę cię do twego czarownego kraju.

DANGOULEH

składając ręce

O dobra pani, nie czyn tego!

THIANA

Coż to znaczy?

DANGOULEH

Słyszałam zawsze, że tam mieszkają ludzie dzicy, okrutni, krwi chciwi.

THIANA

Słyszałaś? Co ty mówisz?

DANGOULEH

Tak mi powiadano w Kadyksie, gdzie mój ojciec jest stróżem w domu Alguazila.

THIANA

Więc nie zginął? Żyje dotąd? Co za szczęście! I stróżem jest, powiadasz? Co za poniżenie! On — może potomek królewskiego rodu...

DANGOULEH

Nie wiem doprawdy. Dziad jego pochodził z Portugalii, dokąd przybył z Jamaiki wykupiwszy się na wolność...

THIANA

Po czym wrócił do rodzinnego kraju, gdzie napadło was sąsiednie pokolenie [!], wszak prawda?

DANGOULEH

Nie wiem, być może, skoro pani tak mówisz. Mój ojciec jest stróżem w domu Alguazila, a matka...

THIANA

Matka zabita, wiem o tym.

DANGOULEH

Zabita? No proszę. Pewnie to zrobiła sąsiadka jej, przekupka jak i ona, kobieta bardzo kłótniwa.

THIANA

Nie rozumiem twojej mowy, dziewczyno, chybaś zmysły postradała. Więc masz oboje rodziców? Nikt ci nie zginął? Ależ cię przynajmniej bito, katowano ?...

DANGOULEH

Nie, pani. Wychowałam się razem z panienką w domu Alkatego. Na niczym mi tam nie zbywało.

THIANA

Więc cię porwano z objęcia rodziców?

DANGOULEH

Ile pamiętam, sprzedał mię ojciec żonie Alkatego za butelkę araku.

THIANA

wstaje i obciera sobie czoło

Dziwne dziecko, mówisz niepojęte rzeczy. Cóż tedy znaczył ów śpiew bolesny, który wyjęczałaś z głębi duszy?

DANGOULEH

Ten śpiew? Zaraz, niech sobie przypomnę. A! Pieśni tej nauczył mię stary kapitan portugalski, przyjaciel Alkatego, bardzo wesoły człowiek, który całe życie handlował Murzynami. Pieśń ta jest jego utworu, ułożył podobnych bardzo wiele.

THIANA

Dosyć! Odejdź! (*Dangouleh oddala się z wolna ze spuszczoną głową*) Dostałam ją od sekretarza ambasady hiszpańskiej, w zamian za szkatułkę z bursztynu należącą niegdyś do Marii Teresy. (*oglądając amulet*) Co mi po tym amulecie? Od ukąszenia węzów — ależ tu węzów nie ma! (*wybuchu głośnym płaczem*) O, mój Boże! mój Boże! Jakżem ja nieszczęśliwa! Czyż już nie ma na świecie śmierci nagłej? pęknięcia serca? piorunu? Jestem jak ptak, którego tu zamknięto w kryształowej urnie. Wkoło siebie zewsząd swobodę widzi, mniema, że dość mu skrzydła rozpuścić. Gdzie tam! Co się poderwie, pada skrwawiony, nie mogąc nawet pojąć, o co się rozbił, bo nigdzie nie widać zapory. Powiedz mi, Lilio — ty, biała — ty, spokojna — ty, tak poważnie, tak wspaniale królująca — jakim sposobem w państwie twoim nigdy nie zachodzi jutrzienka? Czyś je objęła w posiadanie wchodząc przez luk tęczowy, spleciony z siedmiu obietnic przebłaganego Boga? Zanim w piersi mojej paznokcie sobie zakrwawię, niech wiem przynajmniej, czy się dobiórę do serca. Może go nie mam albo tak narosło boleścią, że się do niego dusza przyznać nie chce, że go już nawet ciało osłaniać nie raczy. Naucz mię wiary w ludzi — inaczej pomyślę, że jej sama nie masz, tylko żeś mniej wymagająca czy też rozsądniejsza ...

LILIA

Mów mi o twojej miłości, Thiano. Czyż i w niej prawdy nie było?

THIANA

O moją miłość pytasz? Cóż cię miłość obchodzić może! A! rozumiem. Pewnie i ty kochasz. Jakżeś zbladła. Więc cię szczęście trwoży?

LILIA

Mówisz w goryczy serca, Thiano. Pytam cię: czy nie masz wrócić dokąd?

THIANA

Wrócić? O nie, piękna moja. Kto raz utracił raj ziemski, czyliż do niego powraca? Gdyby i chciał, to nie dopuści mu własny grzech jego stojący zewnątrz na straży.

LILIA

Nie bluźnij, Thiano. Jeżeliś ty odepchnęła czyste szczęście, to może on z bijącym sercem biegł na jego spotkanie ...

THIANA

Prawda. Tak. On mię kochał ...

LILIA

A gdyby dotąd wierny ci pozostał?

THIANA

Wierny? Mnie? To jest, żeby jeszcze wierzył we mnie? Zastanów się, dziewczę prostacze: czy to jest rzecz możebna? Mówisz: że gdyby dotąd — gdyby dotąd?... Ale nie, nie! nie kuś mię, biała rusalko, bo oszaleję z bóleści. Jak to? Życia sobie nie odjął, cierpienia się nie wyrzekł, nawet świata sobie nie odmówił — i ja mam być godną królować jeszcze w tej świątyni, która się nazywa jego sercem? Więcej jest niż człowiekiem, a jednak mniej jeszcze od karzącego Boga! — Dowiedz się całej spowiedzi mego serca. Kochałam go i dotąd Kocham. Ale gardzę sobą i gdyby nawet odzyskać mię usiłował, mężnie stanę w jego obronie i nie dam go samej sobie. W tej chwili wolna jestem, a chcę być jak i wprzód niewolnicą obowiązku, który już nie istnieje. Cierpieć chcę, czystą być żądam, wybraną być pragnę! Bo widzisz, Lilio, przerwane szczęścia dokończają się niekiedy poza grobem, tylko potrzeba na to łaski, a łaskę zdobywa się ofiarą. Sam Bóg nie jest w stanie zbawić człowieka bez jego pomocy. *(marząc gorączkowo)* Och! tak młoda jeszcze, tak dużo życia mająca przed sobą, znalazł się siły, odwagę, zdołamże wytrwać do ostatka? *(z coraz wzrastającym podnieceniem)* Nie pytasz mię o imię władcy mego serca, nie pytasz o pana tej wyniosłej królowej, której stopy po tylu sercach stąpały, którą podziwiano częściej nierównie, niż sama liczy chwil

życia, którą czczono potężniej, niż tego pragnąć mogła, której zazdrosz-
czono więcej, niż jej odjąć było podobna?... Imię to mogłabym jak dotąd
zataić w skarbcu najświętszych wspomnień duszy, grobowi tylko powie-
rzyć, Bogu jednemu wypowiadać — a jednak ... nie zrobię tego ... nie,
nadszedł czas łez gorzkich i włosienicznej pokuty, dusza z piersi mi się
wydziera — Lutuwer! Lutuwer — imię jest jego!

pada zemdlona

LILIA

pochylając się nad nią

Biedna! Ani się domyślasz, żeś jeszcze stokroć czystsza od Lilii... ukocha-
nej Lucjana!

7

Bezdroże ponad przepaścią.

LUCJAN

sam

Jak zajrzę — pustka. W górze Bóg i w dole.
Z Nim ja sam jeden. Z Nim ja sam! Pacholę
W przestrzeni mglistych tu i tam pomroce
Bezdomne, w zdartych szatach i sieroce.

Precz, wy, ode mnie! i ja od was! Oby
Pomiędzy nami coś na śmierć i życie
Zapadło głucho! — i niech od tej doby
Obce mi będą te kwitnące groby,
Na których, aby nie móc lkać, tańczycie.

Precz, wy, ode mnie! bo mi nie jesteście
Ani pokrewni, ani choćby wreszcie
Powinowaci w brzaskach krwawej zorzy,
Której się duch mój w sprawie waszej trwoży.

I ja precz od was! boście żądz swych słudzy,
Przesytem czy też nienasytem chorzy —
I chociaż nawet na śmierć chorzy, przecię
Żyć nie umiając umrzeć nie możecie —
Więc w świat gdy idę, bym ocalał w porę,
Jak żyć nie trzeba, z was ja przykład biorę.

Boże mych ojców! Ty mię wiedz w mą drogę,
Nie wiem, com zdziałać winien i co mogę...

myśli

Spoleczność owa, w wolną wolę skąpa,

Bezmyślnie, z licem bladym, choć wesołem
 Tuż obok twardej konieczności stąpa —
 Jak te dwa garnki w bajce, co to społem
 Szły po kamieniach w bezmiar klęską siny,
 Jeden z żelaza był, a drugi z gliny,
 I miał gliniany krzywdę z obiej strony:
 Bądź sam się trącił, bądź był potracony...

Wszechmocy z nieba! Ty do siebie zgarnij
 Tę czeladź, która nie wie, komu służy —
 I spraw Twą łaską, niech nie będą dłużej
 Bezkarni jedni, drudzy zaś niekarni,
 I niech z Twej woli światau ktoś wypowie,
 Że na pół dobrzy są też źli w połowie!

pochyla się nad otchłania

O! jak tu rzeźwo w głąb mej duszy wieją
 Podmuchy, tchnące wiarą i nadzieją!
 W mej głowie ani szumi, ni się kręci,
 Choć wzrok zagrażam w przepaść tę zapadłą,
 I nawet iść w nią, gdyby tak wypadło,
 Zarówno nie mam wstrętu, jak i chęci.
 Wstrętu, bo czuję, zem pod Boską strażą,
 Chęci, bo zrobię to, co z nieba każą.

O! tam, nad strugą, gdzie jest kres dąbrowy,
 Samotny pasterz dmąc w swój flet wierzbowy
 Snadź pieśń zawodzi jakąś. Cóż? gdy ona,
 Nim w słuch mój sięgnie, gdzieś w przestrzeni kona,
 Że wiedzieć trudno: cieszy się czy żali!

Ach! tak. Toż skoro patrzę z tak daleka,
 To mi jest nawet postać tego człeka
 Przedziwnie małą... Jemu też z tej dali
 Jam równie mały... Myśmy wszyscy mali
 Wobec Miłości bezgranicznej, która
 Mrówkę na czarnym głazie w noc burzliwą
 Widzi i z zmiją jest, i jest z pokrzywą,
 I ze złym człekiem, choć on nie chce, gada
 Sumienia szeptem — i wie, gdzie ma chmura
 Grom czy deszcz wylać — i w myślowej ciszy
 Jak w księdze czyta, i milczenie słyszy —
 I takich nawet rzeźwi, którym blada
 Życzeniem śmierci grozić śmie zagłada...

Miłości! wielka, jak jest świat szeroki!
 O ty! wytrwała! cicha! pobłażliwa!

Tobie czyż dotrwa złość w szkodzeniu chyża,
 Gdy przesuając w ręku twym ogniwa
 Różańca czynów zdobnych w znamię krzyża,
 Z człowiekiem nawet, który cię odtrąca,
 Cierpliwa jesteś i przebacząca?!...

Z Tobą ja jedną, coś jest wiecznie młoda,
 Być chcę i będę — tak mi pomóż, Boże!
 Oto przede mną szlaków dwóch rozdroże...
 Tu — bierny w grzechu byt, a tam — przygoda
 Czynów, do których Bóg mi dłoń swą poda...
 Darmo to! Jam już nie swój. Kres daleki
 Nęci mnie! Panie! wiedz mię w moją drogę —
 Z niej się ja cofnąć ani chcę, ni mogę...
 Miłości ziemską, żegnaj mi na wieki!

wychodzi

8

Wnętrze gospody w okolicach Warszawy. Modrzewski przy ponczu z Nieznajomym ubranym z myśliwska. W głębi Podróżny na ławie. Gospodarz za kantorem.

MODRZEWSKI

Nie, panie. Socjalizm nie dla nas. To jest mrzonka powstała tylko w głowach tych, których — słusznie zresztą — do rozpaczy przywiodła znana zasada ekonomiczna „laissez faire, laissez aller”⁵. W naszym społeczeństwie nie ma on żadnego powodu do istnienia. Dla nas dobra tylko zdrowa demokratyczna idea, system reprezentacyjny, według którego wszystkie klasy ludności zrównane w prawach niemal bezpośrednio udział w rządzie biorą. O dobrodziejstwach podobnego urządzenia radziłbym panu przeczytać Broughama *Political philosophy*, Billarda *de l'organisation de la République*, zresztą Zachara [?], nie pamiętam w tej chwili tytułu, ale zwłaszcza Hansa Gagerna⁶ tom trzeci, w którym jest o demokracji...

⁵ Formuła liberalizmu ekonomicznego, dosłownie: «pozвольcie działać, pozwólcie iść».

⁶ Modrzewski sypie, może beładnie, nazwiskami pisarzy politycznych. Henry Brougham (1779–1868), angielski mąż stanu i pisarz polityczny. Billard, nazwisko nie zidentyfikowane w encyklopediach, może błędnie podane przez autora. Zachar, prawdopodobnie: Karol Salomon Zachariae (1779–1813), specjalista w prawie politycznym. Hans Christoph Ernst Gagern (1766–1852), polityk niemiecki i przeciwnik Napoleona I, reprezentował na kongresie wiedeńskim interesy drobnych

NIEZNAJOMY

Jednak socjalizm w takiej formie, w jakiej go Lassalle⁷ szczepić próbował ...

wchodzi Oliwski

OLIWSKI

Jędrusiu, na miłość Boga! ty znowu przy szklance? A dałeś mi już słowo, że się od tego powstrzymasz!

MODRZEWSKI

Ale, bo widzisz, ten pan, z którym się spotkałem przypadkiem, zaprosił mnie — sam nie wiem, jak to się stało. Bar... tego wy... wykształcony... cony człowiek...

zasypia

NIEZNAJOMY

Z nas dwóch z pewnością to pański przyjaciel nosi na karku głowę nie dla kształtu.

PODRÓŻNY

Istotnie. W dyskusji z panem wyszedł zwycięsko.

NIEZNAJOMY

Szkoda tylko, że ta głowa do szklanki za słaba.

PODRÓŻNY

Raczej mu to zaszczyt przynosi.

NIEZNAJOMY

Tak, niewątpliwie. Jednak jeśli mię nie myli doświadczenie, ten pan wygląda na takiego, który dawniej mógł niejednego z nas przy antałku w koźli róg zapędzić, a dziś dość ną niego, zdaje mi się, kieliszka ...

OLIWSKI

Niestety, nie myli się pan. Człowiek niezmiernie zdolny, wielokrotnie uczony. Na nieszczęście — nałóg...

NIEZNAJOMY

Domyślałam się. Jeden to z tych niedobitków epoki, w której, nie zaniebując innych środków, rozpustą pozabijano najświetniejsze kraju na

księstw niemieckich. Jego wielotomowe dzieła: *Die Resultate der Sittengeschichte*, 7 t. (1808—1847), *Mein Anteil an der Politik*, 7 t. (1808—1847), *Die Nationalgeschichte der Deutschen*, 2 t. (1825—1828) i 1-tomowa *Kritik des Voelkerrechts* (1840).

⁷ Ferdynand Lassalle (1825—1864), socjalista niemiecki, twórca oportunistycznego odchylenia w ruchu socjalistycznym.

wszystkich drogach nadzieje. Wtedy to poprzepadali tacy, jak: Dziekoński, Filleborn, Zmorski, Gierdziejewski, Tadeusz Brodowski, Tropieński, Łada, Bachman, Zakrzewski — albo wyszli z tego zbrukani, jak Niewiarowski i Wolski⁸. Wszehmoc kankana, rozczochrane, do nagości rozmaiane zapusty⁹, z krwią w oczach, pianą na ustach, bezmyślą w głowie. Zielone ogródki, Ohmy, sale u Paca, u Kossowskich i wreszcie po najbrudniejszych zaułkach¹⁰. Tam Turkuł¹¹, największy państwa dygnitarz, w otoczeniu płatnych jak on pomocników, rej wszędzie wodząc, hojnym groszem najwyuzdańsze nadgradzał pomysły. Nie gardzono nawet Srebr-

⁸ Faleński wymienia tu przez usta Nieznajomego w pierwszym rządzie tych przedstawicieli „młodej piśmienności warszawskiej” (określenie E. Dembowskiego), którzy należeli do luźnego ugrupowania młodzieży artystycznej, nazwanego później cyganerią warszawską, wprowadza jednak wiele nazwisk pozaliterackich. Józef Bogdan Dziekoński (1816–1855), autor nowel fantastycznych i powieści *Sędziwój*, „cygan” niewątpliwy, emigrował w r. 1846, pod koniec życia stał się adeptem A. Towiańskiego. Seweryn Filleborn (1815–1850), poeta, domniemany przywódca „cyganów”, w r. 1841 redagował „Nadwiślanina”, zmarł w biedzie na suchoty, wyniszczony przez alkohol. Roman Zmorski (1822–1867), najwybitniejszy poeta z grona „cyganów”, rewolucyjny demokrat, emigrował w r. 1843. Ignacy Gierdziejewski (1826–1860), malarz młodo zmarły we Włoszech, wykolejony podobno przez cygańskie życie. Tadeusz Brodowski (1821–1848), malarz i syn malarza Antoniego Brodowskiego. Konstanty Tropieński (1820— zm.?), muzyk i kompozytor orkiestralny. Kazimierz Łada (1824–1872), wirtuoz. Karol Bachman (1821— zm.?), prawnik, współpracownik „Biblioteki Warszawskiej”. Walenty Pomian Zakrzewski (1821–1862), dziennikarz i tłumacz, serdeczny przyjaciel w młodości Cypriana Norwida i potem na emigracji, popełnił samobójstwo w Paryżu. Aleksander Niewiarowski, pseud. Półkozic (1824–1892), dziennikarz, mierny nowelista i dobry felietonista. Stworzył legendę o cyganerii warszawskiej wraz z jej nazwą w felietonach ogłoszonych w „Kurierze Warszawskim” (1881–1882). Włodzimierz Wolski (1824–1882), bardzo uzdolniony poeta, w okresie cyganerii rewolucyjny autor *Ojca Hilarego* („Przegląd Naukowy”, 1843), autor libretta do *Halki* S. Moniuszki, wykoleił się prowadząc zbyt lekkomyślny tryb życia. Jako kolega szkolny Faleńskiego nie zyskał sobie jego sympatii, dowody niechęci można stwierdzić we *Wspomnieniach z mojego życia*.

⁹ Cała inwektywa Nieznajomego nie odnosi się wyłącznie do cyganerii warszawskiej, lecz w ogóle do obyczajowości lat między powstaniem. Po pierwsze, dość ostro odcina Faleński zmarnowanych od „zbrukanych”; po drugie, przeciwstawia rozpustę innym przyczynom, określonym: „nie zaniedbując innych środków”; po trzecie, o protęgowanie rozpusty wręcz oskarża polityczne władze Królestwa.

¹⁰ Wymienione są tu różne miejsca rozrywek: najpierw popularne restauracje i knajpy ogródkowe; sale imię pana Ohma na Woli stanowiły teren mniej wytwornych zabaw mieszczańskich; w dawnych pałacach magnackich sale częściowo zmieniły się w prywatne mieszkania, większe zaś były wynajmowane na bale i koncerty; mówiąc zaś o najbrudniejszych zaułkach, nie wymienia Faleński znanej gospody cygańskiej „Między Parkanami” ani równie mało nobliwego lokalu „Pod Dzwonnica”.

¹¹ Ignacy Turkuł (zm. 1856), sekretarz stanu w Królestwie Polskim za rządów Paskiewicza.

ną Salą i Czterma Murzynami¹², aby i lud prostaczy, w tej tak pracowitej pralni, z wszelkich szlachetniejszych zachcianek zbawiennie powyżymać. Brakło tylko tego, ażeby w południe białe ukazał się kiedy na cześć bezwstydu i hańby rydwan zwycięski, u którego by Abramowicz¹³ na koźle siedział. W nim zaszczytne mogły być pozajmować miejsca: Obuchowska, Jagielska, Bobrowska¹⁴ — trzy boginie bezrozumu, drapieżnie chwytające w kieszeń bezdenną mienie ojców i dobrą sławę nie wiedzieć ilu młodych opętańców. A dopieroż to, co Rabelais „la dive bouteille”¹⁵ ucieszenie sobie nazywał. U „wujaszka” Wilkońskiego¹⁶ o każdej dnia i nocy godzinie zastawałeś flaszkę gorzałki pełną, bochen chleba i gościnny siennik do przespania czasu — o ile inaczej zabić go nie było podobna...

OLIWSKI

Hm! jaskrawe malowidło, chociaż niemniej trafne. I pan jednak, chwalić Boga, jak widzę, czasy te przeżył jakoś szczęśliwie?

NIEZNAJOMY

Wytrzymać dłużej nie mogąc, kraj opuściłem i aż w Ameryce się oparłem.

PODRÓŻNY

I stąd to pewnie nawyknienie pańskie do rozprawiania o naprawie społecznej?

NIEZNAJOMY

Zgadłeś pan. Bo tylko tam, gdzie Kościuszko, Pułaski i Niemcewicz za swobodę walczyli, zdrowym powietrzem pierś oddycha...

OLIWSKI

Choć, słyszę, dymem fabryk strasznie dziś ono cuchnie.

¹² Znów mowa o miejscach zabawy, ludowych salach tańca. Pierwsza przeznaczona może do gry w karty, gdzie najniższą stawką był rubel srebrny.

¹³ Ignacy Abramowicz (1793—1867), Polak renegat, policmajster w Warszawie i prezes Dyrekcji Teatrów.

¹⁴ Zapewne protegowane przez Abramowicza — nie tylko z miłości dla sztuki — baletniczki.

¹⁵ «boska flaszczyna». Rabelais w ks. IV dzieła *Gargantua i Pantagruel* opowiada, że filut i awanturnik Panurge zasięga wyroczni u boskiej flaszki w sprawie swego przyszłego małżeństwa.

¹⁶ August Wilkoński (pseud. Au-Wi, 1805—1852), autor *Ramot i ramotek*, mąż Pauliny z Lauczów, autorki cennych pamiętników: *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie* (I wyd. 1871, III — 1959). Z Wilkońskim, wybitnym humorystą i człowiekiem wielkiej wartości moralnej, obszedł się Felicjan niesprawiedliwie. Obok nie dających się wyjaśnić motywów osobistych, obok plotek wokół gromadzącego się u Wilkońskich „cechu głupców” zaważyła, być może, sprawa udziału Augusta w prorządowym „Dzienniku Warszawskim” (1851—1856), wydawanym przez Henryka Rzewuskiego.

Tam — wolność.
 NIEZNAJOMY

Kułakowania przeciwników przy lada wyborach ...
 PODRÓŻNY

Tam — równość bezwzględna...
 NIEZNAJOMY

Wobec rewolweru ...
 OLIWSKI

Ależ taki stan rzeczy istnieje tylko w Kalifornii!
 NIEZNAJOMY

Czy i tam pan bywał?
 OLIWSKI

Czemu nie? Przez ciekawość.
 NIEZNAJOMY

No i pod wpływem gorączki złota ...¹⁷ nie ma się czego wstydzić. A dużo też tego marnego kruszcu z mętnej wody pan wypłukał?
 PODRÓŻNY

Panowie, widzę, raczą żartować sobie z pokornego swego sługi. Ale ja lubię wesołą rozmowę. Otóż kochany panie, w Kalifornii szukać złota jest to guza szukać. Bezpieczniejsze tam nierównie utrzymanie z myślistwa.
 NIEZNAJOMY

I chyba o wiele niż tu zyskowniejsze. Bowiem u torby pańskiej nie spostrzegamy ani wróbla ...
 OLIWSKI

Tu — co innego. Tu ja wyłącznie na wilki poluję.
 NIEZNAJOMY

Co? w okolicy tak ludnego miasta?
 PODRÓŻNY

Właśnie, im ludniejsze, tym dla nas pożądańsze.
 NIEZNAJOMY

Dla jakich: nas?
 OLIWSKI

¹⁷ W Kalifornii odkryto złoto w r. 1848 po aneksji północnej części tego kraju przez Stany Zjednoczone.

NIEZNAJOMY

tajemniczo

Dla takich, których jest więcej niż jeden, a najmniej dziesięciu, i których jest hasłem: „Zemsta dławionego przez wilki jagnięcia” ...

PODRÓŻNY

Coś to wcale niezrozumiałego.

NIEZNAJOMY

Może zrozumialsza będzie piosenka, której posłuchać proszę. Tylko czy tu ...

OLIWSKI

Czy nie ma pomiędzy nami szpiegów, chcesz pan wiedzieć? Nie sędzę. Choć znów nie myślę, żeby też były potulne jagnięta. No, cóż to tam za taka śpiewka? Słuchamy.

NIEZNAJOMY

śpiewa półgłosem

Hej dziesięciu! Czas do dzieła,
Ciemna zgliszcz drużyno!
Jeszcze Polska nie zginęła,
Gdy za Polskę giną. ...

GOSPODARZ

przerywając

E, proszę pana, takie rzeczy...

NIEZNAJOMY

Cóż? Może Polska zginęła?

GOSPODARZ

No, nie tak znowu, żeby jej odszukać nie można. Ale u mnie — tu — podobne śpiewanie — to tego ...

NIEZNAJOMY

Boisz się pan?

GOSPODARZ

At, co to i gadać. Ja, panie, pod Ostrołęką byłem i pod Wawrem, i pod Grochowem, kiedyś pan jeszcze dobrze koszulkę w zębach nosił — i krzyż mam na pamiątkę tego ukropu, to mnie tam byle czym nie nastraszy. Ale ściany mają uszy, a ja nie życzę sobie zajechać tam, dokąd nie wiem drogi...

PODRÓŻNY

Pozwólcie, gospodarzu. Zrobiliście swoje, a my resztę na siebie bierzemy. No, jakże dalej, kochany panie myśliwy?

NIEZNAJOMY
śpiewa znowu

Niechaj dziewczę się nie lęka
Zasmolonej twarzy —
Czarna twarz; lecz serce, ręka
Czyste u węglarzy.

GOSPODARZ

Diabła ta czyste. Komu tu gadać, kiedy z węglem robota? Chybaby się
umyli w święto do kościoła.

NIEZNAJOMY

Ale kiedy ciągle przerywacie!

PODRÓŻNY

No, nie zważaj pan. Słuchamy.

NIEZNAJOMY

2

Węglem z zgliszcz rodzinnej wioski
Na więzienia ścianie
Baltazara groźne głoski
Smutny, pisz, młodzianie!
Przyjdzie wiatr, co czarne słowa
W ćmiący blask rozżarzy,
Wtedy będzie w bój gotowa
Ciemna czerń węglarzy.

3

Co tak zewsząd przez kurzawę
Krwia ku niebu błyska?
To są naszych siól i krwawe
Grodów zgorzeliska.
A wśród zgliszcz i zamieszania
Co tam z cicha gwarzy?
To się sobie chyłkiem słania
Ciemny rój węglarzy.

4

Tam u kraty nagie mury
Pismo zdobi czyje?
To testament więźnia, który
Gdzieś w kopalniach gnije.
Tę ostatnią wolę świętą
Spełnić któż się waży?
Cicho! — właśnie w pomoc wzięto
Ciemną czerń węglarzy.
budzi się Modrzewski i słucha

5

Ręka w rękę! ciemne kruki!
 Czerni pracowita!
 Tylko milczkiem, chyłkiem, póki
 Krwawy dzień nie świta.
 Dziś z nas każdy skryty, niemy,
 Ale Bóg nam zdarzy,
 Ze wnet w pełną pierś hukniemy
 Grzmiący hymn węglarzy!

MODRZEWSKI

uderzając w stół pięścią

Karbonaryzm! precz z nim! To nie dla nas! Precz z patriotyzmem przy-
 dymionym u ognia, przy którym obcy nam spiskowcy pieczeń swoją
 pieką...

zasypia

GOSPODARZ

Farmazoni! Farmazoni! Wylatuj drugim uchem, coś jednym wleciało!

NIEZNAJOMY

Czy i panowie podzielacie te dwa przekonania?

PODRÓŻNY

Porozumiejmy się, kochany panie. Pewnie znana mu jest anegdota o tym
 chłopie, co to słuchając uważnie bardzo rozrzewniającego kazania, tym
 się odznaczał, że sam jeden ze wszystkich nic a nic nie płakał. Pytają go
 tedy o przyczynę podobnej zatwardziałości, a on na to najnaiwniej: „A bo
 widzicie, ja nie z tutejszej parafii” — otóż i to, coś nam tu szanowny
 pan wyśpiewać raczył, nie przeczę, bardzo jest dźwięczne, dosyć wzru-
 szające, być może nawet nieco przekonywające, ale cóż, kiedy na nie-
 szczęście i my także, jak ten chłop głupi, nie do pańskiej należymy pa-
 rafii. Z tego powodu pokornie żegnamy pana, życząc mu z serca pomyśl-
 niejszego polowania i szczęśliwej drogi. A my tymczasem tu zostaniemy,
 bośmy u siebie...

NIEZNAJOMY

zabierając się do odejścia

Panowie nie ufają mi, widzę.

¶

PODRÓŻNY

Tak... cokolwiek w rzeczy samej. Do widzenia. Uniżeni służdy.

tamten wychodzi

OLIWSKI

Panie, czy nie mógłbym wiedzieć, komu zawdzięczam tak dzielne poparcie?

PODRÓŻNY

Choć powiem, niewiele się pan dowiesz. Nazywam się Onyx i jestem z dość daleka.

9

Sypialnia Thiany szczelnie zewsząd zamknięta, starannie zapelniona zwrotnikowymi trującymi krzewy w pełnym kwieciu. Jest noc. Na kominku ogień dogorywa.

THIANA

Zycie zbrzydło mi, na podobieństwo z dnia na dzień na wymiar zadawanej roboty, której by człowiek rad nie potrafić dłużej. Kleopatra w kwiatach szukała śmierci, jak przystało podwójnej królowej. Tylko że nazbyt śpieszno jej było, skoro się nie wahała dla skrócenia sobie drogi szukać zabójczej wśród nich gadziny. Wstręt widoku podobnego stworzenia, jego ukąszenie, ból stąd powstały — wszystko to w jej rysach posągowych niepokój utrwalić musiało. Przy tym cudowne jej członki, porażone krwią jadem przepojoną, pewnie zsiniałe i pokurczone, niepotrzebnie tylko obraz upadku w walce potomności przekazały...

Te tu zwieszające się nad głową moją epiphyty¹⁸, śmierć zadając, przynajmniej do końca kwiatami są. Stanhopee, nie wiadomo czy ptakom niemożliwym, czy przysnionym podobne motylom, z życiem człowieczym odlatywać się zdają. Skrzydlate serichy, pajęczymi szpony tchnienia się w twych piersiach dobierając, żywiej od barw tęczyowych promienieją. Cuttlegi, pełzającym podobne padalcom, woń z siebie tryskają, od której zawrót głowy cię ogarnia. Lilie truciznę mi w kielichach swych podają, ale w srebrzystych lub rażących złotem i w których rosy krople diamentami drżą.

Te magnolie i te datury otwarcie zabójstwem dyszące, te gardenie takie ciche z pozorów, te jaśminy wschodnie tak zdradziecko powabne — koniecznie chcą żyć... mniejsza czym kosztem. Z drapieżnością nienasyconą wszelki ożywczy z powietrza wysysając pierwiastek, oddają w zamian trujące wyziewy. Zmowa to niższego rzędu stworzeń, zazdrosnych nieśmiertelnego w człowieku tchnienia. Walka o byt — kto kogo siłą trwania przemoże. W czasach prastarych one jedne paniami świata były —

¹⁸ Rezygnujemy z objaśniania wszystkich nazw egzotycznych roślin, które nie-doszła samobójczyni wymienia jakby z atlasem botanicznym w dłoni. Być może, jest tu ze strony Felicjana trochę przekornej karykatury.

czas je tylko tępi — człowiek był na to za słaby, więc wcale nie istniał. A jeśli dziś, dobrowolnie, z tegoż powodu, nie żyć zapragnął? Śmierć z nadmiaru woni godna przynajmniej tego, który najdostojniej obdarowany wszystko strwonić potrafił i wszelakiej rozkoszy nadużyć...

Tchu zaczyna braknąć w piersi mej ... uczuwam w skroniach lawą wzbierające tętna. Czas policzyć się z przeszłością i zamknąć wreszcie ostateczny z wykolejonym życiem obrachunek. (*wysuwa skrytkę w szkatułce z kosztownościami i wyjmuje z niej wiązkę listów Grzmiśława*) W ogień, potęgi wdzięków mych znikomych świętokradzkie dowody. Niegdyś na ofiarę sumieniu całopalenie podobne z rozdartym sercem spełniłam. W dniu to było, w którym krzywoprzysięstwo przed ołtarzem szłam wypowiedzieć. Dziś do ślubu z śmiercią idąc, nikogo przynajmniej nie zdradzam. Oto wiązanka pamiątek po człowieku, którego już nie ma. W ogień z nimi! przeżyć go nie powinny! ...

Ale mamże do tego prawo? Mojaż to wyłączna własność? Powątpiewanie mię ogarnia? Jakże? Dar, ażeby obie mógł obowiązywać strony, potrzebuje wzajemnej dobrych wiar wymiany. Cóż tedy? Damże im przeżyć moje istnienie? Ach! stokroć nie! Precz ode mnie te kuszące miłości własnej pobudki, w rzeczywistości dalszą tylko być mające zdradą. A gdybym je z sobą zabrała? Ale jakże? Czyż i poza grobem wiarołomną będę? ...

Niech przynajmniej raz jeszcze przepatrzę te w pączkach już zagładą podjedzone, te przedwczesną troską zrdzewiałe, te chłodem serca mego bezlitośnie powarzone kwiaty. Pamiętam jak przez sen — swą świeżością życia się napierały i woń duszy przenikliwa od nich wiała, i uśmiechały się poprzez łyż tęczami skrzące ... (*przeogląda*) Same tam wiersze prawie.

bierze na chybił trafił i czyta

Co czarniejsze: noc czy oczy twe, czy myśli mych tęsknota?
 Co wiotszego: kibić twa czy twych przyrzeczeń tkanka złota?
 Co pierzchliwsze: włos twój w wiatru falach czy też moje zmysły?
 Co znikomsze: uśmiech twój czy duch mój w kropłe łez rozprysły?

Co jest trwalsze: pamięć twója czy twych stóp na piasku ślady?
 Co wierniejsze: czy ja tobie, czy swej ziemi księżyc blady?
 Czy spod stóp twych pokorniejszy proch, czy mej miłości słowa?
 Co słusniejsze: skarga mego serca czy twych ust odmowa?

O na Boga! dziewczę moje! niebo moje! wszystko moje!
 Choć zarówno pragnę znać mój wyrok, jak się go i boję.
 Niech wiem wreszcie, nim w dręczący sen mi śmierć powieki skleji,
 Co jest prawdą: włąra w ciebie, czy w mą miłość bez nadziei?

Kochał się we mnie. Ale któż się we mnie kiedykolwiek, mniej albo więcej, nie kochał? On jednak prawowiciej pewnie od drugich. Bo jakże przekonania pełną i jakże jest porywającą sama jego wymowa! I czy na to,

aby koniecznie prawdę w niej odczuła, spoza grobu jeszcze, niby wracający odpływ, cichy jej szept uparcie mi się nastęrcza? Te tyle namiętne, a tak powściągliwe razem słów harmonie — te lzy wrzące — te skargi stłumione... Słuchałam ich niegdyś, nie słysząc, słysząc nie żądając, nawet chcieć nie mogąc... bowiem rozkołysane fale uderzeń serca, które nie dla niego biło, wbrew nawet woli mojej ogłuszały we mnie duszę. A jednak — udawałam, że słyszę; i już wtedy, pamiętam, samej sobie byłam wstrętną. W poczwarcie brzydkiej motyl śpi, będący oczu radością — we mnie zaś, z pozoru pięknej, ocknięta siedziała poczwarka... (*wstaje*) A! zwrotnikowe tu gorąco! przedmioty wszystkie zdają się wirować w koło mnie. Kres już może niedaleki...

drżącą ręką bierze inny świstek i czyta znowu

Ilekróć patrząc w nieba strop, gdzie skrzy srebrzysta struga,
Tam ujrzyś gwiazdę, co przez lzy źrenicą mglistą mruga,
To moja własna; mogłabyś rozprościć jej tęsknoty,
Jeśli byś ją raczyła wpiąć w słoneczne twoje sploty.

Ilekróć patrząc w słońca wschód w godzinie rozświtania,
Tam ujrzyś, jak się słaby brzask w obłokach bladych siania,
To dzień mój — wietrzyk zwałby zeń mgłę niepogody cienką,
Jeśli byś mu uśmiechem twym raczyła być jutrzeńką.

Ilekróć w samotności twej, jak ptaszę pół tułaczę,
Tęsknoty nie pozbytej głos w pierś twoją zakolacze —
To moja myśl — przestałaby tułać się nieskończenie,
Jeśli byś jej w serduszku twym raczyła dać schronienie.

myśli

On mię kochał. Doprawdy on mię kochał. (*przechadza się gorączkowo*) Wydaje mi się, jakby cień jego szemrzący z cicha za towarzysza samotności mi się napraszał. Te skromne wymagania kogoś, którego już nie ma, spóźnionym duszę moją wycieńczają wyrzutem. Nie uleczony smutek, na podobieństwo zachodzącego słońca, którego brzasku już nie ujrzę, ostatnie chwile moje w całun zmroku spowija. (*pociera sobie czoło*) Śmierć wyraźnie kogoś szczęśliwszego nawiedzić poszła. Jam podobno nawet pośpiechu jej niegodna. Dalej wy, zabójcze wyziewy, jakże się ociągacie! Słowa te, spoza grobu załatujące, silniej od was upajają, i gdyby śmierć pożądaną zadać mogły, jestem pewna, zaparcie się siebie zabijającą dałoby im wymowę. Wy, samolubnym tylko działając wysiłkiem, jakże obojętnie się pastwicie! Gdyby cudem jakim upas¹⁹, wstrzęgły [!] gdzieś w zasianą rumowiskiem kości ziemię, przenieść się tu dał w tej chwili — on by was zawstydził ...

¹⁹ *upas* — trująca roślina malajska (*antiaris toxicaria*), której gumowatym sokiem powlekano grotę strzał, według podania rozsiewająca daleko wokół zabójcze wyziewy.

Ale może i jego na świecie nie ma. Któż wie? Tyle rzeczy mniemałam, że istnieją, które się potem uludą być okazały!...

A więc do ciebie się zwracam, ty, odepchniętej rozkoszy czaro, dla której niegdyś domyślności nawet mieć nie chciałam, a która dziś w promieniach prawdy mi się objawiasz, mym ustom szumiący przedsmak niebiańskich nadstawiając zachwyty, obyś z litości truciznę na dnie twoim dla mnie mieć mogła i chciała.

czyta znou

Z twych ust się wiosna świeża wonnymi śmieje tchy,
W twych oczach nieba brzask w anielskie strojny rzesze,
W twej duszy spokój cichy, tyś przy mnie — ze mną ty ...
A ja się tobą chlubię, a ja się tobą cieszę.

Z twych ust westchnienie wzlata, w twych oczach błyszczą łzy,
I tęchni twoja pierś jak niespokojne fale,
W twej duszy tkwi cierpienie, tyś przy mnie — ze mną ty ...
A ja się tobą smucę, a ja się tobą żalę.

W twych oczach szczęście dnieje, w twych ustach piosnka drży
Lub wieszczych marzeń rój z modlitwy słów szelestem,
Pogoda jest w twej duszy, tyś przy mnie — ze mną ty ...
A ja przez ciebie żyję i z sobą w zgodzie jestem.

porywając się

Boże! On mi wierzył! On wierzył we mnie!!... To rzecz dziwna! to rzecz nie do pojęcia! Wydaje mi się po raz pierwszy w życiu coś podobnego słyszeć, a raczej klucz rozumienia tych dźwięków czarodziejskich w sobie odnajdywać. Na podobieństwo owych niegdyś napisów runicznych, dla których jasnowidztwa było potrzeba, aby znaczenie ich półboskie odgadnąć, jakieś ożywcze wiary technienie mój umysł mądrością serca bogaci... (*zatacza błędnym wzrokiem*) Gdzież ja jestem? Kędy spojrzę, zewsząd jaskrawe, wzrokiem zabijające błyski, wkoło mnie coraz ciaśniej krąg potępieńczy zataczają. Te w powietrzu bazyliżkom podobne orchidee, wyraźnie sycząc, jadem we mnie przyskają. Te datury szatańskim niespokojne podmuchem przedwcześnie podzwonne dźwięczą... Precz ode mnie! Życie bym chciała!... Po co? — kiedy go już nie ma!!... (*wybucho łkaniem*) Wszecmocny Boże! Jam go zabiła — a jednak moim był i kochać go mogłam! (*cisnąc sobie do piersi zwitki listów Grzmistawa*) A więc nie! Za nic nie dam zniszczeniu tych głosów błogosławieństwa pełnych, których za życia godna być nie umiałam! Z nimi w grób niech idę! — Niech wie świat, że ostatnia myśl moja z tym była, który dziś w sercu moim jak w otwartej księdze miłość dla siebie bezgraniczną czyta, i że dla tego jedynie umieram, że go przeżyć jest nad moje siły!...

pada bezprzytomna

PHOEBE
z zewnątrz

Jaśnie pani! proszę mi pozwolić wejść. Rzec jest pilna. W Warszawie spisek, słyszę, wykryto. Pan Lutłuper uwięziony. Dzień sądny! W okolicy wojska wszędzie pełno! ...

10

Widzenie Lili.

Krawędź to była. Od tej zaś krawędzi,
Ze ją naczyniem udziałano kruchem,
Niedostrzegalnych jakichś tchnień podmuchem
Za ziarnkiem ziarnko w mglistą przepaść pędzi —
W taką, jak była ta w zaczątkach świata,
Bezmiarem ciemnych czczości swych skrzydłata,
Gdy nad nią: — Stań się! — rzekło Pańskie Słowo.
A tuż w ślad za Nim z jutrznią piorunową
W widzących oczach od przedwiecznej straży
Gołąb się biały nad wodami waży.

Zda się klepsydry nieustannej trwanie,
W którą ciężeniem na dół nieprzerwanie
Pył się drobnouchny bez szelestu sypie.
A ta klepsydra w mowie tajemniczej
Nie narodziny uśmiechnięte liczy,
Lecz smutny wymiar chwil na wiecznej stypie.

I ziarnka owe, jak się bliżej zdało,
Dusze to były, z swą doczesną chwałą
W bezdenną mknące dal. A każda dusza
Nie wie, ni kiedy, ni się jak odkrusza,
Mając się puścić w nieśmiertelne szlaki.
Bo żaden w ciszy owej nie przestrzega
Głos: komu zostać jeszcze czas tam jaki,
A kto już z brzega.

Więc pytam: czym ja w niebie, czy na ziemi?
A ona coś mi rzekła, lecz jej słowu
Zabrakło dźwięku. Więc się pytam znowu:
Dobra kobieto, jak się zwiesz? — Noemi. —
I stała patrząc we mnie, a jej oczy
Taż łąza srebrzysta co i moje mroczy.

Wtem pierzchło wszystko, a ja zasmucona
 Chcąc wyjść na światło, gdzieś bez końca błędę.
 A z każdej strony rygle i wrzeciędzie,
 I kraty także, ale takie kraty;
 Co to zarazem w złości swej kolczatej
 Dech zapierają i niemiłosiernie
 Kaleczą ciało. Wtem przez owe ciernie
 Pieśń, dobrze nie wiem — pierwsza czy ostatnia —
 Kadzidłem wonnym w niebo się ulatnia...

H y m n s p o z a k r a t y

Ty, coś piskłębem twarde miał gniazdo
 W mgłach mrocznej skały,
 Cześć tobie, Lecha starego gwiazdo,
 Orle nasz biały!

Ty, coś tve skrzydła pławil w piorunie,
 By wrogi drżały,
 Cześć tobie, Chrobrych Piastów piastunie,
 Orle nasz biały!

Ty, coś naglądał, skąd gromy warczą
 W dniach znojnej chwały,
 Cześć tobie, mądrych Jagiełłów tarczo,
 Orle nasz biały!

Ty, coś na kresach z wrogiem zbójeckim
 Grał w celne strzały,
 Cześć ci w Batorym! cześć ci w Czarnieckim!
 Orle nasz biały!

Ty, coś nas prażył jak cenne kruszce
 W chwale stopniałej,
 Cześć ci w Kordeckim! cześć ci w Kościuszcze!
 Orle nasz biały!

Dziś, gdy nas nieba przez krew i trudy
 Wypróbowały,
 Znad mogił ojców cześć ci jak wprzód,
 Orle nasz biały!

Ach, wzbij w blask słońca nad chmur niedolę
 Twych lotów szały
 I wiedz nas w twoje czerwone pole,
 Orle nasz biały!

CZEŚĆ DRUGA

Bo jeśli Ewangelię będę opowiadał, nie mam chluby, bo mię potrzeba przyciska; albowiem biada mnie, jeśli bym Ewangelii nie przepowiadał.

Ś-ty Paweł: *Do Koryntian*, 1 IX, 16.

OSOBY INTERMEZZO:

Twardowski
Stańczyk
Pszonka
Maciek

OSOBY DRAMATU O POWSTANIU

Jazłowieckoj — major, potem pułkownik, renegat w służbie carskiej	Goście
Nieznajomy — koleżski registrator, szpieg	Chór Skazańców
Korybut — młody chłopiec	Nieznajomy — prowokator
Szymek — czeladnik	Rzeźniczka
Goldwasser — młody Żyd	Mieszczanin
Aksentowicz — syn lojalisty	Policjant
Modrzewski — szlachcic	Ulicznik
Józwa — chłop	Zebraczka
Miasopuscki — popi syn, dawny	Tłum Uliczny
	Stary Rzemieślnik (Paździerski)
	Szwaczka — młoda dziewczyna
	Sklepiakarka
	Stróż
Szube — robotnik, rodem Niemiec	Młody Człowiek
Wojdyło — ultraczerwieniec, rodem z Litwy	Jego Towarzysz
Strawiński	Bartek — chłop wrogi powstaniu
Fersen — Rosjanin, oficer gwardii	Maciej — chłop patriota
Maciejowicki — finansista przybyły z Ameryki	Urlopnik
Baron Szczekociner — finansista krajowy, dostawca komu się da	Jagna — żona Bartka
Trzyprztycki — półpanek	Chłopi
Lutwer	Akademik
Onyx	Przekupka
Von Szafranec — korespondent z Berlina	Maglarka
Hrabina Thiana (milcząca)	Piekarczyk
	Żandarm w biurze Jazłowieckiego
	Więzień (Jazłowiecki) — krewny pułkownika, powstaniec

11

Intermezzo.

Twardowski zawieszony w powietrzu, Stańczyk i Pszonka obok niego na wspólnym obłoku.

TWARDOWSKI

Więc gdy wam oto, wielce ukochani,
Mych zaklęć mocą łuskę z oka zdjąłem —
Hej! Sclavus saltans! uderz naprzód czołem
Tej ze wszystkimi tańczącej pani.

STAŃCZYK

At! Co waść gadasz! Stroi swe firleje
Wszeteczna baba, kiedy w czubek wleje.

TWARDOWSKI

O! nie, kochanku. Trzeźwość jest jej cnotą.
To już nie Bona twoja, ale oto
Ta, co się raczej Bonissima zowie.
Więc, mój mosanie, kiedyś raz w Krakowie,
Stanąwszy w Rynku, z gębą przewiązaną
Spisywał wszystko, co ci doradzano,
Pewien, że nigdy człeku się nie zdarzy
Policzyć wszystkich radców a lekarzy,
Toś wtedy, bratku, działał nie do rzeczy.
Bo ta tu Jejmość jedna, choć niczyja
Ani jej pomoc, ani chęć nie sprzyja,
Nawet i radców, i lekarzy leczy.

PSZONKA

A! tak! W jej garściach życie pierzcha szparko,
Przeto babińską godna być lekarką.

TWARDOWSKI

Ach! Sclavus ridens, trefnyś ty, ladaco!
Toćże to własna twa Rzeczpospolita²⁰.

PSZONKA

A co? Nieprawda? Nikt się w niej nie pyta:
Kto kogo rodzi ani gdzie, ni na co?
Siermięgi, mitry, łapcie i korony,

²⁰ Stanisław Pszonka, ziemianin lubelski, założył w swojej wsi słynną Rzeczpospolitą Babińską, parodiującą ustrój państwa polskiego. Rzeczpospolita Babińska przetrwała od czasów Zygmunta Augusta po rok 1677. W *Intermezzo*, otwierającym II część *Tańców śmierci*, Pszonka doskonale się rozumie ze Stańczykiem, błaznem Zygmunta Starego, i z czarnoksiężnikiem Twardowskim. W całej tej scenie można się dopatrzeć aluzji do krakowskiego stronnictwa konserwatywnego, którego manifestem była *Teka Stańczyka* („Przegląd Polski”, 1869); jeden z przywódców tego stronnictwa, Józef Szujski, napisał, zresztą w młodości, dramat o Twardowskim.

Podwiki, pięści, torby, zbroje, kije —
 I czy kto w górę nos ma, czy spuszczoney,
 Czy w słońcu stawa, czy się w mrokach kryje,
 Czy zgiął kark chytry, czy się wznosił ramiony,
 Czy swoje trzyma, czy też grabi czyje,
 I ci, co biorą, i znów ci, co płacą
 I co pracują, abyś żył ich pracą —
 Młodzieńce krewkie, dziewczki białoszyje,
 Uczeni, głupcy, piękni i brzydale,
 Panowie świata oraz świata słudzy —
 Wszyscy tam równi w jednym wspólnym szale
 I ani poznasz: kto swój, a kto cudzy.

TWARDOWSKI

Tam — wszyscy swoi!

STAŃCZYK

O! o! Być nie może?
 Aleć nasz naród — chrobrych rąk robota ...

TWARDOWSKI

A! A! Nasz naród? Mówić chcesz, nieboże,
 Wolny wolnością ze szczerego złota?
 Daj pokój, bracie! Wielcy tam i mali
 Już dawno wolność tę przetańcowali ...

PSZONKA

zamyślony

Rzeczpospolita! Rzecz niepospolicie
 Niepospolita, póki dba o życie.
 Lecz jeśli tylko życzy być zarżniętą,
 Dość, by jej wodza wprost z Babina wzięto.

STAŃCZYK

A więc przepadnij, zmarnowany bycie!
 A ty, szlachectwo duszy mej, zdeptane
 Mą własną stopą! i niech dłużej skrycie
 Łez nie połykam, i niech sam zostanę
 Z boleścią moją tak rozgłośnej mocy,
 Jaką płakali doli złej prorocy!

TWARDOWSKI

A jeśli losy na to tylko chcą cię
 Mieć śmieszkiem jawnym, abyś płakał w kącie?

Posłuchaj mistrza, ty, złych wieści pośle,
Coś twe szlachectwo śmiechem zbłąźnił wzniośle.
Ta ziemia, z której wzięłeś byt, na której
Ci, co czy z bliska, czy też z dala siedzą,
Ani kopcami bronni są, ni miedzą,
Lecz tylko pięścią zbrojną w szpon pazury,
Na której w podłuż, wszerz i w poprzek, wszędzie
Powszechnym hasłem było, jest i będzie:
„Ty lub ja” — czyli raczej zawsze „nie ty,
Lecz ja!” Spójrz tylko, ogrom tej planety
Czyżbyś odgadnął w owym ciemnym pyle?
A takich ciemnych krąży Bóg wie ile
Wokoło słońca, które jest jedynie
Iskrą zgubioną w mgławiej gwiazd drużynie.
A mgławic takich w ciemni czczych bezmiarze
Myriady myriad krążą, jak Pan każe,
Wokoło nich zaś czasy i przestrzenie
Bez dna, bez brzegów, rojne nieskończenie.
A razem wzięta rzesza ta tułacza
Śmierci się tańcem wspólnie w wir zatacza.
Więc gdy pomyślisz trzeźwo w tej godzinie:
Ze nie ty jeden ani jedni twoi,
Lecz nikt i nigdzie nic się nie ostoï,
Bo co stworzone, to koniecznie zginie,
Bo co początek ma, swój kres mieć musi —
To się pokornie skłonisz tej Kostusi,
Która doczesne nędze nieprzerwanie
Swym tańcem cieszy ...

PSZONKA

Ależ, mój mosanie,
Pozwól, że za to dyplom ci udzielię
Pocieszyciela nad pocieszyciele.

TWARDOWSKI

Ty zaś szydercą bywaj nad szyderce,
Boś mi zaprawdę zimny nóż wbił w serce!
Za to, że życie całe chciałem daremnie
Mój wzrok zatapiać w te straszliwe ciemnie
I słuch zapuszczać w tę milczącą ciszę,
Pomiędzy niebem dziś a ziemią wiszę —

I zamiast dymu mej rodzinnej chaty
 Świat widzę tylko śmiercią kołowaty...
 Bywajcie zdrowi!

STAŃCZYK

Mistrzu, powiedz, proszę,
 Więc gdy najświętsze czystych serc rozkosze
 Śmierć w swój korowód chwytą opętańczy,
 To, pytam ciebie: czemuż to, jeżeli
 Boleścią zgrzyta każdy, co z nią tańczy,
 Śmierć tylko tańcem owym się weseli?

TWARDOWSKI

Czemu? Bo ona sama jedna żyje —
 Tak Bóg chciał...
słychać dzwonek z Mariackiej wieży, on się żegna i śpiewać zaczyna
 Omni die dic Mariae,
 Anima mea, laudes!

STAŃCZYK i PSZONKA
padając na kolana

Wielki Boże!
 Wszak śmierć, przez Ciebie tak jak my stworzona,
 Z wszechrzeczy końcem także kiedyś skona...

PSZONKA
wstając

Patrz, patrz! od strony, kędy dnieje zorze,
 Spod stóp Królowej naszych ziem co prędeż
 Zbliża się Maciek na pajęczej przędzy.
 Cóż tam za wieści?

MACIEK

Ratuj, Chryste Panie!
 Już po nas! W naszej Polsce znów powstanie!

PSZONKA

Skąd broń? skąd środki? Mów nam słowo szczerze!
 Któż tam przywoździ?

MACIEK

Rozpacz, z pięścią gołą!

STAŃCZYK
uderzając się w piersi

Ach! Parce nobis!^{20a}

PSZONKA
podobnież

Ach! ach! Miserere,
Domine noster! (*po chwili*) Jam schyliwszy czoło
Zgłupiał, a Stańczyk łzy obciera połą ...
wszystko znika

*

O! czołem tobie, wiesz zagrobowa,
W otchłaniach bytu grozą dumań mglista!
W tobie przedwiecznej prawdy jest wymowa,
Której szyderstwem Szatan nie prześwista!
Twejej siły odblask w łonie drżącym chowa
Jasnowidzący Prorok i Lutnista²¹.
I skoro zechcą, w równej bywa cenie
Z niebiańską łaską ich swobodne chcenie.

Lecz mędrzec, chłodno patrząc w zdarzeń dziwa,
Na boku rad jest stać i tylko raczy
Ramiony ruszyć, i w uśmiechu zbywa
To, w co gorącość wkłada gmin prostaczy,
I mniema, że ta zbroja błyskotliwa
Jego i drugich zbawi od rozpaczy,
I syt w sumieniu bierną tą podniętą
Precz idzie, głosząc swe szlacheckie veto.

Pociechy takie zimnym blaskiem płoną
Jak próchno głązów — świecidlana mika!
Lecz w serca skrusze, gdy łkające łono
Siedmiu boleści ucisk wskrósź przenika,
Wśród gwiazd ja znajdę Miłość roztęchnioną
Cierpieniem zbawczym... Wtedy, łzo Stańczyka,
Tyś nad diamentów cenna mi kryształ
W koronie mojej Polski rozboląlej!

^{20a} «Przepuść nam [Panie]», jedno z wezwań litanijnych.

²¹ Aluzję tę wyjaśniają częściowo następane wiersze oktawy: „skoro zechcą [...] ich swobodne chcenie”, wskazujące dwa różne podmioty zdania. Tok oktawy przypomina J. Słowackiego, może więc chodzi o niego i o Mickiewicza.

12

Ustronna izba w małomiasteczkowym zajeździe.

JAZŁOWIECKOJ MAJOR

No cóż mi pan powiesz?

NIEZNAJOMY

Mnie się zdaje, że tu nic nie mamy do roboty. Lucjana nigdzie ani śladu. On by jeden, krótko wzięty, a z drugiej strony miłością rozmarzony i egzaltacją zręcznie zażyty, dużo mógł wybajać. Onyxa mam w podejrzeniu, że go uprzątnął. Tego zaś pilnie śledziłem, ze służbą jego w porozumienie wszedłem, jego szatny nawet nasz jest. Ale to wszystko na nic. Po dawnemu hula, w karty gra, w konie i w psy się bawi, poluje, dziewczęta uwodzi — jakby nigdy nic.

JAZŁOWIECKOJ

No — i cóż więcej?

NIEZNAJOMY

Hrabina zamknęła się na cztery spusty. Nikogo nie przyjmuje.

JAZŁOWIECKOJ

A taki mnie ona przyjmie, już ja w tym.

NIEZNAJOMY

Od jej służącej wiem, że żałobę narodową nosi.

JAZŁOWIECKOJ

Cóż mnie pan tu gadasz nowego! To nie żaden donos. Ja samże wiem, co ona żałobu nosi.

NIEZNAJOMY

Więc za to kontrybucję sutą ściągnąć z niej można.

JAZŁOWIECKOJ

Uż mnie pan, proszę, rozumu nie ucz. Ja w te rzeczy gracz. A tu sam czort nic nie nada. Ta sobaka pachnąca aż w Pietierburgu wyrobiła się. Po mężu niby ona taka smutna. A wszyscy wiedzą, co ona z mężem żyła jak pies z kotem.

NIEZNAJOMY

W Lutuwerze, powiadają, od dawna się kochała ..

JAZŁOWIECKOJ

Czort ich wie! Ja tam przy tym nie był, i mnie z tego nic. Ale ten Lutuwer — wot ptaszek! Ja zara pomyślał: Ot taki nagorszy, co to niewiele

gada, a tylko mądre ksionżki, panie dobrodzieju, czyta, duma, z łbem zwieszonym chodzi, od ludzi niby ucieka — ja się na tym wszystkim znam. Więc go od razu, panie łaskawy, nie czekając dokładu, cap za kark i pod rygiel jegomościa. Ano gdzie! Jeszcze wygovor dostałem, dobrze, co nie dymisję. Aż z Anglii go reklamowali, po gazetach o nim gryzmolili. Tak czort jego bierz! A wszystko taki dla mnie on zagadkowa figura. Bo co to: u dworu, słyszę, bywał, z cesarską kochanką mógł ożenić się — i ot kariera zrobiona. Nie po wojennej części, a po dyplomatycznej, no rozumie się, i krzyże, i lenty. A tutaj co? W pustelnika jemu zachciało bawić się. Tfu! Taka to u nich głupost'. Za to potem spiski robią. Nu, Panu Bogu dziękować, człowiek z tego dobrze się ma. No, i coż więcej masz mi pan do doniesienia?

NIEZNAJOMY

Już mój raport skończony.

JAZŁOWIECKOJ

Jak to, już? To ty taki, dobrodzieju, szpieg? A cóż mi ciebie Podwysocki²² tak rekomendował? Podwysocki — wot mołodiec! Onże nam wosmego kwietnia, panie łaskawy, przed Zamkiem śliczności taniec urzondził. Wot-że my tam dużo tych konfiederatów ze spodniami w buty na kapustę nasiekli — było co potem do Wisły wrzucać! Nu, tak zaraz pałatki po placach, wojenne sądy — to ja rozumiem! Ale ty co? Ty prosto durak, mój kochany panie.

NIEZNAJOMY

Proszę mi nie ubliżać. Jestem koleżski registrator i mam Stanisława trzeciej klasy.

JAZŁOWIECKOJ

Może jeszcze i Orła Białego, ty moszennik, prochwost, skatina? Coż mnie ty tu będziesz polskim ordierem wygrażał!

NIEZNAJOMY

Ja przy samym Grassie bywałem do szczególnych poruczeń używany.

JAZŁOWIECKOJ

A czort ciebie bierz i z Grassem, i z Leichtem, i z Blumenfeldem, i z Morokiem, i z ich całym Dziesiątym Pawilionem. Uż tę waszą swołocz razem ze Storożenkiem²³ dobrze, co won prognali. Stare śmiecie. A ty mi idź z postępem albo ja ciebie popędzę!

²² Faleński wymienia różnych funkcjonariuszy carskiej władzy. Podwysocki — w 1861 r. po Pauluccim naczelnik policji tajnej.

²³ Grass, według zeznań Oskara Awejdego — czynownik warszawski. Franciszek Leichte (Lajchte) w latach 1833–1856 członek Komisji Śledczej, bardzo gor-

NIEZNAJOMY

Raport zdam o tym do mojej władzy.

JAZŁOWIECKOJ

w gniewie

Ubirajś' k'czortu, mierzawiec, sukinsyn, bo cię jeszcze po polskiemu w pysk zamaluję! (*tamten wychodzi*) Ot tobie polskij narod! Otczynny im chce się, wolności, a taki szpiony nawet u nich do niczego!

wychodzi

13

*Na drogach wiodących ku Budzie Zaborowskiej²⁴. Ciemna noc zimowa.
Z różnych stron ściągają powstańcy.*

KORYBUT

Czy to ty, Szymek?

SZYMEK

A ja.

KORYBUT

Niechże cię lichy porwie! Coś ty się tak guzdrał? Z godzinę czekałem na ciebie u wałów.

SZYMEK

Leciałem, aż mi dech zaparło. Dla pośpiechu pobiegłem już wprost przez roгатkę. Myślę sobie, niech się co chce dzieje! Ale tam żywy duch nie broni przejścia! Czy oni pogłupieli, czy się chcą nas pozbyć? Nie wiem, ale coś w tym dziwnego. A zem się spóźnił, to jak Boga kocham, nie mogłem inaczej. Majster, poczciwina, pieniądze mi koniecznie wtykał, majstrowa kieszenie różnym jadłem opychała. Błogosławili mnie, do nóg im padłem, jak bóbr się zbeczałem. Cóż, jam sierota, nie wiem nawet, skąd się wziąłem. Z barłogu mię podjęli i za własne dziecko przytulili. Po takich Ojczyzna tylko droższa.

liwy w służbie, zamordowany w r. 1863. Blumenfeld, sekretarz Komisji Śledczej w Cytadeli warszawskiej za czasów Paskiewicza. Morok, przewisko majora Żucz-kowskiego, naczelnika więzienia w Cytadeli. Andriej Jakowlewicz Storożenko, prezydent Komisji Śledczej.

²⁴ B u d a Z a b o r o w s k a — w kierunku Sochaczewa. Chodzi Faleńskiemu o noc z 22 na 23 stycznia 1863 roku, ale rzeź skoncentrowanych w tamtej stronie „dzieci Warszawy” odbyła się dopiero w kwietniu.

KORYBUT

obcierając sobie oczy

Mój kochany, tyś ode mnie szczęśliwszy. Ja, żeby matce nie przedłużyć bólu, cichaczem się wymknąłem, pismo tylko do niej zostawiwszy. Tak więc błogosławieństwa jej nawet w drogę nie wziąłem — ona ma mnie jednego...

SZYMEK

Ona ci z daleka pobłogosławi. A pewnie i sama by wyprawiła. Wyście panowie! Poza wami pradziadów kupa, którzy wam przykład po sobie zostawili. Ale my — od siebie zaczynać musimy, a to niełatwo.

KORYBUT

Życie dziś dla każdego jednakowo trudne, a wszyscyśmy sobie równi, mając wspólną Matkę. Cicho. Kto tam?

GŁOS Z CIEMNOŚCI

„Belweder”.

KORYBUT

„Łukasieński”. (poznając Goldwassera) Co! i ty z nami?

GOLDWASSER

Za co ni? Naś rabin kazał. Ino zie my ani do machania siablem, ani do tego pif paf nietęgie — więc choć do podpatrowania, do śwarcowania broni, nosienia rozkazów i posyłków.

KORYBUT

Dobre i to. Co kto umie. No to idziesz z nami?

GOLDWASSER

Nie mogie. Ja tu ciekam na jednego, co jego psieprowadzę. Un jest taki Aksentowicz, co to jego ojciec senator.

SZYMEK

Taże to ruski duch, psiawiara, członek sądu wojennego!

GOLDWASSER

Nu to co? To właśnie dlatego un od niego uciekł. Un chce być Polakiem. Cy to jemu tegie bronić?

KORYBUT

Pewnie że nie. Chodźmy, bo czasu szkoda.
odchodzą

GOLDWASSER

zostawszy sam, liczy sobie w garści pieniądze

A, cwa, dra, gilden, acht und cwancich grosien. Man mis kofen cwa butelkes słodkie wódkie, jak będzie wróci. A gutes gesieft of majne munes. Na roгатkie nicht nie pilnuje. (*drgnąwszy*) Aj! waj! Kto tam je?

GŁOS Z CIEMNOŚCI

„Belweder”.

GOLDWASSER

No psiecie „Łukaszyński”. A! to pan? Właśnie ja ciekam.

AKSENTOWICZ

A z kimeś ty gadał?

GOLDWASSER

Co ja miał gadać? Ja nic nie gadał.

AKSENTOWICZ

Ale ci dwaj, co stąd odeszli?

GOLDWASSER

Ziadne nie odešli. Co mieli pójść? A jak pošli, to widać mieli nogów. Ja tam nie wiem.

AKSENTOWICZ

Ale czy to tylko byli nasi?

GOLDWASSER

A cije by uni buli? Nu, jak pan nie wierzi, to wolne drogie wrócić.

AKSENTOWICZ

Mój kochany, ja sam sobie ledwie dowierzam. Dobrej wiary w domu mię nie uczono. Ha! kość rzucona. Chodźmy.

*odchodzą***14***W innej stronie. Idzie Modrzewski podochocony pod rękę z Józwą.*

MODRZEWSKI

śpiewając na całe gardło

A odjechać od niej nudno!

A pozostać przy niej trudno!

JÓZWA

Cichoścież do diabła! Czyście się skręcili?

MODRZEWSKI

Jak to? Dlaczego?

JÓZWA

Wezmą nas jeszcze za pijaków.

MODRZEWSKI

A, tak, prawda. Niechże przycisnę do piersi twoją siermięgę i tę rękę spracowaną, niech tego — niech w mojej drżącej od wzruszenia dłoni...

JÓZWA

Mnie się widzi, żeście wy sobie dalipan głowę zaprószyli.

MODRZEWSKI

Przysięgam Bogu, niewiele wypilem. Tylko żeby zalać robaka. Bo mi się serce, jak Boga kocham, na kawałki pękało. Łzy drżały w jej oczach, a udawała, że jest wesołą. O małym nie oszalał. We łbie mi się zawracało. Właśnie jutro mieliśmy się pobrać.

JÓZWA

Et, co tu gadać takie rzeczy, na które, wiadomo, rady nie ma. Ja sam oto zostawiłem w chałupie czworo drobiazgu, a Magda, jak mi kobiałkę ładowała, to ino rzekła: „Kiedyś, poganinie, przysiągł, to idź — bo cię Bóg skarze!”

MODRZEWSKI

Bohaterka! Niech mię diabli wezmą! Co to za skarby w tych sercach prostaczych! Ja zawsze mówiłem ... co to ja mówiłem? A! — lud należy do pracy organicznej powołać na równi z innymi stanami. Ale ty tego nie rozumiesz, uważasz?

JÓZWA

Ja wiem ino, że jak kto na trzeźwo przysiągł ...

MODRZEWSKI

rzucając mu się na szyję

Ach! żebyś ty wiedział, jak ja cię kocham! Ty — ludu polski...

*(deklamuje) Polska szlachta z polskim ludem!*²⁵

Ten serdeczny Krasiński!

²⁵ Właściwie: „Z szlachtą polską polski lud”, cytat z *Psalmu miłości* Z. Krasińskiego.

(*dekluamuje*) I podźwignął silną dłoń
Tych, co żywią i co bronią²⁶.

A to znowu ten uwielbiony Pol o tym ubóstwianym Kościuszcze.
placze

JÓZWA

Statkowałibyscie oto. Bo ino czas marnujecie.

MODRZEWSKI

Widzisz, ja ci powiem. Sejm Czteroletni i potem Konstytucja Trzeciego Maja, Ignacy Pot... Potocki i Koł... łątaj ... (*zamyśla się*) Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy — żałoby jeszcze wtedy nie noszono — miała, pamiętam, polny mak we włosach i bławatki ... Ach! ja nieszczęśliwy.

JÓZWA

Cichoścież do diabła. Kto tam?

GŁOS Z CIEMNOŚCI

„Belweder”.

JÓZWA

„Łukasiński”.

wchodzi Miasopuscki

MODRZEWSKI

obcierając sobie oczy rękawem

Co to za jeden?

JÓZWA

z cicha

To ten popi syn, Moskal, jakże go tam ...

MIASOPUSCKI

zastyszawszy

Ja? Moskal? Tu, na ziemi polskiej urodzony, to Moskal? I cóż stąd, że mój ojciec pop? My byli dawniej unity.

MODRZEWSKI

A tak. Unia Brzeska. Zaraz — którego to roku? A, już wiem — 1596.

MIASOPUSCKI

A sami pochodzimy z Litwy.

²⁶ Cytat z *Szajnekatarynki* W. Pola, którego zresztą nie mógł w noc styczniową znać Modrzewski, gdyż kościuszkowski obrazek tego utworu wydrukowano wraz z tym dwuwierszem w całości dopiero w 2-tomowym wydaniu *Pieśni Janusza*, Lwów 1863.

MODRZEWSKI

A! To znowu Unia Lubelska z roku 1569. Daj mu spokój, synu ludu. On jest nasz z duszą i z ciałem. (*rzucając mu się na szyję*) Żebyś wiedział, jak ja cię kocham.

GŁOS Z CIEMNOŚCI

„Belweder”.

MIASOPUSCKI

„Łukasiński”.

wpada Szube zdyszany

SZUBE

Myślałem, że się już nie wydostanę. Fabrykę zamknęli i nikogo nie wypuszczają. „Głupstwo!” — powiadam do kolegów. „Jeść skąpe Szwaby nie dadzą, a głodem przecię morzyć nie mają prawa”. Aż tu przychodzi sam pryncypał. I dopiero kazanie o obowiązkach względem wielkiej niemieckiej ojczyzny, było tam i o idei, i o Drang nach Osten. Kiedy wreszcie do diabła poszedł, ja mówię do kolegów: „No, bracia, teraz ja wam powiem o powinnościach względem tego tu gościnnego dla wszystkich narodu”. Na to Werkfürer [!] do mnie: „Co tu będziesz współbraci buntował! Czy to ty nie Niemiec?” „Ty, psi synu — powiadam — komu ty tu niemiectwo zadajesz? Tyś sam na polskiej ziemi urodzony, na polskim chlebie wypasiony i śmiesz się mieć za Niemca?” Obraził się i powiada mi: „Milcz!” Ja niewiele myśląc, jak go zamaluję między oczy! Do karceresu mię wpakowali, a ja kratę wypiłowałem i wyskoczyłem oknem. Szczęście, że tylko z pierwszego piętra, więc mi się nic nie stało. Żeby was siarczyste pioruny!

MODRZEWSKI

rozrzewniony

Stan średni, jak Boga kocham, niech żyje stan średni! Właśnie tego nam zawsze brakło. (*rzucając się Szubemu na szyję*) Żebyś ty wiedział, jak ja cię kocham!

MIASOPUSCKI

No chodźmy, chodźmy; komu w drogę, temu czas.
wychodzą

15

Jeszcze w innej stronie.

WOJDYLLO

Nie, braciszku, nie, nie, nie! Tu już, zlituj się, a taki prosto nie do rzeczy gadasz. Co? Zbawienie? Ocalenie? albo męczeństwo święte? Porzuć, pro-

szę. A także to czysto kukły na wertepie²⁷. Tak znaczy się: wy, aniołki z główkami w skrzydełkach, a taki nie mające czym na ziemi usieść. Coż, wywalczenie swobody — czym? gołą pięścią? Tak ty, bracie, jak cię kocham, chyba skrzył się.

STRAWIŃSKI

Ha! trudno. Kość rzucona.

WOJDYŁŁO

No tak — do obgryzienia diabłu, jeśli sobie chcesz. Bo ot jak było. Jedni że gadali: „Za Włochami trzeba nam śledzić, za Węgarami” — a mieliż oni Cavoura albo Deaka?²⁸ co? Drudzy taki znowuż wszystko na Francję i na Anglię oglądali się, aż i powykręcali sobie głowy. A inni perorowali z paratesa: „Legalnością ich w pole wywiedziem”. Kogo? Chytrego Suzdala podszytego Byzantyńcem? Ho! ho! Na to trzeba by trochę wcześniej od niego wstać z pościeli, a oni leniuchy! A do tego legalnie spiskować — taże już same te dwa wyrazy, jeśli by rozum mieli, to by ze sobą pobili się. Między tym wy znowu, z waszą czerwonością, z Krasińskim i ze Słowackim pod pachą a Mickiewiczem w gębie — i dopiero: „Hej! ramię do ramienia!” — i tam — „Hej! ty, bryło świata, niechaj cię pchniemy” — taże to pękać było ze śmiechu. Otże tobie i sejm wasz ukochany — złota wolność — nierządem Polska stojąca. A jak skoro ten i ów krzyknął: „Nie pozwalam!” — tak z powyższego coż wynikło? Ot nie co innego, jak to, że nasz brat jeszcze raz pokazał całej Europie, co on osioł, powiem tobie.

STRAWIŃSKI

Ja w zupełnie innym kierunku usiłowałem działać, ale skoro chcieli drudzy ...

WOJDYŁŁO

Cóż ty baran, żeby za drugimi w ogień skakał? To to taka wasza karność? Gdzieże to tam tego — coż mnie ty i gadasz? Ja znam was, koroniarze. Każdy tylko rad być oficerem, a żołnierzem niech sobie będzie miły bliźni. Wam zdaje się, co wy jedni macie rozum. Niech was z rozumem waszym gęś kopnie! bo nawet końskiego uczciwego szkoda na was kopyta.

STRAWIŃSKI

Rzeczy za daleko były zaszły. Wzburzenie umysłów ...

²⁷ Ruchomy kukielkowy teatrzyk, powszechny w XVI i XVII wieku, żłobek, jasełka.

²⁸ Twórcy zjednoczenia Włoch, Cavourowi, oraz inicjatorowi ugody austro-węgierskiej, Deakowi, nie zamierza Faleński przeciwstawiać margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, gdyż nie jest to jego zdaniem opatrnościowy mąż Polski.

WOJDYLŁO

Wiem, wiem. „Najazd, koczownicy, Mongoły, Finy, nie żadne Słowianie, ledwie pół ludzie” — i sam czort wie co jeszcze. Tak i — „wynoście wy się sobie za Bug!” A za Bugiem kto? Tylko Litwini. Cóż ich tam o zdanie pytać się! Czekajże! Jaż wiem. Później miało i tamto zrobić się. Już nie z legalistów pomocą, a z waszą. Wiem, pamiętam: Horodło — Kowno. Ale swoją drogą, tamci Kongresówki tylko chcieli, kochane bracia! Już lepsi byli, co gadali: „Polska od morza do morza!” A taki na co gadali: kiedy mieli tylko palec w bucie do kiwania? Ta pozwólże, kochany. „Kraj przydzielony”? No, rozumie się, któż tego nie wie, a czyż nie sprzedali go? Tylko że przydzielony nie do jednej Rosji, a także do Prusaka i do Austriaka. Ale że z Niemcami zadzierać wara, tak tu dopiero nie gadać było głośno, a robić po cichu. Giercen²⁹, ot mądry człowiek, jego posłuchać proszę. „Polska — powiada — Moskwie kula u nogi, póki car rządzi — a bez niego najserdeczniejszy ot sprzymierzeniec”. Ja tam w serdeczności Moskwicina nie wierzę. A taki jak sami oni gadają: „Wspólna sprawa, ręka w rękę” — i tego — to po co ich było odpychać i jeszcze wyzywać? Pobijają, bo mają łapę ciężką — i co dalej? Ale dajże raz przyjść do słowa, kochany. Więc ot — mnie polityka. Nie to, co by po głupiemu pozbywać się Moskala; a to: hdyby jego na wspólną korzyść wyzyskać. Tąże chyba zgodzisz się, co? A tu te wasze wszystkie ślamazarstwa uczuciowe, skargi do Pana Boga, żebraniiny po parlamentach, tfu! na czysto sfiksowali jak Boo kocham!

STRAWIŃSKI

Mój drogi panie, podobne słowa w obecnej chwili ...

WOJDYLŁO

Cóż? Musztarda po obiedzie, powiedziec chcesz? Ależ zlituj się, serdeńko, jaż i wprzódę gęby nie żałował. Gadali: „Zdrajca! zabić go sztyletem bez sądu!” A taki namyślili się i sądzili, i coż? „Ma kanalia odwagę swego przekonania — powiedzieli — niech tam sobie już i jak chce szczeka. Bóg z nim” — i ot puścili wolno, i słusznie, jeśli to ma być wolność, nie zaś nowy jaki ucisk.

STRAWIŃSKI

Więc jednym słowem, przymusu tu nie było. A w takim razie, cóż cię skłaniać może obecnie z nami iść?

WOJDYLŁO

Mój mileńki, ja taki Źobry wolności złotej czciciel, jak i kto drugi. Krzyknąłem oto moje: „nie pozwalam” — i zdrową głowę dobrowolnie pod

²⁹ Oczywiście Aleksander Hercen (1812–1870), rewolucyjny demokrat rosyjski, redaktor „Kołokoła”, rzecznik wyzwolenia Polski.

ewangelię kładę... Ktoż mi zabroni? U was — pomnisz — bywało, jak szlachcic który zawoła: „veto!” — to takiego czym prędzej zarabali i swoje zrobili, a on już na ich robotę przynajmniej nie patrzył. Powiesz mi: „Siciński tak zrobił, a jemu płazem uszło” — otże i źle było, a dziś niech tak nie będzie, żeby wszystko zgodnie szło. Powiesz mi: „Siciński Litwin był kanalia” — a taki nie byłoby Sicińskiego, żeby nie Zamojski. Ja tam — powiem tobie — po kościołach nie śpiewał, po Honoratkach na stół nie włożył ani komu nawet przysięgał — a taki jak drudzy ginąć idą, to tu, panie dobrodzieju, nikt z nas nie lepszy. Jak ma być nawóz dla przyszłego posiewu, to niech sobie będzie jak najobfitszy. Ot i polityka ...

Taki w końcu bywaj zdrów, brateńku. Do zobaczyska na Józefatowej Dolinie. A ze mną ty nie idź, bobyś mi nawet i nie nadażył. Wysłuchałeś mego testamentu, tak i ostaj sobie, i daj ci Boże dłuższe od mojego życie. Już ja sam chcę być — z jednym Stworzycielem tylko ...

odchodzi

STRAWIŃSKI

Boże Przedwieczny! Ciemności nocy tej wydają się być dniem jasnym w porównaniu z otchłanią czarną, w którą zapada moja dusza! A jeśli istotnie to, co męczeństwem być mniemamy, samobójstwem się tylko okaże? A jeśli synowie nasi złorzeczyć nam będą, żeśmy mogli żyć i powinni byli, a nie chcieli? Bo cóż i nam, i drugim z tego śmierci samolubstwa, skoro w godzinie ostatniej powątpiewanie za towarzysza nam się narzuca? Potrafić zginąć dla drugich, szlachetneż to szaleństwo! — ale umieć żyć nie dla siebie, dopiero mężną jest mądrością! Na nieopatrznych kusiciel pychy czyhał — i oto namiętym odurzeni zachwytem niebaczenie ucha podaliśmy rozpacz! A jednak sądz nas, Boże, myśmy w dobrej wierze na przebój przeznaczenia poszli, ani się domyślając, że w potomności czyśtość nawet czynów naszych potępienie hańby piętnem być może naznaczy ...

Włosy mi na skroni zgrozą stężały, od stóp do głowy znój mię zimny udręcza, dreszczem kostnieją mi członki — a jednak, jak tu gorąco!... Gdzież jestem? Czuję, że mię ogarnia niebytu pragnienie ...

GŁOS Z CIEMNOŚCI

„Belweder”.

STRAWIŃSKI

„Łukasiński”.

wchodzi Fersen

FERSEN

A! to pan? Uważam to za szczęśliwy dla mnie wypadek.

STRAWIŃSKI

cofając się

I pan tu?

FERSEN

Jak mi się pan dziwnie przypatruje! W istocie, w tej taratce kościuszkowskiej niełatwo poznać świetnego od kawalergardów oficera. Ale o to mniejsza. Pytasz pan, co ja tu robić mogę? — Powiem krótko. Życie już nie ma dla mnie najmniejszego powabu i dlatego korzystam ze sposobności, żeby go się pozbyć. Niech mi się pan pozwole wytłumaczyć. Bowiem w oczach pańskich niesłuszną pogardę czytam, ustami zaś zdajesz mi się mówić, że wam takich jak ja nie potrzeba.

STRAWIŃSKI

Sądzę, że się pan mylisz. Właśnie przed chwilą słowo w słowo myślałem to, co pan mi wypowiadasz — i oto obecnie mnie samemu życie stało się niemiłym. Obawiam się nawet, czy już i nie zapomniałem, z jakiego powodu ...

FERSEN

A! to niedobrze. Wy — co innego. Ale potem o tym. Tymczasem zaś posłuchać proszę. Oto widzi pan: ja nie żaden tuzinkowy samobójca. Ja za byle co życia mego — choć ono dla mnie nic warte — nie oddam, i właśnie z tego powodu bardzo się wam przydać mogę. To dla mnie gra ostatnia, a ja zawsze wykwinąć byłem i epikurejczyk i chcę takim do końca pozostać. Męstwa zaś mego dałem dowód niejeden. Na Kaukazie kiedy się biłem, zawszem pierwszy w ogień szedł — spytaj pan o to własnych towarzyszy. Oni z musu tam byli, ja zaś dobrowolnie. Dziś wstyd mię to wyznać. Gruzińcy, jak wy, za wolność walczyli. Na obronę moją to tylko powiem, że nie odznaczenia tam szukał, tylko silnych wzruszeń. Co pan chcesz? Jam przedwcześnie wystygły. Zaledwie lat piętnaście miałem, kiedy matka już dla mnie utrzymywała kochanki. Tak, panie — życie u nas bardzo jest bezwstydne. Przepodróżowałem, przejadłem i przegrałem w karty niejedną milionową fortunę. Do roztrwonienia jeszcze mam niemało, ale żyć mi się już dłużej uprzykrzyło — więc co mi po tym? W łeb sobie strzelić nie chcę, bo to już pierwszy lepszy zhańbiony chłystek potrafi. Zreźtą, dla żołnierza tylko w bitwie śmierć pożądana — a dziś godziwej wojny nigdzie nie szukać. Tak na przykład z wami walczyć jest rzeczą pozbawiającą człeka czci i wiary. Toćże to lada szwadronu szarża pierwsza lepsza, a cóż dopiero kartacze — i ot, na czysto, rzeź

niewiniątek. Niech to pana nie obraża. Wyście słabsi i jak ja zrozpaczeni — więc niby sprawa nasza wspólna — i oto powód, dla którego po waszej stronie z utęsznieniem stoję. Powiesz mi pan, że tym sposobem dezercję spełniam. Nie przeczę, ale zaszczytną. Boście przecię całkiem inaczej niż ja zrozpaczeni, i chlubą dla mnie będzie, który nic do stracenia nie mam, z wami zginąć, którzy wszystko stracić możecie. A znów nie przeciw żadnym współbraciom walczyć mi przyjdzie. Bom ja z rodu Niemiec i potomek tych Rycerzy Mieczowych, którzy i tak nieraz Moskwie dali się we znaki. — Więc co do mnie, obrachowawszy straty i zyski, z czystym sumieniem twierdzić mogę: że tylko sąd nad sobą składam bezstronny, którego wyrok upragnione daje mi korzyści. Bowiem jak człowiek o zadowolenie własne dbały, głośną hańbę porzucam dla cnotliwej, choć nieznanej sławy.

A teraz jakże? Czy mię nareszcie godnym iść z wami na śmierć uznacie? Cóż? Nie przestajesz pan się wahać i dotąd nie możesz przewyciężyć w sobie wstrętu do postawienia ofiary mojej na równi z waszą?...

A więc słuchaj. Wiesz przecię, że mój pradziad³⁰ ostatniego wolności waszej obrońcę nie dość że złamał i jeńcem wziął, i wrogom wydał, ale jeszcze nad Pragą bezbronną na wyścigi z Suworowem się pastwił. Otóż jeślibym dług ten, u waszego zaciągnięty niegdyś przekleństwa, mej dobrej sławy poświęceniem oraz życia oddaniem dziś chciał wam spłacić — to czy to wystarczy?...

STRAWIŃSKI

podając mu rękę

Najzupełniej. Chodźmy.

16

Obozowisko na błoni pod lasem.

Śpiew powstańców

H y m n

„Ave patria! Morituri te salutant!”

Z okiem krwawą łzą zwilżonem,
Z łkaniem w piersi rozbolałej

³⁰ Młody Fersen podaje tu całkowicie ściśle informacje o generale korpusu Iwanie Fersenie.

Idźmy wolność zdobyć zgonem!
Idźmy umrzeć w imię chwały!
Wprzód nim kula pierś przewierci,
Nim z żył krwi strumienie bryzną,
Ci, co idą szukać śmierci,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

My się śmierci nie ustraszym,
Bo nam tęskno za mogiłą.
Niech zginiemy, byle naszym
Dzieciom po nas lepiej było!
Z naszych ciał i krwi topieli
Bądź im, Polsko, w wolność zyzną!
Ci, co umrzeć zapragnęli,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

Żegna matka, drży jej ręka,
Wyszła żona na rozdroże,
Choć im z żalu serce pęka:
Idźcie — mówią — w imię Boże! —
Pierzchnął płacz na wiatru fali,
Wkrótce w uszach kule gwizną,
Ci, co wszystko pożegnali,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

Łzami losów nie przemieniem,
Ni nas rady zbawią czyje.
Człek nie w ziemię wrósł kamieniem,
Ni dla siebie tylko żyje...
Bierzem z sobą rozpacz nędzy,
By dać wolność krwi spuścizną.
Ci, co umrzeć chcą co prędzej,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

Chodźmy! im nas prędzej zgniotą,
Tym pośpieszniej los zwyciężem.
Żegnaj, wdowo i sieroto!
Bóg ci będzie ojcem, mężem!
Choć nim wolność z grobu wstanie,
Nam się stopy w grób poślizną.
Ci, co wierzą w zmartwychwstanie,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

17

*W Zamku na Orlej Skale*³¹.

MACIEJOWICKI

biorąc pod rękę Szczekocinera

Kochany panie, czas na próżno tracę. Ten nasz młyn turbinowy ...

SZCZEKOCINER (BARON)

Chwilowo wstrzymać się musimy. Akcje nisko stoją. Widzisz pan, jak się raz przecię skończy to utrapione powstanie ...

MACIEJOWICKI

Ale proszę pana, cóż mię powstanie jakieś obchodzi?

SZCZEKOCINER

Jak to: jakieś?

MACIEJOWICKI

Pan myśli, widzę, że ja Polak. No, niby z pochodzenia, ale w Ameryce urodzony. Pan wie, my, Amerykanie, ludzie pozytywni. Zawsześmy po stronie siły. To darmo — walka o byt. Cesarz tutejszy to potężny monarcha, ma w rękę środki ogromne. Dość wziąć w rachubę obszary jego kraju, którego siły produkcyjne same się na sobie nie znają. To dla nas gratka. Dzielny monarcha — trochę za miękki. Mikołaj był odpowiedniejszy. On umiał nawet myśl niespokojną w człowieku wymacać. A tu oto łagodnością niewczesną stare mrzonki ośmielono — aż i do głupstwa ostatecznego przyszło. Co z tego? — pytam. No prawda, raz się już z tym wszystkim załatwią i będzie nareszcie ład jakiś. Ale zawsze, czas niemały, ogólny w handlu i przemyśle zastój ...

SZCZEKOCINER

Ma pan słuszność, choć tu znowu, w podobnie mętnej wodzie, to nietrudno... Pan rozumie? Ja też zawczasu o sobie pomyślałem. Zaraz w początkach postarałem się o dostawy dla wojska. Ale to, powiem panu, nietęgi interes. Naprzód ogromnie kosztowało w Petersburgu, a tu jeszcze, swoją drogą, lada praporszczykowi smaruj łapę. I gdyby nie to, że parę razy spaliły się składy ... słowo daję, przypadkiem ...

³¹ Na wolnej karcie 34 recto, która w rękopisie poprzedza scenę 17, znajdują się dwie notatki ołówkiem: „Lilia ginie od kuli ratując rannych na polu bitwy pod Ignacowem”. „Pod Józefowem śmierć Mieczysława Romanowskiego 24 kwietnia w piątek około 5 z wieczora”.

Pod Ignacewem 8 maja 1863 poległ pułkownik Witold Turno, spowinowacony z Marią z Trębickich Faleńską.

MACIEJOWICKI

W których nic nie było albo mało co.

SZCZEKOCINER

Jaki pan domyślny. Amerykanin — zaraz to widać. No, tak — nie będę tał — człowiek się ratuje, jak może. Wie pan co, z powstańcami to jednak całkiem co innego. Dostawiałem im broń — czy pan da wiarę — zarabiałem na tym sto za sto. Płacili zaraz, i to gotówką. Nawet przyznam się panu, ściśle zliczywszy, wyniosło bodaj czy nie więcej jak grosz za grosz: bo parę razy — słowo daję, tylko dla zamaskowania mojej gry — zadenuncjowałem transport na granicy, a w takim razie, pan wie, połowa towaru należy do denuncjanta³².

MACIEJOWICKI

No, co to, to już na czysto żydowski interes.

SZCZEKOCINER

Pan, Amerykanin, a takie przesady.

MACIEJOWICKI

Widzi pan, jam tam trochę i Polak. (*odwraca się do Trzyprztyckiego*) Pan, słyszę, z kapitałem z kraju się wynosi?

TRZYPRZTYCKI

W istocie. Wyciąłem lasy, ziemię rozkolonizowałem Niemcom — i jestem teraz jak ptak swobodny do odlotu.

MACIEJOWICKI

Czy wolno spytać? Pewnie pan w jakie przedsięwzięcie przemysłowe zechce złożyć swoje pieniądze?

TRZYPRZTYCKI

Albo ja głupi? Będę grał na giełdzie.

MACIEJOWICKI

Na giełdzie można przegrać.

TRZYPRZTYCKI

Jak się zgram — w łeb sobie strzelę. Bo już ciż nie z nudów, jak hrabia Grzmisław. Młodość³², kochany panie, ma swoje prawa. Ja potrzebuję życia użyć. Paryż — ach, panie! Paryż — pytam się, czy można żyć gdzie indziej? Toż to świata całego stolica!

³² Na karcie 35 rękopisu recto dopisek ołówkiem: „autentyczne”.

VON SZAFRANIEC

Paryż? stolicą świata? O! proszę! Jakiego świata? Niedorostków i zdzieciniałych rozpustników — na to zgoda. Berlin to przynajmniej co innego. Berlin jest wielką ideą, dlatego on jeden godzien być stolicą świata ... ludzi rozumnych — no i tylko patrzeć, jak nią zostanie.

JAZŁOWIECKOJ

Pan, zdaje się, jakoby nie zna Petersburga.

VON SZAFRANIEC

W istocie, jeszcze tam nie byłem — ale ...

JAZŁOWIECKOJ

To szkoda, że nie. Bo co mnie się dotyczy, to ja, przyznam się, znam Berlin. To ruskie miasto. Sam widziałem: król nie jeździ inaczej jak naszym kuczerem w armiaku [!], cztery konie w poręcz, a dzieci swoje ubiera w rubaszki i sarafany³³.

VON SZAFRANIEC

do Onyxa

Głupi ten — jak to tam nazywacie — stupajka! Były Polaczyna przechrzczony na prawosławie. Ożenił się z jeneralską utrzymanką i myśli, że jest wielkim bojownikiem, bijąc się niby ze zgrają oberwańców, którą dość trącić, żeby się nakrywali nogami — hałastra pijana! Pan czytał Freytaga *Soll und haben*?³⁴ Opisy tutejszego tak zwanego powstania są mojego pióra ...

JAZŁOWIECKOJ

do Lutuwera

Ot tobie i Berlin! Nie cierpię tego — jak tam nazywacie — Szwaba. On to niby do „Gazety Krzyżowej”³⁵ coś stąd, powiada, gryzmoli, a wszystko, taki przysięgłbym, tylko przepatruje kąty. Po rusku ani w ząb, po francusku udaje, że nie rozumie, i dla niego jednego wszyscy po niemiecku sobie psuć muszą gęby. Lach perekińczyk, widno z nazwiska, choć pr-

³³ Na marginesie tej repliki (karta 35 verso) dopisek ołówkiem: „Autentyczne — król Wilhelm”.

³⁴ Akcja powieści G. Freytaga *Soll und haben* (1855) rozgrywa się w W. Księstwie Poznańskim, zahacza o powstanie 1830—31 i 1848. W stosunku do Polaków autor jej nie kryje wyniosłej niechęci.

³⁵ „Kreuzzeitung”, nagłówek tego dziennika, organu junkierstwa pruskiego, wychodzącego od r. 1848, wyglądał następująco: „Neue Preussische [rysunek krzyża] Zeitung”.

ski poddany. Ej! żeby ja jego miał za co zadenuncjować — zjadłby czorta! Cytadela, komisja śledcza — dopiero by śpiewał! Jeszcze nie był w Pietierburgu! Mierzawiec! Tak byłby ty tam — rozumie się — po drodze w Sybir. Ale pan to zna, zdaje się, Petersburg?

LUTUWER

Za czasu, kiedy byłem sekretarzem przy ambasadzie szwedzkiej, bawiłem tam ze cztery lata.

JAZŁOWIECKOJ

Co? bawił się? aha. Tam to żyć, nie umierać — prawda? co? Jak ja był jeszcze we szkole junkrów, to, panie dobrodzieju, w Bogu spoczywający wielki książę Michał Pawłowicz ... ach! jaki to był wesoły człowiek. Jak raz, pamiętam w ingermanlandzkim pułku piechotnym jegrów, trzeciej dywizji własnego jego cesarskiej wysokości Ewgenia Leuchtenbergskiego, romanowskiego korpusa, drugiego bataliona, ósmej roty — tam był u nich pop jeden w stopniu sztabs-kapitana, a jemu wydało się, co on dwunastego klasa koleżkij registrator — no, rozumie się, pękać ze śmiechu, pan wie. Tak właśnie wtedy w Warszawie była posada dyrektora Instytutu Położniczego, a on koniecznie napiera się u wielkiego księcia, co by jemu ją dać. Nie to, żeby jemu należało się, a że taki głupi. Tak jego cesarska mość — chcę mówić cesarzewiczowska wysokość — nie, dobrze mówię: cesarska — tak on jemu do egzaminu z położnictwa kazał jawić się w Zimny Dworzec. Pan zna Zimny Dworec? Co to, panie kochany czy tam dobrodzieju — a Newskij Prospekt, a Admiralicja, a Wasilewskij Ostrów, a Tołkucz Rynek — to cuda, panie, ja powiadam. Ale co pana łaskawego w Petersburgu najwięcej zadziwiło?

LUTUWER

Co mię najwięcej zadziwiło? Oto widzi pan, razu jednego kazałem się zawięzić na dworskie kaczele. Dzień był galowy, mrozu dwadzieścia siedm stopni. Latają sankami na złamanie karku — wszystko to nic. Ale w pośrodku, na estradzie z ciosanego lodu stoi, widzę, orkiestra wojskowa gwardyjska i gra najnowsze walce Straussa. „Oni długo tu tak grają?” — pytam. „Cały dzień” — powiada mi lokaj dworski. „I żeby zaś dotąd nie pomarli...” „Aj! jakimże by sposobem! Toż ich mieniają co trzy godziny...” Otóż widzi pan, to mię w Petersburgu najwięcej zastanowiło. Bo przecię, sam pan przyznasz, Newskie Prospekty, Zimne Dworce, Peterhoffy, Ermitaże, Carskie Sioła znajdziesz pan wszędzie po świecie, tylko że się coraz inaczej nazywają, na tym cała różnica; ale ludzi uzdolnionych przez trzy godziny na dwudziestosiedmiostopniowym mrozie przebierać

palcami — to tylko w jednym Petersburgu podziwiać można, nieprawdaż?³⁶

JAZŁOWIECKOJ

A tak. Pan, zdaje się, żartuje. Dobrze, co nikt nie posłyszał. Ja nikomu, rozumie się, nie powtórzę — jej Bohu. Ja nie taki. Ja — przyznam się panu — krajnyj liberał. Ja za sprawą wolności ludów — nu tak. U mnie Hercen i Bakunin ot wielkie ludzie! Co to mówią cesarz — czort jowo bieri! Z całą jego rodziną wyrzezat’ wsiech — wot dzieło! Pan mi się spodobał. Ot by my zapolowali razem u pana, co?

LUTUWER

Jak i kiedy pan każe.

JAZŁOWIECKOJ

Nie każe, a prosi. U mnie jest, trzeba wiedzieć, dwa wyży. Panie, takich drugich w Europie nietu. Z psiarni księcia Walii, jak Boga kocham, że-
bym zdechł.

LUTUWER

Doprawdy?

JAZŁOWIECKOJ

Niech mię czort porwie, kiedy nieprawda. A jak ich dostał? Otże historia cała. Jak ja stał kwaterą w pałacu hrabiego Grzmisława, tak raz patrzę, cudowna, panie, suka ze dwoma szczeniakami! A ja, trzeba wiedzieć, znam się na rasie. Powiadam do rządcy: „Przedaj mi te sobaki”. Kto drugi, rozumie się, czym prędzej darowałby, a ten głupi nikak nie chciał. Pan jego surowo zabronił, musiał mu dać czestne słowo — jaka tam u nich czest’? — co nikomu nie da, i tam różne ceregieli, tego. Ale że u mnie jest różne sposoby, tak ja kazał w nocy podrzucić proch w ogrodzie i dopiero z rana rewizja. Nu, znalazły się szczeniaki, ale co suki — ani się doszukać. Pana rządcę kazałem, rozumie się, w tiumu pod sąd wojenny z przyczyny prochu. Wziął dobre pletnie: raz, drugi, trzeci — nie i nie. „Gdzie suka?” — pytam. A on ciągle swoje ni to, ni owo. To niby uciekła, to może zdechła, to że on nie wie, to tego, kręci, mata, moszennik — zwyczajnie polskaja dusza prokliata. Tak czort jowo bierz — poszedł w katorżne³⁷. Ale jak to teraz wykarmić szczeniaki? Panie łaskawy, a od czegoże rozum w głowie? Jak raz była we więzieniu śledczym obiwatielka jedna ze wsi na złączeniu, aż dowiaduję się, a ona tamże i urodziła. Nu tak,

³⁶ Margines karty 36 recto nosi dopisek: „autentyczne”.

³⁷ Podobny dopisek na karcie 36 verso: „Autentyczne, Elis. Na Litwie” — nie wyjaśniony.

panie dobrodzieju mój łaskawy, kazałem dzieciaka precz wyrzucić — i oto jakim sposobem obesłem się bez łaski pana rządcy i bez suki ...

słuchać za sceną śpiew kilku głosów męskich

MACIEJOWICKI

Co to? Czy to mityng jaki?

JAZŁOWIECKOJ

Nie, to te tam Polaczki kochani na śmierć sobie wandrują.

MACIEJOWICKI

O! na rozstrzelanie?

JAZŁOWIECKOJ

Jakie tam rozstrelanije? Prochu by jeszcze dla nich? A stryżek nie łaska? W tym i bieda, co już dziś knuta nie ma w robocie. Nu, coż na to poradzić, kak cesarz miłostwiejszy nie kazał...

VON SZAFRANIEC

Czy to powstańcy? Chciałbym widzieć choć jednego.

JAZŁOWIECKOJ

Nie, to ten tam ich Rząd podziemny. I jaka to u nich głupost' — proszę tylko! Zamiast co by oto uczciwie prosili się o życie, nie, wolą iść niby te barany do rzeźnika sobie beczący. Cha! cha! chcę mówić — śpiewający. To im się nie zabrania. Jak zabronić, kiedy tu nawet nahajka nic nie nada. Pust' sobie śpiewajut zdrowi — cha! cha! Bo trzeba wiedzieć, jest u nich poety. Czasem choć dla ciekawości posłuchać warto.

VON SZAFRANIEC

Czego tu słuchać? Niesforna dzicz wyjąca!

idzie do okna, patrzy przez szkiełka i spisuje sobie wrażenia

SPIEW ZA SCENĄ

... na waszej stypie

Sama Niebieska zapłacze Pani ...

śpiew przechodzi

JAZŁOWIECKOJ

Niebieska Pani — ^ćtu znaczy się otczyzna ich, panie dobrodzieju, kochana.
ruch się robi

KTOŚ Z GOŚCI

Hrabina zemdląła!

18

*Błonie. W otoczeniu żołnierzy przechodzą na śmierć skazani. Tłum ludzi
stoi patrząc.*

Śpiew idących na śmierć

Idziemy. W oczach świat się przemyka,
Skrwawione bice grzbiety nam sieką,
Nigdzie błękitu, nigdzie promyka ...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Idziemy. Wszędzie kurzące zgliszcze,
Z chat ojców dołem dymy się wleka,
Siecze grad z deszczem, zimny wiatr świszczę ...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Idziem. Jak oczy zasięgnąć mogą,
Bieleją kości słoneczną spieką,
Stąpamy po nich — trzeszczą pod nogą ...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Idziemy. Sowa huczy w oddali,
W poprzek po piaskach strugi leż cieką —
— Pić! pić! — wołamy, a w gardle pali...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Idziemy dalej. Tam znów pies wyje,
W poprzek krew wrzącą wylała rzeką,
Brniemy do kolan, po pas, po szyję ...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Panie nasz! Panie! Jak Tyś szedł z krzyżem,
Tak my dziś trumny dźwigamy wieko,
A do Golgoty kiedyż się zbliżem? ...
Dalekoż jeszcze? Ho! ho! daleko.

Idziemy dalej. Znój skrapia lica,
Szumi pomięte zewsząd ściernisko...
Patrzcie! na skraju — o! szubienica!
Dalekoż jeszcze? Blisko już! blisko!

Przecież! Będziemyż mieli tam ciszę.
Sen aby, spokój — słodki nasz Chryste?
— Wiatr was rodzinny w sen ukołysze,
Spowiją w całun tumany mgliste.

Czy nas kto wspomni? — Na waszej stypie
Sama Niebieska zapłacze Pani
I własna ziemia proch wasz przysypie —
Boście wy jeszcze z wielu wybrani...

KTOŚ Z TŁUMU

A! to są męczenniki! to święci! Boże! gdzie Twoje pioruny? Dalej, kochani bracia, odbijmy ich! nie dajmy spełnić świętokradztwa! Za mną, kto prawy Polak, syn Ojczyzny!

ogólne milczenie

RZEŹNICZKA

A pójdiesz, ty psi synu! Myślisz, że tu z głupimi sprawa?...

NIEZNAJOMY

Moi bracia, przysięgam wam, tylko co wracam z oddziału...

MIESZCZANIN

kończąc

Trzeciego, tajnej kancelarii. Znamy cię, ptaszku,

NIEZNAJOMY

Mylicie się, dobrzy ludzie.

znika w tłumie

POLICJANT

wpadając

Szto eto? szto eto?

RZEŹNICZKA

W sam czas przyszedłeś. Bo właśnie już drapnął wedle waszej umowy.

POLICJANT

Kto takow? Ja ciebie arestuju.

RZEŹNICZKA

Idź ty do diabła starego! Mnie oto pilno na kazanie Goliana³⁸.

ULICZNIK

Gdzie za ciebie Rydzewski³⁹ porządku pilnuje. Bądź spokojny.

³⁸ Ks. Zygmunt Golian, jako współpracownik arcybiskupa Felińskiego przeciwny był manifestacjom i powstaniu, toteż Rzeźniczka sprytnie wykręca się z kłopotu.

³⁹ Rydzewski, niższy urzędnik policji, wymienia go „Diabeł” (1869, 22 VII) jako komisarza VII i VIII Cyrkułu Warszawy.

ŻEBRACZKA

Wieczne odpocznienie racz im dać, Panie ...

WSZYSCY

klękając

A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki. Amen.

19

Nieco dalej

STARY RZEMIEŚLNIK

Drugich na śmierć wypychali, to i na nich teraz przyszła kreska.

SZWACZKA

Ej! Jegomość, bójcie wy się Boga!

STARY RZEMIEŚLNIK

Dobrze to pannie mówić. Ja trzech synów dałem. Jeden szczęśliwie przynajmniej na miejscu poległ, ale drugim przez dziewięć okrutnych godzin bawili się kozacy i jeszcze go nie dobitego w gnojówkę wrzucili, a trzeciego, co na to patrzeć musiał związany, puścili wolno, ale mu wprzód obie pięści poucinali. Po jednym z nich została żona w połogu, a ja stary i już nie dowidzę...⁴⁰

SKLEPIKARKA

Panie Paździerski, dajcie jej spokój. Ta dziewczyna — ja ją znam. W przeszłym tygodniu narzeczonego jej w Radzyminiu wieszali, a ona poszła tam piechty w śnieg z deszczem, żeby ją chociaż oglądał i miał lepsze skonanie. A brata jej wczoraj to Rydzewski tak skatował, że go aż w nocy w prześcieradle do ratusza nieśli⁴¹.

STRÓŻ

E? Tego, co to-u lampiarza Miemca, na Nowym Świecie?

SKLEPIKARKA

A ino. Przyszedł, slysze, o składkę się upomnieć. Szwabicha go zabawiła to tym, to owym, a tymczasem pluder przeklęty po policję poleciał.

⁴⁰ Margines karty 37 verso: przy tej i poprzedniej replice dopisek: „autentyczne”.

⁴¹ Ta sama uwaga na karcie 38 recto.

STRÓŻ

Czyby Moskale sami dali nam rady, żeby nie te Miemcy psiawiary? Oni ich tu wszystkiego uczą. Od Prusaka, mówią, cała mądrość im przychodzi.

JAKIŚ MŁODY CZŁOWIEK

do swego towarzystwa

Jak to lud nasz wybornie te rzeczy rozsądza! Tymi dniami powiadał mi mój kuzyn, adiutant przy Trepowie⁴², któremu zleciłem staranie za jednym powstańcem ... Czternastoleni chłopczyna rodzicom uciekł i rannego ze szpitala go wzięto. Kiedy sprawa jego na stół przyszła (był przy tym konsul pruski⁴³, jak prawie zawsze), Trepów się zawahał, a ten mu powiada: „Taki głupi dzieciak! co on może wiedzieć? — zwyczajnie, narzędzie. Ja bym go bez namysłu puścił, ale za to w obroty wziąłbym tych, co się za nim wstawiają...

DRUGI

Albo i ten tu von Szafraniec. Prosty oficerzyna, a jak mu się generałowie tutejsi nisko kłaniają!...

20

W innej gromadce.

BARTEK

Dobrze im tak. Zamiast na chwałę boską to tam jakieś swoje buntacyje po kościołach śpiewali, a tera oto wojnę jesce toczą —

MACIEJ

Co ty głupi wis? Ja służyłem w sasierach Sembeka⁴⁴. Za Ojczyznę my się bili. To tak i oni.

BARTEK

Co to ojczyna? Ja tam tego nie znam. Ten cy owy na wirzchu — zawdy podatki płać. Cysorz to nam grunta oto dał, on tez nas ukochany pon i dobrocyńca, a oni się ino bez to biją, zeby znowuj była pańszczyzna.

⁴² Fiodor Trepow, oberpolicmajster Warszawy, później generalny policmajster Petersburga.

⁴³ U dołu na marginesie karty 38 recto: „autentyczne — Rechenberg”. Baron R. był konsulem pruskim w Warszawie od 1 I 1863 po Thereminie.

⁴⁴ Mowa o generale brygady Stanisławie S z e m b e k u (1788—1866), który po upadku powstania listopadowego osiadł w Wielkopolsce.

MACIEJ

Słuchaj, Bartek, nie scekaj ty, bo jak Boga Kocham ...

INNY CHŁOP

Cichoście tam jeden z drugim! o co się to swarzyć? Co my wiemy? Jeden dobrodziej prawdę mógł powiedzieć — i bez to go wywieźli.

URLOPNIK

Ksiądz z panami trzymają — ot co jest. Mołodiec prawdu skazał, jej Bohu. Car nasz gosudar wsie miłostiwiejszij, da nam i to jeszcze, co panowie mają: i liesy, i łonki, i agrody, i pałace, i wsio — a pany pójdą do pługa i gnój wozić, i drwa rubat’ — ot co prawda.

MACIEJ

Tfy! Głupiemu ty gadaj!

INNY CHŁOP

No, słuchajcie! Cysorz to przecię wszyćko może, co mu się ino żywnie spodoba.

JESZCZE INNY

E, ty myślis, głupi, ze un w korunie, z berłem i z jabłkiem złotym, w czerwonym płaszcu chodzi i spać się kładzie — a to taki jednorał tylko, ja go widziałem. Ono na saskim dziedzieńcu, jak smotry robił. Zawołał do Moskali: „Jak się macie, źrebięta”, a oni jemu: „Jak się ma wase wilcestwo?”

URLOPNIK

mrucząc

Głupoj narod! Sukiny diety!

JAGNA

do Bartka

Ej, ty, mądralo, u ciebie w pukwaterku rozum cały i bez to duzo gadas. Bić się to i drugim nie dałeś, i sam nie poseteś, bo cię strach. A widzi Bóg, nie było cegój, Moskale się teraz chłopom nisko kłaniają.

URLOPNIK

Da, da, oni nasze przyjaciele.

BARTEK

Ej, stul ty gębę, słuchaj no, bo jak cię zamaluję ... A ty, Jagna, nie wywołuj wilka z lasa. Ze ja ze strachu bić się nie posetem, no to mi na zdrowie i na zdrowie matce starej, i dwojgu sierotom po siostrze w chacie. Bo jakby ja poset, to nie z takiej odwagi jak oto gorzelany albo lokaj dwor-

ski, albo stelmach z folwarku, co to jeden dał drapaka, drugi pieniądze z kasy ukradł, a trzeci wzion i naprowadził kozaków. Ja, jakby posetem, to na śmierć nieuratowaną, bo to tam z gołą pięścią innej wojny nie sukacć, a zawdy lepszy ten, co jest, niz taki, co go nie ma. Ja tam i drudzy w ojczyzny się zadne nie wdajemy aniśmy jej nie wyśpiewywali, ani komu przysięgali — a dlatego jak u nasego pana było broni kupa i papierów różnych, a nie wieda, ile powstańców bez dwór się przewinęło, to cy który kogo wydał albo gdzie doniósł? A jednak pieniądze psiewiary dziechciarze w garść wtykali. To cyj tu rozum lepszy: twój cy mój? Gadaj tera!

JAGNA

placząc

Oj! niedolaż, niedola! Same panięta! Ginie to jak muchy, a my patrzyśmy ino z daleka — cy to tak się godzi?

BARTEK

Ich ojcowie kraj sprzedali razem z nami, a nas się jednak o pozwolenstwo nikt nie pytał ...

21

W innym miejscu.

KTOS W TLUMIE

Ruch się jakiś robi! Co to znaczy?

AKADEMIK

wpadając

Uciekajcie! Kozacy lecą, będzie źle. Do majora Jazłowieckiego ktoś strzelił!

wszyscy się rozbiegają

22

W sklepiku.

PRZEKUPKA

Co wy mówicie? Jego własna żona?

MAGLARKA

A jakże! Cóż, kiedy nie na śmierć. Ino że mu, slysze, oko wysadziła.

PIEKARCYK

Skądże jej to przyszło?

MAGLARKA

Skąd przyszło? Albo to pierwszozna? To czy nie wiecie, jak oni ze sobą żyją?

PRZEKUPKA

Ja myślałam, że wcale z sobą nie żyją.

MAGLARKA

Ono i tak to jest. Ale to długie gadanie. Jenerał jakiś przywiózł ją, słyszę, z Petersburga i jak jej miał już dosyć, tak ją wydał za tego tam z piekła rodem przekabatnika. Ale go ona zaraz po ślubie wyłoiła cybuchem za jakieś niegodziwe śledztwo.

PIEKARCYK

O! zaś. Polka chyba.

MAGLARKA

Ale gdzie! Rodowita Moskiewka.

PRZEKUPKA

Nie może być! A on co jej za to zrobił?

MAGLARKA

U nóg jej się włóczył, a ona go skopała jeszcze i pokrwawiła.

PIEKARCYK

No i do kochanka swojego uciekła.

MAGLARKA

Do jakiego kochanka? Ona już i słyszeć o żadnym nie chce. I co miała uciekać? Po prostu męża z własnego jego domu precz wyrzuciła, a sama została.

PRZEKUPKA

To dopiero! Jakże — a on co?

MAGLARKA

A on za drzwiami został. Ale ani wybijał, ani groził; ino prosił się i zaklinał — a ta nie i nie. I tak było nie wiedzieć ile razy. On by za nią w ogień wskoczył.

PIEKARCYK

Ze strachu? Przed tym jednorałem?

MAGLARKA

Z żadnego strachu, ino z takiej wielkiej miłości. Gdzie! już i księdza naszego, słyszę, na nią nasyłał, i do cesarza chciał się skarżyć, żeby do niego wracała. Ona też i wraca, ile razy ten psiawiara co nowego zbroi, ale na to ino, żeby mu stołek na grzbiecie połamać albo nos wazonem rozmiażdżyć, a raz nawet to słyszę, samowar mu z ukropem o łeb rozbiła. I zawsze zapowiada, że jak nie będzie inny, to go kiedykolwiek na śmierć załucze.

PIEKARCZYK

wyskakując

O to, panie, raj!

MAGLARKA

Taki i teraz. Ja się tylko dowiedziała, że on tych pięciu ostatnich na śmierć wydał, wpadła do niego z pistoletem ... (*widząc nadchodzącego policjanta*) to cóż ci chciała mówić — bułek za piętnaście groszy, a rogalików za sześć.

POLICJANT

wchodząc

Kakije groszy? Proklatyj narod! Kopiejki, nie groszy. Szto tut za razgawory? (*do przekupki*) Ja tiebie do sztrafu przedstawliu.

Maglarka i Piekarczyk wychodzą

23

JAZŁOWIECKOJ

sam przed zwierciadłem w mundurze pułkownika, co chwila wybuchając grubym śmiechem

Nu tak, ty pułkownik! Znajesz, durak? Ty pułkownik! (*szturga się kuliakiem w policzek*) Wot tiebie raz, wot tiebie dwa. Da smotryże, mierzawiec, da ty pułkownik! (*targa się za wąsy*) Da słysz, sukinsyn, ty už nie major, a pułkownik — panimajesz? (*daje sobie byka w nos*) Gdzieże tiebie twój major? Už ty s nim nie wdajsia! (*czyta po raz dziesiąty swoją nominację*) Lubieznyj nasz pułkownik! (*daje sobie kuliakiem pod brodę*) Tak znaczy się: ty dwa stopni pierieskoczył, co? Nu, Nikołaj Jurjewicz. Tak to ty sam, nie kto inny; ty skatina, co? — Najmiłostiwiejsze kažemy tobie, co by ty był pułkownik — a tut rozkaza cesarskiego jakżeby nie usłuchać, co?⁴⁵ Na przedstawienie, rozumie się, tretiewo otdielenia, czetwiertoj sob-

⁴⁵ Na marginesie karty 41 recto dopisek: autentyczne.

stwieńnoj jewo impieratorskawo wielicestwa kancielaryi. Samże cesarz podpisał. (*salutuje*) Słuszajus, wasze impieratorskoje wielicestwo! (*odda-je pokłon*) Boże, caria chrań! (*ujmuje się pod boki i chodzi czas jakiś z partesa*) Nu, majory tiepier tam, w przedpokoju, z raportami — a ja tu (*bawi się kordonkami od bulionów*) bardzo zajętyj. Ten Żółtobriuchin, dur-naja dusza! tak jemu zdawało się, co on większy niż ja, że ma Gieorgija za Sewastopol. A tu stoj tam, ty starik, z twoim łbem siwym, ruki po szwam! Wczoraj ty był kolega, a dziś uniżonyj sługa, wotże tobie i wiel-kost'! (*gładzi sobie włosy przed zwierciadłem*) Pałkownik! Tak to i docho-dy, panię dobrodzieju, i czyn. Człowiek jest już przecię asoba. Tfu! Żeby nie to oko wybite, nic by może nie miał! Ale że na usługach prawej władzy, z powodu pełnienia obowiązku — tak i wynadgrodzili.

A wszystko taki — oka szkoda. (*zamysła się*) Po Maszy mojej pamiątka oto jedyna. (*obciera łzę*) Ze wszystkim skrzyła się. Gadają nawet, co poszła powstańcom służyć. Jakiś czort w nią wlaź i w niej siedzi. (*wzdycha*) Ach! żeby wróciła — ja by ją ozłocił! Pończochy by miała ze samych koronek, a łańcuch do zegarka z półimperiałów, a podeszwy u pantofel-ków ze sturublówek. A jeśliby chciała co robić, tak by tylko listy likwi-dacyjne obrębiała albo haftowała sobie na premiowej pożyczce. Duszka droga! Byłaby ot sobie pałkownica — a tak co? Ja by dla niej gienierałem nawet chciał zostać, choć pułku szkoda, żeby ona gienieralsza była i jej się pokłaniali. Nu, coż i robić. (*chodzi smutny*) Karetami by oto jeździła, darmo by mieszkała — a bałkony by u niej u każdego okna byli — z hra-binami by się tylko zadawała. U Włodkowskiego, co by jej zachciało się, brałaby na kredyt, a u jubilerów ja by sam robił dla niej rewizje; bo to wszystko zatajone polskie duchy, u nich w kosztownościach pieniądze Rżondu Narodowego schowane — ot co! (*wchodzi Żandarm*) Czto eto?

ŻANDARM

Izwinitie, wasze błagorodie ...

JAZŁOWIECKOJ

przyskakuje do niego i daje mu pięścią w zęby

Wysokobłagorodie! Znajesz? ty sukinsyn! prochwost! sobaka!

ŻANDARM

stojąc jak mur

Słuszajus. Winowats, wasze wysokobłagorodie.

JAZŁOWIECKOJ

Nu tak s czom?

ŻANDARM

Etot maładiec, katorawo wy wieleli tu prywiesti.

JAZŁOWIECKOJ

Wwiedi. Paszo! (*Zandarm odchodzi*) Z powodu tej łaski mojego monarchy ot i mnie łaskawości zachciało się. Tego głupca, jedyne go spomiędzy podobianych na polu, kazałem żywcem tu dostawić. Uwolnię go — cóż mi to szkodzi? Czasami i populiarność nie zawadzi. Onże wszystkim rozpowiadać będzie, co Jazłowieckoj pułkownik do majora ani umywał się — taki on tieraz dobryj. (*do wchodzącego więźnia*) Twoja familia?

WIĘZIEN

Jazłowiecki.

JAZŁOWIECKOJ

daje mu w twarz

Ty łajdaku! jak śmiesz?

WIĘZIEN

Cóż robić? Tak się właśnie nazywam. Dziękuję za serdeczne powitanie. Syn jestem rodzzonego brata twego ojca, miłościwy pułkowniku.

JAZŁOWIECKOJ

Ty psie podły! I ty śmiesz w ten sposób hańbić uczciwe nazwisko?

WIĘZIEN

Ja? Polak — polskiej sprawie służąc, hańbię pamięć pradziadów, którzy za kraj swój życie dawali? Nie dalej jak ten, którego ty chrzestne imię nosisz⁴⁶, Stefana Polsce z Siedmiogrodu na tron przywiódł, Tatarów i Wołoszy był postrachem, Jankułę⁴⁷, wroga Polski, pojmał i oprawcy we Lwowie w ręce oddał, Zygmunta Zamojskiemu, ile mógł, wydierał, sam jeden kresów jak pies wierny strzegł i umarł ze zmartwienia, że mu przeszkodzono Krym podbić. Nie gorsi od niego byli drudzy, a szereg ich nie mały.

JAZŁOWIECKOJ

Milcz, ty głupi! Ja tutaj od ciebie historii waszej wymyślonej uczyć się nie będę. Ot, prosto u mnie jest litość, co ty taki durak, i dlatego chcę cię uwolnić. Tak powiedz mnie, kochany, ciebie przymuszali?

⁴⁶ Chodzi o Mikołaja Jazłowieckiego, kasztelana kamienieckiego, początkowo sprzymierzonego z Janem Zamojskim, stronnika Stefana Batorego. Dalsze informacje o sławnym przodku, niezbyt ściśle, bo Jazłowiecki w czasie trzeciej elekcji stał po stronie arcyksięcia Maksymiliana i dopiero po wyborze Zygmunta III opowiedział się za nim, zaczął zaś zwalczać Zamojskiego, do którego Felicjan żywi jakieś urazy, może za rozpętanie demokracji szlacheckiej i osłabienie władzy monarszej, a może za przywódę obozu białych, „pana Andrzeja” Zamoyskiego.

⁴⁷ Jankuła, gospodar wołoski, pobity i pojmany przez Jazłowieckiego w r. 1582.

WIEZIEN

Mnie? człowieka pełnoletniego, świadomego doniosłości swoich czynów?

JAZLOWIECKOJ

Nu, tak namawiali. Ale jakże, tylko sobie przypomnij.

WIEZIEN

A! tak. Mówiła mi Matka krwawa w kajdanach: „Idź i zgiń! bo jeszcze nie czas na zwycięstwo. Ale potrzeba wam dać znak życia, aby świat kłamliwy nie miał powodu twierdzić, żeście się pogodzili z waszym upadkiem, w błocie klęcząc w pokorze śmierci ducha i bijąc się w piersi potrójnym obuchem”.

JAZLOWIECKOJ

Coże ty mnie tutaj tego tam historie, romanse, awantury gadasz. Coże ja nie wiem, co to wszystko duraczestwo? No, Boh z toboju, ubirajsia, won!

• WIEZIEN

Do więzienia?

JAZLOWIECKOJ

Do kakowo wienzienija? Ot, na ulicę, i daj mnie pokój!

WIEZIEN

Ja, ja jeden tobie mam dać pokój, kiedy cię tyle łez i krwi bratniej niepokoi?

JAZLOWIECKOJ

porywając się do niego z pięściami

Małczy, ty sukinsyn! bo ja tutaj ciebie! ... (*wysapawszy się z wolna*) Mi zdaje się prosto, co ty sam siebie obmanywajesz — tego — aszukujesz. Czort ciebie bierz! Tak, panie dobrodzieju, już gadaj sobie, co chcesz, taki ty wolny. Stupaj k' czortu!

WIEZIEN

O! nie, szanowny panie bracie, tak źle ze mną nie będzie. Z bronią w rękę schwytany zostałem, więc według waszych zwyczajów chwalebnych kula w łeb mi się należy — i od tej za nic nie odstąpię!

JAZLOWIECKOJ

Kula? a jak postronek?

WIEZIEN

Tym lepiej. Więcej warcii ode mnie na szubienicę poszli.

JAZŁOWIECKOJ

Ta, ta, ta, ty durak! Ty myślisz, co ja pozwolę, co by ty męczennikiem został? Do katorgi pójdziesz.

WIĘZIEN

Coraz lepiej. Tam wśród wyrzutków społeczeństwa tym świętsze posłannictwo do spełnienia znajduję.

JAZŁOWIECKOJ

Pasłysz, ty skrecony! Tak widno u ciebie zdrowego sensa w głowie za trzy grosze, za półtóry kopiejki — chcę mówić — nie ma. Otże ty i niepo czytalnyj! Tak powiadam tobie: wynoś się ty precz na wolność! bo cię każę za kark wypchnąć!

WIĘZIEN

Cóż to ty nad prawo wyższy? Czy tam, chcę mówić, nad wyraźną twójego cesarza wolę? (*Tamten mimowiednie się prostuje, staje frontem*) Radzę ci: nie baw się ze mną w przebaczenie, bo ja przed sądem wojennym, którego nie myślę uniknąć, przede wszystkim postaram się uwydatnić stosunek pokrewieństwa nas łączący; a wtedy wypadnie ci być o wiele jeszcze dla mnie, niż dla drugich, surowszym, bo tam będą tacy, co czyhając na twoje odznaczenie, przy lada sposobności donos na ciebie zrobić zechcą — uważasz?

JAZŁOWIECKOJ

Padlec! Tak ty by stryjecznego brata nawet zdradził! (*w oczy mu pluje, tamten się obciera, on mu daje policzek*) Nu, sukinsyn! coż ty tu śmiesz tego tykać? Moja ślina święta na twojej patriotycznej mordzie! (*tamten stoi ze spuszczonymi oczyma*) No coż? nic nie gadasz? (*złagodniawszy*) Słysz, brat, bądź dobry! Ot, prosto oddaj ty mnie w pysk bez świadków i bądźmy w zgodzie⁴⁸.

WIĘZIEN

Mój kochany, człowiek, jak ty honorowy, nie odbiera przecię tego, co raz dał komu. Ty zostań przy twoim, ja przy moim — i niech nam obu będzie to na zdrowie.

⁴⁸ I tu wzdłuż całej repliki tej i poprzedniej dopisek: „autentyczne, Zdanowicz i Żuliński Roman” (karta 42 recto). O ile drugie nazwisko nie budzi wątpliwości, to pierwsze jest niejasne. Czy chodzi o Ignacego Zdanowicza straconego w Wilnie 23 grudnia 1863? Czy chodzi o sponiewieranie więźnia? Czy o odrzucenie przezeń nadziei wolności i życia? Czy wreszcie o propozycję oddania policzka? Na pewno nie chodzi o samą sytuację spotkania się dwóch krewnych, powstańca i carskiego oficera, tak podobną do ukazanej później w *Echach leśnych* Stefana Żeromskiego.

JAZŁOWIECKOJ

zrywając się wściekły — do żandarma

Wańka! W Diesiatyj Pawilon s nim! Paszo! Ja tut tiebie pokażu! (*tamci odchodzą, on czas jakiś przechadza się markotny*) Niech diabli porwą! Nu, chciał ja raz dobrze niby zrobić, a taki to i pech, żeby na swojego natrafił. Czort jego bierz! Tak nawet i lepiej, bo powiedzieliby jeszcze, co krewnego bronię, choć co mi to on za krewny! A jakby obcy, tak by gadali znowu, co ja spoliaczał — otże i bieda. Moszenniki! donoszczyki! Moskowskije podłyje duszi! — mat' ich! (*zamyśla się*) Hej! hej! Otże byli czasy, kiedy od Wisły aż do Urału i dalej widziałeś tylko jedną żołdacką kazarmę, od której Mikołajuszka niezabwionnyj miał klucz u pasa tuż przy nahajce! On żeby był pożył, tego wszystkiego głupstwa by nie było! (*zatykając sobie gębę*) Małczyże, durak! Wtedy wierno i ty by pałkownikiem nie był ...
wychodzi

*

Choćby ci w prawdy obronie
Rękę po ramię ucięto,
Przyjm cios ten z twarzą uśmiechniętą
I z sercem, w którym radość płonie.
I nie miej też schylonej głowy,
Gdy z tej porażki chwilowej
Powracać będziesz w ciche progi,
Jak człek cierpieniem skarany.
Bo wierz mi: ból z twej krwawej rany
Bardzo ci będzie błogi.
Też miej cierpliwość. Bowiem oto
Zanim się z twą odważną cnotą
W zapadłą schronisz samotnię,
Niejeden z tych, co stojąc w dali,
Z tobą trzymali,
Niechętnie wzruszy ramiony,
A drudzy w niemej się wymowie
Litować będą, lecz któż zgadnie:
Szczerze czy zdradnie?
I czy to družba? czy wrogowie?
Bowiem troskliwych o twe zdrowie
Niewielu będziesz miał gości...
I tylko wprost z szarego pola
Gdy się o klęsce twej dowie,
Przyjdzie odwiedzić cię Niedola
Po starej znajomości.

24

LUCJAN

W świat idę, nie wiem, w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy pątnik. Zewsząd mglisto, ciemno,
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną ...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kędyż ja spocznę, gdy się stopa znuży? ...
Oto przeczystej Marii święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzała
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła srodze utrapiona
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskółek
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek ...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Święconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą pójrzę zewsząd suchą,
Z wolna mi błogą wzbiera pierś otuchą ...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak niedzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom śłali,
W krużganków tajni, wiecznym cieniem krytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została z wolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona
Wraz z całą ziemską chwały ich ozdobą
Wkleknięto w ziemię tak, że z tej samotni
Z wolna odeszli jak najbezpowniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

*

Wielkiego płacząc Kazimierza
Bolesni krążą aniołowie,
Gdzie w Rynku, ponad ludu mrowie,
Koroną uwieńczona wieża,
Jak na kompasie ćwiek, wymierza
Wśród smutnej ziemi lata wdowie.

I hejnałowych trąb hosanny
 Brzmia stamtąd dziś, jak dawniej brzmiały,
 I w stronę jej chwalebnej strzały
 Gołębie lecą w świt poranny.
 A w stadzie tym Najświętszej Panny
 Jeden się skrzy — jak Orzeł Biały.
 Lecz Zygmunt ... czy też on wypowie
 Ten dźwięk, co niby jak krew świeża
 W narodu serce wprost uderza?
 Nie. Milczy. Wsparci w swe wezglowie,
 W kamiennej ciszy śpią królowie
 Śladem Wielkiego Kazimierza.

*

W krakowskim Rynku w noc świetlaną
 Skrwawione ciernie w serce wziąłem
 Drżąc z bólu — bom był z tymi społem,
 Którzy na sąd ze skargą wstaną —
 I gdzie Kościuszko zgiął kolano,
 Ze łzami uderzyłem czołem.

[CZĘŚĆ TRZECIA]

OSOBY TAJEMNICZYCH JASELEK

Wojtek	Tuzy i Kozery w świetle króla
Grzela	Ćwieczka
Srul — propinator i dzierżawca rogatki	Stacho — wielbiciel Małgorzatki
Ganzmann — grynder	Małgorzatka — tańcząca z huzarami, gospodyni karczmy „Pod Wesołym Ka- raluchem”
Łyk Mieszczanin	Królewna Febronia — siostra kró- la Marchołta Setnego Pierwszego, wład- cy Kraju Żołédnego, emancypantka
Zerwikaptur — zubożały szlachcic	Marfissa — kralka żołédna, znakomita dama
Walek — jego woźnica	Pamfil Czerwienny — kochanek Febronii, szambelan i hrabia galicyjski
Niżnik Winny — herold królewski	Kolka — pokojówka królewny
Maciejowa	Księżyc na Niebie
Bzdęga	Kometa
Kowalicha	Grzmiłs — kanclerz króla Marchołta
Baba Kościelna	Dworzanie króla Marchołta
Król Ćwieczek — władca Dzwonko- wego Królestwa	
Hetman Kiks	
Mędrzec Mopsus	
Radca Zedwudziestu	
Kanclerz Patataj	
Błazen Gąska	

OSOBY SCENY W JAMIE SMOCZEJ

Lucjan
 Cień Lilii
 Tamten (Szatan), także:
 Ryk, Wycie, Wybuch z głębi
 Głosy Otchłani: Szmery, Przepływy fal, Ciche tchnienia
 Wołanie z lewej strony
 Chór Samobójców

OSOBY POSIEDZENIA NA GRUZACH WARSZAWY

Marfissa
 Tatiana Jazłowieckoj [!]
 Kätchen Ganzmann
 Baronówna Ruchla Lombardi — przewodnicząca
 Mędrzec Mopsus
 Gęgalski — woźny
 Kolka
 Małgorzatka
 Cwiczek — stary pastuch świń, królewskiego rodu

25

Intermezzo. Czwarta i ostatnia część Worka Judaszowego o lwiej skórze.

Patrz teraz, miły bracie, lecz nie nazbyt śmiało,
 Jedno chyłkiem, i głowy (chceszli mieć ją całą)
 Nie wytykając z nory — bowiem z lwiej tu skóry
 Torba tobie bezdenna, zbrojna więc w pazury,
 Co cię choćby z podziemnych wezmą głębokości,
 I w zęby, co ci razem z mięsem zmiążdżą kości.

Ci, co w wór ten srebrniki garną, judaszowie,
 Ni się łaszą podstępnie, ni w układnej mowie
 Oczy mydlą, lecz każdy w imię prawa pięści
 Przez swe sługi wszem wobec głosi jak najczęściej:
 — Co wy wszyscy, ja jeden mieć co prędzej muszę!
 Dawaj, co masz! Daj ciało! Daj nawet i duszę!
 Idź! bij się za mnie! Także rzuć przesady stare!
 Bierz język mój, obyczaj, prawa, nawet wiarę! —

Dużoż takich? — O miły Boże! toż po świecie
 Spojrzyjcie! po tym naszym. Cóż też spostrzeżecie?
 W strzepy się Rakuszanin tuli oberwańczy.
 Wziął w łeb Francuz wesoly i kankana tańczy.

Anglik siedzi w kantorze, kupnem swym zajęty:
— Gdzieś tam — gadają — w jakieś ktoś tam wlaźł Taszkienty^{48a},
Pono pono już Kokand^{48b} wzięty! — A! nie! Jako żywo.
Jeszcze to kawał drogi! Gdzie zaś! aż za Chiwą! —
Chiwę wziął, czuj duch! — A nie! to się tylko zdaje,
Jeszcze nas przez czas jakiś strzegą Himalaje. —

Więc świat dziś w waszych rękach, ty narodzie dziki!
Tmurotokańce chytre! sprośne sodomczyki!
Mieszkańce byzantyńców z hordami Suzdała,
Co się tańcem pijanym zataczając z dala
Od Wisły aż nad Amur, ten wasz, o judasze!
Alkoran prawosławny i poddaństwo wasze,
Doraźnych zysków chciwi i drapieżnej chwały,
Radzibyście ludzkości narzucili całej ...

O! i owszem — przemyślny tak wam Prusak powie —
Czemu nie? — O wytrawni w skórze lwiej osłowie!
Czyż nie rzeknie wam Katków, dzielny wasz rozjemca:
Żeście tylko paroby ciemne w rękach Niemca,
Który łągał wprzód i kręcił, zrazu niezbyt śmiało
Ściągając tu i ówdzie, co się ściągnąć dało,
Aż w postępowej bucie i w sobkostwa szale,
Z czasem w cudze porósłszy pierze, dziś zuchwale
Grabi to, co się nawet nie da brać. O świecie,
Na co ci to więc zeszło! Jakże? toż to przecie
Nie innych cnót rycerze, ale są ci sami,
Którzy niegdyś na szabli polskiej błysk grzbietami
Słali się drżący, a my na ich karki zgięte
Pod Grunwaldem w ostrogi zdobną kładli piętę.
Przed nami też, nie przed kim, aczbądź nie z kochania,
Brandenburczyk się długie lata nisko kłania,

^{48a} Taszkient zajęty przez carską Rosję w r. 1865.

^{48b} Aluzja do zaborów Rosji carskiej obszarów na południe i wschód od Jeziora Aralskiego. W połowie XIX wieku rozpoczęła się rywalizacja o wpływy w środkowej Azji pomiędzy Wielką Brytanią a carską Rosją, która miała bezpośredni dostęp do wymienionych terenów, gdy jej przeciwniczka musiała sięgać przez niepodległy Afganistan. Upadające państewka, jak Chiwa, Buchara i Fergan, ogarniała Rosja przez ekspansję ekonomiczną, uzależniała i anektowała stopniowo. Taszkient został w r. 1867 stolicą gen. guberni turkiestańskiej, Kokand — stolica żyznej doliny Fergańskiej, zhołdowany w r. 1875, w roku następnym stał się stolicą obwodu fergańskiego w wymienionej gen. guberni, Chiwa została zhołdowana w r. 1873 i weszła również w obręb ros. Turkiestanu.

Ten sam, przed którym dzisiaj ...

Stójże! bracie miły!

Mówią, że nas już nie ma. Więc też z twej mogiły
Ostrożnie spoza zębów puszczaj słowa chyże.
Chceszli, by cię żywiono indziej, jak w Sybirze?
Owo też lwich szpon, pomnij, objaw różnolity:
Iglicówki, torpedy, kruppy, dynamity,
Wreszcie szwindle i krachy, i co od bezprawia
Nowym trybem świat broniąc, pięść przed prawem stawi,
I słabszych depcze, w grzesznej by nie wzrosli pysze;
Więc o czym innym lepiej mówmy.

Był gdzieś, słyszę,

Królewic, bardzo smutny w swej królewskiej skórze,
A temu prorok pewien i pociechy duże
Zwiastował, i że długich w sławie lat doczeka —
Byleby wlaźł w koszulę szczęśliwego człeka.

Za czym on w świat się wybrał iść ku owej chwale,
Wiedząc, że w jego państwie nie był nikt bez „ale”.

Jakoż pierwszego zaraz patrzy dnia — a oto
Stoi pałac przepyszny: zewsząd kapie złoto,
Muzyka, tańce, uczta i śpiew, i wiwaty,
Wszystkiego w bród po uszy — bowiem tu bogaty
Całą gębą pan mieszka ... W to mi graj! Toż przecie
Szczęśliwszego łobuza chyba nie znajdziecie.
— Daj mi twoją koszulę. — Cóż to? przepocona?
— A tak. On o swe skarby wciąż ze strachu kona. —
— Proszę. Więc w twej koszuli siedźże sobie zdrowo. —

Jedzie dalej. Znów patrzy — w górze mu nad głową
Sterczy zamek warowny, w nim zaś wśród gawiedzi
Potężnych wojowników dzielny rycerz siedzi.
No, ten przecie szczęśliwy, wszyscy go się boją.
— Ej! rycerzu! Koszulę, proszę, daj mi twoją. —
— Masz. Lecz pomnij mieć pod nią pancerz, bo cię łacnie
Sztyletem którykolwiek z towarzyszy macnie. —
— Tak? To weź ją na powrót. Ja podążę dalej. —

Tam w dąbrowie słowikom któż się głośno chwali,
Że jest właśnie ze wszystkich najszczęśliwszym z ludzi?
To młodzian, w którym dziewczę błogą pewnością budzi.
— A! dawaj twą koszulę. — Ten się zwierza skrycie,

Ze w niej bez końca cierpi mocne serca bicie.
 Ze bywa to czerwony, to śmiertelnie blady,
 W miarę jak uśmiech lubej lub obawa zdrady,
 Oczekiwanie, zawód, rozpacz lub nadzieje
 Szarpia go niby trzcinę, którą burza chwieje.
 — A, mój miły paniczu! gdyś ty tak dalece
 Szczęśliwy, to niech ciebie Bóg ma w swej opiece
 Razem z twoją koszulą! —

Indziej znów najszczelniej
 Mędrzec jakiś wśród dzikiej zamknął się pustelni.
 Zdeptał świat i od siebie słusznie precz odgania:
 Strach o skarby, o władzę, życie, cel kochania ...
 No, ten chyba rad sobie, wszelkim złem wzgardziwszy.
 — O mędrce! o szczęśliwce wielce osobliwszy!
 Dozwól, niech w twą koszulę tęschne schowam łono. —
 — Cóż, gdy on nie ma innej, tylko pożyczoną.
 Zresztą nie jest szczęśliwy, gdyż go stale dręczy
 Pozytywne zwątpienie, a z nim strach zajęczy
 Tego, co mimo wszelkie ewolucji stopnie
 Poza grobem być może. — Niechże gęś cię kopnie —
 Rzekł królewic z myślami walcząc posepnemi.
 Aj! więc zawsze i wszędzie chyba na tej ziemi
 Razem z koszulą człowiek utrapienie wdziewa? —
 Jechał dalej markotny ...

Zachód był. Przez drzewa
 Czerwieniło się słońce. Łąką szedł wśród rosy
 Pastuszek cały w łąkach, z gołą głową, boso.
 Ten jednak skacze, śpiewa, wtem tak w ręce kłaśnie,
 Jakby wsiadł na sto koni. — Ej, czy nie ten właśnie,
 Którego szukam? — Słuchaj, chłopcze ty prostaczy,
 Czyś szczęśliwy? — On nawet nie wie, co to znaczy.
 — Ten sam! Powiedz mi, proszę, więc ci żyć przyjemnie? —
 — O! i jak! — No, na przykład? — Nie wiem, czy ode mnie
 Mniej komu braknąć może. O nic się nie boję,
 O nic nie dbam. Świat, niebo, wszystko to jest moje.
 Nie czuję tęsknot żadnych, same znam rozkosze. —
 — A! więc mi twą koszulę daj czym prędzej, proszę. —
 On z naglej rezon stracił. — Jakto? — No, koszulę
 Daj mi, niech w nie królewską nędzę mą otulę. —

Ten w prośby. — Aha! ptaszku, tuś mi! Nie! dam za nią,
 Co sam zechcesz! — on za nic nie chce. — Więc ją tanio
 Mieć będę, bo nic nie dam. Ze mną żartów nie ma.

Hej! słudzy! — ten swe szmaty trzyma garściami dwiema.
 Aż gdy je z niego zdarto, w kłęb się z zimna kuli,
 Bowiem na jego grzbiecie nie było koszuli ...

Takci to jeden pono taki mocarz, który
 Nie mógł srebrników zgarnąć w worek swój z lwiej skóry,
 Bo to za świętą prawdę miejcie, bracia moi:
 Rozboju goły tylko niech się człek nie boi.

A tu, Judaszowego Worka dokończenie
 Uczynwszy — wszem wobec kłaniam uniżenie.

26

*Tajemnicze jasełka w zwaliskach Belwederu.
 Rzecz w czasach przeddziejowych, w Królestwie Dzwonkowym.*

Droga w bok do Pacanowa wzdłuż między od Królestwa Zołędnego. Srul pobiera myto drogowe, siedząc u przesmyka w budce z roгатką. Na budce przylepiona jest karta z nową taryfą, pod którą siedzi na ławce Ganzmann palący z krótkiej porcelanki. W dali widać Wólkę Dzwonkową. Śpieszą różni ludzie na jarmark do Pacanowa.

WOJTEK

Co wy gadacie, Grzela?

GRZELA

A no, jak Boga kocham. Co pirwy gros od kozy, to tera pugrosa.

WOJTEK

To tak tam stoi napisano?

GRZELA

A juści.

WOJTEK

Kajze to?

GRZELA

A ja wim? Kiej nie umiem cytać.

WOJTEK

A no, dobry król, niech mu ta Pan Jezus da setne zdrowie. Już nas ten psiawiara Zyd nie będzie dłuzy obdzirał. (*podchodząc do budki*) Hej! Zydzie! Jedna koza bez roгатkę, namci gros. Dawaj reśty pugrosa!

SRUL

Ny, jaki mi asronom! Co ja robię pugroski cy co? Pugrosków ziadnych ni ma.

WOJTEK

A kiej król kazał.

SRUL

Król kazał, zeby ty dał pugrosa, a jak ni mas, to co mnie do tygo. Ja ci grosa nie psiekroje. A ty króla słuchaj, bo będzie źle.

Wojtek odchodzi, skrobiąc się w głowę

GANZMANN

spluwając

Glupia klopa.

GRZELA

podchodząc do budki

Słuchajcie, Srul, a wiela ta od kozy bez roгатkę?

SRUL

Od podkutej?

GRZELA

Nie.

SRUL

To jak raz pugrosa.

GRZELA

A jak będzie podkuta?

SRUL

To tyz pugrosa.

GRZELA

No to płacę tam i na powrót. Razem gros.

SRUL

Herste? Ty jeście nie wrócił. Co ty będziesz osiukiwał królowi i jemu ksiwdził. Takie dobre król, co won dziś z grosa opuścił na pugrosa. Ja cię nawet znać nie chcę, bo ty źle miszłace.

Chłop odchodzi zakłopotany

GANZMANN

spluwając

Głupia chłopa.

LYK MIESZCZANIN

podchodząc do budki

Hej! Zydzie! dawaj reśty z dziesiątaka. Piętnaście kozów to siedem grosy i pugrosa, a nazad putrzecia.

SRUL

Co ty się skręcił? Jak ni ma pół, to ni ma i putrzecia.

zatrząskuje okienko

GANZMANN

wytrząsając fajkę

Mądre Jude!

W Wólce słychać dzwonienie. Wjeżdża w kałamaszce obywatel Zerwikaptur.

ZERWIKAPTUR

do swojego woźnicy

Słuchaj no, Walek, mój mosanie, gdzie to tak dzwonią?

WALEK

E, proszę jegomości, to mnie w uchu zawdy, jak mi się na kichnięcie zbiera.

coraz silniejsze dzwonienie

MACIEJOWA

zatykając sobie uszy

O rety! Cegój ze to tak okrutnie dzwonią w tym tam królestwie?

BZDĘGA

Musić kajś sie pali.

Budka ze Srulem w sposób nadprzyrodzony odjeżdża precz. Wchodzi Niźnik Winny porządnie podchmielony.

NIŹNIK

Hej! hej! Słucha...chajcie, ludzie! Zbierzcie się tu do kupy...py i słu...słuchajcie

Walek kicha bardzo rozgłośnie

BZDĘGA

O to kicha! właśnie jakby z bata strzelił!

NIŹNIK

Słuchajcie...chajcie, lu-lu-dzie!

LUDZIE

Taże słuchamy. Ino żeby było co.

NIŻNIK

czyta z karty

My, Ćwieczek Trzeci z Bo...bożej łaski król (*Walek kicha*) — A idźże ty na złamanie ka...karku z twoim kicha...chaniem (*Walek wynosi się zatykając sobie nos garścią*). Słuchajcie, ludzie! (*czyta*) My, Ćwieczek Trzeci z Bożej łaski, król na Ćwieczkowicach ...

ZERWIKAPTUR

Na jakich Ćwieczkowicach, mój mosanie?

NIŻNIK

To tak ma się teraz nazywać Wólka Dzwonkowa. (*czyta znowu*) My, Ćwieczek Trze...trzeci ...

ŁYK

To już było.

NIŻNIK

Wiadomo czynimy ...

KOWALICHA

przechodząc w głębi śpiewa wniebogłosy

Choćbyś się wywijał jako karafijał,
Nie pójdę za ciebie, boby ty mię bijał.

NIŻNIK

Cichoście tam! Wiadomo czynimy, jako siedząc od wieków na tym naszym dziedzicznym pa...państwie ...

ZERWIKAPTUR

Od jakich wieków? Trzydzieści lat temu, mój mosanie, wszystko to jeszcze było moje.

ŁYK

Dziedziczne? no, no! Taże ojciec jego wykupił je z zastawu u Sruła!

GANZMANN

I jakiego państwo? U niego ni ma ani kawałek las!

NIŻNIK

Ale statkować, kiedy mó...mówię. (*czyta czym prędzej*) My, z trzeciej ła-ski Bożek, tfu! Kiedy to z wami — wiadomo...mo czynimy, siedząc na pań-stwie, że — że tego — że przed godziną doszedłszy do pełnoletności ...

BABA KOŚCIELNA

tańcząc na jednej nodze

Nie mogę ja robić dobrze,
Bo mę noga boli w biodrze,
Ale za to tańczyć mogę,
Jak przewiążę śmatą nogę. Hu! ha!

NIŻNIK

w największym gniewie

A bodajże was wściórnasce! Z wami to nieprzymie...mie...rzając jak z tym tam by...bydłem nija...jakim!

przewraca się w rów i zasypia

BZDEGA

pochylając się nad nim

No, no, żeby zaś kto mógł zasnąć w takie dzwonięcie!
*Ludzie się rozchodzą, zostaje tylko Ganzmann. Wjeżdża w kolonie złocistej Król Cwieczek, z nim Hetman Kiks, Mędrzec Mopsus, Radca Zedwudzie-
stu, Kanclerz Patataj, Błazen Gąska, różne Tuzy i Kozery.*

KRÓL

wysiadając

Gdzie ten cymbał? Tylko co go tu widziałem. Naraz jakby go wiatr zdmuchnął.

PATATAJ

A no, poszedł pewnie dalej.

KRÓL

Myślę, że już chyba w całym państwie wolę moją najwyższą obwieścił. Masz tobie. Na śmierć zapomniałem wziąć z sobą pastucha. Byłby pospędzał ten tam głupi motłoch, żeby przecię krzyczeli: „niech żyje!”

GANZMANN

No, ja, to podle naród. Jakby jego ne bij, to on mófi: „Ne szeba król, ino respublik”.

KRÓL

Tak tu gadali?

GANZMANN

Ja, ja. Rebelianty, inzurgienty.

Hetman okropnie brwi ściąga

KRÓL

do *Ganzmanna*

A ty co za jeden?

GANZMANN

Ja robi plutno, cegiel, sukman i butów.

KRÓL

Pożyteczny człowiek, co mówicie? Robię go moim wielkorządcą. Ale stopniowo, zawsze stopniowo. O! u mnie porządek przede wszystkim. (*do Kanclerza*) Zapiszesz go: Pomocnikiem...pełniącego obowiązki...zastępcy... wicepodwielkorządcy.

GANZMANN

Ja, ja, polizei. Szeba, żeby wsistko było ganz recht.
uciera sobie nos w palce

ZEDWUDZIESTU

Jak śmiesz?

KRÓL

Daj mu spokój. Chustki się jeszcze nie dorobił. W moim państwie wobec prawa wszyscy równi.

MOPSUS

Dura lex, sed lex.

KRÓL

Tak tedy cześć niech będzie prawu, o ile się ono z wolą moją zgadza.

ZEDWUDZIESTU

O! pewnie.

GĄSKA

A jakże. Od końca nosa aż do krańca pięty.

KRÓL

To dobrze. Cóżem to chciał powiedzieć? A! Trzeba będzie raz w tym królestwie ład przykładowy zaprowadzić. Lud wzburzony. A no, pewnie go już możni uciskają.

GANZMANN

Ja, ja, gewiss, Umsturzpartei.

KRÓL

Od lat najwcześniejszych marzyłem poprawę społeczną. O! ja to do skutku przywiode! Drżycie, nieposłuszni! (*Hetman straszliwie zębami zgrzyta*) Naprzód z rogu obfitości łaski na lud mój hojnie niech wysypię. (*do Tuzów*) Was posuwam z pomocników na pełniących obowiązki. (*do Kozer*) A was na zastępców.

GANZMANN

Nek szyje!

KRÓL

do Kanclerza

Posuniesz go o stopień wyżej.

GAŚKA

A mnie się order należy, daję słowo.

KRÓL

Mój kochany, zawołaj no lokaja, żeby cię za drzwi wypchnął.

GAŚKA

zuchwale

Order mi się należy, jak honor Kocham. Oto moje piersi szerokie!

KRÓL

do Kanclerza

Proszę cię, daj mu w kark na mój rachunek. Sumiennie ci oddam.

MOPSUS

Nie gniewaj króla, mając na uwadze, że pięścią uniesień pańskich nos ludu zakrwawiony bywa.

Gąska chowa się pod ławę

KRÓL

Wracając do rzeczy, muszę pilnie wejrzeć w sprawy wewnętrzne. Mam jak najlepsze chęci. Żadnych nadużyć, o! żadnych nadużyć! Surowo karać będę! (*Hetman zatacza dzikim wzrokiem*) Przede wszystkim tedy: dlaczego Srul sam jeden ma pobierać opłaty ubezpieczeń moich poddanych, od pokątnych doradców, zapadających się domów, rzezimieszków oraz handlarzy nie swoimi końmi? Ja ten dochód niniejszym odbieram na siebie, bo on się skarbowi państwa nader słusznie należy.

ZEDWUDZIESTU

Miłościwy panie, to będzie monopol.

KRÓL

A! prawda. Żadnej wyłączności. Tego ja nie chcę. Ale współzawodnictwa godziwego nikomu przecię nie bronię, więc i sobie.

ZEDWUDZIESTU

Zapewne. Ale jakże zrobimy, skoro nie wiemy, kto taki kradnie u nas i rozbija w dzień biały, a także po ciemku źle doradza i nie dość budująco buduje. A Srul przecię ich wszystkich zna.

KRÓL

A! tak, pożyteczny człowiek. Tylko, że słyszę z boku, lichwą się on bawi.

GĄSKA

spod ławy

Niech mu będzie na zdrowie. U nas wszyscy się nudzą.

KRÓL

Do tego lud rozpaja.

PATATAJ

Gdzie zaś! On tyle wody dolewa, że trzeba cztery razy więcej wypić, żeby się dosyć nędznie podochocić.

wtacza się Stacho, śpiewając na całe gardło

Oj! żeby ty wiedziała, co o tobie myślę,

Oj! podesłabyś ku mnie, uściskałabyś mię!

ZEDWUDZIESTU

Czemu czapki przed królem nie zdjąłeś?

GĄSKA

Bo ma nowe buty.

KRÓL

Gdzieżeś się to tak uczył?

STACHO

A pod „Wesołym Karaluchem”.

ZEDWUDZIESTU

To już w Państwie Żołędnym.

KRÓL

A czemu nie u mnie? błażnie jeden! Będiesz mi Srula okradał?

STACHO

On i tam synkuje. Ino ze lepszą daje wódkie i z doliwkom, bez to, żeby tu nikt nie pił.

KRÓL

zrywając się

A! Zbrodniarz! Zdrajca! Gdzie on jest? Przykładnie go ukarzę!

Hetman grzmiaćco krzaka

MOPSUS

Miłościwy królu, nie godzi się potępiać niewinnego. Człowiek już się rodzi takim lub owakim. Tak albo ma inaczej mózg urobiony, wolę zaprawioną,

powiązane nerwy. Stosownie też do tego musi być, choćby nie chciał: złodziejem koni, dobroczyńcą ludzkości, szklarzem, prezesem, szwaczką, przedsiębiorcą kolejowym, niedołęgą, piwowarem, królem, akuszerką, szpiegiem, kataryniarzem albo cudzą żoną. Bywają także miesiące takie, dni, nawet godziny, w których człowiek nic temu nie winien, że poezję napisał, kogoś przejechał albo w papę dostał. Od tego jest statystyka porównawcza.

Król słysząc to głęboko się zamyśla

KTÓRAŚ Z KOZER DO KTÓREGOŚ Z TUZÓW

Strasznie to mądry człowiek ten Mopsus.

TUZ

Ba, ba, cały świat przecię zwiedził!

KOZERA

Jak to? cały? Ze wszystkim? Tak, że już nic nie zostało?

TUZ

Caluteńki. Szedł, szedł, powiadają, aż ujrzał parkan, na którym wyraźnie napisane było „Koniec świata”. Wtedy wziął i wrócił.

KOZERA

Mógł choć przez szparę zajrzeć.

TUZ

Podobno nawet i zajrzał.

KOZERA

No i cóż zobaczył?

GĄSKA

Ktoś mu tam język, słyszę, pokazał.

Mopsus rozsądnie udaje, że nie słyszał

KRÓL

po namyśle

Mości Mopsusie, czy i Srul od małpy pochodzi?

MOPSUS

Miłościwy panie, pojęcie podobne całkowicie z obiegu już wycofano. Pokazało się bowiem niedawno temu, że od małp tylko małpy pochodzą. Wszystko zaś, co na świecie żyje, wyszło z protoplazmy.

KRÓL

Tym sposobem każdy ma swojego protoplastę. Bardzo chwałę podobnie sprawiedliwą dla wszystkich, a razem tyle uszlachetniającą naukę.

W szkołach ją wykładać każe, jak tylko ławki do siedzenia posprawiam.
(do Stacha) A ty co za jeden?

STACHO

Ja, proszę łaski jaśnie króla, to ten, co to z Małgorzatką chce się żenić. Ale mię ta psiajucha nijak nie chce, ino wydziwia i odwłócy, a to na bezrok, a to we źniwa, a to na święty Idzi, i musić juz chiba na święty Nigdy — a ja sie zniszcylem dla tej pokraki, co niech ręka Boska obrania.

Wydałem i grose,
Próżno się jej prosię.
Wydałem i złoty
Na one zaloty.
Wydałem i talar,
Małom nie osialał.
Wydałem i dukat,
Jakby mi go ukrad...

KRÓL

Dość, dość. Strasznie gadatliwy. Ale mu się krzywda stała. Trzeba, żeby znał, co to sprawiedliwość święta. Lud mój sądzić będę. Kanclerzu! przywołaj, asan, sprawę!

Kanclerz po trzykroć przyzywa strony. Wchodzi Małgorzatka.

MAŁGORZATKA

Doprasam się łaski wielmożnego króla, ten oto zbereźnik wszycko zełgał jak pies, nie przymawiając tu nikomu. To pijacysko. Jego zawdy dwoch z karcmy pod pachy wyprowadza, a jakze! a trzeci nogi mu stawia. Bodaj mie choroba na miejscu zatłukła, jak to nieprawda.

ZEDWUDZIESTU

Czego tak krzyczysz?

MOPSUS

Równouprawnienie do tego ją skłania.

MAŁGORZATKA

Tak co robiący, ten oto nicpoń spokoju mi nikaj nie daje, ino jak ten tam cień włócy się za mną i ja bym juz za niego posła, zeby go się raz pozbyć, ale kiej Srul wlaźł mi w domostwo i ni mam kaj się podziać.

KRÓL

Nic nie rozumiem.

ZEDWUDZIESTU

To jest gospodyni spod „Wesołego Karalucha”.

MAŁGORZATKA

A ino. To tak było: ze ten psiawiara korale mi raz wetknął na wypłat, a innym razem chuścinę, zal się Boze, i trzewiki nienowe, a to znowuż jubkę lisową, widzi mi się, podchodzoną, a to pieniędzyż pożyczyl na jarmark albo i odpust, które kajsić zara prec posły, a to tam raz i drugi cybuli przyniósł abo mąki, chociem go, widzi Bóg, nie prosiła; a potem to poganin krowę mi wzion i z cielakiem, i wieprzka — choć Żyd — i kury wszystkie połapał, i pierzynę — jaż ni stąd ni zowąd z bachurami za synkwias mi się kwkwatyrował, i tera nie wiada, co ze sobom zrobie.

KRÓL

Cóż ten Srul tu wszędzie, gdzie go nie posiejesz? I więcej on złego zrobi, niż ja dobrego.

STACHO

A juści. On do goziałki to i denderak miessa[!].

ZEDWUDZIESTU

Milcz, pijaku!

MAŁGORZATKA

ująwszy się pod boki

Cie wy ! Mój ty dziwny świecie! Co to: „pijaku”? Komu wy tu zadajecie pijactwo? Za swoje pieniądze on pije, nie za wasze. Swego nosa lepi patrzcie, bo wam jeszcze na ten przykład ślipie podsiniacę! (*do Króla*) Proszę jaśnie króla, ono to tak jest po sprawiedliwości: ze Srul na mojej karcmie nijak siedzieć ni ma; bo i ja tutejsa poddana, i karcma tyz tutejsemu królestwu jest należąca.

KRÓL

A to jakim sposobem?

MAŁGORZATKA

Zawdy, jak nastarse ludzie pamiętają, od gorzelni rudego Moška jaz po grusę Michałkową, wszystko to, gdzie! jeszcze za starego Zerwikaptura! — do Wólki Dzwonkowej się licyło.

KRÓL

zrywając się

A! Co ja słyszę! Własność mi zagarnięto, dziedzictwo przodków moich świetnych!

ZEDWUDZIESTU

Miłościwy panie, dawna to sprawa graniczna. Były właściciel byłego awulsu w byłym lesie należącym do byłej Wólki Dzwonkowej od dawna o ten grunt się prawował — i ten do dziś dnia pozostał sporny.

KRÓL

A więc co do mnie — z przemocą go odbiorę.

MOPSUS

Ależ, podobne rzeczy sądy rozstrzygają!

KRÓL

Toteż ja tu niniejszym sądem składam i prawomocnie słuszność sobie przyznaję.

MOPSUS

W sprawie własnej?

ZEDWUDZIESTU

Do tego jakże tu praw swoich dowodzić, skoro już nie ma Wólki Dzwonkowej, tylko Ćwieczkowice.

KRÓL

siadając zniechęcony

To prawda. Źle się zrobiło. Może by znów do Wólki powrócić, co?

MOPSUS

Niepodobna. Król omylnym być nie może.

ZEDWUDZIESTU

Przy tym o zmianie nazwy w całym państwie już obwieszczono.

KRÓL

Diabli nadali. Bo to jeszcze żeby choć Wola, ale Wólka! Strasznie to nędznie wyglądało. Zapragnąłem poszanowanie większe obudzić. Ha! Ale kiedy tak, to już nie ma innej rady, tylko wojna.

Hetman niezmiernie silnie wąsy pokręca

MAŁGORZATKA

wyskakując

O to, panie, raj! Sruł się zara okrutnie złęknie i wszystko przez prosenia odda.

STACHO

Co ty wis, głupia. Taze to nie ze Srulem wojna, ino z Zołędziakami. Ja zara idę na ochotnika.

MAŁGORZATKA

Ty, niezdarzoŃy, myślis, że cię puszę?

KRÓL

chodząc gorączkowo

Hm, tak. Sprostowanie granic, zaokrąglenie posiadłości, odwiecznego dziedzictwa chwalebne odzyskanie ...

MAŁGORZATKA

Bo i prawda. Cudze bierz, a swojego nie daj!

ZEDWUDZIESTU

Miłościwy królu, nie należy lada czyim podszeptom podawać ucha. Ta dziewczyna to ładaco.

STACHO

Cie go! Ej! stulcie ta giębe, bo me wedle prawdy pięść świrzbi.

MAŁGORZATKA

z płaczem

Jak Boga jedyne go kocham, niech mię kolki zepną! ja nieszczęśliwa sirota ...

KRÓL

Jednak słuchaj no! Powiadają, że ty po całych nocach tańczysz?

MAŁGORZATKA

Za zdrowie jaśnie króla, ale ino z huzarami.

KRÓL

Z Marchońtowymi?

MAŁGORZATKA

A jakże. I oni mi przyrzekli, jakby jaśnie król wojnę im wydał, to zara uciekną.

KRÓL

Ano. To już mamy wojsko i sprzymierzeńców. Więc nie ma co dłużej gadać, wojna!

Hetman przerażająco czuprynę sobie pociera

MOPSUS

Miłościwy panie, z tamtej strony nigdy nie było zaczepki. Spokojni sąsiedzi.

KRÓL

Tym dla nich gorzej.

ZEDWUDZIESTU

Do tego król Marchołt ma siostrę, z którą dobrze by się ożenić.

KRÓL

On jej może dać nie zechce.

MOPSUS

Można spróbować. Poselstwo należy wyprawić, to się pokaże.

KRÓL

A nuż się zgodzą? W takim razie nie byłoby wojny, a ja koniecznie chcę się wślawić świetnym jakim czynem!

SRUL

zjawiwszy się ni stąd ni zowąd

Nu, za co ni? Ja dam piniądzów na tegie wojny. Co to, ze un Marchołt? O wa! wielgie rzecy! Dłaciego jemu nie naucić rozum? Jak on nikiemu w drogie nie włazi, to właśnie do niego wolne drogie. To takie harde clo-wiek! Wun się chwali, co jego dziad ze samem królem Salomonem własnem gębiem gadał. Tfu! Co by król Salomon — po nasiemu Śłoma — takie mądre pan, miał jemu do gadania, kiej on buł, słyse, grube i spro-sne? I co to z tegie, co un ma siostrę? A bo to jeden ma siostrę? I zaraz zieby jemu się zienił? Abo to dla nasegie król takie zione? Stare panne, co jego nicht nie chce. Ja królowi lepsie znajdę, co to i z posagiem, i z wy-prawiem. A na wojnę podwodów dostawie i siano fajń, co sam król by mógł jeść, i krupów, i kase, niedrogo, zieby tak zdrów buł.

GANZMANN

A ja będzie Festung zbudowalem — i armat, i stare flinte na nowego zrobi.

MOPSUS

Miłościwy panie, pieniądze nasze zaraz na nic spadną.

SRUL

Niech mu i spadnie, to się nie potluce. Abo to mało po szwiecie papir? Kwitków można napisać, wiewa ino król zechce, a naród niech sobie miszli, co uni bzięciące monet, bo od tego policja i ziandary.

KRÓL

wahająco

Ja nie wiem. Rzeczą tę istotnie może poddać by rozwadze.

NIŻNIK

wykrzykując przez sen z rowu

Z Bożej łaski! Wiadomo czynimy!...

SRUL

za brzuch się chwytając

Aj waj! Co to buło?

STACHO

Mnie się widzi, coś spod ziemi gadało.

KTÓRYŚ Z TUZÓW

A ja słyszałem, jakby z obłoków.

GĄSKA

Ee, to chyba wyrocznia.

SRUL

Of majne munes, to takie już z nieba samego rozkazanie, co koniecznie wojnę tseiba zrobić! Widać Pan Buk najwyższy tegie sobie zici. Bardzo źle jemu nie usłuchać.

KRÓL

A no. To już nie słucham niczyjego gadania. Wojna i koniec! (*Hetman przechadza się, nader zgubnie szablą powłócząc*) Przede wszystkim wypada jenerałów mianować.

TUZOWIE

My wszyscy gotowi być jenerałami.

KRÓL

Bardzo waszą gorliwość chwale. Z uwagi jednak, że mogłoby was być za dużo, a znowu z drugiej strony, żeście wszyscy jednakowo lepsi, niech los ślepy pomiędzy wami rozstrzyga. (*do Stacha*) Hej! chodź no ty tu, jak cię tam! Ciebie, jako jedyne go wpośród nas bezstronnego działacza, robię narzędziem w rękę przeznaczenia. Wybieraj stosownie do twojej woli!

STACHO

do Tuzów

Kiedy tak, to ustawcie się ta sieregim, jak żołnirze. Na kogo wypadnie, jak wam powiem „won”, ten niech zara idzie prec, rozumiecie?

Tuzy szykują się rzędem. Stacho przechodzi przed nimi, każdego dotykając palcem, w miarę jak mówi:

En — hen — mięta — wrzos!
 Wi — wi — pięta — nos!
 Kałwa — kata
 Pika — tyka
 Wozi — woda
 Won!

jeden z Tuzów precz odchodzi, mrużąc

DRUDZY

E, jak on tak będzie robił, to za każdym razem któryś z nas precz odejdzie. My podobnego jeneralstwa nie chcemy.

STACHO

No to na inny sposób.

znowu ich palcem przechodzi

Ele — Ele — menty
 Loko — Loko — Centy
 Kara — Kara — Budy
 Ciągnie — baba — dudy
 Erkum — cirkum — weg
 Zjadła wrona ...

GASKA

nos sobie zatykając

Pfe! Co też ty wygadujesz! Nieprzyzwoity człowiek, źle wychowany! Ty najpierwszy idź precz!

wychodzi

ZEDWUDZIESTU

Miłościwy królu, niezadowolenie powszechne, szemranie.

MOPSUS

Mogą z tego wyniknąć złe dla państwa skutki.

GANZMANN

Ja, ja, Umsturz, Revolution.

SRUL

Woni gotowe gozielnie podpalić.

KRÓL

do Tuzów

A no, to wszyscy bądźcie jenerałami aż do dalszego mego rozporządzenia. Tylko mi się zwijać, żeby już wieczorem każdy był w gotowości. Szable

wcześnie z pochw powyciągać, żeby mi potem nie było bezowocnego mocowania. Ostrogi przy piętach macie?

ZEDWUDZIESTU

A jakże! Nawet i ten, co od marynarki, i co od akcyzy i loterii, i co jest dyrektorem Ogrodu Botanicznego, i co opiekunem żeńskich zakładów, i co przełożony nad duchowieństwem.

KRÓL

No to dobrze. Pamiętajcie hasło: „Za uwielbianego monarchę i miłą ojczyznę”!

wychodzi

HETMAN

grobowym głosem do Ganzmanna

Powiedz mi natychmiast: Brzmi chrząszcz w trzcinie.

po czym nie narażając się na jego nieposłuszeństwo czym prędzej także wychodzi

Godnym podziwu sposobem z tego, co wprzód było, robi się z nagła komnata w pałacu króla Marchołta. Wchodzi tam królowna Febronia, cokolwiek do Fausta podobna. Jest już po zachodzie słońca i coraz mocniej się ściemnia.

FEBRONIA

Wszystkiego się uczyłam: kroju, kapeluszy i nauk przyrodniczych, malowania na porcelanie i buchalterii, wyklejania pudełek i wyższej matematyki, zgłębiłam całą fizjologię, biologię i socjologię... — do czegoż mię doprowadziła ta zawzięta żądza wiedzy? Do zaniedbania sobie paznokci i pogardy proszku ryżowego. Prawda, nie mam już teraz ani przesądów mydła, ani zabobonu sznurówki, nie boję się ani chemii, ani ekonomii politycznej, ale te wszystkie korzyści opłaciłam staropanieństwem i niepójściem za męża. Jest tu wprawdzie niejaki Pamfil Czerwienny, szambelan mego brata, chłopak miły, znacznie ode mnie młodszy, i nawet hrabia — choć podobno tylko galicyjski — i ja go nawet niby kocham, ale za niego nie pójdę. Bo jakże? Na spiżarni się nie znam, do kuchni zaglądać nie cierpię, dojenia krów nienawidzę, wolałabym umrzeć, niż chodzić do karmnika, a o kurach słyszeć nie chcę nawet. Lubię rozkazywać, ludźmi trząść, państwami rządzić. Na nieszczęście mój brat nie da się za nos wodzić, człowiek zacofany, biologicznie zdrętwiały, niezaradny, duchowi czasu spreczny...

wchodzi hrabia Pamfil i zaraz klęka na oba kolana

PAMFIL

Pani, od dawna szukałem sposobności pomówienia z tobą sam na sam. Kocham cię, pani, i błagam — chciej być moją.

FEBRONIA

Z tego nic nie będzie, boś pan idealista.

PAMFIL

Już nie jestem. Posłuchaj, pani, w jaki sposób się to stało. W świeżo napisanej poezji, w której na cześć twoją wjeżdżałem w przyszłość na uraganie — z czego obiecywałem sobie niemalą w oczach twych zasługę — dodano do *a* ogonek i zrobiło się z tego *uraganie*. W studium archeologicznym o wieku żelaznym zamiast *wiek* wszędzie mi *wilk* wydrukowano. Nareszcie w pewnej rozprawie głęboko filozoficznej zamiast *abstrakcja* wydrukowano mi *obstrukcja*. Nie, tak dłużej pozostać nie może. Łuska wzrok mi oswobodziła. Widzę teraz jasno, że poezja jest tylko ślamazarstwem kłamliwym, przeszłość cała bajką nieśtrawną, metafizyka zaś ztwardzeniem wolnego umysłu. Oto moje najświeższe wiary wyznanie...

wchodzi Marfissa, kralka żółędna, znakomita dama

MARFISSA

Któż tu śmie o wierze jakiejs prawić? Dwa a dwa cztery jedyną są wiarą, drobnowidz zaś i analiza jedynym tejeż wyznaniem.

zrywa się na to Pamfil i wybiega zawstydzony, mając mocno potargane włosy

FEBRONIA

Życie sobie gotów odebrać.

MARFISSA

Cóż to jest życie? To tylko zbiór zjawisk charakteryzujących mechanizm w ruchu. Cóż to jest śmierć? To tylko przemiana materii.

FEBRONIA

Ależ przecię nie mogę starą panną zostać!

MARFISSA

A, tak. Obowiązek w zakresie przedłużenia gatunku. W takim razie staraj się, pani, zyskać rękę króla Ćwieczka.

FEBRONIA

Bardzo bym sobie życzyła. Znacznie młodszy i jeszcze głupszy od Pamfila.

MARFISSA

Chcesz pani powiedzieć, że mniej od tamtego fizjologicznie naprzód posunięty oraz mający w mózgu mniejszy fosforu stosunek.

FEBRONIA

Tak, i nawet Srul mi go stręczył; cóż, kiedy za faktorne żądał, żeby go mój brat baronem zrobił, sam zaś nie chciał sobie pejsów obciąć.

MARFISSA

Brat pani pojęcia nie ma o tym, co to jest system nerwowy w równowadze utrzymywać. Owszem, podnieca go w sobie do stanu drażliwości, którego z trzeźwym poglądem pogodzić nie sposób. W takim razie radziłabym Pamfila w odwodzie trzymać, dopóki się nie znajdzie ktoś od niego korzystniejszy.

wchodzi Kolka, pokojówka, bardzo wystraszona

KOLKA

Proszę panienki, widać na niebie komętę, to pewnie wojna będzie!

MARFISSA

Naucz się, moja kochana, że naprzód nieba żadnego nie ma. To, co wygląda takie szafirowe, to tylko barwa powietrzna, czyli raczej pęcherzyki pary wodnej, nawet podobno już nie pęcherzyki... Wojna zaś jest po prostu fenomenem socjologicznym, który z komętą nie ma nic wspólnego. Bo kometa to takie ciało włączące się po niebie...

KOLKA

Jakie ciało? Widział kto kiedy takie ciało? Przez ręków i nogów? Cóż to, ja ciała nie znam? Et, co mi tam panienka próżno głowę zawraca!

wychodzi rozgniewana

MARFISSA

Przygniotłam ją moją wiedzą, spłaszczyłam jak placek — wprawdzie zalkalcowaty — tę nicość umysłową, tę niepoczytalną bakterię, tę zaledwie wykształconą komórkę... Ale o wojnie paplała. Nie lubię strzelania jako rzeczy niepokojących umysł.

FEBRONIA

I ta kometa! Czegoś mi się dreszcz po kościach przechadza.

MARFISSA

zaniepokojona

Ale bo każ, pani, wnieść światło. Toćże przecię Gete⁴⁹ nawet umierając...
(do siebie) W imię Ojca i Syna! Skądże mi znowu o nieboszczykach...?
(głośno) Doprawdy, wierz mi, pani, nie boję się ciemności, ale przecię
 nerwy mają swoje prawa niewzruszone... *(chce wyjść uroczyście, a wtem
 cofa się bardzo powszednio)* Aj! co to jest? Jezus, Maria! Zdawało mi się,
 że tam coś białego stoi...

FEBRONIA

łapiąc ją za suknię

Może Gete? Bój się Boga!

MARFISSA

wołając

Kolka, proszę cię na miłość Boską, odprowadź mię do mojego pokoju!

FEBRONIA

O! ja także za nic sama nie zostanę!

szybko wybiega, trzymając się Kolki obiema rękami

*Całkiem po czarodziejsku z komnaty pomienionej robi się z nagła ogród
 warzywny Króla Marchołta. Wchodzą tam ostrożnie Jenerałowie Dzwon-
 kowi, za nimi z tyłu Hetman, a za jego plecami Srul, trzymając się go
 za poły. Mopsus przygląda się temu spoza plotu.*

JENERAŁOWIE

- No, idź ty przodem!
- Nie. Ty prowadź, boś starszy wiekiem.
- On niech pokaże, co umie, bo ma order.
- Z tobą król dziś osobiście gadał.
- Ja z was najpóźniej mianowany.

SRUL

ochryplym głosem

Idźcie w kupie! Tu wścistkie równe.

STACHO

*wyrywając się naprzód*No, to ja pójdę. *(krzycząc ogromnie)* Za mną, kto w Boga wierzy!

⁴⁹ Właściwie J. W. Goethe. Niby fonetyczna pisownia nazwiska poety może zja-
 wiła się celowo, ilustrując płytką erudycję emancypantki, operującej znanymi powie-
 dzeniami, jak w tym wypadku słowa umierającego poety: „Mehr Licht”, więcej
 światła. Poprzedni monolog królowny Febronii był parodią monologu Fausta, rozpo-
 czynającego I część tragedii. Zresztą Faleński w scenie 8 zupełnie poprawnie podał
 nazwisko Broughama, a Hercena też celowo przeinaczył.

MOPSUS

Ha! ha! w Boga! Na gwałt ludowi oświaty trzeba, zawsze to powiadam.

SRUL

łapiąc się za brzuch

Aj waj! Uni tam stoją w kapielusiu i z rozciapirzionem ręką.
ucieka, Jeneratowie i Hetman za nim

MOPSUS

Wykształceni ludzie! Żaden z nich w Boga nie chce wierzyć. Z nimi trzymam. (*ma się ku odwrotowi, a wtem spojrzawszy w ciemności*) W imię Ojca i Syna! co to jest? Widmo jakieś nadprzyrodzone! Aj! gwałtu! ratujcie, kto w Boga wierzy!

pada plackiem w rów

STACHO

oglądając się wokoło

Bodaj was wszystkich kolka sparła... Tfu! A taże to przecie strach na ptaki! Czego tu się bać?

wchodzi Kolka

KOLKA

Co to za wrzask po nocy? Czego tu chcecie?

STACHO

A to przyszłiśwa zawojować wasze królestwo. Abo nam dacie królową, żeby się z nami ożeniła, abo, jak nie, to chodźcie zara oto w niewolę.

MAŁGORZATKA

wpadając

To to taka twoja wojna, ty, zbereźniku? Z panną ty tu będziesz mądrowania wyprawiał? (*daje mu w kark pięścią i wypycha precz — Kolka tymczasem ucieka — Małgorzatka ogląda się markotna*). Kajsic mi się znowu ten psiawiara zapodzia! Skaranie Boskie! A tu Srul, jak wlażł w moje pierzyny, tak tam i siedzi. Otóż tobie wojna! Juz ja chyba sama sobie poradzę.

wychodzi

KSIĘŻYC NA NIEBIE

spluwając

Głupia ta ziemia, żal się Boże! I to od takiej ani się odczepić... (*do Komety*) Słuchaj no, czy to na wszystkich planetach tak samo?

Nie uważałam.

KOMETA

Nawet przez ciekawość?

KSIĘŻYC

Ja tam przed siebie tylko patrzę.

KOMETA

Zeby się nie potknąć? Rozumiem. Ja tak samo. Ale znów nie bez tego, zebym się wkoło siebie nie rozglądał.

KSIĘŻYC

A to na co?

KOMETA

Zeby się czego nauczyć.

KSIĘŻYC

Nauka wypowiedziała już ostatnie słowo. Są takie źródła życiodawcze, z których, choćbyś pił najzapamiętałej, zawsze będziesz trzeźwym.

KOMETA

Jak to? Ale, czekaj no ...

KSIĘŻYC

E, daj mi tam święty spokój. Nie mam czasu.

KOMETA

A cóż cię tak na złamanie karku, nie wiedzieć nawet dokąd, pędzi?

KSIĘŻYC

Siła i ruch.

KOMETA

To znaczy — bez twej urazy — że ci silnie kiedyś w kark dano. Więc mus — ani słowa. Ależ w tej czczości wokoło ciebie coś ci przecię osłoda czy pociechą bywa?

KSIĘŻYC

Nic innego jak tylko zadowolenie szlchetnego egoizmu oraz dobrze zrozumianego interesu spełnienie.

KOMETA

A — tak? Hm! W takim razie, słuchaj no jeszcze, bo to nie wiadomo, jedni mówią o tobie „ten kometa”, drudzy „ta kometa”. A ty jakiegożes właściwie rodzaju?

KOMETA

Nijakiego, nijakiego. Pisz na Berdyczów. (*leci dalej, mrucząc pod nosem*)
Nudne bydłę. Gadatliwy — a blady, bezkrwisty, ślamazarny, zwyczajnie
zachowawca, zacofaniec! Może w dodatku poeta?

KSIEŻYC

Poleciała. Pal ją diabli! Zadyszana, zziąjana. I to się u nich postępem
nazywa! (*oczy mu się kleją*) Głupie życie! Od ziemi ani się urwać. Żeby
choć około własnej osi, jak drudzy, móc tańczyć. Ale tu — wiecznie jedno
i to samo. Nudne życie.

zawija się w chmurę i zasypia

*Równie dziwnym, jak już nieraz bywało, sposobem z owego sadu wa-
rzywnego robi się droga prowadząca jak strzelił ku gospodarce pod „We-
sołym Karaluchem”. Idzie nią Stacho podchmielony pod rękę z Hetmanem.*

STACHO

Miałem matkę figuratkę, ojca figurasa,
Kupili mi kobylinę za putora grosa.
Wsiadłem na nią tuz przy płocie,
Ona mi się taza w błocie.
Ja za ogon, ja za usy,
A ta mi się w palcach krusy.
Więc z frasonku w łeb się skrobię;
Pójdę innej sukać sobie.
Przychodzę do karcmy, chłopci w karty grają,
A ja im mówię: — nie tak zadają! —
Ten mię za łeb, ten mię w ucho,
Ten mię pukwatyrkiem w brzucho.
Wyleciałem jak strasydło,
Gdzie pastusi paśli bydło.
A tam cielak jak mi skocy
Nierogaty — prosto w ocy! ...

HETMAN

obcesowo

Powiedz mi trzy razy raz po raz, tylko szybko: wpadł ptak w dół —
wpadł ptak w dół — wpadł ptak w dół.

STACHO

bełkocąc

Pa — pa du. E, idźcie wy sobie do grzycha. Taze tam widzi mi się karcma
nasa gore. (*zawijając rękawy*) Hej! wiadra! bosaków! A no, do studni,
chłopacy! zara my temu damy radę!

MAŁGORZATKA

Ani mi się waz! To ja podpaliła.

Hetman roztropnie na bok się usuwa, wskutek czego Stacho pada

SRUL

wylatując z karczmy

Tera ja na całe Ćwieckowice pon! Juz mi nicht nie będzie w poblizkości synkował.

MAŁGORZATKA

krzycząc w niebogłoty

O! la Boga! O! la Boga! O! ja nieszczęśliwa! A taze to było moje własne! (*targając Stacha*) Wstawaj, bydlaku! Bedzies ty, poganinie, moją majątność z dymem puscał?

STACHO

Skrećilo się dziwcysko na ten przykład, jak i drudzy. Raz nie ratuj, to znów ratuj, to się bij, to się bój, to idź prec, to z doliwką nie przymierzając, to znowuj niepełno, diabol tam dojdzie ładu! I co rus, to jakiś nowy król do rozkazowania. A ja pojedam: ze wszyckich tych tam królów Zyd jucha ino jeden mądry ...

zasypia

Niedocieczonym dotąd cudem paląca się gospoda ze wszystkim gdzie się zapodziewa, a za to zjawia się wewnątrz izby Mopsusa.

MOPSUS

ponurym wzrokiem patrząc w okno

Wszystko przepadło! Wokoło klęski same! Widnokrąg zewsząd pożarami zakrwawiony, zgrzyt trzaskających państwa zrębów, bezmyślne rzezie, bezkorzystne rabunki! Cóż za tym? Postęp na całe lata wstrzymany, jeśli nawet nie cofnięty. Gdyż zanim się opamięta osłupiały przemysł, struchlały handel, oszołomione rolnictwo — skarb tymczasem sromotną golizną wszystkich dobrze myślących zgorszy. Cóż tedy uczynię? Mamże się, jak pierwszy lepszy osioł, do nieskończoności co dzień ubierać i rozbiierać? Niepotrzebnie co rano myć się? Nie wiedzieć po co czesać? Albo wieczorem kłaść się spać na to tylko, żeby buty wkładać nazajutrz? Nie, dość już tego! Umrzeć w porę — mędrca to rzecz. (*biorąc flaszczkę z trucizną*) Twojej ja się skutecznej powierzam opiece, o! ty wielce zjadliwy KCy, któryś powstał z rozpalonego do czerwoności żelazocyjanku potasu wylugowanego alkoholem wrzącym. Ten ostatni, odparowany w próżni, opuścił cię tchórzliwie, a tyś się skryształizował w sześciany zawzięte, których żaden żywy żołądek bezkarnie strawić nie zdoła. W tobie

ufanie moje, ty mię jak najszybciej do pożądanej doprowadź nirwany!
(zbliża do ust flaszczykę i cofa ją) Aj! Ale od tego pewnie brzuch ogrom-
nie boli...

GĄSKA

za oknem

Niech was diabli pochwyć! niech was piorun spali!
Albo wreszcie gęś kopnie! czy też kwoka dziobnie!
Zaiste, że tak powiem, to jest, i tam dalej,
Cóż ja widzę? Niestety! Ach! I tym podobnie.

MOPSUS

O kim się wyrażasz tak frasobliwie?

GĄSKA

Niespodzianka! Rzecz ledwie do uwierzenia dla umysłów zwątpiałych!

MOPSUS

Cóż takiego?

GĄSKA

Tamci uciekli.

MOPSUS

Jacy tamci?

GĄSKA

No, ci, za którymi się zakurzyło.

MOPSUS

Ach! wiem. Niestety — nasi!

GĄSKA

Ano tak, nasi. Choć dotąd niezupełnie byli nasi.

MOPSUS

Czy nie zechciałbyś rozsądniej rzecz tę wyłożyć?

GĄSKA

O! czemu nie? Ja i to potrafię.

Zbici jak stłuczone jajo,
Niewymownym strachem drgają,
I w upokorzeniu najo-
Kropniej się na łaskę zdają,
I z znakomości krajo-
Wych poselstwo wysyłają,

I z królowy liczną zgrają
Pod nasz zamek się zbliżają.

MOPSUS

Do diabła, mości Gąsko, mów jaśniej, bo nic nie rozumiem!

GĄSKA

Król z radości dał mi dukata. To jest, niezupełnie dał, tylko dopiero obiecał.

MOPSUS

A — dukata? To dobrze. Zaraz tam przyjdę.

GĄSKA

No, proszę. Koniec końcem rozmówiliśmy się tak, jak na ludzi wcale ukształconych przystało.

Kto by rzekł i zełgał razem,
Że od mędrca mędrszy błazen,
Pięścią bym mu w kark dał, tudzież
Jak psu rzekłbym mu: — a pójdziesz!
odchodzi

MOPSUS

pociera sobie czoło

„Weź atom złota i takowy trzej przez godzinę ze stoma atomami cukru mlecznego, dalej z tej mieszaniny atom znów ze stoma atomami cukru — i tak następnie, aż dopóki nie otrzymasz tym sposobem kwadrylionowej cząstki atomu porządnie ocukrzonego złota; wtedy dość będzie z ostatniego rozcieńczenia wziąć tylko pył jeden, wpuścić go do flaszeczki i dać powąchać przez błysk oka hypokondrykowi, u którego zniechęcenie do życia przeszło już w myśl samobójstwa, ażeby tenże natychmiast ocknął się jak ze snu i na powrót nabrał szalonego do życia pociągu”. Oto co mówi przeze mnie w tej chwili *Organon* Hahnemanna⁵⁰ w paragrafie, jeśli się nie mylę, trzechsetnym piątym.

wącha z flaszeczki i w oka mgnieniu przestaje myśleć o Nirwanie

Ni stąd ni zowąd robi się dzień, w tym zaś dniu to, co wprzód było, niedocieczonym sposobem przetwarza się w błonie tuż przed zamkiem króla

⁵⁰ *Organon der rationellen Heilkunde* Samuela Hahnemanna (1755—1843), niemieckiego lekarza, twórcy homeopatii, tj. leczenia minimalnymi dawkami środków wywołujących reakcje podobne do objawów choroby.

Cwiczka. Wjeżdża tam na koniu królowna Febronia, z nią Marfissa, szambelan Pamfil, kanclerz Grzmilas oraz liczny orszak Marchońtowych dworzan.

GRZMILAS

dmie w trąbę, ale głos nie wychodzi

GĄSKA

Słuchamy! Słuchamy!

GRZMILAS

*Mysz widać wlaźła. Żeby ją diabli!
rzuca trąbę*

GĄSKA

zwinąwszy dłoń w kułak

Tratatata! Cóż dalej?

GRZMILAS

poprawiając się na siodle

W imieniu najmiłościwszego mego pana Marchońta Setnego Pierwszego, na Przelaju, Obcesowie, Okólniku Mniejszym i Większym oraz Wiatraków Górze i Wygonie z przyległościami dziedzicznego z Bożej łaski samowładcy (obcierając sobie oczy) z boleścią za zwyciężonych się uznając (Jenerałowie szturgają się łokciami, Hetman zgubnie sobie czuprynę najeża), niniejszym tę oto królownę naszą ukochaną, o którą jako niegdyś o Helenę... (zatrzymuje się) do diabła! zapomniałem, jak to tam dalej ...

MARFISSA

podpowiadając

W Troi ...

GRZMILAS

obrażony

Co znowu? Nic mi się nie troi. To dopiero! Przecież król tak kazał! A! już wiem ... ukochaną, jedyny skarb nasz, o którą jako niegdyś ...

MARFISSA

podpowiadając

No, z rozdartym sercem ...

GRZMILAS

A! Z rozdartym sercem ...

MARFISSA

Tu powinienes był rękę sobie na sercu położyć.

GRZMILAS

A — tak... Za żonę wam dajemy (*chwytą się za serce*) — to jest, królowi, chcę mówić. Bo że tego — jakże tam — a!... niech się dłużej krew niewinna nie przelewa.

kłania się

MARFISSA

Kiedy to nie tu, ośle, tylko na samym końcu dopiero.

GRZMILAS

A! i to jeszcze, że ona dostanie — dobrze mówię — wyprawę okazałą, daję słowo. Tymczasem zaś dla pośpiechu ten oto koń, co siedzi na niej — na nim, i to, co ma na sobie — ona ...

GAŚKA

I wszystko także, co pod spodem, jest jej niezaprzeczoną własnością, wszakże tak?

GRZMILAS

Kiedy bo ciągle przerywacie!

KRÓL

Nie uważaj na niego! On sam nie wie, co gada.

GRZMILAS

Bo i prawda. Ale ja nie mam już nic więcej do powiedzenia.

KRÓL

To dobrze. Bardzo się cieszę.

GAŚKA

O! i ja także.

Zdaje wam się, że może to, co słyszeliście,
Wygłosił wiatru tchnieniem pęcherz wskrós przekłuty?
Gdzieniegdzie, bez wątpienia, wprawdzie, oczywiście.
Jakkolwiek, nie inaczej, jeszcze, już, dopóty.

GANZMANN

wykrzykując

Aber nek szyje die grosse Königin!

KRÓL

do Kanclerza

Posuniesz go jeszcze o jeden stopień wyżej. Dasz mu nawet może szlachectwo, ale osobiste, uważasz? (*do swoich*) Cóż wy na to?

ZEDWUDZIESTU

Jeszcze niestara i nawet niezupełnie brzydka.

KRÓL

A, tak. No i zwyciężyliśmy ku chwale wiekopomnej! Patataj, odpowiedz posłowi w sposób przyzwoity!

PATATAJ

Bez przygotowania, to tego ...

GĄSKA

Więc choćby w sposób mniej przyzwoity. Zaczynj od roz-ten, a skończ na prze-tego.

PATATAJ

odchrząknąwszy

Szanowni słuchacze! Czcigodne powyższych zasad w nieprzerwanym ciągu międzynarodowych zobowiązań zastosowanie skłania nas uznać wysoki dowód zobopólnego pomiędzy nami na przyszłość równie jak dotąd stosunku jako istotne posłannictwo we współudziale pomienionych przedstawień, zastrzegamy sobie wszakże w danym czasie i miejscu na odpowiednim wynadgodzeniu opartą zysków niewątpliwych wymianę, z nieodzownym teje zniszczeniem i podparciem — poparciem (*obciera sobie czoło z potu*). W razie zaś gdyby, czego nie przypuszczam, bo prawdę powiedziawszy, z drugiej strony ... cóżem chciał mówić ...

namyśla się

GĄSKA

O! co słyszę? I owszem. Ciągłe w cwał. Któż zdoła?
Jakkolwiek, tak czy owak, stamtąd, mój asindziej,
Tym bardziej, jeśli kiedy albo może zgoła,
Arcynader, nadzwyczaj, równie kiedy indziej.

KRÓL

A do budy! (*Gaska wlatzi pod ławę*) No, jednym słowem, bądź pani pozdrowiona w dziedzictwie przodków moich świetnych (*pomaga Febronii zsiąść z konia, Pamfil podaje jej rękę z drugiej strony*). Powiedz mi, pani: czy to przypadkiem nie twój kochanek ten jegomość?

Ur

MARFISSA

O! Broń Boże!

FEBRONIA

A ty skąd wiesz?

MAŁGORZATKA

wpadając z płaczem

Ojejej! Ojejej! O ja utrapiona sirota! Calusieńka karcma mi się het spaliła!

KRÓL

Cicho bądź! Jak odbiorę koszta wojenne, zaraz ci nową postawię.

FEBRONIA

do króla

Czy ona nie jest przypadkiem pańską kochanką?

ZEDWUDZIESTU

Ach! Boże uchowaj!

KRÓL

A ty skąd wiesz?

HETMAN

Skrzypią skrzydły trzy pstre strzygi...

SRUL

wchodząc bardzo okazale

Nu, a ja tera baron. Już mi nikt nie będzie od Zidów wimiślował.

GASKA

spod ławy

O! jak Boga kocham! A mnie się przecie order należy, daję słowo...

Nie wiadomo, czy dostał order, bo z nagłą obrywa się zasłona i zapada czyniąc znaczną kurzawę a oraz pogrążając wszystko w niepamięci. Na to, nie wiedząc o niczym, wchodzi mędrzec Mopsus w chwalebnej chęci poparcia zasady jedynowładztwa niczym nie zbitymi dowodami. Tedy szkoda się niewymowna stała, miał bowiem ku temu w ręku całkowity jeszcze rękopis niezmiernie w czasie już owym rzadkiego pamiętnika, na którego wydanie nakładcy znaleźć nie mogąc, takowy nieopatrznie potem trzymał w skrzyni na strychu, kędy go dosyć pilnie myszy podjadły. W przewidzeniu tedy powtórzenia się raz jeszcze podobnego z nakładcą i z myszami wypadku pospieszamy nie dogryzione szczątki wykształconym czytelnikom co prędzej ku rozwadze przedstawić, a to mianowicie w sposób następujący: „Ułamki księgi sławnego na świat cały w okresie miocenicznym (ba! ba! porządnie dawne to czasy!) mędrca Karakakoa, syna Pęc-paca, wnuka Abecedego”.

Z rozdziału XXIII

10. I rzekł mu (nie jest wiadomo: kto i komu?): „Ty masz jeno zęby i pięście, po prawdzie nie bez pazurów, a wszakoż iż ja pałkę mam, przeto idź precz z jaskini twej! ...
19. A też skórę niedźwiedziową z grzbietu twego daj mi i nie mieszkając hienę dla mnie zabij, abym ją jadł... (dziś hieny ludzi jadają — inne zwyczaję.)

Z rozdziału XXVIII

3. Rzekł tamten (jakiś inny): Ty masz jeno pałkę, a ja obuch krzemien-ny, a tedy służ mi i u mnie w niewolstwie bądź, a z tobą żona twoja i dzieci...
15. A ten zasię (jeszcze jakiś inny) z łuku wypuszczał strzelanie dziurawiające i nie wiadomo było, skąd, kiedy i jak on to działał.
16. A tak wszyscy go się ulękli, którzy za całe obronienie obuchy jeno mieli; i nie mieszkając królem go swoim wyznawali.

Z rozdziału XXXI

7. A ten się zwał Jedendwatrzy (widocznie czasy się wyjaśniają) i byli mu poddani wszyscy, co siedzą pomiędzy Wielką Górą a drugą Wielką Górą (kto tam dziś dojdzie, o jakich wielkościach tu mowa). A nie tylko oni, ale...
10. I siał do niego ... (nazwisko wygryzione), a ten trzody mamutów liczne miał i tymi drugie ludzic wojował —
13. Tak mu rzecze, iż jest sprośne dopuszczenie takiemu Bogu się kłaniać, który wygląda jako pazur na niebie; a iż taki jeno Bogiem jest,
14. Który za górami ryczy (pokazało się potem, że on nie ryczy, jeno wyje), a któren pazury rąk swoich nie na niebie ma.

Z rozdziału LV

1. Tedy zasię przemożny Abecede, usiadłszy na stolcu swoich ojców, prawa mądre ładał, a te były:
5. Także nie będziesz jadał, jedno to, co byś u mnie kupił; gwoli zaś kupczenia,

6. Ta oto skorupa ślimacza za jedno ma być ze skórą niedźwiedziową albo dziesięcioma lisimi — i te jeno w moim skarbcu być mają; a zaś się zajęcze i królicze wy sobie miejcie.
7. I masz krzemienie obcieszować dla mnie jednego, inaczej gardło dasz.
8. A wy drudzy za mnie się bijcie, a co bądź porwiecie drugiemu, moje jest.
9. Ktemu też nie będziesz wierzył, jako Bogiem jest on, co wypluwa z góry kamienie gorejące i siarczaność dymu, a także parę powietrzną,
10. Jedno ten, co po chmurach jeździ z turkotem, a bicz zasię w prawicy jego z błyskawic uczyniony.
11. Jemu jednemu kłaniać się masz, jeśli żyw z mej ręki być żądasz...

72. I stało się czasy onymi, a oto rozmiłował się król w białogłowie nie-której, imieniem Eefgehai.
73. A ta była gładka na wejrzenie, brwi mająca udziałane ze smolnego kopcia, a zaś rumianość ze krwi kurczęcej.
74. Wargi też ... (wygryzione), a podsiniałość oczu z soku ziela... (trudno wyczytać, jakiego).
75. A na głowie swej mająca niemało końskiego włosienia, a też białość tej niewiasty z czystej krydy była. A Kaeleł miał ją za żonę.
76. Ten zasię, iż siła zbyt kował, przyszli tacy, co mu pożyczali i pobrali za jednego woła wołów dziesięć, a za jedno kozłę pięćdziesiąt i więcej, i zdarli nawet łapcie z nóg jego, tak że w końcu stał się goły.
77. U którego bardzo się weselono, bywało. Emenope, wyjadłszy z kości szpik wszystkich i w niej dziury podziaławszy, trefnie w nią dmuchał.
78. A też na czerepie żółwiowym kiszki ponawięzywawszy nad podziw na nich skrzypiał, ktemu jeszcze na Ammonicie kolistym wdzięcznie rycząc.
79. A Eresteuwu słowa gadane tak jakoś końcami ze sobą plątał, iż były niby z innej mowy niżli ta, co się co dzień mówi.
80. Którego drudzy, co tego nie umieli, ślamazarnym zwali, a on nie był ślamazarny.
81. Bo raz, owszem, dał w gębę takiemu, co mu to gadał, i ów zaraz zaniechał onego gadania.

Z rozdziału CXII

29. ... i dobrze się działo. Aż ono przyszli z za morza ...

32. A wódz ich Zetzetziet (dziwne nazwiska się wtedy trafiały!) podługowatą jako jajo głowę miał i zdyszany był wielce, przeto iż ciągle rad był naprzód iść.

33. ... Na Mastodoncie siedząc obwieszonym brzękadły Pterodaktyla zaś się ku łowom przyuczonego na pięści trzymał.
34. Który rzekł: ... (zapewne wódz, nie zaś Pterodaktyl)...
-
38. I spytał Abecede: — Jakim prawem żądasz, abym ci sługą był? —
39. Powiedział mu tamten: — Przeto iżem jest Dolichocefal. —
40. A ten mu zasię: — Idź do licha — ...

W dalszym ciągu same tu już tylko oderwane wyrazy, jak: Bodajś sto diabłów zjadł! ... Bodaj cię choroba! ... Bodajes pękł! ... Niedoczekanie twoje! ... Na psa urok! ... Ty niedociągnięty szubieniczniku! ... Ty, splukany facecie! ... Ty niedoprany rakarzu! — i tym podobnie, słowem, obraza boska. Widocznie ludzkość się psuje, a z nią i język coraz mniej powściągliwym się staje.*

Tyle jest słów mędrca Karakakoa, nie dojezdzonych przez głupstwo mysie.

Soli Deo gloria ·

**Na szczęście, ale to dopiero aż na początku wieku XX ery chrześcijańskiej, doczekać się można następującego pocieszenia:*

„Nowoje Wremia”, zaznaczywszy fakt zdobycia Pekinu, artykuł swój tymi kończy słowy: „Rząd chiński, jak mówią, opuścił Pekin jeszcze przed jego szturmem i przeniósł się do Siuan-Fu. Okoliczność ta nie zmienia stanu rzeczy. Dla wojsk rosyjskich, postępujących stale według przykazania miłości bliźniego, które zawsze od niepamiętnych czasów stanowiło ich sławę, operacje na arenie peczylijskiej skończyły się”⁵¹.

27

· *Opowiadanie Lucjana.*

Lucjan w kopalni nerczyńskiej obsunąwszy się ze skały wpadł w przepaść, ale się nie zabił. (Nie wiadomo, czy był wtedy przy zdrowych zmysłach — może nawet niekoniecznie⁵².)

⁵¹ Przypisek, do którego odsyła czytelnika gwiazdka, postawiony przy końcu opowieści, jest znacznie późniejszy niż czystopis, widać to po ciemniejszym atramencie. Druga część przypisku to nie zidentyfikowany wycinek zapewne z „Kuriera Warszawskiego” odnoszący się do interwencji państw europejskich, w tym carskiej Rosji, podczas powstania Bokserów w Chinach w r. 1900.

⁵² Uwaga zawarta w nawiasie została dopisana na karcie 60 verso, tekst zaś opowieści rozpoczyna się na karcie następnej recto.

— ... Tedy wiecie już, jak mi się pod nogami skalny zrąb oberwał i jak z nim razem runąłem w przepaść, w której mię znaleziono i na powrót życiu oddano. A oto teraz dowiedzcie się, czegom doświadczył w powietrzu lecąc.

Wzięła mię Lilia za rękę i powiada:

— Chodź ze mną w górę, ku Szczęścia Siedzibie, stamtąd wprost widok na Obiecaną Ziemię. Ufaj mi, odejmę cię Niedoli. Nie nadaży ona za nami, bo to staruszka, która już zgrzybiała się narodziła przy światła tworzeniu i tylko w bezsilności waszej nieporuszona jej siła. Ale znajdzie się i ona tam, dokąd zmierzamy, nie prędzej wszakoż aż na Śmierci pogrzebie; bo jej wtedy u ramion skrzydła dawne wrócą, jako że niegdyś również archaniołem była, ale z takich, które upadły na duchu, kiedy się zdawało, że szatan zdolny być może nad Stwórcą swoim przewagę zdobyć. Na dole ona pokutę jak i drudzy spełnia, a jest jej zadaniem w sposób niemy ostrzegać tych, co się w drogę ku Obiecanej Ziemi wybrali: że dobrze by im było myślał nawet nie wracać do tego, co zostawili doma.

Szliśmy.

W duszy wiosnę miałem i czułem w sobie wolę zdolną świat cały ze mną zespolić. Zapadłe knieje, bezdenne przepaście, zawrotne szczyty, lodozwały, rwiste potoki, ciernie i gołoledzie pod stopami, nawałnice nad głową, wichry w oczy, szrony w twarz i zamiecie z piasków palących — o! i owszem, nic mi nie było trudnym do przebycia!

O południu uczułem się już mężem dojrzałym — i oto chłód rozważli duszę mi studzić począł.

— Dlaczegoś spojrział poza siebie? — spytała.

Nie umiałem jej odpowiedzieć, ale pomyślał, że chętniej by mi było wrócić stąd nazad, niż drugie tyle drogi mieć przed sobą. Bo to przecież pod górę wciąż! pod górę! Wprawdzie coraz mniej przeszkód, ale i sił coraz mniej także.

Drżały pode mną kolana, kiedy się dzień miał ku schyłkowi, szczyt góry nie był już daleko. Ułamałem sobie kij i siedłem podpierając się zadyszany, a kiedym ukląkł, chcąc wody zaczerpnąć ze źródła, patrzę w niego — siwy jestem jak gołąb i zmarszczki mam na twarzy, i grzbiet zgięty, jak u takich bywa, których już ziemia z powrotem ku sobie pociąga.

Tak dowlokłem się do szczytu.

Ale tam — o gorzki zawodzie! — cóż to ja widzę? Stare, liche, mchem wiekowym obrosłe wrota, na które Judasz nawet kupca znaleźć by nie zdołał. Boże! I toż to jest wejście do Szczęścia Siedziby?

— Tak — rzecze na to Lilia. — Czyż nie pomnisz, co powiedziano: „Jakoż ciasna brama i wąska jest droga, która do żywota wiedzie, a mało

ich jest, którzy ją najdują”? Chodź! Wprost z jej proga ujrzysz Obiecana Ziemie.

Zrobiłem, jak kazała, i wyteżyłem wzrok, sądząc, że się ludzę. Jak okiem zasięgnąć — gdzie! daleko dalej, tak że krańca nigdzie ani śladu — płaszczyzna tylko niezmierna, niczym nie przerwane usypisko, jeden niepojętego ogromu mogilnik usłany kośćmi i prochem, leżącym cicho, jak bywa jedynie tam, gdzie nawet wiatr wszelki skonał, a słońca nigdy się nie narodziła.

Patrzę i patrzę.

— A gdzie Obiecana Ziemia?

— Czyż ci inną jaką obiecywano kiedy? — rzekła na to zadumana. — A wszak ci to ziemia, jeno że taka, na której zrzucić z siebie możesz ciała twego łachmany i nogą się od niej ku innemu życiu odepchnąć — byłeś tylko z e c i a ł. Inaczej przyjmie cię ona z powrotem, bo wam jest matką w Duchu Ciemności, ale wobec Nieba macochą ułudom grzesznym zaprzędaną, i przeto po przekłętym chytrą; więc tylko ku zgubie świecidłami bez wartości a łakociami, po których niesmak zostawa, nęcąca. Ci, po których szczątki odzieży tu oglądasz, wzgardzili nią i dlatego odeszli bezpowrotnie, każdy tam, gdzie mu wypadł stopień zasługi za zwycięstwo w walce z samym sobą. Ale nierównie więcej, owszem, nieskończenie więcej było takich, co się rozstać z ziemią nie mieli chęci — i owym Śmierć się do kolan pokłoniła jako swoim życiodawcom, po czym na ich stypie tańczyła nawet z radości. Bo tylko własna wola wasza utrzymuje jej istnienie. Wolna wola! Znacznie od niej większą potęgę? Sam szatan, gdyby zechciał złym nie być, koniecznie byłby zbawiony. Z ostatnim takim, który już stanowczo ziemi nie zapragnie, śmierć w nicłość się rozwieje, z której też i wyszła; bo w wielkopaństwie, nie znającym czasu ani przestrzeni, nie ma nawet pierwiastku myślowego, który by mógł być jej zarodkiem. — Grzech, powiadacie? Ależ właśnie grzech mieści się tylko w pożądaniu dóbr ziemskich — innego nie ma...

Tu umilkł [Lucjan] i patrzył z zalem na zachodzące słońce, które wyglądało jak krwawa łza na obliczu Zbawiciela, konającego za tych, którzy od ziemi oderwać się nie chcą.

— I to wszystko — rzekł ktoś ze słuchających — przesunęło ci się w myśli przez jeden błysk oka, kiedyś spadał?

— Co ty nazywasz błyskiem oka, Ignasiu? I czy wiedzieć możesz, zali życie nasze całe, a z nim wszystkie pozornie tak bez końca trwające nadzieje i zawody, niepokoje i nienasyty, rozbicia i niby ocalenia nie są tylko jednym błyskiem w ciemnościach doczesnej bezwiedzy?

Wyobraź sobie, proszę cię, niedostrzegalne okiem żyjątką, jakich krocie wygodnie istnieją i umierają w kropliczce mętnej wody. Jeśli wyrazisz się o takim, że ono żyło nie dłużej jak tylko jedno oka mrugnięcie —

„To nieprawda — powiedzą ci jego współobywatele — on, jak wy, dziecięciem się urodził, miał swoją młodość niedoświadczoną, potem zmęzł, aż wreszcie kiedy starość nadeszła, zdobywał skarby wiedzy na to, aby ją ze sobą w grób zapomnienia zabrał”. A spytaj również cedru dogorywającego na Libanie, czy on pamięta króla Salomona. — O! a jakże! Pamięta go, tylko niezbyt wyraźnie. Bo mu już teraz i pamięć osłabła, i zresztą wyrostkiem był naonczas, mającym zaledwie lat pięćset, i dlatego nie ścięto go na budowę świątyni. Od tego czasu zestarzał się i choćby rad żyć jeszcze dłużej, czuje się już spróchniałym i zapewne godzina jego już ostatnia tuż opodal. Ale on słyszał, że gdzieś tam po świecie z mgławic się rodzą światy, które w końcu również umierają, tylko że na to potrzebne są podobno miliardy wieków czy coś podobnego.

Otóż co tu mówić o trwaniu jakim, że jest krótkie czy długie, skoro się w nim całość życia czy tak, czy owak wypełnia.

Karą jest upadku ograniczoność nasza w czasie i w przestrzeni.

Ale bywa, że w chwilach wyjątkowych dowiadyuje się duch ludzki, jako zmysłami odczuwany, choćby i największa miara, jest może trochę tylko więcej niż niczym wobec objawów zagrobowego świata, w którym wymiary żadne nie istnieją ...

Dajcie mi pokój. Wam się wydaje, że niedorzeczności prawie.

Me receptet Sion illa —
 Sion David, Urbs tranquilla,
 Cujus faber — Auctor Lucis,
 Cujus porta — Lignum Crucis,
 ...Cujus cives semper laeti,
 ...Cujus custos — Rex Festivus.
 ...Urbs Coelestis! Urbs Beata!
 ...Urbs, in porto satis tuto,
 De longinquo te saluto!...^{52a}

^{52a} Trudno zidentyfikować cytowaną tu pieśń łacińską. Moi informatorzy jej nie znają i sądzą, że to twór autora, a więc rodzaj pastiszu hymnograficznego. Podaję własny przekład:

Niech mię Syjon ów ugości —
 Gród Dawidów, gród cichości,
 Twórca Światła — sprawcą jego,
 Jego bramą — Krzyża Drzewo.
 ...Jego ludy wciąż wesołe,
 ...Jego stróżem — Król Radosny.
 ...Grodzie Niebios! Grodzie Szczęsny!
 ...Grodzie, porcie odpocznienia,
 Witam ciebie z oddalenia!...

28

*W Jamie Smoczej pod Wawelem. Lucjan oszalały, z twarzą w dłoniach,
pogrążony w dumaniu. Głosy Otchłani.*

SZMERY STĄD I ZOWĄD

I cóż? i cóż?
A nuż? a nuż?
Kto wie? kto wie?

RYK W GŁĘBI

Nie — nie — nie — nie!

PRZEPLYWY FAL

Osamotnieli
W zbrukanej bieli
Burz Archanieli,
Ach! ach! jeżeli
Dość byśmy chcieli,
To co On chce?

WYCIE Z GŁĘBI

Nie — nie — nie — nie!

CICHE TCHNIENIA

Pod jasną zorzę
Mą głowę złożę.
W łzach i pokorze,
Ach! mocny Boże!
Umre, być może...

WYBUCH Z GŁĘBI

Kiedy? i gdzie?
Milcz, zdechły lwie!
Nie — nie — i nie!
Nam tylko w cenie
Wieczne przeczenie,
Co nieskończenie
Wie, chce i śmie!

słychać z dala gwar hucznej biesiady

WOLANIE Z LEWEJ

Ćicho tam, luby jeden z drugim bracie
I wy, co umrzeć, i co żyć żądacie!
Oto w tężyzną zbrojni pacholecą,
Martwocie czynu bierną żertwę święcą

Wiary w bezwiedzę chmurni pobratymi,
 A z wyłysiałych czaszek im się dymi,
 Choć pożarnych straży jędrna siła⁵³
 Z krwi żył ich wszelki płomień wypłoszyła.
w dali śpiew słychać

H y m n s a m o b ó j c ó w

Wmówione serca i mniemane duchy,
 Precz od nas w ciemny kąć bluźnierczej skruchy!
 Starości wstrętna!

Ty swej beziły obawą
 Zawczasu, proszę, bij żwawo
 W żył naszych tętna!

Niechaj tam komu nagłej śmierci trwoga
 W drodze do kresu wszereż stawa,
 My znać nie chcemy ładu ni prawa,
 Króla ni Boga!

Starości! ty, co z mozołem
 Zgarniasz liczmany skarbów doświadczenia,
 Błysk naszej wiedzy światłem niewesołem
 Całą ich nicość ocenia!
 Patrz w bezmiar świata głuchą złością siny:
 Tam, bez celu i przyczyny,
 W pyłów przygodne wymiany
 Ślepe siły
 Wytworzyły
 Ruch, na to tylko podtrzymywany,
 By ku bezmyślnej zabawie
 Bierne rządziło Bezprawie.

Starości! Ty oszukana
 I razem oszukująca!
 W nas, młodych, znaj twego pana,
 Który cię z wzdardą odtrąca!
 Nie tobie dłużej czią twej nauki
 Truć własne wnuki!
 Precz od nas życie w ciągłym obłądziej!
 Witaj, Nicości mogiło!
 Poza zmysłami nie ma, nie będzie
 I nic nie było.

⁵³ „Strażą pożarną” nazywali się sami stańczycy.

Razem, niedoli współtowarzysze!
 Razem w bezdenną zaciszę,
 Kędy za nami wiatr w pył rozmiecie
 I w nic rozwieje:
 Nędzne nadzieje,
 Tęsknot rupiecie,
 Marzeń skarb lichy,
 Zachwyków szychy.

Dziekiem w kolebce, kto swe pacholece
 W złości gryzł ręce,
 Niedołężniejszy od zwierzęcia w lesie,
 Ten słusznym prawem w młodzieńczym szale
 W niebo zuchwałą
 Pięść wzniesie
 Z groźbą zniszczenia tego, co wcale
 By stać się prawa nie miało.

Hej! niech z ramieniem ramie się zespoli!
 Któż nam słuszności nie przyzna,
 Że jest tryumfem naszej wolnej woli
 Strzał, powróż, nóż i trucizna?

Dalej z posad, ziemską bryło,
 Z tym, co jest, będzie i było!
 My ciebie naszym do życia wstrętem
 W postanowieniu silnie powziętem,
 Wytworze ślepy, głuchy i niemy,
 Ni pożądanym, ni żalowanym,
 Niechaj wraz z nami co prędzej pchniemy
 Do wszechzwycięskiej Nirwany!

*

Połknęła otchłań głuchy dźwięk tej pieśni,
 Którym zgorszone echa się zachłyśły.
 I zda się, nigdy srożej ni boleśniej
 Duch, ze skupienia swoich sił rozprysły,
 W zmorach od niego niezależnych nie śni.
 Ni udęczone męczarniami zmysły,
 Dławiąc dalszych prób niezmierną trwogą,
 Ani tak cierpieć, ani bluźnić mogą.

Więc czymś wzdrygnęły się te huczne gwary,
 Jakby do własnej czując wstręt goryczy.

I dym je objął, i zmrok objął szary.
 A wśród tych wahań ciszy tajemniczej
 Słysząc jedynie, jak z biesiadnej czary
 Wijąc się węzłem jad nieśmiało syczy...
 Rzekłbyś: Król Grzechu, sobą sam zdumiała,
 W pogardzie środków zrzekł się własnej chwały! ...

*

LUCJAN

budząc się z zamyślenia

O Zło przekłete! O ty niegodziwa
 Wszecchopatrności! która w swe przedziwa
 Zmysłowe wikłasz byt i której pycha
 W ciemnych zasadzkach miejsc i czasów czyha
 Jako potworny pająk, co zażarcie
 Swe potępienie sycić rad olbrzymie.
 Jakże to było? — pytam — Arcyczarcie!
 Gdyś z nieba leciał w mgłach i w mrocznym dymie,
 W śpiące bezwiednym swoim snem odmetry
 Bezwiednych czczości, Tego dłonią pchnięty,
 Który Sam Jeden tylko ma na imię
 Dziś wiekuiste? ...

Oto tak było, że gdy niepozbyta
 Zgryzota z nagła w sercu twym zazgrzyta
 Myślą o świeżo urodzonym „Wczora”,
 To jednocześnie w skroń ci twą wgłębio
 „Jutro” — rzecz straszną, rzecz nieuleczoną.
 Którą jest wiecznie dusza w tobie chora...

A więc, posłuchaj, o ty! chcący może,
 A nie mogący umrzeć, władco dumny!
 Ja cię litością moją upokorzę!
 Żal mi cię, choć mi imię: proch spod trumny.
 Jam jest w upadku mym niż ty szczęśliwszy,
 Bowiem w doczesną tylko idąc drogę
 I z nie mojego grzechu się zrodziwszy,
 Wiedzy tej pewnoś mam, że umrzeć mogę.
 Wiem — droga moja żmudna i daleka
 I w miejscu tego, który już odbyłem,
 Skoro go skończę, nowy na mnie czeka
 Byt, albo raczej tenże sam w pochyłem

Grzechowym jarzmie, śmiercią przetrącany
 W rozliczne z sobą samym walk odmiany,
 Zależne tylko od mej własnej woli;
 Lecz za to z czoła znika mi powoli
 Wprężone niegdyś piorunowe znamię,
 Które pod groźbą, że cię rozpacz złamię,
 Zwątpienia cierniem wplata w twą koronę
 „Nigdy”, to znaczy: „Jutro nieskończone”!

Takie jest twoje państwo, ty, Sam Jeden!
 Który nam Boskich łask zburzywszy Eden
 Śmiesz się Zastępem przeto zwać, iż sięga
 Niemal bezmiarów złości twa potęga...
 Jednak rokoszu tego zawierucha
 Kres ma. Boś tylko najograniczeniej
 Doczesnym władcą czasu i przestrzeni,
 Których w świetlanym Wielkopaństwie Ducha,
 Wszechbytującym zawsze oraz wszędzie,
 Nie było nigdy, nie ma i nie będzie.

Więc niewolniku własnej twojej woli,
 Wydziejcziczeńcze z dóbr wspólnego Domu!
 W tym, co utęsznia, jak i w tym, co boli,
 Ni współczujący, ani równy komu,
 Ty nie Zastępem, ale zwij się Zgrają!
 Nam to przystało raczej miano Rzeszy,
 Nam, żałującym, których równość cieszy
 W obliczu cierpień, co się skończyć mają.

TAMTEN

Ach! miły panie! Toć mój byt ksiązęcy
 Jarzma na karku tobie nie zazdrości.
 Więc w tym, co mówisz, wierz mi, że jest więcej
 Poufałości niżli znajomości.

Życzysz, bym, dziedzic, chytrze z dóbr wyzuty,
 Stękając, poszcząc, w pierś się bił dopóty,
 Aż, syt pokuty, zbędę mojej buty?

To wy tam sobie, owych łask podwładni,
 W równości bicza idźcie w dyszlu żwawo,
 Byle z pożytkiem! Bo jest jedno prawo,
 Wobec którego wszystko najdokładniej,
 Gdzie bądź się zwrócisz, równym być przestaje.
 Narody, władze, wiary, obyczaje,

Przestrzenie, prądy, słońca, wieki, chwile,
 Mchy, oceany, dęby, pluskwy, słonie,
 Porody mgławic, byt wśród gwiazd czy w pyłe —
 Z tęsknotą, z żądzą czy z rozpacą w łonie —
 Wszystko i wszędzie, i od wieków dłużej
 Czy chce, czy nie chce, panu temu służy,
 Który bezczelnie zwie się Prawem Pięści.
 A tam jest kędyś taki, co posiada
 Pięść najsilniejszą — stąd jest wszystkim biada —
 I jemu tylko się jednemu szczęści.
 Więc żeś od niego rad być jak najdalej,
 Rozsądnie działasz — i to ci się chwali —
 Bo któż z potulnej waszej tam gawiedzi
 Wie nawet: iskra czy w krzemieniu siedzi,
 Czy w cząstkach stali?...

CIEŃ LILII

osłaniając sobą Lucjana

Czy łaska Boska w wolne chęci czyje,
 Czy wolna wola w łaskę Niebios bije,
 Zawsze ku wspólnej obu stron uciecze
 Miłość się z tego nieśmiertelna krzesze!

TAMTEN

Wiem, miłość własna. Dobrze rozumiana
 Żądź osobistych z obu stron wymiana.
 Egoizm wzniosły, w którym najsiarczyściej
 Każdy ku swojej ciągnąc rad korzyści.

LILIA

Boże mych ojców! Święć się wola Twoja!
 Tyś mi Pan, Tyś mi puklerz, miecz i zbroja!

TAMTEN

Ach! Ach! W wydaniu już nie pomnę którym
 Zrobiona z Ewy grzesznej Magdaleno,
 Zważ kilka jędrnej prozy słów! Cóż, proszę,
 Zyskałaś w służbie śmierci, ukochawszy
 Wbrew przykazaniu ponad własne zdrowie
 Chorobę twoich bliźnich a współbraci?
 Oto popadłaś w pychy grzech i za to,
 Zamiast mieć teraz wieczne spoczywanie,

Jak éma, co tylko w zmroki patrzeć umie,
 Płaczesz się biedny pół-śnie, pół-rozumie,
 Ze skrzydły w ogniach żądz osmalonemi
 Ni tu, ni indziej, w niebie ni na ziemi...

LILIA

Mym ostatecznym tchnieniem ust skrzydlatem
 W chwili, gdym spocząć miała pod mogiłą,
 Zyczyłam, by mi zostać danym było
 Z tym, co mej duszy stał się ślubnym bratem.
 Więc oto czemu, w mętach jego nędzy
 Aniołem Stróżem będąc mu, nie prędeż
 Aż z nim odejdę w czas już niedaleki...
 Gdyż wiedz, myśl, z którą zawrze człek powieki,
 Niby ostatniej woli pamięć tkliwa,
 Wprzód nim sądzona, szanowaną bywa.
 O ty! co wiecznie przecyzysz, niech cię wzruszy
 Pokory mojej prawo nadczłowiecze!
 Ni walczę z tobą, ani ci złorzeczę.
 Ja ciebie tylko błagam z całej duszy:
 Odejdź! w spokoju zostaw nas! Jak było,
 Gdy o Mojżesza zwłoki śmiercią ciche
 Spór wszcząwszy, równą walczyliście siłą
 Ty i Archanioł Michał, dwaj mocarze,
 On także nie śmiał mieczem ciąć w twą pychę,
 Tylko powiadał: — Niech ci Pan rozkaże! —

*Tamten rzędzie coraz przeźroczyściej, tak że widać poprzez niego wscho-
 dzącą Gwiazdę Zaranną, wreszcie w powietrzu się rozpierzcha. Jedno-
 cześnie z zewnątrz słyhać śpiew przeciagającego Bractwa Dobrej Pomocy.*

W Imię Ojca! w Imię Syna!
 W Imię Ducha!
 Pierzcha ciemność złością sina,
 Pomstą głucha!
 Dzień się Pański znów zaczyna.
 Witaj, Stella Matutina!
 Do Niej! do Niej! Piersi czyje
 Połykana dręczy ła!
 Niechaj wielbi Ją, kto żyje!
 Niech Jej chwała wiecznie trwa!
 Omni die dic Mariae
 Mea laudes anima!

29

Lucjanowe sny niespokojne i kotyszące marzenia.

Urywki poematu noszącego nazwę „Tragedia człowieka”, przez autora odznaczonego liczbą porządkową 43 w kopalniach nerczyńskich. Świstki te nabyte zostały za czarkę wódki od dieńszczyka palącego nimi w piecu, w izbie śledczej Cytadeli Warszawskiej.

Pieśń

Nie wiadomo, która; jest w niej mowa, jak się zdaje, o zwiedzaniu Otchłani.

... Nie — takie ciemności, jakie były tam, gdzie wszedł obecnie, ciemności takie nie dadzą się wypowiedzieć niczym zdolnym przemówić do pojęcia człowieka.

Tak bywać musi w przepaściach wygasłego wulkanu, kiedy się zaparła czeluść u wierzcha, i wszystko tam, tchu już nie mając, samo sobą się zżarło, zdławiło i na wieczne wieki oślepiło ...

— Panie mój — wyszeptalem drżący — tu już chyba nic do widzenia nie pozostało?

A ten przewodniczący mi Stróż mój Anioł nic nie rzekł na to. Jenó palcem dotknął powiek moich i stała się rzecz osobliwa. Wzrok mój wzmógł się w taką siłę, jakiej pewnie używają ci, co są widzącymi w przestrzeniach międzyświatowych, kędy, jak słyszę, nic byś nie ujrzał, człeczko, krom czerności.

Więc patrzę — a oto gmach rozległy, ale nic niewyniosły, nawet wcale dachu nie mający, bo ten, czy się zapadł kiedy, czy mógłby się zapaść, czy go nigdy nie było? Nie wiem, a mój towarzysz powiada:

— Czytaj, co tu przyklepione na karcie u wejścia!

A tam napisano było czerwonymi jakby krwawym piórem kreślonymi głoskami: „Ojczyzna do kupienia”.

— W tym oto budynku — Stróż mój rzecze — sprzedają się sumienia, bo to jest Judaszowe Targowisko.

— Wyraz nie dość z duchem języka zgodny. Poprawniej nazywa się to Targowica — odezwał się głos jakiś tuż w pobliżu.

Słyszając to spojrzalem, skąd pochodził, i widzę, nieco w bok u wejścia stoi wierzba sucha, wypróchniała, mająca, jak to u nas we zwyczaju, powyrąbywane gałęzie i ledwie kilkanaście — może i więcej — sterczących w górę prętów, a na tych żeby choć listek jeden! ale za to na ich końcach osobliwości niepojęte! Bo niby jak na drzewach bywają owoce, tak tu wiszą do strząśnięcia gotowe: buławy hetmańskie, laski marszałkowskie, szambelańskie klucze, hrabiostwa, indygenaty, nadania ziem z krociami dusz chłopskich, nawet infuły i wreszcie już tylko worki po-

rzędnie pękate. U samego zaś wierzcha korona, ale wyglądająca tak, jak bywa strach zatknięty na kiju pośród zboża, którego się jeno ptacy, i to nie wszyscy, boją.

Tu rzekł mi Anioł:

— Drzewo to, wiedz, iż wyrosło z wypróznionego wora, który Judasz porzucił na drodze, idąc się powiesić. Ale że tu ani słońce nie zajrzy, ani deszcz nie zawita, więc uschło, a jednak daje owoc czasu swego.

To gdy on mówił, wpatrzyłem się pilniej w oną wierzbę i spostrzegłem w jej pniu wypróchniałym siedzące dziwo, niby człowieka z małpią twarzą, w kusym fraczku niemieckim.

Ten widząc, że mu się przyglądam, uprzejmie zdjął z głowy kudłatej trójgraniasty kapelusz i powiada szastając się w dworskim sposobie:

— Iskrzycki, do usług jegomości waszności pana. Iskrzycki, szlachcic, *bene natus*, i nawet *possessionatus*, choćby w tej tu oto wierzbie. Szlachcic, na uczciwość, od czuba do pięty, prawdziwy szlachcic, nie żaden ściercałka.

Bywałem ja na wozie i pod wozem, ucierałem nos w palce i nosiłem łyżkę za cholewą, a szerpentyne na krajce, i wylaża mi z butów słoma — ale potem... Z Twardowskim byliśmy ty a ty, Bona lubiła mię nazywać „ił diavoletto”, Maria Ludwika wyrażała się o mnie: „ce bon diable”. A później nieco Sasi ogolili mi wąsy i ubrali po swojemu, o co się nie kłóciłem, bo ja nie lubię zrywać sejmów. Stanisławowi Potockiemu towarzyszylem nawet w podróży do Ciemnogrodu.

Ja bo ani do złego nie kuszę, ani dobremu nie przeszkadzam i jestem niby od tego, żeby nie miano prawa mówić, że czart koniecznie tak jest czarny, jak go malują. Za to jednak, zem nie jest ani po sybirsku zimny, ani po hajdamacku gorący, osadzono mię tu, w tej oto suchej wierzbie, i nawet za nogę przykuto. Inaczej zdjęłaby mię ciekawość popatrzeć: jak też na świecie dzisiejszym wygląda naród, któremu każą wierzyć, że go wcale nie ma.

Pieśń dalsza

To gdy on prawił, poczęli się schodzić jacyś, zmierzając ku drzwiom Judaszowego Targowiska.

Ci szli potykając się, bo nie patrzyli przed siebie, mając nosy w górę, a zaś oczy prawie że przymknięte, z wielkiej wyniosłości czy może tylko powagi.

I nie były wyraźne twarze ludzi onych, ale jakby wszystkie dziwnie do siebie upodobnione, tak dalece wyglądali dobrani.

Przeto dla rozpoznania się, iżby pomiędzy nimi nie był przypadkiem kto obcy, mogący się pokazać szpiegiem, wymieniali hasło, to zaś było

— takie, że kiedy jeden mówił „Szamotulski”, drugi odpowiadał „Radziejowski”.

A Iskrzycki drwił z tego ich porozumiewania się przyjacielskiego, przedrzeźniając wykrętnie hasła wymianę: Szamotalski, Zdradziejowski. I przezywał ich „Królewity”. I gadał przy tym:

— Jest tu pomiędzy nimi taki, co myśli, że się ku niemu korona potoczy, ale on nie będzie dość szczęśny⁵⁴, żeby ją złapał. Za to ten, któremu smakuje branie⁵⁵, porządnie się zaś obłowi.

A wtem kiedy się już zesła spora mnogość i nikt więcej nie przybywał, z niemałym trzaskiem drzwi zamknięto, i wyglądało tak, jakby klamka zapadła.

I mówił Iskrzycki:

— Siedzi tam troje takich, co płacą w miarę, jak co od nich wytargowano, ale ile możności fałszywym groszem, fałszywszymi jeszcze obietnicami, a zaś najfałszywszą ze wszystkiego przysięgą, bo sobie mówią: „Zdrajców zdradzać rzecz jest godziwa, i nawet chwalebna sprawa”. A za odsetki od swoich niby wkładów porywają chłopów, aby ich przestrajac w żołnierze wojujące własnych braci, a także senatorów, aby wychłodzi w śniegach z gorącości swego kochania rzeczy, których sprzedać nie chcą.

To gdy on mówił, powstała wrzawa w onej giełdzie i jedni przez drugich jęli krzyżeć: — Kto da więcej?! — Wreszcie uciszyło się, właśnie jakby tym krzyżącym gęby czymś zapchano, i wtedy dał się słyszeć głos niewymownie radosny, jak bywa, kiedy kto wielką jakąś wygraną zdobył. Głos ten był wyraźnie (tak mi się wydało, choć dotąd sam nie wiem, czemu?) głosem zlutrzałego krzyżaka, Jagiellonki naszej syna⁵⁶.

I wołał głos ten: — 1773! po raz pierwszy! — potem znów stała się cisza i znowu wykrzykiwano: — Kto da więcej?! — i znowu zabrzmiał głos onego przechrty: — 1793! po raz drugi! —

A potem z kolei raz jeszcze powtórzyło się wszystko jak wprzód — i wreszcie on, komornik niecnota, wygłosił z uciechą niewypowiedzianą: — 1796!⁵⁷ po raz trzeci i ... ostatni! —

Natenczas cisza nastala, jak gdyby Anioł Śmierci przeleciał, a wśród ciszy tej szepnął głucho Iskrzycki:

— Hej! hej! Że też Sicińskiego nie ma w pobliżu! On by tu z samego już nałogu, wzięwszy się w boki, zawołał: — Nie pozwalam! — i wtedy sejm ten zostałby zerwany.

⁵⁴ Stanisław Szczęsny Potocki, targowiczanie.

⁵⁵ Ksawery Branicki, targowiczanie.

⁵⁶ Ściśle: Albrechta v. Hohenzollerna, mistrza zakonu krzyżackiego, który jako zlutrzały książę pruski złożył hołd Zygmunutowi Staremu w r. 1522; szerzej: każdy władca Prus, choćby Fryderyk II.

⁵⁷ Daty trzech rozbiorów ustalił Faleński według swoich własnych kryteriów, przyjmując za podstawę możliwie późne fakty.

Te słowa jego słysząc, poznałem niejako, że jednak Maria Ludwika miała o nim sąd najtrafniejszy, i chciałem z duszy, iżby myśl tę mógł wyczytać z mojej twarzy, kiedy wtem rzekł mi mój towarzysz:

— Sicińskiego ziemia swoja ku pogrzebaniu przyjąć nie chce, a przeto ponieważ się on z kąta w kąt, nawet w czeluści piekła trafić nie mogący po swej śmierci.

A Iskrzycki dodał:

— Ono to tak było: że go piorunem, słyszę, zabił ten, którego imienia wymówić nie chcę ...

— Powiedz raczej: nie śmiem — rzekł Anioł surowo. A tamten nie na to nie odpowiedziawszy wydobyl tylko spod fraka koniec ogona, zrobił z niego kółko i chwilę popatrzywszy przez nie na Anioła w sposób pocieszny w oka mgnieniu gdzie się zapodział — musiał się chyba w wypróchniałość swojej wierzby zanurzyć.

Pieśń dalsza

Wtem jednym razem drzwi one zamknięte wyleciały, jakby je z zawias wyparto, i z nich, gniotąc się, deptając, pięściami robiąc, wypadła cizba sprzedawczyków, biejąc prosto ku wypróchniałej wierzbie.

I nuż trząść nią co siły, a ta, jakby ją kto w kamień zaklął, żeby choć drgnęła! Tedy próbowali włożyć na nią, ale znowu wydała się tak gładka, że każdy jakby od gołoledzi z niej spadał.

A oto na progu ukazała się niewiasta niewstydliva, owszem wcale nawet wszeteczna, a tuż obok niej lisiego, owszem, wilczego nawet wyglądu Niemiec, zażywający tabakę z kamizelki — i jeszcze poza nimi trzeci, tak jakoś stojący, jakby sobie życzył, żeby go nie widziano.

Ci patrzyli z uciechą na to, co się działo około trzęsienia wierzby, a też na nią wskakiwania; aż gdy już mieli tego do syta, niewiasta wstydu nie znająca skinęła na swoje gachy bardzo liczne, a owi podbiegli ku drzewu i ledwo go dotknęli, tuż zaraz lecieć poczęły owoce one tyle pożądane — i tu dopiero powstał zgiełk zgoła bezprzykładny, klótnie, obelgi niebywałe, każdy rad był jak najwięcej sobie przywłaszczyć, a głównie, iżby się drugiemu nie dostało.

Wtem z nagła zleciała też i korona owa od wierzcha, ale spadłszy roztrzaskała się na najdrobniejsze szczęty, co widząc zgraja owych klótników zdawała się chwilowo ku jedności skłonna, zgodnie krzyząc: — Aha! Ani mnie, ani tobie!

Po czym każdy skwapliwie porwał, co tylko mógł wyłapać, i naonczas — tych troje u drzwi stojący uścisnęli sobie dłonie i słyhać było, jak powiedzieli: — Do zobaczenia w Niemirowie⁵⁸ — co zrobiwszy, weszli razem w głąb gmachu, i tyle ich widziano.

⁵⁸ W miejscowości będącej punktem zetknięcia się trzech zaborów.

Tu rzekł mi Anioł:

Zważ, proszę, w jak trefny sposób kupcy ci oznaczyli sobie miejsce swego spotkania. Tam bowiem oni sąsiedzki z sobą mir niewzruszony utwierdzą na to, aby dla tych, których im sprzedano, miru odtąd nie było, ażby chyba ta ich troistość przepadła, do czego, Bóg jeden wie, jak jest daleko.

Kiedy on to mówił, każdy z owych zapłaconych pilnie rozpatrywał wartość swojej zdobyczy i to ich zabawiało.

A tymczasem poczęły się zewsząd zagęszczać ciemności, co gdy ujrzeli, poczęli szukać wydobycia się z onej matni. Ale wyglądali jakby oślepli.

I nie dziwota wcale, bo i mnie samemu się wydało, że dane sobie wzroku wysilenie znów utracił, tak dalece wszystko wokoło zapadło mi w oczach w czarność nieprzeniknioną.

Ale tak nie było. Bo oto w miejscu jednym, w głębi, ujrzałem wyraźnie niby wyjście stamtąd, niby gdzieś daleko świtający odbłask dnia słonecznego, poprzez otwór podobny do drzwi otwartych z progiem u dołu.

Ku temu tedy wyjściu rzucili się z wielką skwapliwością, a tu stała się rzecz niepojętym przerażająca zdumieniem. Próg wydawał się niezbyt nad ziemię wyniesiony, a jednak co który z nich próbował nogę na nim postawić, coś go jakby odrzucało i żadną miarą przebyć go nie mógł.

Tu rzekł mi mój towarzysz:

— Próg to jest, na którym Rejtan się był położył, i przeto za wysoki on na ich nogi. —

I dodał:

— Chodźmy stąd. Pozostawmy ich w czarnościach dawanych za dziedzictwo tym, którym w służbie Pychy chciwość nienasyconym bywa doradcą. —

I zdał się razem ze mną boleści wstydu podzielać, a także przyczyn i skutków rozpatrywanie, nie mające w sobie nic słonecznego.

A ja czułem gorycz na ustach i dreszcz gorączki, która rozbierała mi duszę.

— Ziemię ty moja rodzinna — dumałem. — Ziemię, ty z grobami ojców moich sprzedana, czy ty przez kogo kiedy odkupiona będziesz? Aniś ty się wysokością gór broniała, ani głębią morskich otchłani, jedno synów twoich pierściami, póki w nich rycerskie biło serce. Ale cnotę, tak samo jak dziedzictwo, roztrwonić mogą nie dość pilnie chowani synowie.

I prawda, żeś ty, narodzie, zdobywszy nie pragnął, jedno iżbyś u siebie niepokoiony nie był; ale co z tego, skoro za cenę nieogłędności własnej wcześniej już na targowicy świata sam sobie wrogów kupowałeś.

Niechby było krzyżactwo za dziesiątą kędys miedzą z drapiestwem swoim siedziało, ażby był czas ku Wiednia jego obronie, do czego pole popisu mieli sobie wskazane.

Patrzyłbyś wtedy, dość już w domu własnym Nogajcami⁵⁹ zaprzątnięty, jak też to drudzy około spraw, nie ciebie dotyczących, pracują.

A także po co ci było czapkę Monomachową mimo puścić, którą w dłonie ci dawano?

Nie byłby dziś zmuszony świat cały czołem bić nahajce Złotej Hordy wskrzeszonej i tak samo drzeć przed jej zbrojnym w bagnety prawosławiem, jak niegdyś przed alkoranem, który na krzywej szabli pełnej błysków noszono...

Urywek drugi.

Pieśń

Również liczbą nie oznaczona; jak się zdaje, mowa w niej o oglądaniu Czyścica.

... I nie zdziwiła się wcale, kiedy mię ujrzała, ani się smuciła, wiedząc, iż odejść będę zmuszony. Snadź nic z naszych rzeczy tajnym jej nie było.

Rzekła mi tylko:

— Chodź. Przewodniczką ci będę. Patrz oto: Wyżyna ta odbłaskami chwały niebieskiej, niby księżycem wpatrzonym w słońce, jaśnieje. Bo to już niebios pogranicze.

I bywa, że aniołowie tu zalatują z światłością Bożą u skrzydeł i skroni, z blaskami zbawienia w oczach i z rajską wonią w swych piersi tchnieniu.

I są nam pobratymi — w zamian za smutki od nas brane radości swoje dzieląc z nami, którzy stąd aż do czasu odejść nie możemy.

A to się stało własną wolą naszą, nie mogącej się odjąć tęsknocie za tym, co poza nami zostało.

Bowiem skoro rzeczono jest: „Ów, kto trzymając dłoń na pługu poza siebie się ogląda, taki nie zaraz chwały wybranych dostąpi” — tedy, za prawdę, człek tylko wcale od ziemi oderwany przemocą niebo zdobywa.

Wiedz przeto, że w tym tu oto przedsiönku rajskim już nie swoimi; ale z was brany mi boleściami pokutują *D u s z e T ę s c h n i ą c e*. —

A to mówiła ta Lilia, ta moja biała, tu poświęcona, o której mniemałem, że jako jedna z gwiazdzic słonecznych z dawna już w świetlane blaski spłynęła.

I gdy te rzeczy w sobie ważył, z nagła powietrze wielką rozkoszą zadrzało. A to był śpiew licznych piersi wytężeniem pobożnym przedziwnie w dźwiękach swoich zgodzony.

— „Pod Twoją obronę” — bźmiał on znanym na ziemi rytmem i słowy. Atoli to mówiąc, mimowolne kłamstwo spełniam. Bo tylko uducho-

⁵⁹ Nogajcy, plemię turecko-tatarskie, może oznaczać Tatarów w ogóle, ale w *Kordianie* (Przygotowanie) oznacza carską Rosję.

wionymi, jak były naonczas moje zmysły, pojąć mogłem niewymowny urok tej pieśni, tak zgoła przeobrażonej, że już nie miała w sobie nic ziemskiego.

I dziś nawet pewność żywię niezachwianą, że za podkład służyły jej odgłosy z daleka dolatującej gęźby niebiańskiej, która zarazem blaski sieje i wonności rozprasza.

Pochód to był pątnic w pielgrzymce ku miejscu uświęconemu cudami, jak się to nieraz na ziemi naszej napotykać zdarza. Tylko że tu wszystko niezmiernie białe było, szaty białe, zasłony białe, różańce u pasa z samych róż białych nizzate.

I rzekła mi moja towarzyszka ukochana:

— Dziewice to są niegdyś po haremach sułtańskich oraz przez hanów i baszów hańbione albo przedawane na rynkach stambulskich, a nawet i po dalszym świecie pohańczym aż po kresy dzierżaw czartowskich, a też, bywało, w hajdamackich obozowiskach, po wyczerpaniu swawoli, zabijane. Tu one jednak panieństwo swoje znów odnalazły, płaczem po nich wyanielone, a modlitwami za nie w braetwo Róży Duchownej wkupione.

I zważ, proszę, tego, który im przewodzi, na czele pochodu chorągiew niosąc. Ten ci to bojownik Matki Najświętszej, który sam jeden królestwo Jej zdradzone z nawały szwedzkiej wydobył. Mąż godzien być archaniołem, jak Michał lub Jerzy. —

Pojrzę — a oto nie żaden to siłacz ani choćby wielkolud jako Samson jaki. Ani zbroi na nim, ani miecza w dłoni. W białej szacie zakonnik skromny, w dół patrzący, postami a modlitwą snu nie znającą z ciała niemal wyzuty.

Tylko że z twarzy jego biła światłość rażąca, jak było niegdyś u Mojżesza, kiedy to z Bogiem pobywwszy oblicze zasłonić musiał — nikt bowiem blasku takowego znieść by nie zdołał.

A teraz dokądże to zdąży ów orszak tych tak wyświętaczonych, jak jeno bywają tacy, co się wybrali na Pańskie Miłościwe Lato?...

Pieśń dalsza

Tu nie wiem — zali podołam wyrazić słowy to, com obaczył, kiedym spojrział poprzód siebie.

Zdarza się pod słońca zachód, iż na obłokach w czarodziejskich światłocieniach i w barwach zgoła zaświatowych widnieją, przerabiając się do nieskończoności, zarysy pierzchliwe, jak coś przywidzianego: Dworce Salomonowej wspaniałości, wiszące ogrody, krążganki, wodospady, szczyty gór, wnętrza sklepień, morskie zatoki srebrzyste, wzniosłe wieże, leśne knieje, zamkowe bramy, świątynie.

I jest ci wiadomo, żeś tego nigdzie widzieć nie mógł, i tylko masz prze-

czucie, że to kłedyś, gdzieś może i obaczysz; wydaje ci się, że tylko tam koniecznie szczęście przebywa.

I mniemasz się być sytym tą nadzieją. Ale spojrzawszy w to, com ja miał przed sobą, zaprawdę, z lekceważeniem owe wspomniałbyś tworzyła!

W marzeniu sennym, kiedy przed zaśnięciem tyłeś się aniołowi twe-
mu dobremu w moc oddał, że czart zgrzytając odejść był zmuszony,
uszcześliwiają cię podobne niemożebności. Ale też anioł naonczas oczom
duszy twej zwierciadło nastawia, zwrócone w stronę rzeczy, które ujrzysz
dopiero w zupełności z ciała rozgrzeszony...

Patrzałem i własnemu wzrokowi zawierzyć było mi trudno. Jakże?
Góra nasza, ta sama i zarazem ileż inna, całkiem anielska! W całym zna-
czeniu jasna, bo niejako wniebowzięta.

Niby słońce miała poza sobą, ale nie, bo nie padał cień od niej w żadną
stronę. Raczej, owszem, słońce było w jej wnętrzu, a raczej światłość ja-
kaś niepojęta z niej przeświecająca, cała modlitewna, pełna zdrowia i ra-
dości.

I te same, co na ziemi, szanice jej, okopy, mury opatrzone strzelnicami,
i ta sama wieża niebotyczna. Tylko że wszystko w promieniach tak rażą-
cych, że na szczęście, iżbym nie oślepl od ich blasku, wszystko to oglądać
mogłem niejako rozplawione w mgle świetlanej — ta, jak to bywa, kiedy
po burzy blask dniowy, oplukany, niby poprzez tkacką osnowę złożoną
z drobniuchnych nitek rozpylonego deszczu prześwieca, o czym lud pro-
sty prawi, że to wtedy „Królowa płacze”.

Ku temu tedy cudowisku przedziwnemu zdążali owi pielgrzymi. A za
nimi, skrzydła czując u ramion, wyrывała mi się z piersi dusza, ale na
próżno, jako że niby ptak na lepie uwięzły stóp swych od ziemi, pomimo
żądzy gorącej, dźwignąć nie mogła.

Pieśń dalsza

Nareszcie przeszli, a kiedy przeszli, patrzę — klęczy opodal, bijąc się
w piersi, kobieta cudownie piękna, w szatach białych jak drudzy, bo tam
już nigdzie na niczym plamy najmniejszej nie ma.

Po czym wstała i szła powolnie ku naszej stronie, wszakże sędzę, obec-
ności niczyjej nieświadoma, cała modlitwie będąc oddana.

— Czyżbyś ty się nie domyślił — rzekła mi Lilia — kto to być może
ta niewiasta tyle pokorna, jak nie może być pokorniejsza trawa zdeptana,
którą chyba nad ranem rosa niebiańska rzeźwi?

A przecież największa to nasza Pani i najwspanialsza Władczyni, i naj-
rozzrutniejsza w uczynków świętych rozdawnictwie, tak że po niej i świet-
ność wszelka, i moc świadczenia dobra wygląda już koniecznie jak wyczer-
pane z środków koniecznych ubóstwo.

Ta to jest, która serce swoje mocą zaparcia się siebie jednemu odebrawszy takowe narodowi całemu rozdała i lud błądzący chwale Pańskiej pod stopy podesłała, i rada była nie tylko krzywdy, ale i łyzy wylane skrzywdzonym z niewyczerpanej skarbnicy duszy swojej płacić. —

Tedy doczekał, aż więc nadeszła ta Bożej łaskowości wybranica, i uklękawszy na twarz przed nią padłem błagając, iżby mi dozwoliła usta moje dotknięciem szaty kraju swej uszczęśliwić.

Ale ona skinieniem ręki poskromiła tę gorącość mojego wzruszenia, mówiąc:

— Bacz, proszę, synu miły, abyś nie zgrzeszył. Bom ja tu ani święta żadna, ani nawet choćby królowa. Koronę moją za żywota jeszcze u stóp Niebios Pani złożyłam, błagając, aby raczyła godniejszą wam niżli ja być panią. Więc Ona stolicę sobie na Górze Jasnej obrała, zarazem podobiznę onej korony w Starym Grodzie na sam szczyt wieży Swej wynosząc.

A czym jest świętą? — sam osądź. Bo posłuchaj tylko, proszę.

Tam, w kaplicy na Zamku, który ponad pieczarą jest wzniesiony, kędy to Krak skrzydlatego szatana o rannym brzasku dziejów naszych zwalczył, sam Król Chwały, Pan Jezus, razu jednego, kiedym w modlitwie łązawej pod stopy Krzyża Jego serce moje kładła, spośród cierni swoich przemówił do mnie raczył w te słowa:

„Zawsze jeno za drugimi do mnie się wstawiasz, a dla siebie nigdy niczego nie zażądałaś. Mów, proszę, łaska moja z tobą. Dam ci, czego zapragniesz”.

„O Panie! — rzekłam. — Niechbym oto wiedzieć mogła: zali naród mój, z którym wymieniałam duszę, zawsze ofiary mojej godnym będzie?”

Ale Pan smutku doznał z mego żądania i powiedział mi westchnawszy: „Niewiasto grzeszna, która kusisz twego Boga, samaś sobie zgotowała karę przedwczesną. Bowiem dla ulżenia to waszej niedoli sądy przedwieczne są przed wami skryte, a oto żądasz mieć je ujawnionymi. Wiedz tedy, iż przyjdzie kiedyś taki, który przed własnym ich sądem s k a r z y ć na nich będzie⁶⁰. I zaprawdę będzie miał o co, a jednak opamiętania on wzbudzić nie zdoła”.

Tedy i przyszedł on mąż zapowiedziany, o którym dziwno mi, iżście go dotąd przez Niebo natchnionym, a przeto i świętym nie uznali. Przyszedł ci on, ale opamiętanie nie przyszło.

Stąd zasmucenia pełen, odludkiem stał się zgorzkniałym, z izraelskimi tylko proroki na pustkowiu obcowanie mając. Ci bowiem, równie jak on, pokucie są oddani za przyczyną ludu swego, który Boga ukrzyżowawszy, złotemu cielcowi cześć bałwochwalczą święci...

O jakżeście wy grzeszni! Bo już nie tylko wasze, ale oto Matki Naj-

⁶⁰ Aluzja do ks. Piotra Skargi, autora *Kazań sejmowych*.

świętszej zmarnowaliście królestwo i Ona teraz boleść ósmą cierpi, bo cóż z Jej wstawiania się za wami, skoroście sami z sobą w rozterce?

Gdyż nawet Pan światłości, łask rozdawca, nie może dobra swego na stracenie dawać temu, kto albo rozrzutkiem, albo jest niedbalcem! —

To powiedziawszy snadź chyba zaraz odeszła, mając bowiem oczy w całości łzami zaćmione, dotąd zdać sobie sprawy nie mogę, jak i kiedy to się stało...

.

Pieśń dalsza

A potem wyszliśmy na błonie kwiatowej pełne wonności. Tam, pod lipą rozłożystą, dwie niewiasty siedziały. Jedna u kądzieli przędła, druga w krosienkach igłą dziergała.

Obie jednak pilnie zarazem naglądały zabaw igrającego na łące chłopięcia, bacząc, by sobie nie zrobił co złego. Takie oto dwie niby matki troskliwe — nic więcej.

Te ukazując Lilia mi rzekła:

— I co się zda tobie o tych dwóch niewiastach, tyle z pozoru potulnych? Jeślibyś mniemał, iż kołowrotka jeno a gospodarki w izbie czeladnej pilne były, wielce byś pobłądził. Bo oto w piersi ich bije zaprawdę daleko więcej niżli męskie serce.

Ta, co przęślić jest zabawiona, można to niegdyś na Zembocinie pani⁶¹. Ona to wśród wichrzycy pacholczego szumu sama jedna nie dała rozbić gniazda, którego mąż jej z dalekości bronić nie mógł. Owszem, w mięsopuście tym rozbujających nad miarę chuci jedna ona nie dopuściła tego, iżby jej potem szczenięta do piersi na wykarmienie przysadzano.

A druga to ta, którą w Trembowli sam król, wielki wybawca, zaprawdę wyżej królewskości swojej uczcił⁶². Bowiem za rzecz to sobie poczytał zaszczytną, iżby swe usta do tej jej ręki przyłożyć, która w zwątpienia chwili nóż hańbę zabić gotowy ujęła.

A ten znów dzieciak, co się tu, jak widzisz, na łące kulą armatnią niby piłką bawi, to pod Olsztyna Karliński⁶³.

I dziwno ci pewnie, iż on ją jak nic podrzuca i łapie, taki mały, taką ciężką kulę! I ona mu się odbija, i do rąk jego wraca, niejako w porozumieniu z nim będąc, jak coś wcale pojętnego.

Bo też to jest kula uświęcona krwią niewiniątka, a także krwią serca

⁶¹ Małgorzata, która w czasie wyprawy Bolesława Śmiałego na Kijów w ciężkich opresjach dochowała wiary nieobecnemu mężowi.

⁶² Anna Dorota Chrzanowska, która obroniła Trembowlę przed Turkami w r. 1675.

⁶³ Synek Kacpra Karlińskiego, dowódcy zamku w Olsztynie małopolskim, wydany jako zakładnik w ręce oblegającego zamek arcyks. Maksymiliana i prowadzony przed oddziałami atakującymi, zginął od kuli wystżelonej przez ojca w r. 1587.

ojcowskiego, które przez miłość ojczyzny zdołało nawet ofiarę, mającą zbrodni pozór, spełnić.

A co do młodzieniaszka onego, to ci powiem, iże mniejszym jest jeszcze cudem to w członeczkach jego siłactwo nadprzyrodzone, ile rozrost a dojrzałość ducha w tej wcale jeszcze niemowlęcej piersi.

Bo posłuchaj tylko. Ma on w światłości przedwiecznej wśród umęczonych niewiniątek pomieszczenie zgoła niepowszednie. A przecież od niego się wyprosił. Chce bowiem dobrowolnego wygnania zasługą lepszą dolę wypokutować tej ziemi ukochanej, za której cenę życie swoje położył.

I oto czemu go tu oglądasz, jako jednego z T ę s c h n i ą c y c h. —

30

Opowieść pielgrzyma (Lutuwera) u wrót zamku na Orlej Skale.

C h u s t a W e r o n i k i

Tyberiusz wśród swej wyspy, z własnej chęci
 Wygnaniec krwawy, na szkarłatne łoże
 Padł jęcząc. — Jak to? — jęknął — czy być może?
 On? Bóg?! — Struchleli wszyscy trwogą zdjęci ...

Tyberiusz, mędrzec, najsmutniejszy z ludzi,
 Zamknięty w sobie rygłem tajemnicy
 Mąż, niby widmo nieme bladolicy,
 Który się tylko skinąć ręką trudzi,
 On, co nadziemską światłość ma u czoła,
 Tyberiusz — August — Cezar, bóg widomy,
 Ojczyzny ojciec, władca wiecznej Romy,
 Zmogła go boleść? Któż uwierzyć zdoła?!

Nikt nie wie, jaki cierń w nim ugrzązł srogi.
 Toż on, o życie swoje walcząc z bogi,
 W zamian za siebie słał im na śmierć krocie —
 Nic nie pomogło. Razem z duszą ciało
 Obelżywymi rany mu zwrzodziło.
 W krwi ludzkiej, w łzach się kąpał, nurzał w błocie —
 Nic nie pomogło. Badać chciał wyrocznie,
 Lecz to służalców zgraja. Cóż on pocznie?
 Życ chce, a wskrós go dręczy myśl dotkliwa,
 Że w nim wraz z życiem woła dogorywa.

Bogami gardzi. Są jak on. Nic wcale
 Nie więksi, równie w grozie, jak i w chwale.
 I on, jak oni, bezlitośnie przecię
 Świat w swej potężnej dłoni na to gniecie,
 By cześć miał, skoro wstąpi w żywot boży
 Po gwiazdach depcząc... Cóż, gdy śmierć go trwoży...

— Hej tam, Piłacie! Wkoło twego dworca
 Włóczy się, słyszę, jakiś cudotworca.
 Z rąk jego w puszczy jada głodna rzesza,
 Głos niemym, chromym nogi, ślepym oczy
 Dawa, trąd czyści, wśród fal morskich kroczy,
 Niemocne wzmacnia, nawet zmarłych wskrzesza.
 Daj go tu! —

Piłat struchlał. Wczoraj właśnie
 Dał Go na krzyżu przybić, godząc waśnie,
 Które zajadli mieli z nim Żydowie.
 Nuż cesarz teraz brwi zmarszczywszy powie:
 — Na krzyż Piłata! —

Więc w niemalym wstydzie
 Sze doń setnika od przybocznej straży,
 Niech on za niego wieść tę nieść się waży.

Ten się Woluzjan zwał. Dumając idzie.
 Cóż? Na śmierć idzie. Cesarz się w jałowe
 Nie wdaje żarty. Przyjdzie dać mu głowę
 Z uśmiechem wdzięcznym w uśmiech, by klaskano.

Wtem spojrzy, drogą zgubnie mu wskazaną
 Dziewczyna idzie, blada, frasowita,
 Ze łzami w oczach — i ta wręcz go pyta:
 — Panie rycerzu, czyś ty nieświadomy,
 Kędy przebywa cesarz możnej Romy? —
 — Tobie to na co? — Słyszę, na wezglowie
 Padł z bólu jęcząc, więc ja go uzdrowię. —

Tedy otuchy wstąpił duch w setnika.
 — Coś ty za jedna? — Zwie się Weronika.
 Jej tak się stało, że gdy cierpiąc srodze
 Pan pod ciężarem krzyża padł na drodze,
 Ona, choć sama zbita przez ceklarzy,
 Chustą Mu krwawy znój otarła z twarzy,
 I tu, o cudzie! w oną chustę białą

Oblicze Pańskie wsiąkło i zostało.
 Więc ją przed ludzką złością po kryjomu
 W zanadrze skryła. Bowiem odtąd, komu,
 Jeśli jest chory, owa chusta krwawa
 Tę twarz objawi, ten się zdrowym stawa. —
 — Dawaj tę chustę! — Ona dać nie może.
 Bo tak przedziwnie chcą mieć sądy Boże,
 Iż tylko szczerze kto uwierzy w Pana,
 Twarz ta przez niego będzie oglądana;
 Kto by zaś w sercu miał powątpiewanie,
 Temu się chusta z krwawej białą stanie. —
 — Daj! On uwierzy, bo się śmierci lęka. —
 — Nie! Dar ten z Boskich wzięła rąk jej ręka
 I w niej ma zostać; bo on skarb jej cały,
 Którym, jak umie, miłosierdzie świadczy.
 Jest biedna, nie chce nagród, nie chce chwały,
 Lecz i nie może chcieć, by tknąć go miały
 Dłonie, czyn zdolne spełnić świętokradczy...
 — Ha! to chodź ze mną. —

Idą. Lecz tam, w dali,
 Ten szalejący tłum, ten zgiełk cóż znaczy?
 Pięść każda w górę. Jeden z tych siepaczy
 Cezara posąg w łeb obuchem wali.
 — Ijo triumphe! — grzmi niesforne wycie.
 — O ludzie dziwni! cóż wy to robicie? —
 — Co? sprawiedliwość groźna się tu czyni.
 Już po nim! Panuj, Roma, wszechwładczyni!
 Żyje w twym ludzie duch przedwiecznie młody! —
 — Hej! dobra nasza! — bucha znów z tej wrzawy. —
 Zdechł ten krwiożerczy zwierz, ten tryk plugawy!
 Do Tybru wlec go! Na gemońskie schody!⁶⁴

Wonczas Wołuzjan, gdy już nie miał trwogi
 O życie miłe, sławiąc swoje bogi
 Jął iść z powrotem. Lecz dziewczyna biała
 Siadła i wielkim głosem zawołała:
 — O słodki Panie! o nasz dobry Chryste!
 Twe królowanie czemu przyjsć odwleka?
 Ten duch zbłąkany, w lica Twe świetliste

⁶⁴ *schody gemońskie* — u stóp Kapitolu w Rzymie. Wleczono po nich do Tybru zwłoki uduszonych w Więzieniu Mamertyńskim. Motyw ten wyzyskał Faleński w wierszu *Taniec śmierci* (*Swistki Sylena*, Poznań 1876) i w meandrze 162.

Wejrzawszy, mógł się człkiem stać, a z człeka
 Aniołem, który będąc władcą Romy
 Dałby Ci z sobą ludów swych ogromy...
 Więc snadź nie pora jeszcze albo może
 Świat nie dość chory, aby wziął swe łożo
 I szedł za Tobą, gdzie Twa łaska wskaże... —

O dziewczę, wspomnij! W złoty brzask jasności,
 Za wodza mając bethleemską zorzę,
 Kto przyszedł pierwszy, mali czy mocarze?
 Umysłem tędzy czy też duchem prości?
 Patrz! Tacy sami, depcząc czarcią pychę
 Bosymi stopy, skromni, w prostej mowie
 Bezdenni mędrcy, brzmiąc jak arfy ciche
 Aniołów tchnieniem, ludzi rybitwowie,
 Pastusi duchów, dziś, z pogodnym czołem
 Śmiało w poselstwie idą w świat wesołem.

I oto drudzy — w sposób niemniej śmiały,
 Nie od przemocy szczytów, lecz z podziemi,
 Wymowni Bogu, a bożyszczom niemi,
 Podczas gdy w górze brzmią cyrkowe szwały,
 Mknąc ze spoliarów, niosą wśród cichości
 Nie dochrupane przez tygrysy kości,
 Bo z tych się zrodzi mściciel Pańskiej chwały,
 Chorągwią z chusty wiejąc w żywym słowie
 Świadectwo niebios, iżby narodowie,
 W twarz Bogu patrząc, wzięli dusz swych zdrowie! ...

Ludzkości chora! cóż cię dziś uleczy?
 Ty w chuście cudu widzisz białe płótno
 I przeto jesteś pełną chmur i smutną!
 Ten bóg, którego święcisz marnej pieczy
 Wysilek cały swej dzielności człecznej,
 On także w znojach będzie miał konanie,
 Tylko że umrze i nie zmartwychwstanie!

Ludzkości biedna! Gdybyś ty pokorę
 Z wygnania przyzwać chciała i prostaczą
 Wiedzę aniołów, którzy trosk twych płaczą,
 To nie ty wtedy, lecz by serce chore
 Miała za ciebie wieczna złość, z rozpaczą
 Precz idąc, kędy ognik błędny gore
 Skarbem obietnic jej jak próchno tanim ...

O! spójrz w ten rąbek! Co? Wszak widzisz na nim
Tego, z którego dnieje dusz pociecha?
Ma w skroniach ciernie, jednak się uśmiecha
Słodyczą rajska. Patrz! To twarz jest błoga,
Nie dóbr doczesnych, lecz miłości Boga.
W niej głos wyczytasz Wcielonego Słowa,
Które z twą wolą ślub tak dzielny chowa,
Że byłeś tylko chciała, będziesz zdrowa!

31

W pierś mię bije skarga tkliwa,
Jak z Zygmunutowego łona
Jęk podzwonny, gdy król skona:
— Gdzie to, synu, twoja niwa?
Gdzie to, synu, dom twój bywa?
Gdzie zagrody twej bierwiona?

Od kurhanu, od opola,
Przez krwawicę rżysk i grudy
Łzawy głos ten lka jak wprzódy:
— Miedze poszły w świat przez pola!
Gdzie twe kopce i twa rola?
Rozniósł wiatr twych ojców trudy!

— O mój ojcze! mój jedyny!
U rozstajnych dróg ja stoję...
Pług się zdarł i zdarły zbroje...
Bo na wykup tej krainy
Zbyt nam ciężko płacić winy
Razem swoje i nieswoje.

Jam syn ziemian i rycerzy,
Lecz krwi znoje cóż dziś mogą?
Bóg nam zdarzył dołę srogą.
Łan zdziczały coraz szerzej
Chwastem się, jak zajrzysz, szerzy,
Miecz już nie ma bronić kogo.

Niechby chociaż w czas — jeżeli
Zginać mamy — lud wieśniaczy,
Syny gazdów i oraczy,

Jak my niegdyś, w krwi topieli
 Męstwa czią wyszlachetniali ...
 Gdy nas Bóg już chcieć nie raczy. —

(W Wielki Piątek 1891 r.)⁶⁵

32

Śmierć mię w taniec zaprasza,
 Lecz mi nie w smak te gody,
 Więc rad szukam przeszkody.
 — Ach! na imię Judasza!
 Co? czyż kolej już nasza?
 Niech ci służy ktoś młody... —
 — Wstydź się płochych tych gości!
 Patrz w pustacze ich twarze!
 Ja im z tobą pokażę
 Taniec pełen godności. —
 — Ależ — proszę jejmości —
 Czyż mam w pierwszej iść parze?

Może jutro lub wreszcie
 Za godzinę... — Nie można. —
 — Moja jaśnie wielmożna ... —
 — Nie. Nie. Jesteś w areście.
 Muzykanci! hej! śpieszcie! —
 Brzmi więc gędzba bezbożna.

A ja, drżący i nagi,
 Wzięty w palce polipie,
 Sam, na własnej swej stypie,
 Śpieszę, jakbym brał plagi,
 W taniec pełen powagi —
 I już we mnie duch zipie...

Ażci w znojnej tej porze
 Zdobna w czaszki telega
 Z miejscem w trumnie nadbiega.
 Zbierz manatki, nieboże!
 Młody do niej wsiąść może,
 A ty młsisz, boś z brzega.

9 I [18]92

⁶⁵ Liryk ten jest centonem wybranych cytatów wierszowych z *Pieśni o domu naszym* Wincentego Pola, Lwów 1866.

33

Posiedzenie członków Brazylijskiego Towarzystwa Poszukiwaczy Starożytnych Zabytków. Rzecz dzieje się w V wieku ery zburzenia Europy, na ogromnej górze, będącej kupą gruzowisk Warszawy.

MARFISSA

Wysłano nas tu diabli wiedzą po co ...
Kolka się żegna

TATIANA JAZŁOWIECKOJ

Mi zdaje się, tu żyli same ruskie ludzie.

KÄTCHEN GANZMANN

Hier ist gewiss das Centrum Niemieckiego Vaterland ...

PROFESOR MOPSUS

otwiera gębę, żeby coś powiedzieć, ale mu ją Marfissa pięścią zatyka

RUCHLA BARONÓWNA LOMBARDI (PREZESKA)

Wy potrzebujecie nic nie rozprawać, aż ja wprzódy nie otworzyłam posiedzenie. Woźny! Czy ty słyszysz? Za co się tobie płaci?

GĘGALSKI

Posiedzenie otwiera się,
Lecz z tym zastrzeżeniem zasię,
Aby tylko po dwie Kasie
Chciały gadać w jednym czasie.

MARFISSA

Proszę o głos. (*nie czekając na przyzwolenie*) Co my tu będziemy dłużej pluli w garść, grzebiąc w zabagnicznym śmietniku, który stoczyło aż do zgnicia robactwo idiotycznych pokoleń, obślinione skrzykiem żabim zacyfanego filisterstwa? Na szczęście poszły już do diabła (*Kolka się żegna*) czasy ślamazarnych osobników, nadstawiające anemiczne klatki piersiowe w imię podwiązek historycznych swoich samiec⁶⁶, a nastąpiła epoka machin prujących wnętrzości tego świata oraz panowanie iskry elektrycznej, rozkładającej uczucia na molekuly uciech, krótszych od świstu lokomotywy.

⁶⁶ Aluzja do angielskiego orderu Podwiązki, ustanowionego przez Edwarda III w r. 1348. Dewiza orderu upamiętnia anegdotę: na balu dworskim pewnej damie upadła podwiązka, którą król podniósł ze słowami: „Honny soit qui mal y pense” – wstyd temu, kto źle o tym myśli.

RUCHLA

Do rzeczy.

MARFISSA

Właśnie mówię. Samodzielność moja uwydatniła się już w licznych objawach. W pogardzie mam zarówno sport szczudłowy tych, co się modlą pod figurą, jak i łażenie na żółwich rozklepanych nogach takich, co zez niedowierzania wytrzeszczają na moje nie hołdujące żadnej powadze czynności ...

RUCHLA

Ale do rzeczy.

MARFISSA

A! do rzeczy? Otóż pał was diabli (*Kolka się żegna*) z waszymi tam łopatomami, którymi dłubiecie w tym zatęchłym gnojowisku skorup i czerepów! Co mię obchodzi przeszłość zbutwiała? Ja chcę żyć dziś — ani wczoraj, ani jutro. Dlatego rozpoczynam działanie na własną rękę. Właśnie doszła mi wiadomość, że Centralna Władza Rozdawnictwa Wiekopomnych Nadgród za odszukanie nazwiska genialnego Wulkanisty, który w gruzów kupę wgrzebał starą Europę, już nie sto tysięcy, ale milion marek przeznacza...

RUCHLA

podskakując na siedzeniu

Aj! Ale to gruba rzecz. Ja tobie coś powiem, ty tak nie krzycz, bo jeszcze kto podsłucha.

MARFISSA

Cicho! Proszę mi nie przerywać!

RUCHLA

Jak ty mnie możesz, Marfissa, używać z takim wyrażeniem? Czy ja nie jestem prezeska, czy co? No to ja tobie zaraz odbieram głosu.

MARFISSA

Nie skończyłam jeszcze. Człowiek posiadający tę wiadomość sam jest w moim posiadaniu.

RUCHLA

Ale ten milion musi być do podziału na całym naszym Towarzystwie.

MARFISSA

To ode mnie zależy. Chcę własną moją ręką najlichszemu charłakowi dać milion w łapę, ażeby się pokazało, że dłoń wyswobodzonej z łątanych pieluch kobiety może rządzić nawet ślepym trafem, który tu, na tym

podłym świecie, sam wszystkim jak szara gęś rozrządza. Człowiek tedy, o którym mówię, jest mój i nikomu go nie dam.

RUCHLA

No, ty mądra jesteś, Marfissa. Ty chcesz za niego sama jedna za mąż pójść.

MARFISSA

Prędzej kazałabym sobie łeb ogolić, niż włożyć w podobne frajerstwo, które uważam za schowanie nosa w dziurę na to, aby puścić w trąbę wszelkie altruistyczne požądania. Zaraz się to pokaże. Wprowadzić pastucha! Jest to stary łachman, ale czy to jeden taki oprawiono na drągu i wyszrubowano pod powalę, aby go rozbębnić pomiędzy głodomorami tuzinkowej newrozy?

wprowadzają Starca mniej więcej stuletniego

KÄTCHEN

podbiegając ku niemu

Ja czebie będzie dalem ein tausend Mark, jak sze pokazało, co on Niemiec.

RUCHLA

podobnie z drugiej strony — przez ten czas Gęgalski siada na jej miejscu
Ja ciebie bardzo kocham, staruszk. No, ty jesteś bardzo pocziwy. Ja tobie dam, co się nawet nie spodziewasz. Ja ci nawet może pożyczę tysiąc marek na niewielkiego procentu. Tylko ty mnie jednej powiedz do ucha, jak on się nazywał. Ja tu prezeska.

GĘGALSKI

Osobniku nadjedzony przez mole, pozwól, że ci udzielię głosu. Imię, nazwisko, stan i zamięszkanie?

STARZEC

Nazywam się Ćwiczek i jestem z rodu królewskiego.

GĘGALSKI

Kpij zdrów. Samem widział, jakeś pasł świnie.

MOPSUS

Eumejos, który także świnie pasał, niemniej żył w przyjaźni z Ulissem, który był królem⁶⁷.

GĘGALSKI

To się działo, ni fallor⁶⁸, w czasach cerowanej tandety zapowietrzonego

⁶⁷ Aluzja do XIV pieśni *Odysei* Homera.

⁶⁸ «o ile się nie mylę»

wstecznictwa, mówiąc malowniczym stylem panny Marfissy. Ale jutrzejszy postępek stosunki te jeszcze silniej skojarzył.

Bo, narodzie miły, wiedz:
 Że gdy niegdyś pilnie strzec.
 Tych, co sami się nie strzegą,
 Ciężko było na jednego —
 Dziś ten jeden w swej osobie
 Sprawnie złączył władze obie.

RUCHLA

spychając go z siedzenia

Idź ty na złamany kark, woźny jeden! Ty nie masz żaden głos. Ja tu prezeska.

MARFISSA

do Cwiczka

A ty gadaj, co wiesz.

ĆWIECZEK

Mój dziad mi mówił: że mu jego pradziad
 Powiadał, mając od praprapradziada
 Zwierzoną sobie...

GĘGALSKI

Prarzecz prasłyszana.

Wszystko to już dawno wyprane w potopie i wyprawione za drzwi razem ze starym światem. Dzisiaj dziady za piec, pierze drzeć i Pana Boga chwalić. A ty, jeśli nie chcesz być zacofanem, to od prapopotomka zaczynaj.

ĆWIECZEK

No to rozpowiem, jako wiem i pomnę.
 To jak się wzięli one ojce ludów
 Sprzymierzać z sobą, zęby i pazury
 Jeden drugiemu pokazując każdy
 W jedynej świętej swojej własnej sprawie —
 Tak się zrobiła z nich Rzeczpospolita,
 Niepospolite rzeczy stąd czyniąca,
 Iż sobie hasło wzięto ku obsłudze:
 „Dzierż w garści swoje i chciej mieć, co cudze”.
 Więc ten miał tyle, ów półtora tyle,
 Inny półtora i pół jeszcze takich,
 Co dniem i nocą w pogotowiu stoją
 Z palcem na cynglu... — No, a równość, bratku? —
 Rzekł wreszcie któryś: — Czyż to ja od ciebie

Gorszy? A w czymże lepszyś ty ode mnie? —
 Za czym nie bawiąc gwoli tej równości
 Chciał mieć z nich każdy więcej, niż miał drugi.
 Więc tu: berdany, lebble, manlichery⁶⁹,
 Pancerne twierdze w ładach i na wodzie,
 Balony wścibskie, torpedowce ciche⁷⁰,
 Brak dymu, kiedy strzelam, a znów kiedy
 Schować się zechcę — dym na zawołanie;
 Słowem, u siebie każdy w nocnej kuźni
 Do współki z czartem; a zaś na dniu białym,
 W broń uzbrojony od głów aż do pięty,
 W sąsiada swego patrzy uśmiechnięty.
 I to jest przez nich zwane: pokój zbrojny.
 A ty, szczęśliwco, sobie sam prorokuj:
 Co to za zwierzę wojna ta bez wojny?
 Skoro w niej czujesz bez pokoju pokój.
 No, rzecz kosztowna. Ale nic. W kantorze
 Na grubych workach siedzi Żyd pejsaty.
 Dobrze mu, cicho. Więc jak *Talmud* każe,
 Jednych na drugich szczuje, tym i tamtym
 Na dobrą lichwę pożyczając chętnie...

RUCHLA

Ty się nie z parlamentem wyrażasz. To ja cię do porządku zawołam, rozumiesz?

GĘGALSKI

Ty potrzebujesz, żebyś mówiłaś: — Najjaśniejszy Izraelita z Mojzeszowym wznaniem.

RUCHLA

Woźny ty jakiś! za drzwi!

GĘGALSKI

Ale kieć tu nijakich drzwiów nikaj nie ma!

ĆWIECZEK

Tak co robiący, zesli się ludkowie
 W piwnicach ciemnych, na poddaszach wietrznych

⁶⁹ „Berdanki”, karabiny używane w wojsku rosyjskim od r. 1869 przez następne dwa dziesięciolecia, karabiny Lebela (nie: Lebbla) stanowiły uzbrojenie piechoty francuskiej w drugiej połowie XIX wieku, karabiny Mannlichera w wojsku austriackim pod koniec XIX wieku i w I wojnie światowej.

⁷⁰ Nowości uzbrojenia, aktualne w końcu XIX wieku. Dalej mowa o prochu bezdymnym.

I szemrzą, garścią zatulając gęby:
 — Cóż my tam dłużej znojem a krwawicą
 Żyć będziemy darmożjadów tyłu,
 Już nie na krocie, ale na miliony
 Rozproszkowanych, którzy nam po karkach
 Pieszko i konno wciąż się przechadzają,
 Brwi marszcząc, wąsy kręcąc, bardziej straszni
 Nam, cośmy w domu, niż tym, co za płotem ...

MAŁGORZATKA

Nie wydziwialibyście po próznicy! Byli pomiędzy nimi tęgie chłopaki.

GĘGALSKI

Może huzary?

MAŁGORZATKA

z płaczem

Ja, jak Boga kocham, uczciwie wyjdę za mąż za mojego Stacha, ino żeby
 on raz nareszcie dostał posadę.

GĘGALSKI

Nim się jednak jej wystara,
 Gdy już staniesz z nim do pary,
 I on będzie wielce stary,
 I ty będziesz mocno stara.

KOLKA

Milcz, głupia! Cóż to jest za mąż pójść? Czy chcesz powiedzieć przez to,
 że mąż będzie szedł przed tobą? Przykładem swoim zgorzenia nie rób.

MAŁGORZATKA

Komu ty zadajesz głupstwo? Ja mam patent z Zurychu.

KOLKA

A ja uczyłam się anatomii.

RUCHLA

A ja inżynierka i w admiralicji mam stanowisko takie, co ono jest bardzo
 ogromne, a wcale się przez tego nie chwale.

MARFISSA

O! pędraki mazgajowate! własny palec zamiast smoczka sobie ssące! Bo-
 daj wam gęby papką zapchano! Słucham cię dalej, stary niedołęgo!

ff

ĆWIECZEK .

I mówią dalej owi mniej cierpliwi:
 — Ma kij dwa końce, ma i ludzkie głupstwo

Kres, gdy za pracę coraz nędzniej płatną
 W jedynym zysku widzi płótno gołe
 Dna swej kieszeni. Więc, panowie mili!
 Czy to wam jednym Pan Bóg dał dynamit?
 I czy to święci garnki lepia? ... — Tedy
 Ni stąd, ni zowąd lecą gdzieś aż w chmury
 Fabryki rzeczy śmierć niosących, składy
 Prochów i broni, giełdy i dostawy
 Zapasów, które głodnym ludziom gwałtem
 Z gąb wyszarpnięto. Cóż, gdy z owej sprawy
 Radość jedynie temu, co nie widzi
 Nad koniec nosa. Bo tu wnet z kantorów
 Przez szybki słycać zachrypnięte głosy:
 — Nu, a gdzie wasze rządy przez nas płatne?
 Czy to wy tchórze? Przecież tu o waszą
 Skórę wam chodzi. Więc wy sobie dajcie
 Buzi ... i huzia! złączonymi pięściami
 Na te zbrodniarze, co kapitałowi,
 W którym jest przecię Capitolium świata,
 Domową wojnę wypowiedzieć śmieli. —

GĘGALSKI

Tu tedy, skoro tak już rozrządziło
 Zrządzące żądłem zrączych żądz rządzenie,
 Urzędy rządem rząd swój urządziwszy,
 Obrzędem kata nierząd ten współrządnie
 Rznąć jęły. Prawda?

CWIECZEK

Tak. Lecz tu się zdarzył
 Ów, co nie mówiąc nic nikomu z cicha
 Rzekł sobie: — Słusznie huzia! na takiego,
 Który w połowie robi rzecz, gdy trzeba
 Rzecz całą zrobić. Za czym poszedł w Alpy
 I tam, pieczarę upatrzwszy srogą,
 Włożył w nią cały międzynarodowy
 Dynamit⁷¹, nie zaś jego powiatowe
 Zachcenia, po czym piorun z chmur ściągnawszy,
 Mogiłę zdołał dźwignąć tak dokładną,

⁷¹ Pomysł dla nas naiwny, ale któż mógł przewidzieć bombę wodorową? Dynamit zresztą (wynałazek Nobla) i „Centralna Władza Rozdawania Wiekopomnych Nagród” ściśle się tu z sobą wiążą, a nawet określają termin *a quo* pomysłu, gdyż Nobel zmarł w roku 1896.

Ze ta, nakrywszy krzywdę i kapitał,
I siłę pięści, i wytwórczość zbytnią,
Wszystkie te razem braki i nadmiary
Zgodziła w wielce pożądanej ciszy,
Której tak samo wam, jak sobie, życzę.

MARFISSA

To dobrze. A teraz jakże się zwał ten wiekopomny dobroczyńca nie mającej już się powtórzyć ludzkości?

ĆWIECZEK

Człek był goryczą wszystkich krzywd junaczy!
Człek z śmierci piętnem! W sercu jego łona
Zbiegła się cała ludzka zakażona
Krew, już nie żadna krew, lecz jad rozpaczy!

GEGALSKI

No, ale dokładniej nieco, w sposób urzędowy. Imię, nazwisko, stan jego i zamieszkanie?

Cwieczek milczy

Mój staruszk, nie bądź niemy!
Bo twój zmysł sam sobie przeczy,
Gdy od rzeczy gadasz rzeczy,
Które i bez ciebie wiemy.

ĆWIECZEK

Jak się zwał? nikt się u mnie nie dopyta,
Choć wiem. I tylko, w głębi serc uwierzcie,
Że Prometejem był, któremu wreszcie
Sęp rozbolałe przestał rwać jelita!

MARFISSA

Do wszystkich diabłów! (*Kolka się żegna*) Jeżeli istnieje baccillus idiotyzmu, o czym wątpić nie widzę powodu, to on z pewnością w mózgu twoim siedzi. Słuchaj, stary głupcze! Dość ci tylko garść wyciągnąć, a ja włożę w nią okrągły milion marek złotem. Czy ty to rozumiesz? Z nędzara w oka mgnieniu staniesz się bogaczem.

Ur

RUCHLA

Czego ty się wrywałaś, ty Marfissa jakaś z długim jęzorem! Jemu nic do tego. On nie jest z naszych członków. (*do Cwieczka*) Ty potrzebujesz bez niczego prawdę powiadać, bo my tu same urzędowe osoby.

ĆWIECZEK

Nie na to sto lat szedłem — Bóg mię słyszy —
 Noga za nogą, pod wiatr, w przystań ciszy,
 Bym dziś mą dolę sprzedał za wzgardzoną
 Garść soczewicy. Było tak rzeczono:
 — Ku rozwiązaniu ojców twych i twemu
 Obwieścisz światu równe potopowi
 Zniszczenia dzieło, by wiedziano, czemu
 Po starych gruzach depczą ludzie nowi,
 Choć im obłoki tęczą nie kraśniały.
 Ale jeżeli chcesz, byś umarł cały,
 To w grób weź z sobą nazwę ofiarniczą
 Tego, co z wyższych zrządeń wielce krwawy
 Zwiódł bój z nadmierną nędzy wszechgoryczą,
 Szukając tylko śmierci, nie zaś sławy.

GĘGALSKI

Bardzo rozumnie powiedziano. Bowiem jeśli ów Noe nowoczesny pospołu
 ze swym dziełem ponad ziemię wyleciał, to na co komu wiedzieć, jak się
 on zwał po swojemu, skoro już swoim być nie chciał.

ĆWIECZEK

pogrążony w dumaniu

Oślicy Balaamowej nawet nie poskąpiło niebo głosu proroczego...

GĘGALSKI

Nie przypominam sobie, kiedy mogłem ci być przedstawiony.

ĆWIECZEK

... Albowiem mądrość świata tego głupstwem jest u Boga. Bo napisane
 jest: — Pojmam mędrce w chytrności ich. — I zaś: — Pan zna myśli
 mędrców, iż są próżne (*Do Koryn.*, 1, III, 19). —

Bo ziemia, która deszcz często na nią padający pije i rodzi ziele uży-
 teczne tym, którzy ją sprawują, bierze błogosławieństwo od Boga. Lecz
 ta, która rodzi ciernie i osty, wzgardzona jest i bliska przekleństwa, któ-
 rej koniec ku spaleni (Do Żydów, V, 7 i 8).

Nie błądźcie! Z Boga trudno się śmiać. Albowiem cokolwiek będzie siał
 człowiek, to też będzie żął (*Do Galatów*, V, 7).

MARFISSA

Precz z tym świętoszkiem zdzieciniałym! Wieje od niego woń trupia!

GĘGALSKI

Tedy, ostatni z rodu królów, zapraszam cię do ustępu — chcę mówić: na ustępu.

Cwiczek odchodzi

TATIANA

A jestli u niego książeczka legitymacyjna albo paszport, a? Jakby nie, tak policjanu albo żandarmu dcnos nada zrobić, co by śledztwo było i komisja. On prosto podejrzany.

GĘGALSKI

A ja słyszał, co on prawosławny. Tak, rozumie się, jest u niego pełna błagonadziejność' i nawet znak za sto lat nieskazitelnej służby.

RUCHLA

Jego by szpilkami kłuć albo co takiego, aż on nie powie, co potrzeba. A może nie wie.

MOPSUS

On jeden wie. Poznałem to z rozmiarów jego czaszki. Ale także widać z barwy jego włosów, że jak zechce...

GĘGALSKI

To nic nie powie, stosownie do kształtu swoich paznokci. Ach! Mopse luby! jakże to cudownie w okoliczności każdej boni convenimus ambo.

KÄTCHEN

Verflukter! Milion marek na nic!

GĘGALSKI

Nicht wahr? Szkoda narodowa. Ów nie nazwany miał bez turkotu na gumowych kołach prosto wjechać do bierhalli, chciałem powiedzieć, Walhalli.

RUCHLA

Niechby ten stary choć powiadał, co wie o tutejsze mieszkańce. Idź, woźny, i zwróć mu uwagę na tej potrzebie! Bo inaczej to my jesteśmy stratni całe to poszukiwanie i potrzebujemy z niczym wrócić do Brazylii.

Gęgalski wychodzi

fr

MOPSUS

Według zapewnienia współczesnego tym ludziom, najsłynniejszego francuskiego jeografa nazywali się oni „Polaki” i mówili zepsutym ruskim — (przez dwa s) — narzeczem.

TATIANA

Da, da. Prywisałskijsze szlachticzy i ksiondzy. U nich nie było ani istorii, ani litieratury nijakiej, ani królów żadnych, a tylko intryga i bunty. Ani justicji, ani finansów, ani kontrolnej kontory — prosto nihilisty! Oniże byli źle notowani w trzecim oddzieleniu. Tu wszystko od stworzenia świata ruskie — (przez dwa s).

KÄTCHEN

Ja, ja, gewiss. A te Ruskie to byli uralte deutsche Provinz. Tu było alles deutsch. Preussen, Kurland, Liffland, Estland, Ingermanland, gdzie Hauptstadt Petersburg i dużo inne: Kronstadt, Szlisselburg, Orianienbaum, Peterhoff, wszystko echt deutsch aż po same Ural, gdzie było: Eka-
terinburg, Orenburg.

MARFISSA

Macie się też o co za łby brać, bezmyślne sroki, z którymi człowiek inteligentny chcąc się dogadać sam sobie ubliża.
chce wyjść trzasnąwszy drzwiami, ale drzwi nie ma, więc bez trzaśnięcia wychodzi

RUCHLA

A ja dopóty wątpię we wszystkie te wasze orzeczenia, dopóki ten stary nie powiadał ostatnie słowo. (*do wchodzącego Gęgalskiego*) No cóż tam?

GĘGALSKI

O nic go się dopytać nie można. Umarł czy coś podobnego. Kiedy go poruszyłem — bo siedział skulony. — przewrócił się i nawet nie dał znaku życia.

RUCHLA

Nu, to jest żaden interes. Więc na tym posiedzenie niniejsze niech jego będzie koniec.

wstaje, a za nią wszyscy, mając się ku wyjściu

MOPSUS

Ludzie, co tu mieszkali, musieli być albo zupełnie goli...

GĘGALSKI

Pfe! Co też jegomość za nieprzyzwoite rzeczy prawisz!

MOPSUS

Albo ze wszystkim, co mieli, w powietrze wyleciawszy, stamtąd czym prędzej za granicę spadli, skoro po nich w miejscu ani śladu czegoś rozsądnie ich własnego. Ale co to ja tam takiego na ziemi spostrzegam?

MAŁGORZATKA

To kamień, który mi Stacho przyniósł, żebym miała na czym siedzieć.

GĘGALSKI

No widzisz. To jest już i posada.

MAŁGORZATKA

Trochę popsuty, bo sobie na nim chłopci siekiery ostrzą.

GĘGALSKI

Do wycinania cudzych lasów. Trochę także wysiedziany na posiedzeniu, posiadającym tylko to, czego nigdy nie posiędzie.

MOPSUS

Ale jest na nim napis jakiś. Pokażcie mi go. (*bierze i wykręca go rozmaicie*) Kulasy nikomu nie znane. Nie wiadomo, jak je czytać. Czy od lewej ku prawej, czy przeciwnie?

GĘGALSKI

Czy nawet od dołu do góry, o co mniejsza, byle wyczytać. Radzę jednak wprzód zasięgnąć zdania Tatiany Iwanowny, czy to aby utwierdzone przez cenzurny komitet.

MOPSUS

Przypuszczalnie jest to tylko nadgrobek pochodzący z epoki, w której nie znano jeszcze patentowanych pieców do palenia ciał.

GĘGALSKI

Z wyłączeniem kości, które dopiero w cukrowniach ulegają przemianie na mączkę nirwany. A ja przypuszczam, że to po prostu ostrzeżenie uliczne, grożące karami, jakby kto przechodzący pozwolił sobie w kącie ...

RUCHLA

Pfe! Nieobyczajny! Głupi jakiś! Warteś za to, żebyś z tym kamieniem w łeb wziął!
rzuca go na Gęgalskiego, ale ten się uchyla i kamień pada na gruzowisko, rozbijając się na drobne szczęty

GĘGALSKI

Tu w łeb nieznane wzięły cienie,
 A z nim i mądre posiedzenie.
 Co wszystko mając w znacznej cenie,
 Wszem wobec kłaniam uniżenie.

wszyscy wychodzą

Mówiąc odsyłaczowo, na kamieniu owym znajdował się mniej więcej następujący napis:

Czy wiesz ty, po czym stopa twa depce?
To Felicjana mogiła.
Niegdyś za grzechy Bóg tu go zsyła
Całego ślepca między półślepce,
Bo on był Mazur, więc już w kolebce
Ciemna mu gwiazda świeciła.

Obecnie na tym niezbyt ciekawym zabytku choćby dla wykrajania fu-jarki nikt już kozika nawet nie wyostrzy.

D o p o w i e d z e n i e

Kiedy już będę daleko,
Na innym, nie na tym świecie,
Nad niepamięci gdzieś rzeką
Kwiat myśli moich znajdziecie.

Do wschodzącego miesiąca
Jego się kielich otworzy,
A z niego rosy łąza drżąca
W wieczornej rozbłyśnie zorzy.

Mgle wątlej, która się słania
Jak puch, jak powiew leciutki,
Bez żalu i bez szemrania
Wypowie wszystkie swe smutki.

Po czym w serdeczną tę ciszę,
Zmierzch gwiazd mającą za świadka,
Z wolna go coś ukołysze
Do snu, jak anioł, jak matka.

Aż wreszcie wśród tej samotni,
Którą zna tylko wzrok Boga,
W niebo się z niego ulotni
Pociechy słodkiej woń błoga...

MATERIAŁY DOTYCZĄCE BIOGRAFII I TWÓRCZOŚCI MARII KOMORNICKIEJ

I

ANIELA KOMORNICKA

MARIA KOMORNICKA
W SWYCH LISTACH I MOJEJ PAMIĘCI

1. Rodzina

Na piaszczystym wzgórzu, w odosobnieniu, wznosił się skromny, niski modrzewiowy dworek szlachecki, otoczony szumiącym parkiem, gdzie starodrzew i lipowe aleje przeglądały się w obrośniętych tatarakiem i sitowiem cichych stawach, a wilga uporczywie stawiała tajemnicze pytanie.

W tym to zakątku przez długie lata (1870—1883) przychodziła na świat cała gromada dzieci, a wśród nich upragniona i wyczekiwana Marynia — późniejsza Maria Komornicka-Lemańska.

Grabów nad Pilicą (powiat kozienicki) był naszym majątkiem rodzinnym, dziedziczonym przeważnie po kądzieli. Fakt ten zapewniał dodatkowo przewagę dość silnym kobiecym indywidualnościom naszego klanu. Pradziadek, łowczy wieluński, Jan Komornicki, właściciel paru majątków w ziemi kaliskiej (Rzeki, Kłomnice itp.), był ożeniony z Różą Madalińską, siostrą generała Madalińskiego (1739—1805), z którym łączyła ją ścisła współpraca i zażyłość. Podobno w czasie insurekcji była w ciągłych łącznościowych rozjazdach i jednego ze swych synów (Wojciecha) urodziła w saniach.

Prababka Dzwonkowska, Ludwika z Witkowskich, była siostrą prezesa trybunału w Radomiu, Augusta Kajetana Nowiny-Witkowskiego, który zmarł bezdziejnie. Ludwikę Dzwonkowska odziedziczyła po bracie majątek Grabów nad Pilicą. Była to kobieta bardzo energiczna, despotka i pasjonatka. Bano się jej panicznie. Zmarła w Krakowie na apopleksję po bardzo sutej kolacji. Babka Komornicka z domu Józefa Dzwonkowska,

choć niezbyt urodziwa i nieco garbata, wchodziła dwa razy w związki małżeńskie (1-o voto Stanisławowa Komornicka, 2-o voto Ksawerowa Chlebowska). Posiadając dużo temperamentu i niespożytą energię, rządziła bezapelacyjnie pierwszym mężem i licznym męskim potomstwem. Opanowała ją na schyłku rozkwitu niewieściego (48 lat) drugi mąż Ksawery Chlebowski, z którym żyła kilkanaście lat bezdzietnie. Dziadek Florian Stanisław Nałęcz-Komornicki (1800—1855), dzierżawca mająteczku Sidzina pod Krakowem, był dość lekkich obyczajów. Używał życia, polował, grał w karty i uganiał się za kobietami. To go doprowadziło do strat majątkowych, przedwczesnego zniedołężnienia i przyspieszonej śmierci. Po dwóch latach oficjalnej żałoby babka wyszła za dawnego dobrze znanego sąsiada, Ksawerego Chlebowskiego, którego żelazna ręka mocno zaważyła na losie pasierbów.

Tak zwany „dziadek” Chlebowski (1802—1895) był nieprzeciętnej inteligencji i na owe czasy bardzo wykształcony. Straciwszy wcześniej rodziców, powierzony opiece Józefa Bronikowskiego, kształcił się sam i skończył prawo na Uniwersytecie Krakowskim. Jako współwłaściciel (siostra z Chlebowskich Wojciechowa Komornicka) majątku Sidzina koło Tyńca został aresztowany i prowadzony na śmierć w czasie rozruchów galicyjskich 1846 r. Cudem uniknął rozstrzelania i uciekł do Królestwa. Całym mieniem zaopiekował się lokajczyk Wojciech Piskorz¹, który następnie zwrócił je w wielkim porządku prawowitym właścicielom. Po tak ciężkich przejściach dziadek Chlebowski zniechęcił się do Galicji; Sidzinę sprzedał, a dysponując kapitałem 22 000 rs wydzierżawił od pradziadków Dzwonkowskich Grabów, chylący się do zupełnej ruiny z powodu niedołęstwa dziadka Stanisława Komornickiego. W roku 1857 ożenił się z ówczesną właścicielką Grabowa, Józefą z Dzwonkowskich Komornicką.

Chlebowski okazał się bardzo dobrym administratorem rozległych włości; umiał wykorzystywać sprzyjające okoliczności i bogactwo leśne Grabowa oraz wyzyskać i wprząć do pracy przyjaciela i doradcę Józefa Bronikowskiego, ekonomę Piskorza i swoich pasierbów. Wkrótce też wyprowadził Grabów z upadku. W domu i na folwarku panował bardzo uciążliwy terror, a wrzask soczystych wymyślań Bronikowskiego tak się wówczas rozpanoszył, że stał się niejako symbolem władzy dla następnych pokoleń.

Mając żywo w pamięci przeżycia z 1846 roku, obawiał się w przeddzień powstania 1863 nowych zaburzeń agrarnych. Wydzierżawił więc memu ojcu Augustynowi Komornickiemu Grabów i przeniósł się do Warszawy. Za pieniądze wygospodarowane z Grabowa kupił dom na Lesznie i tam osiadł wraz z żoną.

¹ Wojciech Piskorz, ojciec generała Tadeusza Piskora.

Ojciec i całe jego rodzeństwo urodzili się w majątku Sidzina (Krakowskie), dzierżawie dziadka Stanisława Komornickiego, który tym skrawkiem ziemi został w działach po łowczym Komornickim wykwitowany przez braci: Wojciecha (ożenionego z Chlebowską), który odziedziczył Wrząca (Kaliskie), i Józefa, właściciela majątku Dzigorzew (Kaliskie).

Na ogół synowie Floriana Stanisława Komornickiego i Józefy z Dzwonkowskich² pobierali naukę w Krakowie, a podczas wakacji i w latach młodzieńczych przebywali w Grabowie. Dzieciństwo i wczesna młodość ich nie była zbyt szczęśliwa, częściowo przebiegała w klimacie domu zdziwaczałych dziadków Dzwonkowskich — mieszkających w Krakowie — przy nigdy nie zaspokojonym głodowaniu w prywatnym internacie krakowskim Jankowskiego, oraz w dusznej atmosferze Grabowa, którą stwarzał despotyczny, oschły i skąpy, lecz praktyczny i inteligentny ojczym. Najstarsza siostra jedynaczka, Franciszka, o dużym temperamencie i samowolna, zakochała się i wcześniej wyszła za mąż za Gulkowskiego, urzędnika w Galicji. Mieszkali w Krakowie. Według opinii najbliższych popełniła mezalians i stosunki z tym odłamem rodziny były bardzo luźne. Następne pokolenie połączyło się węzłami małżeńskimi przeważnie z cudzoziemcami.

Stryj Piotr ciągnął za sobą jakieś tajemnicze przejścia, które go życiowo obezwładniły. Przez jakiś czas mieszkał w Warszawie na Lesznie w domu Chlebowskich, następnie wyjechał za granicę. Ostatecznie osiedlił się w Grazu, gdzie pędził starokawalerski żywot emeryta-melomana, często zapadając na zdrowiu. Otaczała go głęboka melancholia nie zrealizowanych zadań życiowych. Coś nieokreślonego gnało go z miejsca na miejsce. Nigdzie się nie mógł zakorzenić. Był ojcem chrzestnym Maryni i Adasia i uważano, że nie miał szczęśliwej ręki.

Stryj Stanisław zawsze na mnie robił wrażenie pięknego, opanowanego drapieżnika, gotowego do skoku tygrysa. Zawsze umiał politykować z ojczymem, co mu się sownie opłacało. Przed powstaniem dzierżawił od dziadków dwa folwarki grabowskie, Cychry i Grabowską Wołę, i powodziło mu się dobrze. Należał do stronnictwa „białych” i musiał po upadku powstania emigrować. Przebywał przez jakiś czas w Londynie, lecz gdy mu się fundusze wyczerpały, wrócił do kraju i osiadł w Galicji wschodniej, gospodarując w nabytym ładnym majątku Zawadce koło Kołomyi. Wkrótce ożenił się z panną Heleną Słonecką. Od nich wywodzi się linia

² Dzieci Floriana Stanisława i Józefy Komornickich: Franciszka z Komornickich Gulkowska; Piotr Komornicki — kawaler (ur. 1833 (?) — zm. w sierpniu 1889 w Gracu); Stanisław Komornicki — (zm. w marcu 1904 w Zawadce ożeniony z Heleną Słonecką); Augustyn Komornicki — (ur. 28 VIII 1838 — zm. 5 VI 1895 w Grabowie) ożeniony z Anną Dunin-Wąsowicz; Władysław Komornicki — kawaler (ur. 1840 (?) — poległ 2 VI 1863 r. w Wierchowiskach pow. radomski).

rodziny Nałęcz Komornickich galicyjskich, bardzo rozgałęziona i dobrze skoligacona.

Najmłodszy stryj Władysław był również bardzo przystojny. Miał charakter niezależny i umysł żywy. Kobiety za nim szalały, a on nie omieszkiał poprawiać rasę naszych włościan. Pod wpływem swojej stryjecznej siostry Eufemii z Komornickich Skłodowskiej, o której twierdzono, że dźwiga biurko rządu narodowego pod spódnicą, zgłosił się do powstania i walczył jako ułan i adiutant Kononowicza w swoich rodzinnych stronach. Po rozbiciu oddziału pod Warką nad Pilicą stryj uciekał Puszczą Kozienicką i dojechał do smolarni w pobliżu wsi Wierzchowiska (powiat radomski). Żyd pracujący w smolarni ukrył go w kopie wiórów. Mały pastuch wskazał schron ścigającym kozakom, którzy powstańca zakłuli pikami, a następnie dobili. Krwawą koszulę przechowywano długo w Grabowie jako rodzinną relikwię.

Ojciec nasz, Augustyn Komornicki, był człowiekiem zdolnym, energicznym, ambitnym, o temperamentie gwałtownym, naturze despotycznej i uczuciowej. Mając głębsze zainteresowania intelektualne pragnął się dalej kształcić na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po zdaniu matury (1858 r.) w gimnazjum im. B. Nowodworskiego w Krakowie został jednak zmuszony przez ojczyznę do gospodarowania w Grabowie pod jego kierunkiem. Dalsze studia były bowiem przez Chlebowskiego uzależnione od zrzeczenia się schedy po matce. Powróciwszy do Grabowa, ojciec objął pracę leśniczego z opłatą 60 rb. rocznie. Niedługo jednak usiadł na tej „ponętnej” posiadłości i dłuższy czas przebywał poza domem jako praktykant w Grzymiszewie, majątku Pułaskich.

Wzajemna niechęć i napięte stosunki między ojczyzną a pasierbem, stała groza wydziedziczenia musiały jednak ustąpić wobec nieprzewidzianych rodzinnych okoliczności, które stworzyło powstanie styczniowe i jego następstwa oraz solidarność między rodzeństwem.

Przeniesienie się „dziadków” do Warszawy, śmierć stryja Władysława, emigracja stryja Stanisława zadecydowały o wydzierżawieniu, a następnie sprzedaniu ojcu Grabowa.

Ojciec był wielopolszczykiem i powstania nie uznawał. Pełnił jednak jakieś mało znaczące funkcje administracyjne w organizacji powstańczej i to spowodowało paromiesięczne uwięzienie go na Pawiaku. Po zwolnieniu z więzienia mógł wrócić do Grabowa, gdzie w czasie jego nieobecności nad wszystkim czuwał opatrnościowy, wierny i roztropny rządcą Wojciech Piskorz.

Oswobodzony finansowo i politycznie ojciec zabrał się żywo do pracy, co w rezultacie dawało mu i zadowolenie, i duże dochody. Po kupnie Grabowa, sprzedaży lasu, spłacie rodzeństwa, uregulowaniu serwitutów ojciec stał się właścicielem dużego majątku (150 włók — około 3000 ha),

na ogół piaszczystego, dość dobrze zalesionego, lecz słabo uprawionego. Jednym słowem, „kobyła duża, ale chuda”, jak złośliwie twierdzili niechętni sąsiedzi.

Energicznie administrując mieniem chciał Grabowowi nadać cechy bardziej wielkopańskie. Szlachecki dworek z czasem stracił swój charakter; dobudowane piętrowe przybudówki z amfiladą salonów, salą balową i oranżerią oraz licznymi pokojami gościnnymi świadczyły o zmianie stylu życia.

Możliwości szerszej pracy były mocno ograniczone warunkami politycznej niewoli i brakiem popularności wśród sąsiadów — lekceważonych przez ojca „hreczkosiejów”. Fascynowała go arystokracja urokiem wyższej kultury, historycznymi tradycjami i wielkimi dobrami. Nie posiadał jednak materialnych danych, aby wyjść ze swojego dość zaściankowego środowiska. Ożenienie się z Wąsowiczówną otwierało wszakże pewne perspektywy dostania się do tej zaczarowanej krainy.

Matka nasza, Anna Dunin-Wąsowicz ze Smogorzewa (powiat radomski), była jedną z pięciu ślicznych córek Karola i Józefy z Gostkowskich. Dunin-Wąsowicze, którzy wywodzili się z duńskich wikingów osiedlonych w Polsce już za czasów Bolesława Krzywoustego, pędzili w swych zamkach i rozległych włościach życie wesołe i burzliwe. Jeden z protoplastów, Piotr Włast, miał wyznaczoną przez spowiednika ciężką pokutę z nałożonym obowiązkiem wybudowania siedmiu kościołów. Grzesznik uniósł się jednak honorem czy pckorą i wybudował ich jakoby siedemdziesiąt siedem. Od tego antenata pochodzi pseudonim Marii Komornickiej: Włast, którym podpisywała swoje oceny w dziele krytyki powieści, powierzonym jej przez Miriamą w „Chimerze”.

W stadle dziadków Wąsowiczów przewodziła babka. Dziadek Wąsowicz, który do ożenku (30 lat) dotrwał w dziewiczości, poddał się później surowej i popędliwej żonie, płodząc w krótkim czasie jedenaścioro dzieci. W sześćdziesiątym roku życia zaniewidział na jaskrę, chorobę wówczas nieuleczalną, i dożył 93 lat. Pamiętam go jako pogodnego, a nawet wesołego starca, który poznawał swe wnuczki wyczuwając kształt ich nosów, co było dość niemiłe. Grywał do tańca i sypał jak z rękawa anegdotkami, których większość była mocno sprośna. Po stracie dwóch jedynych synów, czując się ostatnim potomkiem rodu, zapadł w zaściankowy marazm, co mojego ojca wyraźnie złościło. Często powtarzana przez dziadka maksyma: „Synu mój, nie buduj; podpieraj a zbieraj”, była prawdopodobnie wyrazem mądrości tymczasowej, dostosowanej do przejściowości okresu niewoli.

Wąsowiczówny były ładne, ale niezbyt majątne. Posag każdej z nich wynosił zaledwie 15 000 rubli, co dla lepszego brzmienia wyrażało się okrągłą sumą 100 000 złotych. Wszystkie powychodziły za zamożnych

obywateli ziemskich³, którzy jak jeden mąż wyprzęgli mniej więcej na schyłku XIX wieku, głównie na skutek niedołęstwa i kryzysu agrarnego.

W latach sześćdziesiątych Smogorzew położony w ludnej okolicy (Opoczyńskie) roił się od gości. Dobry ród i uroda młodych panien przyciągały młodzież i dziewosłębów, a poezja romantyczna i budzenie się do nowego powstańczego ruchu usposabiała do marzeń. Uroczą Anna zakochała się w pięknym i rycerskim Dziańocie, który miał niewielki majątek Żychożyn w sąsiedztwie. Zaręczyny wypadły w przededniu powstania styczniowego. Tragedia narodowa stała się tragedią osobistą. Ukochany narzeczony walczący w powstańczych szeregach dostał się do niewoli i został zesłany na Sybir. Usilne starania o uwolnienie nic nie pomogły. Po pewnym czasie wyśniony rycerz ożenił się na wygnaniu, a babka zaniepokojona o los starzejącej się panny (miała wtedy aż 23 lata) wydała córkę za rozkochanego nowego konkurenta, Augustyna Komornickiego (26 VII 1867).

Małżeństwo rodziców nie było zbyt szczęśliwe mimo dożgonnej wzajemnej wierności. Porywczy i despotyczny ojciec musiał poprzestać na małżeńskiej uległości swej chłodnej i sceptycznej małżonki o rysach Junony. Po bujnym i gwarnym Smogorzewie piaszczysty i odludny Grabów wydał się młodej damie wygnaniem. Gospodarstwo domowe i ogrodnictwo, prowadzone z kunsztem i zamiłowaniem, wypełniało niekończące się dni letniej spiekoty, a długie zimowe wieczory poświęcano projektowaniu nowych ulepszeń i wspólnemu czytaniu. Wtedy to wypełniały się biblioteczne szafy dziełami historycznymi, złotymi tomami powieściopisarzy francuskich, naszymi klasykami, polskimi tygodnikami ilustrowanymi, rocznikami „Revue des deux Mondes” itp. zbiorami, które się stały później tajemną rozkoszą wczesnej młodości ciekawych dziewcząt.

Po długim dopiero okresie prawie zupełnej bezdzietności (najstarszy syn Jan urodził się po trzech latach małżeństwa), przyszła na świat córka Maria — wyczekiwana, wymodlona i ofiarowana Matce Boskiej, przerywając już niejako ustalone jedynactwo Janka, który wówczas liczył już lat sześć. Podobno mały Kryś (zdrobnienie Jana Chryzostoma) nie był z tej zmiany zadowolony.

Potem już żywo podążyła reszta młodszego rodzeństwa, co Marynia z humorem uważała za swoją osobistą zasługę. W tych nic nie znaczących jednak faktach tkwi, być może, jedna z podświadomych przyczyn nie-

³ Ewa Juliuszowa Boska z Bobrownik (Kozienickie); Helena Edmundowa Stanowska z Owczar (Proszowskie); Maria Włodzimierzowa Rutkowska z Kroczewa (Iłżeckie); Anna Augustynowa Komornicka z Grabowa (Kozienickie); Amelia Janowa Kochanowska.

chęci i antagonizmu, które Janka w stosunku do siostry do końca życia nurtowały.

W ten sposób uzupełniła się nasza dość liczna rodzina⁴.

2. Dzieciństwo

Pierwszym i dominującym uczuciem naszego dzieciństwa był upiorny strach, a następnie wewnętrzna konieczność opanowania go za wszelką cenę. Baliśmy się ciemności, złodziei, Cyganów, a przede wszystkim ojca. Jego bały się zresztą nie tylko dzieci, bała się matka, cała gromada tzw. guwernantek, oficjaliści, służba. Była to więź łącząca cały ten światek wobec groźnej potęgi. Z tego nieznośnego uczucia wyzwaliśmy się w różny sposób: ucieczką w najtajniejsze zakątki słonecznego ogrodu; pod osłaniającą niektóre najbardziej kochane dzieci spódnicę matki; modlitwą i nieoczekiwanym olśnieniem, że wszystko ma swój koniec; pójściem strachowi naprzeciw, zmuszając się np. do powolnego przechodzenia przez ciemne korytarze i schody. Ta walka ze strachem od najmłodsze-
szego dzieciństwa, to rozrywanie krępujących więzów stało się bardzo istotnym elementem psychiki i twórczości Maryni.

Dominująca nuta strachu nie wykluczała jednak pogodnych a nawet swawolnych nastrojów. Po dłuższych wyjazdach rodzice zawsze z zadowolaniem wracali do swego gniazda, gdzie nieco rozpuszczoną gromadę dzieci trzeba było na nowo opanowywać. Wspomnienia przebytych uciech rozbrzmiewały pieprznymi kupletami operetek lub sentymentalnymi ariami włoskich oper, rozjaśniając szarzyznę dnia powszedniego.

Pierwsze starcie między Marynią a ojcem, zanotowane w rodzinnych opowieściach, było sobie bardzo zwyczajnym incydentem, uważanym jednak z czasem za zapowiedź długiego zmagania się dwóch despotycznych i bujnych indywidualności — wszechwładnego ojca i zbuntowanej córki. Marynia miała wówczas zaledwie dwa lata. Najukochańsza mała piastunka Gosia przychodziła o zmroku, by ją uspić. Pewnego jednak dnia nikt się nie zjawił na rozpaczliwe wołanie: „Gosia, lulu”. Niesamowity wrzask tak rozdrażnił ojca, że porwał roztrzęsione dziecko i mocno je poturbował. Widocznie jednak przemawianie „przez ciało do duszy” jest bardzo skuteczne, bo mimo późniejszej nieobecności Gosi rozpacz się więcej wrzaskiem nie wyrażała. Prawdopodobnie już wtedy zagnieździł

⁴ Członkowie najbliższej rodziny: Anna z Dunin-Wąsowiczów Komornicka (ur. 26 VII 1844 — zm. 8 III 1928); Augustyn Komornicki (ur. 28 VIII 1838 — zm. 5 VI 1895); Jan (Kryś) (ur. 27 I 1870 — zm. 24 II 1952) — ożeniony z Wandą Trębicką; Maria (Marynia) (ur. 25 VII 1876 — zm. 8 III 1949) — żona Jana Lemańskiego; Elżbieta (Lila) (ur. 5 XI 1877 — zm. 17 I 1954) — żona Ignacego Mrozowskiego; Leon (ur. 1879 — zm. 1880); Franciszek (ur. 14 VIII 1881 — zm. 7 III 1941) — ożeniony z Haliną Rakowiecką; Aniela (Ela) — niezamężna (ur. 2 X 1882); Adam (ur. 19 IX 1883 — zm. w czerwcu 1942) — ożeniony z Marią Rogoyską.

się w podświadomości siostry upiorny strach przed wszelką tyranią, bardzo skwapliwie ukrywany przez całe życie, co w wielu wypadkach może tłumaczyć na pozór dziwaczne postępowanie mojej siostry. W dzieciństwie Marynia była bardzo pobożna, wykazywała nawet tendencje do mistycyzmu i dążność do świętości. Uczucia te rozbudzały żarliwe wspólne modlitwy ranne i wieczorne, a także w czasie burz i nawałnic. Przy zapalanej gromnicy błagalny głos matki na tle zawieruchy, gromów i błyskawic robił głębokie wrażenie. Zdawało się, że ona jedną siłą swoich modłów ma moc cofnięcia już niejako zapadłego u Boga wyroku zagłady. Od gradobicia jakoby skutecznie chroniły srebrne sztucce wyrzucane z ganku na podjazd. Były one zresztą przez służbę skrzętnie zbierane po skończonym dramacie żywiołu.

Podobne przeżycia, jak również rozczytywanie się w żywotach świętych doprowadziły Marynię do umartwień, którym kres położyła matka. Sznury głęboko wżarte w ciało zostały przecięte i swoboda ruchów zwrócona. Zdaje się, że ten sposób rozwiązania zagadnień religii był na rękę jedenastoletniej dziewczynce, która była już gotowa wpaść w drugą ostateczność. Marynia zaczynała marzyć o radosnym, swobodnym, wesołym życiu dorosłej panny na wydaniu.

O swoim dzieciństwie Marynia pisze sama w wierszu *Pierwsze dzieciństwo*, wchodzącym w skład dużego zbioru utworów zatytułowanych: *Księga poezji idyllicznej*. Praca ta powstała między rokiem 1917—1927 w Grabowie, już po psychicznym załamaniu i następnym spojrzeniu wstecz ze spokojem, ale zarazem z drwiną i spaczonym osądem pseudomędrca.

Tłem, bodźcem czy punktem wyjścia dla tych nowych miraży były Bobrowniki, majątek wujostwa Juliuszów Boskich, oddalony od Grabowa o jakie dwie mile (około 18 km). Wśród licznej głowaczewskiej rozbawionej, roztańczonej młodzieży królowała humorem, dowcipem i niefrasobliwą gościnnością ciotka Boska (siostra naszej matki) mocno wrośnięta w plotkarską, beczynną i wyprzegającą szlachtę, na ogół po uszy zadłużoną u Kopra, lichwiarza z Radomia.

Konieczność wydania za mąż całej gromady dorastających a ładnych czy brzydkich, lecz nieposażnych córek całkowicie w owych czasach usprawiedliwiała zręczne zabiegi uroczej ciotki. Erotyczną atmosferę podsycał jeszcze bardziej włoski temperament rodziny Boskich, który dawał się srodze we znaki całej okolicy. Stetryczały wuj Boski zdawał sobie sprawę ze zbliżającego się bankructwa i niezbyt chętnie podejmował fikających gości, musiał jednak robić dobrą minę do złej gry.

Ojciec był raczej na bakier z całym tym klanem już prawie zrujnowanych właścicieli ziemskich; sądził ich surowo i zanudzał się w ich towarzystwie. Toteż rzadko bardzo zajeżdżały przed nasz dwór poszostne ka-

roce z łysymi kasztankami, aby całą liczną rodzinę wraz z nauczycielskim personelem przewieźć przez cudowne lasy Zamoyskich, pełne zwierzyny, do miejsca szczęśliwości. A powroty były zawsze urzekające: w noc księżycową lub w gęstą ciemność rozświetlaną fantastycznie pochodniami. Cały tajemniczy świat napomknąć, niedomówień i obietnic budził wyobraźnię i przyspieszał bicie serca. Lecz „z uludnych snów” już w pobliżu Grabowa budził bezwzględny rozkaz zmówienia głośno przydługiego pacierza. Dla Maryni był to okres przedwczesnych zakochań w każdym niemal ukazującym się dorosłym mężczyźnie, gwałtownego pragnienia gorsetu fiszbinowego, długich sukien, wysoko upiętych włosów i „dorosłej” swobody na szerokim świecie.

Życie w Grabowie toczyło się pracowicie i monotennie. Ojciec, który nie przestawał ubolewać nad przerwanyymi swymi studiami, kładł ogromny nacisk na wykształcenie dzieci. Kochał nas bowiem gorąco i nie licząc się z naszymi upodobaniami chciał nas uszczęśliwić tym, czego mu los poskąpił.

Najstarszy syn, zdrobniale zwany Krysiem, był średnio zdolny, lecz posiadał nieprzeciętną pamięć, co mu bardzo ułatwiało naukę, przy wybitnie werbalnym systemie nauczania. Przebywał w Warszawie na stacji Papłońskiego, uważanej za najlepszą, a skupiającej młodzież ziemiańską. Urobiona łapówkami droga do przekupnego nauczycielstwa rosyjskich gimnazjów nieco łagodziła ostry kurs rusyfikacyjny czasów apuchtinowskich. Systematycznie i skrycie funkcjonujące komplety języka polskiego i historii uzupełniały solidną humanistyczną wiedzę, zdobywaną poprzez dżunglę „udarieni” i znaków „miękkich i twiordych” znieawidzonego rosyjskiego języka.

Reszta dzieci uczyła się w Grabowie, pobierając naukę od całego sztabu nauczycielek i „gubernantek”, jak je nazywała służba. Intellektualnie stały najwyżej „nauczycielki domowe” języka polskiego, które jednocześnie udzielały lekcji muzyki. O wiele mniej wykształcone były Francuzki, a Niemki stały na najniższym poziomie. Arytmetyki i rosyjskiego uczył dojeżdżający z Warki nauczyciel tzw. szkoły ludowej. Mama uzupełniała edukację lekcjami historii i religii.

Spośród całego tego zbiorowiska różnojęzycznych „pedagogów” wyróżniała się Ludmiła Kuleszyńska, entuzjastyczna stara panna, z patriotycznymi tradycjami i ogromną brodawką u nasady nosa. Marynia później twierdziła, że to właśnie ona dała jej mocne podwaliny wiedzy o polskiej mowie i nauczyła grać Beethovena. W wiejską głuszę często wpadały nostalgiczne, burzliwe, buntownicze tony *Sonaty Kreutzerowskiej* czy *Księżycowej*, niby wyzwanie i zapowiedź wyzwolin.

Mademoiselle Marie Moncosé, niezmiernie żywa, dokształcała się z prawdziwą pasją. Jeżeli poruszono nie znaną jej kwestię, zapowiadała:

je m'en vais voir dans mon Bouillet, i przy najbliższej sposobności kierowała rozmowę na ten sam temat, aby móc wyrecytować wyuczony na pamięć encyklopedyczny ustęp. Spiewała z dziećmi staroświeckie francuskie piosenki, zabawiała barwnymi, pouczającymi *leçons de choses* i rozśmieszała dowcipnymi powiedzonkami. Najgorsze było wkuwanie na pamięć *cours de botanique et zoologie*, pięknie wykaligrafowanych i zgoła niezrozumiałych. Nauczyła nas paplać po francusku, a nawet kochać francuski język.

Tak zwane „beztroskie lata” były już wówczas dla Maryni osnute pragnieniem wyroju. Wszystkie zamierzenia przerzucała na jakąś wymarzoną dorosłość, określoną dziecinnym powiedzeniem: *quand j'aurai fini mon éducation, quand j'aurai un corset*, tak bardzo przez wszystkich wyszydzanym. W chwilach bowiem pogodnego nastroju ojciec lubił nas pobudzać do szermierki słownej, w której były wyciągane i złośliwie komentowane śmieszności i tajne słabości. Toteż obok grozy następstw przewinień obawa wysmiania urabiała skrytość i poczucie osamotnienia. Niebezpieczeństwo zwierzeń ograniczało uczuciowe współzycie.

Pierwszy gremialny wyjazd naszej rodziny z Grabowa był spowodowany wyraźnymi u dzieci objawami skrofułów. Ojciec zawsze niespokojny o nasze zdrowie, obawiając się atawistycznego obciążenia, na pierwszy alarm wyprawił całą „famulę” (tak ją Marynia nazywała) do Buska według zaleceń lekarza (lipiec 1889 r.).

3. Przedwczesna młodość

Nieznany świat, większa swoboda ruchów wprawiły nas w zdumienie, a jednocześnie spoistość rodzinna uległa jak gdyby pewnemu rozluźnieniu. Na obcym gruncie, z dala od ojca Janek wyrывał się na samotne rekonesanse, starsze siostry pozowały na dorosłe panny, chodząc poważnie tam i z powrotem z matką po deptaku, najmłodszy pod czujnym okiem m-lle Moncosé nudzili się jak mopsy. Przedwcześnie wyгнаła nas z uzdrowiska szerząca się tam szkarlatyna, która nie ominęła młodszych dzieci. Adaś szczególnie ciężko zapadł na nerki, a ojciec szalał z udręki. W takich chwilach obnażał się ogrom ojcowskiej miłości.

Po tym wyłomie w wiejskim bytowaniu, prawie bezpośrednio nastąpiło przeniesienie się całego domu do Warszawy, na rok szkolny 1889—1890. Ojciec został sam na wsi, a matka z całą gromadą dzieci (sześcioro!) wyruszyła do stolicy dla ich edukacji. Wobec dorastania starszych siostr właściwy dobór „ciała nauczycielskiego” stawał się coraz trudniejszy, zaś pobyt dziewiętnastoletniego syna na stacji nie dawał jakoby gwarancji odgrodzienia go od „niebezpiecznych” wpływów socjalistycznej młodzieży; niebezpieczeństwo zgoła urojone, gdyż potulny Kryś nigdy nie zdradzał postępowych tendencji.

Zajmowaliśmy duże, sześciopokojowe mieszkanie, na drugim piętrze w domu przy rogu ul. Marszałkowskiej (nr 91 lub 93) i Żurawiej. Osobny pokój Krysia został wyposażony w sposób ściśle odpowiadający wymaganiom ówczesnych władz szkolnych. Jako uczeń 8 klasy IV męskiego gimnazjum podlegał on bardzo wnikliwej opiece tzw. „pedli”, którzy o różnych porach dnia sprawdzali jego „blagonadźność”. Polskie książki, obrazy o polskiej tematyce, ryngrafy itp. były jak najzjadliwiej tropione. Obowiązywał granatowy mundur ze srebrnymi guzami i czarny „gałstuk”, coś w rodzaju płaskiego krawata. Jediną dozwoloną lekturę miały stanowić podręczniki rosyjskie z Howajskim na czele.

Dziewczęta umieszczono w dużej sali, gdzie z czasem wyodrębniono szafami bardziej zaciszny kąt, przeznaczony wyłącznie dla Maryni. W tym właśnie narożniku trzynasto- szesnastoletnia pisarka szamotała się z natchnieniem, szukając rozpaczliwie wyrazu dla trawiących ją myśli i uczuć. Intensywność tej walki była podsycana nie tylko duchowymi bodźcami. Już w tym czasie Marynia zapijała się olbrzymimi ilościami bardzo mocnej kawy i herbaty. O rok od niej młodsza siostra Lila, jako bezwolne narzędzie całym sercem oddana szalonej siostrze, dogadzała wszystkim jej zachciankom i potajemnie przygotowywała narkotyki. Był to okres swobodniejszego stykania się z szerszym światem, czas budzenia się talentu i wzmagania się walki między zbuntowaną, nieokiełznaną córką a kochającym, lecz bezwzględny ojcem, który chciał ten wzburzony potok ująć obmurowaniem tradycyjalnej tresury.

Nowe warunki życia sprzyjały wyzwolinom. Ojciec związany z Grabowem, oddalonym o przeszło 70 km, które się z trudem przejeżdżało końmi w ciągu całego dnia, matka ulegająca czarowi rozwijającej się wybitnej indywidualności córki i sama zainteresowana ruchliwym miejskim życiem, siostry zapatrzone w Marynię jak w tęczę, wszystko to ułatwiało jej bieg w nieznanie.

W domu panował w dalszym ciągu klimat uczelniany, lecz nastroje były swobodne, urozmaicone poznawaniem nowych ludzi. Siostry uczyły się we dwie i mało się stykały z rówieśnikami. Kształcili je pierwszorzędni profesorowie: literaturę wykladał Piotr Chmielowski, a języka polskiego uczyła bardzo wówczas ceniona i szanowana nauczycielka Józefa Kamocka; historii uczył Edward Grabowski; matematyki Ignacy Badoski oraz przez niego polecony student na wydziale przyrodniczym, Jan Zaleski; Nina Miączyńska, przedstawicielka zubożałej rodziny hrabiowskiej, która pod opieką swej matki wraz z siostrami Izą i Celiną uświetniały urodą, urodzeniem i wykwinnymi manierami szlacheckie *five o'clock*'i — dawała lekcje języka angielskiego. Ona też udzielała również tzw. *maintien* zamężnej burżuazji warszawskiej, w którą w końcu sama wsiąkla, gdyż po

długich ceregielach wyszła za Moesa, bogatego właściciela Pilicy i fabryki papieru.

Marynia uskarżała się na przeraźliwą nudę wykładów Chmielowskiego, entuzjazmowała się do lekcji Grabowskiego i potajemnie pożyczała książki od Jana Zaleskiego, przyszłego doktora chemii i współpracownika Marceliego Nenckiego. Pożyczona przez niego *Lalka* Prusa stała się powodem straszego rodzinnego skandału, zacieśniczej kontroli i pożegnania się z korepetytorem zarażonym „socjalizmem”.

Naczelnym heroldem niebezpiecznego świata, do którego troskliwość rodzicielska broniła wstępu, stał się nasz kuzyn Bolesław Lutomski, którego matka Julia z domu Komornicka była stryjeczną siostrą naszego ojca. Był to uzdolniony literat-publicysta spod znaku warszawskiego „Ate-neum” z lat dziewięćdziesiątych, podlegający wpływom i urokom pogrobowców powstania styczniowego (Stanisław Krzeмиński). Pędził życie nie ujęte w karby usystematyzowanej pracy, klepiąc biedę wysadzonego z majątku szlachcica, poddając się nastrojom i przelotnym erotycznym przygodom. Później dał się w końcu ujarzmić swej żnie, ognistej Stefani Łosakiewicz, pianistce i niedoszej aktorce, oddanej mu zachłannym sercem, drapieżną zazdrością i bujnymi zmysłami. Natomiast materialnie ustabilizował go spadek po wujecznym jego dziadku Ksawerym Chlebowskim, ojczymie naszego ojca.

Bolesław Lutomski czarował niewiasty naszej licznej rodziny i stał się częstym gościem w naszym domu. Był bardzo przystojnym, niezwykle interesującym samotnym tułaczem, przeżartym melancholią, typowym przedstawicielem tzw. wówczas *fin de siècle*'u. Często spędzał z nami długie zimowe wieczory. Na tle ogólnej niewieściej serdecznej sympatii i zaciekawienia oraz rozręsknionych szopenowskich preludiów, grywanych na jego prośbę po dziecinnemu przez Lilę, Lutomski rozkochał w sobie Marynię i stał się impulsem wybuchu jej twórczości.

Młodzieńczy zar przeżyć i bujnej wyobraźni został przez Marynię dwukrotnie wyrażony w utworach: raz bezpośrednio (1893—1894) w *Szkicach* (zwłaszcza *Z życia nędzarza, Staszka*), pisanych poniekąd w aurze pierwszej młodzieńczej miłości i natchnienia. Drugi raz — z oddali czasu (1920) i w perspektywie zbakierowanej psychiki — w *Lucyferze w gnieździe*, młodocianej idylli z XIX wieku. Różnica ustosunkowania się do tych samych faktów uzewnętrznia trasę przeżyć, biegnącą od młodzieńczych uniesień i wybujałego talentu do zmierzchu załamanej egzystencji i twórczości.

Za szafowym przepierzeniem ogromnego narażonego pokoju, w nocnej ciszy Marynia moccwała się ze swym natchnieniem i losem. Kiedyś, w szarpaninie rozpaczliwych zmagani, które wyraziła bezpośrednio w *Szkicach*, a w dziesięć lat później w *Biesach*, porwawszy grubą wełnianą chu-

stkę służącej, wybiegła w ciemną noc z zamiarem utopienia się w Wiśle. Została jednak po drodze zatrzymana przez policję i zaprowadzona do komisariatu, skąd po oględzinach lekarskich dopiero koło południa wróciła pod konwojem do wzburzonego i przerażonego domu. Ponieważ ojciec był w Grabowie, cały incydent został przed nim zatajony, a samobójcze myśli jakoś się rozwiały.

Wszelkie jednak represje okazały się bezskuteczne; istniejący poza rodziną świat — zbyt nęcały. Wspólne spacerowanie trzech siostr, dające jakoby wszelką rękojmię higienicznego zabiegu, zostały zużytkowane przez Marynię na tajemnicze wypadki w nieznanym. Jako ośmioletnie dziecko chodziłam z Lilą bez końca po ulicach, zanosząc się od płaczu, w oczekiwaniu powrotu najstarszej siostry. Ten jednak współudział w czymś „tajemniczym a szczytnym” napełniał mnie dumą i bohaterskim postanowieniem „grobowego milczenia”.

W tym samym mniej więcej czasie ojciec zapoznał się ze starannie ukrywanym pamiętnikiem Maryni. W pamiętniku był jaskrawo wyrażony jej uczuciowy stosunek do rodziny. Ojciec wyrastał na wschodniego satrapę i tyrana, a matka była potraktowana z dużą czułością i pewnym lekceważeniem, jako osoba miękka, którą można łatwo serdecznością urobić do swoich zamysłów. Rodzeństwo nie wchodziło w ogóle w rachubę, gdyż jakoby pozostawało w strefie uczuć i myśli zbyt dalekich od jej wyżyn. Pamiętnik uległ zniszczeniu, lecz stał się tematem częstych wielce dramatycznych dyskusji i wypowiedzi rozgoryczonego ojca, który z oburzeniem i niepokojem stwierdzał, że opieka matki jest zbyt pobłażliwa i że Marynia chadza sobie jedynie wiadomymi ścieżkami.

O udanym jej debiucie literackim ojciec również dowiedział się całkiem przypadkowo i niespodziewanie z dłuższej wzmianki umieszczonej w prenumerowanym „Tygodniku Ilustrowanym”, gdzie chyba Korotyński rozwdził się nad zdumiewająco bujnym i dojrzałym talentem młodej dziewczyny. Pierwsze nowele: *Z życia nędzarza* i *Staszka*, zostały poprzednio ogłoszone w „Gazecie Warszawskiej” (1892 r.) dzięki zabiegom Lutomskiego, który zainteresował Lesznowskiego, ówczesnego redaktora pisma, „cudownym dzieckiem”.

Już poprzednio otwierał się przed Marynią pewien legalny kontakt ze światem literackim w zaaprobowanym przez ojca rodzinno-towarzyskim kole. Nasza krewna Waleria Marrené-Morzkowska chętnie widziała owo cudowne i cudaczne dziecko na swoich literackich „żurkach”, gdzie się zbierała średniego wymiaru konserwa artystyczna. Skądinąd Lutomski zapoznał rodziców z Wandą hr. Ronikier, matką niesfornego Bohdana, z którym zawsze miała wiele kłopotów. Uważając Marynię za bratnią duszę swego utalentowanego syna, równie żywo nią się interesowała i zapraszała do siebie. Ale te intelektualne „szczyty” szlacheckiego środowiska nie

odpowiadały wybujałym aspiracjom młodej literatki, którą pociągały inne wartości.

Pod wpływem wielkiego do córki przywiązania, a może i dumy z jej pisarskich osiągnięć oraz życzliwej opinii krytyki ojciec zezwolił i finansowo poparł wydanie zbioru nowel, objętych wspólnym tytułem *Szkice*. W ten sposób młoda autorka włączyła się do literackiego świata i samodzielnie zawiązała z nim stosunki. Z owych czasów datuje się znajomość z Wacławem Nałkowskim i jego rodziną, z Cezarym Jellentą, Stanisławem Pieńkowskim, J. W. Dawidem itp., z którymi się przez pewien czas bardzo przyjaźniła. Tym sukcesem literackim zamykał się poniekąd okres dzieciństwa i najwcześniejszej młodości. Był to jednocześnie okres buntu przeciw władzy rodzicielskiej, który się również zakończył zwycięstwem młodości.

4. Lata dojrzewan

Ożywiona działalność postępowych odłamów polskiego społeczeństwa, liczne manifestacje patriotyczno-socjalne oraz wynikające stąd represje i aresztowania wzmagaly w ojcu srogi niepokój o bezpieczeństwo przebywającej w Warszawie rodziny. Na decyzję zlikwidowania domu w Warszawie wpłynęły również coraz trudniejsze warunki ekonomiczne, wynikające ze spadku ceny zboża, wywołanego nową taryfą kolejową bardzo dla rolnictwa Królestwa Polskiego niekorzystną. W końcu ciągły, choć powolny rozwój choroby serca czynił wiejskie odosobnienie ojca całkiem niewskazany.

Ojciec postanowił powierzyć najstarszemu synowi Janowi, który właśnie skończył studia prawnicze, częściową administrację jednego z folwarków (Grabowską Wolę); dwóch młodszych braci, w wieku 13 i 11 lat, umieścił na stacji w Warszawie, a matkę z córkami zdecydował się ściągnąć z powrotem do Grabowa, gdzie dzięki Angielce importowanej wprost z Wielkiej Brytanii miały się w dalszym ciągu ćwiczyć w języku, który stawał się bardzo modnym. Tej jednak decyzji Marynia się nie chciała poddać, ojciec zaś nie mógł się zgodzić na jej samowolny pobyt w Warszawie; dał jej więc do wyboru albo Grabów, albo wyjazd do Cambridge na studia uniwersyteckie, pod nie byle jaką opieką świętobliwej miss Gladston, siostry ministra. Marynia wybrała Anglię.

Ostatnie wakacje wspólnie przebyte w Grabowie były wyjątkowo huczne, mimo że perspektywa stałego pobytu na wsi bynajmniej nas nie nęciła, Marynia zaś o tyle postawiła na swoim, że pozostała częściowo w Warszawie w okresie letnim. Zamieszkała wówczas u naszej krewnej, dość rygorystycznej starej panny, Melanii Gostkowskiej, która miała nad nią czuwać.

Na rodzinne i wiejskie uroczystości, jak imieniny rodziców lub dożyn-

ki, zjeżdżała się rodzina, okoliczna szlachta i zaproszona z Warszawy młodzież. Dojazd z Warszawy do Grabowa był wówczas bardzo uciążliwy. Latem korzystano się z komunikacji wodnej, a mianowicie ze statków Fajansa, które obsługiwały trasę Warszawa — Puławy — Sandomierz. Do Grabowa wysiadało się po rozhuśtanych drewnianych kładkach, rzucanych na piaszczyste wybrzeże Mniszewa. Normalnie pod wodę jechało się okolo ośmiu godzin, lecz w środku lata przy niskim stanie wód, wobec beznadziejnych postojów na mieliznach podróż przedłużała się czasami do doby lub więcej. Zaproszona młodzież męska skracala sobie czas na statku grą w karty, a bale w Grabowie przedłużały się dla spóźnionych gości na parę dni. Marynia, obecna na tych zabawach, nie ukrywała swej wysokiej pogardy dla tego świata „pigmejów”, darzyła go różnymi jednoznacznymi epitetami, a określenie „bydło” powracało najczęściej. Stroniła od rozmów i nie brała udziału w tańcach. Tylko czasami porwana żywiołowym rozmachem przystojnego, lecz mało inteligentnego kuzyna, Pawła Boskiego, który chyba tytułem kontrastu ubiegał się o jej względy, chwilowo ulegała wirowi zabawy i urkowi „konkurenta”.

Tego samego lata ojciec wybrał się z Marynią w Lubelskie do Bogdanowiczów, popierając serdeczny stosunek, który się zadzierzgnął między Marynią a Kazią Bogdanowicz. Stosunek ten miał cechy charakterystyczne dla zażyłości, jakie się przemijająco ustalały między moją władczą siostrą, podporządkowującą zachłannie drugim swoim fantazjom, a wrażliwymi, uczuciowymi, lecz słabymi indywidualnościami kobiecymi, poddającymi się ulegle jej czarowi. Taki był poniekąd stosunek Marii do matki i sióstr, do Zofii Villaume-Zahrtowej, Marii Pieńkowskiej (pianistki) itp. Poczucie „inności” przy jednoczesnym uleganiu wspólnym, analogicznym losom z kobietami zostało wyrażone w wierszu zatytułowanym: *Panie i ja*, wchodzącym w skład cyklu upoetyzowanych reminiscencji, pisanych w okresie schyłkowym.

Pewien incydent, który wywarł na Maryni głębokie wrażenie, pozwala myśleć, że w tych stosunkach działały pewne nieświadome, lecz tkwiące w niej siły magnetyczne. Któregoś dnia w czasie jakiegoś pobytu w Szczecbrzeszynie u doktorstwa Villaume, Marynia i Zosia Villaume długo patrzyły na siebie z wielkim napięciem, chcąc zmierzyć się siłą wzroku. Nagle Marynia zauważyła, że Zosia wpada w głęboki sen, z którego wielce przerażona zdołała ją po dłuższym przeciągu czasu nieudolnie zbudzić. Do końca pobytu Maryni w Szczecbrzeszynie Zosia Villaume szukała usilnie jej wzroku, gdyż magnetyczny sen zostawił jej wspomnienie wielkiej błogości, lecz Marynia nie chciała za nic dopuścić do dalszych niebezpiecznych eksperymentów. Pamiętam również bardzo dobrze zapal, z jakim się uczyłam historii powszechnej, kiedy namówiona przez matkę Marynia zgodziła się ze mną przerabiać ten przedmiot. Lekcji było wprawdzie tylko

kilka, a *Historia starożytna* Korzona, wybrana jako podręcznik dla jedenastoletniej dziewczynki, była niezbyt odpowiednia. A jednak dzieje egipskich bóstw stały się dla mnie dzięki niej czarowną rzeczywistością i uosobieniem tajemniczości.

We wrześniu 1894 roku matka z obiema starszymi siostrami wyruszyła przez Berlin, Paryż, Londyn do Cambridge. Niechęć Maryni do tego przymusowego wyjazdu była tak wielka, że w czasie podróży przesiadywała całymi dniami w hotelu, nie dając się namówić do zwiedzania stolic Europy. Był to wyraz biernego protestu wobec przemężnej woli rodzicielskiej.

Przed powrotem do kraju matka umieściła Marynię w Cambridge u miss Gladston, która wywierała znaczny wpływ na ówczesne metody kształcenia dziewcząt angielskich. Wkrótce jednak siostra wyrwała się z bezpośredniej atmosfery bigoterii protestanckiej i przeniosła do jakiegoś starego stadła, niemieckiego pochodzenia. Pan domu odznaczał się łagodnym sceptycyzmem i dowcipkował na temat miejscowych potencji, przezywając np. szanowną siostrę ministra „belle Helène”. Nie gorszył się ekstrawagancją Maryni, uważał jej wybryki za burze w szklance wody, lecz oceniał jej osobowość w sposób pobłażliwie-krytyczny, nadając jej przezwisko: „Nichtsutzka”. W każdym razie ten rodzaj *family life* bardziej odpowiadał nostalgicznemu nastrojowi młodej dziewczyny. Wspomnienia z owych czasów zostały przez nią utrwalone w zespole artykułów drukowanych 1896 r. w „Przeglądzie Pedagogicznym” pod tytułem *Raj młodości*.

Tęsknota do przyjaciół pozostawionych w Warszawie, niechęć do systematycznej pracy i ściśle unormowanego trybu życia nie pozwoliły jej korzystać ze świetnych warunków kształcenia się w środowisku zrównoważonym, lecz jednocześnie tak bardzo obyczajowo i duchowo obcym. Po półrocznej szarpaninie i udreće w końcu lutego 1895 r. wróciła do kraju za częściowo wymuszonym zezwoleniem ojca. Zamieszkała wówczas jako osiemnastcioletnia, całkiem dorosła osoba u Nałkowskich, dokąd zajęła w przyspieszonym terminie i w tajemnicy. Wyczekujący od niej wieści ojciec przeżywał w hotelu w Warszawie ciężkie chwile dławiącego niepokojem, prowadzące niemal do samobójstwa. Depesza z Grabowa zawiadamiająca o jej powrocie i warszawskim adresie zapobiegła tragicznej katastrofie. Lecz dni ojca były i tak już policzone.

Podczas jedyne go krótkiego pobytu Maryni w Grabowie, w okresie pozostałych ojcu do życia trzech miesięcy, musieli dojść do jakiegoś głębszego porozumienia. Odbywali wówczas we dwoje długie spacerunki, po których zapanowała pogodniejsza atmosfera.

Nagła i zdumiewająca śmierć ojca dn. 5 VI 1895 r. na atak sercowy wszystkich zrazu całkiem obezwładniła. Ten straszny bezruch wszechwład-

nej w dzieciennym pojęciu potęgi był wielkim wstrząsem. Ocknienie nastąpiło jednak dość szybko, gdyż wyłaniała się coraz jaśniej świadomość, że rozwiały się z góry ustalone normy życiowe i krępujące hamulce. Można było całymi godzinami przesiadywać w ogrodzie nad stawami, a groźny dzwon poruszony nerwową ręką ojca nie wzywał do natychmiastowego pośpiesznego powrotu. Spokojne zaś nawoływania bardzo zresztą miłej Angielki mogły pozostawać bez echa. Ściśle ustalone godziny rannego wstawania i wieczornego odpoczynku wsiąkły jakoś w luźny dzień wielkiego próżnowania. Rada opiekuńcza, złożona z paru sąsiadów i stryja Stanisława Komornickiego, mieszkającego w ówczesnej Galicji, miała wspomagać matkę, zupełnie nie wtajemniczoną w interesy i całkiem bezradną. W rzeczywistości nikt się do takich obowiązków nie poczuwał, byliśmy więc zupełnie zostawieni sobie i każde z nas, poczawszy od dwudziesto- pięcioletniego najstarszego brata Jana, a skończywszy na jedenastoletnim Adasiu, wykorzystywało swobodę według swoich upodobań.

Marynia naturalnie została w Warszawie, przebywając w kręgu najbliższych sobie ludzi. Od czasu do czasu wpadała do Grabowa przywożąc na wczasy swoich zgoła nie dopasowanych do szlacheckiego gniazda znajomych. W ten sposób pod jej opieką zjawiał się dziesięcioletni Fredk Hirszband, syn Cezarego Jellenty (Napoleona Hirszbanda). Wśród służby i Żydów sadowników rozeszła się niepokojąca wieść o jego żydowskim pochodzeniu. Bracia od początku patrzyli na niego z niechęcią; Marynia drażniła ich dając mu przed nimi pierwszeństwo i zachowując dla niego najsmaczniejsze kąski; matka i siostry stawały w jego obronie.

Któregoś dnia zaraz po obiedzie nagle wybuchła masowa bójka młodzieży. Przerażona i oniemiała miss Mary ostudziła naszą zażartość, wylewając karafkę wody w sam środek zapaśników skłębionych w walce wręcz. Napięta sytuacja stawała się tym gorsza, że żydzi-ortodoksi wzburzeni przebywaniem „żydka u gojów”, nosili się z zamiarem sprawdzenia pochodzenia dziecka. Wobec takich okoliczności pobyt Fredka w Grabowie został znacznie skrócony.

Marynia czuła się słusznie w prawie zapraszania swoich znajomych i przyjaciół. Z powodu małoletności prawie wszystkich spadkobierców i braku testamentu niepodzielny majątek ojca został tylko z grubsza oszacowany, a dochody przeznaczone w równych siedmiu częściach na utrzymanie matki i sześciorga potomstwa. Każde z nas było więc u siebie w Grabowie i zasadniczo majątkowo niezależne. Krytycyzm i egotyzm rozsadzał więzy rodzinne. Stwierdzaliśmy wprawdzie swoją wspólną odrębność przypisywaną rodowej, burzliwej krwi Nałęcz-Komornickich, lecz jednocześnie zaszczepiona, chyba właśnie przez Marynię, niechęć do „famuły” rozproszyła nas dość wcześnie po różnych szlakach, odpowiadających indywidualnym zainteresowaniom i temperamentom. Takie Maryni stanowisko

było jednak bardzo źle widziane przez najstarszego, jedynie pełnoletniego, brata Jana. Stosunek jego do siostry „dziwaczki” był nie tylko odbiciem wrogości szlacheckiego środowiska, lecz również i wyrazem indywidualnej jego reakcji antyintelektualnej, wynikającej z kompleksu niższości i chwilowego ostrego kryzysu, nazwanego w rodzinie „drukowstrętem”, wywołanego przykrym wspomnieniem przenudnych studiów prawniczych, dopiero co odbytych w zrusyfikowanym uniwersytecie warszawskim. Mimo to obecność Maryni w Grabowie wprowadzała pewien ton rozpoetyzowania, któremu ulegała nawet służba. Jeden z lokajczyków, Józiek Amerek, zwierzał się, że pisze „takie coś po cztery rządecki”, a drugi, Józiek Chromik, wycierając talerze deklamował patetycznie: „Kto wywyższon nad drugimi, kto ma orlą postać”... i kończył wnioskiem: „karłem nie może zostać”.

Marynia jednak na ogół pozostawała w Warszawie. Był to okres ideowego i uczuciowego zaangażowania się w walkach społeczno-literackich. Na tym tle powstały wydane wspólnie z Wacławem Nałkowskim i Cezarym Jellentą bojowe *Forpocztę*.

W tymże mniej więcej czasie doszedł do skutku wyjazd, prawdopodobnie w towarzystwie Cezarego Jellenty, na parę letnich tygodni do Berlina i Saskiej Szwajcarii. Marynia zetknęła się tam z dość wówczas liczną polską kolonią berlińską (Zofia Daszyńska, Alfred Wysocki itp.). Był to krótki wypad za granicę, który — o ile wiem — nie zostawił trwalszego śladu w jej życiu ani w twórczości.

5. Małżeństwo

W Grabowie, mimo pewnych wewnętrznych tarć, zapanowała wiosnianna aura flirtów, zakochań i matrymonialnych zabiegów. Już w listopadzie 1906 r. odbył się ślub najstarszego brata z Wandą Trębicką w Łomnie pod Warszawą, a następnego roku w lipcu (1897) druga siostra, Elżbieta, wyszła za Ignacego Mrozowskiego, syna plenipotentą bogatych donatariuszów Rosjan, którzy czerpali swoje bogactwa z majątków szlacheckich, skonfiskowanych przez rząd rosyjski za udział w powstaniu styczniowym. Z tego tytułu i stylu życia „złotego młodzieńca”, jakie wiódł narzeczony Elżbiety, oraz z wysunięcia się jej spod niewolniczego wpływu Maryni pod takiż niewolniczy wpływ przyszłego męża dochodziło między starszymi siostrami do równie ostrych, jak i bezskutecznych starć. Ulegając jednak być może m.in. chęci użycia powszechnej szczęśliwości, Marynia zapowiedziała mi kiedyś, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, że i ona postanowiła wyjść za mąż.

Ożeniony najstarszy brat zamieszkał w Grabowie jako administrator całego majątku. Matka z córkami przeprowadziła się z powrotem do wymarzonej Warszawy, a młodzi bracia w prowincjonalnych gimnazjach

Sosnowca i Łodzi przepychali się bez większego powodzenia przez nienawistne rosyjskie szkółki. Matka, Marynia i ja po ślubie siostry Elżbiety spędziłyśmy dość spokojny żywot w obszernym mieszkaniu przy Złotej 23. W Maryni zaostrzała się coraz bardziej niechęć do szlacheckiego środowiska; z dużą pogardą odnosiła się do rodzeństwa i do ich przybranych rodzin, a towarzysko wiązała się coraz bardziej ze światem literackim, bywając na „żurkach” u pani Felicji Szamowskiej, u sióstr Łopuszańskich itd. Tam też poznała jesienią 1897 roku Jana Lemańskiego oraz innych poetów i pisarzy, jak np.: Władysława Koryckiego, Bogusława Adamowicza, Edwarda Abramowskiego, Mariana Bohusza, malarza Stefana Popowskiego itp. Prawdopodobnie czuła, iż na Lemańskim wywarła bardzo głębokie wrażenie i być może to ją skłoniło do miłosego wyznania, jak to zaznacza Jan Lorentowicz we wspomnieniu o Lemańskim, zatytułowanym *Na tym padole*⁵. Dalsze jednak informacje autora co do początku ich wzajemnego stosunku są psychologicznie i faktycznie błędne. Nikomu z rodziny przez myśl nie przeszło, aby ją z jakimś sąsiadem swatać, żaden sąsiad nie wyrażał tak ryzykownego zamiaru, a ona sama potraktowałaby takie zamysły zgoła humorystycznie.

Lemański, tzw. „Leman”, zdobywał ją mocą kochania, uczuciowym zaprzepaszczaniem i terrorem zazdrości. Po wyjściu późnym wieczorem z naszego mieszkania niejednokrotnie przesiedział resztę nocy pod drzwiami, nasłuchując, czy nie kaszle; czasami wspinał się na balkon (pierwsze piętro), aby raz jeszcze spojrzeć na salon, gdzie przed chwilą z nią przebywał. W jakiś słoneczny ranek przyszedł z naręczami kwiatów i przekupiwszy służącą wszedł drzwiami kuchennymi i umiał ganek od podwórza, na który wychodziło jej okno. Zazdrość wzbudzał w nim każdy mężczyzna, nawet brat. Kiedyś, jeszcze za narzeczeńskich czasów, widząc ją rozmawiającą żywo z Abramowskim przy stole w restauracji, zaczął ostrzyć o siebie dwa noże, a patrząc złowrogo szeptał cicho: „po gardziółku”. W towarzystwie był na ogół ponuro milczący i tylko od czasu do czasu sardonicznym uśmieszkiem przyklepał komuś świetnie pasującą łatkę. Z naszą matką chętnie przebywał, bo mogli mówić o swoim wspólnym ukochaniu. Marynia była wówczas w tym małym kółku słońcem, ku któremu, według słów Lemańskiego, zwracali się wszyscy domownicy niby słoneczniki.

Ślub odbył się 23 VI 1898 r., w wilię św. Jana w Warszawie, w kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie. Siostra, jak zwykle buntownicza, i przy tej sposobności uchylała się od skonwencjonalizowanych zwyczajów. Jako świadkowie występowali: Edward Abramowski i Marian Bohusz (Józef Potocki); z rodziny państwa młodych była obecna jedynie nasza matka, ja oraz Wincenty Lemański, brat Jana. Zamówioną u Stempow-

⁵ J. Lorentowicz, *Spojrzenie wstecz*, Kraków 1957.

skiego kolację podawali kelnerzy, którzy potem w sposób bardzo krytyczny zdawali relacje z uczyty weselnej szwagrowi naszemu, Igowi Mrozowskiemu, stałemu bywalcowi „Stempka”.

Nie było mowy o normalnym życiu gruchającej pary w zacisznym gniazdku. Przed poznaniem się z moją siostrą Lemański jako prawnik miał jakąś biurową posadkę, chyba na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Lecz filisterskie życie urzędniczego stadła było nie do przyjęcia. Za wspólną zgodą Lemański rzucił zajęcie zarobkowe. Mieszkania nie wynajęto, cygański romans toczył się w opustoszałym w lecie lokalu brata Wincentego lub w szumiącym lipami Grabowie. Już nawet wtedy Marynia się „Lemana” czasowo wyzbywała, kierując go do Grabowa, by nieco swobodniej odetchnąć w Warszawie. Na najbliższą przyszłość rysował się nęcący ją wyjazd w szeroki świat. Chęć zetknięcia się z cyganerią krakowską zdecydowała o wyborze pierwszego etapu wspólnej podróży i wyjeździe w końcu sierpnia 1898 r. do Krakowa i Zakopanego.

Listy do matki oraz epitafium spisane ze skały Kmity najlepiej odzwierciedlają sytuację i klimat wypadków zakończonych melodramatyczną strzelaniną na Plantach.

Kraków, dn. 2 IX [18]98 r.

Droga Mamo!

Jeszcze Kraków. Wydaje mi się całkiem nowym i ciekawym. Wczoraj późno w nocy poszliśmy pod Wawel — obeszlśmy naokoło — cisza i samotność i te olbrzymie mury. Dziś znowu cztery godziny jeździliśmy po okolicach. Byliśmy na Kopcu Kościuszki, gdzie już nie ma nieśmiertelników, i na skale Kmity. Stanisław Kmity rzucił się z tej skały, zakochawszy się w Bonarównie.

Na skale wyryty jest napis, który Mamie przesyłam w całości.

Rytmem tym zwierza tutaj swe żale
Bolesne serce samotnej skały,
Stanisław Kmity, rycerz orężny,
W boju z Tatary szablą potężny.

1512

Ku Bonarównie serce obrócił
I z tej tu skały w przepaść się rzucił.

1515

Wieczorem mieliśmy być u Gulkowskich na herbacie, ale byłam tak zmęczona, że odmówiłam się listownie. Staś nie zmienił się ani na jotę — zawsze ten sam śliczny i nic nie znaczący chłopiec. Za to ów Tadzio pucołowaty zmienił się do niepoznania. Ogromnie sympatyczny i przystojny. Jaś osiwił, Nesia utyla, stara kwoka, sama się tak nazywa z dużą racją.

Byłam w „Życiu”, zachęcona „stworzeniem” nowego wiersza, *Szermierzem*, który, jeśli wierzyć Lemanowi, ma być *non plus ultra*. W redakcji znalazłam dniowego znajomego z Berlina, Wysockiego⁶. Przybyszewski zjeżdża do Krakowa dzisiaj — zapewne go zobaczę. Kraków wydaje mi

⁶ Alfred Wysocki, późniejszy poseł w Sztokholmie.

się z wszech miar znośniejszym miejscem pobytu niż Warszawa. Chociaż tutejsi wyrzekają nań. Oszackich nie tknęłam — nie mam adresu ani zbyt-
niej ochoty.

Oto wszystko na dzisiaj — do dzisiaj. Mamo, czekam na list długi i równie wyczerpujący jak mój. Resztę miejsca zostawiam Lemanowi. — Sama całuję Cię z całych sił. Twoja zawsze

Maria

Droga Pani! W tej chwili (godzina ósma i pół) idziemy do Hawelki porzucić znużone siły podróżą do skały Kmity. Jest to miejsce bardzo po-
ciągające ludzi pragnących znaleźć radość, która nie mija. Jest to pierw-
szy dzień, w którym wstaliśmy bardzo rano, o 10-tej, i mogliśmy coś zo-
baczyć. Wieczorem Kraków chowa się jak kura na grzędę i śpi, zostawia-
jąc ku oglądaniu kochankom nocy omroczone wieże kościołów, milczące
Planty i ciemne szyby domów. Mary zostawiła mi tak niewiele miejsca na
dopisek, że dalszy ciąg niech mi wolno będzie odłożyć do listu osobnego.
Tymczasem kończę, bo mój tyran stoi nade mną i potrząsa kopertą, na-
gląc do odejścia w celu, o którym nadmieniłem wyżej.

Całuję Panią serdecznie

Jan

Zakopane, 12 IX [18]98

Mamo droga, kochana Mamo moja!

Dziś o ósmej wieczorem wyjeżdżamy stąd we troje, tj. z Julkiem Oszackim, który towarzyszył nam stale przez te pięć dni, oprowadzał po bliż-
szych i dalszych okolicach Zakopanego, tłumaczył, oświecał i bawił. Ogrom-
nie dobry z niego chłopak, niby to dekadent — dekadent z braku pienie-
dzy i z mody trochę; łatwo przystosowuje się do otoczenia — przystał
szybko do nas, a że jest inteligentny i miejscami nawet dowcipny, widzia-
łam go chętnie. Z Lemanem zaraz był na „ty” po koniakowym bruder-
szafcie — a że ma dużo taktu, więc poszło wszystko gładko [...]

Było święto. Julek wezwany listem przyszedł i od razu poszliśmy do
Kuźnic, o 4 km od Zakopanego [...] Na werendzie blisko nas rozsiadło się
towarzystwo adoracji Sienkiewicza, który dobrotliwie wśród nich królo-
wał. Pani Pawlikowska, żona dyrektora teatru w Krakowie — i ładna pani
Osberger, szczęśliwa podobno rywalka w wyścigu o względy Sienkiewi-
cza. Błąkał się tam i Tetmajer, figura pospolita, choć równie popsuta przez
sławę i jej zwolenniczki [...]

Odcyfrowane na Skale Kmity epitafium stało się niejako poetyckim
motto wydarzeń mających nastąpić między Lemańskim, żoną i jej kuzy-
nem Oszackim. Tyle że nieszczęsny mąż nie odegrał zbyt rycerskiej roli,
strzelając podstępnie do wymagowanych kochanków, a kierując pa-
tetycznie całkowicie rozładowaną broń do swej własnej skroni. Owo nie-
szczęsne „siódme pstryknięcie” było tematem zjadliwych anegdot rodzin-
nych.

Po wrzawie pseudotragicznej sceny wszyscy troje pogodzeni wobec
policji trzymając się za ręce poszli do komisariatu. W rozbującej wyo-

braźni żony Lemański, wydzwignięty do miary Otella, tęsknił parę tygodni za kratami więzienia i wyglądał przyjscia nowoczesnej Desdemony, która, na nowo oczarowana, zapalała gorącym afektem do smętnego bohatera. Okna więzienia wychodziły na Planty, po których pod wieczór spacerowała Marynia, rzucając w jego okno zbierane kasztany. Po procesie i u niewinnieniu Lemańskiego, do czego w dużej mierze przyczyniły się zeznania miłującej żony i szerzące się plotki co do jej przeszłości, młoda para z nieprawdziwego zdarzenia zamieszkała wraz z nami (matką i ze mną) w ciasnym trzypokojowym warszawskim mieszkanku przy ul. Wspólnej 60, co dało temu lokum miano „wspólnej kopy”. Przyszła szara zima. Zagęszczenie mieszkaniowe i nuda beczynnej wegetacji, niesnaski rodzinne, wynikające z bezrobocia zięcia i z jego ponurej zazdrości — wszystko to znów szybko ochładzało uczucia mojej siostry, chwilowo rozplamienione fantastycznością krakowskiego skandalu. Wobec „cynicznej” formuły: mała praca, duża płaca, którą Lemański wysuwał podczas starań o posadę, zabiegi okazały się bezowocne. Zresztą na tym odcinku panowała między małżonkami całkowita zgoda. W rok później Marynia pisze w liście do matki: „Iwo nigdy nie przedstawiał warunków dodatnich na wołu roboczego [...] i będzie tak jak ja wypełniał swą rolę naturalną poety”. Lecz chwilowo natchnienie nie dopisywało, a klimat nie był dlań sprzyjający.

Aby rozładować burzliwą atmosferę, a jednocześnie ograniczyć nieznosną kontrolę mężowską postanowiono „Lemana” wysłać na dłuższą kurację hydropatyczną do Nałęczowa i na „Nachkur” do spokojnego Grabowa. Pozostałe w Warszawie niewiasty pędziły beztroski „żywocik”, oparty na bywaniu na „żurkach”, rautach, balach, koncertach, wystawach itp. rozrywkach, w których Dolina Szwajcarska i ogródek Nadświdrzańskiej Mleczarni odgrywały poczesną rolę. Jednak w tym samym czasie zostały napisane w pewnej mierze autobiograficzne *Baśnie* i *Psalmodie*⁷, przesyccone strachem, udręką, rozkoszą, tęsknotą, niby przedśpiewem *Biesów*⁸. Zwyczaj sięgający czasów dziecięcych odczytywania matce na gorąco dopiero co powstałych utworów utrzymywał się nadal. Matczyna radość i entuzjizm przedłużały autorską euforię, a krytyka zbyt drastycznych wypowiedzi bywała czasami uwzględniana.

W Grabowie, przepełnionym przez lato dziećmi i młodzieżą, Lemański tęsknił w samotności i milczeniu. Ożywiał się prawie jedynie, gdy z matką rozpamiętywali wspólne ukochanie: Mary, lub przy wincie. Gra w karty ciągnęła się nieraz, przy nieustannym deszczu, długimi godzinami. Wycekujące naprężone milczenie rozgrywki, przerywane tradycyjnymi powiedzonkami i wybuchami wściekłości z powodu fatalnych potknięć nieudolnych graczy, znalazło swe odzwierciedlenie w miejscowej nazwie tej

⁷ M. Komornicka, *Baśnie. Psalmodie*, Warszawa 1900, Księgarnia J. Fiszera.

⁸ M. Komornicka, *Biesy*, „Chimera”, 1902, t. 5, z. 13, 14 i odbitka.

zabawy: „wdepa”. Lemański tak się do gry w karty zapalił, że gdy nie miał partnerów, grał sam z „trzema dziadami”.

Pod koniec lipca ukochana Mary wreszcie przyjechała i jałowe interludium zakończyło się ponownym wyjazdem za granicę. Lecz i ten drugi i ostatni wspólny wyjazd nie był szczęśliwy. Po krótkim pobycie w mocno skrytykowanym Wiedniu Lemańscy przesiadli w Salzburgu przeszło cztery miesiące z powodu nagłej, niebezpiecznej i przewlekłej choroby Lemańskiego.

Tak bardzo bezpośrednie listy Maryni do matki świadczą aż nazbyt wymownie, że wobec grozy utracenia lekceważonego nieco „Lemana” miłość jej rozgorzała niebywałym dotąd żarem i poświęceniem.

Salzburg, 11 VIII [18]99 r.

[...] Chcę tyle świata tym razem ogarnąć, ile się da — a mam rozmach taki szeroki. Leman jest dzielny towarzysz, pełen inicjatywy i fantazji, orientuje się aż miło, taki swobodny, jakby całe życie nic innego nie robił, tylko podróżował — nie mogę dosyć się nachwalić, że nie zrobiłam głupstwa i nie pojechałam sama. Żyjemy ciągle nowymi wrażeniami, i wielkimi lubświeżymi, i w tym jest przedziwna rozkosz. Dla Ciebie jednej znalazłam chwilę wolną, bo Cię kocham bardzo. Jesteśmy wciąż razem i nie obywa się bez zajęć dramatycznych, ale więcej w nich psoty niż gniewu. Leman jest ogromnie zabawny, bo każdą omyłkę swoją bierze tak do serca, jakby się zhańbił. Stara się mówić dialektem — ja zachowuję się biernie, cieszy mnie, że tak mogę i że mi zostaje samo czucie [...]

[Dopisek Lemańskiego]

Droga Mamo, chciałbym, żeby i moja persona miała w sercu Mamy jaki mały kącik. Jest to pragnienie bardzo samolubne, gdyż moje serce całkowicie zagarnięte jest przez Mary. Szczęśliwym czuję się tylko wtedy, kiedy jej ze mną dobrze. A ponieważ z listu jej obecnego nie widać niezadowolonia z naszej wędrówki, może więc Mama mieć pewność, że i we mnie przeważa radość. Wiedeń niezbyt mnie zachwycał, jest to sobie taka duża Warszawa, za to Salzburg zrobił na mnie miłe poetyczne wrażenie. Jest to wykuta w skale kolebka Mozarta [...]

Salzburg, 20 VIII [18]99 r.

[...] Więc mi się Leman rozchorował i oto siedzimy już dziesięć dni w Salzburgu, nie ruszając się z miejsca. Właściwie to dzisiaj mogliśmy byli wyjechać, gdyby nie dwie okoliczności: brak pieniędzy i recydywa; Leman ledwo wstał w środku dnia wczoraj — podczas mej nieobecności poszedł do kąpieli — i wrócił w febrze. Dziś był znów doktor i wszystko *da capo* [...]

Salzburg, 12 IX [18]99 r.

Mamo! rzeczy się pogorszyły. Nie w płucach tkwi zło, choć i one zupełnie dobrze; Leman ma głęboko w pachwinie zimny wrzód, trzeba go rozciąć, operacja niebezpieczna, każdy dzień zwłoki przeważa szalę złego;

mogę go stracić. Pomyślcie, pomyślcie, wy tam, bezpieczni, zdrowi, wszyscy razem, o nas nieszczęśliwych, o nas prześladowanych przez Boga, czy los — nie opuszczajcie nas, módlcie się za niego i za mnie, a ty, Krysiu, bądź mi bratem w najstraszniejszych chwilach mego życia i wspomagaj mnie wszystkim, czym można bliźniego wspomagać. Mieliśmy go przemieść do Wiednia, tymczasem od pięciu dni bezprzestanna ulewa, wszystko przeciwko nam. O, jak mi straszno, o, jak mi straszno. Jeżeli go stracę, pójdę za nim, nie chcę dłużej, nie — O, Mamo, Mamo, cierpię bez słów, bez myśli, więc i tego wyrazić nie potrafię — straszno mi — pomagajcie! [...]

Salzburg, 18 IX [18]99 r.

Moja droga, kochana, jedyna Matko!

Przed chwilą na poczcie odebrałam Twój list z 14-go i odpisuję Ci nań zaraz — z kawiarni — tak Ci jestem wdzięczna, a potem w szpitalu, gdzie mieszkam z Lemanem, jestem tak ciągle nim zajęta, że myśli niepodobna zebrać. Nie mogę odżałować, że wysłałam listy napisane 12-go w delirium trwogi o Iwa — bo Cię pewno nimi udręczyłam. Całe szczęście, że telegram oznajmiający szczęśliwą operację zniweczył wrażenie, jakie mógł sprawić. Twój telegram przyszedł właściwie podczas operacji. Wrzód w boku był olbrzymi. Teraz polepszenie znaczne. Gorączka od trzech dni znikła, wrócił apetyt i jakaś wzruszająca dziecinna prawie swoboda humoru. Nie śmiem pisać, że jest lub może być lepiej, nie potrafię też wyrazić swych obaw (gruźlica), by tym lub tamtym nie ściągnąć na nas klęski. Cztery tygodnie w każdym razie tu zostaniemy [...]

Jestem najzupełniej zdrowa, wyglądam nawet świetnie, dzięki piwu i trybowi życia, który dzięki chorobie pędzę. Wstaję o siódmej rano, bo o 8-mej opatrunek, potem górskie powietrze. O 9-tej już leżę w ciemnościach, by usnąć. Z wyjątkiem niektórych chwil jestem zupełnie mężna i trzymam się w garści. Stałam się tak zabobonna, że lękam się każdej samolubniejszej myśli jako przewodnika klęski. Zresztą mam tyle do roboty, że myśli odegnane czekają na lepsze warunki. I to dobrze.

Pierwsze dni tamtego tygodnia były straszne. Nie dali mi mieszkać w szpitalu i co wieczór wracałam przez rzekę do hotelu. Tymczasem wskutek bezustannych deszczów Salzach groziła wylewem i przez jedną noc — tę właśnie, która wydała owe listy — przeszalałam w obawie, że się już nie dostanę do szpitala. Nazajutrz o 8-ej rano spakowana zapłaciłam notę i ze wszystkim w ulewę przebyłam wśród powodzi rzekę (most) i zajęłam do szpitala. Rozpacz dodała mi energii i wymowy — i wymogłam mieszkanie z Iwem. Tego samego dnia także popchnęłam sprawę operacji. Miała się dokonać w Wiedniu, ale wobec przerwanej komunikacji z jednej strony — a groźnego stanu chorego z drugiej — zdecydowaliśmy operację na miejscu, zaraz. Lemana nie usypiali, doktorzy zdumieni jego „bohaterstwem” podczas tej awantury, która trwała godzinę. Kilka razy stęknął. Rana ogromna głęboka. Patrzył, jak go skrobują, i tylko mdlał.

Mamo, tyle szczegółów na dzisiaj. Ma się lepiej. Módlcie się, by wyzdrowiał, im więcej woli zbierze się, by żył, tym może prędzej ocaleje.

Pisz, Mamo, dużo, wszystko; co mówią o nim, i wszystko, co się dzieje. Niech się trochę rozerwę. Przysyłajcie nam „Głos”. Może by zaabonować na nasze *conto*? [...]

Możebyś, Mamo, napisała do niego serdecznie, ale nie rozpaczliwie — nie wiem, ale może mu to będzie przyjemnie.

Czy jego matka wie?

Mamo, polecam Ci nas, i całując Cię serdecznie, długo, kończę tymczasem, twoja

Mary

Co z moją książką?

Zażyłość pełna dramatycznego napięcia u łóżka chorego stworzyła jak gdyby możliwość wspólnego zagospodarowania się w okresie już daleko posuniętej rekonwalescencji. Snują się nierealne plany osiedlenia się w centrum Europy we własnej willi w ZÜRICHU, dokąd matkę z wielką serdecznością zapraszają.

Salzburg, 23 X 1899

[...] Pod groźbą krwotoku i niebezpieczeństwa życia nie wolno mu się jeszcze ruszać nawet z Salzburga do ZÜRICHU, gdzie spędzimy zimę.

[...] Droga Mamo, nie rozumiem, czemu Cię niepokoi ZÜRICH przez zimę. Ja i tak dosyć mam Warszawy, brzydkiej i tak dla mnie ubogiej we wszystko, czym żyją duch i zmysły, że nawet Salzburg wydaje mi się czymś lepszym. A jedyna przeszkoda w nietęsknieniu, streszczając się dla nas obojga w Tobie, prosimy Cię z góry, oboje na klęczkach, byś przepędzić zechciała z nami te zimne (u nas) miesiące. Zapraszamy Cię do siebie, tj. że o niczym nie powinnaś myśleć, nawet o bilecie, tylko spakować kuferki [...] O ludzi nie ma obawy, są wszędzie i wszędzie siebie warci. — Wszędzie przyjaciele i wrogowie, mądrzy i głupi, zajmujący lub nudni, a o nic łatwiej, jak o znajomość, więc i nudów się nie powinnaś lękać. Oto, o co Cię prosimy oboje razem i każde z osobna [...] Mnie charakter trochę się wyrównał i zapewne nie doznasz od niego przykrości, zresztą nauczyłam się trochę żyć, tj. na całym nie widzieć dziury, a przeszkodę przeskakiwać, zamiast w nią bić łbem — więc zdaje mi się, że Ci nie będę dokuczać — mimo woli, bo o dobrowolne dokuczanie chyba i Ty nigdy mnie nie podejrzewałaś, o taką niewymowną okropność. — Co do Iwa, to go znasz, dorosły dzieciak, złoty bęben bez jednego brzydkiego grzechu na sumieniu. — Zdaje mi się, że mogłoby Ci być z nami zupełnie dobrze i nawet wesoło, bo Iwo znacznie się rozpogodził w chorobie, której omal nie uważa za dobrodziejstwo — i zapewne nie sprzeciwiłoby się nawet wprowadzenia żywiółu towarzyskiego, o który w ZÜRICHU ogromnie łatwo [...]

Salzburg, 28 X [18]99 r.

[...] Iwo wczoraj po raz pierwszy wyszedł z pokoju przez korytarze i piętra do ogródka szpitalnego i tak się radował światem odzyskanym, że aż serce miękło. Wszyscy, co go spotykali, witali go ze zdumieniem i serdecznymi powinszowaniami. Uchodził za bardzo „niepewnego” [...]

Salzburg, 13 XI [18]99 r.

[...] Pewno się niepomernie dziwisz, że tak potulnie znoszę zsyłkę salzburską, ale to się tłumaczy pięknnością miejsca — czymś dziwnie pociągającym w samej naturze okolicy, potem ogromną ilością książek, które pochłaniam, i jakimś łatwym spokojem życia wśród zakonnicy i obojętnych znajomych. — A kiedyś, gdy już nie mogłam wysiedzieć, pojechałam do Monachium, pokręciłam się jak mucha w ukropie i znów mi Salzburg wyładniał. Ze świata wraca się między te białe czepece jak z domu publicznego do rodzinnego domu. Tu występek zostaje u drzwi i wchodzi miłosierdzie, dobroć, sympatia. Rzadko szlachetne są te proste kobiety i tresowane w genialny sposób przez Kościół [...]

Nie prosz, Mamo, o krytykę nikogo, ja tak wierzę w swoją przyszłość, jak może w nic — tylko że moja sława nie pójdzie reklamą — sama się ludziom narzuci. Te tomiki przygotowują mi drogę — do gromu. Zdaję mi się, że jutro do mnie należy — i to niedalekie. Po co się trudzić, kiedy przyjdzie samo? A nie przyjdzie, to pał je sześć! Myślałby kto, że to takie ważne. Tu ukrywam się zupełnie pod nazwiskiem Lemana — zresztą moje byłoby również niewinne — a przyjemniej mi, niż kiedy jaka warszawska gęś lub osioł zaczną mi mówić o moim autorstwie [...]

Salzburg, 22 XI [18]99 r.

[...] Tu nic się nie dzieje właściwie. Lemana coraz zdrowszy, chociaż zdrowie wraca minimalnymi dozami. Wygląda na pozór dobrze, ale jest słaby, cierpi na bezsenność — i co najgorsze może — nie ma tej odwagi zdrowia, która jest najpewniejszym znakiem powrotu sił. On przeciwnie — pragnąc sił — czuje w sobie jakby lęk przed każdą próbą i każdym symptomatem. Trzeba go prawie zmuszać do ruchu.

[...] zwiedziliśmy miejsce cudów i pielgrzymek, tzw. „Maria Plain” [...] Na górze kościół stary i brzydki, obwieszony zabawnymi wotami [...] Lemana jako *votum* ukląkł prawą nogą (w prawym boku ma ranę) i było coś wzruszającego w tej ofierze chorego biedaka. Ten spacer ze wszystkich najdłuższy zmęczył go bardzo. Leżał potem [...]

Marzenia „o domu” były jednak całkiem przelotne. W rzeczywistości w parę tygodni później, gdy chory poczuł się już znacznie lepiej, Lemańscy wyruszyli w dalszą wędrówkę, częściowo uzasadnioną czy upozorowaną względami zdrowotnymi. Zwiedzili wówczas całą Rivierę i Włochy, gdzie dotarli do Neapolu. Chwilowe zamiary dłuższego osiedlenia się w Zürichu ograniczyły się według listownej relacji do wynajęcia na parę dni hotelu w San Remo: „apartamenciku — »pierwsze u nas« — sypialni i gabineciku, gdzie leżą nasze książki, gazety, drobiazgi i kwiaty”.

Nizza, 1 I 1900 r.

[...] Wiem, że powyższe będzie Ci się wydawało hiobową wieścią⁹, ale cóż robić. Powiedziałam sobie, że nie wrócić do kraju nie obarczona wspomnieniami krajów innych, że przed stałym osiedleniem muszę za-

⁹ Żądanie przysłania dużej sumy pieniędzy.

czerpnąć olbrzymi zapas rzeczy niezniszczalnych — i stać się musi. — Zresztą nie myśl, bym była całkiem nieproduktywną, piszę do „Strumienia” korespondencje, które przewyższą wartością *Raj młodzieży*. Jestem głęboko przekonana, że jeszcze dwie małe broszurki, jak *Baśnie* — a będę niezaprzeczalnie „uznaną gwiazdą” literatury naszej. Wobec tego, Mamo, nie martw się, szersze natury muszą więcej ryzykować i wygrywają więcej. — Zatem, gdy Kryś żyje, jak żyje, robi dobrze — postępuje, jak mu przykazuje jego powołanie o j c a przyszłych — kto wie jakich — istot. Ja jestem punktem szczytowym gałęzi swojej. I ród mój nie z królestwa ciała, lecz z królestwa ducha. Przeto ducha tego muszę kształcić — by godnym się stał swych przeznaczeń.

Bywaj mi zdrowa, Mamo najdroższa

Twoja Mary

Nizza, 4 stycznia 1900 r.

Droga Mamo! nie wiem jeszcze, co umyśliłaś: czy wytrzymać nas w naszej *détresse*, czy też jak dobra i pocziwa matka ulżyć smutnej doli dzieci. Wczoraj telegrafowałam o pieniądze z powodu przegranej, dziś oczekuję ich z wyrzutami sumienia, bo zapewne się okropnie martwisz, ale i w gorączce, bo są szalenie potrzebne. Wierzę, że są już w drodze, i teraz chcę Cię tylko zabawić opisem naszych przygód. [...] Było to przedwczoraj; dzień słotny, smutny. Tułaliśmy się po mieście, po kasynie pustym o tej porze, po ulicach, gdy wtem w głębi jednej z ulic ujrzeliśmy morze z promenadą i pałacem „La Jetée” — „Chodźmy obejrzeć” — „chodźmy”. Idziemy naokoło, z balustrady przypatrując się morzu i stadu mew, które z krzykiem fruują i piywają koło pałacu — tymczasem deszcz zaczyna się coraz gęstszy i chronimy się w otwarte drzwi. Przeszliśmy westibul i znajdujemy się w sali gry przy świetle sztucznym. Naturalnie zaczęliśmy się przypatrywać, potem stawiać. Rozmaicie szło, ostatecznie przegrana. Wyszliśmy szalenie zdenerwowani, nie wiedząc, jak minęły 3 godziny. Wieczorem w kasynie byliśmy na *Nitcuhe*, ale wrażenie gry mocniejsze nie dawało nam spokoju nawet we śnie. Ponieważ jednak tzw. „sfinks”, na który ludzie się biorą w „La Jetée”, wydał nam się marną grą, więc obiecaliśmy sobie solennie pojechać nazajutrz do Monte Carlo.

Pogoda była wciąż wstrętna, ale pojechaliśmy, co zresztą mnóstwo strójnych i niestójnych panów i dam zrobiło z nami. Pociągi z Nicei do Monte Carlo wychodzą co pół godziny i są zawsze przepełnione. Kasyno nie ma więcej niż 2 zwykłe piętra wysokości, jest białe, lekkie, przypomina francuskie budowle. — Sala gry jest mnóstwo; dość duże, podzielone długą sienią na sale rulety i sale *trente et quarante*. W każdej sali po cztery stoły przeważnie. Stoły długie, przykryte zielonym sukniem, w środku ruleta z bankierami, po rogach krupierzy. Nad ruletą szeroka lampa z zielonym abażurem zwiesza się na grubych złożonych łańcuchach z samego sufitu. Wszystkie stoły obsadzone gęsto, za siedzącymi potrójne i poczwórne rzędy widzów i graczy stojących. Milczenie, sakramentalne formuły: „*messieurs, faites vos jeux*” — „*le jeu est fait*” — „*rien ne va plus*”, a potem lekkie furknienie rulety i wyrok.

Upał straszny, gorączka zysku i hazardu dotykalna w ciężkim powietrzu. Migotliwie wszystko lśni się: posadzki, ściany malowane i złociste sznury lamp, marmur kolumn i czerwone spocone twarze.

Coś niezmiernie w tym podlego, tylko na tak dużą skalę, że wprawia w podziw. Iwo grał w ruletę, szczęśliwie — ja się zgrałam w *trente* i *quarante* — ogólna suma *de mes méfaits* wynosi 400 franków! Na tym basta.

Droga Matko, piszę Ci to wszystko dlatego, że Cię kocham i chcę uspokoić, gdyż może już rozpaczasz, że oddajemy się niebezpiecznemu nałogowi. Gdybyś jednak miała się oburzać, to mnie oburzysz, bo byłoby niezmiernie dziwnym być na Riwierze i nie zagrać w Monte Carlo, a ładniej jest przegrać niż wygrać. Gra zaś jest zanadto czczym i głupio wyczerpującym upojeniem, by się stać mogła tak moją, jak Iwa namiętnością. Jeżeliś jednak jest naprawdę mądra, to nam ułatwisz wyrwanie się z pokus przesłaniem rychłym pieniędzy w dużej ilości. Gdyż w gruncie nie warto tu siedzieć i mamy zamiar wyjechać, poznawszy, co było do widzenia.

Największą moją rozkoszą są wieści z kraju i może dlatego tak rzadko, coraz rzadziej je odbieram. Z każdym numerem „Głosu” nawet przenika mnie niewymowna radość ojczystej atmosfery. Dziś ze spisu rzeczy w „Głosie” dowiedziałam się, że drukowali — zdaje się w 3-cim kwartale, bo nie odebrałam — mój wiersz: *Po południu*. Tak mnie to ucieszyło i tak bym chciała mieć ten numer. — Za parę dni przyślą nam zapewne pierwszy numer „Strumienia” i zapewne z *Wieczorem chorych*.

Gazetami muszę karmić swoją tęsknotę, bo ci wszyscy, którzy się zwali moimi przyjaciółmi — a nawet matka — nie chcą, bym była zanadto szczęśliwa i zostawiają mnie bez wiadomości, których pożądam tak bardzo. Matka nawet, jakby rozżalona za to, że jestem „tak szczęśliwa”, zbywa mnie słowami suchymi, jakbym Ją krzywdziła swoim „szczęściem” [...]

Rzym, 26 II 1900

[...] Często już czuję się znużona tym ciągłym zwiedzaniem i zmianą miejsca. Przy tym tajemnicze więzy z ojczyzną szarpiają nas ku Wiśle i dziś, gdy na Via Appia słońce zachodziło wśród zieloności i zapachu pól polskich, lubowałam się złudzeniem, że jestem pod Cychrami¹⁰, jak najrzadszą rozkoszą duchową. Toteż trzeba tej niesłychanej elektryzacji włoskiej, by człowiek rczkochany na nowo w swej ojczyźnie nie poleciał do niej rzuciwszy obce kraje [...]

Zdaje się, że po wielkim napięciu uczuć oraz przydługiej „zsyłce” salzburskiej wir wrażeń, hazard, życie towarzyskie z powrotną falą konfliktów zazdrości znów nadwerężył współzycie, obniżając jego poziom. Nieunikniony przesyć, tęsknota za krajem i za pracą twórczą, a również i brak pieniędzy, wszystko to przyspieszyło powrót do Polski, który nastąpił w początkach kwietnia, przed samą Wielkanocą. Żadna jednak wzmianka nie zapowiadała niezłomnego postanowienia Maryni rozejścia się z mężem.

Toteż wszystkich ogarnęła głęboka konsternacja, gdy po spożyciu święconego w rodzinnym gronie Lemański się pożegnał, a Marynia pozostała

¹⁰ Folwark Grabowa.

w matczynym domu, stwierdzając, że do męża już nie wróci i że wszystko jest między nimi skończone. Wprawdzie Lemański niejednokrotnie jeszcze wywoływał chyłkiem Marynię, na skutek czego razem odbyli jeszcze parę długich spacerów, prowadząc ostateczne, decydujące rozmowy. W końcu jednakże za wspólną zgodą przeprowadzono w konsystorzu formalną separację. Wkrótce potem Lemański dał o sobie znać z Nicei przysyłając kosz mimozy. Miłosne niepowodzenia nie zapewniły mu szczęścia w hazardzie, gdyż splukany wracał do Warszawy w przyspieszonym tempie.

6. Rozkwit twórczości

Powrót Maryni do matczynego domu zaznaczył się, jak zwykle, intensyfikacją życia towarzyskiego i intelektualnego. Siostra bynajmniej wówczas nie stroniła od rówieśników młodszego rodzeństwa. Zadzierzgnął się więc bardzo serdeczny stosunek z młodymi Walewskimi, kolegami Frania, Zajączkami, Kurnatowskimi itp. Szczególnie Gucio Walewski czarował kresowym temperamentem, podolskim bałagulstwem i nieposkromioną fantazją. Przypadek zdarzył, że mieszkaliśmy naprzeciw siebie przy tej samej ulicy Wilczej, co ułatwiało codzienne niemal odwiedziny, wspólne spacerowanie, wesole, przeciągające się nieraz do późnego wieczora herbatki.

W tej aurze potoczył się krótkotrwały epizod platoniczno-miłosny Maryni z Guciem Walewskim, zakończony już w 1902 r. dobrowolnym rozejściem oraz nieco późniejszą nagłą śmiercią — na zapalenie płuc — młodego chłopca, szalejącego w karnawale 1903 r. Pozornie efemeryczne przeżycie, ocenione przez samą Marię jako „romans anemiczny”, znalazło wyraz w poemacie *Czartolania i Seni* — pisanym w okresie grabowskich medytacji, po przeszło 20 latach smutnego wyobcowania od ludzi i świata.

Poza młodzieńczym i bardzo zadomowionym towarzystwem, tzw. „bywanie” w latach 1900—1902 obejmowało dość szerokie kręgi znajomych. Życie literackie w Warszawie nie było skoncentrowane w ekskluzywnych jedynie ugrupowaniach. Już wówczas zachodziło dość daleko idące pomieszanie różnych środowisk: ziemiaństwa, burżuazji, artystów różnorakiego kalibru. W salonie np. baronowej Zofii Harting można było spotkać kresową i królewską szlachtę: Sielawów, Jodko-Narkiewiczów, Biszpिंगów, Bielskich, Morstinów itp., jak również i Rotwandów, Wertheimów oraz literatów: Kazimierza Tetmajera, Włodzimierza Perzyńskiego, J. A. Kisielewskiego, Konstantego Srokowskiego i wielu innych. *Halszka*¹¹, pisana jednym tchem pod koniec 1900 r. w Grabowie, jest właśnie wysnuta z tego tła. Podobnym zbiorowiskiem ludzi różnego pokroju był również

¹¹ *Halszka*. Powieść współczesna, „Głos”, Warszawa 1901, nr 1—2, 4—15. Jest to część pierwsza, nasycona elementami autobiograficznymi. Utwór nie został dokończony.

dom Józefowiczów scharakteryzowany przez Marynię w następującym liście do Matki.

Warszawa, 22 V 1901

Droga Matko!

Posyłam Ci ploteczkę dzisiejszego *five'u* u Józefowiczowej — na gorąco — jakbym wróciła do domu z furą wrażeń i śmieci kolorowych, które wtedy wysypuję Ci do nóg. Najprzód, jak wyglądałam: wzięłam swą czarną brokatelową suknię i kapelusz słomkowy, złotawy z różowymi wstążkami, którego jeszcze nie znasz. Razem tworzyło to doskonałą, prostą a strojną całość. Wyszłam po szóstej i w salonie byli już Kaziowie Hart.¹² (ona wyglądała podobnie do Kazi Bogdanowicz), jakaś Ronikierowa, ropuszysta, mała, gruba, w dotknięciu miękka, rozlana pod koronkami i jedwabiami, z rudawymi włosami. Dalej Marylka Rakowiecka, jakaś przystojna Angielka i jakaś pokraczna panna. Na to wszystko jeden chłopiec Wołoszowski, siostrzeniec domu, którego posadzono przy mnie i który mnie raczył opowiadaniem o artezyjskich studniach, które kopał na Dagestanie, i o wysokiej kulturze amerykańskiej. Wspomniałam mu Flikę, która była jego sztubacką miłością i ten temat mocno go zajął. Cały czas rozmyślał, jak by się z nią spotkać „trafem”. Tymczasem salon jał się wypełniać. Więc szambelan Karski, więc trzęsący się jak Rapacki w rolach starców hrabia Grabowski (co zacz?), dalej malarz Puhacz, dalej jakiś pan z brodą i jakaś goła małpa — dalej Ostroróg, Sadowski, Jancio¹³, Słupski (malarz), Zarebianka, Jerzowie¹⁴, stara Hart.¹⁵ i Gucio¹⁶, i jeszcze, i jeszcze inni. Jerzy, który musi być bardzo dobrze z panią Ireną¹⁷, dla niepoznaki siadywał przy mnie, ale że ja nie proteguję takich manewrów, więc nie zwracałam nań uwagi, dość miałam roboty z Jańciem, z Sadowskim i innymi. Była to orgia flirtu, której brakowało tylko podstawy w mych nerwach, najzupełniej stępałych na podobne błahe podniety. Byłam najważniejszą figurą w salonie i to była moja jedyna frajda.

Józefowiczowa, gdy się zaczęło przeredzać, zatrzymała mnie gwałtem, aż wreszcie zostali się tylko Jańcio, Słupski, ja i gospodarstwo. Co to za para uciezna, tego opisać nie potrafię. Takie Fredrowskie staroświeckie typy podrygujące, zwłaszcza on — to rozkosz oczu moich... Najzabawniejsze, że ona go wciąż kokietuje, a on się w niej kocha na zabój — i to wpada w zachwyty, gdy śpiewa, to w gorzki żal i wyrzuty, i ironie, a taki przy tym tragikomiczny, taki demonicznie blaszany, że się w nim zakochać można jak w arcydziele sztuki humorystycznej. Nie miałam wprost pojęcia, że takie typy istnieć mogą... Przy tym wszystkim łakoci i kwiatów w bród — poncz, pomarańcze, ciasta, cukierki, lody, kremy... „ordzia”. Mnie najlepiej smakowały papierosy Jańcia, z którym jesteśmy wielkimi przyjaciółmi i który ma przyjść w sobotę wieczór ze Słupskim. Ten ostatni unosił się nad moim „modernizmem” i nad moim „wdziękiem”... słyszysz Ma-

¹² Kazimierz Harting z żoną z domu Jodko-Narkiewicz.

¹³ Józef Jankowski, poeta.

¹⁴ Jerzostwo Stanowscy.

¹⁵ Zofia Harting.

¹⁶ Gucio¹⁶ Harting.

¹⁷ Irena Peplowska.

mo?... Zaś Sadowski, który leciał na „grubo”, jak mówi Janek, chce mi prowadzić sprawę z Dawidami, ale wątpię, czy mu ją powierzę. Choćby byłoby nieźle. Ale „z drugiej strony”... pewno mnie rozumiesz.

Ja się tym wszystkim nieco rozproszyłam i trzeba będzie utonąć w jakiej dobrej, mądrej książce, by odszukać siebie — tę Siebie — którą chcę być i którą Ty we mnie najwięcej kochasz, droga jedyna, dobra Matko, Ty, matko mojej duszy, Ty moja modlitwo, mój orędowniku przed Panem: módl się za mój wzlot wzwyż i kochaj mnie, Mamo, tak jak Ciebie twoja

Maria

Nad jej życiem unosił się wciąż jednak cień zazdrosnego i groźnego męża. Terror i możliwość jakichś mściwych wybryków Lemańskiego tak nerwowo opanowały Marynię, że starała się nie wychodzić sama na ulicę ani nawet do ogrodu grabowskiego w czasie letnich na wsi wakacji. W tym więc okresie, niemal do samego końca jej pobytu w kraju, towarzyszyłam siostrze prawie stale we wszystkich jej wyprawach, lecz ta rola piątego koła u wozu mocno mię już nudziła. Lemański rzeczywiście roztaczał z dala nad nią czujną kontrolę. Poznawszy między innymi w „Chimerze” Feliksa Jasińskiego, który bardzo często wówczas u nas bywał, Lemański zachęcał go, według swej taktyki, do częstych odwiedzin, chcąc mieć wieści o swej byłej żonie. Po pewnym jednak czasie zaczął go uważać za szczęśliwego rywala i ścigać po Warszawie z bronią w kieszeni. Tak znamieny dla niekochanych mężów brak intuicji i zaślepienie stwierdził się i tym razem, albowiem siostra moja była wtedy istotnie zajęta Walewskim, a do Jasińskiego odnosiła się z pewną dozą zalotnej serdecznej życzliwości. Wstrząs wywołany nagłym zgonem Walewskiego, pogłębiające się poczucie swej „inności” wobec mocno lekceważonych niewiast, czczość flirtów i zabaw, wszystko to odsuwało ją coraz bardziej od tzw. życia towarzyskiego, a chęć podkreślenia swej inności znalazła z powrotem wyraz w zamianie eleganckiego ubioru na dziwaczne jak na owe czasy odzienie.

Potężnym bodźcem dla wciąż nurtującego „szukania siebie”, a co za tym idzie, dla zachłannej pracy twórczej stało się poznanie Miriama oraz wprężenie się w systematyczną, a raczej niepohamowanie żarliwą współpracę z „Chimerą”.

Wobec dość częstych lokalnych wyjazdów znów się nawiązuje z matką, jedyną powiernicą przeżyć, dosyć żywa korespondencja, w której się uwiadcniają zachodzące przemiany.

Warszawa, 17 maja 1901

Moja najdroższa Mamo!

Pisząc coś tam dla siebie rozrzewniłam się nagle nad Tobą — i piszę list, bo Ciebie nie ma w Twoim pokoiku i nie mogę, jak w zimie, wyczoł-

wać swego wzruszenia na Twej ukochanej twarzy, na Twoich nogach pod bawełnianą kołdrą...

Moja Mamo, moja najdroższa jedyna Mamo! Każdy tu wyraz Cię całuje, każda kreska błogosławi, każda litera kocha. Kocha bardzo, nadzwyczajnie „nad życie i bardzo”¹⁸, i jeszcze więcej, bobym i na tamtym świecie wszystko dla Ciebie uczyniła — i już nie wiem, co. A że mnie kochasz i żyjesz moim życiem, żyjesz niespokojniej niż ja, bo nie wiesz, co ze mną przeżyjesz, co Ci narzucę Twojemu sercu — swymi czynami, swoim przeznaczeniem — do smucenia się lub radowania lub medytacji — że masz ze mną te same wspomnienia bolesne, te same zawody i melancholie — że ze mną patrzysz w przyszłość, tylko może z większym niepokojem — że umiesz być mną, gdy chodzi o mnie, że każdy fakt mój bierzesz za znak jak ja — więc Ci trochę rzeczy opowiem — bo i to wiem, że poza tym szczerem, głębokim macierzyńskim zajęciem lubisz i samą fabułę istnienia, barwę zdarzeń, bajkę życia — więc Ci opowiem i to, i owo.

[...] Dzisiaj byłyśmy w „Chimerze”, gdzie długo rozmawiałam z Miriamem. Zdziwiłam go rzeczami, które mu mówiłam — treści bezinteresownej naturalnie, mistycznej — to, co Ci kiedyś mówiłam przy herbacie o „magu”, i to będzie punktem wyjścia bliższej i cenniejszej dla mnie znajomości. Pokazywał mi także korektę *Dziękczynienia*, idzie już do tego zeszytu i jest ozdobiona dwoma pięknymi winietami. Ciesz się, Mamo. Gdy mnie coś dobrego spotyka, cieszę się podwójnie na myśl o Twojej radości, bo ja sama czuję się podwójnie: jak ja i jako T w o ja; Twoja własność, Twoja uciecha i utrapienie [...]

Warszawa, 22 V 1901

[...] Wczoraj wieczorem był F. J.¹⁹, dość długo siedział, ostrzegał mnie przed okultyzmem jak jaki tatuś i twierdził, że miłość wszystko to zastępuje bez obawy zblizkowania. Ucieszenie mi było słuchać tego rozsądnego gładzenia, żalowałam tylko, że Ty tego nie słyszysz... byłby koncert, moja Ty Matus, taka czasami gderliwa, taka nieznośna — a nawet wtedy jesteś tak bardzo kochana. Mówił, że jestem „straszna kobieta”, i ubolewał nad Tobą, że musisz mieć o mnie tyle obaw... przesada. Mamo, jaka Ty jesteś biedna? Takie licho mieć za córkę... Ale kto Ci kazał czytać „medytacje” królewskie o życiu i śmierci, gdyś mię nosiła. Wszystkiemu winna królowa Wiktorja... Zresztą na pocieszenie powiem Ci, że Cię kocham niesłychanie — a kto kocha, ten nosi więzy pamięci i względów, i tak postępuje, by najdroższej istoty nie dobijać. Pomału co prawda ją wędzi w niepokoj... jak często mi się przytrafia, ale dam Ci radę: bądź spokojna i nie dawaj się, pamiętając, że choć mało kiedy coś dla Ciebie zrobię — (utrzymujesz, że nigdy nic) to jednak bardzo często przez miłość dla Ciebie wielu rzeczy nie robię, a to jest olbrzymi dowód kochania dla takiej natury jak ja [...]

W uwagach do *Księgi poezji idyllicznej* Marynia skrupulatnie wylicza kształtujące ją czynniki, a mianowicie: teozofię, *Upaniszady*, *Yogi*, *Ewangelie*, *Katechizm*; romantyków i parnasistów; antenatów z Rodzicami —

¹⁸ Powiedzenie bardzo kochanego bratanka, trzyletniego Gucia Komornickiego

¹⁹ Feliks Jasiński.

piastunami na czele, Grabów — rodzinne gniazdo na Mazowszu, i daleką Danię, skąd się wywodzi ród Duninów-Wąsowiczów. Jednocześnie podkreśliła w tym swoim rodowodzie „potężny wpływ”, jaki na nią wywarł Miriam.

Nikt inny nie wyrósł w jej wyobraźni do tych szczytów wszechwiedzy i wszechmocy, co Zenon Przesmycki. Jego bardzo rzadkie wizyty były wyprzedzane w duchowym napięciu i przeżywane w jakimś nie dającym się opisać rozradowaniu. Być może, że kobieca potrzeba bezgranicznego uwielbienia znalazła swój wyraz w tych duchowych wzlotach. Nawet wieść o ślubie Miriama, który się odbył latem 1903 r. z przełożoną warszawskiej pensji p. Anielą Hoene-Wrońską, tak w mniemaniu mej siostry nie dopasowaną do czczonego „maga”, nie zdołała go ściągnąć z wyżyn wyidealizowanego Olimpu. Dość zastanawiającym zbiegiem okoliczności okres rozkwitu twórczości Marii Komornickiej przypada w całości na czas, kiedy Miriam redagował i wydawał „Chimerę”. Rok 1907 był jednocześnie rokiem zamknięcia pisma i wycofania się mej siostry z ustalonych form normalnego bytowania.

Lecz w maju 1903 r. po uporaniu się ze swoimi majątkowymi sprawami Marynia znów wyruszyła w świat, tym razem sama, czego się nie mogła dość nachwalić. Po krótkim pobycie w „obrzydłym Berlinie” oraz w Kolonii i Brukseli osiadła w Mariakerke pod Ostendą, gdzie spędziła przeszło trzy letnie miesiące. Dopiero we wrześniu wyruszyła do Paryża. Był to okres gorączkowej pracy twórczej, oddania się bez reszty natchnieniu i prawie bezwzględnej samotności, co zostało mocno podkreślone w listach do matki.

Ostende-Mariakerke, 24 VI 1903

[...] Poza tym, Mamo, czemu tak mało pobłażliwości, wybaczenia z wysoka — z bardzo wysoka? Bóg stworzył ziemię rajem, Adam i Ewa zaraz ją przepaskudzili, a znaleźli miłosierdzie. A Ty byś, Mamo, chciała, by Wasza praca była trwalsza od dzieła Boga?²⁰ Wszystko, co się stało, może się i odstać. Tylko to, co zawsze było — J e s t. Ach, Mamo! Gdybyś się tym głęboko przejęła, nie miałabyś gorczy. Duch Wasz — Twój i Ojca — przeszedł w nas i żyje, i żyć będzie po skończeniu wieków, czymże wobec tego jest kilka patyków zmienionych, kilka grud ziemi mniej? — Cóż nawet z e w n ę t r z n e różnice w zapatrywaniu praktycznym na rzeczy, jeżeli I s t o t a trwa niezmienna? [...] Co do mnie, to nigdy nie byłam szczęśliwsza. Nigdy nie żyłam bogaciej, choć skromniej. Mam, czego mi było potrzeba. Możliwość pełnej pracy, morze — i kraj nieznany jak kopalnię do zwiedzenia. Właśnie wracam z Brukseli, gdzie wpadłam na kilka godzin pobłąkać się po muzeach. Przepyszny był ranek i Grand' Place ze swą średniowieczną, gotycko-złotą architekturą migotał cały przejasnionym światłocieniem oraz białymi płachtami straganów, wonią zroszonych mas kwiatowych. Niezapomniany widok! [...]

²⁰ Aluzja do parcelacji Grabowa i do obniżenia stopy życiowej.

Ostende-Mariakerke, 22 VII 1903

Moja Najdroższa Matko!

Przed dniem Twoich imienin²¹, jak w dzieciennych czasach, oto piszę powinszowanie. Żyj nam, Najdroższa, w zdrowiu, sile i weselu, bądź nam, jak dotąd, arką przymierza i Domem, i przed Bogiem Orędowniczką i najśłodszym mym Ukochaniem; niech dzieci Twe idą życiem zbożnie i uwieńczą Cię laurem swych zasług, które Twoimi będą zasługami, zatarłszy w Twym sercu ślad ran zadanych przez ich grzechy, które nie były Twoimi grzechami! Tak chcę — ja przynajmniej. I tak się stanie, moja Najmilsza — tu czy w niebie. Droga może będzie mozolna — ale ta droga jest drogą zwyczajstwa ostatecznego. Bóg nad nami, a moja głowa na Waszych kolanach. — Ojciec mój, który mnie błogosławił, i Ty, Matko, która mnie także kiedyś pobłogosławiła — już nie w trosce, lecz w uniesieniu radosnym. Powiedz ze mną: A m e n. Czyż ja, Mamo, nie wiem, że chwilami smutek aż dławi — i czyż się dziwię, że na Ciebie spadają jego ciężkie chmury. Tylko pragnęłabym, byś się im nie poddawała. Jeśliś Wierząca, powinnaś czuć, że od Zła jest silniejsze Dobro, gdyż dwu bogów nie ma — jest tylko Jeden, a ten jest n i e s k o ń c z e n i e d o b r y. Wierz, u f a j, miłuj — a w ten puklerz uderzać mogą bóle, ale nie przebić go, nie strzaskać. Jeśli, moja Matko, ja najniesforniejsze, najniebezpieczniejszymi instynktami najeżone z Twych dzieci, po długim błędzeniu dostąpiłam łaski — czyż zwątpisz o reszcie? Jeśli z grozy Potopu ziemia wystąpiła dziewicza, z tęczą rozwieszoną nad jej życiem nowym, czyż zwątpisz o losie naszej ziemi? Współczuj, cierp z biedakami, pomagaj im, ale niech Twe cierpienie będzie ofiarą — nie rozpaczą [...]

Bruges, 18 VIII 1903

Najdroższa Matko!

Bóg zapłaci za życzenia²² Twoje. Jeżeli Ty swą wolę z moją złączysz w modlitwie, staną się, bo modlitwy matki zdobywają niebo i bramy piekielne ich nie zwyciężą. Patrz więc, Matko droga, jak wielka jest Twa nad nami potęga. Więc użyczaj, nie skąp jej nam, okrywaj nas swym szafirowym płaszczem duchowej opieki, rola Twa względem nas jest po prostu anielska i czuję z Twego listu, że myślisz jak ja. Więzy fizyczne, które nas niegdyś w Twoim łonie łączyły z Twymi żyłami, nie zerwały się, tylko się wysubtelniły, stały niewidzialne, lecz mocniejsze może jeszcze niż wtedy. Jesteśmy w Tobie, jakośmy byli, i będziemy na zawsze — i tak nas po latach ogarnie łono Boga — gniazdo w Gnieździe.

[...] Co do życia wewnętrznego, jakkolwiek to brzmieć może dziwnie lub ubogo — dla mnie streszczają ogrom całe te dwa słowa: kształcę się i tworzę. — W tym, co tworzę — a ujrzyś tego całe masy w „Chimerze” — odbija się wędrowanie mych myśli i wrażeń — że się kształcę i rozwijam, przekonasz się z mych pisań, i po mnie samej, gdy mnie zobaczysz; a stanie się to, jeżeli wszystko pójdzie po mej myśli, najdalej na przyszły rok, o tej porze, po Bayreuth, w Krakowie i Warszawie, i w Smogorzewie, gdzie muszę być z Tobą — pokłonić się dziadom, których jednego, najdawniej-

²¹ Anna, 26 lipca.²² Maria, 15 sierpnia.

szego imieniem w chwili natchnienia ochrzciłaś po raz drugi, moja najdroższa Matko! Doniosłości tego faktu, szczytności tego wyboru może jeszcze nie rozumiesz. Powiedziałaś to z taką prostotą, a przez usta Twoje może przemówiła wola całego naszego rodu a ja wzięłam na siebie i w siebie to imię z Twoich rąk i nosić je będę do śmierci — i po śmierci może — a bez skazy. Jam Twój, jam Wasz Włast. Kocham nasz ród i jako jego dziedziczka wzywam Cię, Matko droga, byś zechciała zanotować dla mnie wszystko, co wiesz, pamiętasz, mówiono o wszystkich naszych ojcach — z Ojca linii, jak z Twojej. Daj mi moje dziedzictwo, niech znam tych, co mnie wydali.

[...] Bądź więc zupełnie o mnie spokojna, wiedza moja praktyczna rozwija się równolegle z podnioslejszą, a znajomość sztuki ze znajomością ludzi. Zresztą już Ci to nieraz tłumaczyłam, że po swojemu jestem roztropna i ostrożna i anieli pańscy czuwają nade mną, a jeżeli i Twoje modlitwy przyjdą w pomoc, to różami wysłana będzie moja droga do Celu. Ach, Mamo, do najcudowniejszego celu: Chwała! Oto masz nie list, a cały romans. Nie chcę Cię naglić, byś pisała. Ale myśl o mnie czasem, myśl, jak bardzo Cię miłuję i wysyłaj częste w każdym razie karty, by mi woniały grabowskie lipy i świeciło z fotela głębokiego alabastrowe czoło, które codziennie w dali błogosłowie.

Całuję Twe kolana Twoja

Maria — Włast

Paryż, 14 IX 1903

Najdroższa Matko!

Dobiłam wreszcie do portu, w który na długo zarzucam kotwicę [...] Paryż przyjął mnie bardzo gościnnie i widzę, że jest to miejsce dla mnie już nie pożyteczne, ale wprost niezbędne. Przypominam sobie pierwszą w nim bytność — tak do dzisiejszej pod wszelkim względem niepodobną. Równe dziewięć lat.

Dziś, gdy się nieco przyzwyczaiłam do świata i on się do mnie przyzwyczaił, zażyłszy nastąpił stosunek i pewna poufność chwilami [...]

Droga Matko, nie odsuwaj ode mnie serca, dlatego że ośmielałam się być „w stolicy świata” [...] Zbliży je raczej, zbliży je bardzo blisko, by mi się zrobiło ciepło, mnie, com tak *frileuse*.

Ach, wszystko dobrze, drogie miasto. Ale gdybyś, Paryżu, nie stał na wodzie. Może dlatego tak mi ciągnie chłód w kości. Piłabym ogień albo bym zatliła w środku wieczystą trociczkę, by mi wyschły kości [...]

Paryż, Campagne Première 5, 29 IX 1903

[...] Używam homeopatycznie tych darów Bożych, ale romans z samotnością bezwzględna na razie już się zakończył. A ludzie — nie wiem na jak długo — ale są znowu do mnie tak, jak gdy miałam lat piętnaście. Radzi by ułatwić, pomóc, radzić, jednym słowem dobrzy są. Pracuję w bibliotekach, poznałam Adamowego syna, fakt drukowania w „Chimerze” otwiera wszystkie drzwi, w ogóle nieufne [...]

Słońce nad olbrzymim zachodzi miastem, lecz w ogromniejszym od miasta niebie: hen, za mostami niezliczonymi, za szeroką wspaniałą wodą,

za ogrodami, za pałacami, za kolumnami, w olbrzymią nieba głąb, pod którą leży najpiękniejsze z miast żyjących. A to samo niebo złoci się nad Tobą i nade mną, a przed Twymi oknami cudownie złocą się jesiony. A pod mym oknem z jesionów sypią się liście — takie same, pod tym samym niebem [...] A gdy Matka tam tęskni, mnie coś podrywa i nagle jestem w uroczym gniazdku [...] Mam, słyszysz o zmierzchu a nioły? [...]

7. Choroba

Ostatnie listy pełne zwidzeń i halucynacji bardzo nas zaniepokoiły. Złe wieści nie kazały na siebie długo czekać. Zawiadomione przez Miriamę o zasłabnięciu Maryni, udałyśmy się niezwłocznie do Paryża. Do czasu naszego przyjazdu zajęli się nią bardzo serdecznie Waclaw Berent i dr Władysław Kania. Marynia została umieszczona przez nich w sanatorium w Arcueil, w pobliżu Paryża, pod opieką dra Meunier, który zaopiniował, że jest to stan przejściowy depresji psychicznej, wywołany przepracowaniem, co nawet wyraził związłym określeniem: „*Ce n'est pas une faillite, c'est un accroc*”. Toteż w niedługim czasie z początku z Matką, a później już całkiem samodzielnie w dalszym ciągu entuzjastycznie chłoneła „pojęty tego arcymiasta”.

Arcueil, 15 II 1904

Droga Mam!

Moi uzdrowiciele podobno pisali do Ciebie, więc fachowo jesteś powiadomiona o drobnych pomyślnościach mej rekonwalescencji. Ja cierpię stale na piórowstręt i irytuję się na swą nieruchawą inteligencję, a cieszę się z przybywających sił [...]

Nie chciej, droga Mam, sądzić o małości mego serca z krótkości tego listu. Jest to pierwszy od dosyć dawna. Siedzę koło komina — i pukam do głowy jak pień nieczulej i umiem tylko patrzeć na Twój obraz [...]

Paryż, 25 IX 1904

[...] Jestem tu od tygodnia. Podczas lata przybyło mnie 3 kilogramy. Paryż z wolna zaczyna wędnać — liść tracić. Było kilka dni zupełnie, po nowiu, mroźnych; teraz znowu ciepło jak w lecie i pięknie, gdzie się obrócić. Teatry „poważne” zaczynają się otwierać, ludu moc wraca od wsi i od morza. Ja przed przyjęciem nowych obowiązków (którymi bodaj zechciano mnie obarzyć) używam nieco. Byłam na *Powrocie z Jerozolimy* — co za szpetna, dwulica, niby zdradliwie bezstronna, sztuka! W ogóle dramat francuski dzisiejszy nie wytrzymuje krytyki, i po prostu w śmiecie się wali, gdy go porównać ze starym, pysznym, wiecznie francuskim Molierem lub z potęgą wstrząsającą takiego Tołstoja, którego *Potęę ciemności* w tych dniach widziałam i nie zapomnę [...]

Paryż, 28 X 1904

[...] Pomyśl tylko. Każde wyjście przynosi ze sobą coś nowego. Wystawy się mnożą, ruch ogromny. „Salon” urządzony z rzadkim przepychem; z naszych, Lepi jest kilka rzeźb, jedna znakomita, nastrojowa, na-

rzuca się uwadze — a jest to tylko stara, zdezolowana karetka, która ugrzęzła, i śpiący na koźle furman: ale karetka z ballady, z "Królowny sto lat śpiącej", która jakby wyszła z rozwichrzonych brzoź obrazów Ruszczyca. [...] Co mi istotnie imponuje, to tutejszy instynkt społeczny, ta l u d z k o ś ć (*humanité*), która nie pozwala żadnej lepszej jednostce zamknąć się w swym egoizmie, ale nakazuje jej przyczynić się do wspólnego dzieła powszechnej kultury i dobrobytu. Bezpłatne kursa, przedstawienia klasyków po niższych cenach, odczyty darmo — a z jaką wspaniałą werwą! i prasa brukowa z współudziałem najteższych umysłów. To już nie filantropia skrzepła, rozumowa — to miłość i jej geniusz.

Paryż, 2 XI 1904

Droga moja Mamo!

Według Twego życzenia, odpisuję zaraz. Proszę Cię, o mnie bądź spokojna. Gwarancję masz w mej chęci bycia zdrową — nie darmo się przebywa chorobę, wierzaj mi. Zresztą ciągle jestem w reżymie, a wiesz, że gdy na coś się godzę, to już niezachwianie. Nie dziwię Ci się, moja najdroższa Matczyśko, że nie piszesz i że się biedzisz — i wiem również, iż się zanadto biedzisz, tak łatwo Cię byle rzecz z równowagi wytrąca, tak łatwo nasiakają Twe nerwy farbą czarną lub różową, zależnie od tego, którą napuszczają do Twej biednej, za byle szelestem truchlejącej, macierzyńskiej i dziecinnej duszy. Ale powinnaś zawsze pamiętać o tej swej władczości, o tej swej słabości i nie poddawać się majakom, które Twa wyobraźnia płodzi na podstawie faktów o wiele spokojniejszej natury. Wierz mi. Z daleka lepiej można ocenić rzecz każdą niż z bliska. Czy Ty naprawdę przypuszczasz, że świat to chaos nieświadomy, nieobliczalny? Bóg wszystkim rządzi. Prawda, ręka Jego często ciężka, ale jest to ręka ojcowska, karze, ale nie łamie, i tylko niegodne dzieci. Zresztą powtarzam jeno to, co wyraża ten wspaniały nasz hymn: „Kto się w opiekę” [...]

Paryż, 17 I 1905

Droga Mamo!

Zatem jesteś bez Eli, to znaczy, że z czystym sumieniem mogę się upomnieć, byś mnie stworzyła dom swą bardzo kochaną obecnością [...] Mieszkałybyśmy, jak byś uważała: u drugich lub u siebie. W miarę ochoty dzieliłabyś ze mną wszystko lub robiłabyś osobno, co byś chciała. Prawda, że kocham szeroki świat — ale rodzina wydaje mi się czymś gorzkim tylko wtedy, gdy się go dla siebie wyrzeka. Ale żyć ze swoimi w pełnej i najwyższej jedności ducha — wydaje mnie się rajem. Sama jestem tylko z musu. Przyszłę Ci w tych dniach sprawozdanie z poezji, które będziesz łaskawa oddać do rąk własnych redaktora „Chimery” i spytać, czy początek ich odebrał i jest kontent. Kiedy wyjdzie nareszcie numer [...]

†

Tak tedy dalszy pobyt w Paryżu był wypełniony również i pracą twórczą, i dalszym żywym kontaktem z „Chimerą”. Lecz ruch rewolucyjny, szerzący się w kraju, a również i tęsknota do matki i do własnego domu przyspieszyły jej powrót do Polski. Już na początku lata 1905 r.

Marynia zjechała do Grabowa, gdzie pozostała do późnej jesieni, a w listopadzie włączyła się z wielkim zapalem do ogólnego nurtu wyzwolenczego.

Warszawa, 9 XI 1905

Droga Mamo!

Piszę zaraz, by Mamę co do siebie uspokoić. Spotkałam w drodze Józefa, który jak zawsze jest trochę egzaltowany. Najprzykrzejsza jest ta drożyzna. Z „Gazety Polskiej”, która znowu wychodzi, dowiedzie się wielu rzeczy. Krążą zresztą rozmaite wieści. Faktem jest, że na prowincji gorzej wszystko wygląda. Nie twierdzą jednak bynajmniej, żeby tu było miło. Ruch ożywiony na ulicach, ale patrole nieustanne [...]

Warszawa, d. 12 XI 1905

Najdroższa Mamo!

Czy doszedł mój list z 9-tego? Co słyhać u Was? Ja pracuję, patrzę i trudno opisać wszystkie uczucia, które budzi stan ogólny rzeczy. Przeżywamy czasy wiekopomne, dramat straszliwy, w którym walczą moce boskie i piekielne, a Bóg woli swej jeszcze nie objawił. Faktem niesłychanym jest solidarność społeczeństwa, niosącego swe ofiary, pracę, pieniądze na odwrócenie straszliwej klęski głodu. Cały kraj niesie swe zapasy w naturze i pieniądzech do wielkich składów spożywczych, by ratować niezmierną nędzę ludzi bez pracy i chleba. Chłopi nawet z najdalszych stron składają się i przywożą, co mogą — chleb, kartofle, mąkę. Hasłem jest nie dopuścić do nieszczęścia. Może by i nasza gmina coś w tym względzie uradziła. Tu serce rozdziera widok biedy, twarzy zapadłych i szerniałych. Komitety ratunkowe pracują na wszystkich punktach miasta i nigdy nie dosyć ofiar i rąk czynnych. Manifestacje na razie ustały całkowicie, trwa oczekiwanie napięte, bolesne, samoobrona czuwa dniami i nocą. Po szalonych entuzjazzmach wywołanych konstytucją nastąpiło zimne i srogie wytrzeźwienie, a wiadomości z Rosji niosą z sobą nieludzką groźbę. Przy tym niepogoda do reszty smuci oczy. Nieprzeczuwane otchłanie boleści otwierają się w piersi na widok tego męznego a tak doświadczanego srodze ludu. Kronika dni „Konstytucji” roi się od niesłychanych szczegółów. Żałuję, że tego widzieć nie mogłam [...] Wypadki ogólne pochłaniają uwagę, prawie czasu nie ma na własne życie [...]

Muszę tu nadmienić, że w tym czasie (1904—1905) po raz pierwszy sama wyruszyłam w świat do Krakowa, gdzie uczęszczałam na kursa Baranieckiego, więc dobrze nie wiem, na czym polegała praca siostry. Zdaje mi się, że Marynia nawiązała z powrotem stosunki z Nałkowskimi oraz innymi literatami i ugrupowaniami kobiecymi, wśród których rej wodziła dr Rajnszmid-Kuczalska itp.

8. Zmagania z upiorami. Zmierzch

Gdy wróciłam do Warszawy na przełomie 1905—1906 roku, zapisałam się na Kursa Naukowe i znow zamieszkałyśmy z matką we trzy. Marynia robiła już wówczas wrażenie osoby jakby przygaszonej. Na ogół stroniła

od ludzi i chroniła się coraz bardziej pod opiekuńcze skrzydło matki, pędząc jednak normalnie swój pracowity literacki żywot. Ponieważ zawsze narzucała apodyktycznie swój sposób myślenia otoczeniu, bardzo ostro krytykowanemu, a dawny czar gdzieś przysł, to wspólne pożycie nie było łatwe. Lecz konieczność systematycznego leczenia stała się wtedy oczywista, gdy w lipcu 1907 roku w Poznaniu w drodze do morskiego kąpieliska siostra zażądała kategorycznie męskiego stroju. Wiara w skuteczność terapii psychicznej, w rzeczywistości naonczas niebywale prostackiej i rudymen tarnej, skłoniła matkę do wyboru drogi, która na przekór zamiarzeniom nie dała tak gorąco upragnionego wyzdrowienia, a spowodowała natomiast niesłychanie ciężkie przeżycia, zobrazowane w wielu listach pisanych do matki z różnych miejsc swych bolesnych postojów (Obornik, Sanatorium Żuławskiego, Opawa, Micin).

Listy te rzucają też pewne światło na rodzaj schorzenia. Narastający i rozwijający się, obłąkańczy światopogląd, oparty na mylnych założeniach i zaskakujących skojarzeniach, nie jest jednak pozbawiony wzniosłości i słusznych rozważań. O ile mi wiadomo, to — poza bardzo krótkimi i nielicznymi momentami całkowitej utraty świadomości — siostra moja borykała się raczej z wiarą w źle pojęty rozwój wewnętrzny i zewnętrzny, któremu samowolnie wyznaczała: kierunek, etapy i czas spełniania się według najtajniejszych snów o pięknie, potędze, szczęściu.

Obornik, 10 I 1908

Droga Mamo!

Dzięki za życzenia i obietnicę rychłego przyjazdu. Spełń ją, proszę, jak najprędzej, gdyż zamiarem moim jest opuścić tę marną dziurę, w której dostatecznie się namęczyłem. W nadziei, że mi pomożesz wyjść z terminu, w który mnie tak nieprzeczuwanie wtrąciłaś, całuję Twoje ręce jako zawsze kochający syn.

M.

Opawa, 16 VIII [19]08

Moja droga Mamo!

[...] Czas już doprawdy, by się ta dręcząca farsa niedoli, ten koszmar zabójczy skończył, abym z pełną świadomością wszedł w swoje prawa i zajął swe miejsce pod słońcem. Któż tego ma dokonać, jeżeli nie Wy, moi Rodzice? Przybądź więc droga Mamo, abym mógł z Tobą wrócić do domu i Ojca zobaczyć²³ [...]

Piotr Włast

Opawa, 17 VI 1909

[...] Zechciej mi np., droga Matko, wytłomaczyć, dlaczego mi tu ciągle s u g e r u j ą wizje m o n a r s z e, podczas gdy życie wypełniają naj-

²³ Ojciec umarł w 1895 r.

obrzydliwymi szyderstwami z tych ich własnych sugestii [...] są to takie same głupie pokusy (tylko na innej linii) jak otaczające mnie intrygi kobiece. Dziwię się tylko, że ludziom chce się wypełniać rolę diabłów, a ja przecie i do świętości nie roszczę pretensji. Czego chcę? — chcę móc rozwijać swe przyrodzone zdolności na wszystkich polach działalności ludzkiej. To jest moja wola i prawo. W imię tego prawa żądam opuszczenia nędznego miejsca wariata w tym zakładzie. Mój niedorozwój płciowy nie jest powodem dręczenia mego ducha, który jest zdrowy i potrzebuje pola działania. Tu w każdym kierunku jestem tak kontrowany, że poza rozpaczliwą medytacją nic mi nie pozostaje [...] Proszę Cię więc, droga Matko, nie zwlekaj z wyprowadzeniem mnie z tutejszej matni i z objaśnieniami tej całej dokoła mnie tajemniczości, która nie ma najmniejszego sensu [...] Zapewniam Cię, że w ten sposób milczący sam nigdy nie dojdę do zrozumienia rzeczy mi niewiadomych. Nie wiadomoś ć zaś Nie Jest Obłą dem. A ja, choćbym do śmierci miał nie dowiedzieć się gruntu tej całej tajemniczości, przecie wariatem nigdy nie będę, choćbyście spiętrzyli nade mną cały stos „dowodów” najautentyczniejszych [...]

Opawa, 27 VI 1909

Droga i Czcigodna Matko!

Odczytałem Twój list i widzę, że dużo rzeczy potrzebuje komentarzy. Zdanie: „żadnych tajemnic ani nadzwyczajności w życiu twym nie ma i nie było”, brzmi po prostu urągliwie dla człowieka, który do 31 roku życia nie mógł wiedzieć, że jest mężczyzną i nie byłby się tego dowiedział do dziś, gdyby mu tego Matka nie powiedziała²⁴ [...] Jeżeli to jest ironicznym zarzutem, że ja „miałem tajemnice”, to oskarżacie immanentną siłę rzeczy, która sprawiła, że dziecko nie miało zaufania do rodziców, którzy z nim nie byli szczerzy. Nie ma więc najmniejszego powodu robić sobie wyrzutów w tym względzie, a względem Was czuć się winnym. Jeżeli zaś tutaj, z dnia 12-go na 13-ty maja, Gorejący Dobrą Wolą Dla Ludzi, ogłosiłem wszystko, com złego zrobił, to był to czyn nie pokory — bo nie mam powodu czuć się pokornym względem świata — ale najwyższej ofiary; nie trwogi, lecz bohaterstwa. A to, com mówił, brzmiało mimo mej woli i chęci jak Oskarżenie Świata... Toteż nazajutrz nie ja, zaprawdę! wyglądałem jak zawstydzony i obnażony grzesznik. Więc i nie dziw, gdy sobie przypominam wszystkie te mnogie, w jadle i napisach insynuacje kary etc., etc., to zdejmuję mnie tylko znudzenie i zniechęcenie przed arcygłupotą tych epitetów względem mnie. Znęćcie się nade mną, ale nie macie do tego Prawa. Oto prawda smutna.

Dlaczego się tak przestraszył w Radomiu i rozpaczał w Warszawie? — Oto powiem wam: przestraszyłem się tego, że chwiefny Janek, bluszczowa Lila, niepewny Franio, gminna Ela, szalony Adaś — że wszystkie dzieci, których duch mój bronił od złych pokus i trwóg, niańczył, uczył, — że ta sama, ale niewykształcona surowizna ludzka może być mądrzejsza ode mnie! *que ces bambins, sont des gens supérieurs à moi, qu'ils le furent des années entières, sans*

²⁴ Aluzja do zaproponowanego przez matkę pseudonimu Włast.

que je m'en doute — Więc rozumowałem, jeżeli oni są mądrzy — to ja jestem idiota...

[...] Jak mogłem ich nagle wziąć za ludzi mądrych? — Oto jak: oznaki jakiejś zмовy, tj. wspólnej publicznej wiadomości, z której ja jeden byłem wyłączony, wziąłem, widząc wasze mimiki i akcentowane słowa, za wyższą ogólną mądrość. Dobił mnie w Warszawie list Miriam a, który brzmiał dziwnie szyderczo — na tym tle [...] Otóż zdawało mi się teraz, że On ze mnie zadrwił (przez wtajemniczenie mego rodzeństwa, a wyłączenie mnie jako niezdatnego) [...] Rozumowaliście znowu jak w y, nie jak ja. Zapewne, dowiedzieć się o swym męstwem było nie lada radością, ale fakt tak nisko położony nie mógł mi zastąpić tych wzniosłych obietnic, którymi ducha mi rozplómięła Wysoka Wiedza; jak również nie mógł wytłumaczyć waszego górnego postępowania ze mną. Dopiero gdy u „tego osła Loewensteina”²⁵ zbuntowałem się przeciw niskości, bez względu na to, czy jest przenikliwsza lub nie ode mnie, dopiero wtedy zrozumiałem, że Miriam nie powiedział mi ostatniego słowa, że nikt tylko On może mi je powiedzieć, że „ostatniej lekcji Leonarda” jeszcze nie przeszedłem, że nie darmo w „Bas Arts” (Bazar)²⁶ go nie widziałem i że zbałamuconemu przez głupotę świata zamknął drzwi przed nosem. W Krakowie przez 3 miesiące szukałem w sobie tej okropnej winy, za którą mnie spotyka tak okropna męka, gdyż w mym sprawiedliwym umyśle winy i ból łączą się koniecznie (zapomniałem o solidarności międzyludzkiej). No i nie znalazłem. Gdy stanąłem na tym punkcie, przybyłem tutaj i długo byłem pod urokiem olśniewających kornetów. I to przeszło. Dziś za piedestał mam wszystkie grzyzy, któremu z wiary w ludzi stracił sobie pod nogi. Jest to pokaźna wysokość, choć Bogiem a prawdą! wolałbym być ostatnim wśród dobrych niż jednym z najlepszych wśród takiej mizerii.

[...] „Nerwy twe nie mogą przyjść do równowagi”. Nie rozumiem, o co tu chodzi, co nazywacie „nerwami” i „równowagą”. Wam mowa służy do bałamučenja mnie, więc pytam: czy nerwami nazywacie nerwy? czy równowagę nazywacie spokój? W tym razie chodzi Wam chyba o to, abym się wściekł, bo nic się innego tu i w tamtych zakładach nie robi, tylko ciągle te nerwy targa w najokrutniejszy i najbezcelniejszy sposób.

Czy „nerwy” użyła Mama jako równoważnik P Ł C I, a „równowagę” jako ekwiwalent dopełnionego ukształcenia? — i obiecujesz mi katusze, aż dopóki nie będę całkiem *formé* — to by było bardzo głupie. Dajcie mi się w spokoju rozwinąć [...]

Opawa, 27 XI 1909 r.

[...] Tu wszystko zółwim idzie krokiem i mam wyborną cierpliwości szkołę, z nadzieją pewnej promocji do Nieba. Przez jakiś czas po Twoim odjeździe żywo zajmowałem się studiami chorych. Od trzech tygodni jednak zaprzestałem ich odwiedzania, gdyż najwidoczniej „oba obozy”, tj. i siostry, i odłam lekarzy, a zdaje się, że i część chorych — robili mi takie obstrukcje, że „cisnął kosę na ziemię” i wziąłem się do zajęć bardziej

²⁵ Dyrektor zakładu, w którym przebywała chora Maria Komornicka.

²⁶ Hotel w Poznaniu, gdzie obłędne przywidzenie zostało konkretnie sformułowane.

pokojowych (tzn. u siebie w pokoju). Trudności stąd głównie pochodzą, że świat *coûte que coûte* chce we mnie wariata widzieć. *Je crois que ça le coutera fort cher*, jak każda zbyt sprytnie obmyślona krzywda bliźniego [...]

Opawa, 25 I 1910 r.

[...] „Świat” przychodzi. Pozieleniał bardzo od Nowego Roku (trochę obkrojony format). Bardzo lubię to pismo, bo choć roi się od błędów, jednak trzyma się dobrą wolą. Rozmach młodzieńczy (np. Tadeusza Napieńskiego) jest wyborny, ale musi stać u boku piorunowego Starca, że użyję swego dawnego wyrażenia. Mówiąc zrozumiałej za mało Dziadów w „Świecie”. Wskutek tego niepokojącym stać się może zalew np. taki na operę: istny napad Włoch na Warszawę, i bez tego zawsze do hulającej banalności skłonna. Drugim wstrętem jest zbyt wielka doza galanterii dla kur piszących [...] To, co Mama pisze o braku sił do noszenia ubrań zimowych, zdaje mi się przesadą. Widziałem Mamy sprężystość i w Paryżu, i ostatnio w Krakowie, i jestem pewny, że owo omdlewanie ma przyczyny w zbyt wielkiej bierności Mamy na ciśnienie, jakie wywiera na nas atmosfera przeciążona miazmatami głupoty, niewiary, brudu, strachu etc. Gdy więc przychodzi bezprzyczynowe owo zmęczenie, b. jest zdrowo *de se secouer* i jak mówią studenci „kopnąć się z miejsca” z całą stanowczością i zaciętością bezmściwych łabędzi ze Smogorzewa²⁷. A wówczas przekona się Mama, że nie lata ciężą, ale pakunki ociążałości, którym się Mama poddawała. Takie znużenie b. często odczuwają i małe dzieci, które Mamie powierzam. Gdy mnie głowa boli, cieszę się, bo dowód, że nie śpi, a rozwija się; by zaś mniej niedelikatnie się zachowywała, rozcieram ją rękami od brwi do skroni. Gdy mnie serce ściska, wiem, że mu potem będzie szerzej w piersi; wiem też, iż wtedy gdzieś ktoś zacny cierpi, i głęboko do Boga wzdycham o pomoc dla ludzi dobrej woli, którzy wciąż walczyć muszą przeciw złej woli głupców i chorych. Staram się też być, nawet w myślach, jak najprostszy, jak najgodniejszy, bo to najlepszy sposób wzmocnienia dobra na świecie. Gdy mam przykre sny etc., nie myślę o nich. B o g u nieogarnionemu, niepojętemu, w s z e c h m o c n e m u n a s powierzam.

Nie pomogą próżne żale.
Ból swój Niebu trza powierzyć,
A samemu wciąż wytrwale,
Trzeba dalej iść — i świecić.

Gdy mniej będzie ciemnych na świecie, wtedy i jasnym będzie lepiej: bo cała ludzkość jest solidarna.

Wyobraźni swej o tyle tylko pozwałam pracować, o ile pracuje mi pięknie i radująco. Gdy zaś zaczyna mącić, szkaradzić, zgrzytać, etc., wtedy nie słucham i wszystko mi lepsze, niż zastanawiać się nad bredniakami [...] Na baby patrzeć nie mogę, tak mi obmierzły zepsucie ich, niskolotność i niewytępiony nałóg kłamstwa. Gdyby wiedziały, że każde kłamstwo nakłada na nich nowe więzy i oddala dzień zmartwychwstania, może by się starały być proste.

²⁷ Dunin-Wąsowicze, herbu Łabędź, mieli zawołanie następujące: „Nie zaczepia, zaczepiony broni się”.

[...] Wszystko, co czynię, staram się czynić z intencją jak najczystsza i zawsze w myśl C u d o w n e g o wybawienia z więzów ciała, co nie znaczy, że ciało mnie opuści, ale że D u c h nim władać będzie z a n i e l s k ą S w o b o d ą. Ciało swe uważam jako — na równi z innymi — *donum charitatis*, „dar miłosierdzia B o ż e g o”, i dlatego ani go kalać nie wolno, ani go prześladować [...]

Micin koło Pruszkowa, 31 III 1913 r.

Moja droga Mamo!

Jeszcze raz najserdeczniej i najuroczyściej Cię proszę: racz mnie stąd zabrać. Jeżeli nie ze względu na mnie, to choć przez dobre serce dla tych ludzi, u których jestem zmuszony mieszkać, a którzy z tego powodu najwidoczniej są do ostatnich granic pomęczeni i zdenerwowani. Sytuację utrudnia to, że wobec ich wprost chorobliwego zamknięcia się w sobie, wszelkie porozumienie zwykłe, ludzkie jest wykluczone. Nie mam sposobu dowiedzenia się, czym właściwie im ciężę, a zgadywać mi trudno, bo jestem wśród nich jak rozbitek wyrzucony na ziemię ludu nieznanego. Ja i oni tak jakoś niepodobni jesteśmy do siebie, tak się sobie wzajem wydajemy dziwni, i dopiero poniewczasie odkrywamy, że te niesłychane z obu stron dziwactwa miały za źródło największą i najczystsza chęć, a tylko p l a t f o r m y umysłowe i kulturalne są skrajnie przeciwległe.

Mamo droga, zaklinam Cię na wszystko, co Cię przekonać może, abyś mnie tu dłużej nie więziła. Wiem z prostego choćby rozumu, że liberbaronować po świecie nie może taki marny „torbifer” jak ja, że mi potrzebna i opieka, i nauka życia nowego, i rozmaite ortopedie moralne. Ale wiem, że to wszystko, co potrzebne jest memu wykształceniu, n i e t u t a j s i ę z n a j d u j e. Szkoła, jakiej mi potrzeba, przechodzi granice możliwości tych biednych udręczonych ludzi. Każde stworzenie ma wszakże intuicję swego pożytku, a moja intuicja każe mi poszukiwać ogłady wśród ludzi większej miary. Pomyśl, droga Mamo, że ja z natury swej jestem cygan, artysta i arystokrata. Taki człowiek może być życzliwy wszelkiemu stworzeniu, ale u r o b i ć s i ę potrafi tylko wśród podobnych sobie [...] Zrozumiej, najdroższa Mamo! że ja bym chciał być u swej Babki np., wielkiej damy, bardzo wymagającej i krytycznej, ale przy tym bardzo mądrej, z r ó w n o w a ż o n e j, dobrej, pewnej siebie i kochającej mnie. Gdyby to było możliwe, cieszyłbym się niewypowiedzianie, bo czułbym, że z manowców wyszedłem nareszcie na dobrą drogę [...]

Micin, 22 12 1913

[...] Dziękuję Ci, droga Matko, i świętej pamięci Ojcu memu, za te wszystkie piękne, niewinne, radosne Gwiazdki mego dzieciństwa, które w pamięci na zawsze zachowam, a które byłyby były o wiele jeszcze piękniejsze, gdybym był lepszym i czystszy dzieckiem [...]

Cokolwiek z sobą przyszłość niesie transformacji i transfiguracji, czuję, że to, co przeszłość złożyła w naszych jestestwach najzacniejszego, najdosłajniejszego, najczcigodniejszego, to rację bytu ma w samych rdzeniach wieczności i przez żadne przemiany zniszczone być nie może. Tak więc i Ty, droga i tajemnicza Matko, niezależnie od tego, jakie Ci przyszłość uprzedzie skrzydła, wypromieni aureole, przetworzy Twój organizm, niezależnie od tego, czym będziemy Ty i ja, przecie zostaniesz dla

mnie, w pamięci pierwszego świadomego dzieciństwa, tą i s t o tą piękną, dobrą i opiekuńczą, która istotnie była, jeżeli nie tego dzieciństwa aniołem, to bezwątpienia jego, anioła, zastępczynią miłą i drogą [...]

9. K r e s

Pierwsza wojna światowa i zbliżający się w końcu 1914 roku front spowodował ewakuację znajdujących się w Micinie chorych, w bardzo ciężkich warunkach, do Warszawy... Dzięki temu faktowi ziścił się tak bardzo upragniony powrót do rodzinnego gniazda, do Grabowa, gdzie mieszkając odtąd w obszernym domu, otoczonym pięknym ogrodem, Marynia wiodła już zupełnie swobodny, lecz samotny żywot, odgraniczona od rodziny i ludzi własną konwencją zbyt dla otoczenia cudacznych obyczajów. Chciała nadal uparcie utrzymywać się w wierze, że jest bodaj na drodze do męskości i uskrzydlenia, stosując wytrwałą i systematyczną gimnastykę kończyn. Swoim ubiorem i sposobem bycia narażała się na różne przykrości. Jednakże nie skrępowany żadnym zewnętrznym regulaminem pobyt wśród „larów i penatów” rodzinnych wpłynął dodatnio na samopoczucie i stał się źródłem natchnienia i medytacji, którego wynikiem jest już wzmiankowana *Księga poezji idyllicznej*. W tym też czasie z zapalem uprawiała różne polne kwiatki (stokrotki, bratki, dzwonki itp.) i starała się odtworzyć w malowidłach ich urzekające piękno. Powstałe wtedy akwarele były przeważnie wyrazem zachwytu dla niedościgłej bajkowości natury i tęsknoty do wzniosłości. Czytywała bardzo dużo, interesując się zarówno poezją, beletrystyką, historią epok minionych, jak i twórczością współczesną. Wrażenia i sąd o przeczytanych dziełach przeważnie formułowała w skrótach marginesowych. Toteż powszedni dzień był dokładnie rozplanowany i niechętnie zmieniała jego ustalony tryb.

Grabów, 21 XII 1917

[...] Korzystając z uprzejmości Adasia, posyłam Mamie nowy arkusz szkiców poetyckich, które Mamie pod oczy kładę z tym ni mniej, ni więcej pomyśleniem, z jakim malarz pozwala przeglądać swe kajety szkicowe s z c z e g ó l n y m swym przyjaciółom i mecenasom. Są to drobiazgi, ale każde z nich przechowuje coś cennego, dostrzeżonego przeze mnie w świecie (*en ce vaste, vaste monde*), i co usiłowałem uwyraźnić i utrwalić z tego czegoś szczególnym aromatem, charakterem, czarem. C'est comme cela que je me „ferai la main” pour des oeuvres plus grandes, s'il m'est donné de réaliser mes rêves artistiques [...]

Il est vrai qu'il y a des tempéraments, dont le surmenage paraît-être l'élément. C'est un peu le mien. Par exemple, n'est-ce pas merveilleux de vivre si isolé et pourtant d'avoir toujours trop peu de temps pour accomplir tout ce qu'on devrait faire tous les jours²⁸.

²⁸ [...] W ten sposób „wyćwiczę rękę”, aby następnie móc zacząć pracować nad bardziej ważkimi dziełami, o ile danym mi będzie urzeczywistnić moje artystyczne marzenia [...]

Grabów, 6 I 1918 r.²⁹

[...] Rappelez-Vous mon existence d'ermite, le manque complet d'intimité avec ma famille et la population, à tout ce petit monde muselé et sournois qui m'entoure, et qui ne sort de son mutisme que quand il s'agit de me crier quelque injure. [...] Toute une vie nouvelle grouille au presbytère, à l'école, je ne sais où du reste, où on commence à sortir comme, „do Resursy”. Ce que cela peut être, on peut se le figurer, si je Vous dis, qu'au „théâtre” à l'école, Polcia fut une des actrices... Cela me fait penser que je devrais me sentir heureux des mauvaises odeurs qu'on m'épargne, en me fermant partout les portes. Mais, comme sauf de rares moments misanthropiques mon imagination me fait voir en beau le monde qui se cache ainsi à mes regards, je préférerais un peu savoir ce que je gagne à perdre [...] Ah, qu'il est triste d'avoir une famille et d'en être isolé! Ah, qu'il est triste d'être entre deux vacarmes, seul mais sans tranquillité! Ah, qu'il est triste d'avoisiner avec tous les coins grossiers d'une maison qui n'est pas la nôtre... C'est toute une litanie qui fait mal à débiter. Je crois que c'est ça qui rend le ciel si morose et l'air si froid. C'est un peu pour cela que je Vous en parle: car si vraiment Vous désirez le beau temps, faites, chère Maman, que je sois moins malheureux.

Et si, comme j'ai lu je ne sais plus où „szczęścia nie było w domu, bo go nie było w ojczyźnie”, si loin d'être une exception malheureuse, je ne suis qu'un malheureux de plus au milieu d'autres, même en ce cas là, je crois, il est bon que je parle de mes tracas, car... Car qui sait, ma chère Maman, si la mystérieuse Providence n'a pas mis dans la caboche de l'un la réponse et le remède aux tristesses de l'autre! Ce qui me paraît difficile, est peut-être un jeu pour Vous et, vice versa, ce qui Vous tourmente, si Vous me le disiez aussi franchement que je le fais, trouverait peut-être dans ma cervelle un dénouement heureux. Peut-être donc, vu l'armistice, nous confesserions-nous les uns aux autres, graduellement, cela s'entend, pour ne pas effaroucher nos sensibilités hérissées, et la détresse universelle s'amoinrirait peut-être à ne plus être si solennellement refoulée et cachée aux yeux étrangers. Il y a des âmes qui sont jalouses de leurs chagrins. Moi qui déteste ce qui me chagrine, je le dis tout haut et que m'en débarassent mes amis à travers l'Univers! [...]

Przekład

[...] Przypomnij sobie, Mamo, moje życie pustelnika, zupełny brak wspólności z rodziną i społeczeństwem, z całym tym światkiem zaryglowanym i skrytym, który mię otacza i który przerywa milczenie wtedy, gdy na mnie krzyczy lub mi wymyśla [...]. Na plebanii, w szkole, i nie wiem gdzie jeszcze, roi się nowym życiem; bywa się w tych miejscach jak w „Resursie”. Można sobie łatwo wyobrazić, na jakim to jest poziomie;

Są wprawdzie temperamenty, których elementem zdaje się być przepracowanie. W pewnej mierze stosuje się to do mnie. Czy to nie jest, na przykład, rzeczą cudowną, że będąc tak osamotnionym ma się jednak za mało czasu, aby móc każdego dnia dokonać tego, co się uważa za potrzebne.

²⁹ List jest pisany po francusku, gdyż pisząca uważa, że język francuski jest mniej smutny niż język polski.

dość powiedzieć, że w „teatrze” szkolnym Połcia występowała jako jedna z aktorek... Pozwala mi to myśleć, że winienem się czuć raczej szczęśliwy, iż zaoszczędzone mi są brzydkie zapachy przez wszędzie zamknięte drzwi. Ponieważ jednak, poza rzadkimi chwilami mizantropii, moja wyobraźnia przedstawia mi w pięknych barwach świat, który się kryje przed moim wzrokiem, chciałbym dociec, co zyskuję tracąc [...] O, jakże smutno mieć rodzinę i być od niej izolowanym! Jakże smutno tkwić w samotności wśród podwójnej wrzawy i nie mieć spokoju. Jakże smutno sąsiadować z wszelkimi ordynarnymi zakamarkami domu, który nie jest naszym domem... Oto długa litania, którą tak ciężko odmawiać. Wydaje mi się, że te rzeczy czynią niebo tak ponurym i zimnym. Mówię Ci o tym dlatego, że jeżeli naprawdę pragniesz pięknej pogody, to spraw, droga Mamo, bym był mniej nieszczęśliwym.

A jeżeli, jak to już nie wiem, gdzie czytałem: „szczęścia nie było w domu, bo go nie było w ojczyźnie”, nie jestem nieszczęsnym wyjątkiem, lecz tylko jednym z wielu biedaków wśród innych nędzarzy, to nawet i w tym wypadku czynię chyba dobrze, że mówię o moich zmartwieniach, bo...

Bo kto wie, droga Mamo, czy tajemnicza Opatrzność nie umieściła w mózgowicy jednego człowieka odpowiedzi na smutki drugiego! To, co mnie się zdaje trudnym do rozwiązania, jest może dla Ciebie igraszką i odwrotnie: to, co Ciebie dręczy, może by znalazło w mojej głowinie szczęśliwe rozwiązanie, gdybyś zechciała mi o tym mówić tak samo szczerze, jak ja to czynię. Więc, gdybyśmy się wzajemnie przed sobą wypowiedzieli, rzecz oczywista — stopniowo, aby nie spłoszyć naszych nastroszonych przeczuć — z myślą o zawieszeniu broni, to może powszechne utrapienie by zmalowało, nie będąc już tak uroczyście stłumiane i ukrywane przed obcymi. Są dusze zazdrosne o swoje zmartwienia. Ja, który nienawidzę tego, co mię martwi, głośno o tym mówię i niechaj mię uwolnią przyjaciele, poprzez wszechświat, od mych utrapień! [...]

W takich okolicznościach Maria Komornicka przeżyła cały okres międzywojenny oraz drugą wojnę światową. Okres ten został zamknięty tragiczną tułaczką wraz z bratem (Janem Komornickim) i jego rodziną w pobliżu krwawych bojów na przyczółku Magnuszewsko-Wareckim. Pozostałe lata życia (9 V 1945 do 8 III 1949 r.) spędzała siostra na zupełnej swobodzie najprzód w Zbójnej Górze pod opieką pani Rawiakowej, a następnie, wobec coraz większego obezwładnienia reumatyzmem, w Zakładzie Rodziny Marii w Izabelinie pod Warszawą.

W tym czasie Komisja Pomocy Pracownikom Sztuki i Nauki przy Prezydium Rady Ministrów przyznała siostrze stałą dotację w wysokości 3000 zł. miesięcznie, co jednak w coraz mniejszym stopniu mogło zadośćuczynić jej potrzebom. Oto ostatnia kartka, jaką od siostry otrzymałam.

Izabelin, 13 I 1949 r.

Moja droga Elo!

Przekaz przyszedł 28 XII 48 r., a obie paczki 4 I 1949 r. Święcie i sto razy dzięki. Byłbym to dawno uczynił, gdyby nie różne hamulce znane

Ci i nie znane. Obym mógł wymowniej Ci dziękować; ale cóż czynić z tą niewolą, na którą tak sarka moje najbliższe otoczenie i z którą nie wiem, jak sobie poradzić. Podobno zastrzyki jodowe są zbawienne. Martwi mnie, że żadnych o Tobie szczegółów nie mam. 13-go przyszedł przekaz Twój, jakże Ci dziękuję. Z gazet trochę więcej mogę korzystać, jednak lektorka by się przydała, ale nie ma nikogo zdatnego. Moje dawne znajome pamiętały o mnie z okazji świąt i przysłały mi dobre rzeczy. Twoje słodczyce sprawiły entuzjazm. Moje chętki gastronomiczne raczej są przy mięsie (nie wędlinach), np. comber zajęczy... Wiele rzeczy ciśnie się pod pióro, ale tymczasem serdeczne pozdrowienia i uściśnienia od

Marii

W tym retrospektywnym pamiętniku, scentrowanym na postaci mojej siostry, starałam się o możliwie największą obiektywną prawdę, opierając się na zupełnie pewnych faktach, przeważnie popartych jej listami. Wydaje mi się, że mimo wielkiego bogactwa różnorodnych elementów psychicznych, to tęsknota za absolutnym Dobrem i Pięknem, poczucie własnej wyższości i utajony, a wciąż przewyciężany strach wobec tajemniczości bytu wysuwały się na czoło jej osobowości. Lecz każda indywidualna prawda jest w stosunku do rzeczywistości tak bardzo zniekształcona w krzywym zwierciadle naszej świadomości i naszych wspomnień, że i ten obraz jest prawdopodobnie daleki od prawdy. Nawet najrzetelniejszy dobór faktów jest zawsze ujęty w pewien specyficzny dla naszego duchowego oka sposób. Pocięsam się jednak nadzieją, że z całą moją dobrą wolą odtworzyłem sylwetę siostry bardziej realnie niż nie-liczne o niej wersje.

Jeżeli przyjąć, że starość jest okazją, jaką daje Los, do wniknięcia w siebie, do rachunku, obejmującego cały poprzedni szmat życia, do wyrównania i zadośćuczynienia pokutnego wszystkim wybrykom żywiołowej młodości, to czterdziestolecie samotnych zmagania Marii Komornickiej mogłoby być przedwczesnym tego stanu duchowego wymownym obrazem. Ona, dla której w młodości „famuła” była luźnym przypadkowym zespołem „duszyczek” niższego formatu — wyniosła na nieomalże chiński piedestał pamięć protoplastów i rodzicielskiej władzy. Ona, która targła wszystkie więzy — z uległością nieograniczoną uznała duchową władzę „maga”, a w końcu milcząco pogodziła się z oczywistością swej tak poniżanej płci. Fizycznie musiała się poddać, nie bez zaciekłych buntów, przemocy zamkniętych sanatoriów, a następnie opiece lekceważonego rodzeństwa, pozostawiającego ją w swobodzie, lecz jednocześnie w psychicznym odosobnieniu. W końcu pożoga drugiej wojny światowej wyrzuciła ją wraz z braterstwem z płonącego rodzinnego gniazda, by skazać na blisko roczną tułaczkę w zasięgu krwawych bojów. Taką, w moim mniemaniu była trasa jej rozwoju i przeznaczenia. Bezdomna, skończyła swój dziwny żywot w Zakładzie dla starców Rodziny Marii, gdzie mimo

całej jej czołobitności dla hierarchii kościelnej trudno się godziła z rze-
komym autorytetem jakichkolwiek jej członków. W mroźny marcowy
dzień 1949 roku szłam wraz z dwoma siostrami zakonnymi za żałobnym
konduktem do pobliskiego cmentarza w Laskach, oddając tak bardzo
skromną ostatnią posługę samotnej, zapomnianej, lecz jakże nieugiętej
istocie.

II

STANISŁAW PIGON

TRZY ŚWIADECTWA O MARII KOMORNICKIEJ

1

Tak losy zrzędziły, że w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen żyłem się bli-
żej z Aleksandrem Oszackim, profesorem wydziału medycznego U.J., znakomitym
internistą, a podówczas współofiara *Sonderaktion Krakau*. Znałem go z dawna. Roz-
stałem się już z uniwersytetem, kiedy on przyszedł jako młody docent z Wiednia,
poprzedzony rozgłosem, że jako już wtedy wybitny lekarz był wzywany na kon-
sultacje do cesarza Franciszka Józefa. W Krakowie zajął wnet wysoką pozycję jako
uczony i profesor.

W obozie zbliżyłem się doń nie jako do lekarza. Wiedziałem trochę o jego ko-
neksjach literackich. Wnuk Sabiny Grzegorzewskiej, pamiętnikarki jeszcze z kręgu
puławskiego Czartoryskich, brat młodo zmarłego literata i dziennikarza, który zaj-
mował znaczne miejsce wśród wczesnej krakowskiej generacji Młodej Polski, sam
człowiek o wspaniałym intelekcie, o szerokim zasięgu zainteresowań kulturalnych
i artystycznych, zaprzyjaźniony z literatami (m. in. z W. Orkanem), przyciągał nas
i interesował. Było z nim o czym rozmawiać.

W krótkich chwilach wolnych od programowej udręki obozowej wyciągałem zeń
różne szczegóły wspomnień o sprawach i ludziach wspólnie nas interesujących. Tam
się m. in. dowiedziałem, że był bratem ciotecznym poetki Marii Komornickiej. Była
to indywidualność literacka, dziś zapomniana, ale swego czasu bardzo wybitna i gło-
śna. Nazwisko zdobyła w młodym wieku jako współautorka (wraz z C. Jellentą
i W. Nałkowskim) tomu-manifestu pt. *Forpoczty ewolucji psychicznej* (1895).
W krótkich odstępach czasu ogłosiła potem sporo utworów poetyckich po czaso-
pismach i w osobnych tomach. Zasięgnęła też głębokimi, przenikliwymi i ostrymi
recenzjami, jakie ogłaszała w „Chimerze” podpisując je pseudonimem: Włast¹. W na-
stępnych latach coraz rzadziej słyszało się jej nazwisko. Niebawem zaś zaczął ją
ogarniać mrok. Oszacki miał niejedno o niej do powiedzenia. Żałowałem przy nim
głośno, że brakło mu było sposobności i zachęty do spisywania wspomnień.

Może pod wpływem tych namów po powrocie z obozu spróbował on odrobić choć
część zaległości. Rzucił na papier trochę uwag o niesamowitej osobowości Komor-

¹ Szczupłą biografię i bibliografię (także przedmiotową) M. Komornickiej podał
G. Korbut w tzw. Dopełniaczu I do swej *Literatury polskiej*. Do wskazanych tam
rozpraw dodać należy: W. Wolski: *Maria Komornicka. Szkic krytyczny*, „Przegląd
Tygodniowy Kraju” 1900 styczeń, przedruk w tomie *Wzloty na Parnas*, Warszawa
1902, s. 36—53. W tomie niniejszym dajemy bibliografię utworów zestawioną przez
Marię Dernałowicz.

nickiej. Po rychłej śmierci profesora znalazło się w papierach jego kilka kartek brulionu, niewyraźnego i niewykończonego, nawet nie zatytułowanego. Dostały się do mych rąk. Sądzę, że nawet w takim ułamkowym stanie mogą zainteresować dzisiaj czytelnika te wywody lekarza o literatce.

SPOWIEDŹ NIEDORODZONEJ

Kilka uwag lekarza o psychice Marii Komornickiej

Szukając w literaturze przykładu introspektywnej autorskiej analizy samego siebie przypomniałem sobie *Biesy* Marii Komornickiej. Ukazały się one w „Chimerze” r. 1902². Sądzę, że pod względem artystycznej formy, siły ekspresji, szerokości ujęcia i kultury życia wewnętrznego jest to jeden z najlepszych udanych twórców autoanalitycznych. Patologiczna ostrość rysunku całego wnętrza osobowości ułatwia poznanie rysów, znacznie trudniej uchwytych u tzw. normalnych osób.

Pisała ona rzecz tę już u wrót bezpowrotnego obłędu. Jak się zdaje, w okresie bezgranicznego lęku przed popadnięciem w otchłań szału; lęku może przed utratą własnego „ja”, o którego zagadkę pyta z tragiczną mocą symfonii Beethovena. Widzimy jej jaźń w jaskrawym wnętrzu jej introspektywnego blasku świadomości, wyrażonego w mocnych, pełnych ekspresji słowach. Styl jej i artystyczny język potrąca nieraz jakby o niedosiężne struny Słowackiego.

Może nie bez przyczyny wewnętrznej nasuwa się tutaj to właśnie porównanie. Przy całej sile obrazowania i niedościgłej barwności i wdzięku wyobraźni Słowackiego, jego rozmachu twórczego nie mogę się oprzeć poczuciu braku w nim czegoś, co bym nazwał: żywym ciepłem, pulsem i soczystością realnego życia. W znacznie wyższym stopniu wyczuwa się to w języku *Biesów*. Pomiedzy autorką a materialną realnością istniała jakaś subtelna przegroda, może ze szkła, a może z bańki mydlanej, a może z mgły oparów dusznych.

Męczeńska droga Komornickiej, mająca ją zaprowadzić do samego sanktuarium tajemnicy jej jaźni, wiodła przez makabrycznie cichą, niemą i zimną pustynię niedostatku wszystkiego, co ludzkie, a co nie jest intelektem, poznaniem, refleksją, a przede wszystkim świadomością. Poetka toczy się rzucona przez przeznaczenie po tej drodze, wciąż dysząc nadzieją, że zdoła uchwycić się sensu bytu swego istnienia przez wtopienie się w enigma własnego „ja” i może w ten sposób uratować się i zatrzymać. Jest już rzeczą epoki, w której żyła, że w pracy autoanalizy przyświeca jej światło nietzscheanizmu, a w rękę trzyma skalpel przyrodniczego somatyzmu i determinizmu. Dla niej „wiedzieć”, zrozumieć

² Tom V (z. 13 i 14), s. 36 n., 213 n. Utwór ukazał się także osobno, jako odbitka z „Chimery”, Warszawa 1902. O *Biesach* pisał w „Chimerze” J. Lemański (1904) t. VII, s. 142.

siebie, znaczyło tyle, co spełnić sens przeznaczenia i wstąpić w błogosławione progi nicości.

*

Zaraz pierwsze zdanie tej spowiedzi wprowadza nas w patologiczne założenie jestestwa autorki, ujęte jednak w twarde karby samokrytycyzmu:

„Było to za czasów mej manii samoprześladowczej. Żyłam w bezwzględnej duchowej samotności... i gdy spojrzę wstecz, w gehennę mojej młodości..., widzę siebie, dzikie, wolne, głos własnej natury jedynie rozumiące żrebie, zagnane... między ukłasyfikowane kojce i przegrody... daremnie w rozpaczonym popłochu szukające zgubionej drogi stepowej... Pragnienie ruchu i czynu, tajemnicza niewola w więzieniu z odwróconych pleców, bezimienna krzywda, nieuchronność zagłady — wszystkie biesy wyły we mnie... Pałąca ciekawość świata społecznego... pracy i uciech gromadnych, uświadomienia się przez doświadczenie, zobiektywizowania się w życiu czynnym, zmierzenia swego JA z NIE-JA... Obojętność tłumu sugestionowała me rozdrażnione nerwy... niszcząc we mnie poczucie mej wartości i siły... Znienawidziłam własne jestestwo... Zdawało mi się... że stoję na bezludnym placu, zamkniętym wymarłymi domami — i przerywanym tu i ówdzie długimi, ślepyimi zaułkami...”

Jednym z takich zaułków była ŻĄDZA POTĘGI. Zdawało się, że „przyczyną tego opuszczenia jest słabość”. Ale ani „wola do złego”, ani „wyrzeczenie”, ani samoświadczania w rodzaju hartowania swego tchórzostwa i współczucia „nie dały potęgi, bo ona... przychodzi, gdy jej głód zaden nie woła”...

Drugim zaułkiem na tej drodze żądzy życia (jak sama powiada) było POŻĄDANIE SAMOWIEDZY. Ale ani zapuszczenie się w swój świat wewnętrzny, ani patrzenie na siebie „od zewnątrz”... „na własne oczy”, ani chciwe odpowiedzi śledzenie za opinią „tłumu” nie dawało objaśnień poza jednym faktem: zgodności tego tłumu na punkcie INNOSCI, odrębności. Sama też autorka zresztą ma silne, tragiczne poczucie odmienności własnej.

Po bezowocnym nurtowaniu siebie zawiesza walkę o samowiedzę bezinteresowną i ogranicza pragnienie do „samowiedzy praktycznej”. Dąży do zdobycia wiedzy „życia międzyludzkiego”. „Zaszyłam się w gromadę” — mówi. Kieruje się systemem zwierzęcego mimikry. „Wkrótce jednak między mną a tymi studiami stanęła fatalna nieprzewyciężona zapora: Nuda...” „Radosna piękność niektórych synów ziemi wyzwaliała... tęskne porwy zachwyty i szału”. „Lecz gdy wybijała godzina wcielenia marzeń... dusza odchodziła beznadziejnie szydercza od przerwanej uczy... Umiałam tylko tworzyć i niszczyć. Kochać nie umiałam”. Była natomiast ciekawość, „wszechwładne, nieludzkie panowanie myśli”... „Dusze bliźnich były mi

tylko tematem wiwiskcyjnym... duch mój niezdolny był zatrzymać się na nich dłużej niż **POZNANIE**".

Nadszedł czas innego zaułku: zaułku śmierci.

„Nienawidziłam tego nieszczęsnego splotu sił fizycznych i duchowych, które stanowiły moje **JA**, nienawidziłam **RODU**, który mnie wydał, tego nieskończonego szeregu natur gwałtownych i beznadziejnych, dzikich, namiętnych, niespokojnych, w wiecznej kłótni ze środowiskiem, pędzących we wrzawie rozhulanej rozpacz jak czarny tabun demonów w piekło zagłady, nad którymi jak ptak żałoby rozpięta wampirze skrzydła Kłątwa zamierzchłej Przeszłości... Zjawienie się mego jestestwa pojmowałam jako ostatecznie równanie odwiecznego problemu ziemsko-nadziemskiej algebry, a rozwiązaniem była jasna samowiedza naszej antyżyciowości — i śmierć **ŚWIADOMA**, ostateczne wypełnienie Kłątwy”.

Ale i od śmierci nie spodziewała się wybawienia, bo w jej przekonaniu: „**NIE BYŁO UNICESTWIENIA!**”... „Demon odlatujący zostawiał na swej ziemskiej masce stempel indywidualności niezniszczalnej i rozwiewał w mym umyśle wszelkie złudzenia Niebytu... Śmierć była... końcem prologu, tylko **NARODZENIEM**”.

Rachunek życia zamykał się ścigającym autorkę wyrazem: **NĘDZA**, **NĘDZA**... i „bratobójcza nienawiść do świata, który jak ja nie umierał, potrafił jeść i pić, być syty i spokojnym, pracowitym i potrzebnym... i który zdawał się mówić do mnie: — **JAM JEST, KTÓRY JEST, A TY, KTÓREJ NIE MA. NIEDORODZONYM BIADA!!!**... Zrozumiałam nareszcie. To był klucz tajemnicy..., otchłań dzieląca mnie od ludzi i świata, zagadka niewspółmierności z ziemią i jej dziećmi, ... krzywd okropnych i bez winowajcy ... I już do końca trwać musi katusza źle spojonych ze sobą funkcji i narządów... I nikt ich w naturalną całość nie połączy, bo niewiadomy nikomu plan i cel ich układu”.

Zamiary samobójcze przyniosły przerażenie: Nie ma zagłady!

„Nagle stanęłam jak wryta. Wprost mnie, mrocznie wypływając z blasku, prostował się w groźnej czerni upiór mego **DUCHA**... Nade mną huczał łoskot kłątwy: **W WIEKUISTOŚĆ!**”...

*

Pamiętam Marię Komornicką jeszcze z mych lat dziecinnych czy młodzieńczych: niską, szczupłą, filigranową, wciąż żywą i w ruchu, a jak dziś rozumiem, infantylną z budowy i temperamentu. Wiał od niej nietypowy wcale dla przeciętnego in'antylizmu jakiś niesamowity niepokój, ale i wdzięk i — naprawdę — miękkość czy dobroć. Bardzo podówczas młoda, czarno ubrana, z tą tajemnicą zawsze nader skromnego, cichego ubrania, ale — dla niewtajemniczonych — w nieosiągalnie dobrym guście. Nic z bohemy i nic, nawet śladu kabotyństwa. Pamiętam też z czasów mego

wczesnego dzieciństwa odgłosy szeptów zmartwionych ciotek o młodej panience z dobrego domu, epatującej bliższe i dalsze otoczenie swymi sądami i publikacjami. Pamiętam odgłosy walki, zwłaszcza z jej nieugiętym ojcem, przedstawicielem „opinii”, stanu i majątku. Walka o siebie, już wtedy o swoje „ja”, musiała być i z jej strony twardo prowadzona, skoro wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, pojechała — ale z matką — na uniwersytet w Cambridge. Obecność matki była prawdopodobnie symbolem kompromisu i chwilowego zawieszenia broni...

Spróbujmy zanalizować charakterologicznie tę niesamowitą indywidualność, przebijającą się przez kurzawę, błyskawice i gromy orkanu duchowego *Biesów*. Autorka nosiła w sobie to „ja”, oświetlone dla niej jaskrawym blaskiem paranoicznego nastawienia jej introspektywnego wnętrza. „Ja” wyniosłe, pełne szczerego i naturalnego poczucia swej wartości, ale jakże dalekie od arogancji (*suffisance*).

To „ja” jest u niej ośrodkiem wszelkiego istnienia i bytu, to najwyższy potencjał egocentryzmu, o którym powiada Jacques Maritain: „Coś o wiele subtelniejszego, coś głębszego i ważniejszego niż egoizm, to egoizm metafizyczny... Posiada on wartość reprezentatywną: jest to własne »ja« stworzenia, niepodzielna treść jednostki ludzkiej. Reformacja rozpętała ludzkie »ja« w dziedzinie duchowej i religijnej, tak jak Odrodzenie rozpętało ludzkie »ja« w porządku działania naturalnego i zmysłowego”³.

„Duch mój — mówi Komornicka — moje jakby numenalne «JA», wyższe ponad zło i dobro, miało rządzić we mnie diabłem i aniołem dla celu własnego uświadomienia, jako wyższy od nich demon potęgi”.

Przytoczone tu słowa świadczą najlepiej, jak era Nietzschego umiała dać wyraz temu egocentryzmowi. Tu jeszcze „duch” jest konstrukcją myślową; z końcem *Biesów* stanie się widzeniem niemal realnym.

Oskar Wilde po więzieniu mówi do André Gide’a: „Pojął pan, co za przedziwną sprawą jest litość. Na kolanach dziękuję Bogu, że mi dał ją poznać. Kiedy szedłem do więzienia, miałem serce z kamienia, a myślałem jedynie o użyciu. A teraz... pojąłem, że litość jest największą, najpiękniejszą rzeczą, jaka może być na świecie”⁴.

Przy tym wciąż tak u niej czujny samokrytycyzm żądał czegoś, co nie było, normalnie biorąc, współmierne z samopoczuciem jaźni: żądał afirmacji od otoczenia, od „tłumu” i od „odwróconych pleców”. A tymczasem epatowany tłum nic nie rozumiał, a co za tym idzie: dziwił się zapewne, ale nie mógł żadną miarą afirmować czegoś, czego nie rozumiał, a co za tym idzie właściwie: co dla niego nie istniało. Mania prześladowcza kazała jej tę obojętność odczuwać jako nagonkę, bolesne ignorowanie i wypędzenie

³ Jacques Maritain: *Trois Réformateurs*, s. 19—20.

⁴ André Maurois: *Études anglaises*, Paris 1927, s. 245, w studium pt. *De Ruskin à Wilde*.

„odmieńca” ze społeczności. Oto tragiczny konflikt trzech nie dających się mieszać elementów psychicznych: jaskrawości „ja”, samokrytycyzmu i obsesji prześladowczej. To pierwsze pęknięcie u podstaw tej konstrukcji duchowej.

Z czasem jaźń i świadomość jak nowotwór przerastają całą osobowość, zniszczenie innych elementów życia wewnętrznego stało się coraz dotkliwsze, krzyk samokrytycyzmu coraz głośniejszy. Tłum coraz mniej rozumiał i oczywiście coraz wyraźniej uciekał od tego szarpania się. Chciał może uciekać, bo w gmatwaniu życia społecznego taki jest napór wzajemny, że ktoś chcący koniecznie żyć w tłumie, a przezeń nie widziany, traktowany jest jak pustka, którą trzeba wypełnić, żeby całość budowy społecznej dla własnego bezpieczeństwa podtrzymać. To wszystko musi sprawiać, że rysy i pęknięcia takiej osobowości stają się pod parciem życia z czasem szczelinami... Tymczasem: szeroko otwarte zmysły, chciwe wiedzy „świata rzeczy”, rozżarzony „mózg” jako ich receptor, wżeranie się w siebie i szukanie...

Przerost egotyzmu i intelektu mścił się tutaj niedorozwinięciem wszelkich odśrodkowych zdolności, wszelkiej intuicji, wszystkiego, co nie było rozumem, analizą, refleksją. Brak zieleni, woni kwiatów, a przede wszystkim brak uśmiechu i liryki!

Patrzy ona na swoje życie jako wykonanie takiego czy innego planu, skonstruowanego przez nią samą. Zawsze ona sama jest wyłącznym źródłem celu swego życia i wyłącznym przewodnikiem jego dróg. Ani śladu intuitywnego czy instynktownego poczucia, że coś może być poza nią, że coś w niej myśli, coś postanawia, coś chce. Początkiem i miarą wszystkiego jest „ja” i wszystko ma jemu służyć.

Brak jakiegokolwiek współczynnika płciowego w tej przedziwnej osobowości. Gdyby nie gramatyczna forma żeńska czasowników i przymiotników nikt nie byłby w stanie posądzać autora *Biesów* o kobiecość duszy. Tak jest bezpłciowa, czy raczej tak jest „męska” w swej oschłości i racjonalności każdej koncepcji. Brak elementu kobiecego potęguje tym silniej jej niezdolność do uczuciowego podejścia do ludzi. Sama mówi, że nie umiała pokochać nikogo, nie była zdolną wyżyć się w żadnej namiętności, pomimo że jakąś resztką instynktu wiedziwna szukała w nich ratunku, ucieczki przed makabryczną pustką, otaczającą jej samotne „ja”. Do tej pustki i głuszy uczuciowej dochodzą ówczesne echa „wiedzy radosnej” czy *feast of life*. Dla niej to próbne hasła, które postanawia wykonać. I oczywiście z takimi postanowionymi radościami życia musi się stać nieodwołalnie to samo, co z postanowioną „żądzą potęgi”, „namiętnością marzenia”, „pragnieniem rozkoszy”...: nie weszła nawet do raju życia, bo wstępu broniły: Nuda i Obrzydzenie.

„Namiętność marzeń” tak upragniona, tak konieczna dla spragnionej,

wysuszonej oschłością duszy — nawet ta nie doszła... „I zawsze — skarży się autorka — uciekała mi”. I jakże nie miała uciekać?

„Kiedy indziej z eksperymentatora stawałam się medium świata i owładała mną **NAMIĘTNOŚĆ MARZENIA**... Było to marzenie gorące, rozedrgane, purpurowe, które jest snem ognistym w uścisku życia. Przeżywanie powtarne, pełniejsze, głębsze dreszczów uczucia, wnikanie w najwewnętrzniejszy czar zerwanych kwiatów, rozkoszowanie się łupami wojennymi, posiadanie cudnej niewolnicy po zdobyciu jej na wrogu i uprowadzeniu do swej górskiej pieczary. Pastwiłam się nad nią i pieściłam ją, groziłam i zaklinałam, szydziłam z niej i modliłam się do niej, rozplatałam jej cudne złotokare włosy, rozchylałam purpurowe usta nad świecącymi zębami, zgrzytałam i całowałam, wiązałam ją kajdanami i wypuszczałam na wolność w nadziei, że ją ta wspaniałomyślność rozbroi, że ją moje rozkochane szaleństwo z powrotem przywabi...”

Jest coś safonicznego w formie tego purpurowego, tak tragicznie zimnego rojenia o marzeniu. To wszystko w pogoni za „łupem moim nigdy na zawsze nie zdobyłym, za nigdy na dosyć nie posiadaną niewolnicą, za bożyszczem moim — **ż y c i e m**”.

To „życie”: pleć, rodzina, „inni” i „rzeczy” — wszystko stało wokół niej, ale odgródzone szklaną ścianą, ulaną z jej „niedorodzenia”: jej braków, jej pokuty za przerost intelektu, opłacony niedorozwojem innych stron duszy, jej infantyлизmu, który wyklucza harmoniczną pełność życia, choć dał już tylu geniuszów światu i jednostronnych uzdolnień... a jakże często za cenę tragicznego, przedwczesnego końca.

*

Gdy to piszę, wylania mi się nagle wspomnienie: mały, skromny pokój moich rodziców, zielona i oczywiście pluszowa kanapka w rogu, a na niej siedzi moja matka z Marią Komornicką. Obok ja — gimnazjalista z czwartej czy piątej klasy, właśnie w okresie obkuwania historii starożytnej. Było tam i o metempsychozie u Egipcjan. Wtem nagle słyszę pytanie Maryni: „Czy ciocia wierzy w metempsychozę?”

Wyłoniło mi się to wspomnienie z pamięci w tej chwili, gdy myślę o głodzie śmierci u Maryni i o jej obłędnym lęku przed dalszym istnieniem „tam”. Może już wtedy, na kilka lat przed napisaniem *Biesów* przesładowała ją myśl, że nie ma „unicestwienia”, pomimo że tak wyobraźnią widziała rozkład swego „soma”; tego „soma”, które obwinała — i zapewne słusznie — o niedorodzenie i odmienność swego osobowości. W tym przerażeniu przed dalszym trwaniem męki bytu, który widziała może w reinkarnacjach, wyłonił się przed jej świadomością, przed jej „oczyma duszy” ... „upiór mego **D U C H A**” i „łoskot kłątwy”: „W wiekuistość!”.

Dla lekarza to tylko ostateczne rozłamanie się zrębu psychicznego

i końcowy akt tragedii rozdwojenia i rozszczepienia osobowości; dla kogoś innego może to być widzenie rzeczy w podręcznikach medycyny nie opisanych. Dla Marii Komornickiej było to rozdarcie się zasłony, przez którą miała wejść w mrok ostatecznego rozkładu „soma” i świadomości, ale może także w nowe życie tego, co naprawdę w niej było wielkiem, to jest jej ducha.

Jeden z mędrców chińskich (Mencius) uważa za trzy podstawowe cnoty wielkiego człowieka: Mądrość (równowagę ducha?), Miłość i Odwagę. Inny (Laotse) zaleca rzeczy tak delikatne, że podam je tu wprost w wyrazach angielskich, bojąc się złego przetłumaczenia: *Cynicism, Folly and Camouflage*⁵. Dwa wyrazy końcowe może by się dały zastąpić chrześcijańskim: Ubóstwo duchem i Pokora; ale najgorzej z pierwszym; bo to nie cynizm, to raczej pewna „montaignowatość”, coś ze sceptycyzmu filozofa-urwisa...

Poza odwagą (śmierci) nie grzeszyła Komornicka żadną z tych „cnót”. Pomimo ogromnej rozpiętości intelektualnej i nader wysokiej skali i perspektyw życia duchowego nie miała ona niewątpliwie równowagi ducha, ni zdrowej mądrości życia, bo w ogóle nie umiała żyć i nie żyła w pełnym, soczystym znaczeniu tego słowa. Ona za wszelką cenę chciała móc żyć i chciała móc kochać. Była zbyt nasilana duchowo, aby rozdrabniać talenty swego ducha na drobne *cynicism* lub *camouflage*. Leżało to też zupełnie poza paranoiczną formą jej istnienia. To ostatnie wykluczało zupełnie też tę właśnie z cnót, która jedyna mogłaby ją była ratować, gdyby nie była z założenia osobowości niemożliwą, tj. *folly*. Znaczenie tego słowa może najlepiej oddaje słowo polskie: „ubóstwo duchem...” — „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie”⁶. Na to jednak musiałaby Komornicka mieć to, czego żądał Archimedes dla poruszenia ziemi, tj. punkt oparcia poza ziemią, winna by znaleźć poza ziemią odskocznię dla opanowania swego „Ja”. Ale czy to nie leżało poza możliwościami patologicznego założenia jej osobowości?

Rzecz cała nosi tytuł: *Biesy*. Zdaje się, że tytułem tym chciała autorka podkreślić kosmogoniczny charakter swej tragedii wewnętrznej. Rzutowała ją niejako poza siebie aż do wyżyny walki pomiędzy Duchem Dobra i Duchem Zła o jej duszę, jej istnienie... dalsze. Powiada:

„Duch mój, moje jakby numenalne JA, wyższe ponad zło i dobro, miało rządzić we mnie diabłem i aniołem dla celu własnego uświadomienia, jako wyższy od nich DEMON POTĘGI”.

Umyślnie podkreśliłem w tym cytacie słowo: „numenalne”, czyli wi-dzialne „oczyma duszy” jej „Ja” z pozaświatów. Nazywa je autorka „demonem potęgi”. Może to on, ten demon właśnie był jej „biesem”, który pędził ją na drodze do celu własnego uświadomienia.

⁵ Por. Lyn Yutang, s. 98 i 105.

⁶ Łuk. 6, 20.

Znamy nazwiska niejednego z tych biesów owej epoki: byli nimi przede wszystkim: Nietzsche, Strindberg, Ibsen i tylu innych duchów tej epoki nadmiernego indywidualizmu i woluntaryzmu. Choroba umysłowa nie dozwoliła autorce doczekać epoki, już podówczas wyraźnie żywej, ale dla niej widocznie jeszcze nie pomocnej, epoki poskromionego egocentryzmu, czy to przez narastanie psychiki kolektywu, czy przez coraz większe uświadamianie sobie znaczenia życia „podświadomego”, czy wreszcie (*last non least*) odradzającego się katolicyzmu.

Ma jednak M. Komornicka poczucie czegoś poza tym światem. Mówi o swym numenalnym „ja”, mówi o usiłowaniu przymierza między ziemią a zaświatem. Ma swoje „oczy duszy”, ale jakby i „tam” przechodziła ze swoim egocentryzmem, poza który nie jest w stanie się wydostać. Może dlatego właśnie nie mogła znaleźć punktu oparcia dla poruszenia samej siebie.

Była bardzo zmęczona sobą — bo żyła w pustce działania...

Aleksander Oszacki

2

LIST MARII KOMORNICKIEJ

Opowiadania obozowe prof. A. Oszackiego, a potem jego artykuł, zajęły mię tym bardziej, że już wcześniej interesowała mię była indywidualność tej pisarki. Tkwiły mi w pamięci jej wojownicze, zawiadackie wypadki z *Forpoczt*. Nietrudno było w Krakowie o szczegóły niesamowitych jej przeżyć życiowych; tu przecież rozegrała się głośna przygoda, która stała się początkiem końca jej małżeństwa z J. Lemańskim.

Z zachęty wspólnych znajomych spróbowałem zwrócić się do niej listownie i zapytać o twórczość lat ostatnich. Uprzedzono mię wszelako, że na odpowiedź mogę liczyć tylko wtenczas, jeżeli do adresatki zwrócę się pod jej męskim pseudonimem: Piotr Włast, a w liście odezwę się do niej jako do mężczyzny. Tak ją musieli traktować wszyscy z jej otoczenia. Zastosowałem się do tego i otrzymałem odpowiedź, która przynosi trochę wiadomości bio- i bibliograficznych. Daje też niejakię pojęcie o ówczesnej mentalności autorki. Ogląszam ją tu w całości:

Grabów nad Pilicą, 25 XI 1937

Szanowny Panie Profesorze!

Humanitarny podźwięk Pana listu zniewala do całkowicie szczerej odpowiedzi.

Więc najpierw konkrety: Piotr Odmieniec Włast, czyli niżej podpisany, pisze, jak pisałem — dorywczo i niezawodowo — „procent od kapitału przeżyć i doświadczenia”. Z zamknięciem „Chimery” zaczęła się i moja okultacja, przestano mnie (o ile wiem) drukować. Lata 1907—1917 prawie całkiem literacko bezczynne. Z dalszych lat 20 dałby się może złożyć wielki tom „zbiorowy” poematów dłuższych i krótszych, wierszem i prozą,

a także próz beletrystycznych, filozoficznych, publicystycznych. Ostatnio SCENARIUSZ.

Wiadomość i dostęp: u Miriama; w Archiwum Parafialnym Grabów; u siostr moich: Elżbiety Mrozowskiej („Kurier Warszawski”) i Anieli Komornickiej (Warszawa, Polna 32); u brata Jana Komornickiego (Grabów). Także u autora (Grabów).

A teraz o ideolinii mojego ewentualnego pojawienia się na pierwszym planie świadomości szerszej. Ograniczę się do niezbędności, sądząc, że Pilota młodzieży detaliczniej informować nie potrzeba. Dla mnie taka pierwszoplanowość równa się sławie, zaś sława, dla sensytywów, równa się męce st. Sebastiana. Należę do ludzi z gruntu nieoficjalnych, którzy wolą sto szczyrych przyjaźni niż 100 000 bijących brawa. Życzliwość zacnych i mądrych ludzi i ich pomoc w dalszym kształceniu przeważają w mych oczach wszystkie laury.

Dla spółludzi: wyznaję, że izolacja i immobilizacja, którym dla niejednego powodu poddany byłem, czynią mnie niekompetentnym co do zagadnienia, czy byłaby jaka korzyść powszechniejsza z „uczynnienia świata” co do mojej osoby (tak łącznej z akcją). Niech o tym wyrokują ci, których jesteście — patres. Gdyby orzekli, że „nadszedł czas” mej konfrontacji z ogółem, to, naturalnie, skłonię się, jak przystoi. Zastrzegłbym sobie jednak swobodę działania według swego „najczystszeo, najgłębszego, najistotniejszego poczucia”.

Wreszcie przypomnę, że szczęśni są, o których nie wie *Gloria mundi*. I, dalej, że czuję się powołany raczej do dyskusji ze Starcami. Może by więc praktyczniej było, gdyby najpierw „Jezus był znalezion w Synagodze”. Nb. tu Jezus ma lat 61, ale cóż to znaczy wobec naszych Matuzalearów?!

Oto najważniejsze, na razie. Jeżeli w mych słowach jest coś „osobliwego”, to proszę pamiętać, że jako wycofany z obiegu od lat 30-u mogłem zatracić kontakt z ogólnymi odruchami epoki. Proszę więc nie zrażać się i — w razie niejasności — po prostu interpelować mnie.

Łączę wyrazy kordialnego szacunku

P. O. Włast

Dodam i to, że po śmierci poetki doszedł mię dzięki uczynności p. Anieli Komornickiej spory kodeks oprawny, zawierający wiersze jej z owej ostatniej epoki. Ten sam, o którym wspomniała autorka. Z rzadka tylko zapełgał tam płomyk dawnego talentu. Na ogół: smutne świadectwa ruiny.

Po śmierci Komornickiej, pamiętny także rozmów z prof. Oszackim, zdecydowałem się raz jeszcze zasięgnąć języka o ostatnich chwilach smutnej poetki. Ko-

rzyszając znowu z uczynności wspólnych znajomych, poprosiłem brata zmarłej, Jana Komornickiego, o szczegóły. Nie odmówił ich i pomieścił je w liście, który stanowi trzeci trzon zebranych tu informacji. I to świadectwo pomieszczam bez zmian i opuszczeń, w szczególności nie rektyfikując istniejących w nim drobnych usterek rzeczowych.

Sosnowa Wola 17 XII 1950 r. p. Lubraniec, pow. Włocławek

W. Szanowny Panie Profesorze!

Wybaczy W. Szanowny Pan Profesor, że go obarczam niepotrzebnymi detalami z życia i działalności literackiej mej siostry Marii, jestem jednak już jednym z ostatnich (mam lat 81), którzy te odległe czasy pamiętają, i czuję się w obowiązku je przytoczyć.

Zamiłowanie do pracy literackiej objawiła Maria już w dzieciństwie; mając lat 7 wydawała w Grabowie, gdzie mieszkaliśmy, dziennik, którego treść wypełniała sama. W r. 1889 zamieszkaliśmy z matką w Warszawie dla celów naukowych, była nas spora gromadka — sześcioro. Śp. Kamocka wykładała literaturę polską; niedługo to jednak trwało, może rok, bo Maria zauważyła, że wykłady Kamockiej nie odpowiadają jej wymaganiom. Ojciec nasz, który uważał, że zdolności córki są duże, postanowił nie szczędzić pieniędzy na kształcenie jej, zrobił może za duży skok i zaprosił prof. Chmielowskiego, który w ciągu dwóch lat wykładał literaturę polską nie w komplecie, lecz prawie jedynie dla niej. W tymże okresie bardzo wielki miał wpływ na moją siostrę nasz krewny, Bolesław Lutomski, który umieścił w r. 1891/2 w „Gazecie Warszawskiej” jej felieton *Z życia nędzarza*, potem *Staszkę*⁷. Okoliczność ta ujemnie wpłynęła na usposobienie Marii, stała się dumną, nie uznającą niczyjej wyższości i władzy nad sobą; pewnego razu w ostrzejszej rozmowie z ojcem, bardzo prędkim i absolutnym, powiedziała: „nie uznaję ani powagi, ani woli ojca”⁸.

Po tej rozmowie ojciec postanowił Marię w wieku 15 lat wyrwać z otoczenia w Warszawie, a uznając brak jej wiedzy gruntownej wysłać ją do Anglii dla wyższych studiów; wybrał Kembridż. Tam została umieszczona przez matkę naszą u prof. Borosa, który ją miał przygotować do wyższego zakładu naukowego. Ale zgoda na wyjazd do Anglii ze strony Marii była tylko pozorna, a cel uboczny — poznanie Europy, o czym wnet przekonaliśmy się, gdyż po otrzymaniu od ojca pieniędzy na dwa miesiące, bez namysłu opuściła Anglię i przybyła do Warszawy, gdzie wpadła pod wpływ Myślickiego i Jellenty (Hirszbanda).

Od dzieciństwa Maria podlegała różnym maniom: nadzwyczajnej po-

⁷ Zob. w tomie *Szkice* (1894).

⁸ Konflikt ten znalazł odbicie w utworze *O ojcu i córce*, pomieszczonym w tomie *Baśnie i psalmodie* (Warszawa 1900).

bożności — bigoterii, kompletnego ateizmu*, zamiłowania do strojów, kompletnej abnegacji, wreszcie przekonywania wszystkich, że jest mężczyzną, do czego można dojść siłą woli; kobiety uważała za istoty niższe i z tym przekonaniem zesła z tego świata. Pamiętam, że kiedyś powróciwszy z Anglii opowiadała, że z Nałkowskim i Hirszbendem była na od-czycie i akcentowała: „byliśmy we trzech”.

W roku 1895 umiera nasz ojciec i Maria ostała się panią swej woli i majątku odziedziczonego po ojcu. W roku 1899 wychodzi za mąż za Jana Lemańskiego, literata i urzędnika na kolei; jako warunek ślubu stawia Maria Lemańskiemu, aby opuścił posadę, gdyż nie godzi się, aby literat ubocznie pracował i zarabiał. Pożycie Lemańskich trwało krótko, gdyż Maria uważała, że małżeństwo nie dla niej. W kilka tygodni po ślubie Maria unikała męża, wysyłała go do Grabowa, a sama zostawała w Warszawie lub odwrotnie; bajka Lemańskiego *Słońce i księżyc* przedstawia ich pożycie. Wpływ Bohusza-Potockiego, Abramowskiego** i Miriama coraz więcej się ujawnia, a Przesmycki stał się przewodnikiem duchowym do końca życia.

Narkotyki, które używała (kawa czarna i herbata)***, coraz więcej podkopywały jej system nerwowy, a gdy doktorzy nie mogli sobie z jej stanem poradzić, wysłali ją nad morze — do Kołobrzega. Maria mówiła, że ostatecznie na rozwój jej choroby wpłynął fakt zawalenia się sufitu w sali obrad w pałacu Taurydzkim, na potrzeby Dumy w Petersburgu przeznaczonym; usłyszawszy o tym uczuła, że jej coś się w głowie stało i że do normy jej umysł już nie wróci. Matka nasza z nią pojechała i gdy w Poznaniu zostawiła ją w hotelu samą i wróciła, zastała ją w łóżku, całą zaś toaletę damską dopalającą się w piecu, żądającą stroju męskiego, gdyż okres jej kobiecości się skończył. Po tych objawach odwiozła ją matka do dra Żuławskiego, potem do Obornika, wreszcie do Opawy, gdzie zostawała do roku 1909. Z powodu trudności granicznych przywiozła ją matka do Micina, prywatnego zakładu dla umysłowo chorych, i tam ją zastała wojna 1914 roku.

* Pobożność Maryni w dzieciństwie nie była bigoterią, lecz opierała się na daleko posuniętej ascezie i dążeniu do świętości. Nigdy siostra moja nie była ateistką, chociaż jej wiara w Boga nie była całkiem zgodna z dogmatami Kościoła katolickiego (przypis A. Komornickiej).

** Ani Bohusz ani Abramowski nie wywarli na Marię Komornicką większego wpływu; łączyły ich jedynie wspólne zainteresowania intelektualne i duża przyjazna zażyłość. Zresztą Bohusz znikł tajemniczo wkrótce po swoim pobycie w Grabowie, latem 1898, a Abramowski rzadko tylko przyjeżdżał do Warszawy (przypis A. K.).

*** Przypisywanie decydującego wpływu herbacie i kawie jest wielkim spłyce-niem nurtujących ją przeżyć. Maria Komornicka zachorowała w Paryżu w listopadzie 1903 r., gdzie pędziła życie w zupełnym odosobnieniu i wytężonej pracy twórczej (przypis A. K.).

Wraz z chorymi z Tworek przewieziono ją do Warszawy, gdzie wszyscy zostali umieszczeni w więzieniu na Mokotowie, skąd zabrałem ją do Grabowa i tu spędziła 30 lat swego żywota od 1914 do 1944. Ponieważ była zupełnie spokojna, wolność miała kompletną, z której jednak nie korzystała, gdyż ją dzieci prześladowały.

W tym okresie twórczość jej była ograniczona, został gruby tom różnych artykułów i poezyj, który poleciła oddać Miriamowi, który uznał, że utwory nie nadają się do druku****; co się z owym tomem stało — nie wiem. Maria zmarła w marcu 1949 roku w zakładzie przytułku dla nie-literatów w Izabelinie pod Warszawą. Kasa literacka udzielała Marii znacznej pomocy od 1946 r. do końca życia.

Proszę mi wybaczyć braki.

Łączę wyrazy szczerego i głębokiego szacunku —

Jan Komornicki

Maria Komornicka nie żyje od lat piętnastu. Zmarli też obaj krewni, jej świadkowie. Wszystko przeszło do historii.

Sądzę zatem, że warto złożyć do jej skarbca jako dokumenty historyczne wszystkie te trzy świadectwa: zblakłe już zapisy o indywidualności, która zablęysła i zgasła jako jaskrawy, acz krótkotrwały meteor.

III

TEKSTY

Zebrał i opracował Stanisław Pigoń

1

[NOWE DROGI POWIEŚCI]¹

Krytyka literacka, dla której tradycja metody realistycznej stała się pewnego rodzaju estetycznym kryterium, zarzuca nowszym autorom nie tylko oddanie się wyłącznie studiom psychologicznym pojedynczych posta-

**** Miriam zainteresował się *Księgą poezji idyllicznej*, lecz zdania o niej nie wypowiedział (przypis A. K.).

¹ Od zasady, że w tomach „Archiwum Literackiego” podaje się tylko inedita, wyjątki bywają nieliczne i nieznaczne. Wyjątkiem takim jest niniejsza pozycja. Była ona drukowana pt. *Zamiast wstępu* w tomie Komornickiej *Szkice*, Warszawa 1894. Tom należy do białych kruków, a rozprawa do wystąpień prekursorskich. Napisana została w pierwszej połowie 1893 r. (data cenzury na tomiku: Warszawa 9 Julija 1893), tzn. gdy autorka nie miała jeszcze ukończonych siedemnastu lat. Tomik przeszedł słabo zauważony, nazwisko Komornickiej uzyska rozgłos dopiero w r. 1895 jako współautorki trójgłosu (C. Jellenta, M. Komornicka, W. Nałkowski) *Forpocztę*.

Prekursorstwo postulatów i zapowiedzi pomieszczonych w rozprawie uprzytomni się, gdy przypomnimy, że pisana była w rok po ukazaniu się *Rodziny Połanieckich* i w rok przed początkiem druku *Quo vadis?*, w dwa lata po wydrukowaniu rozprawy Miriama o Maeterlincku, ale też w dwa przed ukazaniem się pierwszych tomów Reymonta i Żeromskiego. Jako ostry obrachunek z realizmem powstała ona na wiel-

ci, autoanalizę i pesymizm, ale i zaniedbanie formy, którym jest dla niej brak żywej akcji, złożonej intrygi, i drobiazgowej obserwacji jej tła, jednym słowem — odstąpienie od szablonu realistycznej powieści.

Nie trzeba chyba zaznaczać, że kryterium to jest ciasne i może być zrozumiane tylko jako objaw niechęci, z jaką zstępujący z pola kierunek literacki przyjmuje nowy, jako zjawisko konserwatyizmu natury ludzkiej i jeden jeszcze szczególnie do kroniki odwiecznych zapasów dwu niezdolnych porozumieć się z sobą pokoleń.

Twórczość w ogóle, a zwłaszcza pisarska, ciągnąc się przez całe dzieje człowieka, przemienia się z nim równolegle. O ile przemiany te są wyższymi stopniami rozwoju i o ile moralny i umysłowy postęp ludzkości jest rzeczywisty — rozbierać tu nie będziemy. Pogodny Homer i tragiczny Sofokles, Anakreont i Juwenalis, a w czasach nowszych Racine i Ibsen, Byron i Zola należą wszyscy do galerii geniuszów słowa. Różnice wszakże ich talentu, ich inteligencji i wrażliwości są tak wielkie, jak kontrasty epok, w których żyli, których byli współczynnikami, wynikiem i wyrazem, obiektywna jednak estetyczna krytyka tej różnorodności treści, nastroju i formy za błąd im nie poczytuje.

Każda znamienna cywilizacyjna epoka wyciska swe piętno na najgenialniejszych swych jednostkach, rozwijając w nich władze umysłowe i nastroj psychiczno-nerwowy w sposób organicznie złączony z własnym duchem i wyrażając się w ich utworach odrębnością treści i formy; zadaniem zaś analizy estetycznej jest tylko wykazać, o ile ta ostatnia odpowiada ogólnym wymaganiom sztuki.

Przebiegając dzieje literatury powszechnej stwierdzamy na każdym kroku fakt harmonii w stosunku formy do treści; każdy silny indywidualizm twórczy, każdy kierunek umysłowy wytworzył sobie odpowiednie kształty plastyczne, kształty tak ściśle zlewające się z treścią, że wyobrazić ich sobie nie możemy inaczej. Zdawało by się, że dany rodzaj inteligencji pisarskiej w mózgu już, nieświadomie, krystalizuje myśl swoją w odpowiednią szatę artystyczną. Nie możemy np. wystawić sobie pieśni wesołej w trzynastozgłoskowym wierszu ani wzniosłego hymnu w swobodnym i rozwlekłym tonie gawędy, ani klasycznej epepei w ramach fantastycznego dramatu.

Nie potrzeba chyba powtarzać, że dla tych samych przyczyn romantyzm nie mógł pomieścić się w posągowych i zimnych formach neoklasycyzmu, a pozytywizm szkoły realistycznej dla swej drobiazgowej i przedmiotowej obserwacji musiał porzucić mowę natchnionej wyobraźni.

kim dziele granicznym dwu stadiów rozwojowych naszego powieściopisarstwa. Uderzająca nowością ujęcia, jest zarazem zapowiedzią niepospolitych wystąpień krytycznych P. Własta na kartach „Chimery”. Ocenę krytyczną *Szkiców*, w szczególności rozprawki wstępnej, podał W. Jabłonowski w „Głosie” 1894, nr 11.

Pierwszy, jak i drugi wynalazły odpowiednie sobie formy artystyczne: jeden łamiąc żelazne pęta neoklasycznej deklamacji, drugi stwarzając powieść, w której obszerne i elastyczne kontury wkładał mozaikę szczegółów swej mozolnej pracy spostrzegawczej.

Dziwnym więc się wydaje, że wobec faktów czerpanych z historii literatury krytyka dzisiejsza powstaje na całkiem naturalny proces równoważenia się nowej treści z odpowiednią sobie formą, zwłaszcza że proces ten odbywa się bardzo powoli i przebiega zaledwie pierwsze swoje stadia; musimy bowiem przyznać, że nowy prąd w literaturze, prąd psychologiczno-filozoficzny, którego istnienie jest faktem skonstatowanym i przece-nionym w dodatnim i ujemnym znaczeniu, nie zdobył się jeszcze na to, czego mamy prawo wymagać od każdej nowej umysłowo-artystycznej przemiany: nie skryształizował się w odpowiednie kształty, nie kusi się prawie o ich oryginalność i — z niewielu wyjątkami — nie odczuwa potrzeby ustanowienia harmonii czy organicznej spójni między nimi a treścią.

Że dla tego nowego kierunku ramy dotychczasowej powieści są za ciasne, bo objawom ducha przeznacza szczupłą rubrykę epizodów; za obszerne, bo poza tymi epizodami pozostawia nieproporcjonalnie wielkie łamy, zapełniane opisami zewnętrznego, często nawet martwego świata — odczuć to powinna każda współczesna organizacja autorska. Jedyne przeciwieństwo objawu zmiany stanowi dotąd „zaniedbanie” metody realistycznej.

Psychologiczna powieść francuska, mająca przedstawiać nowy kierunek, a za jej przykładem nasza, stara się pogodzić balast pedanckiej obserwacji zewnętrznej z analizą ducha. Jej psychologia jest tylko zwróceniem drobiazgowej pracy spostrzegania na wewnątrz, wnoszącym do fantastycznych głębin ludzkiej istoty metodę realistyczną ze wszystkimi jej nałogami: z ścisłością notowania scenerii, ze zrównaniem wszystkich szczegółów; i dlatego robi ona wrażenie mieszaniny śmieci i klejnotów, nie dając nam szerokiego szkicu, śmiałej syntezy przedmiotu. Przy tym psychologia ta jest jednostronną: nie ogarnia całości ducha; studiuje w ogromnej większości newrozę fizjologicznej strony miłości; mimo swego sceptycznego uśmiechu zacieśnia się w poszanowaniu dla tradycji obiektywizmu w ograniczeniu się do autoanalizy. Rażącem jej brakiem jest milczenie, którym pokrywa zjawiska nieświadomości i nieopanowanych myśli uczuć.

W powieści doby obecnej uderza szczególnie usiłowanie przedstawienia życia nie, jak je odczuwamy, ale jakim ono jest niezależnie od naszych uczuć. Chce ona innymi słowy przedstawiać zjawiska niejako „same w sobie”.

Zapomina ona, że świat dla człowieka — czy jest on prostakiem czy mędrcom — jest tylko takim, jakim go odczuje i pomyśli, nie zaś takim, jakim być może niezależnie od jego wrażliwości. Postać rzeczy poza nami pozostanie dla nas wiekiście ciemną, niepoznawalną. Tu pozytywizm

i przedmiotowość pokusiły się o rozwiązanie kwestii transcendentalnych i w usiłowaniach dojścia do celu stały się zbieraczami nieuporządkowanych naleźycie, suchych i nagich faktów. To zdaniem moim jest głównym ich błędem, wymagającym od nowej doby sprostowania.

Po tym, co się wyżej powiedziało, jasnym jest, dlaczego nowy kierunek nie przedstawia nam się w nowej formie; powieść psychologiczna nie spełnia swego zadania: przedstawienia świata w subiektywnym żywym oświetleniu odrębnych dusz; nie rozjaśniła nam istoty człowieka w sposób odrębny, nie stworzyła nowej metody badania estetycznego, nie otrząsnęła się z manieri szkoły realistycznej; wprowadziła ją tylko w sferę subtelniejszych zjawisk. Nie zadowolila całkowicie ani wymagań dawnej metody, ani pragnień zmiany. I dla tych przyczyn ani tak zwani „psychologowie”, ani ich utwory nie są typowymi okazami nowej fazy; są tylko polowicznym wyrazem jej dążeń.

Dzisiejszą, psychologiczną powieść uważać można jedynie jako formę przejściową, zapożyczającą się zarówno u gasnącego i naleźącego już prawie do przeszłości realizmu beletrystycznego, jak u nowego zwrotu myśli, żyjącego dotąd jako odczucie potrzeby sprostowania dawnych błędów. Od pierwszego bierze szablon zużyty i nuźący; od drugiego — treść nową, nad którą panować jeszcze nie może ani ogarnąć jej całości.

Zdajmyż sobie sprawę, czym w przybliźeniu być może świtający okres w literaturze w stosunku do przeżytej szkoły; uogólnić go można mówiąc, że będzie zupełną jej reakcją: zbudzeniem skrzywdzonego indywidualizmu, uprawnieniem podmiotowości ludzkiej po przesądnej czci dla pseudoobiektywności; buntem potęgi wewnętrznego życia przeciw pospolitości nieożywionego faktu. Będzie odźyciem wyobraźni po męczącej i wstrętnej prozie mieszczańskich interesów i mieszczańskiego filisterstwa. Musi być zadośćuczynieniem pragnieniom wrażeń odmiennych od tych, jakie daje realizm, czystszych, głębszych, podnioślejszych; pragnieniom czegoś wyższego, nieskończonego, po poziomych i rozpaczliwie skończonych obrazach, którymi nas karmią do przesyty. Będzie uprawnieniem wszystkich władz ducha i wszelkich jego zjawisk: logiki i fantazji, rozumowania i namiętności, paradoksów myśli i uczuć, obłądu podnieceń, gorących halucynacji i trzeźwej analizy. A jej celem musi być odtworzenie potężnej i wstrząsającej symfonii duchowego życia.

Opierając się na niżej wyliczonych powodach śmiem twierdzić, że nowa doba w pewnej mierze musi być tym dla realizmu, czym szkoła romantyczna dla klasycznej: liryką prozy — dla jej epiki; różnić się zaś będzie od romantyzmu tym, że dla swej żądy wrażeń będzie miała świadomość swych szałów i złudzeń; z całkowitą samowiedzą będzie używała rozkoszy natężonego życia.

Polem jej działalności — dusza człowiecza. Jedynym jej dogmatem:

„wszechświat jest wrażeniem nerwów naszych”; jej główną cechą: kult potęgi subiektywnej. Autoanaliza, samowiedza muszą pozostać w niej tylko paragrafami. Jej rozbiór sięgnie dalej i wyświetli ciemne labirynty mózgu ludzkiego, jej synteza ogarnie całość wiedzy jako fatalizmu myśli i całość życia zewnętrznego; tylko zamiast gubić się w jego pyle, jak to uczynił realizm, wchłonie je duszą jako odczucie, wrażenie, pojęcie. Obejmie nieskończoną gamę uczuć człowieka, ich odcienie i półtony, od myśli pozytywnej do mistycyzmu, od lekkich drgań nerwowych do potężnych wzruszeń i bohaterstwa.

Że nowa ta doba, chcąc zaspokoić wzrastające codziennie pragnienia inteligencji, wymagać będzie innej twórczości i nowej formy — jest faktem niewątpliwym.

Powieść spopularyzowała literaturę piękną, ale jak zwykle w tych ramach obniżyła jej polot; gawędząca i rozwlekła jej forma przyczyniła się do umieszczenia twórczości w rzędzie rzemiosł; stała się ona literaturą tłumów i zaraziła się ich popolitością. Zaspokaja gawieź, ale zapomina o umysłach szerszych, wyższych, mających zarówno jak tłum, jeżeli nie więcej, prawo zaspokajania swych estetycznych potrzeb. Nowy kierunek i pod tym względem musi być reakcją. Mamy prawo żądać od niego wzniesienia myśli twórczej na wysokość, z której spadła, i nowej, doskonalszej formy. Ale to właśnie jest jego programem. Powieścią posługiwać się nie będą geniusze przyszłego okresu. Kształt ich dzieł musi odpowiadać nastrojowi, w którym zostały stworzone, a oni nie pogardzą ani maligną twórczą, ani porywami wyobraźni, ani wybuchami namiętności; — będzie on ruchomy, fantastyczny, różnorodny i giętki; nie będzie gawędą, ale raczej śmiałym, szerokim szkicem. Więcej o nim dzisiaj powiedzieć niepodobna. Możemy tylko, czerpiąc nasze domysły z historii literatury, przypuszczać, że pragnienie reformy i odczucie jej realnej potrzeby, rozstrzelone obecnie sporadycznie, biernie, skupią się czynnie w talent genialny i potężny, który siłą swego indywidualizmu zdepcze szablon zmięty i spodlony tandeciarstwem autorskim; mocą swej dialektyki, swego szyderstwa i swej oryginalności wyrzuci z ram utworów estetycznych wszystko, co w nim dotąd było z rzemieślniczej, na zysk często obliczonej roboty: mozolną pracę nad tłem akcji, zmundną i czczą obserwację drobiazgów; stoczy zaciętą polemiczną walkę z krytyką, w której tradycja i przesady dłużej się zatrzymują niż w życiu, narzuci jej nowe prawidła, stworzy kształt nowy, drgający nowym życiem, doskonale zastosowany do cech umysłowości, której będzie typem i najtreściwszym wyrazem, i uświadomi zwycięsko okres nowy, antytezę świetlaną minionego.

Że ta nowa faza będzie smutna, negatywna i zrozpaczona, że będzie wyznawczynią filozoficznego pesymizmu, tego za błąd jej przyszłość bezstronna nie poczyta.

Dlaczego, jak powiedział jeden z genialnych pisarzy naszych, „nie tylko geniusz, ale każda wyższa inteligencja współczesna jest smutną” i dlaczego ból i negacja zaznaczyły się w literaturze świata najwspanialszymi utworami ducha ludzkiego — dowodzić tutaj nie będę.

Czy przyszłość wypełni program, jaki jej zaznaczamy? — można wątpić lub mieć nadzieję. Dramat i powieść skandynawskie, a w Niemczech filozof-poeta Nietzsche są bardzo znaczącymi na korzyść mych przekonań wskazówkami. W każdym razie spełnienie prawdopodobnej hipotezy zależy od nielicznej garstki wielkich umysłów twórczych i od nielicznego grona zdolnych ich zrozumieć. Jesteśmy oswojeni, że dla pospolitej duchowej gawiedzi, łaknącej zawsze banalnych tylko wrażeń, znajdują się zawsze zręczni fabrykanci słowa, karykatury wzniosłości i gawędziarze, zaspokajający jej intelektualne pragnienie.

Zresztą mówiąc o przyszłości literatury nie chcę być prorokiem. Uświadamiam tylko potrzebę reformy i jej odczucie.

1893

2

LIST DO CEZAREGO JELLENTY²

[Grabów], 10 VIII [18]97 r.

Wypełniam twoje życzenie — masz odpowiedź możliwie szybką. List twój odebrałam dziś dopiero; widzisz, co to za żółwia komunikacja! Jest jeden tylko sposób na danie jej szybszego tempa: rzucaj listy na pocztę, wtedy — jeżeli pisane są w niedzielę lub poniedziałek rano — mogą być odebrane we środę. Inaczej czekają soboty!

Jeżeliś ciekawy, co jest główną treścią mego życia, to: myślenie po części twórcze i „ordzie” wyobraźni. Mieszkam, jak wiesz już, z Fredkiem w zupełnie pustej części domu. Od czerwca twierdzą, że coś w niej straszy. I rzeczywiście, wieczorem i nocą, i nad ranem odzywają się hałasy, niby tępe, wściekle uderzenia o mur, nade mną, pode mną, na klatce schodowej. Lecz darmo skupiam się, by go zobaczyć. Nic, czasami tylko jakiś szelest. (Nie myśl, bym to brała z zabobonnej strony.) Czasami tylko, gdy jestem o sto mil od niego, wpada niespodzianie w moje dumania. Tylko to.

² List dochował się w autografie jako jedyna pozostałość z dłuższej korespondencji. Za możliwość ogłoszenia jego tekstu należy się wdzięczność synowi adresata p. Stefanowi Jellencie. List pisany z rodzinnego Grabowa. Data roczna w autografie podana omyłkowo: 96. Wzmianka o powieści d'Annunzia dowodzi, że rok był 1897. — Wspomniany „Fredek” to Alfred Teofil Jellenta, najstarszy syn Cezarego; poległ w sierpniu 1920 r. jako ochotnik 205 p.p.; „Lila” to Elżbieta, młodsza siostra Marii; „Wacław” to Nałkowski, „Hania” — prawdopodobnie jego żona lub młodsza córka, a „Mosiek” miejscowy arendarz Mendel.

Za to prześladowają mnie łasice. Widziałam jedną, mknącą smukłym ciałem pod łóżko. To była mara, naturalnie. Lecz gdy zgasiałam świecę, skończyła mi do głowy, pazury nóg tylnych wpiła mi w szyję, a kłami i nogami przednimi zaczęła mi wyrywać skórę na czaszce i włosy. Chwyciłam ją wpół; czułam węzowość jej kadłuba i wygięcie jej aksamitnego krzyża w kształcie wąskiego, napiętego łuku. Wyrywając ją czułam, że się skalpuję, że twarz wykrzywiała mi się okropnie, a krew zalewa oczy. — Gdy je otworzyłam, znikło wszystko — byłam zmęczona, lecz zamknęłam je znowu, by raz jeszcze z nią walczyć.

Przyszedł ostatni numer *Tryumfu śmierci*³. Zrobił na mnie wrażenie miażdżące. Pod jego wpływem pisałam do ciebie, lecz nie posyłam ci tych kart, więziona przez obawę odwieczną cudzej wrażliwości. Przeczytaj sam.

Nie powiem ci: „smuci mnie to i to” (np. wyjazd spełży na niczym do Sopot), albo: „cieszy mnie to i tamto” (np. ów list, wzmianki), bo nie umiem się uzewnętrzniać bez śmieszności, a wreszcie, bo wiesz dobrze, że po największej części smucę się i cieszę z tobą, a raczej dla ciebie (gdy się to do ciebie odnosi). Myślę jednak, że źle zrobiłeś zostając w Warszawie i że powietrze bodaj letniego mieszkania zrównoważyłoby — jeżeliby nie przeważało — korzyści odosobnienia.

Cóż jeszcze? Fredek — zawsze to samo. Lila nie odebrawszy odpowiedzi nie pisze. Zrobiła duże postępy w muzyce, a że mnie opuściła wszelka zgryźliwość, więc włoskie niebo nad nami.

Nie myśl, bym żyła tylko sobą, jak to zapewne z tych listów wygląda, lub bym wegetowała. Tylko wyczerpuje mnie pisanie, o którym wiem, że funta kłaków niewarte, i więc gdy wypróżnię chwilowo mózgownicę, znużona mięśniowo i nerwowo leżę, długo — godzinami. Lila w sali pode mną gra, przez zamknięte powieki widzę blade niebo, na nim rozsnute blade chmury, słyszę szum metaliczny brązowych straków akacji, zgrzytanie pompy, wołania gospodarskie. Bawię się w trupa i czekam, aż zeszytnięję. Potem trup wstaje, by zapalić papierosa lub coś zanotować, lub coś przeczytać. Znużenie to jest taką rozkoszą po paroksyzmach febry myślowej, że nie wstałam nawet do obiadu. Jest to coś analogicznego z powiedzeniem Waclawa: „Chciałbym zachorować, by wypocząć”.

Nie bij, brutalu! kasłać przestałam trochę. Czuję się do pewnego stopnia poza światem: ani gazet, ani czytelników, ani echa z tego wszechświatowego centrum: „Warszawy”. Powiesz, że tracę niewiele.

Tylko nie myśl, bym była apatyczna — to tylko moje listowe usposobienie. Lecz cóżem temu winna, że moje epistolarne zdolności zniknęły,

³ *Tryumf śmierci* to tytuł nowej powieści G. d'Annunzia (1894). W przekładzie A. Callier ogłoszono ją w powieściowym Dodatku do „Przeglądu Tygodniowego” 1897 r. Część ostatnia (nr 3) wyszła 19/31 VII. W roku następnym ukazała się całość w wydaniu książkowym nakładem „Przeglądu Tygodniowego” (1898).

że w ogóle zdolna jestem dawać z siebie same ogryzki! Co prawda, nie warto inaczej — jakby powiedział Waław.

Przesyłam ci przez Moška 25 rs. — daruj mi zwłokę, prześlij pokwitowanie.

Bywaj zdrowy, śpijaj dobrze, niech ci się twoje pisanie lepiej udaje niż mnie. Pozdrów Waławę i nie proś go w moim imieniu o list. Czy dobrze rozumiesz mechanizm jego oddalenia? Mnie się zdaje, że mam rozwiązanie: to ibsenizm. Woli „sam stać”, niż zatruwać siebie rwaniem się w dwie strony i patrzeniem na chorobliwe wypieki Hani. „Dziecko piekiel”, ze wszystkich uciech życia żąda tylko domowego spokoju, a ze wszystkich bólów życia odpycha tylko ból nadczułego sumienia.

Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży!⁴

Lecz za to da nam arcydzieło, zobaczysz.

Bywajcie obaj zdrowi — zawsze, mimo wszystko, poprzez wszystko — Bracia!

Maria

Czy Fredek może kąpać się w stawie? pod moją opieką.

P.S. Co do telepatii, okazało się, że na poddaszu są rzeczywiście łasice. Ja nie wiedziałam o tym. Czy czym innym jest nasza „intuicja”?

Wróć może we wrześniu, przeszkody różnorodne. Wierz!

3

NOTATY⁵

My, poeci,

Pomówmy raz z sobą przy zamkniętych drzwiach... Wszakże za oknami rej wodzi era syndykalna... Syndykalnie pomówmy z sobą, my, wtajemniczeni Poeci!

⁴ Dwuwiersz z poematu Słowackiego: *Arab*, w. 249—250.

⁵ Po pierwszej wojnie światowej Komornicka przeszedłszy ciężki kryzys psychiczny i złamana nim w ustroniu swym i osamotnieniu nie wychodzi z orbity zainteresowań literackich. Czyta wiele, przetrawia swe refleksje. Z tego czasu dochowało się dość dużo dorywczych jej notat, polskich i francuskich, na luźnych kartkach. Kartki z rzadka tylko datowane, przekazują jakby gruzowisko wspaniale niegdyś się zapowiadającej budowli. Między odłamanymi fragmentami niejeden uderzyć musi niezwykłością ujęcia i wyrazu. Pochodzą z lat dawniejszych (nie brak w nich przytyków do „skamandrytów”, do polityki kulturalnej „Belwederu”), ale sporo ich też ze schyłku życia autorki, z lat 1945 i n. Te ostatnie budzić muszą żywszy interes; musi zaciekawiać, jak współpracownica „Chimery” osądzała naszych współczesnych „młodych”: nie tylko Iwaszkiewicza, Wierzyńskiego czy Tuwima, ale

Bez pychy swej wyłączności wszakże twierdzić możemy, że nasz świat jest czymś najwyraźniej odrębnym od wszystkich innych światów i że te inne światy, nawet najczcigodniejsze, nawet najpokrewniejsze, są jednak profanami względem naszego wtajemniczenia.

Uprzypomnijmy sobie na nowo, ale wyraźniej, że świat nasz, świat poezji, jest królestwem ziemsko nadziemskim, że wprawdzie najniższym swym tarasem wbiega w świat materialnej codzienności, by mu rozdać — z tej względnie bliskiej wyzynności — te dary natchnienia powietrznego, które mu są dostępne, — ale że dalszymi tarasami sięga coraz wyżej w niebiosa, otrzymuje coraz wyższe święcenia od Niepoznane-go, od Niestworzonego, staje się coraz bardziej dla padole o k u l t n y m, coraz bardziej na przyszłość (dla nas) obliczonym, coraz wyłączenie za-ludnionym i przeznaczonym dla wtajemniczonych...

O owym tarasie najniższym, o owym pasie pogranicznym z ziemią popoli-tą najszerzej głośno: to są Mickiewicz (z wyjątkiem najwyższych jego poezyj), Norwidy, Sienkiewicz, z plejadą prozaików genialnych — tu Norwid, tu Tetmajer, tu Przybyszewski ... wszyscy sławni i kochani głównie za to, co cstatecznie jest „wieńczeniem ryjka prosiąt wielkanocnych”... za rozświetlenie w konkretach śpiącej „na zamknięte piątki” duszyczki ludu.

O tym i jego inwentarzu najwięcej mowa, i mowa dla ludu... nie o to mnie tutaj chodzi. Ja dziś mówię „przy zamkniętych drzwiach”, do swoich.

Katechumeni, którzy nie rozumieją, że jest jeszcze ponadto cała drabina poezji wyższej i najwyższej... Poeci tego najniższego stopnia, którzy olśnieni Tyrteuszem lub Plutosem, niestety!.. w kancelariach Belwederu czerpią temat i orientację swej twórczości... Wyznawcy różnych tych i oficjalnych stopni — niech odejdą...

Niechaj zostaną jedynie ci, którzy na ziemi pospolitej spodziewać się mogą jedynie szufladki archiwów mniej więcej nieprzemakalnych. Ci, którzy wiedzą, że mają audytoria na wyższych piętrach!... Zmartwychwstańców i bożków z urodzenia.

Chodzi mi o to, ażeby pewna garstka z nas, poeci dojrzałsi: starsi lub z urodzenia już szlachetniejsi — zdecydowali się całkiem zostawić p u e r r y l n e laury młodszym, a sami oddali się w y ł ą c z n i e t w ó r c z o ś c i dla poetów.

Poeci poetom, w blasku najwyższej pojmowalnego ideału!

W. Macha, J. Kotta, Zb. Bieńkowskiego, Cz. Miłosza, T. Różewicza, A. Sandauera, K. Wykę i in. Jak patrzyła na „Odrodzenie” i na pierwsze roczniki „Twórczości”.

Notaty mogłem poznać korzystając z przysług p.p. Anieli Komornickiej i Wandy Surzyckiej. Z nieuporządkowanego i nie dającego się uporządkować gąszczu ich wybrałem pewną ilość, które mi się wydały godniejsze uwagi. W porządkowaniu ich o ładzie chronologicznym mowy być nie mogło, zastosowałem więc — bardzo luźno zresztą spoisty — układ tematyczny, nie postępując wszelako całkowicie chronologii. Dobrane notaty starałem się podawać w stanie nie uszkodzonym.

Dlaczego? O, bracia poeci! — wszakże to dla mnie na wierzchu leży...
Dlatego, że my, poeci, nie mamy po prostu co czytać w poezji dzisiejszej, natchnionej z Belwederu!...

Dlatego, że chodzimy samopas wśród pokus sławy wielkanocnej i także święconego!

Dlatego, że na wyższym tarasie, tam gdzie my i nasza sfera natchnień — bezładno i niemo, bez rady i dyskusji, bez wzajemnej elektryzacji, uzupełnień i rozświetleń.

Dlatego, aby się zaludnił i ożywił Parnas — i miał z czym wspinać się na dalsze Olimpy...

Mamy z sobą wiele do obmyślenia, do przedyskutowania, do wydobywania na jaśnie. Więcej niż nawet ci, którzy rozumieją, że Juliusz miał o czym pisać do Zygmunta i dla Zygmunta.

Dobrze byłoby, byśmy np. porozumieli się co do głośnych starych sław. Bo przecie dla nas nie może być wzorem ani Homer, ani Ajschylos, ani Szekspir i Byron, ani nawet Dant lub d'Annunzio i Goethe, i wszystko, co ma trony na tym krwawym padole, o którym i dla którego tworzyli. To wszystko wielkości pierwszorzędne... ale najniższego tarasu Królestwa Poezji...

Więc któż — spytacie?

O tym właśnie należało pomówić w „ścisłym kółku”.

Bo któż, jeżeli nie ci, co są skonfiskowaną dla ziemi Rezerwą Wyższą Archiwów Okultnych, zabezpieczoną, jak owa lista japońska, na dziesięć tysięcy lat lub może więcej.

Ci, których dzieła czytają adepci wyższych stopni w archiwach podziemnych i górskich Tybetu, Himalajów, Annamu...

O poznanie tej wyższej literatury, już istniejącej, chodzić nam powinno, nam dojrzałym, starym poetom.

Bo wszakże nam nie chodzi o wieczne trwanie w tej ponurej nursery, którą jest ten padół? Wszakże nam o to chodzi, aby najszcześliwiej wyjść właśnie z tego świata natury niższej...

My, poeci.

A jeżeli chcemy wyjść z tej niższej nursery, to dobrze pomyśleć wspólnie o sposobach odpowiednich, więc i o hodowli, czyli kulturze, i o środkach dla jej umożliwienia. Takie przeprawy zawsze łatwiejsze w gromadzie pokrewnej, niżeli samemu.

Sądzę, że jest to jedyną akcją społeczną, której rozumnie podjąć się możemy. Bo wszakże naiwności wstępniaczków godne jest kreować się Tyrteuszami hufców ludzi, o których nic nie wiemy właściwie i do których nie mamy zatem prawa odzywać się programowo. Zostawmy tych blambeków gałęzistej polityce Belwederu, a sami zabawiajmy się w najbliższej duchorodzinie.

Tu przynajmniej grunt bardziej znany, aspiracje pokrewne, stopień umysłowy zbliżony, sensytywność pokrewna, zrozumienie przeto prawdopodobniejsze.

Zwłaszcza, gdy się postaramy *Irydionami* odpowiadać na *Balladyny*. Wyeksterioryzować się.

Jeżeli zostałem rozumiany, to rozumiane będzie i to, gdy powiem, że wszelki artysta stopnia dojrzalszego będzie miał sobie za marzenie i obowiązek tak tworzyć, aby godnie być policzonym kiedyś nie tylko do „klastyków”, ale do Ksiąg Kanonicznych i Wyższej jeszcze tej Literatury, w której mu dano pracować. (Kto się słabo orientuje w potrąconej tu przeze mnie hierarchii twórczej, ten niech zajrzy do dzieł J. A. Święckiego⁶.)

Aby się odpopularyzować, odświeczyć, odziemić, aby się stać Klasykiem, Kanonikiem i Wzwyż... aby stać się twórcą *ad usum Angelorum* — nie wystarcza już strzec się, tworząc, wszystkiego, co gminne, występne, przewrotne. Z tą metodą elegancji w ostatniej chwili można co najwyżej dojść do wykwintów Boalo i Delille'a.

Aby być twórcą anielskim, należy całą swą egzystencję codzienną wyłączyć spod wpływu i kontaktu z gminnością, występnością, perwersją, a nawet perfidią; trzeba mieć wyrobione już nałogi ariostyczne i odruchy cnotliwe, wykwintne.

*

Spoleczna sankcja artysty

W orkiestrze pracowników Królestwa Bożego artysta jest wytwórcą Piękną, szafarzem jego nowych form, hodowcą wrażliwości kontemplacyjnej, orientatorem smaku, odkrywcą ekstaz, orłem Zeusowym, porywającym dusze w empireum.

Jak higienicznym jest dla przeciętnego hipnotyka praktycznością — przerywanie tej hipnozy zachwytem artystycznym, nie trzeba chyba Starcom tego tłumaczyć.

*

O „Szpetnem” w Sztuce

Biorąc absolutnie, rzeczy szpetnych nie ma. Pojęcie to jednak jest dostępne tylko dla inteligencji transcendentalnej. Wszystko jest piękne, bo dzieło Boże jest doskonałe. Ja także (jako takie) i moje gusta, czyli moje pojęcia i poczucie szpetności... Béz nich nie mógłbym się rozwijać, bo one wyrokują o wyborze mej drogi i materiałów.

⁶ Chodzi zapewne o Juliana Adolfa Święckiego sześciotomowe dzieło poświęcone literaturom starożytnego Wschodu, wydane w serii Biblioteki Dzieł Wyborowych (1901–1903).

Ale w sferze czucia jedynie bardzo nieliczne i bardzo doskonałe indywidualia dorosłe (podobno) do istotnej wszechsympatii: im tylko przyznałbym prawo do *toute la lyre* w sztuce.

Praktycznie rozstrzygają dane uczucia raczej niż dane inteligencji: inteligencja bowiem, aby się zrealizować, musi zamienić się w szereg stanów uczuciowych. Co innego pojmować zasadniczą możliwość wszechpiękna (w pancramie zenitowej), a co innego odczuwać piękno we wszystkim, gdy się tkwi i boryka w chaosie nizin. Zapewne takie pojęcie piękna obowiązuje do wprowadzenia go w świat uczucia (np. przez życzliwe studia nad szpetnem), ale nie może ono być sankcją dla odtworzenia przez artystę rzeczy, które dlań są odrażające.

W sztuce jak we wszystkim obowiązuje subiektywne, indywidualne poczucie artystyczne i moralne. Taką Emerson, jeżeli istotnie czuje, że „świat jest piękny od początku do końca”, ma prawo go odtwarzać ze wszystkimi detalami. Ja zaś np., który lubo przyznaję możliwość absolutną piękna całego Bogodzieła, jednak postrzegam w nim wiele rzeczy szkaradnych — mam prawo do postawy formułującej się, jak następuje: Ponieważ ja również jestem Bogodziełem, przeto moje czucie jest genezy boskiej, a instynkta moje muszą mieć swą celowość i ważność, choćby tylko dla mojej egzystencji, co jednak dla mnie jest wyrokujące. Jeżeli któreś inne twory i zjawiska tego Bogodzieła są mi wstrętne, to wstręt ten upoważnia mnie do szczerzego ich wymijania. Jak w moich atrakcjach, tak i w moich repulsjach jest racja: racja epoki i racja typu. Wprawdzie inteligencja nie pozwala mi ze zjawiskami indywidualnie mnie odpychającymi wojować zaczepnie, ale czucie instynktowe daje mi prawo bronić najenergiczniej czystości swej linii życiowej i twórczej, integralności swego ja i swej egzystencji.

Dla dobra artystów i artyzmu skłonny byłbym ustanowić przeto ochronny paragraf moralno-artystyczny tej treści: „Szpetne” ma prawo wprowadzać do Sztuki jedynie ten artysta, dla którego ono szpetnem być przestało lub nigdy nie było. I odwrotnie: Artysta ma ściśle strzec się wprowadzania do swych dzieł wszystkiego, co on indywidualnie za szpetne uważa.

Oprócz motywu zasadniczego: *I d e a P i ę k n a*, kierują mną tu również względy praktyczne. Oto niektóre z nich:

1° Szaleństwem jest hodować lub konserwować, słowem, u w i e c z n i a ć to, co jest nam niemiawistne. Odtwarzać przedmioty sobie wstrętne lub choćby je wspominać — jest właśnie takim szaleństwem.

2° Szaleństwo to jest niemoralnością ze względu na automatyczną reprezentacyjność świata: Odbiorca dzieł sztuki, społeczeństwo, jest na ogół psychicznie młodsze od twórców — i reaguje na ich dzieła niejako hipnotycznie, mniej lub więcej dążąc do odegrania w życiu wrażeń otrzymanych

ze sztuki. Szpetne do sztuki wprowadzone dostaje przeto jakby nowej sankcji istnienia. Np. pijak, zobaczywszy „holenderszczyznę”, uczuje się potem w podobnych sytuacjach „malowniczym”. Artysta świadom swej skuteczności sugestywnej, jeżeli jest przy tym charakterem odpowiedzialnym, będzie się poczuwał do obowiązku eliminowania z dzieł swych wszystkiego, czego by z nich w życiu praktycznym nie chciał flancować.

3° Szaleństwo to jest indywidualnie samobójcze ze względu na dydaktyczną reprezentacyjność świata. Prawo psychomoralne, usymbolowane w Radamantesie, sprawia, że twórcze realizacje artysty mają udział w kształtowaniu się jego „samskary”, czyli następnej aktywności jego „dorobków życiowych”. W „Dniu Sądu” więc dzieła jego realizują się dlań zewnętrznie ze zdumiewającą dosadnością i, zależnie od swej treści i ducha, zachwycają go lub wtrącają w rozpacz. Dreszcz przechodzi na myśl o „karmie” takiego Zoli lub Żeromskiego, jeżeli roztoczone po ich utworach zgrozy nie mają usprawiedliwień wystarczających na planie transcendentnym. Każdy doświadczony zrozumie ważność mych ostrzeżeń względem lekkomyślności braci.

Wprawdzie taka eliminacja ze swych dzieł wszystkiego, czego by się w życiu zewnętrznym zatrzymać nie chciało, mogłaby niejednego dziś artystę sprowadzić do zupełnej bezczynności; byłaby to jednak, sądzę, przerwa chwilowa tylko: dopóki szlachetniejsze elementy tworzenia nie zajmą miejsca ewakuowanego przez niższe.

4° Szpetne jako środek kontrastowy, uwydatniający, nie daje się usprawiedliwić. Wenus z Milo nie potrzebuje żadnego szpetnego *repoussoiru*. Oblubieniec pragnący narzeczonej jedynie wobec brzydkich sług — niewart godów. Brzydkie sąsiedztwo rzuca podejrzenie i cień na to, co niby uwydatnia, a co nie powinno by w gruncie znosić takiej bliskości. Chcesz kontrastu, to go szukaj wyżej lub obok, w większym lub równym pięknie. To trochę trudniejsze — i amatorzy smaków rubasznych cię opuszczą, ale za to zlecą się ku tobie anielskie natchnienia, gdy tego, co szpetnem czujesz, zaniechasz stanowczo i zupełnie.

Przyszłość albo cię usprawiedliwi — albo cię oświeci.

Nie bójmy się monotonii. Szpetne jest zbyteczne, bo są niezliczone stopnie i plany piękności.

Naśladowanie natury

Wartość realizmu w sztuce jest po prostu ćwiczeniowa. To na większą skalę „pięciopalcówka” i „etiudy” i inne wprawki, prowadzące do wirtuozji, a przez nią do stworzenia tego, co artysta chce.

Świat, który chcę stworzyć, będzie podobny do tego, który mnie otacza, jedynie w tej mierze, w jakiej mi się ten ostatni podoba. Wszystko inne zmienię, poprawię — ze swego punktu smakowania wszechrzeczy.

Stworzony jestem do stwarzania, a nie do powtarzania. Ogniem jestem, a nie wodą lub inną gładzią, świat odbijającą.

*

Doskonałość nie ma granic, nigdy przeto nie można być za dobrym artystą, za dobrym malarzem; nigdy nie można mieć zbyt wiele erudycji i doświadczenia, za wiele biegłości i wirtuozerii, zbyt wyrobionej techniki.

Nie chodzi więc o wojnę z kunsztem w imię wszechmocnej improwizacji intuicyjnej (która jeżeli jest możliwa, to nie w naszych zapewne warunkach duchowo-fizycznych), ale chodzi o podporządkowanie spraw techniki — ważności duchowej dzieła, jego apokaliptyczności.

Twierdzimy, że pierwszeństwo ma w malarstwie, jak gdzie indziej, ten jego element, który rozstrzyga o wartości dzieła. Weźmy więc z jednej strony biegłą i sumiennie poprawną „martwą naturę”, w której jednak nic spontanicznego nie pulsuje, a z drugiej naiwny szkic samouka, w którym — na przekór rozmaitym „błędom” — w oczy bije, w duszę się wraża pomysł świeży i sposób oryginalny. Otóż ten właśnie drugi obraz, nie zaś pierwszy, wszedł do świata dzieł sztuki, a wszedł na mocy natchnienia. Nie dlatego, że jest pełny wad, ale mimo że wad pełny. Oto co wyrokuję o noworodkach sztuki. Tamto jest siłą skrzydeł, mechanizmem — to samym polotem.

Kto jednak dokładniej rozumie, jaką potężną pomocą jest wytrawna wirtuozja, niż artysta natchniony! Ona jedna może mu pozwolić na całą jego fantazję.

*

Naśladowanie natury będzie zawsze ćwiczeniem wybornym, a dziełem drugorzędnym.

Natura zachwyca zarówno ogromem rozmiarów i kombinacyj, jak wykończeniem najdrobniejszych szczegółów. Przepisując to dzieło Arcymistrza człowiek stwarza właściwie tylko dziecinne kulfony. Roztropnie jednak czyni stawiając swe niezgrabne kulfoniki: uczy się przy tym wiele.

A gdy tworzy istotnie, to jest, gdy wyraża swą myśl, wówczas stwarza to, czego natura bez człowieka stworzyć nie może. Wtedy jest oryginalny, niezrównany.

Tyczy się to nie tylko malarstwa, rzeźby, muzyki, ale nawet powieści. „Wiernie” opisać jakąkolwiek przygodę — jest nie do zrealizowania. Po prostu mózg ludzki byłby niezdolny objąć komplikacji zawartych w najprostszej akcji. (Wiedzą o tym sędziowie). Ale dać szczerą baśń wedle swego serca — jest jedną z najpiękniejszych form „nadnatyry”.

Powieść nie jest protokołem ani kroniką. Poetę obowiązują p r a w -

dziwość wizji, plastyczne wykonanie zamiaru, nie zaś ścisła relacja zdarzeń rzeczywistych. Komu chodzi o „fakty realne”, może studiować archiwa sądowe. Poeta zazwyczaj pragnie dać to, co ma najlepszego; a tym najlepszym wydaje się każdemu nie to, co doświadczył, ale co by był chciał doświadczać.

Nie jest to dar mały... Złoszczą się nań jedynie twórcy faktów, dotknięci w swej ambicji, też autorskiej, i wymagający od poetów, aby byli wiernymi kopistami ich „teatru”.

*

Różnorodne są temperamenty i organizacje artystyczne, i jedne gatunki drugich mogą być dopełnieniem wybornym. Np. gdy ktoś jest wynalazczy i ognisty, ale bez doświadczenia, a drugi doświadczony, cierpliwy i benedyktyński.

Ja mam w literaturze dar inicjatywy ideowej oraz kwintesencji intelektualnej i sensytywnej, ktoś inny ma talent rozwijania idei i tematów w całej ich rozłożystości, wrażeń i uczuć we wszystkich gamach, np. Berent, Żeromski, Przybyszewski.

Gdyby ktoś taki z mojej krótkiej notatki zrobił nowelę, z aforyzmu traktat, z mego szkicu dramat, to bym się cieszył, że krążyć po żyłach ludzkości, a czułbym się zadośćuczyniony, gdyby nie zapomniano przytoczyć na początku mój tekst jako motto.

Wiem bowiem dobrze, że w moich kwintesencjach są treści na całe kwintale i piwnice. Ale i to wiem równie dobrze, że typ mych uzdolnień nie dałby mi ani czasu, ani energii rozporządzalnej, ani ubocznych a ważnych warunków do ich wystarczającego rozwinięcia.

En Marge de La Littérature du XX^e Siècle

Miriam - Gwiazdor: Nie spotkałem się nigdzie z tym na Miriam spojrzaniem, a jednak po prostu narzuca się ono, gdy wspomnieć lata od 1900. Było w nim coś z orientalnego czarodzieja-Szacha i z naszego św. Mikołaja, zjawiającego się wśród darów, niespodzianek, rewelacji, iluminacji umysłowych. Fantastyczne i hojne emisje „Chimery”, wystawy rycin, drzeworytów itp. przy redakcji, dobroczynne zaopatrywanie nas w książki, rady, wskazówki; a potem zjawianie się tomów Norwidowych wśród pochodnych już pocztów wydawnictw Młodej i Młodszej Polski — oto cząstka tego pochodzenia radości, zdumień, zachwyty, którymi żyliśmy z łaski i mądrości naszego mistrza i dobroczyńcy. Oto wrażenie moje, którego los postawił z dala od Miriamowej codzienności. Cóż by dopiero powiedzieć mogli ci, którym dane było w tej codzienności się rozgrzewać i rozwijać.

Polska chłoneła te skarby — chciwa i ironiczna... i milczała. I milczy. Dlaczego? — „Człowiek jest niewdzięczny”. Ale może jest w tym i niedoświadczenie myślenia, nie zdające sobie sprawy z natury i kategorii geniuszu Miriamowego? Rozumiemy do pewnego stopnia wielkich poetów, plastyków, polityków, strategów, filantropów — ale tu trzeba sięgnąć chyba do J. Péladana⁷, ażeby pojąć ten Sokrato-Jowiszowy typ Merodackowy⁸, gromadzący koło siebie luźno a nierozzerwalnie duchy twórcze, dotąd nieświadome, wyprowadzający je z nicości dzieciństwa do poczucia swej specjalnej potęgi, stwarzający je po prostu na nowo, jak ongi Prometeusz ludzi! Bez innego w tym „interesu”, jak ofiarowanie bóstwu jego własnych twórców, przemienionych pod wpływem przyjaznej mądrości. Najbardziej zgubieni z nas stawali się nie wiedzieć kiedy, nie wiedzieć jak, nagle i zachwytem — ludźmi dobrymi, duchami bohaterskimi, artystami pełnymi treści i zapału. Tak wielka była i wysoka nad nami potęga tego Starego, tego Dobrego, tak niewyczerpalnego w treści, tego niezrównanie bogatego, wykwiutnego M o c a r z a.

*

A oto polecam właściwym następcom Miriama poetę o duszy szczerzej i w najlepszym sensie naiwnej, który w „Odrodzeniu” nr 15 z 1946 r. w wierszu *Ocalony*, tak na cały świat rzuca swą skargę i pragnienie:

Szukam nauczyciela i mistrza,
 Niech przywróci mi wzrok, słuch i mowę,
 Niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia,
 Niech oddzieli światło od ciemności
 Mam dwadzieścia cztery lat,
 Ocalałem
 Prowadzony na rzeź.

Tak woła Tadeusz Różewicz, którego ominęło szczęście poznania Miriama. Byłoby dziełem pietyzmu, ważniejszym od wmurowanych tablic i posągów: pomóc temu bratu w Muzach do znalezienia, czego mu potrzeba. Miriamowie na kamieniu się nie rodzą, to prawda, ale Opatrzność nie zostawia niedoli bez pomocy i „czuwa nad sierotami”. My, Miriamowe sieroty, nabierzmy przeto otuchy.

*

⁷ Joséphin Péladan (1858–1918), autor wielotomowej *Décadence latine* oraz m. in. *Comment on devient magé* (1892), dzieła wydanego pod nazwiskiem Sar Mérodack J. Péladan. Rozprawę jego, *Ostatni wykład Leonarda da Vinci*, przełożył Z. Przesmycki i ogłosił w „Chimerze” (1907) t. 10. Wspomina o tym Komornicka w liście z Opawy 1909 r. (zob. wyżej s. 324), stąd zapewne wzięta nazwa „mag”, nadana przez Komornicką Miriamowi.

⁸ Merodackowy — właśnie Péladana, stylizującego się (nie bez pozerstwa) na maga babilońskiego.

„Nową” nazywam tą poezję u nas, która wszczała się z poddaniem naszych poetów wpływowi Norwida, Rimbauda, Apolinaire’a, Allaina itp., a która zaznacza się upadkiem wyobraźni tak jakościowo, jak pod względem rozległości i potęgi.

De gustibus ... etc. Jeżeli o smakach nie ma dyskusji, to tym bardziej o wrażeniach. Absolutnie nic nie upoważnia nas do zaprzeczenia wrażeniom bliźniego, jakkolwiek by się nam wydawały cudaczne lub szpetne. Cóż możemy wiedzieć, my, wątli i drobni ludzie, o tym, co doświadczają wszystkie zmysły percepcyjne, moralne i myślowe twardych przemierzcycieli globu? Możemy jedynie powiedzieć, czy nam się podobają lub nie.

Mnie nie podobają się wrażenia „nowych ludzi”. Już Rimbaud raził mnie:

Gdy skwarne Lipce maczug ciosami strącały
Ultramariny niebios we wrzące retorty⁹.

Ale to jeszcze przecież eteryczne wobec tej strasznej materializacji, którą paradują nasze Rimbaudy, Allainy etc. „Uziemienie” poetyczności zupełne. Maligny ciężkie, przypominające bełkot szekspirowskich opojów i awanturników.

Cóż pozostało z „siły podnoszącej” (jak mówi geografia), z utleniającej potęgi poezji? — Po prostu jakby ominęła dzisiejsze pokolenia. One umieją jedynie gnębić na swój sposób nieszczęsną ludzkość, tak wielorako już gnębioną.

Piękno jest nie tylko zmysłowe: jest piękno intelektualne, piękno moralne, piękno uczuciowe; jest piękność wyobraźni, piękność wrażliwości...

W poezji nowej uderza zbyt często szpetna wrażliwość, szpetna imaginacja, szpetna uczuciowość, szpetna umysłowość, wreszcie szpetna rzeczywistość zmysłowa.

Poeci piszą byle co, byle jak, kontentują się pierwszym lepszym skojarzeniem wyobrażeń, lekceważą selekcję, sumienie artystyczne, poprawność fachową i mają te wszystkie swe niedostatki i przywary za przywileje artystyczne i tytuły do sławy.

Szydzenie z rzeczy niepoetycznych mają za poezję... gdy tymczasem ona jest zapomnieniem o nich po prostu.

W literaturze naszej, zwłaszcza od czasów *Nieboskiej*, zaznaczył się prąd buntu przeciw Poezji i poprzez Wyspiańskiego i innych trwa wciąż. To jakby reakcja przeciw prądowi stymulacji poezji u nas, której tak gorącym rzecznikiem był Zdzisław Dębicki. Postawiono pług przed wołami, nawoływano poetów do „podtrzymywania tradycji” poezji polskiej. Wiemy, co warte wszelkie podpieranie idei nie na czasie. Poezja, jako ogólny nastrój, jest dziś nie na czasie i podpieierać jej nie warto. Niech

⁹ Z poematu *Statek pijany* w przekładzie Miriama. Zob. Miriam, *U poetów*, Warszawa 1921, s. 205.

oporni poeci idą tam, gdzie ich wołają skłonności energiczniejsze. Całe epoki bywały bez poezji — i nie zginęła przez to, że zamiast obfitego za-rybku zjawiali się nieliczni, ale za to wielcy mistrze.

*

Dla rozwiania możliwych nieporozumień: dla mnie wrażliwością piękną jest wrażliwość duszy wzniosłej, czujnej na własne wibracje, czulej dla istności otaczających, nie wstydząca się ani tkliwości, ani rzewności, ani żadnej z tych drogocennych „starzyzn”, które młoda ludzkość pogubiła w hipnotycznym biegu do tytanicznego ideału. Umysłowość piękna to umysłowość prawa, sprawiedliwa, wolna od sofistyki i efekciarstwa, rozmiłowana wiernie w prawdzie, wyćwiczona w mozolach samodzielnych i rzetelnych. Uczuciowość piękna to uczuciowość dojrzałego, wszechstronnie obudzonego serca, potężna pomoc inteligencji i rozumu, litująca się marnościami, a wielbiąca wielkość. Wreszcie imaginacja piękna to imaginacja, która przemierza ziemię i niebo, i umie je sprząć w jednym hymnie.

Któryż poeta dzisiejszy nie parsknie śmiechem na te definicje, nic wspólnego nie mające z brutalnym lub, gorzej, trywialnym „ekspresjonizmem”? Może Czesław Miłosz, w którym odzywają się nie to protesty, ale jakby pierwsze pomruki przeciwko Polsce piekielnej (bo jest i czyścowa, i niebiańska). Chyba Wilhelm Mach, zabłąkany w dzisiejszym świecie filareta. Chyba Tadeusz Różewicz¹⁰, któremu duża kultura humanistyczna nie pozwala na barbarzyństwa; albo Jarosław Iwaszkiewicz, który z latami nabrał wyraźnych dźwięków starego złota i przejrystości obowiązującej każdego rzetelnego artystę.

*

Potężny magnes poezji jako powołania tkwi w jej zasięgu antycypacyjnym. Człowiek praktycznie, całym sobą, bardzo mało może: skok kilkumetrowy, nurkowanie ponad pięć minut już są dlań wyczynami wyjątkowymi; wzlot awionem do 15 klm w pionie to maksimum możliwości... ale teleskopem wbiega w ultraastronomiczne dale, a imaginacją jeszcze dalej sięga i odwiedza najdalsze mgławice i najbardziej od ziemskich różne formy bytu. Podobnie z telepatią: praktycznie wzięta wiedza w labirynty złudzeń; ale ujęta poetycko daje rezultaty zachwycające i na daleką metę ważne. Ma więc poezja swe własne i wspaniałe dominium — i zawsze znajdują się ludzie, którzy dla niezmiernych lotów imaginacji poświęcą treningi i rekordy sportowe, o rozpiętości względnie tak małuczkiej! — I nie to zdumiewa, a dziwi fakt, że są poeci, którzy tej różnicy

¹⁰ W biografii niewątpliwie omyłkowo: T. Rudnicki.

nie odczuwają — i którzy poezji wyznaczają właśnie jakieś praktyczne zasięgi... sekretarstwa wyczynów praktycznych, kronikarstwa powszechności, choćby najzawrotniej bohaterskiej. Cóż to wszystko razem jest dla tej, która żyje i oddycha już w innych wymiarach?

Gdybyśmy mogli praktycznie, całym sobą ująć to, co imaginacja, to czy nie byłoby maniactwem oddawać się poezji? — Ale odwrotnym maniactwem jest: mogąc tak mało, używać poezji do powtarzania, do celebrowania tych mizerii. A jednak jest to powszechna skłonność poezji XX w., reprezentowana tak typowo w francuskim Jammesie. Apetycznie podana codzienność, zwykłe bytowanie w strojnym majonezie idylli lub ostrym sosie satyry i inwektywy — oto czym stała się poezja „podtrzymująca tradycje wielkiej literatury”.

Jak niedbale, byle jak, medytują i wypowiadają się dzisiejsi poeci, oto przykład wzięty z jednego z najlepszych, Miłosza; ten pisze (*Ocalenie*, str. 57): „gwiazdo, chroń nas od ciszy i spokoju”. Najpierw „chroń” jest tu nie na miejscu. Chronić od burzy, tak; ale od ciszy — raczej: zbaw. Następnie autor miał na myśli zapewne „od głuszy i zastoju”, a nie od ciszy i spokoju, które każda dusza z treścią ważną i celem pochłaniającym wzywa wielkim głosem jako nieodzowny warunek ich realizacji. Boć co innego szumiący Farys: mniej więcej byroniczny, rozkochany w orgii elementów wtrząsających jego wnętrznemu rozpętaniu, a co innego wypróbowany budownik nowych światów. Temu i pustynia ledwo dogodzi; gdy dzieło wymaga skupienia i bezwzględności oddania. Jeszcze czasu niewiele wstecz podobne uwagi zdawałyby się pedantyzmem. Ale wszak dzisiaj powaga spraw wymaga wyrażań ścisłych, nie podlegających dwuznacznemu ujęciu.

Czułbym dług na sumieniu, gdybym nie zanotował budującego wrażenia z uroczej baśni Zofii Rogosz (dla dzieci) pt. *Dzieci pana majstra*. Jest to arcydziełko wdzięku i uczucia, a przy tym dzieło biegłego kunsztu; lekkie epos z dala ariostyczne, które zachwyci dzieciarnię, a dorosłego chwyta za serce głęboką znajomością psychologii dziecięcej i uroczą dla niej sympatią kobiecego serca. Mała Butka jest po prostu typem dobrego dziecięctwa, a Wróżka, jej przyjaciółka „piękna, wiotka i powiewna”, może się przyśnić jako ideał dobrych geniuszów świata. Rzecz rozwija się planowo, swobodnie, szeroko, poetka doskonale manipuluje lejcami swego pegazika, który wart niejednego reklamowanego pegaza.

I przychodzi mimo woli na myśl, czemu nasi podziwiani, laurovani, okadzani „skamandryci” i inni nie spróbują sił swych w utworach tego rodzaju. Wierszy ulotnych, notatek poetyckich bez dalszego ciągu, preludeów mamy chyba dosyć. Wielkie „machiny” klasyczne i poklasyczne też jeszcze nie wzbudzają za sobą tęsknoty; ale „poema w rodzaju Ariosta”, a choćby Byrona, Puszkina... pozwalające na wszystkie fantazje imagi-

nacji i techniki — przywitałby dzisiejszy czytelnik z nie mniejszym zachwytem niż nasze dzieciarnie *Dzieci pana majstra*. Zwłaszcza nasi wielcy bywalcy wojenni mieliby łatwe zadanie: wszakże musieli zebrać sporo zdumiewających zdarzeń i przedmiotów medytacji podczas swych lat służby na froncie. Co za rewelacje dla tych, którzy w głębi kraju musieli biernie wytrzymać nacisk zdarzeń...

*

Edward Abramowski, jeden ze świętych kooperatywnej Polski, był jednocześnie jednym ze zwiastunów, a może i wzbudzieli surrealistów. W swych poszukiwaniach psychicznych uganiał się on za wrażeniami czystymi, tj. uwolnionymi od kurzu odruchów i przyzwyczajzeń; stwarzał warunki dla ich powstania, np. nagle otwieranie okiennicy ciemnego pokoju na rozświecony poranek — i wrażenie to na sobie badał; starał się systematycznie o patrzenie świeżymi oczyma i wrażliwością na rzeczy znane i ograne. Te jego studia znane mi są z rozmów osobistych, ale wiem, że zawarł je również w broszurach i większych pracach. Mogą się one przydać naszym nadrealistom.

*

Jedną z uderzających wad polskiej krytyki artystycznej powojennej (przedwojennej też) jest jej przeważna gołosłowność, co przy tendencji do hiperscjentyficznego żargonu sprawia niezmierne mozoly i unudzenia przy odcyfrowywaniu. Więcej przykładów! więcej przykładów! inaczej wieża Babel. Krytyk powinien by tak pisać, jakby mu stale groziła prawna indagacja co do jego ogólników pozbawionych poparcia obiektu konkretnego: mieć to ostatnie na podorędziu, a jeszcze lepiej — nie czekając na wywiad — umieścić je w nawiasach bezpośrednio po ogólniku.

Takie uprzystępniające tekst przykłady w nawiasach, więc lakoniczne, lecz wymowne, chcielibyśmy widzieć np. przy twierdzeniach: „Tak wiele spraw straciło w czasie wojny ważność życiową” (?); „Oszołomienie niezniszczalnością świata zjawisk” (?); „Poezja posługiwała się słowem mechanistycznie” (?). — Trzy te zdania pochodzą z *essai'u Spojrzenie na poezję francuską*¹¹. Autor, Zbigniew Bieńkowski, jest — przynajmniej trzeba — jednym z najodpowiedzialniejszych stylistów dzisiejszych, najmniej obciążonych pyłami specterminów i definicji. Dlatego — jak w kraju sprzymierzonym — u niego wybrałem cytaty objaśniające. Co dzieje się gdzie indziej? — co za roje nie uwierzytelnionych a pełnych buty i tupetu konstatacji przewalają się po ich artykułach — to unaocz-

¹¹ Z. Bieńkowski: *Spojrzenie na poezję francuską*, „Twórczość”, 1946, z. 3, s. 63–80.

nić by mógł jakiś skrzący zbieracz dziwolągów do nowej „Camera obscura” na wzór dawnej z „Wiadomości Literackich”.

*

W tłumie przekładów poetyckich, nie wyrastających ponad gładką fuszerkę, wyróżniają się niepospolicie przekłady Artura Sandaue-
ra. Tu trafiamy na rzetelną kulturę literacką i czujny smak artystyczny. Godny całkowitego zacytowania wydaje mi się taki np. fragment z Lukrecjusza:

Kiedy ogromne oddziały napelnia równiny zamętem,
Rozgrywają na polach pozornej wojny teatrum,
Bije blask pod niebiosa i cała ziemia dokoła
Ogniem pancernym się pali i grzmi pod stopami piechoty.
Jest jednak miejsce w górach odległych, skąd blask ów i zamęt
Wyduje się nieruchomym postojem światła na polu.

(„Odrodzenie” 1946, nr 14, w art. *Kłęska geniuszu*).

Co za siła i trafność ekspresji — i co za wstrzemięźliwość stylu! To więcej niż biegłość artysty: to artystyczna cnotliwość. Więcej takich przekładów było by dobrodziejstwem dla naszej literatury — i literatów.

*

„Powieść poetycka”, lekkie epos, nie da się zastąpić romanssem, prozą: różni się odeń tak jak polotny galop, ledwie dotykający ziemi, od sumiennego kłusa lub stępa, który co chwila notuje swój gruntowny kontakt z ziemią.

W odróżnieniu od powieści prozą, która w gruncie jest historią naturalną danych typów lub gromad, uwydatnia ona uczuciowy prąd opisywanych egzystencji i zdarzeń, biegnie z nurtem namiętności dominującej, troszczy się jedynie o zasadniczy płomień dusz. Już samo posiadanie tak ważnej specjalności zapewnia temu rodzajowi poetyckiemu trwanie poprzez epoki i granice. Niedostępny miłośnikom rzeczy („realiści”), jest po prostu stworzony dla dusz z potężną uczuciowością, dla których życie duchowe ma pęd nieprzeparty żywiołu i jest rzeczywistsze od wszelkiej konkretnej rzeczywistości.

*

Chesterton i wielu innych myśli, że „La Verité doit forcément être plus étrange que la fiction, car la fiction n'est qu'une création de l'esprit humain et, par consequent, est à la mesure”. — C'est parfaitement vrai; mais ce n'est parfaitement vrai que dans l'Absolu. Dans notre monde

relatif il y a une quantité d'horizons de la Vérité et de la Fiction; et l'horizon de la Vérité du bonhomme Prudhomme risque fort d'être bien moins vaste et „étrange” que les fictions d'un Verne ou d'un Wells. Les fictions intuitives d'un esprit sagace peuvent énormément empiéter sur la Vérité Absolue, tandis que les Vérités perçues par des têtes vulgaires ne sont que des lambeaux d'observations incomplètes et comme sensations, et comme interprétation. Ajoutons, que les „fictionnaires” (les Grands) semblent débarquer dans notre monde ariéré après des flanereries mystérieuses dans des mondes plus avancés; on ne me persuadera pas, que le Wells de 1890 et ses „fictions” ne s'appuie sur des données vues et vécues. De même notre très profond et très énigmatique Antoine Lange (*W czwartym wymiarze*).

*

I b s e n jest rapsodem wieku dojrzałego. „Wiek męski, wiek klęski” — i jego dramaty są właściwą treścią dramatu Ibsena. Dlatego jest tak sławny powszechnie, a tak z cicha i mało uznawany przez młodzież. Ażeby rozumieć Sollnessów, Borkmannów itd., trzeba niejedną lat tuzin mieć za sobą.

Porównać jego popularność, tak wyraźnie młodym jedynie narzuconą, z entuzjazmem obudzonym przez (Małaczewskich, Sosnkowskich itp. nie wspomnieć nawet, ale) takiego np. Mickiewicza, autora typowo młodzieńczego, który nawet gdy „Mężów” opiewa, np. Wallenroda lub Starców w *Panu Tadeuszu*, to czyni to patrząc przez różane okulary młodości.

A n t o n i L a n g e zasługuje, nawet w krótkiej wzmiance zaraz pośmiertnej, na więcej o wiele, niż to się stało w „Pamiętniku”¹². Polska zdaje się nie przeczuwać, czym był wśród niej ten duch „z czwartego wymiaru”, który ją, w sposób dyskretny aż do konspiracyjności, obdarzał horyzontami przeżytej, irealnej — rzekłbym — wieczności i bezmiaru.

O T a d e u s z u M i c i ń s k i m nie ma prawa sądzić Adam Grzymała Siedlecki, bo nie ma kompetencji dostatecznej. Tadeusz Miciński jest to natchniony erudyta, profesor w delirium twórczym, otchłań wiedzy w stanie wrzenia, encyklopedia zmobilizowana przez potężną imaginację. Cóż dziwnego, że wydaje się „chaotyczny” gminnej szkapie dziennikarskiej.

J u l i a n W o ł o s z y n o w s k i: *Słowacki*. Powieść. Recenzja Tadeusza Makowieckiego¹³ całkiem błędnie „nastawiona”. Powieść ta o Słowackim jest w swoim rodzaju arcydziełem plastyczności, nastroju, stylizacji subtelnej, oryginalności odtwórczej. Tła są „jak żywe”, horyzonty podnoszą i obniżają się jak w arabskim „almikantarat”. Nie jest to wpraw-

¹² W „Pamiętniku Warszawskim”, 1929, z. 1, zob. szkic nekrologowy W. Borowego: *Antoni Lange*.

¹³ Ukazała się w tymże zeszycie „Pamiętnika Warszawskiego”.

dzie Słowacki-archanioł, ale takim był on zapewne jedynie w transach najwyższej twórczości, sam na sam z Bogiem. Człowiek zewnętrzny rzadko reprezentuje dokładnie swą najdoskonalszą treść, swą boskość, nawet wtedy gdy — w geniuszach — objawia się ona energiczniej niż u zwyczajnych ludzi. Słowacki-człowiek, tj. ów archanioł skuty w ułomnym ciele, został przedstawiony z głębokim sentymentem, ale i humorem, tak jakby to mógł uczynić bardzo kochający i wszystko w nim — dobre i mniej dobre — rozumiejący pater...

*

Biographie stylée: serait peut-être un terme plus précis que: „Vie romancée”. Car ce nouveau genre ressort plutôt de l'art décoratif; il utilise les données réelles en les simplifiant d'une part et d'une autre leur donnant une exubérance frappante. C'est ainsi que des fleurs de paravents ou tapisseries sont, à la fois, moins riches de sens et plus prolixes dans le détail qu'on exploite que leur modèle vivant. Le héros de ces Biographies stylées n'est plus l'individu célèbre, mais son type, fondé par le milieu social qu'il ébranle.

Il n'y a que l'Ange Gardien spécial de l'homme illustre, qui pourrait nous donner sa „Vie romancée” parfaite. Les autres s'en rapprocheront selon le degré de connaissance intime et cordiale qu'ils peuvent avoir de leur Sujet.

Et voilà que M. Julien Wołoszynowski, exhumateur sensitif et plastique de Jules Słowacki me parait le plus merveilleusement proche de cet Ange Gardien Biographe que j'évoque et invoque.

Kazimierz Wierzyński (mówię na podstawie *Wierszy wybranych*) jeszcze nie zakiełkował własnym pędem poezji. Gładki i poprawny epigon bardzo wysokich nieraz prądów, dobry i wdzięczny syn pokoleń starszych, ale jeszcze nie on sam, różny od wszystkich innych, bezprzykładowy w swej tonacji, wyraźny wśród wszystkich innych. Dość zestawić go z Julianem Tuwimem, nad którym ma jedną wyższość, tj. że jest dobrym, porządnym chłopcem, bez niebezpiecznych skłonności do rozpasania — ostatecznie niesmacznych, co w poezji jest zabójcze. Poza tym, wszystkie plusy ma Tuwim. Ten jest wykaraskany ze wszystkich zależności, rozwrażliwiony do niebywałych dotąd granic na zawartość psychodźwiękową języka, szlifierz niezrównany mowy, która w jego ujęciu zamienia się w nowy, Tuwimowy dialekt.

Już w „Wiadomościach Literackich” w międzywojniu czytaliśmy całe stronnice jego ptaszęcych świergotów. W tym zagęszczeniu była pewna monotonia. Ale gdy te jego „zatrelotrutrelilo” dostanie się w wiersz nastrojowy, co za niewymowna świeżość i szczerokość żywa! W tej koloraturze Tuwima nie mieści się oczywiście całość poezji: braki metafizyczne

każą często żałować, że cały Tuwim właściwie mieści się w sensytywizmie poetyckim, a nie wkracza do wyższych sfer ducha. Ale ten sam brak metafizyczny spotykamy u Wierzyńskiego — bez kompensaty sensytywizmu.

To wszystko jest dopiero początkiem, próbowaniem się, powtarzaniem własnymi słowy rzeczy, które znamy skądinąd, źródłowo. Jedynym głębszym motywem jest radość elementarna młodego, silnego stworzenia ludzkiego, turysty i sportowca, mającego przed sobą cały świat otwarty i przeczuwającego bezbrzeż możliwości zachwycających.

Już przed kilku tysiącami lat *Upaniszady* hinduskie oznaczały „szczęście mocnego, dzielnego młodziana jako jednostkę szczęśliwości ludzkiej”; tę sławi z zapałem Wierzyński, ale uradowania jego wyglądają trochę blado, gdy się ma w pamięci oszałamiające młodoekstazy Tuwima. Tu dopiero oglądamy pełne rozpiętanie elementu młodomęskiego aż do granic delirium i — szkoda! — przywoitości. Jednak ani u Wierzyńskiego, ani u Tuwima ten szal doczesny nie przechodzi do nieśmiertelności progów, ale pozostaje w sferze faunicznej, a stąd panicznej często.

Z tych dwóch „młodych” Wierzyński (ur. w 1894) jest bliższy ateńskiego wzoru obywatela, któremu nie wypadało być zbyt biegłym flecistą. Wielbiciel zacnego, ale nudnawego Staffa, sam jest przedmiotem uwielbienia powszechniaków i innych amatorów „napojów gazowych”. Tuwim to kąsek dla znawców, obywatel nieśmiertelny Artyzmu, nieodgadłymi dalszymi ciągami swych dotychczasowych osiągnięć wkraczający w etery seraficzne. Jednemu i drugiemu Przyszłość woła: „witajcie”!

Jak to? Ludziom półwiecznym — przyszłość... Witajcie?... A jednak nie cofam. Wierzę, że jest przyszłość i dla tych, których młode pokolenia za starców mają. Wszakże oni tu dopiero zaczęli... i miałyby te początki zniknąć bez rezultatu? Zwłaszcza Wierzyński jest tak niedopowiedziany, nierozkwitły. Dziesiątków lat potrzeba, aby siejby losu wzeszły. Dowodem wierne notatki z podróży: cóż za ubóstwo pierwszego zadokumentowania! Zanim świadomość ujrzy, co widziały oczy, może i sto lat upłynąć. Dziś przeważnie odzywa się krytyka.

Pamiętam z młodości: roztaczałem żale, jak o to łatwo w młodocianych czasach. Słuchano mnie cierpliwie, a potem usłyszałem westchnienie i słowa: „Człowiek jest niewdzięczny”.

Tak, niewdzięczny. Przepisuje swym zasługom najczystsze łaski — i swe poetyckie kręcenia nosem uważa za pełne złoto zapłaty, gdy go nad miarę ugoszczono, zabawiono. Nie wiem, czy dzisiejsi poeci rozumieją od razu to: „Człowiek jest niewdzięczny”. Im prędzej, tym dla nich zaszczytnej i korzystnej [...]

Śród tłumu młodocianych Tyrteuszów, Juwenalów i Jeremiaszów ostatniej doby wyróżnia się wyrobieniem oblicza poetyckiego i dojrzało-

ścią swego człowieczeństwa Tadeusz Różewicz¹⁴. Jego wiersz medytacyjno-nastrojowy z Tusculum („Odrodzenie”, lato 1945) jest bardzo piękny: horyzont rozległy, przeczuciowość wstrzemięźliwa a przejmująca oraz szlachetna pokora intelektualna zyskują dla siebie sympatie i uznanie czytelnika i zniewalają do odczytywań.

Podobne wrażenie wynosi się i z *Plejad* Iwaszkiewicza, ale ten już nie jest „najnowszy”.

Miriama, wielki naturalista poezji, ojciec i doktor poezji (jak są oo. i dd. Kościola), jest odczuwalny w całej tej młodej ekipie. Jego: *U Poetów*, istny zielnik form, rytmów i nastrojów poetyckich, jest kluczem do wszystkich dzisiejszych utworów, zdawałoby się najbardziej oddalonych. Uwydatnia się to zwłaszcza w Tuwimie, którego świetny talent uświadomił i rozpętał zbiór przekładów Miriama. Od dziewiczych elegii aż do najkrwawszej inwektywy widzimy tu polską asymilację najrozmaitszych tonów i form poezji wszechświatowej, przez Miriama Polakom udostępnionej.

*

Jan Kott w swym znakomitym studium *O laickim tragizmie*¹⁵ słusznie stwierdza, że katolicki światopogląd wyklucza istotność tragizmu. Ale jakiego? — pytamy. Oto, przedmiotowego (w znaczeniu transcendentnym). Nie ginie jednak tragizm psychologiczny, indywidualny. Czym bowiem jest tragizm? Wiarą w złowieszczą jakąś alternatywę: albo — albo; trzeciego nie ma. Otóż trzecie jest zawsze, chodzi „jedynie” o to, ażeby je znaleźć; czy to dzięki bystrej inteligencji i prawości moralnej, czy po prostu „szczęściu” i łasce niebios... Otóż nie zawsze może się to zdarzyć; czasem, jak podczas mgły lub zadymki, nieszczęsny pokutnik może beznadziejnie krążyć tuż pod murami grodu zbawienia i zginąć (przynajmniej w ramach utworu) tak, jak można przewrócić się o nie istniejący, a domniemany mebel w ciemnym pokoju. Tragizm z przedmiotowego stał się subiektywny; nie jest „deterministyczny” ani logiczny, ale psychologiczny — i omyłka, niedoskonałość zmysłów czy umysłu, słowem: ma l u c z k o ś ć c z ł o w i e c z a, która ginie, gdy skryją się piastunki.

*

Bobkowsk i, w swych *Szkicach piórkiem* („Twórczość”, z. IX, s. 45) pisze, że my Polacy „wynajęliśmy sobie w Europie pokój przechodni”. Mnie sytuacja nasza przedstawia się jeszcze inaczej: oto wszystkie narody Europy postarały się o prawie-wyspowość swych terytoriów.

¹⁴ I tutaj w autografie omyłkowo: Tadeusz Rudnicki.

¹⁵ J. Kott: *O laickim tragizmie*, „Twórczość”, 1945, II, 137—160.

W masie ładu europejskiego tkwimy tylko my i Niemcy, bo Rosja ze względu na swą olbrzymią głąb nie odczuwa skutków tej śródłądowości. Jedynie Polska i Niemcy, zrosnięte jak bracia sjamscy i zawadzające sobie wzajemnie.

Czy nie przychodzi mimo woli na myśl, że w tych naszych gigantycznych czasach mogliby nasi cyklopowie zdobyć się na „przekopanie przełamyka”. Już nie Suez albo Panama, ale Pol-Niem, tak aby każdy był u siebie w domu?

*

Pan Kazimierz Wyka w „Twórczości”¹⁶ stawia pytania: jak ma się słusznie odnosić dzisiejszy artyzm do tuż powojennej rzeczywistości? tragicznie? drwiąco? czy realnie? I rozstrzyga sprawę na rzecz tego ostatniego. Ale, sądzę, że realniej byłoby odczekać (*abwarten*). Wszakże my o przeżytym nic właściwie nie wiemy, prócz swoich obłądnych wzruszeń. Dalsze horyzonty są nam wciąż niedostępne. Dajmy działać czasowi, niech w jego rozległym łonie rozwiną się dalsze ciągi pierwocin. Poety nie obowiązują dziennikarska aktualność, a w zamian wymaga się dojrzałości syntezy poetyckiej, czyli wizji. Ta zaś zjawia się niekiedy po całych dziesiątkach lat. Któż przekonywająco zaprzeczyć może, iż oszałamiające doznania nasze nie zostały nam dane „na wyrost”? Że to, co odczytamy z nich dziś, po prostu nie znajduje komórek w naszych mózgach? Attyła był „biczem bożym”, ale kto nim potrząsał? rozpuścił, a potem zwinął? Dlaczego i w jakim kierunku? Sprawa to znacznie większa, niż ją społeczne animozje upierają się przedstawiać. Czy nie warto by poczekać, aż się ta kolosalna teodycea, którą się przeczuwa, przed nami roztoczy? Kto nie czuje w swym „łaknieniu sprawiedliwości”, że nam się należy wykład grożącego pokazu wojny? A należy się nie dlatego, abyśmy byli tacy ważni dygnitarze; przeciwnie, dlatego, żeśmy tacy maluczcy. Wszakże dzieciom i grzesznikom zazwyczaj tłumaczy się, dlaczego zostali ukarani. A myśmy do syta słyszeli: „kara”, „Strafe”; i słyszeliśmy: „Nyx”, „diablice”, „Locke”....

Wreszcie „kara” nie jest ostatecznym celem dydaktyw, nawet najdziksze trybunały barbarzyńców dbają o to, aby z niej wynikała nauka i korzyść. Możemy się spodziewać i jednej, i drugiej — z wielu powodów, które niech każdy odnajdzie w swej prawej i logicznej świadomości.

To wszystko kryje w sobie przyszłość; z tych dopiero elementów będzie można stworzyć epos społeczny. Na dziś niech nam wystarczą reportaże — zwłaszcza że rozwinęły się bujnie i świetnie.

*

¹⁶ K. Wyka: *Tragiczność, drwina i realizm*, „Twórczość”, 1945, III, 101—119.

Wysoki poziom etyczny twórczości literackiej (postulat Zjazdu Literatów Polskich¹⁷) nie oznacza jedynie właściwej orientacji wobec ZŁA, ale — i to w większej niezrównanie proporcji — danie obszernego miejsca i możliwości pełnego wygłosu sprawom, stanom i charakterom szlachtetnym, hartownym, wyzwolonym bodaj częściowo od barbarzyństwa prymitywów. A my wciąż upatrujemy „wysoki poziom etyczny” w satyrze, inwektywie, [.....]* — nowym... Dobrze będzie dopiero wtedy, gdy o nich zapomnimy.

*

„Kolumna poezji rosyjskiej”¹⁸ przedstawia się gładko, ale nie charakterystycznie. Tłumacz powinien by przestudiować przedwzrostne przekłady Tuwima, którego geniusz filologiczny jest wprost fenomenalny. Kto dziś przekłada Puszkina bez czynnego uwzględnienia zawrotnych jego rezultatów, ten naraża się na zarzut fuszerki. Można przewidywać, że za jakie lat pięćdziesiąt powstanie specjalna katedra dla oceny i rozpowszechniania koloratury poetyckiej Tuwima, a jego ucho, krtań i jęz[yk] będą miały tą samą cenę, co ongi gardło sławnej Patti... Tymczasem przekładowcy powinni go studiować na własną rękę, aby zbliżyć się do jego doskonałości.

P.O.W.¹⁹

Zbójna Góra koło Warszawy 1945 r.

IV

MARIA DEPNAŁOWICZ

BIBLIOGRAFIA PISM MARII KOMORNICKIEJ

1892

Z życia nędzarza, „Gazeta Warszawska” nr 11–14, 16–17.

Staszka, „Gazeta Warszawska” nr 310–311, 313–318, 321, 323–324, 326, 328–329, 332–333, 335–336, 338, 340, 342–343.

1893

Rozłąka (nowelka), „Gazeta Warszawska” nr 248.

* Wyraz nieczytelny. Może: fakcie, żarcie, może jeszcze inaczej?

¹⁷ Sprawozdanie z niego: *Pierwszy Ogólnopolski Zjazd Literatów*, ogłosił Z. Bieńkowski w „Odrodzeniu”, 1945, nr 44.

¹⁸ Mowa zapewne o tłumaczeniach poetów rosyjskich pomieszczonych w „Odrodzeniu” (1945, nr 40, pt. *Z poezji rosyjskiej*; 1946, nr 18, pt. *Współczesna poezja rosyjska*). Tłumaczami byli: Jastrun, K. A. Jaworski, Morski, L. Podhorski-Okołów, S. Pollak, Pomianowski, Sandauer.

¹⁹ Tak sygnowała Komornicka swoje notaty, tzn. Piotr Odmieniec Włast.

1894

- Szkice*, Warszawa, druk. J. Jeżyńskiego (data cenzury 9 VII 1893). Zawiera: *Zamiast wstępu*; *Z fantazji realnych*; *Nirwana*; *Z życia nędzarza*; *Staszka*.
Skrzydzeni. Dramat w trzech częściach, „Przegląd Poznański” nr 32—42. Ostatni odcinek podpisany: Maria Komarnicka (Lwów). Niewątpliwa mistyfikacja ze względu na policję warszawską. Dowodzą tego liczne elementy autobiograficzne. Cz. I dramatu, pt. *Kobieta nowa*, grana była w Warszawie pod właściwym nazwiskiem autorki w r. 1906.

1895

- Forpocztę*, książka zbiorowa (wraz z W. Nałkowskim i C. Jellentą), Lwów (druk.) Piller i Ska. Zawiera: *Powrót idealów* (utwór dramatyczny); *Przejsiowi*; *Dlaczego*; *Liryka, proza i wiersze*.

1896

- Raj młodzieży*. Wspomnienie z Cambridge, „Przegląd Pedagogiczny” nr 5—7, 10—16, 24.

1897

- Nastrój*. Fragment (w.), „Głos”, Warszawa, nr 46.
Bunt anioła, „Życie”, Kraków, nr 7.

1898

- Mickiewicz i nowa poezja*, „Głos”, Warszawa, nr 52.
Nazajutrz (w.), „Życie”, Kraków nr 2.
W górach, „Życie”, Kraków, nr 7.
Krzyk (w.), „Życie”, Kraków, nr 38/39 (podp.: M. K.).
Drugie życie (w.), „Życie”, Kraków, nr 45.

1899

- Po południu...* (w.), „Głos”, Warszawa, nr 34.

1900

- Baśnie. Psalmodie*, Warszawa, Księgarnia J. Fiszera.
Z Psalmów. W wyd. zbior.: *Pisanka*, s. 50—52.
Duch mój nigdyś... (w.), „Głos”, Warszawa, nr 6.
Ahaswera. Fragment (w.), „Głos”, Warszawa, nr 10.
List nadesłany (wspólnie z innymi) o zaprzestaniu współpracy z czasopismem „Strumień”, „Głos”, Warszawa, nr 16.
Psalm pokutny (w.), „Głos”, Warszawa, nr 17.
Uparci (w.), „Głos”, Warszawa, nr 21.
Skargi, „Głos”, Warszawa, nr 21. ¶
Do kwestii: „Co myśli i czego chce nowe pokolenie?” *Sprostowanie i wyznanie* (polemika z art. A. Drogoszewskiego: *Luźne uwagi o metafizycznych lotach współczesnej poezji*, „Prawda”, 1900, nr 21—22), „Głos”, Warszawa, nr 25.
Mądrość, „Głos”, Warszawa, nr 28.
Nastroje (w.), *Czuwanie*; *W maju*; *Hold*; *Kłęska*; *Żalność*; *Tajemnica*; *Spokój*, „Głos”, Warszawa, nr 41.
Wieczór chorych (*Psalmodia*), „Strumień”, nr 3.

1901

Dziękczynienie, „Chimera”, t. 1, z. 3, s. 487—489.

Czarne płomienie, „Chimera”, t. 4, z. 10/12, s. 164—186.

Nazajutrz (w.), „Chimera”, t. 4, z. 10/12, s. 338—391.

Halszka. Powieść współczesna, „Głos”, Warszawa, nr 1—2, 4—15 [cz. I].

Tłumaczenia:

Eckhoud J.: *Chwała Lutterathu*, „Chimera”, t. 4, z. 10/12, s. 406—421.

1902

Biesy, „Chimera”, t. 5, z. 13, s. 36—50; z. 14, s. 213—227.

Maj (w.) (inc.): *W tajniach ogrodu...; Pokusa wiatru wiosennego*, „Chimera”, t. 6, z. 16, s. 92—96.

Ze Szlaków Duszy (w.), *Ahaswera; Kaprys; (inc.); Płomień życia...; Dumanie; Co jutro?; Vici; Niegdys; Przeszłość*, „Chimera”, t. 6, z. 18, s. 332—346.

Recenzje:

Powieść (Rubryka podp. Włast), „Chimera”, t. 5, z. 13, s. 150—156; z. 14, s. 347—352a; z. 15, s. 502—504; t. 6, z. 16, s. 140—143; z. 17, s. 312 a — 312 d; z. 18, s. 454—464.

Tłumaczenia:

Hello E.: *Wiek i człowiek*, „Chimera”, t. 5, z. 13, s. 133—142; z. 14, s. 296—305.

Huysmans J. K.: *Katedra*. Urywek, „Chimera”, t. 5, z. 14, s. 246—274 (podp.

M. K.).

Laforge J.: *Perseusz i Andromeda, czyli najszczęśliwszy z trojga*, „Chimera”, t. 6, z. 17, s. 263—280.

1903

Nazajutrz; Akt pokory; Nastrój (w.) [w:] *Najmłodsza pieśń polska*, wydał L. Staff, Lwów, Księgarnia Polska B. Polonieckiego, s. 64—71.

Biesy, Warszawa (odbitka z „Chimery”).

W świątyni hymenu; Znicz. W książce zbiorowej: *Noworocznik*, s. 49—52.

1904

Sprzymierzeniec, „Chimera”, t. 7, z. 19, s. 100—106.

Z księgi mądrości tymczasowej. Głosy, „Chimera”, t. 7, z. 20/21, s. 326—345.

1905

Z Szlaków Ducha; Nowe cykle (w.); *Z chłodów; Pokusa; Z oddechu; Żal; Duma; Ból fatalny; Na rozdrożu; Lohengrin; Pełnia; Pragnienie; Prośba*, „Chimera”, t. 9, z. 25, s. 101—116.

(*Wiersze*) — (inc.); *O nocy letnich...; Oto mi z oczu...; Uśmiechasz się...; Zakolatałam...; Księżycyca kryształowy...; Cienie*, „Chimera”, t. 9, z. 27, s. 460—466.

Oscar Wilde. *Apokryf idealny*, „Chimera”, t. 9, z. 27, s. 475.

Recenzje:

Powieść (Rubryka podp. Włast), „Chimera”, t. 9, z. 26, s. 328—337; z. 27, s. 495—513.

1906

(List do redakcji „Nowej Gazety”) — „Nowa Gazeta” nr 212.

Tłumaczenia:

Bulwer-Lytton E.: *Zanoni*. Powieść z czasów rewolucji francuskiej, Warszawa, t. 1—3, Biblioteka Dzieł Wyborowych, nr 417—419.

1907

Intermezzo, „Chimera”, t. 10, z. 28/29, s. 64—80.

Inkantacja, „Chimera”, t. 10, z. 30, s. 474—475.

Ze świata płci. Aforyzmy i komentarze. O niej, „Literatura i Sztuka”, Warszawa, nr 5.

1908

Komornicka M., *Pan kona (Z psalmów)*. Kalendarz na rok przestępny 1908, Warszawa, Księgarnia Edwarda Kolińskiego, s. 50—52 (pierwodruk w tomie: *Baśnie. Psalmodie*, Warszawa 1900, s. 59—63).

1920

Łoś J.: *Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju* (Warszawa). Na s. 394—396 poezje M. Komornickiej.

1963

Poetki Młodej Polski. Zebrał i opracował J. Z. Jakubowski, Warszawa, Czytelnik. Na s. 71—85 poezje M. Komornickiej.

WACŁAW SIERSOSZEWSKI

LISTY Z SYBERII

Papiery Wacława Sieroszewskiego przekazał Bibliotece Narodowej w Warszawie syn Władysław. Wśród nich, i to w partii najwcześniej przekazanych (w 1946 r.), znajduje się nadzwyczaj zajmujący zespół, na który nikt do tej pory nie zwrócił uwagi: osiemnaście listów pisarza do siostry Pauliny¹, pochodzących z okresu od 17 kwietnia 1888 do 28 lutego 1891 (sygn. BN 2749). Wśród zachowanych listów są luki; nadto ze wzmianki Sieroszewskiego w liście z 1889 r. wynika, że musiał korespondować z siostrą już od 1885 r. Jednakże z tych wcześniejszych listów nie ma ani śladu. Sieroszewski pisze z namskiego ułusu w jakuckiej oblasti, pod 130° długości i 65° szerokości geograficznej na Dalekim Wschodzie, z miejsca leżącego u stóp „tronu zimy”, nieco poniżej koła biegunowego.

Listy te zasługują na druk z wielu powodów, w pierwszym rzędzie jednak ze względu na wydanie *Pamiętników* pisarza (1959 r.), są bowiem bardzo ciekawym ich uzupełnieniem. Naturalnie listy nie mogą się mierzyć z *Pamiętnikami* rozpiętością czasową; nie dorównują im także polotem epickim, jak również siłą napięcia dramatycznego. Lecz nie posiadając tych walorów, są przede wszystkim głębsze i psychologicznie bardzo interesujące.

Pamiętniki są opowieścią barwną, cokolwiek pospieszną i łatwą. Mamy w nich znany portret zasłużonego pisarza o ustalonej randze bohatera bez wahań i wątpliwości. Inaczej w listach: zdradzają człowieka, mimo porywów heroizmu, jętrzonego tęsknotą i powątpiewaniem aż do melancholii; bohatera narodowego, którego patriotyzm jest wystawiony na ciężką próbę wierności polszczyźnie w zupełnie obcym środowisku. Listy te dają przebogaty materiał do charakterystyki początkującego pisarza, dla którego problem wyboru języka, pozornie oczywisty, w rzeczywistości okazuje się kwestią szalenie skomplikowaną. Autentyczność przeżyć jest tu niczym nie skrępowana: treść listów jest wylewna, często niezdiscyplinowana, ulegająca wpływowi impulsów i wrażeń autora. Z drobno i oszczędnie zapisanych kartek wyłania się sylwetka mało lub wcale nie znanego człowieka: w zimowe dni literat i etnograf, w letnie rolnik, myśliwy i hodowca drobiu. Jego wszechstronność, zamiłowanie do rolnictwa i wytrwałość w pracach literackich i naukowych zasługują na szczerzy podziw. Tym bardziej że z Warszawy przywiózł ze sobą najwięcej... patriotycznego zapachu, niedokształcony umysł i pewne rozeznanie w rzemiośle ślusarskim. Owa symbioza prac i zainteresowań rozwinęła Sieroszewskiego znacznie, o czym niejednokrotnie w listach wspomina.

W lipcu 1888 roku mijało 10 lat od chwili aresztowania Sieroszewskiego w War-

¹ Paulina Sieroszevska, redaktor i wydawca warszawskiej „Prawdy” (1906–1907), tłumaczka z angielskiego (E. Phillipost, *Kłamiwi prorocy*, 1900).

szawie, zaś w roku 1890 kończył się okres jego dziesięcioletniego pobytu na Syberii². Łączyły się z tym nadzieje rychłego powrotu do kraju, chwilowe poczucie ulgi, że najgorsze już minęło, i podniecenie w oczekiwaniu nieznanego. Początkowe ożywienie mija szybko. Przytłaczają je troski nie tylko z powodu trudności uwolnienia, lecz także z powodu myśli o przyszłych zarobkach, zwłaszcza że chodziło o utrzymanie własne i kilkuletniej córki Marii. Zapewniony, choć nieświatny byt na Syberii rozwiązał się w momencie upragnionej wolności. Po powrocie wszystko trzeba by było budować na nowo. Sieroszewski nauczony doświadczeniem troszczy się zawczasu o przyszłą egzystencję i próbuje nawiązać kontakt z rodzinnym krajem za pomocą pióra. Przeszkody są olbrzymie. Patriota, bohater narodowy, uparty Polak, nie umie przecież dobrze pisać po polsku. Jego styl chropawy i ciężki miesza się ze skłonnością do przesady i przejawiania sytuacji. Nieraz przekonanie o własnej wartości i poczucie wielkości ofiar dla narodu wiedzie nieszczęsnego zesłańca na strome ścieżki rozpacz, że nikt nie zdoła mu pomóc. W podświadomości drzemie przecież nadzieja choć niewielkiego uznania za cierpienia i krzywdy. W listach odnajdujemy tak charakterystyczny dla wielu wygnańców ton pokrzywdzenia i domaganie się sprawiedliwości skierowane pod bezimiennym adresem „narodu”. Najbardziej znamienne jest tu *passus* w liście z dn. 28 XII 1888, gdy podenerwowany wielokrotnym odrzucaniem opisu swych podróży po Syberii Sieroszewski pisze:

„... żał mi mej pracy, aby zgniła marnie; kosztowała mię ona niemało zdrowia i kłopotu; zapalenia oczu dostałem ślepiając nad rysunkami i niejedną noc spędziłem dręczony bólami reumatycznymi, nabytymi w opisanych tam przeze mnie włóczęgach. Nie chcą płacić, żałują mi małego kaska chleba, rzuć im darmo, siostró, niech kochani rodacy nakarmią się za darmo mymi wnętrznościami; targując się o nie z nimi zhańbiłbym pamięć tych wszystkich, którzy również daremnie tracili dla nich swe życie i krew”.

Tymczasem problem drukowania w kraju przez zesłańców graniczył prawie że z utopią. Przede wszystkim zesłańcom nie wolno było pisać i drukować. Drukowano więc pod pseudonimem i pseudonimu tego wypierano się. Również przesyłanie tekstów literackich z Syberii odbywało się w sposób zakonspirowany, zwykle przez zaszyte ich w ubraniu wracającego do kraju wygnańca. Ryzyko było więc duże. Te przeszkody jednak — poważne, ale zewnętrzne — były daleko mniejsze od przeszkód powstających przy samym pisaniu. Cały duży rozdział dałoby się ułożyć z utyskiwań Sieroszewskiego w listach na temat obrabiania nowel i powieści. W *Pamiętnikach* ów olbrzymi mozół i wysiłek streszcza się w jednym zdaniu: „Miałem początkowo wielkie trudności z moim polskim językiem, który bardzo zubożał i pełen był rusycyzmów” (s. 476). Jak przyćmiła się pamięć początkowych zmagania z językiem polskim, świadczy następane zdanie *Pamiętników*, jakoby trudności dały się usunąć przy pomocy gramatyki Małeckiego i książek polskich do czytania. W istocie wyglądało to zupełnie inaczej. Wystarczy przytoczyć jeden tylko cytat, który pamiętnikowy optymizm obali w zupełności:

„Ach ten język, co on mię kosztuje pracy, papieru i czasu, ale nie uwierzysz, z jakimi chorobliwymi przeszkodami walczyć muszę: czytasz po rosyjsku, mówisz po rosyjsku, słuchasz po jakucku, a myśleć musisz i pisać po polsku! Żadne gramatyki, teorie stylu itd. nie dadzą mu barwności i giętkości żywej istoty, jak żadne upewnienia, że to niehigienicznie, niezdrowo lub niedogodnie, nie nakarmią, nie uzdrowią nędzarza! Umysł mój zbyt młodo dostał się w te chorobliwe warunki. Nie zdołał się

² Sieroszewski został aresztowany w lipcu 1878 r. i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Po roku, w lipcu 1879, zesłany na Syberię. Po dwunastu latach, jesienią 1891 (czy 1892?) roku, wrócił do kraju.



Wacław Sieroszewski

on jeszcze w dostatecznej mierze ojczystymi dźwiękami napaść i dźwięki te obecnie w wyrażeniach chorują na niedokrwistość! Ojczyzny, Ojczyzny!... mi trzeba, aby nie gubić barw myśli w bezbarwnych wyrazach! – Więc chwieję się między gburowatością [sic!], miernotą lub napuszoną patetycznością obrazów; nigdy nie jestem pewny, nigdy zadowolony; tej boskiej klasycznej prostoty, gdzie każde słowo stoi na miejscu, gdzie ono żadnym innym zastąpione być nie może, nie posiadam zapewne już nigdy – wygnanie na wszystko nakłada swą chorobliwą mglistość” (list z 25 I 1891).

Sieroszewski przewidywał trafnie: nigdy nie został stylistą, język nawet najpóźniejszych jego utworów przesycony jest rusycyzmami, których nie był w stanie się wyzbyc. Łączył się z tym skomplikowany proces „słyszania atmosfery” towarzyszącej akcji powieści i wewnętrzne słyszenie własnego języka:

„Mój język, niegdyś dźwięczny i swobodny, utracił gibkość i barwność, «w długie tutejsze noce biegunowe odrętwiał, od silnych mrozów tutejszych zaniemiał» [...] Od tego szamotania się tak mię niekiedy głowa rozboli i tak mi się wszystko uprzykszy i tak stracę wiarę, że ze mnie będzie coś kiedykolwiek, że gotów jestem się rozplakać jak dziecko. *A propos*: czytam *Bez dogmatu* Sienkiewicza i zachwycam się, ale... w rosyjskim tłumaczeniu” (list z 12 XI 1890, podkr. autora).

Autor *Dwunastu lat w kraju Jakutów* uparł się pisać po polsku. I tylko uporem tłumaczy się niesłyszany jego wysiłek, by podolać trudnościom. Ponieważ języka rosyjskiego używać musiał i posługiwał się nim biegle, z czasem wyrobił sobie własny w nim styl i pisał w nim wiele. Jako uczony etnograf uznany został najpierw w Rosji³. Z czasem Sieroszewski zdobył się na pewną wyrozumiałość dla swej dwujęzyczności. Ale początkowo pisał do siostry, że straszne byłoby dla niego przeżycie, gdyby jakąś swą rzecz zobaczył najpierw w druku po rosyjsku. Byłby to dla niego jako Polaka policzek. Uderza fakt, że tak pisać mógł jedynie człowiek zaślepiiony w nacjonalizmie, a nadto spodziewający się rychłego powrotu do kraju. Całe jego życie na Syberii jest dla Polaki i Polaków. Jest to ofiara pracy i sił dla dalekiej, ale nie straconej ojczyzny. Sieroszewski nigdy się nie czuje obywatelem Syberii i cały długi w niej pobyt uważa za przemijający i czasowy⁴.

W listach z Syberii występuje Sieroszewski głównie jako prozaik. Trzeba jednak również wspomnieć o jego utworach wierszowanych, z których cztery próbki przesyła siostrze. Wiersze te, pozbawione pod względem literackim większej wartości, mają w sobie wysoki ładunek szlachetnych uczuć. Autor przywiązywał większą wagę do wiersza pt. *Pamięci Marii Bohuszewicz*, o czym mówi w *Pamiętnikach* (s. 477). Pisząc *Pamiętniki* nie wiedział o istnieniu autografu wiersza i miał go za stracony. Również nie wiedział o jego istnieniu wydawca *Pamiętników*, Andrzej Lam. Wiersze są ilustracją przekonań ideowych młodego Sieroszewskiego i świadczą o wczesnym zetknięciu się z prądami rewolucyjnymi jego czasów. W tych skromnych utworach, o których sam mówił, że mogą robić wrażenie „kawalków rozbitego posągu”, stresz-

³ Pierwszy artykuł *W co i jak wierzą Jakuci* ogłosił po rosyjsku w grudniu 1889 r.

⁴ Jakże inaczej przedstawia się ta sprawa np. u Conrada-Korzeniowskiego, który dobrowolnie ściągnął na siebie presję obcego środowiska. Ale też jego spojrzenie na człowieka jest głębsze niż u Sieroszewskiego i bardziej współczujące. Za to problem trudności posługiwania się własnym językiem w twórczości literackiej u Conrada i Sieroszewskiego jest niezawodnie bardzo podobny. Tylko że Conrad, pisarz z bożej łaski i w inny sposób walczący o swą niezależność narodowościową, wybrał język angielski, powodowany nieomylnym instynktem człowieka, który „tylko Polakiem” nie był. Warto dodać, że jako syn literata i wszechstronniej odczytany niż młody Sieroszewski, daleko lepiej od niego w tym samym wieku pisał po polsku. Jednakże język polski za tworzywo powieściowe służyć mu nie mógł. Tym bardziej więc wzrasta podziw nad heroizmem Sieroszewskiego w obstawaniu przy polszczyźnie. (Obszerniejsze porównanie z Conradem przewidziane jest gdzie indziej.)

czają się cierpienia młodego działacza polityczno-społecznego, który z trudem przemienił się w literata.

Lektura listów nieodparcie nastęrcza uwagę o bezkompromisowości przekonana Sieroszewskiego. Uderza śmiałość, z jaką nie zawaha się swej wiernej korespondentce postawić zarzut małoduszności i mieszczańskiej kompromisowości. Sieroszewski występuje jako przedstawiciel walczącego proletariatu („jam robotnik”), siostra zaś, według jego zdania, reprezentuje klasę posiadającą⁵. Częste między nimi listowne nieporozumienia łagodzone są tylko wielkim przywiązaniem i tęsknotą.

Wzruszająca jest miłość Sieroszewskiego do córeczki Marii, której zmarła matka była Tatarką⁶. Wyniosłe milczenie siostry w sprawach tego ojcostwa wydaje się krzywdzące. A jednak przekonanie pisarza o potrzebie tolerancji w związkach rodzinnych nie idzie w parze z tolerancją narodowościową. Polak, uparty Polak, który przede wszystkim Polaków chce zmusić, by go uznali w pisarskim rzemiośle, długo nie może zrozumieć, że niektóre wartości są jednakowe dla wszystkich ludzi, bez względu na narodowość.

Pozornie więc jednolita i z jednego kruszcu urobiona natura Sieroszewskiego zdradza liczne powikłania. Również i ton listów, mimo wielokrotnie akcentowany optymizm, jest w zasadzie pełen niepokoju i przygnębienia. Bohaterski nastrój autora, często powtarzającego: „jestem zdrow”, „przywykłem do cierpień”, „podoba mi się to życie półrolnika, półliterata”, „jestem zadowolony, szczęśliwy” — wydaje się nieraz pozą. Trudno uwierzyć, by miał być zdrow, gdy ponawiają się stale ataki reumatyzmu. Osłabia się również przekonanie o dobrym samopoczuciu psychicznym rolnika-literata na Syberii, który stale marzy o cichym kącie do pracy w Polsce. Była to na pewno natura „harda i rogata”, ale przy tym wszystkim również głęboko ludzka.

*

Rękopis listów w zasadzie jest dość przystępny w czytaniu. Kilka zaledwie miejsc, zwłaszcza gdy w grę wchodzi rusycyzmy typu *szeroki syntez*, nastęrcza więcej trudności. Inne rusycyzmy, np. *za wyjątkiem, ich* (zamiast *je*), należą do pospolitych błędów, trafiających się w mowie potocznej wielu Polaków nawet i dzisiaj. Oprócz rusycyzmów i innych zniekształceń (np. *przystosowawczy, wreście*) syberyjskie listy Sieroszewskiego mają jeszcze wiele błędów ortograficznych. Tej wady także nie udało się usunąć Sieroszewskiemu już nigdy. Z ustnej relacji syna pisarza, Władysława Sieroszewskiego, wiadomo, że „wieczną korektorką” autografów ojca była matka, Stefania z Mianowskich. Przedtem rolę tę spełniała siostra pisarza, Paulina. W druku listów błędy ortograficzne zostały usunięte, a pisownia zmodernizowana. Podobnie interpunkcja, wiele zostawiająca do życzenia w rękopisie, została uporządkowana i ujednolicona. Interpunkcja rękopisu jest po prostu plagą przy czytaniu autografu. Również permanentny brak akapitów jest utrudzający.

⁵ Radykalność postawy młodego Sieroszewskiego uwydatnia nawet taki szczegół, jak pisownia wyrazu *Bóg* przez małe *b*, co dla charakterystyki tego okresu zachowano w listach.

⁶ Jakucka żona Sieroszewskiego, Anna, poznana w 1880 r. w czasie zesłania w Wierchojańsku. Była siostrą żony osiadłego tam wygnańca 1863 r., Jana Zaborowskiego. Jej znajomości i związki rodzinne wśród Jakutów ułatwiały Sieroszewskiemu codzienne bytowanie. Zmarła w 1886 r. na gruźlicę zostawiwszy kilkuletnią córkę. Sieroszewski opiekował się dzieckiem troskliwie i myślał o zabraniu dziewczynki z sobą do kraju. Losy jej nie są dokładnie znane. W papierach po ojcu zachowały się 24 listy jej z lat 1929–1933. Mieszkała wtedy w Moskwie, była nauczycielką. W *Pamiętnikach* Sieroszewskiego znajdujemy refleksję, że córce byłoby lepiej, gdyby nie wyrwał jej ze środowiska matki, w którym była pierwsza między pierwszymi (*Pamiętniki*, s. 278, 294–295, 429–447 oraz rkps BN sygn. akc. 7310, t. 5).

Jednak mimo tych trudności listy czyta się z prawdziwym zainteresowaniem. Chropawy język wygnańca ma swój własny styl. Daje się on odczuć od razu, gdy literackie próby są w powijkach. Znać, że pisarz ma wiele do powiedzenia. Łatwiej mu zawsze o treść niż o snyderstwo literackie. Pisze powieści gorączkowo, używając skrótów niemal stenograficznych, zapisuje swe myśli szybko i sprawnie. Kłopoty zaczynają się tam, gdzie zaczyna się powolna obróbka niewdzięcznego, zaniedbanego języka. Swą nieudolność językową wspiera Sieroszewski wspaniałym znanstwem etnografii. W momencie gdy musiał zrezygnować z drukowania swych prac czysto etnograficznych po polsku, wziął je za podłoże do swych powieści. Wpływ jest zresztą wzajemny: dalsze prace etnograficzne nie ograniczają się do samego opisu zjawisk, lecz łączą się z ich obszerniejszą syntezą. Sieroszewski sam o tym pisze następująco:

„Praca, postaram się, aby miała nie tylko specjalnie etnograficzny interes, lecz i szersze zatrącała kwestie. Czy to umiem robić, przekonasz się z *Na kresach lasów*, gdzie osnowa wyłącznie etnograficzna, a przecie wróżą mi moi czytelnicy i krytycy wielkie powodzenie. W zamierzonym studium etnograficznym chciałbym, opisując formy rodzinnych i weselnych zwyczajów jakuckich oraz ich estetyczne wymagania jakuckiej miłości, rozszerzyć cokolwiek te ramki” (list z 28 II 1891).

W rezultacie listy Sieroszewskiego z Syberii, będące jednocześnie pewną ilustracją jego literackich uzdolnień, są lekturą zajmującą, a w pewnej mierze rewelacyjną. Nieporadności stylowe kompensuje szczerość i bezpośredniość wyrazu, zapał i energia piszącego, a przekonanie o celowości własnego postępowania, w czymkolwiek się ono przejawia, udziela się czytającemu.

Nie tu miejsce na kwalifikowanie stopnia osiągnięć pisarskich Sieroszewskiego. We wczesnym okresie jego twórczości ujmuje dążenie do polskości, wyrażające się w pielęgnacji i uprawianiu języka, który w obcym etnicznie środowisku, zniekształcany i stąd czasem nieporadny — przetrwał przecież żywy.

Barbara Kocówna

LISTY

1

Якутская область, Намский Улус,
17 kwiet. 1888 r.

Droga siostró!

Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu otrzymałem wreszcie parę dni temu paczkę z książkami, które, jakiem ci był donosił, miałem już za stracone; paczka zawierała (a raczej dwie paczki) Schillera, Rostafińskiego (*Botanika*), Szymańskiego (*Szkice*), Lombroso (*Geniusz i obłąkanie*), Ribota (*Choroby osobowości*) i kilkanaście N°N° „Głosu”¹ — jednym słowem wszystko, co według przesłanego mi uprzednio spisu zawierać one były winne. Zostaw więc w spokoju zarząd pocztowy.

¹ Prawdopodobnie: F. Schiller, *Dzieła poetyczne i dramatyczne*, t. 1–2, Lipsk 1885; J. Rostafiński, *Botanika szkolna dla klas niższych z dodatkiem bezpłatnym zawierającym klucze do oznaczenia pospolitych roślin*, Kraków 1886; A. Szymański, *Szkice*, Petersburg 1887; C. Lombroso, *Geniusz i obłąkanie w związku z medycyną sądową, krytyką i historią*, Warszawa 1887; T. Ribot, *Choroby osobowości*, Warszawa 1885.

Już to trzeci list piszę do ciebie w tym tygodniu, lecz ponieważ odsyłać ich nie mam możliwości natychmiast (koń mi zdechł, więc bardziej niż kiedykolwiek zależny jestem od wszelkich okazji), a usposobienie moje na nieszczęście co dnia okazuje się innym, drę więc to dziś, com napisał wczoraj. Dziś jestem w usposobieniu apatycznym, list mój więc będzie najkrótszym; boli mię w dodatku noga, znów przeklęty nawiedził mię reumatyzm.

Przeczytałem *Szkice* Szymańskiego i wielkie na mnie, wyznaję, wywarły wrażenie; zaiste, mają one w sobie coś pokrewnego z *Piekiem* Danta, a na ile prawdziwe są typy i psychologiczne momenty opisywane przezeń, o tym my, wygnańcy, myślę, sądzić mogę najlepiej. Szczególniej podobał mi się *Srul* i *Kowalski*, równie śliczną też jest ostatnia scena w *Przevoźniku*.

Ja nic podobnego nie napiszę nigdy; a zresztą i pisać nie spróbuję pewnie, gdyż mam wstręt pisać o tym, o czym już inni pisali; zawsze zdaje mi się, że to zamaskowany plagiat; a kilka typów wyprowadzonych przez S. ja właśnie też zamierzałem był opisać — trzeba więc znów uważać i kupić materiały dla jeszcze bardziej szerokiego syntezu². Otrzymałem od ciebie razem z tymi książkami kalendarzyk na r. 1888 i wiersze M. Konopnickiej³; odwdzięczając się posyłam ci też wiersze, które miałem wczoraj ułożyć, a które jedynie nie miałem siły zniszczyć wraz z wczorajszym listem, a szkoda, gdyż one najlepszym są dowodem, jak trudno mi owoładnąć formą; robią one na ciebie pewnie wrażenie kawałków zdruzgotanego posągu. Oto one⁴:

Na wyżynach

Znikła nizina! Płynące u stóp mych obłoki
Siwą, runiastą falą zakryły jej lice
I już tylko gór wierchy nagimi opoki
Czernieją jako łądu ostatnie strażnice.

² Ros. *szeroziej sintiez*. Forma „szerokiego syntezu” jest połączeniem polskiego przymiotnika z rosyjskim rzeczownikiem; przy tym warto zauważyć, że polski przymiotnik uległ „zruszczeniu” przybierając rodzaj męski rzeczownika rosyjskiego.

³ Nie był to tomik poezji, o czym świadczy *postscriptum*.

⁴ Sieroszewski pisywał wiersze [do „Głosu Więźnia”, tajnej gazety więziennej, której trzy numery ukazały się w 1879 r. w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Należał on do najzarliwszych współpracowników tej gazety; oprócz wierszy napisał nowelę wyśmiewającą żandarmów, za co został skazany na kilka tygodni „białego karceru”. Pierwszy jego utwór literacki, wiersz *Czego chcą oni*, zdobył popularność wśród robotników i inteligencji radykalnej („Głos Więźnia” kolportowano również na zewnątrz). Wiersz deklamowano na tajnych zebraniach, wszedł także do śpiewników (Sieroszewski, *Pamiętniki*, Warszawa 1959, s. 188–190, 495).

Jam nie widział przepaści, dążąc zapatrzony
 Na te wyżyny w obszarach przestworza,
 Gdzie rodzą się dla nizin lawiny i burze,
 Dokąd najpierw zalata dni następnych zorza
 I gdzie ostatnie zgasną zapewne jej róże.
 Wreściem stanął i spojrział z dumą w samo słońce,
 A było tu nas dwoje jednym błękitem okrytych:
 Ono — pyszne a zimne, choć jasno płonące,
 I ja — drżący od ognia pragnień niespożytych...

.

Chwilę patrzył, jak orły latały pode mną,
 Chwilę próbował stłumić krwi burzliwej wrzenie,
 Wreściem odszukał w dole ziemię mglistą, ciemną...

.

Bryło, ulana z błota, piasku i kamieni,
 Nasiąknięta krwią ludzi, ich łzami i potem,
 Ty mi ciężysz, gdy ducha śmiałego polotem
 Chciałbym właśnie szybować wolny wśród przestrzeni...

.

Silę się stargać więzy, lecz one oplotły
 Mi serce, wraz z nim tylko oderwać je mogę;
 Bólem mię serca one ku tobie przygniotły
 I zmuszają odbywać wspólną z tobą drogę...

.

Ze wszystkich ziem najbardziej nieszczęśliwa ziemia,
 Jam syn twój nieodrodny, twoja kość od kości!
 Tyś źródło moich smutków i moich radości
 I każdy na twym ciele wrzód i każda rana
 To jakby mnie samemu została zadana...

.

Jam sługa twój!... Nie! Jam więcej!...
 Jam ten, co dla ciebie własną ukochał niewolę,
 Wrócę do was i jak wy niewolnikiem będę,
 Znow na członki żelaza nałożyć pozwolę
 I oplwany wśród synów twych, ziemia, osiędę...
 Ale z tych wyżyn światłych choć promyczek mały
 Porwę i oddam tobie, o ludu zboląły!!

Wacław Sieroszewski

A wyślij mi, jeżeli to niedrogo kosztuje, tomik poezji M. Konopnickiej.

Якутская Область, Намский Улус,
3 czerwca 1888 roku

Kochana siostró!

Zasiałem i zabronowałem 8 morgów zboża, które już obecnie wzeszło i zieleni się; połowę tej pracy zrobiłem sam przy pomocy Leonarda Frenkiela⁵, który czasowo zamieszkał u mnie; dotychczas jeszcze czuję się sennym i zmęczonym wskutek tego naprężenia, jakiego wymagała ta pospieszna i nie cierpiąca zwłoki praca, gdyż ziarno trzeba tu koniecznie rzucać w wilgotną ziemię, inaczej wskutek braku wilgoci ono zasycha i nie wschodzi. Deszcze tu latem są bardzo rzadkie; ten jednak rok zapowiada się dobrze; już razy dwa wypadł porządny deszcz, a więc, jeżeli nie będzie wczesnych mrozów, urodzaj zapewniony. Niebo znów chmurzy się i dał gwałtowny wiatr z południa, a to są oznaki znów zbliżającego [się] dżdżu. Ciesz się więc, siostró, gdyż jeżeli będzie urodzaj, ja wydobędę się nareście z kłopotów pieniężnych.

Rozumie się, iż praca koło roli nie pozwala mi zajmować się literaturą; czytam Rostafińskiego, a piszę wyłącznie notatki meteorologiczne. *A conto!* Co się tam dzieje z moimi *Podróżami*?⁶ Piszesz, że masz z nimi kłopot, ale jaki, nie wymieniasz, mniemam więc, iż nie chcą ich drukować. Jeżeli tak, połóż je na półkę i niech leżą; słownik jakucki etnograficzny wydaję po angielsku, a wtedy może nareście będą mię czytać łaskawi ziomkowie⁷. Rzecz taka, jak podróże, może czekać, tu życie płynie i zmienia się tak powoli, iż jeżeli one wyjdą nawet za lat parę, to i to będą dość świeże. Inaczej rzeczy stoją z beletrystyką. Kilka typów i wiele myśli, które sam zamierzałem wypowiedzieć i zarysować, znalazłem cudownie odmalowanych w *Szkicach* Szymańskiego; musiałem ich więc wykreślić z mojego notesu. Nie wiem, co to takiego Szymański opowiedział wam o mojej teczce: jest tam kilka drobiazgów takich małych, że wolno ich drukować już tylko „wielkościom” literackim, oraz rękopism powieści z życia polskich rewolucjonistów (był, ale go już nie ma, gdyż

⁵ Leonard Frenkiel, pochodzenia żydowskiego, socjalista, zasymilowany z tradycjami polskimi (stryj powstaniec 1863 r.). Należał do procesu Bohuszewiczówny. Zesłany do jakuckiej oblasti, mieszkał w 1888 r. kilka miesięcy u Sierszewskiego, nim go zesłano dalej, do Wierchojańska. Sierszewski wspomina, że rozmowy z Frenklem podziały na jego twórczość (m. in. wiersz na cześć Bohuszewiczówny powstał pod wpływem tych rozmów) i były początkiem ich wzajemnej przyjaźni (*Pamiętniki*, s. 466—467, 495—496).

⁶ *Podróże*, mimo olbrzymiego wkładu pracy, nie miały powodzenia. Marzeniem Sierszewskiego było umieścić je w „Wędrowcu”. Jak wiadomo z listu z dn. 6 IX 1888, zostały oddane do „Tygodnika Ilustrowanego”, zresztą bez skutku. W marcu 1890 r. nowa wzmianka w liście, że oddano je do „Kraju”, ale i tam nie zostały ogłoszone.

⁷ Nigdy nie wykonany zamiar.

skończywszy i przeczytawszy kolegom spaliłem go niezadowolony obróbeniem). Nie mam więc obecnie nic gotowego, a tylko kilka rozpoczętych prac; brak czasu i potrzeba pracować na chleb nie pozwala mi pisać dużo i odciąga moje siły w inną stronę; mówię ci, iż całe lato chodzę senny i rozbity jak nasz chłop: w głowie pustki i list nawet skłecić mi jako tako trudno.

9 czerwca

Dziś tylko kończę list. Przerwała go kilkodniowa choroba (prawa ręka napuchła mi i oniemiała — reumatyzm) i pilna robota. Zbliża się pora orki i czasu nie ma ani chwili. Zsiewy wzeszły i obiecują urodzaj. Nawiasem zauważę, iż gospodarstwo krępuje mię; zdarzyła się np. sposobność zwiedzić ujście Ałdanu⁸, rzeki nadzwyczaj ciekawej i mało zbadanej, a z geograficznego punktu bardzo ważnej, a ja jechać nie mogłem, zatrzymany przez gospodarstwo. Toż samo tyczy się literatury; w lecie nic nie czytam i za wyjątkiem listów do ciebie nic nie piszę; a jaka masa myśli i obrazów snuje się po głowie! Cóż robić, aby żyć choć cokolwiek znośnie, trzeba tu do 12 rub. rządowych miesięcznie dodać drugie tyle, a wziąć ich można wyłącznie z roli; w dodatku ten rodzaj pracy namiętnie polubiłem i jedną z największych przyjemności dla mnie jest to chodzić na pola i patrzeć, jak co dzień wyżej i wyżej wyrastają zboża.

Frenkiel (Leonard), o którym ci już pisałem, że czasowo, przejeżdżając do Kołymska⁹, zatrzymał się u mnie, pomaga mi w pracy; dzielny to chłopak i polubiłem go bardzo. Powiedz jego ojcu i kuzynce, żeby go pewnie nie poznali, taki zeń zrobił się ogorzały i tęgi parobczak, tylko zawsze trochę po pańsku wygląda, gdyż i bronuje, i siano wozi mając pincenez na nosie, a stojący kołnierzyk podwiązany jedwabnym krawacikiem. Bardzo będę żałował, jeżeli zabiorą go mi do Kołymska, a i on też pewnie nie będzie z tego kontent.

Kłaniaj się znajomym, siostry uściskaj. Dokąd to pojedziesz na wakacje? A odpisz mi też, siostrze, co odpowie na moje obwinienie w poprzednim liście M(...) ¹⁰. Kłaniaj się Kurellom¹¹, Mici (siostrze naszej). Co

⁸ Ujście Ałdanu do Leny znajduje się powyżej Jakucka, ok. 65° szerokości północnej.

⁹ Sieroszewski odbył podróż z Wierchojańska do Kołymska, skazany wiosną 1883 r. na pobyt za kołem biegunowym po próbie ucieczki łodzią z brzegiem rzeki Jany do Oceanu Lodowatego. Wskutek usilnych starań siostry Pauliny kara została złagodzona i Sieroszewski otrzymał pozwolenie na pobyt w jakuckiej oblasti (*Pamiętniki*, s. 311—384, 430).

¹⁰ Wyraz nieczytelny. Prawdopodobnie imię kolegi, o którym była mowa w nie zachowanym liście.

¹¹ Rodzina Kurellów zamieszkała we wsi Klębów (pow. radzyński) w sąsiedztwie rodzinnej Wólki Kozłowskiej Sieroszewskich. Było tam czworo dzieci (Emilia, Józef, Stanisław i Rajmund). Sieroszewski przyjaźnił się najwięcej z Józefem. W domu

porabia Maria (nasza siostra), Leonia stryjenka. Adam¹² pisał niedawno i bardzo niewesołe rzeczy. Sam jestem zdrow i rzeźwy.

Twój brat

Wacław

3

Якутская Область, Намский Улус,
6 września 1888 rok[u]

Kochana Polo!

Żniwa kończą się; pozostało już tylko kilka prętów żyta nie zżętych i paręset nie zwiezionych z pola snopów pszenicy — korzystam więc z niepogody i małej niedyspozycji, która nie wypuszcza mię z domu, i uiszczam się z długu, jakim zaciągnął względem ciebie nie pisząc prawie dwa miesiący; ale powinnaś, siostrzyczko, przywyknąć, iż w lecie staję się mniej regularnym korespondentem, a to z tego prostego powodu, iż mniej mam czasu. W tym roku my, rolnicy, skarżyć się na urodzaj nie możemy: ja spodziewam się zapłacić długi i zostać zupełnie niezależnym na przyszłość (rozumie się materialnie), gdyż zboża zebrałem przeszło 200 pudów.

Zbliża się jesień, a wraz z nią i książki, i papier, i ołówek wracają do swych praw; będę kończył rozpoczęte i rozpocznę kilka nowych prac, nie wyślę jednak nic, nauczony doświadczeniem, iż lepiej, aby „poleżało”, niż aby „nie dojrzało”. Z naukowych prac zajmuje mię bardzo opisanie kotliny Jany, Kołomy, Indigirki¹³, materiały dla którego jużem zebrał, ale napisałem zaledwie parę stronic tekstu.

Dlaczego oddałaś do „Tygod. Ilustr.”¹⁴ moje *Podróże*, jeżeli ganisz ten dziennik? Nikt z ludzi serio nie zagląda pewno do tego dziennika i moje opisy, a szczególnie rysunki, które kosztowały mię tyle trudów (często

Kurellów wychowywał się i uczył około roku, podczas choroby matki. Z młodymi Kurellami spotykał się często, w czasie każdych ferii, a także w Warszawie, gdzie uczęszczali do szkół. Kilka razy udzielali mu pomocy, o czym z wdzięcznością wspomina w *Pamiętnikach* (s. 22–23, 112–113). Ta rodzina Kurellów była w bliskich stosunkach z inną, liczniejszą jeszcze, mieszkającą również w powiecie radzymskim.

¹² Stryjeczny brat Wacława, Adam Sieroszewski, Adam z „Proletariatu”, zesłaniec przebywający na Sachalinie. Czas jakiś odsiedział w katordze, w słynnym centralnym więzieniu orłowskim, w samotnej celi, na wyłącznie więziennym wikcie i w więziennym ubraniu, pozbawiony wszelkich kontaktów ze światem. Najbliższe rodzeństwo Wacława składało się z pięciu siostr: Pauliny, Leonii, Anny, Marii i Walerii (chorej na oczy, wzmianka o niej w liście z dn. 14 I 1889).

¹³ O rzekach tych pisze Sieroszewski w czasie podróży do Kołomska, zob. przypis 9.

¹⁴ „Tygodnik Ilustrowany”, Warszawa 1881–1900. Red. Józef Wolff. Wyd. Gebethner i Wolff. Sieroszewski nazywa pismo „dziennikiem”, zgodnie z tradycją polskiej leksyki historycznej (w Wilnie wychodził „Dziennik Wileński”, a był miesięcznikiem).

trzeba je było rysować na wietrze, pod ukąszeniami niezliczonych komarów, wśród błot lub siedząc na siodle), przypadną. Już bym wołał widzieć je w „Wędrowcu”¹⁵. Mówisz, że on nie płaci nic. Może za pierwszą pracę i nic by nie dali, ale później by cokolwiek zapłacili za drugą i trzecią, a praca moja umieszczona w tym bardziej odpowiednim organie literackim dałaby mi od razu pewne imię i przyniosłaby większy pożytek ludziom i krajowej literaturze. Ale nie ma co mówić o tym, co się stało. Jak ci podoba się następny wierszyk:

Pamięci Marii Bohuszewicz¹⁶

Jasna, szczerą, przejrzystą,
 Duszą niepokalana, postępkami czysta,
 Świetlana jak młodości dziewicze marzenie,
 Tyś skupiła w swym sercu wszystkie nasze cnoty,
 Jak kryształ, co rozsiane w powietrzu promienie
 Zbiera w punkt jeden, drobny, ale pałacy i złoty.
 Nie ma ciebie!... umarłaś!... Znikłaś i nie wrócisz!...
 Ty nasza przodowniczko, orlico ty nasza!...
 Już okrzykiem bojowym męstwa nie ocucisz,
 Wiodąc nas kruszyć pęta swobód pordzawione
 Na szranki, co tylekroć krwią naszą zroszone,
 A skąd z czasem wyleci dumny i swobodny
 Duch synów naszych w obszar już bardziej pogodny.
 Nie masz ciebie! Któż w walce, gdy ramię omdleje,
 W duszy naszej osłabłej, rozpaczą nękanej,
 Poranionej cierpieniem, śmiercią obłąkanej
 Znów wiary i nadziei nasiona posieje?!
 Któż nauczy przecierpieć w milczeniu, gdy czasza,
 Gorzkim jadem potwarzy po brzegi nalana,
 Zostanie nam z kolei przez bliźnich podana?...
 Wszak nie ma cię, już nie ma, kapłanko ty nasza!...
 O córo Kościuszkowska! Na ziemi wygnania

¹⁵ „Wędrowiec”, tygodnik wyd. w Warszawie od 1863 r. Od roku 1883 redakcję prowadził Artur Gruszecki.

¹⁶ Maria Stefania Bohuszewiczówna (1865—1887), działaczka „Proletariatu”, do którego wstąpiła w 1882 r. pracując początkowo w „Czerwonym Krzyżu” partii. Po czerwcowych aresztowaniach w 1884 r. weszła do Centralnego Komitetu „Proletariatu”, wykazując niezwykłą energię i zapał, poświęcając na ten cel wszystkie swoje pieniądze. Już we wrześniu 1885 r. została aresztowana, a w maju 1887 skazana na pobyt we Wschodnim Sybirze. Zmarła w drodze do Irkucka. — Do grupy Bohuszewiczówny należał m. in. Józef Potocki, pisujący kroniki tygodniowe w „Głosie” pod pseudonimem Marian Bohusz; Sieroszewski wspomina, że to na pamiątkę Bohuszewiczówny, w której się kochał (*Pamiętniki*, s. 495; *Polski słownik biograficzny*, t. 2, Kraków 1936, s. 234).

Rychło zwiędłaś owiana tęsknicy podmuchem;
 Zgrzyt rygli i brzęk kajdan zamiast pożegnania
 Rodziny i przyjaciół grały ci nad uchem,
 Gdy oczy mgliły śmiercią, gdy serce konało,
 To serce, co tak wiele i szczerze kochało.

Na jej cichej, nieznannej, maluczkiej mogile
 My, bracia, postawimy nagrobek wieczysty,
 Zburzym władców pałace, ich twierdze i turmy
 I z gruzów usypimy wzgórek opoczysty,
 Na którym umieścimy strzelistą kolumnę
 Ulaną z szczytków koron i bereł królewskich,
 I z resztek przywilei ziemskich i niebieskich,
 Szczyt misternie urobim ze srebra i złota,
 Mocą których bogacze ujarzmiali ludy,
 I z szat boga, orędownika fałszu i obłudy...
 I... aby więcej blasku miała ta robota,
 Omyjemy ją łzami cierpiących milionów,
 A na szczycie zatknijemy naszą postrzępioną,
 Poczerniałą wśród bitew chorągiew czerwoną¹⁷.

Kłaniaj się, Paulino, znajomym, uściskaj siostry, a sama bywaj mi zdrowa i dobrego ducha. Coś to i ty latem niezbyt szczodra na listy.

Wacław Sieroszewski

4

Якутская Область, Намский Улус,
 16 października 1888 roku

„Pisz prośbę!... W prośbie strzeż się zbytniej dumy”... Czytam, jeszcze raz czytam, oglądam podpis: „Paulina”!... Powtórnie przebiegam list i natrafiam na frazes: „Smutne są dzieje naszej rodziny — wstyd mi niejednokrotnie przyznać się do tego nazwiska...” Wierzę, czuję, iż ta ostatnia skarga tryska wprost z twego dumnego, szlachetnego serca, a ta pierwsza to jęk zbyt nabołałego ducha, to mimiczny odruch otaczającej cię atmosfery kompromisu.

Wybacz, Paulino, nie zobaczą ci, którzy mię męczą i znęcają się nade mną, a także nad tyloma innymi, między którymi znajduje się i mój brat,

¹⁷ Warto wspomnieć o dziejach pieśni *Czerwony sztandar*. Przywiózł ją z Paryża do Warszawy Józef Uziębło w 1878 r. Polscy zesłańcy z kolei przekazali ją rewolucjonistom rosyjskim. Początkowo rosyjski tekst *Czerwonego sztandaru* był żywcem przetłumaczony z języka polskiego (*Pamiętniki*, s. 214–215).

nie zobaczą oni mojej prośby, jak nie ujrzą swych własnych uszów. Wszystkie prośby, jakiem był pisał, opierały się nie na błaganii „o łaskę”, ale wymagały spełnienia przepisów prawa, bez względu czy ono dobre, czy złe, byle tylko „prawa”. A jednak nigdy prawie nie zostawały te żądania uwzględnione, nawet po ludzku wysłuchane, zazwyczaj otrzymywałem obelżywą odpowiedź, wyciskającą rumieniec wstydu, oburzenia i bezsilnego gniewu.

Był również raz wypadek w mym życiu, gdy powodowany różnorodnymi psychologicznymi pobudkami, opisywać ci których nie chcę, podałem prośbę i „o łaskę”. Wspomnienie o tym postępku po dziś dzień napenia mię niewymowną goryczą... a przecież było to dziesięć lat temu prawie, gdym był młody, bardzo młody... i w dodatku mógł oszukać swe sumienie dowodzeniem, że ten mój postępek jest koniecznym, aby zagładzić choć cokolwiek moją winę przed człowiekiem zaplątanym przeze mnie i wraz ze mną w przykrą a obcą mu awanturę¹⁸. Dziś rzecz się ma inaczej; dziś ja jestem człowiekiem dojrzałym z mniej lub więcej jasno wyrobionymi pojęciami; to, co było niegdyś dzieciństwem, brakiem wyrobienia i konsekwencji w charakterze, dziś byłoby hańbą. Dość, nie chcę i mówić o tym przedmiocie!

Chory dziś jestem, siostrzyczko, reumatyzm nie tylko hula mi po kościach, ale wlaź i do mięśni; nabawiłem się go na łąkach tego roku, kosząc siano; ciężko ciepło odzianemu kosić, bardzo ciężko, prawie niemożliwie, a znów wyłącznie tylko „koszula” źle broni od przeciągów i wiatrów, zrywających się i cichnących tu w lecie na łąkach i odkrytych miejscach co chwila. Dość, by choć drobna chmurka przyćmiła słońce, a nie wiadomo, skąd natychmiast uderza zimny, przenikliwy wiatr, i to gdy ciało oblewa się potem, a termometr tylko co wskazywał 30 kilka stopni ciepła. Mam więc znów biedę, lewa ręka (ot, dziś na przykład), to znów prawa lub noga na przemian robią się bezwładne i choć niezbyt bołą, męczą jednak moralnie, wisząc u ciała niby obce, sztucznie przymocowane członki. Ale wszystko to drobnostki; dobrobyt mój wzrasta, urodzaj tego roku da mi wiele wolnego czasu, pozwoli zapłacić długi i pozbyć się wielu innych związanych z niedostatkiem kłopotów.

Myszę, że niedługo niektóre z „robót” skończę i wysłę je, ale wątpię, żeby można drukować je w kraju¹⁹. Byłbym je skończył dawno, gdyby nie to, iż w ciągu pracy jakoś mimo woli przydałem im większe, niż zamierzałem, rozmiary: szkice przedzierzgly się w powiastki. *À propos*: szkic

¹⁸ Prośba o łaskę prawdopodobnie odnosi się do czasów więzienia w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej w 1879 roku.

¹⁹ Drukować w kraju nie było rzeczą łatwą, o czym mowa we wstępie do niniejszego wydania listów. Zob. też Sieroszewski, *Wspomnienia* współwydane z *Pamiętnikami*, rozdział pt. „U źródła twórczości”.

Szymańskiego *Dwie modlitwy* jest według mnie nieledwie najlepszym. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, iż ja w powiatce będącej obecnie „na warsztacie” też opisuję „ucznię na Boże Narodzenie”, jaką wyprawiają sobie wygnańcy, ale nie Polacy, ale inni, ci do ostatniej należącej kategorii, i między nimi dwóch jest Polaków: jeden stary powstaniec 64-go roku i drugi socjalista. Chocim ją był napisał (tę scenę) jeszcze wtedy, gdy szkicu Szymańskiego nie czytał, koloryt obu obrazów jest uderzająco podobny. Nie wiem, co z tym fantem robić: nie lubię powtarzać tego, co już inni powiedzieli, a wyrzucenie sceny bardzo by mi popsulo powiastkę.

Ciekawym, czyś otrzymała wiersze na śmierć Marii Bohuszewicz, którym ci był miesiąc temu wysłał.

Dziękuję ci bardzo za twą pamięć, Paulino. Wszystkie książki i posyłki, o których wzmiankujesz w listach, otrzymałem, ostatnia była z Leveleye i Spencerem²⁰. Wyślij mi, proszę cię, okulary, gdyż te, coś posłała w gutaperczowej oprawie, stały się niezdatnymi do użycia, a mianowicie oprawa potrzaskała się na kawałki. Służyły mi one tylko kilka tygodni. Są bardzo niepraktyczne, oprawa niemocna i poprawić się nie dająca, a szkła okrągłe nie zakrywają w dostatecznej mierze oka od światła i wiatru. Wyślij mi więc podługowate w żelaznej, prostej a mocnej oprawie.

Co tam porabiają siostry, krewni i znajomi? Kłaniaj się wszystkim, Klimcie²¹ uściskaj. Donieś mi, jak się ma twój reumatyzm; a o mnie niezbyt się troszcz, już ja przywykłem jakoś do moich cierpień i dziwię się nawet, gdy one zbyt mię długo nie odwiedzają. Tylko smutek mię napada coraz większy, gdyż przekonuję się, że moje marzenie o kawałku ziemi polskiej, którą bym własnymi uprawiał rękami, staje się — im dalej, tym bardziej — dla mnie niemożliwe. Po kilku jednak latach pobytu w Syberii nie będę już mógł ani orać, ani kosić, zdrowie do reszty poszarpię; pozostaje więc tylko pióro; a pióro... pióro... często napada mię zwątpienie w moje zdolności; brak wiedzy czuć się daje, a życia tak mało już pozostało. Przenosić się z namskiego ułusu dobrowolnie nie mam zamiaru; z przejazdem stracę to, com tu zaoszczędził, i znów zapadnę w nędzę.

Wacław

5

Namski Ułus, 28 grudnia 1888 roku

Droga siostró!

Piszesz mi, iż rok ten będzie dla ciebie ciężkim. I dla mnie on zapowiada się też niezbyt dobrze; długi płacić trzeba, a zboża po omlóceniu okazało się mniej, niż myślałem; jedyna moja nadzieja, że może ci zapłacą co-

²⁰ E. Laveleye (1822—1892), ekonomista belgijski. Sieroszewski mógł wtedy otrzymać *Zasady ekonomii politycznej* (Warszawa 1883) lub *Socjalizm współczesny* (Warszawa 1884); H. Spencer, *Dziela*, Warszawa 1888.

²¹ Klimcia, prawdopodobnie krewna, nie wymieniona w *Pamiętnikach*.

kolwiek nareście za powieść, którą pošlę ci w lipcu. Doprawdy prześladuje mię jakaś fatalność; ludzie przez ogół mniej ode mnie chwaleni zarabiają niezłe pieniądze piórem, a ja dotąd za swe pisanie nie otrzymałem ani grosza; prawda, tamci piszą po rosyjsku, ja zaś uparłem się pisać po polsku dla tych Polaków, co to są „małpą i papugą ludów”, dla tych samych, co to pochwalą tylko to, co za granicą się podoba, co czytają tylko to, co inni chwalą. Gdybym ja napisał me podróże po rosyjsku, dawno pewnie by mię już czytano i mógłbym uczyć się i pisać nie troszcząc [się] o byt materialny; ale ja uparłem się zmusić przede wszystkim uznać mię mych kochanych rodaków i nie ustąpię, choćbym z głodu umierał.

Mijają dni, mijają lata,
Wszystko się zmienia dokoła,
Tylko się we mnie dusza nie zmienia,
Dusza harda i rogata!

Parę miesięcy temu gubernator przejeżdżając po okolicy zawinął do mnie i obejrzawszy moje rysunki proponował je zabrać, by przesłać do Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego²², które za takie rzadkie i cenne rzeczy dobrze płaci, alem odmówił. Ty mówisz, że moich podróży drukować nie chcą, że znajdują je długimi; takie rzeczy mogą być tylko mało lub wielce ciekawe, nigdy zaś krótkie lub długie. Oddaj ich za darmo do „Wędrowca”, inaczej przetrzymasz zbyt długo i stracą one wszelką wartość; i tak już leżą u ciebie z górą dwa lata; książki, a szczególnie podróże, bynajmniej nie stają się lepszymi od starości, a żal mi mej pracy, aby zgniła marnie; kosztowała mię ona niemało zdrowia i kłopotu; zapalenia oczu dostałem ślepiąc nad rysunkami i niejedną noc spędziłem dręczony bólami reumatycznymi, nabytymi w opisanych tam przeze mnie włóczęgach. Nie chcą płacić, żalują mi małego kęska chleba, rzucić im darmo, siostrze, niech kochani moi rodacy nakarmią się za darmo mymi wnętrznościami; targując się o nie z nimi, zhańbiłbym pamięć tych wszystkich, którzy również daremnie tracili dla nich swe życie i krew.

Ciekawym, co to powiedzą o mojej powieści²³; Rosjanie chcą ją tłumaczyć jeszcze z rękopismu, by puścić w świat jednocześnie z polskim wydaniem; co by to był dla mnie, jako Polaka, za policzek, gdyby ona ukazała się pierwaj po rosyjsku, a później już w mym rodzinnym języku; a jednak obiecałem ją ze względów politycznych pozwolić tłumaczyć z rękopismu.

²² Główna siedziba Towarzystwa znajdowała się w Petersburgu.

²³ Była to powieść *Za kołem biegunowym*, ostatecznie poniechana i nigdy nie wykończona. Sieroszewski parokrotnie o niej wspomina w listach (22 IX i 24 XII 1889, 21 III 1890, 28 II 1891). Pracował nad nią dwa lata, powieść rozrastała się, miała być w trzech tomach, autor myślał, że skończy ją w 1892 r., w rezultacie słuch o niej zaginął.

Resztę pozostawię losowi. Jak to publiczność polska spotka me dzieci ukochane, bohaterów mej powieści: gorącą, namiętą, hardą naturę Ptaszyńskiego; chropawą postać Aleksandrowa, Moskala o sercu czułym, a grubych i szorstkich wyrazach; Samuela, sceptyka, poetę; nauczyciela Woronina; ponurego o żelaznej woli Borkowa; Jana, szewca-filozofa; Helenę, kobietę jasną i przejrzystą jak lza boga; i lubiącego kompromisy praktyka, „ziemca” Czerewina, i awanturnika „Mussia”, i innych, i innych, i wielu innych, a wszystkich równie mi drogich, wypieszczonych, wymarzonych w nocie bezsenne!...

O nocie polarne, gwiazdziste, iskrzące,
 O nocie wygnania, bezsenne, męczące!
 O dumy przeklęte! o dumy palące!
 O skargi bolesne, milczące!
 O nocie polarne, przejrzyste, świetlane,
 Pragnienia umarłe, uczucia nieznane!
 Czy z nowym wolności rozświtem
 I wy zakwitniecie w mym sercu zużytem?..
 O nocie polarne bez świtu, bez słońca,
 O chwilo niewoli nikczemna, hańbiąca!
 Tyś legła na duchu mym białym i czystym
 Stygmatem posępnym, wieczystym!..
 Bo dusza, jak dziewczę, raz jeden zgwałcona
 Nie zyska już nigdy dziewiczej pogody,
 Bo czystość krynicy zostanie zmacona
 Zdźbłem błota rzuconym do wody.
 Bo dusza otruta ogromem boleści
 Swych własnych, już cudzych w swym sercu nie mieści,
 A błoto, choć z czasem w krynicy opadnie,
 Lecz ślad jego zawsze zostanie gdzieś... na dnie!..

Wacław Sieroszewski

Nie potrzeba, myślę, prosić cię, byś uściskała ode mnie wszystkich znajomych i krewnych, którzy cenią moją pamięć o nich...

Wyślij mi, proszę cię bardzo a bardzo, słownik rosyjsko-polski i (odwrotnie) polsko-rosyjski, a także okulary.

Kochana siostro!

Prośby do Petersburga nie wyprawilem, za to zacząłem inne starania, w których ty mi musisz dopomóc. Przede wszystkim trzeba ci wiedzieć,

iż Departament Policji jeszcze w 1884 roku dał odpowiedź jakuckiemu gubernatorowi na pytanie jego, o ile stosuje się do mnie ogłoszony w 1883 roku manifest, że manifest ten może być zastosowany do mnie bez wszelkich ograniczeń; w manifestcie zaś powiedziano jest między innymi, że ci, do których on zastosowany, mają prawo przypisać się do gminy włościańskiej po 10-ciu latach pobytu swego w Syberii, gdzie zechcą, w całej imperii. Otóż w 1890 roku mija dziesięć lat mego wygnania i ja będę żądał, aby mi pozwolono przypisać się do którejkolwiek z gmin leżących w Polsce; otóż odnaleźć taką gminę włościańską lub mieszczańską, która zgodziłaby się dać mi „prihowor” gromadzki, że przyjmuje mię za swego członka, i poradzić się jurysty, jak to zrobić, aby było zupełnie prawnie, bez zarzutu i zgodnie z Manifestem 1883 roku — musisz ty, droga siostrzyczko.

Ja tymczasem będę robił tu starania i już je nawet rozpocząłem; a może się uda, wtedy zobaczymy się za rok, nie więcej; a trzeba ci wiedzieć, że jeden z mych towarzyszy w podobny sposób, uniknąwszy wszelkich starań opartych na łasce wyjątkowej, dostał się do kraju i mieszka już kilka miesięcy w Rosji, a właściwiej na Kaukazie, skąd był rodem i dokąd pojechał. Chcieli go stamtąd wyforować, ale ponieważ sprawę poprowadził zgodnie z formalnościami prawnymi, to go zostawili, oddawszy tylko pod nadzór policyjny. A może się uda, siostrzyczko! Tylko proszę cię, spytaj się tam jakiego prawnika, jak to zrobić i jakie potrzebne ci są ode mnie papiery i upoważnienia.

Co się tyczy mnie osobiście, to jestem zdrow, piszę, czytam, uczę się; zbożom jeszcze młócić nie skończył, a urodzaj mniejszym się okazał, niż myślałem. Warzywa i nasiona, któreś mi posłała, sadziłem, ale za wyjątkiem kapusty, gatunek której bardzo się tu wszystkim podobał (polska biała), wybór ich zrobiłaś kiepski. Posłałaś dużo rzodkiewki, pomidorów *etc.*, a takich rzeczy, jak rzepa i marchew, zapomniałaś; a tymczasem w moim gospodarstwie te ostatnie tylko mają wartość, a pierwszych nawet nie sadzę; schłopiałem i nie pojmuję smaku w pomidorach. Z kwiatów zaś posłałaś te, których nie lubię, a zapomniałaś róży, którą jedną warto tu sadzić i pielęgnować; wyślij mi również bzu, zwykłego, polskiego bzu, jeżeli posyłać co masz zamiar, choć proszę cię, nie rób żadnych wydatków zbyt wielkich i żadnej „garderoby” mi nie posyłać — bynajmniej ona mi niepotrzebna. Jesienią pošlę ci powieść, to ją nadrukujesz, a pieniądze wyślesz mi na drogę; teraz zaś nic bynajmniej nie jest mi potrzebne. Chcesz posłać mi którą z sióstr, by wydać je za męża, wybacz, ale podjąć się tego nie mogę. Co zaś do Walerki, to chętnie bym ją przyjął, gdyby moje położenie było inne, ale my, wygnańcy, żyjemy tu pod ciągłą groźbą; co chwila może stać się coś takiego, co nas odrzuci znów gdzieś za tysiące wiorst, a wte-

dy co na wpół ślepa Walerka z sobą zrobi, wśród obcych i tak daleko od kraju.

Bywaj mi zdrowa, ucałuj siostry, kłaniaj się znajomym.

Wacław

7

Якутская Область, Намский Улус,
18 maja 1889 roku

Kochana Paulino!

Mój list, ten obecny bezpośrednio poprzedzający²⁴, był cokolwiek za zwięzły, za krótki i niewyraźny i nabawił cię pewnie trwogi, ale pisałem go pod wrażeniem tak okropnego wypadku, że ten ton jego wybaczyć mi musisz. O wypadku nie donoszę ci nic, bo donosić o tym zabroniono; straciłbym więc tylko czas i marki na próżno i nikogo o niczym nie powiadomił, a ciebie nabawił niepokoju długą listu nieobecnością. Wracam więc do zwykłego sposobu pisania o tym, co choć nie tyle ciekawe i w porównaniu z tym, co tu się dzieje, jest pustym i błahym, ale jedynie jest dozwolonym.

Przede wszystkim odpowiem ci porządkiem na pytania, które mi stawiasz w liście od 30 stycznia.

Mówisz, że masz nadzieję wyrobić mi powrót do kraju, że nadzieja ta opiera się na oczekiwaniach z powodu zaręczyn następcy tronu manifeście, i pytasz, czy będę miał pieniądze na powrót; co do nadziei, nic powiedzieć nie mogę, co do pieniędzy, wyznać muszę, że mieć ich nie będę; urodzaj przeszłoroczny ledwie że załatał dziury i straty z dwóch przeszłych lat nieurodzajnych, a rok ten zapowiada się kiepsko, oto już minęła połowa maja, a ja nie odsiałem się; ciągle śniegi i zima są tego przeszkodą. Powieści też nie skończyłem, choć zostało niewiele, ale owa katastrofa, o której wyżej wspomniałem, tak wielki na mnie wpływ wywarła, że nic robić, nic pisać szczególnie długi czas nie mogłem; później rozpoczęły się roboty w polu i one trwać będą aż do września. Widzisz, jak wiele czasu zajmuje mi gospodarstwo; prawda, z bogaca ono moją wyobraźnię masą obserwacji, niedostępnych ludziom wyłącznie oddanym pracy książkowej, ale płodność moja wskutek braku czasu się zmniejsza; daje ono również kawał chleba swój własny, ale zmniejsza widoki na przyszłość, bo z bogacić się gospodarstwem; gdy sam siejesz i orzesz, tu nie można.

Dalej wyrażasz, siostrze, obawy, żeby mię co nie zatrzymało w Syberii, jak tylu innych, którzy już wracają od lat dwudziestu i wrócić nie mogą; oprócz braku pieniędzy nie wiem, co by mię tu zatrzymać mogło. Jeżeli ty masz na myśli moją małą córeczkę, to się mylisz: ja ją z sobą zabiorę

²⁴ Nie zachował się, podobnie jak inny, wspomniany w liście z 3 VI 1888 r.

i wychowam na człowieka, choć twarz ma Tatarki, swej matki. Ty mi wyrzucasz, iż ja ciebie nie znam, jakże mało, widzę, ty znasz mię, siostrze!

Jeżeli nie chcę jechać z jakuckiej obłasti do Minusińska²⁵, jak to mi radzisz, to nie z jakichkolwiek błahych powodów, a z bardzo ważnych: mianowicie ja przy tym przeprowadzeniu, które w każdym razie zmuszony będę okupić upokorzeniem, stracę wszystko, a nic nie zyskam; bo uczyć się i obserwować i tu mogę, i robię, a tam, prawda, miałbym bibliotekę, dość zresztą nędzną i dla mnie nieciekawą, ale za to pozbawiony bym był zupełnie chleba; jak trudno tu, na wygnaniu, nam, ograniczonym różnymi zastrzeżeniami ze strony rządu, o chleb — wy sobie i wystawić nie możecie, wy myślący o Syberii, że to złote dno! złote dno! Ale cóż z tego złota, gdy ręce związane, a zębami niewiele go urwiesz. Czy wiesz, że ja, aby sprzedać zboże i inne produkta rolnicze, muszę o to podawać prośbę do Gubernatora? Czy wiesz, że ja nawet do młyna leżącego w odległości pięćciu wiorst nie mam prawa jechać i że całe moje gospodarstwo wciąż wisi na włosku i zależy od dobrej woli, popytu i innych rzeczy pięknych, ale nie moich... rozumie się!... Długo o tym, siostrze, gadać, tak długo, że lepiej nie gadać! Kiedyś się może obaczemy, to ci wszystko opowiem... Dziś napiszę ci tylko, że na powrót do kraju wcześniej niż przez dwa lata ani myśleć mogę, ale wyrób mi, proszę cię, jeżeli możesz, prawo rozjazdu po Syberii, bo wtedy łatwiej zrzuć z siebie wszystkie te pęta, które nie pozwalają mi zarobić sobie pieniędzy na powrót. A wrócić do kraju z gołymi rękami i małym dzieckiem i siaść tobie na karku nie mam odwagi. Nie wrócę, aż wyrobię sobie imię w literaturze lub zarobię z tysiąc rubli w inny jakiś sposób, abym miał na pierwsze potrzeby.

Twój

Wacław Sieroszewski

Dlaczego nie piszesz do Adama? On się bardzo o to dąsa i ma rację. Jego adres: через Иркутск, Остров Сахалин, Александровский Пост, в Главное Управление Островом, для передачи политическому ссыльно-каторжному А. Серошевскому.

8

Намский Улус, 22 czerwca 1889 roku

Droga siostrze!

Dawno już nie pisałem do ciebie, a wina moja jest podwójna, bo ostatnie moje listy niosły wieści niespokojne i niepomyślne! Niewesoło, co taić, wszystko się rwie i maćci, a struny duszy naciągają niemożliwie, grożąc co chwila pęknięciem: przykrości ze strony rządu, przykrości ze strony

²⁵ Minusińsk, ok. 53° szerokości półn. i 90° długości wsch.

Jakutów i znikąd pociechy, znikąd poparcia: Chwilami czujesz się bezsilnym wobec tego otaczającego cię zewsząd morza nienawiści i prześladowania zrozumiałego dla ciebie, ale mimo to sprawiającego boleść. Ale dość.

Jestem zdrow i pracuję koło roli, obecnie zajęci jesteście orką. Mówię w liczbie mnogiej, bo właśnie z wiosną zamieszkał u mnie Korneli Bagrynowski z Wołynia²⁶, gospodarujemy więc razem. Praca w polu pochłania mój czas całkowicie i powieść moja porzucona czeka zimy. Dziś, gdy to piszę, gorąco straszne (+30° R) i miesiąc już nie padały deszcze. Zboże trzyma się jeszcze na dobrych ziemiach, ale na piaskach i sapach już się pali. Co będzie, nie wiem.

W ogóle rok ten jest rokiem prób i cierpień. Gdyby był rokiem ostatnim, ale coś słabą mam nadzieję, a i interesa moje materialne nie należą do świetnych. Nie wypuściłyby mnie nawet, gdybym otrzymał pozwolenie natychmiastowego powrotu. Jedyna nadzieja, że coś piórem zarobię, ale i to nadzieja słaba: nie, żebym nie mógł pisać, ale dlatego, że coś mi nie płacą za moje roboty. I tak się jakoś nie wie, nie wie, i nie dlatego, żeby nie było energii, wytrwałości i woli, a dlatego, że w warunkach, w jakich ja żyję, wieść się nie może i ja po dziesięciu latach prób przychodzę do przekonania, że wygnańcowi żadnym zajęciem, żadną pracą zajmować się nie warto (prócz pracy umysłowej).

Lecz takim zaszedł daleko, że urządzić się i żyć inaczej, niż żyję, nie mogę. Wprost nie pozwolą mi długi, obowiązki ojca, wręczcie przyzwyczajenia. Życie to mimo przykrości, jakich doświadczam od ludzi, życie półrolnika, półliterata, podoba się mi. Ma ono swój urok, który opowiedzieć i dać do zrozumienia innym dość trudno, ale który z łatwością pojmie ten, co w swym życiu choć raz sypnął garść zboża do roli.

No dość, siostró, na dziś, bo gorąco, głowa mię boli, a i spieszę się w pole. Całuję cię.

Twój
Wacław

²⁶ Korneli Bagrynowski z Wołynia, aresztowany w 19 roku życia. Za opór zbrojny skazany na ciężkie roboty. Sierszewski spotkał go w więzieniu irkuckim w 1880 r.; przyjaźnił się tam z prof. chemii Bohdanowiczem ze Lwowa, który umyślnie przybył do Rosji, aby uczyć ówczesnych terrorystów sztuki przygotowywania materiałów wybuchowych. Był to rewolucjonista jeszcze z 1863 r. Bohdanowicz rozbudził w Bagrynowskim i pogłębił patriotyzm. Na wygnaniu, po odbyciu czterech lat katorgi w Karze; mieszkał Bagrynowski z Sierszewskim. Próbuąc ucieczki został skazany do Wierchojańska. Po wielu latach, gdy Sierszewski wrócił już do Warszawy i gdy czynił starania o przeniesienie Bagrynowskiego do Irkucka, skąd łatwiej już było się wy dostać, ten, złamany prześladowaniem i osamotnieniem, zastrzelił się w Wierchojańsku w 1900 r. Sierszewski bardzo lubił tego koleżę, czemu daje kilkakrotnie wyraz w *Pamiętnikach* (s. 247, 431—437, 477, 505—518). Posłużył się jego nazwiskiem jako pseudonimem, wydając powieść *Ucieczka* (1904).

Якутская Область, Намский Улус,
22 września 1889 roku

Droga siostró!

Dawnom już był do ciebie nie pisał, ale przeszkody miałem takie, które mię, myślę, wytłumaczą. Rok ten był rokiem pracy ciężkiej, nieprzerwanej... Nigdy się tak nie narobił, jak tego lata, ledwie żeśmy skończyli kosić siano, a już zboże dojrzało i na gwałt prosiło sierpa, grożąc osypaniem się. Nie miałem więc ani chwili wytchnienia, a gdym wracał do domu niemożebnie zmęczony, nie chciało się nic robić, a tym bardziej myśleć i pisać. W dodatku rok ten był prócz tego rokiem smutku, rozpaczy i wielkich cierpień moralnych. Bałeś się więc budzić myśl uśpioną, by nie rozjątrzyć znów przyschłych cokolwiek ran i bólów. Zrozum mię, siostró, i wybac ten niepokój, jaki ci zapewne sprawiło długie nieotrzymanie listu. Teraz piszę, bom roboty polowe zakończył, bo podzielić się z tobą zapragnąłem choć częścią, choć podobizną mego wewnętrznego nastroju, gdyż o całkowitym wylaniu i marzyć niepodobna. Czasy zmieniły się: jutro smutne i niepewne, dziś bolesne. Łańcuch założony na szyi brzęczy wyraźniej niż kiedykolwiek. To piekło, które opisuje A. Szymański w swych *Szkicach*, jest inne, znacznie bardziej okropne i los pewnie uczynił mię jego śpiewakiem.

Po pracy w polu nastąpi praca umysłowa. Czekają mię nie dokończone roboty, nie doczytane książki. Z wielką wezmę się za nie rozkoszą. Próbowałem już pisać cokolwiek. Zacząłem nowelkę dla „Głosu”²⁷, ale dokoła wszystko dyszy dramatem i nowela urwała się na pierwszych stronicach. Nie czekaj ode mnie nic wkrótce, gdyż wysłać nic nie mogę. Jedyłą pociechą w obecnym położeniu jest przeprowadzenie do mnie dwóch towarzyszy Polaków: K. Bagrynowskiego z Wołynia (odbył sześć lat cięż-

²⁷ „Głos”, tygodnik literacko-społeczno-polityczny, Warszawa 1886–1900. Założył go wraz z Janem Ludwikiem Popławskim Józef K. Potocki (Marian Bohusz). J. L. Popławski, prawnik, jeden z najwybitniejszych myślicieli politycznych epoki. Za działalność patriotyczną w sprzysiężeniu Antoniego Szymańskiego został w 1878 r. zesłany na Syberię. Po trzech latach powrócił do Warszawy. Uwieczony ponownie już w 1894, po zwolnieniu przeniósł się następnie do Galicji. Popławski był jednym z twórców ideologii stronnictwa demokratyczno-narodowego. Przyszłość Polski opierał na ludzie wiejskim, był gorącym zwolennikiem niepodległości. — J. K. Potocki, jeden z najwybitniejszych i najszlachetniejszych publicystów swego czasu, za krzewienie uczuć patriotycznych prześladowany przez rząd rosyjski. Drukował podniosłe poezje o mocnym zacięciu satyrycznym oraz artykuły i studia społeczne. Tłumaczył pisarzy obcych, m. in. kilkutomowy wybór dzieł Spencera. O jego tajemniczym końcu życia pisze Joasia w swym dzienniku (*Ludzie bezdomni*) oraz L. Krzywicki w *Pamiętnikach*.

kich robót) i F. Cobela (tkacza z Tomaszowa)²⁸. Mieszkają o parę kroków ode mnie w małym domku, który wybudowaliśmy tego lata. Zbiory w tym roku niegorsze, ale ponieważ dokoła urodzaj ogromny, więc położenie moje nie będzie świetne. Bo w tej okolicy, co ja mieszkam, słońce wypaliło zboże i kłosa nie mają wagi. Wykręcim się jednak, myślę, jakkolwiek, gdyż życie razem znacznie mniej kosztuje.

Poezje Konopnickiej²⁹ otrzymałem i bardzo ci za nie dziękuję, choć autorka ta nie bardzo mi się podoba: zbyt wiele w jej wierszach „woni kwiatów, łez, promieni słonecznych” itd. Nam tego nie trzeba, a łez mniej niż czegokolwiek.

Co tam nowego w literaturze? Każda nowinka, którą posyłasz, jest chciwie połykaną i nie tylko przeze mnie. Co to za *Dewajtis*?³⁰ Wiele o nim mówią, czy to co warte? Ale wyznam, że ze wszystkich nowych książek, o których recenzje czytałem, najbardziej mię zaciekawia *Chłop Orzeszkowej*³¹. Czyby się wśród twoich znajomych nie znalazł kto, który by nam posyłał jaki miesięcznik polski, choć stary, po przeczytaniu? Brak jego bardzo się czuć daje, a pieniędzy na wypisanie nie ma. Poproś kogo z redakcji „Głosu”, ja obiecuję wysłać im za to jaką powiastkę. Dawno bym to zrobił, bo mam kilka obrazków „na palecie”, ale mój dawny romans *Za kołem biegunowym* pochłaniał dotychczas wszystkie me siły. Drukować go zaś w żadnym razie w „Głosie” nie będzie można.

Kiedyż to nareście ja wyrwę się z warunków nie pozwalających mi zajmować się wyłącznie literaturą! Sostro! Sostro! Jakie życie tu ciężkie

²⁸ F. C o b e l (lub Z o b e l), tkacz z Tomaszowa i Łodzi, przywieziony na wygnanie w roku 1888 lub 1889. Skazany administracyjnie na pięć lat. Mieszkał z Bagrynowskim w sąsiedztwie Sieroszewskiego. Razem z Frenklem i Wieniarskim tworzyli maleńką kolonię, w której rozmawiano wyłącznie po polsku. Na te „polskie rozmowy” przyjeżdżał również Aleksander Sipowicz, lekarz (rodem z Wileńszczyzny), mieszkający 15 km dalej na północ w naslegu (gminie) biutiumskim (czy też ödejskim?), podczas gdy Sieroszewski należał do naslegu chatynaryńskiego. U Sipowicza był główny ośrodek życia wygnańczego w namskim ułusie: w wyroku zsylnym politycznym zabraniano praktyki lekarskiej, ale wobec nieuctwa lekarzy rządowych na Syberii Sipowicz cieszył się specjalnymi względami. Pełno było u niego Rosjan wygnańców, z którymi się przyjaźnił. To ognisko życia przyciągało również inteligentnych krajowców, mówiących po rosyjsku. Polszczyzna „kolonii Sieroszewskiego” wzbudzała pewną irytację w wygnańcach Rosjanach, ale Sipowicz przyjeżdżał z przyjemnością, zwłaszcza gdy poróżnił się z przyjaciółmi Andrejewymi, u których często przemieszkiwał w Irkucku. Kolonia polska miała małą biblioteczkę polską, a ciągle rozmowy w tym języku spowodowały, że nawet sąsiedzi Jakuci zaczęli rozumieć Polaków. Nauczyła się też po polsku córeczka Sieroszewskiego, Maria (*Pamiętniki*, s. 459–497 i passim).

²⁹ M. K o n o p n i c k a, *Poezje*, Warszawa 1887.

³⁰ M. R o d z i e w i c z ó w n a, *Dewajtis*, Warszawa 1884.

³¹ Sieroszewski ma na myśli *Chama Orzeszkowej*, Warszawa 1889; w liście z dn. 19 XII 1890 tytuł użyty poprawnie.

i przykre!... Wy tam o tym wyobrażenia nie macie i sądzić nawet nie możecie, bo i opisać tego nie można w liście, nawet w całym szeregu listów... to trzeba odmalować w całym szeregu obrazów... Tęsknota do kraju, „żał za życiem utraconym marnie”, uczucie niemocy wobec siły, która cię dusi, pragnienie i niemożebność jakiejś celowej, rozumnej działalności i to wieczne uczucie niepokoju, podobne zapewne tylko do uczucia wędrownego ptaka, nie posiadającego własnego gniazda... i wiele, wiele innych rzeczy, które obległy cię zewsząd, i myśli o których zabić tylko można upartą fizyczną lub umysłową pracą. Szczęśliwi, godni zazdrości ci, co pracować mogą i którym pracować pozwalają... Dotychczas ja liczyłem się do tych szczęśliwców.

Twój
Wacław Sieroszewski

Ucałuj siostry, uściskaj znajomych.

Adam prosi, abyś doń napisała. Jego adres: Остров Сахалин, Александровский Пост, в Главное Управление Островом, для передачи политическому ссыльному-каторжному Адаму С.

10

Намский Улус, 1889 года 14 grudnia

Droga Paulino!

Twój list od 1 września, pełny słusznego może oburzenia, choć zupełnie „niesłusznie” ku mnie skierowanego, pełny niesprawiedliwych wyrzutów i podejrzeń graniczących z obelgami, sprawił mi taką boleść nieznośną, że pod jej wpływem długo nie mogłem do ciebie pisać. Chciałem odpowiedzieć na twe zarzuty punkt za punktem, ale myśl, że w ciągu pięcioletniej z górą korespondencji³² nie zdołaliśmy się poznać i zrozumieć, odwiecła mi od tego. Jestem przekonany, że listowne wyjaśnienia do niczego nie doprowadzą: my nawet wyrazów używamy w różnym znaczeniu i często to, co ty nazywasz szlachetnym, ja mniemam nie wartym być tego miana; to, co ty nazywasz wielkim, zdaje mi się powszednim i płaskim. Hart ducha, godność, męstwo — wszystkie te rzeczy ja zupełnie inaczej pojmuję. Dowodzą to twe rady i uwagi tu i owdzie rozrzucone po listach.

I tak być powinno: mimo to, iż jesteśmy bratem i siostrą, oddzielonymi od siebie paru tylko latami wieku, należymy do dwóch zupełnie różnych pokoleń. Ty jesteś wychowanką klasy uprzywilejowanej i masz wszelkie

³² Wzmianka o pięcioletniej korespondencji każe przypuszczać, że Sieroszewski pisał do siostry już w 1885 r. Jednakże listy z lat 1885–1887 nie zachowały się. Również nie wszystkie są z lat późniejszych. O dwóch nie zachowanych wyraźnie pisarz wspomina (przypisy 10 i 24, listy z lat 1888 i 1889).

jej instynktu i sympatię skraszoneli tylko rozumem i poczciwością. Jesteś istotą przede wszystkim bierną (w dziedzinie myśli), rozpołowioną, nieśmiałą. Jam inny, jam przede wszystkim robotnik, jeden z tych obdartusów i brudasów, których widzisz często, jak wracając z fabryk z manierkami u pasa idą środkiem ulicy, by uniknąć na chodnikach zetknięć z stojącym i bogatym tłumem przechodniów. A jednakże w swych zbrukanych piersiach ludzie ci niosą przyszłość ludzkości. Oto za com ja ich ukochał, oto dlatego nie mogę ja przyczynić się ani jednym świadomym czynem do ich ucisku.

Trzeba samemu być robotnikiem (nie robić z robotnikami, a być robotnikiem, co wielka różnica!), aby zrozumieć, jak wrażliwą jest masa ta na nacisk najmniejszy. Każdy rubel wyciśnięty na jej powierzchnię kosztuje masę łez i cierpień, i poniżenia, ukrytych w jej wnętrzu.

A ty z naiwnością małego dziecięcia gwarzysz mi coś o „zbogaceniu własną pracą”, o „uczciwych zupełnie ludziach”, o „pracy i oszczędności...” Co to wszystko znaczy? Pracować umiem i nigdy nie przestawał, myślę, że z tysięcy dziesiątki ledwie postawione w warunki, w jakich ja się na wygnaniu znalazłem, potrafiłyby uchronić się od nędzy i zdobyłyby sobie jeszcze czas na samokształcenie. Potrzeby moje były zawsze mniej niż skromne, czegoż i więc chcesz? Żebym był rabusiem?... Ależ to nigdy nie nastąpi... za żadne skarby, za żadne pieszczoty siostrzane czy też inne ja nigdy nie sprzedam mej duszy!...

Siostrzo, życiem swoim należysz do klasy, która mię przytuliła i którą ukochał, jesteś pracowniczką, ale pojęciami jesteś mieszczką do szpiku kości i jeżeli nie możesz pozbyć się poglądów zaszczepionych wychowaniem (a wiem ja, jak to uczynić trudno), to w każdym razie, siostrzo moja, proszę cię, wybaw mię od morałów poczerpniętych z takich lichych książeczek, jak np. Smilesa *O samopomocy*³³... nie wydawaj mi ich, proszę cię, na szczere złoto. A bo to szych i tandeta...

„Naucz się także rozumieć nareście krzyk bólu ust zatkniętych kneblem i pojmij, że ci, którym pozwalają mówić tylko o sobie, mogą myśleć o losie innych i czuć z tego powodu boleść i rozpacz”. I boleść tę, i rozpacz wyrażać w okrzykach... Ale dość...

Myślałem, że będę cię mógł ucieszyć w tym liście nowiną, żem powieść moją zakończył, bo ona zbliża się szybko ku końcowi. Nie otrzymasz jej jednak wcześniej jak na wiosnę, bo trzeba jeszcze wszystko wielokrotnie przejrzeć i przepisać, a tom wyszedł dość gruby (400 stron w ósemkę). Parę tygodni temu napisałem, przyciśnięty potrzebą, artykuł etnograficzny po rosyjsku. Ledwie nie płakał oddając te cenne i z taką trudnością zdobyte przeze mnie materiały. Artykuł wyszedł nadzwyczaj

³³ S. Smiles, *Pomoc własna*, Warszawa 1879.

ciekawym. Moi przyjaciele zachwycają się nim. Tytuł jego: *W co i jak wierzą Jakuci*.

Obecnie zajęty jestem do tego stopnia powieścią, że nie mogę ani czytać, ani uczyć się. Zboże omlóciłem, długi popłacę, ale wątpię, aby się co zostało, bo zboże bardzo w tym roku tanie. Zdrów jestem i zajęty wciąż jak zwykle.

Kłaniaj się moim przyjaciółom, siostry uściskaj. A sama bądź dobrej myśli i rzecz główna, nie lękaj się o mnie; nie słabam ja trzcinka, chwiejąca się od lada podmuchu, i jeżeli się kiedy i gnę cokolwiek, to już musi tu wyć burza, wśród której inni giną. Burzy swym narzekaniem nie zazęgnasz, a mnie nie zamykaj jedynego na świecie serca, przed którym się czasami poskarżę.

Wacław Sieroszewski

11

Якутская Область, Намский Улус
[24 XII 1889]

Droga Paulino!

Dni parę temu wysłałem ci list i teraz ot znowu piszę bez żadnej szczególnej potrzeby. Ale dziś przecie Wigilia i w dodatku ja mogę ci ofiarować „kolędę”: parę godzin temu dopisałem ostatnie wyrazy mojej pierwszej powieści. Tak, siostró, znów jestem swobodny, mogę marzyć i tworzyć, nie nakładając na siebie żadnej uzdy. W przeciągu dwóch lat, gdym pisał tę książkę (ma ona 100 z górą arkuszy pisanych), nosiłem cierpliwie tę uzdę, wiedząc z doświadczenia, że rzeczy dużych, wymagających głębokiego obmyślenia, nigdy nie stworzy fantazja, której wola i rozum nie będą umiały wziąć w karby. Nie dawałem więc wprost myśleć sobie o rzeczach innych, aby siły zmysłów nie rozstrzelały się i nie słabły... A jak nieraz chciało się pobujać, pomarzyć!... Teraz na tygodni kilka dam im zupełną swobodę, po czym znów zaprzęgnę do jarzma, bo czyhają na nie od dawna nowe potwory w kształcie nowel, powieści, opowiadań dawno obmyślanych i dawno szturmujących do mego serca. Na boga! Kiedyż będzie koniec tym rojeniom, których nie odpędzi już żadne „apage”. Czuję, że sprzedałem się szatanowi, czy tylko za dostateczną cenę?... to powie przyszłość.

Dziś jam zadowolony, dziś jam szczęśliwy!...

Droga siostró, jakże ty chcesz, abym ja miał na kilka groszy drożej sprzedawać ludziom pud mąki, jeżeli ja nie oszczędzę dla nich skarbów mego umysłu i uczuć... Być może, iż za to zostanę z czasem nędzarzem, lecz będzie to nędza Hioba. Ty mi często piszesz takie listy, że mię śmiech pusty ogarnia i boleść zarazem: bo jakże daleką jesteś ty dla mnie, a jednak najbliższa. Ciekawy jestem, gdy zejdziemy się nareście „pierz z pierścią, dłoń z dłonią”, kto weźmie z nas górę nad kim. O, już czuję, siostruniu, że za-

pędzisz mię pod pantofel we wszystkim prócz — przekonają... Bo to przecie o mnie towarzysze mówią:

...Mijają dnie, mijają lata,
Wszystko się zmienia dokoła,
Tylko się w tobie dusza nie zmienia,
Dusza harda i rogata.

I tak człowiek twardy jak stal według innych, dla własnej siostry jest słabą i pozbawioną hartu istotą... Tak jest i tak być powinno. Bo ciosy przecie zadają rany i któż je opatrzy, jeżeli nie ty, siostrze?... Dlaczego więc niekiedy tak boleśnie je jątrzysz?

Całuję cię serdecznie i życzę wesołych świąt.

Twój
Wacław Sieroszewski

Znajomym kłaniaj się i złóż wszelkiego rodzaju przyjemnych życzeń tuziny i kopy. Siostry uściskaj. Maszyńscy³⁴ co porabiają? Kurellowie gdzie się obracają, Emilka czy wyszła za męża? Co porabia „stryj Józef” (tak zwałem zwykle starego Kurellę). Co inni? Pamiętam, że u państwa Józefów była wówczas maleńka niegdyś Janinka; czy ta Janinka teraz duża i czy zawsze tak lubi cukierki i śmiechy, jak wówczas?

Jak bardzo bym chciał się dziś z wami do wigilijnego stołu. Dlaczego, Paulino, ty nigdy nie zapytasz się mnie o moją córkę? a jednak, w razie nieszczęścia ze mną, jesteś jedyną istotą, do której ośmieliłbym się może zwrócić z prośbą o opiekę nad nią. Ty milczeniem swym odejmujesz mi do tego ochotę i prawo. Ona już duża, ma 8-my rok, i bardzo miluchna.

Wacław

12

Намский Улус, Якутская область
1890 roku, 7(18) marca

Kochana siostrze!

Dawno nie otrzymałem od ciebie żadnej wiadomości. Uwiadamiałaś mię w ostatnim liście, że jedziesz do Petersburga, kładę więc to na karb tej podróży. Sam ja również dość dawno nie pisałem. Byłem niezdrów: zima i naprężone zajęcia umysłowe wyczerpały mię. Dwa tygodnie silnie cierpiałem na bóle głowy. Nie mogłem ani pisać, ani czytać. Twoje bromatum nie pomagało zupełnie. Teraz wraz z wiosną i ciepłem znów wraca zdrowie. W ogóle zamiast przyzwyczajać się, z biegiem czasu coraz częściej od-

³⁴ Julian Maszyński, malarz, i Piotr Maszyński, znany muzyk, spotykani na przyjęciach i balikach u Kurellów w Warszawie (*Pamiętniki*, s. 141).

czuвам różnicę klimatu, w którym urodziłem się, od tego, w którym przebywam.

W tych dniach otrzymałem pierwsze moje honorarium literackie za artykuł etnograficzny (po rosyjsku). Suma nieduża, ale zawsze w moich majątkowych kłopotach jest to pewna pomoc. Moje *Podróże* odbierz od Piltza³⁵ i oddaj do „Wędrowca” za darmo, a to praca moja zmarnuje się zupełnie. Jużem cię dawno o to prosił, ale nie wiem, dlaczego nie robisz tego. Już i tak one straciły wiele na wartości. Zrób to, proszę cię: choć może „Wędrowca” darmo posyłać mi będą.

Porzuciłem ostatecznie moje prace etnograficzne po polsku, a kosztowało mnie to, wyznam, niemało, bo i polubiłem zaczęte już roboty, i myśl, że mam służyć tylko ku zabawie moich ziomeków, bolała mię. Teraz pracuję nad nowelą *Na kresach lasów*³⁶. Połowa już napisana i przepisana, ale z końcem idzie opornie, gdyż w trakcie tworzenia stał się tu straszny wypadek, który zmącił mi ducha i myśli tak silnie, że dotychczas ich wątku nawiązać nie mogę. Zabito w drodze nadzwyczaj wiele obiecującego, utalentowanego człowieka, mego przyjaciela wygnańca, Orłowa³⁷. Zabito dla butów i kozucha, gdyż był biedny i nic więcej nie miał, i nic więcej rabusie nie zabrali. Człowiek to był, który zawsze w sporach bronił tych właśnie nędzników, którzy go zapewne zabili, gdyż dotychczas mordercy nie odkryci i tylko przypuszczamy, że zrobiła to szajka „posieleńców” grasująca w okolicy. Rabusie ci krążą wieczorami koło miasta na saniach i napadają, na kogo się zdarzy. Coraz to słychać, że ten lub ów został obrabowany, a łotry uchodzą. Takie to u nas zwyczaje.

Robię starania o przypisanie do włościan jednej z tutejszych wiosek. Gdybym miał pieniądze, mógłbym przypisać się do której z wiosek Zachodniej Syberii, ale... tymczasem dobre i to. Przypisawszy się, podam prośbę do ministra o prawo powrotu do Rosji, gdyż już minęło „dziesięć lat mego przebywania w Syberii”, a więc termin określony manifestem. Gdybyś ty robiła w tym kierunku starania, toby może co i wyszło. Przede wszystkim ja będę pisał do generał-gubernatora Wschodniej Syberii o pozwolenie wyjazdu do Irkucka. Ty powiadasz, że masz w Irkucku znajomych: spróbuj przez nich co zrobić. Ja chcę się koniecznie wyrwać z tego zaklętego koła wygnańców, gdzie i praca, i uczucia wszelkie więdnąć muszą. W Irkucku ja będę mógł zarabiać piórem, wiesz zresztą, że jestem rzemieślnikiem, nie zginę, a tu wszystko na marne... na marne.

Znów ciężka praca całego roku dała w rezultacie zero; i to dobrze, że

³⁵ Erazm Piltz, redaktor petersburskiego „Kraju” (1882–1906).

³⁶ *Na kresach lasów*, ogłoszone drukiem, Petersburg (Kraków) 1894.

³⁷ Sieroszewski dowiedział się o Orłowie w irkuckim więzieniu w końcu 1879 lub na początku 1880 roku. Brał udział w daremnej ucieczce więźniów (*Pamiętniki*, s. 251).

nie minus. A jednak bóg świadkiem, że niesprawiedliwie ¹mię obwiniasz, jakobym pracować nie umiał lub był rozrzutny. Jeśli nic ona nie daje, to nie daje dlatego, że wyleźć z piekła, gdy się inni za ciebie czepiają, sił nie starczy, a otrząsnąć z siebie tych innych nie starczy często serca i odwagi.

Powieść nie zdążyłem przepisać, a nadchodzące lato nie pozwoli mi tego już w tym roku uczynić. Znow trzeba siać, orać, bronować, kłócić się z sąsiadami o potrawy itd. Wyślę ci ją, tylko na rok przyszedł.

Cóż więcej? Więcej nic! Dnie upływają monotennie w ciągłej pracy, ale praca idzie niesporo. Dlaczego? Bóg ją wie! Ochota jest... materiałów aż nazbyt... a pióro budzi wstręt i bierzesz go do ręki nie z miłością, a przez poczucie obowiązku.

Zmęczony jestem, zmęczony... Rok przeszły był okropny... rok obecny nie lepszy...

Twój
Wacław Sieroszewski

Uściskaj siostry, pokłoń się znajomym.

13

Намский Улус, 21 марта 1890 рок[u]

Kochana Paulino!

List ten będzie krótkim, gdyż człowiek, z którym on ma pójść do miasta, już przyjechał.

1(12) kwietnia 1890 r.

Nie zdążyłem wysłać, a raczej napisać listu w wyżej wymienionym terminie; jutro znow jeden ze znajomych jedzie do miasta, więc siadłem i piszę. Dokoła tu ludzie świętują pierwszy dzień Wielkiej Nocy, lecz równie jak w święta Bożego Narodzenia jestem i dziś samotny i smutny; ba, smutny jestem nawet bardziej niż wówczas.

Znow rok ubiegł (rok literacki dla mnie), a ja nic nie mam ostatecznie wykończonego w tece. Skończyłem wprawdzie powieść *Za kol[em] biegun[owym]*, ale ona nie przepisana. A brulionów moich za wyjątkiem mnie nikt decyfrować nie może, gdyż w chwilach gorączki twórczej piszę z szybkością i skróceniami prawie stenograficznymi. Przepisane tylko dwie części (pierwsze) i choć one stanowią zdatną do czytania całość, ale wypuścić jej nie chcę, gdyż może zrobić w niej pewne zmiany, gdy dwie następne części ostatecznie opracuję. ¹Dwa miesiące temu widząc, że powieści nie skończę w tym roku, powziąłem zamiar napisania krótkiej nowelki *Na kresach lasów*, ale nowelka mimo mej woli i chęci urosła na dużą dość powieść. Nie umiem ja widocznie dużej treści wcisnąć w małe rozmiary,

a bojąc się losu *Chajłaka*³⁸, który został zmiętym i poszarpanym, a więc i mało zrozumiałym, postanowiłem dać wodze myślom i wypowiedzieć, a raczej rozpatrzyć, w obrazach i typach opisywany przedmiot, o ile mogę, wszechstronnie.

Treść taka: Na tle półświadomego, zoologicznego życia podbiegunowych, „na kresach lasów” mieszkańców i bładych tamtejszych krajobrazów rozgrywa się samotny dramat człowieka wychowanego daleko na południu, który nigdy jeszcze dotychczas nie spojrział oko w oko surowej przyrodzie. Powieść nie rozwiązuje zagadnienia: jaki jest stosunek i miejsce człowieka w przyrodzie, a tylko zaznacza to namiętne, palące, prawie mistyczne pragnienie — rozwiązać to zagadnienie. Dlaczego nie rozwiązuje? A dlatego, że ja sam obecnie jestem w okresie tej tęsknoty za zadawalniającym jego rozwiązaniem i szukam go, szukam równie namiętnie, jak mój bohater, ale dotychczas nie znalazł.

Nie bój się, siostrzo: moja powiastka w żadnym razie nie będzie suchym traktatem filozoficznym, a tylko szeregiem obrazów przesiąkniętych jedną myślą i jednym uczuciem — myślą nigdzie jasno nie wypowiedzianą, ale właśnie może dlatego sprawiającą takie wrażenie na słuchaczach, przynajmniej tych, którym czytałem napisaną już połowę. Nie uwierzysz, jak pragnąłbym skończyć, powieść cała już przemyślana, przeczyta i tylko wylewać na papier, co przy przy pewnym, zdobytym już przeze mnie nawyknięciu nie jest mi tak, jak niegdyś, trudnym, ale... „czarne żebra skib na polach przeświecają już przez dziury poszarpanego przez wiosnę śniegu” — przez dwa tygodnie będę siał, a robót przygotowawczych nie obierzysz się. I wiesz co? z drugiej strony z utęsknieniem oczekuję tej pracy ciężkiej, wyczerpującej, która zabije choć na chwilę nieznośne cierpienia moralne.

Nie dodawaj, proszę cię, twoim, choć miłym, ale drażniącym gderaniem mi bólu, i tak mam go aż nadto! Jeżeli możesz, to postaraj się w Irkucku, aby mi wydano pozwolenie rozjazdu po Syberii. Ja będę się o to starał ze swej strony, obecnie robię już kroki wstępne: przypisuję się do włościan tobagińskiej wsi (pod Jakuckiem), na co otrzymałem pozwolenie z Departamentu Policji.

Kłaniaj się znajomym, siostry uściskaj.

Twój
Wacław Sieroszewski

Wyślij mi jaki podręcznik o chowie drobiu, szczególnie kur. Tu, w Syberii, przemysł ten jest w stanie bardzo pierwotnym, a zapotrzebowanie na jaja i kurczęta ogromne. Ja trzymam drób, ale dać sobie nie mogę rady bez wiadomości teoretycznych. Może dlatego będę miał szczęście.

³⁸ *Chajłak*, zob. przypis 45. W rękopisie wyraźnie: *Chajłak*, nie *Chajłach*.

Намский Улус, Якутская Область
24(5) maja 1890 roku

Dawnom do ciebie, Paulino, nie pisał. Nie było czasu. Siew i inne kłopoty gospodarcze pozbawiły mnie możliwości korzystać z zdarzających się okazji; zresztą wyznać trzeba, że i od ciebie nie otrzymałem listu z górą dwa miesiące; to mię cokolwiek niepokoi, czy nie jesteś czasem chorą. Toć to pora największej dla nauczycielek pracy, a ty nie znasz miary i nadużywasz swych sił. Byłem i ja niezdrów dość długo, przekłety reumatyzm gorączką, puchlizną i bólem skrępował mię jak powijakiem. Nie władałem połową ciała, jod nie pomaga, salol (twój) również, a salicylowy kwas, który jedynie mi służy, wyszedł. Do miasta zaś wiorst 100 z górą. Czas bezdrożny, siew na końcu nosa, a siać moi towarzysze nie umieją i muszą to robić sam. Położenie moje było rozpaczliwe. Jeżeli wierzyć w siłę woli, to tylko wielkim pragnieniem zdrowia pokonałem chorobę i na wpół uleczony ruszyłem w pole. Praca koło roli nie jest idyllą, nuży ona i wyczerpuje niezmiernie. Po siewie znów zapadłem i przechorowałem tydzień. Teraz jestem zdrów i zabieram się do orki.

Pisałem ci w poprzednim liście, że staram się o przypisanie do włościan. Jeżeli to nastąpi, to porzucę obecne miejsce pobytu i przeniosę się do wsi Ułachan, która jest zarazem stacją pocztową na irkucko-jakuckim trakcie i leży w 65 wiorstach na południe od Jakucka.

Artykuł mój etnograficzny zwrócono mi z Komitetu Statystycznego z pochwałą, ale... z odmową przyjęcia. Jest on według zdania Komitetu „za obszerny”. Poślę go do Irkucka do Geograficznego Cesarskiego Towarzystwa; jeden z tamtejszych uczonych parę lat temu pisał mi, abym mu wysłał jaką moją pracę, a on bierze się ją przeczytać na sesji. Dziwny los mię spotyka we wszystkim. Wciąż zawody i straty czasu, pracy, lat... Kiedy to się skończy, kiedy uśmiechnie mi się spokój, dostatek, niezależność? Ty, siostró, całe życie podobno marzysz o tym i czyż ty tylko jedna? Na imię im legion. Parę tygodni temu odebrałem list od Adama; ot ten biedaczysko nieprędko doczeka się swego kąta i spokoju, ja jeszcze na życie nazbyt skarżyć się nie mogę. Zdrowie moje tylko z każdym rokiem pobytu w Syberii rujnuje się coraz bardziej i ja coraz wyraźniej widzę przed sobą po latach kilku widmo wuja Edwarda³⁹, mego wychowawcy. Ach, gdyby choć do tego czasu skończyć zaczęte prace i stworzyć coś godnego ludzkiej pamięci! Niedoleństwo i śmierć lżejsze są, gdy czujesz, żeś uczynił coś, za co bliźni mogą ci być wdzięczni.

Pisz mi o znajomych. Donosisz mi, że Julian⁴⁰ pytał cię o mnie. Nie-

³⁹ Edward Ciemiński, brat matki Wacława Sieroszewskiego, mieszkający u krewnych Lebkowskich w Pęcławicach nad Bzurą (*Pamiętniki*, s. 39 i n.).

⁴⁰ Julian Maszyński, zob. przypis 34.

gdyś byliśmy, mimo wbrew przeciwne poglądy religijne i społeczne, prawie przyjaciółmi. Cieszy mię, że wybił się i ma byt zabezpieczony. Poczciwy to człowiek. Co porabia jego brat? Niekiedy w gazetach miga jego nazwisko, czy wciąż zajmuje się muzyką, czy się ożenił? Emilka Kurella czy wyszła za mąż? Mundzio⁴¹ co porabia?

Siostry moje cygańskie, widzę, prowadzą życie, za wyjątkiem ciebie i Anny⁴², która osiadła również na miejscu, i o ile mi się zdaje (nie wiem, czy to pod wpływem męża, czy lat, czy prób i cierpień doświadczonych), i o ile po listach sądzić mogę, staje się poważniejszą i oględniejszą.

W. Sieroszewski

Całuję cię, kochana Paulino, tysiąckroć; ucałuj siostry, pozdrów znajomych; spieszę się skończyć, gdyż jutro odchodzi okazja, a i listów pisać mam wiele, tobie jednak oddaję pierwszeństwo.

15

Якутская Область, Намский Улус
12 listopada 1890 roku

Droga Polu!

Gniewasz się pewnie na mnie, żem dawno nie pisał, ale miałem tyle zajęć i tak różnorodnych, i takich wyczerpujących, że sam nie wiem, jak i kiedy przepuściłem kilka okazji wysłania listu, a ponieważ takie okazje tu u nas w Ułusie nie nazbyt częste, przewlekło się więc z górą dwa miesiące.

Przede wszystkim ukończywszy roboty w polu pojechałem robić starania o zaliczenie mię do włościan (*à propos*: nie jest to bynajmniej zrzeczenie się europeizmu, lecz na odwrót, dążenie doń drogą w danym razie najkrótszą; są wprawdzie jeszcze bardziej krótkie, lecz tych nie zdołałaś mi otworzyć mimo kilkoletnie starania). Zdobyłem uchwałę gromady wsi Tiuchtur (2-ga stacja pocztowa od Jakucka jadąc do Irkucka, 45 wiorst od gubernialnego miasta odległa), przedstawiłem ją do zatwierdzenia i czekam. Kiedy przyjdzie odpowiedź, nie wiem, lecz wcześniej czy później przyjść musi, a wtedy o moim stąd wyjeździe decydują głównie — pieniądze. Pieniądzy zaś nie mam zupełnie, ale za to mam wielkie nadzieje, rozumie się, wyłącznie literackiego charakteru. Zboże, które obecnie właśnie młóć, pożal się boże! Nie opłaciły się trudy, wróciłem tylko nasiona i tyle. Za to posłałem artykuł etnograficzny do jednej z rosyjskich gazet i napisałem z górą dwa naście rozdziałów *Na kresach lasów*. Pozostało jeszcze dziesięć. Kto tylko miał możność poznać się z ich tre-

⁴¹ Rajmund Kurella.

⁴² Anna Sierosze ws ka wyszła za Ludwika Waryńskiego (*Pamiętniki*, s. 174, przypis i s. 452).

ścią — chwali. Tylko ja bo pochwałam tym niezbyt dowierzam; co wprowadzie do wartości obrazów i wypowiedanych myśli krytycy moi, ludzie mniej więcej ukształceni, mają prawo stanowić, ale nie co do języka, gdyż wszyscy mówią i piszą gorzej po polsku ode mnie.

Pamiętasz, siostró, jakieś się gniewała za mój język nieznośny w poprzednich pracach, dawałaś mi rady, posłałaś gramatykę, Cegielskiego⁴³ itd. — wszystko daremnie. Daremnie również przepisuję po pięć, po sześć razy moje zeszyty, daremnie pocę się, dobieram jak najbardziej polskich i odpowiednich obrazem wyrażen — nie pomaga nic. Mój język, niegdyś dźwięczny i swobodny, utracił gibkość i barwność. „W długie tutejsze noce biegunowe — odrętwiał, od silnych mrozów tutejszych — zaniemiał” (obróć używany przez bazarzy jakuckich). Jadę jak po grudzie, a tymczasem duch mój śpiewa i spieszy się lecieć hen! ... na szczyt myśli i uczuć. Od tego szamotania się tak mię niekiedy głowa rozboli i tak mi się wszystko uprzykrzy, i tak stracę wiarę, że ze mnie będzie coś kiedykolwiek, że gotów jestem się rozpląkać jak dziecko.

À propos: czytam *Bez dogmatu* Sienkiewicza i zachwycam się, ale... w r o s y j s k i m t ł u m a c z e n i u⁴⁴. Potrzebne by mi były również okulary nr 10. Jużem wspominał, że jestem zajęty obecnie młóceniem zboża, co potrwa jeszcze z dni dziesiątek. Paskudna to rzecz mrozy tutejsze, namśmiewają się ze wszystkich moich starań zabezpieczenia zreumatyzowanych członków od ich wpływu — i w rezultacie każdą pracę, wymagającą dłuższego pobytu na dworze, opłacam gorączką reumatyczną, a w najlepszym razie bólem stawów i mięśni. Twój salol nic a nic nie pomaga, a kwasu salicylowego unikam używać, gdyż po zażyciu go pojawiać się poczęły u mnie oznaki kataru żołądka. Wart pałac Paca, a Pac pałaca! Nie chcę. Jeżeli kiedykolwiek uzyskam swobodę i będę miał pieniądze, pojedziemy, siostró, do Australii albo do Egiptu — leczyć się. A teraz „niechaj chodzi!”; jak mówią moi nowi rodacy tiuchtiurcy.

Nareście muszę ci powiedzieć o jednej rzeczy, która kosztowała mię немало zmartwienia i zachodu oraz trochę pieniędzy, ciebie zaś obchodzi pewnie nie nazbyt, mianowicie: dziś otrzymałem nareście ukaz cesarski, mocą którego pozwala się córce mej, Marii, nosić (imię) nazwisko Sieroszevska; została więc ona moją córką i... *de jure*.

Kończę, gdyż mam jeszcze pisać do Adasia i paru znajomych, a wieczór krótki, gdyż trzeba iść spać, a jutro rano wstać do roboty. Kłaniaj się znajomym, siostry ucałuj.

Twój
Wacław Sieroszewski

⁴³ H. Cegielski, *Nauka poezji zawierająca teorię poezji i jej rodzajów...*, Poznań 1879.

⁴⁴ H. Sienkiewicz, *Biez dogmata*, Moskwa 1890.

Czuję wielki brak w dziełach filozoficznych; to, co mi posyłasz, droga siostrzo, dobre jest, ale ma tą jedną wadę, że je prawie wszystkie dawniej już czytałem. Podobno są tanie wydania klasyków, Arystotelesa, Platona... Przeczytałbym również chętnie Schopenhauera, Hegla, Kanta, Spinozę, Bacona... i inne dobre rzeczy. Piszę na wszelki wypadek... a może wygrasz los na loterii, to mi to wszystko wyślij. Dobranoc, siostruniu.

16

Намский Улус, Якутская Область
19 grudnia 1890 roku

Droga siostrzo!

W ostatnim swoim liście wyjawiasz nadzieję, że po moim przeprowadzeniu się na Tiuchtur ułatwi się możliwość korespondowania i ty będziesz listy odbierała częściej. Niestety, na Tiuchtur w tym roku ja nie pojedę, gdyż mija połowa zimy, a moje podanie o zaliczenie do gminy wspomnianej jeszcze nie zostało zatwierdzone, nie mogę ja zaś [w] wigilię rozpoczęcia robót gospodarskich przeprowadzić i w ogóle ruszyć z miejsca, gdyż to pozbawiłoby mnie choć lichego, ale zawsze niezbędnego tu zarobku.

W tym roku znów nawiedził mnie nieurodzaj; z sześciu więc lat, które gospodaruję, dwa tylko trafiły się urodzajne. Możesz więc sądzić z tego o warunkach rolnictwa w Jakutce. Nie myślę ja też trudnić się rolnictwem i nie w tym zamiarze chcę uprawnić moje położenie, a pragnę wyjechać stąd na południe do Irkucka lub nad Amur, gdzie przy budowie projektujących się kolei jako rysownik, mechanik, maszynista, wreszcie ślusarz będę szukał zajęcia. (Dobrze by było, gdybyś mogła dostarczyć mi przewodnik czy podręcznik dla maszynistów. Dobra to książka i moja stara znajoma.)

Trzy dni temu skończyłem powieść *Na kresach lasów*; choć ona w chronologicznym porządku jest drugą z mych prac, ale wyślę ci ją pierwszej niż dużą powieść *Za kołem biegunowym*, która wymaga jeszcze opracowania. Powiastka udała mi się! rozmiarami ona nieco tylko większa od *Chama Orzeszkowej*, lecz pełna ekspresji, żywych, nigdy przez Europejczyka nie widzianych obrazów, figur oryginalnych z zacięciem, nawet charakterów, nawet typów, a głównie z podścieliskiem myśli ogromnej, jak sama ludzkość i życie. Czym ośwładnął temat, czym wypełnił dobrze, com zamierzył? O tym sądzić będzie publiczność; na wiosnę będziesz ją miała. Myślę, że książka jeżeli nie uczyni mnie sławnym, to w każdym razie zrobi — znany. Prócz tego będzie to książka pożyteczna, gdyż obrazy jej jak straszne *memento* staną przed czytelnikiem. Doprawdy dziwna kolej była z założeniem tej powieści. Pisałem ci już był, że chciałem wywieść na tle półzwierzęcego życia „na kresach” dzieje, jakie przeżywa duch człowieka tu

zamkniętego, a który szuka prawdy absolutnej, szuka wyższych form społecznienia itd. itd. Otóż mimo woli i chęci napisałem coś innego. Zamiast dramatu osoby nakreśliłem dramat ludzkości, zamiast luźnych scen, spojonych tylko jednością osób i miejsca, okazała się rzecz całkowita, zaokrąglona i w sobie zwarta, jak dojrzałe jabłko. Tylko gdym kreślić począł ostatnie powieści rozdziały, zrozumiałem, że piszę nie to, co chcę. Porwało mię coś i uniosło i mimo woli wybiegły spod pióra sceny nie do mnie należące, nie przeze mnie napisane. Drzę, gdy wspominam o tych chwilach, które przeżyłem jak we mgle... Mój boże, może to talent?! Co to ty powiesz, kiedy je czytać będziesz? Czy ogarną cię te same fale rozpaczy, bóleści, miłości, które mię kołysały, gdym je pisał?

Rękopism postaram się obrobić na tyle, aby nie przepisując można ją było oddać do druku; bo wyznam ci szczerze, nie dowierzam twoim przepisowaczom: *Chajłaka*, a szczególnie *Jesienią* i *Skradzionego chłopca*⁴⁵ tak poszpecili, tak poprzekręcali wyrazy, że byłbym w rozpaczy, gdyby zrobiono coś podobnego z tą moją ostatnią, rzeczywiście piękną powieścią. Nawet wyrażen, niegramatyczność których bije w oczy, szczególnie w rozmowach, nie pozwolę zmienić. Są to umyślne zboczenia od europejskiej konstrukcji myśli, bardzo charakterystyczne według mnie dla umysłów przeze mnie opisywanych. Niech drukują, jak napisano, popraw tylko ortografię, a dlatego nie trzeba będzie przepisywać rękopismu, a wprost powycierać gumą odpowiednie litery lub słowa.

Mój artykuł *Kak i wo czto wierujut Jakuty* przyjęła redakcja „Wostocznago Oboz[renija]”⁴⁶, ale będą go drukować nie wcześniej jak za cztery miesiące, gdyż właśnie — już potem jak wyszło ogłoszenie, że będą się w dodatku miesięcznym tej gazety drukować dwie moje prace: *Chajłak* i *Jak i w co wierzą Jakuci* — wstrzymano rozkazem rządu wydanie gazety na cztery miesiące. Moskale, jak widzisz, są względniejsi dla mych prac etnograficznych; o moje rysunki (a mam ich około 60 jeszcze) wywiadują się ciekawie nawet specjaliści i tylko nadzieja, że może uda mi się i po polsku napisać, i dla Polaków zużytkować te moje trudy, doprawdy trudy, bo robić rysunki na 40° mrozie, praca bolesna. Zresztą część mych zbiorów już roztrwonilem z biedy, z niedostatku i będę pewnie musiał znów wkrótce skreślić artykuł po rosyjsku dla pieniędzy: *Małżeństwo, rodzina i miłość u Jakutów*.

Długi, jest nadzieja, w tym roku uiszczę z tych honorariów, ale na drogę na wyjazd to liczę na powieść *Na kresach*. Wyżej pisałem ci, że będę szukał zajęcia na kolei, na fabryce i tak dalej; szczerze jednak mówiąc,

⁴⁵ *Chajłak, Jesienią, Skradziony chłopiec*. Opowiadania te ukazały się w wyd. książkowym w Warszawie 1897 r.

⁴⁶ „Wostocznoje Obozrenije”, pismo literacko-polityczne, wychodziło w Petersburgu od 1882 r. pod red. H. M. J a d r i n c e w a.

marzeniem moim jest założyć gdzie w błogodatnym⁴⁷ kąciku Syberii folwarczek nieduży, aby tylko... grzebać się można było koło roli, do której czuję silny pociąg. Wtedy mogłabyś i ty przyjechać do mnie na parę lat, które tu spędzić jeszcze powinienem, nim wrócę do kraju, i tam, gdzieś koło Warszawy lub innego miasta, kupimy sobie domek w klombach bzów i róży tonący. Marzenia moje są, jak widzisz, dość skromne. Potrzeby moje są proste i skromne, ale wola moja nie znosi uzdy. Na służbie marnięję — robię się nierozgarniętym, drażliwym, niezręcznym i długo na jednym miejscu usiedzieć nie mogę.

Ale, ale... wiesz, że Landy⁴⁸, ten, co sądził się w jednej ze mną sprawie, dawno już mieszka w Irkucku i zajmuje posadę buchaltera? No, dość o sobie.

Teraz, proszę cię, odpowiedz mi na niektóre pytania, a mianowicie: czy jest po polsku teoria stylu? Czy „Głos” przyjąłby artykuł traktujący o stanie rolnictwa i sposobie władania ziemią tu, w Jakucku? Czy podania albo bajki jakuckie przesyłane pojedynczo, a mające artystyczną wartość, znalazłyby redakcje chcące je pomieścić w felietonach i czy za to nie mogłyby przysyłający otrzymywać choć gazety? Wielki tu, mówiąc nawiasem, czujemy brak w wiadomościach bieżących i tylko od czasu do czasu rozchodzą się pogłoski w rodzaju: „królowa Bona umarła!”... „Głos”, gazeta uczciwa, sympatyczna, ale chuda... okropnie chuda!

Twój
Wacław

Siostry uściskaj! Znajomych pozdrów.

Jeszcze dodać muszę: prawidłowy mój rozwój i troska o zapewnienie jakiego takiego, nie psiego, a ludzkiego kęsa chleba staną się możebne jedynie z uzyskaniem prawa rozjazdu co najmniej po Syberii; ja tu już jestem 10 lat i nie dają mi go wbrew wyraźnemu prawu.

17

25 stycznia 1891 roku

Якутская область, Намский Улус

Kochana Paulino!

Nieszczęścia przesładują mię! Gdybym był Włochem, uwierzyłbym, że

⁴⁷ *błogodatny* – błogi, zaciszny.

⁴⁸ Stanisław Landy, student weterynarii, aresztowany wraz z Sieroszewskim w lipcu 1878 r. Sieroszewski poznał go na zebraniach „Proletariatu” w Warszawie; siedział z nim w X Pawilonie w jednej celi. Dzięki jego pomocy w więzieniu i dyskusjom znacznie pogłębił swoje studia nad socjologią i ekonomią polityczną. Landy został skazany na dwanaście lat ciężkich robót w kopalniach kruszcu, po złagodzeniu wyroku dzielił losy Sieroszewskiego na wygnaniu. Zaręczył się z wygnanką, Felicją Lewandowską. Przebywał w okręgu Kireńska (1000 km od Irkucka) na Niżnie Tungusce (*Pamiętniki*, s. 143, 176, 185—257).

jakiś „ietatorre”⁴⁹ spojrział na mnie w niedobłą godzinę, ale jestem ja *sclavus*, *saltans sclavus*, i chmury wszelakie na chwilę tylko ćmią we mnie wiarę, nadzieję, wesołość!...

Ale do rzeczy: pisałem ci już był poprzednio, że nieurodzaj w tym roku zniszczył zupełnie owoce mej pracy rolniczej; gdy zboże wymłóciłem, okazało się, że wydało tyle tylko, ile go posiano. Na domiar trafił się w okolicy niedobór siana, bydła nie ma czym karmić, a sprzedać go niepodobna — ceny spadły niesłychanie. Prócz tego nie ma nadziei sprzedawszy znów na wiosnę kupić, a naówczas cała się rolnicza maszyna bez upręży wstrzyma. Jedyłą nadzieję pokładałem w piórze; posłałem był artykuł etnograficzny do gazety „Wostocznoje Obozrenije” i został przyjęty, i pierwsze już odbito stronicę, gdy... stop... zawieszono wydawnictwo na rozkaz generał-gubernatora za jeden z artykułów polemicznych na cztery miesiące, a po czym i zupełnie zamknięto. Zostałem na koszu!... Tym bardziej „na koszu”, że wszelkie przesyłki tam i na powrót rękopismów są tu nadzwyczaj utrudnione. Sama wiesz o tym!

Myślę więc o przednówku i roku przyszłym z niemałą trwogą, a tymczasem, by o wszystkim zapomnieć, znów zagłębiam się w niewdzięczne, ale zawsze miłe fale sztuki. Czy jutro będzie co jeść, czy nie, zawsze ja dziś jeszcze zdążę słowo powiedzieć, obraz nakreślić, który może zaważy coś przecie na szali ludzkości i choć na milionową część miligrama przechylili ją na stronę sprawiedliwości, piękna i dobra!... Może choć na krótką chwilę dam ja innym — tym równie jak ja pociechy spragnionym — zapomnienie obecnych dolegliwości!

Parę dni temu przeczytałem w kółku przyjaciół powieść *Na kresach lasów*; ci powieść znaleźli wcale niezłą, ba!... nawet, choć mi wstyd samemu się chwalić, znaleźli ją wybiegającą ponad poziom zwykłego powieściopisarskiego tłumu; i ja myślę, że tam śmiałą ręką istotnie dotknął niektórych strun nieśmiertelnych i to okupi i nieudatność miejscami formy, i ubogość języka.

Ach ten język, co on mię kosztuje pracy, papieru i czasu! Ale nie uwierzysz, z jakimi chorobliwymi przeszkodami walczyć muszę: czytasz po rosyjsku, mówisz po rosyjsku, słuchasz — po jakucku, a myśleć musisz i pisać — po polsku! Żadne gramatyki, teorie stylu itd. nie dadzą mi barwności i giętkości żywej istoty, jak żadne upewnienia, że to niehigienicznie, niezdrowo lub niedogodnie — nie nakarmią, nie uzdrowią nędzarza! Umysł mój zbyt młodo dostał się w te chorobliwe warunki. Nie zdołał się on jeszcze w dostatecznej mierze objęzystymi dźwiękami napaść i dźwięki te obecnie w wyrażeniach chorują na niedokrwistość! Ojczyzny, Ojczyzny!... mi trzeba, aby nie gubić barw myśli w bezbarwnych wyrazach. Więc chwieję się między gdburowatością [!], miernością lub napuszczoną patetyczno-

⁴⁹ Właściwie: iettatore, ten, co ma niedobry wzrok.

ścią obrazów; nigdy nie jestem pewny, nigdy zadowolony; tej boskiej klasycznej prostoty, gdzie każde słowo stoi na miejscu, gdzie ono żadnym innym zastąpione być nie może — nie posiadę zapewne już nigdy, wygnanie na wszystko nakłada swą chorobliwą mglistość.

Ale wracam do powieści: tak czy owak, dość że napisana i przerobioną (za wyjątkiem podrzędnych poprawek, którymi obecnie jestem zajęty) być nie może. Składa się ona z siedemnastu niedużych rozdziałów, każdy rozdział nie przenosi dziesięciu ćwiartek pisanych arkusza; ostatni tylko i pierwszy są dłuższe. Każdy rozdział przedstawia obraz. Szereg tych obrazów ułożony w taki sposób, że bieg życia (w ciągu całego roku) jakuckiej, samotnej, w dalekie puszcze wtopionej gminy oraz przez wypadki rzuconego pośród nich Europejczyka — przesuwa się przed czytelnikiem jak obrazy czarnoksiężskiej latarni. Bóg świadkiem, chciałem dla chleba ustąpić modzie i napuścić mistycznych tumanów lub retoryki — nie udało się. Obrazy wyszły przejrzyste, figury i stany ducha określone. Może nawet nazbyt określone, nazbyt przejrzyste; jeżeli tumania się, to tylko mgłami dżdżów i mrozów, jeżeli chwieją, to tylko kołysane wiatrem.

Wybacz, siostró, może znów będziesz miała kłopot ze znalezieniem wydawcy; tym bardziej że myśl zasadnicza — taka w naszych czasach dewocja, sybarytyzmu... i innych „izmów” (za wyjątkiem socjalizmu) nie to niezwykła, a taka jakaś śmieszna... Myśl ta krwawi się, błyska, sączy, rozplywa przez całą panoramę powieści, a choć wyraźnie nigdzie nie jest wypowiedziana, czuć ją wszędzie, a czuć na tyle, że moi słuchacze, którym umyślnie nic o niej nie mówiłem, odgadli ją natychmiast i wielu — nie zgodziło się z nią. Myśl ta brzmi: „Ludzkości! Ty możesz być bogiem, więc bądź nim! A spiesz się to uczynić... gdyż możesz zostać też... prochem!” Zestawienie dwóch dusz ludzkich typów, a obu „z kresów”, jednej u początku, a drugiej już daleko odeń odbiegłej, daje mi możliwość z łatwością myśl powyższą obrazować. Obawiam się jednak, że wstręt do zwierzeń przed czytelnikiem i usilne dążenie każdą sylabę myśli w obrazach nakreślić porodziły w paśmie cpowiadania kantowatość. I choć od prawdy życiowej nie odstępuję ani na krok, ale wam może, nie znającym tuższego życia, wydać się może — sztuczność. Przyjaciele zaś moi zarzucili mi monotoność języka i brak lotności. Praca zdradza mózół, zdradza męki nie tylko myśli, lecz i jej porodu. *Sic?*

Usunąć tego nie jestem w stanie! Może ty przeglądając rękopism zgłędzisz cokolwiek trafiające się chropowatości i nadasz upragnioną potoczność opowiadaniu, choć proszę cię, w dialogach, szczególnie tam, gdzie mówią Jakuci, nie ruszaj nic, nawet porządku wyrazów. Rękopism posłę za parę miesięcy. Wcześniej nie mogę dla wielu przyczyn, a głównie jeszcze trzeba cokolwiek poprawić.

Siostró moja, pytasz, czy chciałbym przeprowadzić się. Ach, z duszy —

serca! Ta jakucka obłast'! Lodowata i bezludna, nie daje możności pracować nawet na roli. Nie robisz, a grasz w karty. Rzucasz ziarno, pot, czas w ziemię, a ona... W przeciągu tych sześciu lat, jakie tu gospodarowałem, dwa tylko lata były urodzajne. Przy takim rzeczy położeniu: „cztery chude krowy pożarły dwie chude!... Muszą zostać głodne!” A ty mi wyrzucasz brak rządności, brak pracowitości, praktyczności itd. Wszystko to się, co prawda, znajduje u niektórych ludzi, ale za podstawę zawsze im służy spory podkład złota: niektórzy przywożą go z sobą z domu, innym traf zarobku dostarcza, inni wręcz kradną go... Przytwardzony do jednego miejsca, mało mam nadziei na traf; z zewnątrz źródeł złota nie posiadam, a kraść...

Ściskam cię serdecznie. Bądź dobrej myśli. Ucałuj siostry i krewnych. Pozdrów znajomych.

Twój
Wacław Sieroszewski

Mój adres: Москва. Иркутск. Якутская Область, Намский Улус, Вацлаву Серошевскому. Bez żadnych dodatków.

A propos. Powieść napisana tak, że ją można będzie u nas, myślę, w kraju, drukować; ponieważ ona już ukończona, a treść jej jest ci mniej więcej wiadoma — donieś mi więc, na ile prace takie są poszukiwane. Nie wiem również, czy dołączyć do niej winiетки treść objaśniające, czy nie. Jeżeli do miesięcznika lub gazety ją oddać, to niepotrzebne. Jeżeli oddzielną książkę drukować, bardzo, myślę, byłoby na miejscu. Poślę na wszelki wypadek kartę tytułową własnej roboty.

18

28 lutego 1891 roku
Якутская Область, Намский Улус

Kochana siostro!

Parę dni temu posłałem ci rękopism powieści *Na kresach lasów*. Znów pewnie skarżyć się będziesz na mnie (i słusznie) za niestaranne obrobienie, gdyż wysłałem ci brulion, ale wybaczone. W Warszawie łatwiej, myślę, o kopistę niż tu u nas o okazję! Gdybym nie skorzystał z nadarzającej się sposobności, musiałby rękopism leżeć z pół roku. Dlaczego zaś nie zdążyłem się z nim uwinąć, to dalej opowiem.

Właśnie miałem zabrać się do przepisywania, gdy atak reumatyzmu, silniejszy od jakiegokolwiek z mianych przeze mnie w ciągu lat ostatnich, rzucił mię na łóżko i przetrzymał miesiąc. Dotychczas nie władam lewą ręką. Tcwarzysz (doktor), który mię leczy, kazał pić borówkowe liście, używać parowych kąpiel z ziół, a głównie sprawić sobie ciepłą i porządną

odzież. Co do tego ostatniego, to pewnie żart, gdyż on dobrze zna moje wyjątkowe kłopoty, a pierwsze ja będę starał się czynić.

Możność zarabiania w jakikolwiek bądź sposób na życie prócz piórem coraz wraz ze zdrowiem uchodzi. Jeszcze może rok jaki będę w stanie orać i kosić, a później — kaput. Już i obecnie ja, niegdyś silny i wytrwały człowiek, nie mogę dźwigać ciężarów ani w pracy innym nadążyć. Czeka mię los wuja Edwarda.

Kochana Paulino, dowiedz się, proszę, czy warto po polsku pisać artykuł: *Małżeństwo i miłość u Jakutów, studium etnograficzne?* Materiałów dlań oraz rysunków mam nagromadzonych sporo. Po rosyjsku wstrętnie mi pisać, a szkoda tymczasem, by notatki moje przepadły; jeżeli zbyt długo je będę w tece dusił, to tracą one wartość, gdyż tu obecnie kilku ludzi zajęło się również etnografią. Czyby nie można posłać do Krakowa, tam, powiadają, utworzył się nowy dziennik „Świat”⁵⁰, który rozmaitej treści prace pomieszcza. Praca, postaram się, aby miała nie tylko specjalny etnograficzny interes, lecz i szersze zatraćła kwestie. Czy to umiem robić, przekonasz się z *Na kresach lasów*, gdzie osnowa wyłącznie etnograficzna, a przecie wróżą mi moi czytelnicy i krytycy wielkie powodzenie.

W zamierzonym studium etnograficznym chciałbym, opisując formy rodzinnych i weselnych zwyczajów jakuckich oraz ich estetyczne wymagania jakuckiej miłości, rozszerzyć cokolwiek te ramki i zaznaczyć, że dwa jawnie widniejące w tych stosunkach prądy: jeden, przystosowawczy⁵¹ do warunków trwania w terażniejszości, inny, przystosowawczy do potrzeb ludzkiego ducha w ogóle (dążenie do doskonałości, szczęścia, nieśmiertelności) — dwoiły się, splatały, rozchodziły, a jedno z nich zawsze i wyłącznie wyrażało w małżeństwie, a drugie wcieliło się w prawą i nieprawą miłość. Ilustracji mam cokolwiek: sceny weselne, typy, sceny miłosne; mam obrzędy i piosenki, baśnie i zagadki, i ze wszystkiego tego dałaby się ułożyć dość żywa mozaika uczuć i obrazów.

Podobne moje roboty po rusku mają powodzenie, ale... chciałbym pisać po polsku! Ach, siostrzo, jak tęsknię za polszczyzną!... Jeżeli za *Na kresach* dostaniesz honorarium (a bez honorarium drukować nie mogę, bo nie będę miał za co wyjechać), to przede wszystkim zaprenumeruj jaką gazetę polską i miesięcznik. Pieniądzy nie posyłaj, aż cięświadomię, w jaki to sposób zrobić i kiedy. U nas odbierają pieniądze bez żadnych ceregieli, dając w zamian dość nędzne, ledwie, ledwie na skromne bardzo utrzymanie dla samotnego człowieka wystarczające posobia⁵²; ja zaś mam dziewczynę... Jakże bym chciał się wyrwać z tej „Jakutki”, która gubi moje zdrowie i krępuje talent, „na szersze morza, na głębsze prądy”... tu mi brak tchu,

⁵⁰ „Świat”, dwutygodnik ilustrowany, red. Z. Sarnecki, Kraków 1888–1895.

⁵¹ Przystosowany.

⁵² *posobije* = zapomoga, zasilek.

brak języka i życia bogatego w barwy i formy! wciąż tajga, wciąż tęsknota... Co też to powie publiczność i krytyka na moje obrazy tej tajgi i tęsknoty? Język zły, język chropawy, brak wyrobienia! Niby to wyrobienie można zdobyć ucząc się gramatyki i czytając teorię stylu Cegielskiego... Furda, siostró! Ją zdobyć można tylko pracą i ciągłym doskonaleniem „własnych” wyrażeń, własnych „obrazów”. Aby zaś je można doskonalić, trzeba wciąż stykać się z żywym języka potokiem. Ją wątpię, czy osiągnę kiedy mistrzostwa, choć marzyć o tym nie przestanę. Będę pracował i pracował...

I nie wiesz pewnie, Paulino, ile mię każda rzecz kosztuje, ile czasu każda ćwiartka napisana zabiera. Inni (mam tu takich sąsiadów pisarzy): siadł, napisał — nic nie zmasał — nic nie poprawił — gładko, płynnie potoczysto, nie nazbyt głęboko, nie nazbyt oryginalnie, ale poprawnie i wdzięcznie. U mnie, prawda, postacie ruszają się, żyją, śmieją i cierpią, ale każda przeżyta przez nich minuta, każde wyrzeczone słowo jakże nieskończenie wiele mię kosztuje bólu i trudu. Co to powie publiczność szersza o tych moich wyjąkanych, wyplakanych postaciach! Język wymaga koniecznych z twej strony poprawek. Ale, siostrzyczko, staraj się rozmów, ile się da, nie poprawiać: są to żywcem wyrwane z ust prawdziwych ludzi wyrazy i przetłumaczone po polsku; często nawet ich nieprawidłowość jest umyślną. Ostatni rozdział, szczególnie jego koniec, był pisany przeze mnie, już gdy targały mię bóle reumatyczne, śpieszyłem się, by nie utracić okazji; zwróć nań pilną uwagę. Koncepcja rozdziału tego wyrosła i wylała się łatwo w jedną noc, ale... obrobienie! Obrobieniu stanęła na przeszkodzie moja choroba! Język, język... język tam powinien być jak spiż, jak ziemi tutejszej od mrozu pęknięcie, jak skarga stygnącej przyrody... nie jasna, a posępna, ciemna a iskrząca od rzuconych tu i owdzie błysków wielkich a dalekich jak te gwiazdy myśli.

✓ Takim być powinien był ten opowieści finał, ale nie udało się zupełnie! Warunki, w jakich piszę, i roboty moje, [jakie] wysyłać do ciebie mogę, są zbyt anormalne, aby nie przeszkadzały wykończeniu. Pod ciągłym strachem, że nie skończysz, że nie zdążysz, że zajdzie jaki wypadek i tobie wszystko odbiorą, zrabują... Ot i teraz, ja ci posłałem rękopism, ale nim odbiorę wiadomość, że go masz w ręku, wiele się jeszcze napocę, nalekam! Jakże bym chciał, abyś go już miała!

Więcej cóż? Od Adama dawno, bardzo już dawno nie miałem wiadomości. Coś tam u nich na Sachalinie nie tego... uciekł, powiadają, jeden z zesłanych (Kmiecyk); mogli ich za to przycisnąć, bo tu dziwne na wygnaniu obyczaje: nie pozwalają nam widywać się, nie pozwalają pomagać sobie i bronić jeden drugiego, lecz jeżeli ktokolwiek zrobi coś, to nie pytają, czyś ty z nim solidarny, czy nie, i duszą wszystkich, i na wszelki sposób. Jest to jeden z tych ciężkich dla wszystkich łańcuchów. I dla tych, co broją, i dla tych, co cicho chcą siedzieć.

Obecnie chcę wypocząć, poczytać (dzieł kilka jużem sobie był wypatrzył, Espinasa, Morgana, Spencera, Michajłowskiego⁵³); część sam posiadam, część dostanę od towarzyszy, szkoda tylko, że większość po rosyjsku. Zajmę się prócz tego tłumaczeniem jakuckich pieśni⁵⁴. Tak mam zamiar czas spędzić do lata. W lecie znów robota w polu, chociaż obecnie przy moich zbolałych członkach i kościach nie radością, jak niegdyś, a strachem mię ona napełnia. Na przyszłą zimę obiecuję ci romans w trzech tomach *Za kołem biegunowym*. Pierwszy tom oraz szkic dwóch drugich leżą gotowe. Te dwa ostatnie wymagają obrobienia, a pierwszy można choć zaraz drukować. Niektórzy z moich przyjaciół stawiają tę moją pracę wyżej od *Na kresach lasów*, nawet w tej formie, w jakiej ona znajduje [się] obecnie. Znajduję wielkie podobieństwo w niej z *Szkicami* Szymańskiego, rozumie się na tyle, na ile powieść i szkic mogą być do siebie podobne. Między innymi: nie ma tam ani jednej figury zapożyczanej u pana Adama, a jest tylko też gryząca po kraju ojczystym tęsknota... tęsknota w czynie jednak dążąca [się] wyrazić! Najtrudniej mi z bohaterką... Nie kochałem się, siostrzo, nigdy jeszcze w życiu, jak się należy, nie umiem więc tych subtelnych odcieni kobiecej zakochanej duszy malować, jaką uważać można tylko samemu kochając.

Ja zupełnie pozbawiony jestem tego, co nazywają fantazją. Ja muszę koniecznie mieć choć lekki obrys, choć napomknienie, a wtedy już resztę dorobię i natchnę życiem. Ale stworzyć sam coś... zupełnie stworzyć, nie widziawszy i odczuwszy — nie umiem. Martwieje mi pod piórem praca napoczęta! Taki los spotkał wcale udatnie napoczętą nowelkę; leży na wpół obrobiona, choć całkiem już napisana, i wstręt mi wziąć się do niej, bo sztuczna, bo martwa, bo wymuszona.

Siostrzyczko moja, nie martw się, że jestem niezdrów; jakoś to będzie. Poprawię się, a gdy z tego przekłętego, „lodowatego państwa” wyjadę, to może znów będę zdrów, młody i rześwy jak niegdyś. Przecież lat mam wszystkiego 32... Bóg da, obaczmy się jeszcze i nacieszymy mieszkając razem. Siostry ucałuj. Znajomym pokłoń się: Kurellom, Maszyńskim i innym pozdrowienia.

Twój
Wacław

⁵³ A. Espinas, *Społeczeństwo zwierzęce wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii*, Warszawa 1887; L. H. Morgan, *Społeczeństwo pierwotne...*, Warszawa 1887; H. Spencer, *Dzieła*, Warszawa 1888; M. Michajłowski, *Co to jest postęp*, 1869; *Teoria Darwina i socjologia*, 1870; *Walka o indywidualność*, 1875—1876 i in.

⁵⁴ Sieroszewski notował pieśni jakuckie w toku swoich zapisów etnograficznych z obyczajów, wierzeń i podań Jakutów. Krajowcy pomagali mu w tej pracy; samorzutnie przychodzili do niego, pochlebieni, że interesuje się ich tradycją (*Pamiętniki*, s. 494 i passim).

Jeżeli za *Na kres[ach]* otrzymasz honorarium, proszę cię, rozporządzaj się nim jak swoją własnością; tyś mi ostatecznie na drogę literacką pchnęła; tyś mi też koniecznie dla dalszej pracy potrzebna. Jeżeli to będzie suma w paręset rubli, chciałbym bardzo, abyś połowę zatrzymała, wypoczęła, pojechała sobie dokądkolwiek, do Krymu, nad morze... Ja bym miał tylko na wyjazd, a tam dalej znów sobie zarobię... Przecie w literaturze pierwsze tylko pieniądze dobywają się jak z kamienia, a tam dalej i łatwiej!...

SPRAWA SPROWADZENIA DO KRAJU PROCHÓW JULIUSZA SŁOWACKIEGO W ROKU 1909

I

JULIUSZ ZBOROWSKI

S. ŻEROMSKI I AKADEMICKI KOMITET DLA SPROWADZENIA ZWŁOK SŁOWACKIEGO DO KRAJU

O spotkaniu Żeromskiego z krakowskim Akademickim Komitetem wspomniałem ubocznie w 1909 r. w artykule o Sienkiewiczowskim projekcie pochowania zwłok Słowackiego w Tatrach¹. Niewielu było uczestników tego spotkania i dotąd nikt nie napisał o nim wspomnienia. Nic też dziwnego, że o tym fragmencie z życia Żeromskiego brak wzmianki w *Kalendarzu*².

Pisząc wspomniany artykuł korzystałem z archiwum Komitetu z lat 1903—1914. Dziś ten cenny zbiór dokumentów jest zdziesiątkowany. Wojenne wydarzenia w 1945 r. spowodowały zniszczenie większości archiwum. Nie znajduję już starannie prowadzonych protokołów z posiedzeń i konferencji, brak listów kilku wybitnych pisarzy i artystów, z korespondencji Żeromskiego pozostała tylko jedna pozycja, nie ma znacznego zbioru wycinków z gazet. Ocalone resztki udostępniła mi p. Maria Górowa, wdowa po długoletnim i zasłużonym przewodniczącym Komitetu, Stefanie Górze. Składam podziękowanie za wypożyczenie tych pozostałości. Ostatecznie zostały one przekazane do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie się też znajdują w dziale autografów pod sygn. Acc. 203/61.

*

W 1903 r. Akademicki Komitet dla Sprowadzenia Zwłok Słowackiego do Kraju zwrócił się do wybitnych pisarzy z zapytaniem, gdzie należy

¹ *Projekt tatrzański Sienkiewicza*, „Echo Tatrzańskie”, 1919, II, nr 11—12. Podobno w kilka lat potem przedrukowała artykuł jedna z lwowskich gazet.

² S. Kasztelowicz, S. Eile, *Stefan Żeromski. Kalendarz życia i twórczości*, Kraków 1961.

pochować prochy poety. Przyjmowano, że sprowadzenie nastąpi w r. 1909, w setną rocznicę urodzin Słowackiego.

Pierwsze odpowiedzi na ankietę nadeszły w niedługim czasie, a potem przez szereg lat, zwłaszcza tuż przed jubileuszowym rokiem, napływały oświadczenia z kraju i z zagranicy³. Ogromna większość opowiadała się za Wawelem, niewiele osób przemawiało za warszawską katedrą. Ale nie brakło wypowiedzi przeciwnych sprowadzeniu zwłok poety wbrew jego woli do niewolnej Polski, ponieważ — jak odpisał na ankietę Jan August Kisielewski — „wstydem jest dla narodu sprowadzać ducha wolnego do swoich więzień”⁴.

Były więc dwa projekty: wawelski i warszawski. Tymczasem dwa listy Sienkiewicza z 15 i 16 stycznia 1904 r. przyniosły nowy, oryginalny „projekt tatrzański”. Sienkiewicz nie dowierzał, czy w ówczesnych warunkach uzyska się dostęp na Wawel. Dlatego proponował albo odłożenie całej akcji, albo wykonanie grobu poety w Tatrach. Wyobrażał sobie kaplicę ze złomów lub wykutą w skałę pieczarę, a nad nią olbrzymi krzyż albo brązową płytę z napisem. Radził porozumieć się ze Stanisławem Witkiewiczem, którego powiadomił o swoim pomysle.

Autor *Trylogii* nie wskazał w listach, w której turni szukać miejsca na granitowy grobowiec. Że miał na myśli turnię Kościelca nad Czarnym Stawem, wiadomo z jego rozmów z delegacją Komitetu. Później jako alternatywę proponował Giewont. O tym alternatywnym wyborze wiemy także z impresji Jana Pietrzyckiego: „Nie dziwię się, że Sienkiewicz chciał w tej turni, będącej strażnicą Tatr polskich, ujrzeć grób mocarza polskiej pieśni”. Pietrzycki widzi w wyobraźni grotę pod szczytem Giewontu, w niej prochy Słowackiego, a na zrębie skały spiżowego anioła-olbrzyma, „by wichrem swych skrzydeł zasłaniał wejście do grobu”⁵.

Nawet wtedy, gdy ogromna większość społeczeństwa oświadczyła się za Wawelem, Sienkiewicz w rozmowie z przedstawicielami Akademickiego Komitetu jeszcze w 1908 r. nadal uważał grobowiec w Tatrach za najodpowiedniejszy i najbardziej zgodny z istotą poezji Słowackiego.

Tatrzański projekt nie znalazł zwolenników. Jedynie Stanisław Witkiewicz zachwycił się „świątynnym pomysłem” i w liście z 6 lutego 1904 r. przedstawił własną koncepcję. Miał to być grób wykuty w skałę, nad nim mauzoleum z granitu, „jak budowa piramid”, w górnym końcu hali Ornak w Dolinie Kościeliskiej, gdzie wedle góralskiego podania śpi „zaśnione wojsko”. I ten głos za Tatrami przeszedł jednakowoż bez wrażenia.

³ Najwcześniejsze odpowiedzi: Rydla, Jana Augusta Kisielewskiego, Konopnickiej, Miłkowskiego (T. T. Jeża), Sienkiewicza i Witkiewicza ogłoszono w wydanej przez Komitet *Jednołńowce ku czci Juliusza Słowackiego*, Kraków 1904.

⁴ Stanowisko Kisielewskiego nazwał ktoś „projektem samego Słowackiego”.

⁵ J. Pietrzycki, *Giewontowa baśń*, „Nowa Reforma” z 29 lipca 1905.

Dopiero w kilka lat później, już w jubileuszowym roku Słowackiego, przypomniano tatrzański projekt. Podobno propagandę za nim rozpoczęła wśród przebywających w Zakopanem literatów Tadeusz Miciński, autor *Nietoty*. Wyrazem ponownego zainteresowania grobowcem w Tatrach była broszura Macieja Szukiewicza; jego projekt przedstawiał się nieco odmiennie: miejsce ostatecznego spoczynku poety wskazywał na małej wysepce Czarnego Stawu pod Kościelcem⁶.

Akademicki Komitet, który od samego początku swej działalności dążył do pochowania zwłok Słowackiego na Wawelu i miał za sobą ogromną większość głosów społeczeństwa, postanowił porozumieć się z zakopiańską opozycją. W tym celu do Zakopanego udał się dr Stefan Góra, przewodniczący Komitetu, wraz z drugim jego przedstawicielem — kto nim był, nie pamiętam. Delegaci zaprosili wszystkich przebywających tu pisarzy na zebranie w dniu 28 lutego 1909 r.⁷ Brak księgi protokołów uniemożliwia wyliczenie obecnych na naradzie. Ze sprawozdania delegacji zapamiętałem tylko obecność Żeromskiego.

Do porozumienia nie doszło. Pisarze nie reprezentowali wtedy jednolitego frontu. Zarówno Wawel, jak i Tatry miały zwolenników. Przeciwnikiem obu koncepcji był autor *Popiołów*.

W tych czasach Żeromski dwukrotnie określił swoje stanowisko. Jego przemówienie w 1908 r. przypominało dawniejszą wypowiedź Kisielewskiego. Bo na zebraniu warszawskiego Komitetu dla Uczczenia Rocznicy Słowackiego przeciwstawił się on sprowadzeniu zwłok poety do kraju, „zanim duch jego nie został sprowadzony, nie poznane, a nawet w całości nie ogłoszone dzieła”⁸. Również w 1909 r. na posiedzeniu Obywatelskiego Komitetu w Krakowie Żeromski powtórzył swój sprzeciw wywodząc, że Słowacki powinien jeszcze spoczywać na paryskim cmentarzu, ponieważ „duch jego nie jest sprowadzony do ojczyzny, że należy wydać jego dzieła, zbudować teatr”⁹.

Niedługo po tym krakowskim przemówieniu nowe wydarzenia wpłynęły na zmianę jego negatywnego stanowiska. Już po zebraniu Obywatelskiego Komitetu Akademicki Komitet otrzymał poufną wiadomość o nieprzychylnym stanowisku krakowskiej kurii biskupiej. W czerwcu 1909 r. potwierdziła się ta informacja. Kardynał Puzyna kategorycznie sprzeciwił

⁶ M. Szukiewicz, *Jakim powinien być grób i pogrzeb Słowackiego*, Kraków, luty 1909, odb. z „Czasu”.

⁷ Datę przytaczamy na podstawie listu Kazimierza Tetmajera z 13 marca 1909. Tetmajer m. in. zaznaczył, że on jeden nie otrzymał zaproszenia.

⁸ S. Żeromski, *Projekt Akademii Literatury Polskiej* w tomie *Pisma literackie i krytyczne*, 1963, s. 61. Z autorem sprzeciwu solidaryzowali się wówczas: Wacław Berent, Artur Górski, Ignacy Grabowski, Jan Lorentowicz, Ignacy Matuszewski, Zenon Przesmycki i Stanisław Wyrzykowski.

⁹ *Kalendarz*, s. 260.

się złożeniu zwłok Słowackiego w wawelskiej katedrze. Nie pomogło oburzenie społeczeństwa, nie pomogły interwencje i memoriały; Puzyna był nieugięty.

Gdy kardynalskie veto zamknęło wawelskie wrota przed poetą, przebywający w Zakopanem pisarze: Daniłowski, Kasprowicz, Kisielewski, Miciński, Sieroszewski, Wyrzykowski i Żeromski, uznali, że sprawa Wawelu definitywnie upada. Wobec tego oświadczyli się za Tatrami i przyjęli dawny projekt Sienkiewicza, tj. wykonanie grobowca Słowackiego w stromej skale Kościelca. Z ogłoszeniem tej uchwały postanowiono tak długo się wstrzymać, póki nie nadejdzie oficjalna odpowiedź kurii, do której miał się zwrócić Obywatelski Komitet.

Uchwała zakopiańska nie była tajemnicą. Gdy doszła o niej wiadomość, Akademicki Komitet postanowił jeszcze raz spróbować porozumienia, zanim pisarze ogłoszą zapowiadaną odezwę do społeczeństwa. Na zaproszenie Komitetu odbyło się ponowne spotkanie, tym razem w Krakowie. Pamięć zawodzi, jedynie (niestety, spalone) protokoły i listy mogłyby jej pomóc. Nie pamiętam, kiedy przewodniczący miał wstępną rozmowę z Wyrzykowskim i Żeromskim¹⁰, nie pamiętam, w którym miesiącu odbyła się konferencja. Oprócz dra Góry, sekretarza Wincentego Wysockiego i długoletniego skarbnika dra Juliusza Haraschina nie potrafię już wymienić nazwisk tych członków Komitetu, którzy uczestniczyli w krakowskiej naradzie¹¹.

Spotkanie odbyło się w lokalu Koła Słuchaczy Prawa U. J. przy ul. Św. Anny 6, gdzie stale zbierał się Komitet na posiedzenia. Tu przybyli przedstawiciele pisarzy: Jan August Kisielewski, Miciński i Żeromski. Byliśmy przejęci obecnością autora *Popiołów*, toteż zebranie odbyło się w szczególniejszej atmosferze. Silne wrażenie wywierała poważna, niemal posępna twarz pisarza, obok którego zasiadł niemniej charakterystyczny Miciński.

Przemówienie Żeromskiego rozładowało początkowy sztywny nastrój. Bez cienia wyższości odniósł się pisarz do Komitetu jak do równorzędnego partnera i — jak się wyraził — do twardego, ale bezinteresownego prze-

¹⁰ Być może, w związku z nią stoi bilet wizytowy Stanisława Wyrzykowskiego z dopiskiem ręką S. Żeromskiego: „i Stefan Żeromski proszą o przybycie do Bizanzy wewnątrz dziś o g. 6.” Bilet jest bez daty, ale wysłany został do S. Góry, w którego zbiorze się też zachował.

¹¹ Stefan G ó r a, prawnik z zawodu, był od powstania Akademickiego Komitetu jego przewodniczącym. Z wielkim oddaniem i energią prowadził akcję pochowania zwłok Słowackiego na Wawelu. W okresie międzywojennym był notariuszem i komisarycznym burmistrzem Zakopanego. Zmarł 14 września 1928. — Juliusz H a r a s c h i n, również prawnik, od początku istnienia Komitetu czynny jego skarbnik, tuż przed wybuchem wojny dyrektor kolei w Toruniu, poległ jako major rezerwy 7 września 1939 pod Siedlcami podczas nalotu niemieckich bombowców. — Wincenty W y s o c k i, polonista, uczył przez pewien czas w gimnazjum, potem pracował jako sekretarz Tow. Szkoły Ludowej. Zmarł w okresie międzywojennym.

ciwnika. Mówił przeważnie spokojnym głosem, chwilami ze wzburzeniem i hamowaną pasją. W gwałtownych atakach na wrogów Słowackiego wyraz jego twarzy robił niezapomniane wrażenie. Z wywodami komitetowych polemizował spokojnie, w przeciwieństwie do ostro broniącego stanowiska literatów Kisielewskiego.

Żeromski był głównym mówcą delegacji pisarzy i przemawiał kilka razy. Z jego przemówień zapamiętałem treść tylko pierwszego, najsilniejszego i zasadniczego. Próbuję je nieudolnie odtworzyć. Tak mniej więcej brzmiało: Postąpienie kardynała dowodzi, że słusznie padały głosy, m.i. samego mówcy, iż należy się wstrzymać ze sprowadzeniem zwłok Słowackiego do kraju. Jednakże na zniewagę wyrządzoną poecie społeczeństwo musi dać odpłatę jego przeciwnikom. Odpowiedzią powinno być manifestacyjne sprowadzenie zwłok, manifestacyjny pogrzeb i pochowanie w Tatrach, jedynym poza Wawelem miejscem godnym wiecznego spoczynku.

Co było treścią argumentów Kisielewskiego i Micińskiego, nie pamiętam. Ze strony Komitetu przemawiał przede wszystkim dr Góra, inicjator obu spotkań z pisarzami. Polemizując z projektami literatów apelował o cierpliwość i o konsekwentną walkę za Wawelem, gdzie prędzej czy później stanie grobowiec poety.

I tym razem nie osiągnięto porozumienia. Komitet nie zgodził się na zmianę stanowiska zajętego od samego początku swojej działalności, miał za sobą opinię większości kulturalnego społeczeństwa i uchwałę Obywatelskiego Komitetu, rozporządzał funduszami przeznaczonymi i wyraźnie zastrzeżonymi na grobowiec w wawelskiej katedrze, postanowił więc nadal torować zwłokom Słowackiego drogę na Wawel. Decydował się nawet na długie przeczekanie, gdyż zaden kardynał nie był wieczny.

Wspomniałem, że wybrany w kwietniu 1909 r. Obywatelski Komitet miał się zwrócić do kardynała Puzyny po oficjalną i ostateczną odpowiedź w sprawie wawelskiej. Tego z niewiadomych powodów nie wykonał. Od tej odpowiedzi uzależniała zakopiańska grupa pisarzy dalsze postępowanie. Oburzony niedbalstwem, Żeromski skierował wraz z Sieroszewskim pismo do Akademickiego Komitetu. Treść dowodzi, że pomimo różnicy zdań miał do niego pełne zaufanie, a przede wszystkim do przewodniczącego dra Góry. Oto tekst:

Do Komitetu Akademickiego Sprowadzenia Zwłok Juliusza Słowackiego do Kraju.

Szanowni Panowie!

Wybrany na wiosnę roku bieżącego pełny Komitet Obywatelski, który podjął się dokonać dzieła sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, nic dotąd nie uczynił, ażeby wywiązać się ze swych zobowiązań, a nawet nie przeprowadził swoich własnych uchwał, jako to:

1. nie uskutečnił kooptacji osób ze wszystkich zaborów według przedstawionej przez się i uchwalonej listy;
2. nie zwołał wiecu na początek września r.b., jak to Prezydium Komitetu w sierpniu r.b. postanowiło;
3. nie zwrócił się do ks. kardynała Puzyny z prośbą o ostateczną odpowiedź w sprawie pozwolenia złożenia zwłok Poety na Wawelu.

Wobec tego, że powyższe dowody zaniedbania obowiązków miały miejsce wbrew naszym chęciom i usiłowaniom, co zaznaczyliśmy dwukrotnie w listach naglących do Prezydium Komitetu Obywatelskiego, podpisanych przez członków tegoż: Jana Kasprówicza, Wacława Sieroszewskiego i Stefana Żeromskiego, nie widzimy w tej sprawie innego wyjścia, jak zwrócić się do Komitetu Akademickiego z gorącym wezwaniem, ażeby sprawę sprowadzenia zwłok Poety do kraju wzięł ponownie w swe ręce, wycofał fundusze przekazane Komitetowi Obywatelskiemu i jako inicjator całej sprawy odpowiedzialny przed społeczeństwem doprowadził w jak najkrótszym czasie do rozwiązania Komitetu Obywatelskiego oraz postarał się na wiecu *ad hoc* zwołanym o wybór nowego Komitetu, złożonego z artystów, pisarzy i ludzi gorąco tej sprawie oddanych ze wszystkich trzech zaborów, który by dzieło na nowo podjął i do skutku doprowadził.

Zakopane, d. 14 X 1909

Wacław Sieroszewski
wiceprezes Kom. Obywat.

Stefan Żeromski
członek Komitetu Obywatel.

W kilka dni później Żeromski wyjechał do Paryża. Tam w listopadzie otrzymał od Sieroszewskiego wiadomość o odmownej odpowiedzi kardynała. Wtedy wraz z Arturem Górskim, Strugiem, Wyrzykowskim, Nalepińskim, Janem Hemplem i Bronisławem Piłsudskim przystąpił do ułożenia tekstu listu otwartego *W sprawie sprowadzenia zwłok J. Słowackiego*¹².

D O D A T E K

Z LISTÓW OTRZYMANÝCH PRZEZ KOMITET AKADEMICKI¹

zestawił Stanisław Pięć

Ocalałe resztki archiwum Komitetu Akademickiego mają wagę nie tylko przez to, że ujawniają udział tej czy owej wybitnej osobistości w akcji, że ukazują protagonistów kultu Słowackiego. Pozwalają one zarazem odślonić warunki jego i wymiary społeczno-ideologiczne, a zatem zrozumieć całe to wydarzenie głębiej jako charakterystyczne ogniwo w życiu kulturalnym narodu. Pomysł sprowadzenia w owym momencie prochów Słowackiego na ziemię polską potknął się na trudnościach nieoczekiwanych. Natura tych trudności była różnorodna.

Szkopuł leżał nie tylko w tym, że publicznego uczczenia poety majestatycznym pogrzebem chciała porwacza młodzież, a ociągali się z tym starzy. Sienkiewicz, jeden z pierwszych inicjatorów, do młodych już nie należał. I nie tylko w tym, że chcieli

¹² *Kalendarz*, s. 271.

¹ Oryginały wszystkich podanych tutaj listów znajdują się w dziale rękopisów Biblioteki Jagiell., pod sygn. Akc. 203/61.

świeccy, a opór przyszedł ze strony sfer kościelnych, boć wśród owoczesnych duchownych nie brakło wielbicieli Słowackiego, którzy umiłowaniu swemu dawali świadectwo słowem drukowanym, takich jak ks. Makłowicz czy Ciemniowski, o Bandurkim już nie mówiąc. W grę wchodziły więc inne jeszcze względy.

I nie ten również wyłącznie, że uczczenia pogrzebem królewskim chcieli wielbiciele geniuszu poetyckiego autora *Króla-Ducha*, a zastrzeżenia mieli ci, co się do twórczości tej odnosili krytycznie. Od członkostwa honorowego w Komitecie uchylili się w sposób dość opryskliwy sam Małecki. Niewątpliwie nie to także wyłącznie zawazyło, że pogrzebem majestatycznie zaplanowanym chciano wymierzyć sprawiedliwość twórcy przesłanianemu tak długo przez geniusz Mickiewicza, choć nie można oczywiście wyłączać, że niejaki echo tych przebrzmiałych emigracyjnych kontrowersji mogło odbić się w fakcie uchylenia się od udziału w akcji Władysława Mickiewicza. Jako też z drugiej strony tym niechybnie względem tłumaczyć by należało, że młody zespół Komitetu nie zaprosił do udziału, w ogóle nawet się nie zwrócił do Józefa Treliaka, tzn. tego poważnego przecież badacza, który w wydanej właśnie monografii obszernie potraktował problem „antagonizmu wieszczów”, nie kryjąc zastrzeżeń co do niektórych cech charakteru młodego Słowackiego. Niepomiarowanie gwałtowna reakcja, jaką wywołała jego dwutomowa monografia, w tej właśnie atmosferze dopiero da się należycie wyrozumieć. Dawna parcjalność uczuciowa najwyraźniej nie była jeszcze całkowicie wygasła. Ale przecież i nie ona ostatecznie tutaj decydowała.

Obok tych wszystkich względów, a bodajże ponad nimi wszystkimi, wchodziły w grę i decydowały dwa inne.

Wyrazistszy i najłatwiejszy do uchwycenia był ten, którego źródła upatrywać należy w orientacji społeczno-politycznej. Generacja młoda czciła Słowackiego przede wszystkim jako ducha „wiecznego rewolucjonistę”, jako namiętnego krytyka szlachetczyzny, a wielbiciela — dość mgliście zresztą określanego — ludu, jako przeciwnika wstecznictwa i stagnacji, wierzącego, że ludy „jak łańcuch żurawi” idą w postęp. Jeszcze wyraziściej bodajże działał tam urok poety jako piewcy walki zbrojnej o niepodległość narodu, jako patrona tych wszystkich najgorętszych, co „o miecz proszą, tak jak o jałmużnę”. To wszystko mając na uwadze zrozumiemy dopiero należycie, co leżało w gruncie rzeczy za zdawkowymi pretekstami uchylającego się Tarnowskiego. Pogrzeb Słowackiego w Krakowie byłby naówczas gwałtowną i potężną manifestacją przeciwko dążnościom ugodowym. Choć niewątpliwie nie bez swoistego smaku jest fakt, że opowiadał się za nim J. Kościelski, nie taki tam znów najgorętszy niepodległościowiec.

Nie można wreszcie tracić z uwagi względu najwyższego, względu, który ważył wśród najgłębiej czujących, najszlachetniejszych i najwrażliwszych na nakazy powinności narodowej. Stawiali oni pytanie jakże istotne: czy się godzi prochy tego nieustępliwego buntownika i szermierza wolności sprowadzać do Polski jeszcze niewolnej, chować je w ziemi tego czy innego zabóru, akt pogrzebowego hołdu uzależniać od zezwolenia tego czy owego członka dynastii grabieżniczych? Takie zastrzeżenia, takie opory łączyły najczujniejszych strażników godności narodowej. Schodzili się w tym przecież, jak jeszcze zobaczymy, ludzie najczcigodniejsi: T. T. Jeż, S. Witkiewicz, także Żeromski i Pawlikowski, to znaczy ci dwaj, których późniejsze, przypadkowe raczej starcie się stanowić będzie punkt kulminacyjny całej tamtej przygody narodowej.

Te tak rozmaite kontrowersje stanowisk dojdą do głosu mniej lub więcej otwarcie w kilkunastu wypowiedziach listownych, które z dochowanej części archiwum Komitetu Akademickiego wybieramy tu jako najwyrazistsze i najznamienniejsze.

Listy wybrane ujmujemy w porządek chronologiczny.

LISTY

1

Do Szanownego Komitetu dla Sprowadzenia Zwłok J. Słowackiego.
Głosuję za złożeniem jego drogich zwłok w kościele Św. Jana w Warszawie.

Ta Warszawa, dla której on uczuwał afekt prawie synowski, za którą tęsknił, którą opiewał tak często, której wreszcie ofiarował jeden ze swoich poematów w tak cudnie pięknym wierszu, niech posiadzie jego szczątki. Należy się to tej żalosnej wdowie polskiego ludu, tej Matce w żałobie, która dziś wstała z klęczek i włożyła na głowę tę koronę, co z głowy jej nigdy nie spadła, koronę narodowego odrodzenia.

On, który mocno w to wierzył i zagrzewał do wiary biednych i maciuchkich, niech spocznie tu między nimi i niech z tych drogich popiołów wstanie Feniks nowej Polski. W sercu tej Polski miejsce dla Króla-Ducha.

Co do składek na kosztą pogrzebu i pomnika radziłbym Sz. Komitetowi, aby założył tu filię albo uprosił którejś z Redakcyj, bo z tak drobnymi kwotami niepodobna poselka do Krakowa.

Życząc gorąco powodzenia łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Warszawa 9 XII 907

Kanonia 8

W. Rapacki
art. dram.

2

421 W. Avenue 37-th, Los Angeles, California, USA²,
25 grudnia 1907

Słowacki jest przypuszczalnie zbyt zajęty obecnie, aby mógł dbać o to, co się dzieje z resztkami zniszczonego ciała, które dla niego nie ma większego znaczenia niż dla nas buty znoszone i podarte. Jeśli zatem sprowadzamy jego zwłoki, to nie hołd dla niego, lecz demonstracja narodowa, dowodząca uznania jego zasług. Gdy te zasługi Króla-Ducha są największe ze znanych w życiu narodu, jedynie Wawel może odpowiadać doniosłości tego krótkiego a ogromnego pieśni żywota. Skałka starczy Wyspiańskiemu i Polowi, na Wawelu obok zwłok Mickiewicza spocząć winna trumna Słowackiego na znak pojednania tych dwóch królewskich duchów. Wszystko za tym przemawia, chyba jeden Tretiak założyłby ruski protest, a Tarnowski by go poparł.

W. Lutosławski

² Tekst na karcie pocztowej.

3

Poznań, 26 III [19]08

Szanowny Panie.

Gdy list Pański z 19 bm. nadszedł tu, byłem obłożnie chory, dzisiaj niemal prosto z łóżka jadę do Berlina na posiedzenie Izby Panów. Nie mogłem więc i nie mogę zająć się sprawą poruczoną mi. Książę Ferd. Radziwiłł bawi obecnie w Rzymie, ale chętnie podpisuję pod każdy skrypt odnoszący się do umieszczenia zwłok Juliusza na Wawelu.

Sprawa będzie ciężka, bo ks. kardynał Puzyna na pewno jest pod wpływem ludzi, którzy to najęli Tretiaka, aby błotem obrzucił ideał gorąco czującej młodzieży, przeciw intrygom puszczyków nic nie wskóramy tymczasem. Mimo to udział we wszystkim wezmę, ale niestety nie osobisty, bo naprzód zdrowie mi nie dopisuje, a potem jestem *persona ingratissima* u ludzi, którzy tu decydują. Ks. kardynał już podczas conclave dowiedział, jak się podobne osoby traktuje.

Przepraszam za pośpiech, obowiązek najbliższy woła mię do Berlina. Za trzy dni wracam i służę, czym mogę.

Wyrazy wysokiego poważania

J. Kościelski

4

Wielmożny Pan Dr Stefan Góra
w Krakowie ul. Anny 5

Warszawa, d. 16 kwietnia 1908

Szanowny Panie.

Ze względów formalnych, zanim nasz Komitet Jubileuszowy Słowackiego otrzyma w tej lub innej formie legalizację od władz miejscowych³, upraszamy Szanowny Komitet Krakowski, aby tymczasem wszelkie komunikaty o swych zamierzeniach zechciał adresować jedynie i wyłącznie pod adresem Komitetu Kasy Literackiej w Warszawie (Nowy Świat 41) bez dodawania nazwy Komitetu Jubileuszowego Słowackiego.

Z wysokim poważaniem

I. Matuszewski

5

Do Szanownego Komitetu Uczczenia 100-letniej Roczniczy Urodzin Juliusza Słowackiego⁴ w Krakowie.

³ Wiadomość o Komitecie Warszawskim i skład jego podano w drugiej części niniejszej publikacji.

⁴ List cały napisany ręką Ign. Matuszewskiego, podpisy oba własnoręczne.

Warszawa, d. 23 lipca 1908

Załączając przy niniejszym kopię zawiadomienia, jakie Prezydium Komitetu Jubileuszowego J. Słowackiego przeznaczyło do umieszczenia w pismach, mamy zaszczyt donieść Szanownym Panom, że ogólna narada nad dalszym sposobem prowadzenia tej sprawy odbędzie się już po wakacjach.

O rezultacie tej narady Prezydium w swoim czasie zawiadomi Szanownych Panów.

Z wysokim poważaniem
Z. Przesmycki
Ig. Baliński

6

Kraków, 13 III [1]909

Szanowny Panie.

Dziękuję za zaproszenie, muszę zarazem stanowczo oświadczyć, że mój wiek, mój czas i moje zdrowie nie pozwalają mi przyjąć miejsca w Komitecie.

Z całym poważaniem
St. Tarnowski

7

Zakopane, 13 III [19]09
u Chramca

Jaśnie Wielmożni Panowie.

Dziękuję uprzejmie za nadesłane mi pismo dotyczące sprowadzenia zwłok Słowackiego i zastosuję się do woli Panów.

Tylko rad bym wiedzieć, czy stoi to w związku z posiedzeniem odbytym w Zakopanem 28 II, na które zaproszono wszystkich będących obecnie w Zakopanem literatów z wyjątkiem mnie.

Z wysokim szacunkiem
Kaz. Przerwa Tetmajer

8

Szanowni Panowie.

Na odezwę z d. 6 marca r.b. pospieszam z odpowiedzią, że nie mam zamiaru uczestniczyć w Komitecie wiadomym.

Lwów, d. 16 marca 1909 r.

Z poważaniem
A. Małecki

9

Paryż, 16 marca 1909 r.
7, rue Guénégaud

Szanowny Panie.

Proszę mię wykreślić z liczby członków Waszego Komitetu, ponieważ na jeden z głównych punktów nadesłanej mi odezwy nie podpisuję się. Łączę wyrazy szacunku.

Władysław Mickiewicz

10

Lwów, 17 III [19]09
ul. 3 Maja 5

Szanowny Komitet Akademicki Sprowadzenia Zwłok J. Słowackiego.

Proszę uprzejmie na współdziałanie moje w akcji podjętej przez Panów — o której raczyliście mnie Panowie uwiadomić pismem z dnia 6 III b.r. — nie liczyć; pomijając bowiem brak czasu jestem zasadniczo przeciwny sprowadzaniu zwłok Słowackiego w chwili obecnej.

Z wysokim szacunkiem

Dr Jan Gw. Pawlikowski

11

Do Akademickiego Komitetu Sprowadzenia Zwłok Słowackiego do Kraju.

Szanowni Panowie.

23 listy do członków byłego Komitetu Warszawskiego otrzymałem. Nie mam adresu ani jednego z tych panów, były sekretarz Kom. Warsz., p. Baliński, również ich nie posiada. Kasa Literacka wobec oficjalnego rozwiązania Komitetu podjąć się przesłania nie mogła. Dopiero przy pomocy kursora tejże Kasy uda mi się dziś i jutro listy wszystkie adresatom dostarczyć. Stąd zwłoka i w załatwieniu sprawy, i w odpowiedzi.

Kosztów nie ponoszę żadnych. Wspominam o tym z ostrożności, gdyż wbrew słowom listu żadnego „załączenia” w mej kopercie nie było.

Wykaz stowarzyszeń polskich pod zaborem rosyjskim mogłaby Panom zgotować jedynie chyba Kasa Literacka (Nowy Świat 41) lub Towarzystwo Kultury Polskiej (Krucza 5). Sądzę, że obie te instytucje chętnie służyć będą Sz. Panom współdziałaniem swoim.

Łączę wyrazy głębokiego poważania.

17 III [19]09

W. Berent

12

Do Akademickiego Komitetu

Sprowadzenia Zwłok J. Słowackiego do Kraju w Krakowie.

Z wielkim żalem donoszę, że z powodów leżących poza moją wolą nie mogę przyjąć zaproszenia do udziału w Komitecie, jakkolwiek samo już wezwanie uważam dla siebie za zaszczytne.

Łączę wyrazy poważania.

Warszawa, d. 21 marca 1909 r.

Miłosz Kotarbiński

13

Szanowni Panowie.

Przyjmuję zaproszenie, jakim mnie Akademicki Komitet Sprowadzenia Popiołów Juliusza Słowackiego do Krakowa zaszczyca. Ubolewam, że zły stan mego zdrowia nie pozwala mi być użyteczną sprawie tej w takiej mierze, jak bym pragnęła tego.

Z bratnim pozdrowieniem

Graz, d. 21 III 1909

Maria Konopnicka

14

Marca 31 1909
Bay Island Club
Newport Beach C.A.

Szanowni Panowie.

List załączony żoną moją, p. Modrzejewska, podpisała na łożu boleści, będąc dotknięta ciężką i niebezpieczną chorobą i ogromnie osłabiona.

Z wysokim szacunkiem

Karol Chłapowski

Odezwa Komitetu nadeszła dopiero wczoraj.

15

Do Akademickiego Komitetu Sprowadzenia Zwłok Juliusza Słowackiego do Kraju.

W odpowiedzi na odezwę Szan. Komitetu z dnia 6 marca br. oświadczam, że wdzięczną jestem za włączenie mnie w liczbę członków Komitetu i zaszczyt ten przyjmuję z wdzięcznością.

31 III [1]909, Newport (Cal)

Helena Modjeska-Chłapowska

Prócz podanych wyżej i poza ogłoszonymi w *Jednodniówce* zachowało się w zbiorze jeszcze kilkanaście listów innych, już to bardziej lakonicznych i zdawkowych, już też dotyczących sprawy ubocznej (organizacji odczytów, spraw druku *Jednodniówki* itp.). Wymieniamy je w porządku alfabetycznym: L. Belmont, A. Bełcikowski, W. Bełza, Piotr Chmielowski (odmowa udziału), F. Rawita Gawroński, A. Górski, J. Kallenbach, W. Karoli, T. Kończyc, A. Kraushar, A. Krechowicki, K. Laskowski (El), L. Méyet, S. Niewiadomski, L. Rygier, M. Tarasiewicz.

II

STANISŁAW PIGOŃ

ZABIEGI O WZNIESIENIE SŁOWACKIEMU GROBOWCA W TATRACH

1

Nie ma tu miejsca, zresztą ani możliwości, by się kusić o przedstawienie w sposób udokumentowany tego niewątpliwie szczytowego okresu recepcji Słowackiego w Polsce, który przypada na czas około 1909 roku i związany był z setną rocznicą urodzin poety. Ograniczając się z konieczności do materiału zebranego, zajmiemy się jednym tylko epizodem, ogniskującym się wokół tak zwanego projektu tatrzańskiego, poddającego sprowadzenie prochów poety do kraju i zbudowanie dla nich grobowca w samotni wysokogórskiej. Epizod to drobny, ale jakże charakterystyczny. Wybłysnął i spłonął jak rakietą. W krótkim dramatycznym spięciu ujawniły się w nim rozbieżne, a dla owej doby wysoce charakterystyczne postawy intelektualne, uczuciowe, a nawet ideologiczne, współdziałające w schyłkowym okresie generacji młodopolskiej.

Wiadomo, że w generacji owej temperatura kultu Słowackiego osiągnęła najwyższy chyba poziom. Epizod, którego przebieg nas tu zajmie, wiąże się z końcowym stadium inicjatywy, przedstawionej już pokrótce przez J. Zborowskiego, a planującej pogrzeb Słowackiego w Tatrach. Pomysł ten związany jest w pamięci ogółu z nazwiskiem autora *Dumy o Hetmanie*. W próbie zrealizowania go jemu rzeczywiście przypadła rola przednia, choć — jak już wiemy — nie on był jego właściwym twórcą i inicjatorem. Dalsze dopiero koleje sprawy wysunęły go na czoło. W ogóle bowiem powiedzieć trzeba, że nazwisko Żeromskiego ze sprawą hołdu jubileuszowego Słowackiemu związało się znacznie przed utarczkami krakowskimi i od nich niezależnie.

Zabiegi o sprowadzenie prochów poety do kraju mają historię wcale długą. Zaczęły się one i do głosu publicznego doszły jeszcze u schyłku XIX w., niewątpliwie jako refleks rocznicy mickiewiczowskiej. Myśl znalazła gorliwych zwolenników wśród młodzieży literackiej, skupiającej się w środowisku krakowskim wokół „Życia”, młodej „Krytyki”, potem „Młodości”. Rzecznikami jej byli tu Kazimierz Tetmajer, Jan Sten, także Władysław Orkan. Wczesnym wyrazem stały się wystąpienia w prasie. W szczególności tej myśli służyć miał osobny, poświęcony Słowackiemu numer „Nowej Reformy” z d. 28 października 1897 r. z artykułami T. Konczyńskiego, J. Stena i in. Pomieszczona tam odezwa K. Tetmajera *W sprawie sprowadzenia zwłok J. Słowackiego* miała szerszy oddźwięk, przedrukowało ją wnet redagowane przez T. T. Jeża „Wolne Polskie Słowo”, Paryż 15 listopada 1897¹. Z tych to sporadycznych początkowo

¹ Poza tym przypomnieć należy choćby kilka pozycji: przemówienie L. Rydla nad grobem poety w Paryżu (druk „Wolne Polskie Słowo” z d. 15 IV 1897); obchód paryski 1898 r. z przemówieniami Miriama, Kościńskiego (relacja i polemika z T. T. Jeżem, tamże, 1898, nr 5 IV, 20 IV i 5 V); w kraju zaś odezwy w „Życiu”: pseudonima, 1897, nr 6; St. Pieńkowskiego, 1898, nr 19—20.

impulsów zawiązał się ostatecznie w r. 1903 Krakowski Komitet Akademicki pragnący sprząc zabiegi w trwały, konsekwentny ciąg. Działalność jego, początkowo niezbyt skwapliwa i raczej przewlekła, wzmożła się w roku akademickim 1907/8 w związku ze zbliżającym się rokiem jubileuszowym.

Nie była zresztą wtedy już odosobniona, sprawą jubileuszu zajęto się również we Lwowie i w Warszawie. To zwłaszcza ognisko nas tu obchodzi. Z inicjatywy Kasy Literackiej już z początkiem 1908 r. zawiązał się w Warszawie komitet osobny pod przewodnictwem I. Balińskiego (prezesa Kasy) i Z. Przesmyckiego. W 3 zeszytcie „Witczia” (z 1 III 1908) znaleźć można podany jego skład. Obejmował osób czterdzieści (m. in. W. Berent, I. Chrzanowski, A. Górski, A. Krasinski, I. Matuszewski (sekretarz), L. Méyet, Sienkiewicz, a także i Żeromski). Ale już w kwietniu tego roku zabiegi o legalizację skończyły się niepowodzeniem. Komitet z rozkazu władz rządowych musiał się rozwiązać.

Niemniej na wstępnych jego zebraniach stanowisko zespołu ujawniło się wyraźnie. Wiemy o tym z relacji właśnie Żeromskiego. W lutym 1918 r. w swym *Projekcie Akademii Literatury Polskiej* wspomina on o tej sprawie przygodnie:

„Należałem — czytamy — do nielicznej grupy piszących (Wacław Berent, Artur Górski, Ignacy Grabowski, Jan Lorentowicz, Ignacy Matuszewski, Zenon Przesmycki, Stanisław Wyrzykowski), która sprzeciwiła się usilnie na publicznym zebraniu w Warszawie sprowadzeniu popiołów wielkiego poety do kraju, zanim duch jego nie został sprowadzony, a nawet w całości nie ogłoszone dzieła. Uchwalono tam jednak ogromną większością głosów², ażeby te popioły do kraju sprowadzić”³.

Jako za miejscem pochowania prochów opowiedziano się za Warszawą. Z dalszych wypowiedzi Żeromskiego widzimy, że ostatecznie przychylił się do woli większości. „... solidaryzowałem się — pisze — z grupą zwolenników uczczenia poety [...] za pomocą postawienia w Warszawie monumentalnego teatru dla tragedii i dramatu, wydania krytycznego, kompletnego, zupełnego i nie obliczonego na zyski zbioru dzieł wieszczą, a wreszcie sprowadzenia zwłok jego do Warszawy”⁴.

Zakaz władz rosyjskich stłumił głosy zarówno większości, jak i mniejszości, o Warszawie jako miejscu grobowca nie było co mówić. Cała w ogóle inicjatywa skupić się musiała w Krakowie. Tutejszy Komitet Akademicki stał się w ten sposób jedynym jej ogniskiem. Wypadło teraz ognisko to rozłożyć szerzej i silniej rozpalic. Trzeba było wyjść poza opłotki akademickie, zorganizować większy ośrodek decydujący i wykonawczy w oparciu o sfery społeczne.

Komitet Akademicki rozesłał był więc do większej ilości dobranych osób zaproszenie do uczestnictwa w całej podejmowanej sprawie, a tych, co od udziału się nie uchylili, zaprosił na pierwsze zebranie organizacyjne. Odbyło się ono 12 marca 1909 r. w sali Kopernika Uniw. Jagiell. Sprawozdawca „Czasu” nie omieszkał zaznaczyć koścycznie, że nie było zbyt okazałe: „Przybyłym na zebranie w szczupłej liczbie przewodniczył Kazimierz Bartoszewicz”. Sprawę miejsca pogrzebu wyłączono na razie z obrad, zostawiając co do tego swobodę wybranemu właśnie teraz Komitetowi ścisłszemu. Weszli doń, jak podano w „Czasie”, „wszyscy inicjatorzy dzisiejszego zebrania, podpisani na zaproszeniach, oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent miasta i reprezentant Komitetu Ogólnoakademickiego”. Tak sformowany Komitet dopiero miał rozszerzyć krąg współuczestników, zorganizować należyte forum decydujące.

² L. Méyet, uczestnik obrad, w liście z d. 8 I 1910 (zob. niżej) twierdzi, że pomysł pogrzebu w Warszawie uzyskał tam „bezw warunkową” jedynomyślność.

³ S. Żeromski, *Pisma literackie i krytyczne*, 1963, s. 6.

⁴ *Tamże*, s. 204.

Sproszono je na zebranie lepiej i szerzej przygotowane. Odkonano się w sali Rady Miejskiej 3 kwietnia. Było liczne i wielostronne. Uczestniczyli członkowie Rady Miejskiej krakowskiej, delegaci miasta Lwowa z prof. Dembińskim na czele oraz kilku innych miast, było kilku posłów, trzech delegatów z Warszawy, grono literatów (wśród nich Żeromski), malarzy, wreszcie reprezentanci młodzieży. Przewodniczył prezes „Sokoła”; Turski.

Co do miejsca pogrzebu, tutaj dopiero publicznie padło słowo oczekiwane: Wawel. L. Rydel jako główny referent sprawy omówił wysuwane dotąd projekty: warszawski i tatrzański, a wobec ich niewykonalności czy niestosowności uzasadnił jako jedyny właściwy: grobowiec w podziemiach katedry wawelskiej. Propozycję przyjęto jednogłośnie i realizację jej przekazano Komitetowi Obywatelskiemu, który teraz dopiero definitywnie się uformował. Wybrano go w szerokim składzie (czterdziestu), weszli doń m. in.: rektor Fierich, prezydent Leo, prof. Dembiński, W. Tetmajer, Wyczółkowski, Daszyński, Bojko, Kasprowicz, Konopnicka, Sieroszewski, Żeromski. Większą ilość reprezentantów zaboru rosyjskiego miano dokooptować później, czego zresztą nie dokonano.

Komitet odbył posiedzenie (również bez natłoku, przyszło osiemnastu) d. 16 maja, ukonstytuował się już definitywnie. Prezesem został Leo, jednym z wiceprezesów Sieroszewski, uchwalono uprosić marszałka S. Badenię na prezesa honorowego. Teraz zapewne postanowiono zredagować pismo do kardynała Puzyny i do kapituły krakowskiej z prośbą o zgodę na złożenie trumny Słowackiego w podziemiach katedry wawelskiej. Ale nastrój zebrania musiał być minorowy, liczone się już z odmową kardynała. Niebawem jawne się stało, że nie ma co do niej wątpliwości.

Toteż dalsze z kolei zebranie Komitetu, d. 25 maja, było bardzo burzliwe. Po zakomunikowaniu przez prezesa, że zabiegi o pogrzeb na Wawelu natrafiają „obecnie” na trudności, na sali zawrzało. J. A. Kisielewski wniósł, żeby na znak protestu zaniechać w ogóle myśli o obchodzie jubileuszowym, Sieroszewski wypowiedział się za tym, żeby członkowie Komitetu manifestacyjnie złożyli mandaty. Nie brakło dalszych wystąpień gwałtownych.

Żeromski uczestniczył w zebraniu i zabierał głos. Zdaje z tego sprawę w liście do żony:

„Wczoraj po południu byłem na zebraniu w magistracie w sprawie przewiezienia zwłok Słowackiego. Prezydował marszałek Badeni. Zakomunikował Komitetowi, że kardynał Puzyna nie puści Słowackiego na Wawel. Były mowy gwałtowne, oczywiście Sieroszewski walił z armat. Mówiłem i ja, mowę długą, zimną, cichą, z wywodem, że Słowacki powinien jeszcze leżeć na cmentarzu paryskim, gdyż duch jego nie jest sprowadzony do ojczyzny, że należy wydać jego dzieła, zbudować teatr... Obok mnie siedział Wyczółkowski i bił brawo. Moja mowa zrobiła silne wrażenie, przedstawiciele różnych obozów podłazili do mnie i przedstawiali się... Jakie to jednak wszystko podle, plugawe!...”

Jak widzimy, wrócił on do swego warszawskiego stanowiska wyjściowego: Nie naruszać prochów na cmentarzu Montmartre!

W tym roznamiętnieniu i rozbiciu prezydent Leo zapronował zebrany wyjście z trudności wypróbowanym krakowskim sposobem: niby to z niczego nie rezygnować, niby liczyć na ustępstwo kardynała, który przecież nie odpowiedział jeszcze na piśmie, a tymczasem przygotowywać obchód nie przesądzając sprawy pogrzebu. Wniosek brzmiał: „Wobec niemożności przeprowadzenia obecnie tego aktu pietyzmu zgodnie z wolą narodu Komitet uchwali podjąć wszelkie starania, aby gorącemu życzeniu narodu stało się najrychlej zadość”. Na tym też stanęło. Badeni i Leo przyrzekli instancje, ale złudzeń nie było. Zebrani rozeszli się w przygnębieniu i gniewie. Wnet

zresztą sytuacja się zaostrzyła, sprawa wyszła na ulicę. Po protestacyjnym wiecu akademickim d. 22 czerwca policja rozproszyła pochód młodzieży, byli ranni i pobici⁵. W Komitecie mimo wszystko ludzono jeszcze siebie i innych, obiecywano wznowienie obrad czy to w sierpniu, czy we wrześniu, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Minęło w ten sposób kilka miesięcy.

Zeromski nie mógł tego znieść spokojnie. Z ogłoszonego powyżej listu jego do Komitetu Akademickiego z d. 14 października widzimy, że wraz z Kasprowiczem i Sieroszewskim dwukrotnie odnosił się do Komitetu Obywatelskiego, a nic nie uzyskawszy wysunął projekt jego rozwiązania i już teraz pragnął wszcząć akcję zbiorową właśnie koło wznowienia projektu tatrzańskiego. Sam już się z nim opowiedział. Wyjechał zresztą wnet do Paryża i tam to dopiero z niewielkim gronem współinicjatorów począł realizować pomysł ten na innej drodze. W tej potrzebie przerwał nawet na jakiś czas pracę nad tworzeniem *Sułkowskiego* i z przyrodzoną pasją oddał się tej zaczętej sprawie.

2

Żeby wyjaśnić sobie stan rzeczy, zwrócił się Żeromski z Paryża do Sieroszewskiego o wiadomość, czy istnieje definitywna już odmowa co do Wawelu. Dowiedziawszy się, odpisał d. 19 listopada 1909 r.: „Dziękuję Ci za wiadomość o odpowiedzi Lea. Potrzebny nam tu będzie albo oryginał tej odpowiedzi, albo jej odpis dosłowny, gdyż zamierzamy wystąpić z publiczną odezwą w tej sprawie [...] Dziś właśnie mamy zebranie (Artur Górski, Strug, Wyrzykowski, Nalepiński, Jan Hempel, Bronisław Piłsudski i ja)”. A więc poznajemy inicjatorów paryskich siedmiu. Wszyscy byli teraz za Tatrami. W ich to imieniu Żeromski oddał na potrzebę sprawy swe brylantowe pióro. Podjął się napisania odezwy. Tekst *Listu otwartego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego* zachował się w brulionie; widzimy, że autorem jego był rzeczywiście Żeromski. On sam o tym tak mówi: „...wyznaczony przez grono inicjatorów projektu [...] do napisania odezwy, jestem autorem jeśli nie samego projektu, to odezwy właśnie”⁶. I później raz jeszcze: „Wskutek wyboru grupy pisarskiej, podówczas w Paryżu przebywającej, zredagowałem tekst wspomnianej odezwy”⁷.

Stało się to zapewne już pod koniec listopada, skoro w pierwszym tygodniu grudnia próbny jej nakład został wydrukowany, a sekretarz zespołu już przed połową miesiąca gotową i opatrzoną podpisami inicjatorów zaczął rozsyłać do wybranych osób z propozycją dołączenia się do podpisów⁸. Ze sprawozdania Hempla wiemy, że początkowo miało ich być 99, wnet jednak ten *numerus clausus* nieco rozszerzono. Znowu Sieroszewskiemu donosi o tym Żeromski d. 15 grudnia: „... nasz sekretarz Hempel wysłał [ci] wczoraj odezwę w sprawie Słowackiego, którą racz podpisać i odesłać jak najprędzej. O rezultacie całej sprawy powiadomimy was. Zwracamy się do stu z górą literatów, malarzy, rzeźbiarzy, od Sienkiewicza do najmłodszego poety. Może się uda tę sprawę przeprowadzić”.

Rozsyłka zorganizowana została sprawnie. Odezwę adresowano indywidualnie, choć z listu Lorentowicza dowiadujemy się, że pakiet odezwy dla wybranych osobisto-

⁵ Relacja w „Naprzodzie”, nr 174 z d. 23 VI 1909.

⁶ *Pisma literackie i krytyczne*, s. 203.

⁷ *Tamże*, s. 62.

⁸ Organizatorzy dobierali zespół zaproszonych do wypowiedzi z rozmysłem. Że nie było wśród nich Stanisława Brzozowskiego, to nie dziwi. Ale uderzyć musi, że nie było także Stanisława Przybyszewskiego.

Na wrony r. b. wstany został w Krakowie wiec, który
jednogłośnie uchwalił, że w tym roku 1909, w dniu jubileu-
leuszowym Juliusza Słowackiego, prochy jego mają
być sprowadzone do kraju i złożone w grobach krakowskich
na Wawelu. Komitet obywatelski, wybrany na tym wiecu,
na posiedzeniu plensarzem w czerwcu r. b. przedstawił wie-
domości publicznej od swego przewodniczącego, p. Marce-
ka Krajca, że króć Biskup krakowski nie zgadza się na
złożenie prochów Słowackiego w grobach wawelskich. Wobec
tego stawiano na tem posiedzeniu dwa zasadnicze wnioski:
1) złożenia przez członków Komitetu obywatelskiego wnios-
ków i odwołania się w tej sprawie do społeczeństwa, 2) wy-
stąpienia do Kardynała Biskupa krakowskiego delega-
cji, z prośbą o kategoryczną zgodę lub odmowę. Przy-
jęty jednakże wótek wrony dnia, protokół wypracowy-
wany przez p. Prezydenta miasta Krakowa, w tym duchu, aby
niekiedy przez drogę i sposobem wytkania grobu dla Wawelu
Pomocni Pomocni wrony ten projekt ucałować wyrażono,
głównie, wstępując Komitetu obywatelskiego skrytyczną
wskazywał. W ciągu lata i jesieni r. b. ^{owat się} ~~przebiegał~~ jak
wiadomo, sprawa i na zgromadzeniach przez głośnie
i uchwalił, domagający się, edukacyjne złożenie prochów
na Wawelu. Obecnie wiec-proces Komitetu obywatels-
kiego, p. Władysława Trepczyńskiego, na swój toż wrony i imię
członkami Komitetu wystawiany do prezydium z
względnym naleganiami o wyjaśnienie sprawy, który
miał od w d. 21 października r. b. ^{z krakowskiego Królestwa} ~~z Krakowa~~
miasta Krakowa

Brulion odezwy S. Żeromskiego
w sprawie sprowadzenia prochów J. Słowackiego do Tatr, s. 1

ści warszawskich nadszedł był na jego ręce z prośbą o dalsze rozesłanie. Egzemplarzom towarzyszyły imiennie adresowane listy z prośbą o podpis i zgodę na jego ogłoszenie. List brzmiał:

Paryż, dn.... grudnia 1909

Szanowny Panie

W załączeniu mamy zaszczyt przesłać tekst listu otwartego do społeczeństwa polskiego w sprawie przeniesienia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju.

Jeśli Sz. Pan zgadza się na wyrażony tam projekt, prosimy uprzejmie o łaskawe podpisanie listu i odesłanie go do Paryża przed dniem 10 stycznia 1910 pod następującym adresem: Mr Jean Hempel, 5, rue Le Regrattier, Paris (IV^e).

Pismo niniejsze przesyłamy jednocześnie kilkudziesięciu najwybitniejszym pisarzom i artystom polskim; po uzyskaniu Ich podpisów podamy ów *List*, wraz z podpisami, do wiadomości powszechnej.

Ponieważ ta sprawa i tak będzie poruszana publicznie, więc tymczasem prosimy o łaskawe zachowanie dyskrecji, aby rzecz przedwcześnie nie dostała się do dzienników.

Mając nadzieję, że Sz. Pan nie odmówi poparcia swego sprawie o tak doniosłym powszechnonarodowym znaczeniu, pozostajemy z poważaniem.

Artur Górski, Jan Hempel,
Wilhelm Mitarski, Tadeusz Nalepiński,
Andrzej Strug, Stanisław Wyrzykowski,
Stefan Żeromski

Z podpisów widzimy, że Bronisław Piłsudski wycofał się spośród inicjatorów projektu, nie przestając zresztą być jego zwolennikiem. Na to miejsce dobrano dość przypadkowo W. Mitarskiego.

Szczegółowy wykaz adresatów zestawiony przy generalnym sprawozdaniu sekretarza wskazuje, że ostatecznie listów takich z odezwaniami rozesłano 112.

Niebawem zaczęły egzemplarze wracać do Paryża z podpisami lub bez nich; do niektórych dołączone zostały osobne listy uzasadniające czy to akces, czy też odmowę udziału w akcji.

Cały ten materiał korespondencyjny jest dzisiaj dostępny. Staranny i akuratny sekretarz Jan Hempel zgromadził pieczołowicie, a po skończeniu akcji ujął w osobną teczkę i złożył d. 5 czerwca 1910 r. jako depozyt w zbiorach paryskiego Muzeum Mickiewicza. Charakter zbioru wyjaśnił we wstępnej notatce. W tece podał sprawozdanie ostateczne z całej akcji⁹, zestawił szczegółowy rejestr załączonych dokumentów i zaznaczył, że przekazuje się je do Muzeum na razie w charakterze depozytu na przeciąg dwu lat. Jeżeli w ich ciągu nikt z grona inicjatorów (wymienił ich sześciu, bez Mitarskiego) nie odbierze w części lub całości, dokumenty mają przejść na bezwarunkową własność Muzeum. W ten sposób weszły też one w jego inwentarz (sygn. 939).

Teczka w czasie ostatniej wojny podzieliła tułaczę losy sporej części archiwaliów paryskiego Muzeum Mickiewicza i Biblioteki Polskiej i ostatecznie jako depozyt dostała się pod opiekę warszawskiego Muzeum Mickiewicza. Zachowała się nie uszkodzona ni uszczuplona. Z zespołu przynależnych tu listów brak tylko ośmiu, które już d. 23 czerwca 1910 r. wyjął był Żeromski.

W związku, jak się zdaje, z zamiarem szerszego omówienia całej tej sprawy napisał on do Jana Hempła:

⁹ Wyjmuję z niego jeszcze informację o stronie finansowej. Na fundusz potrzebny złożyli się inicjatorzy po 12 fr od każdego, co dało 84 fr. Z tego opłacono druk dwukrotny *Listu* (45 fr 50), koperty i koszty przesyłek (32 fr 05), wreszcie teczkę na dokumenty (1 fr 80). Zostało saldo 4 fr 65.

Szanowny i Drogi Panie!

Przepraszam, że się z Panem nie pożegnałem wyjeżdżając z Paryża, ale to nie było z braku sentymentu, tylko z braku czasu. Obecnie śmiem prosić, ażeby Szanowny Pan raczył mi przysłać trzy listy w sprawie Słowackiego, to jest: list Krzemińskiego, Konopnickiej i Orzeszkowej. Ja je później włączę do paczki w Bibliotece.

Sciskam dłoń Pańską.

S. Żeromski

Może Sz. Pan ma jakie ciekawe gazety, to proszę przysłać. Adres: Côte du Nord, via Perros Guirec à Ploumanach. Hôtel des Rochers¹⁰.

d. 23 VI 1910.

W rzeczywistości otrzymał on ich nie trzy, lecz osiem, wszystkie zawierające zgodę na podpis *Listu* i uzasadnienie zgody. Były to listy: W. Bukowińskiego, M. Konopnickiej, S. Krzemińskiego, B. Limanowskiego, B. Lepkiego, E. Orzeszkowej, F. Ruszczyca i M. Sokolnickiego. W sprawozdaniu osobno zrejstrował je znowu sumienny sekretarz. Do zespołu wszelako listy te już nie wróciły. Ale i one – z wyjątkiem jednego: Orzeszkowej – zachowały się w ocalonej części archiwaliów pisarza.

Dzięki łaskawej uczynności Dyrekcji warszawskiego Muzeum Mickiewicza i p. Moniki Żeromskiej mogłem dotrzeć do całości materiału, zorientować się w przebiegu sprawy, a w konsekwencji przygotować do wydania cały ten tak cenny materiał dokumentarny.

3

Należy mu się tutaj wszelako wstępne, choćby pobieżne omówienie.

Tekst *Listu otwartego* jest znany. Ogłoszony został współcześnie w prasie¹¹. Między utwory Żeromskiego zaliczył go W. Borowy włączając do tomu *Elegie i inne pisma literackie i społeczne* (1928), w wydaniu zbiorowym mieści się w tomie *Pisma literackie i krytyczne* (1963). Ujęciem jego nie ma co osobno tu się zajmować. Ponieważ w zbiorze zachował się brulion, pełen – jak zawsze u Żeromskiego – kreśleń i odmian, uznano za stosowne podać go tutaj częściowo choćby w podobiznie.

Jeżeli zaś o treść jego chodzi, jeden przede wszystkim szczegół wart jest podkreślenia.

Inicjatorzy paryscy nawiązali projekt swój do pomysłów wysuwanych w kraju. Tekst *Listu* wyraźnie na to się powołuje. „Od dawna – pisze tam Żeromski – pisarze nasi wskazywali na Tatry jako na grobowiec Juliusza Słowackiego [...] Różniono się tylko w wyborze miejsca”. Otóż inicjatorzy precyzują to miejsce i w tym jest ich novum. „Obecnie, po gruntownym zbadaniu i rozważeniu sprawy przez znawców Tatr, przyszlismy do przeświadczenia, że na taki grobowiec nadaje się najbardziej piramida granitowa turni Kościelca nad Czarnym Stawem”. Pominęli natomiast milczeniem – jak świadczy tekst *Listu* – zmianę drugą, ileż donioślejszą.

Ktokolwiek występował w kraju z tym projektem: Sienkiewicz, Szukiewicz czy kto inny, zawsze brał pod uwagę, że grób tatrzański poety będzie grobem wieczystym. Pomysł w tym jedynie ujęciu uderzał niezwykłością, ale też mógł mieć należyty majestat. Był czymś jedynym, niezwykłym, godnym osobistości wyjątkowej. Podobnie pojmowali to Czarnogórcy, taki właśnie grobowiec wybierając dla jedynego swego króla-poety, Nikity I (Niegoša, zm. 1921). Grobowiec jego w wysokiej ścianie skalnej, w wyniosłych rejonach samotności, wprawiony dobrze w ramy perspektywy,

¹⁰ Karta pocztowa z charakterystycznym widokiem z Perros-Guirec: wejście do jaskini skalnej przysposobionej na mieszkanie rodzinne z podpisem: „Les Troglodytes de Ploumanach”.

¹¹ Hempel podaje, że rozesłano go do 136 redakcyj.

związany z okolicą zakosami wspaniałej, umyślnie doprowadzonej drogi, wywiera niezapomniane wrażenie; potwierdzają to zgodnie wszyscy, którzy go mogli oglądać. Ale tam grobowiec związany jest z otaczającym go krajobrazem turni raz na zawsze i dominuje nad nim jako trwałe monument.

Tymczasem projekt grobowca Słowackiego w ścianie Kościelca pomyślany był jako pomieszczenie tylko przejściowe. „A gdy nadejdzie dzień wolny – taką zapowiedzią zamyka się odezwa – dzień godny jego niepodległej królewskiej harfy, poniesiemy go z tej górskiej pieczary, my lub potomni, do mauzoleum Krakowa czy do mauzoleum Warszawy”. Jakżeż można było nie wyczuć, że to jedno zdanie, jak fałszywy finał, psuje całą wzniosłość symfonii hołdu! Pieczara w turni Kościelca przestaje być monumentem wzniosłym przez to, że będzie trwał przez wieki, a staje się tymczasową poczekalnią. Odsuwając inne względy, ten jeden mógłby powstrzymać rękę w pierwszym odruchu nawet skłoną do podpisu.

Jakoż widzimy, że ten rodzaj plebiscytu, jakim miała się stać paryska akcja zbierania podpisów, nie wypadł nadmiernie tryumfalnie. *List otwarty* odbito ponownie w Paryżu (w lutym 1910 r.) już w kształcie definitywnym, z podpisami. Doliczymy się ich tam (nie biorąc w rachubę siedmiu inicjatorów) w sumie 52. Są to: Z. Bartkiewicz, A. Brückner, W. Bukowiński, A. Łada-Cybulski, J. Czubek, G. Daniłowski, T. Jaworski, J. Kasprówic, J. Kleiner, W. Konieczny, M. Konopnicka, W. Kozicki, S. Krzeźmiński, L. Krzywicki, A. Lange, J. Lemański, B. Leśmian, B. Limanowski, B. Łepki, F. Mączyński, A. Majkowski, J. Marcinowska, M. Markowska, I. Matuszewski, R. Minkiewicz, K. Młodzianowski, N. Młodziejowska-Szczurkiewiczowa, Z. Rygier-Nałkowska, W. Orkan, E. Orzeszkowa, N. Pajzderski, B. Piłsudski, M. Raczyńska, M. Rakowska, T. Rechniewski, J. Ruffer, F. Ruszczyk, W. Sieroszewski, A. Śliwiński, E. Słoński, M. Sokolnicki, E. Sokołowski, L. Solski, L. Staff, A. Szech, M. Szukiewicz, W. Szymanowski, E. Trojanowski, J. Witkiewicz, E. Wittig, M. Zaruski, A. Zelwero-wicz. Z opóźnieniem przysłali podpisy, tak że już nie zostali wydrukowani, dwaj: T. Miciński i K. Stabrowski. Łącznie więc za projektem rozwiniętym w odezwie opowiedziało się osób 54. Zaznaczyć wszelako nie zawadzi, że dwaj z nich: A. Łada-Cybulski i T. Rechniewski, nie figurowali w rejestrze adresatów, nie byli więc właściwie pytani przez inicjatorów o zdanie. Dowiedziawszy się skądś przygodnie o akcji, z własnego impulsu pospieszili się w nią włączyć. Słabe to głosy. Jeżeliby jeszcze odliczyć J. Lemańskiego, który się wahał, porał się z zastrzeżeniami i ostatecznie podpisał się zarówno z a, jak i przeciw, wypada stwierdzić, że głosów całkowicie ważkich i ważnych za projektem padło tylko 51. Do tej to liczby siedmiu inicjatorów dorzuciło swoje głosy.

Jak dotąd nie mogliśmy się jednakowoż dowiedzieć, że prócz opowiadających się za projektem byli także przeciwnicy. Niektórzy od podpisu po prostu się uchylili i zwrócili tekst inicjatorom, inni wyraźnie i dobitnie opowiadali się przeciw i stanowisko swe uzasadniali. Teka Hempla pozwala ustalić nazwiska i obliczyć ich ilość. Wypada z kolei wymienić te nazwiska oponentów. Byli to: W. Berent, O. Boznańska, A. Bronisławska, W. Bruchnalski, I. Chrzanowski, S. Dębicki, B. Dybowski, F. Faleński, W. Gasztowt, W. Hahn, A. Jabłonowski, J. Jedlicz-Kapuścieński, K. Krzyżanowski, W. Landowska, K. Laszczka, J. Lemański, S. Lenc, A. Leppla, A. Leszczyński, W. Lipiński, J. Lorentowicz, J. Malczewski, K. Maszkowski, J. Mehoffer, L. Méyet, W. Mickiewicz, Z. Miłkowski (Jeź), W. Nałkowski, A. Niemojowski, T. Niesiołowski, S. Noakowski, B. Ostrowska, J. I. Paderewski, J. G. Pawlikowski, T. Pawlikowski, I. Pieńkowski, E. Porębowicz, Z. Przesmycki (Miriam), S. Ptaszycki, I. Radliński, W. S. Reymont, Savitri (Anna Elzenberg), A. Grzymała Siedlecki, H. Sienkiewicz, T. Sinko, M. Sobeski, K. Szymanowski, A. Szymański, J. Ślewiński, K. Tetmajer,

W. Tetmajer, K. Tichy, J. Warchałowski, W. Weiss, S. Witkiewicz, W. Witwicki, M. Wolska, W. Wolski, K. Wroczyński, L. Wyczółkowski. Razem przeciwników 60. Jeżeli i tu odliczyć Lemańskiego, zostanie 59. W ten sposób ostateczne obliczenie głosów ważnych dałoby w wyniku stosunek 51 za projektem, przeciwko niemu zaś 59; w najlepszym nawet dla inicjatorów razie: 53 na 59. Tak się wypowiedzieli ci, na których zdaniu inicjatorom zależało jako na opinii dobranego areopagu.

Wolno przypuścić, że w tym stanie rzeczy inicjatorzy przystanęli na chwilę i rozważyli, co dalej począć; zdecydowali się zaś w sposób raczej nieoczekiwany. W sprawie tak doniosłej, mimo tak niekorzystnego układu opinii, postanowili opowiedzieć się za mniejszością, a zatem propozycję swą podtrzymać i nadać jej bieg dalszy. Propozycję tę, podpartą nazwiskami inicjatorów i opowiadających się za nią zwolenników, rozesłali do prasy, potraktowali jako autorytatywne wezwanie społeczeństwa do kontynuowania akcji.

Czym się przy tym kierowali? Może chcieli głosy nadesłane nie liczyć, ale ważyć? Ale i z odmierzeniem ciężaru gatunkowego nie szło łatwo. Za propozycją opowiedział się Brückner, ale przeciwko niej Bruchnański i Chrzanowski; za nią był Matuszewski, ale przeciw niej Miriam; za nią Krzemiński, ale Jeż przeciw; za był Wacław Szymanowski, ale Karol był przeciw; za nią Ruszczyk i Trojanowski, ale przeciw Malczewski i Wyczółkowski; za nią Konopnicka, Nałkowska, Kasprowicz, Orkan, Orzeszkowa, Sieroszewski, ale przeciw niej Berent, Faleński, Ostrowska, Reymont, przeciw byli Paderewski, Sienkiewicz i S. Witkiewicz, obaj ostatni obwołani jako inspiratorowie pomysłu. Odważyć sprawiedliwie ciężary autorytetów nie było więc łatwo; wolno by mniemać, że raczej szala przeciwników wydałaby się bardziej ważka.

Niemniej nie dbano o to. Dlaczego? Czy więc inicjatorzy sami przez się byli tak zdecydowanie zapaleni do swej myśli, że nie radzi by użyczyć chwili na chłodną refleksję? I to nie. Artur Górski w pierwszym porywie opowiadał się przecież publicznie z głębokim przekonaniem za Warszawą, sam Żeromski był, jak wiemy, najpierw za Paryżem, potem również za Warszawą, wreszcie za Wawelem; Tatry to dlań czwarty wariant pomysłu. Nie można też powiedzieć, żeby za inicjatywą przemawiały względy rzeczowe, czysto artystyczne. Nie da się zaprzeczyć, że Jan Gwałbert Pawlikowski, który niebawem w „Lamusie” trzeźwo przedyskutował cały projekt, argumentował racjami zasadniczo słusznymi: Grobowcowi w ścianie Kościelca, nie wyodrębnionemu z reszty krajobrazu, brakowałoby znamion głównych: samistości artystycznej, a zatem i monumentalności, zacierałby się on i nikał w otoczeniu. Zamiast imponującego dałby efekt raczej żalospny. Tymiż samymi względami już w czasie ankiety uzasadnił był swą odmowę Mehoffer. Racje nie były więc Komitetowi obce.

Poza czy nawet ponad artystycznymi mogły tu jeszcze wchodzić w grę względy innego wymiaru: patriotyczne czy uzasadniające się powinnością honoru kulturalnego. W tym atoli kierunku również nie brakło podstaw do rozważli i rozmysłu. Jak wspomniano, biorący udział w tym elitarnym plebiscycie nie ograniczali się do samego oddania głosów. Wielu z nich uzasadniało swe stanowisko w osobnych, czasami obszernych listach. Było ich sporo: ze strony zwolenników szesnaście (raczej zdawkowych), ze strony przeciwników czternaście (raczej merytorycznych). Wszystkie, jak wiemy, z wyjątkiem jednego, się dochowały i wszystkie ogłasza się tu drukiem.

Opinie w listach bardzo różnorakimi popierane argumentami bardzo też były rozbieżne; nie brakło krańcowych w tym czy w owym kierunku, nawet zawadiackich. Oczywiście nie tutaj jest miejsce, by je analizować, interpretować i osądzać. Wiodłoby to zbyt daleko w analizę prądów duchowych i motorów światopoglądowych.

wych, działających w psychice generacji i składających się na jej skomplikowany charakter. To jedno wolno i trzeba powiedzieć, że i pod tym względem, rozsądzając nadesłane opinie, promotorzy projektu na swym rozdrożu nie zdołaliby również wyciągnąć racji decydujących, które by wyraźnie i koniecznie skłaniały ich do obioru tej, a nie innej drogi. A przecież wybrali.

Nie można się oczywiście kusić o wyczerpanie czy rozsądenie motywów. Nie będzie jednak chyba czczą insynuacją, gdy się przypuści, że wśród motywów tych działał jeden, może nie najpośledniejszy, a mianowicie chęć czy pasja odwetu. Podnosili to już korespondenci. Pomysł tatrzański, jeżeli nie zrodził się, to odnowił się i nabrał wagi jako odruchowa odpowiedź na *veto* kardynała. Tak na nie zareagowano już na wiecu krakowskim: Nie przyjmą trumny Słowackiego do katedry — głosili zapaleńcy — więc dobrze, odejdziemy, ale zabierzemy zarazem trumnę Mickiewicza i wzniesiemy świecki Panteon narodowy. Coś z tego gniewnego odruchu dałoby się odszukać i stwierdzić w postawie obranej przez siedmiu inicjatorów paryskich. Żeromski co do siebie w tekście *Listu otwartego* bynajmniej tego nie taił: działał w afekcie, pod wpływem rozgoryczenia, uniesiony wstydem, żalem i gniewem. Przedstawiając żalony wynik wstępnych zabiegów krakowskich o Wawel, nie taił przeświadczenia, że pomysł teraz oto wysuwany „położy kres gorszącemu i poniżającemu nas zatargowi”. Już odpowiedzi na odezwę mogły ujawnić, ile w tym było złudzenia. Że jednak sprawy mimo wszystko nie poniechano, można to chyba złożyć po trosze także na krewkość temperamentu i na żarliwość głównego protagonisty.

W takich warunkach powzięta decyzja kryła już w sobie zadatek klęski. Nie może to dziwić. Akt pośmiertnego hołdu, najwyższy wyraz wdzięczności składany wielkim w narodzie, jak każde szacowanie w skali najwyższej, ostatecznej, nie zależy od czynników przypadkowych, od takich czy innych powiewów zapalczywości. Bywa zaś w przeważnej mierze odpowiednikiem długo próbowanego fundamentalnego przeświadczenia, wyrazem zgodnie potwierdzającej woli narodu. Tę zaś zaskoczyć i zniewolić nawet geniuszowi nie jest łatwo.

Dalszy bieg sprawy o pogrzeb tatrzański prochów Słowackiego był do przewidzenia. Inicjatywa sześćdziesięciu artystów nie wywołała entuzjazmu. Jeden głos polemiczny Pawlikowskiego, ostry w tonie i nie zawsze pomiarkowany, ale merytorycznie jak najsilniej uzasadniony, sprawę przesądził. Żeromski zareplikował nań, ale w gruncie rzeczy złożył broń. Przez czas jakiś nosił się z myślą jakby przewodu odwoławczego, zamierzał przedstawić całą sprawę w osobnej broszurze, poprzeć ją dokumentami, wybranymi listami zwolenników, ale ostatecznie i z tego zrezygnował.

Po latach losy narodu zdecydowały się na wielkim zakręcie dziejowym. Przed trumną Słowackiego miała się niebawem otworzyć tryumfalna droga na Wawel.

LISTY

1. Do Stanisława Wyrzykowskiego

[Warszawa, połowa grudnia 1909]

Kochany Panie.

Porozumiawszy się w sprawie odezwy Sz. Panów, pragniemy przesłać tą drogą nieoficjalną¹ na Jego ręce kilka uwag naszych.

Rzeczą nazbyt zrozumiałą byłoby podpisanie Waszego wezwania z tej jedynie racji, że w takiej sprawie wzywacie właśnie Wy, Panowie.

Usiłujemy jednak nie poddawać się tej łatwej hipnozie. Brak naszych imion wśród zbieranych podpisów niech Wam mówi przede wszystkim o powadze, z jaką odnieśliśmy się do Waszych zamierzeń. Wam winniśmy odzew rzetelny wraz z przezornym uprzytomnieniem sobie tych czynników publicznego życia, na których opierają się Wasze nadzieje. Rachunek nasz, prawdopodobnie dzięki bliższemu na razie i codziennemu stykaniu się z tymi czynnikami, wypada mniej optymistycznie.

Przypominamy argumenty nie tyle opozycji, ile rozwagi, podnoszone już tu w Warszawie przeciwko — czy nie nazbyt rychłemu — sprowadzaniu zwłok Słowackiego. Przebieg roku jubileuszowego mógł te wątpliwości zamienić w pewność. Właściwie dzieło poety teraz dopiero uprzystępniać się poczyna dzięki bardzo nielicznym, głębszym wnknieniom i oddziaływaniom szerszym. To, co wielbi młodzież, najbardziej entuzjazmująca się w roku jubileuszowym, tak mało przypomina duchowe oblicze Słowackiego, jak portrety jubileuszowe twarz poety w ogóle. Co zaś czyta i rozumie publiczność, nie wykracza od pół wieku poza kilka dramatów oraz dwa lub trzy poematy. Czyż można mówić wobec tego o hołdzie n a r o d u dla wieszczą swego?

Czy zamiar sprowadzenia prochów jego na Wawel nie był raczej świadomym dążeniem do wzbudzenia w narodzie żywszej czci, dla głębszego wnikania w tych prochów spuściznę duchową? Ten wzgląd zdecydował za Wawelem, na którego imię drga najczujniej wrażliwość powszechna i którego prochy fascynują rzeczywistość Polskę całą.

Czy wobec tego zamiar sprowadzenia zwłok Słowackiego na tatrzańską turnię nie będzie ujmował serc już raczej tylko miłośników Tatr oraz przyjaciół Zakopanego, będąc poza tym dla nielicznych wyobraźni szlachetnym obrazem grobu poety, piękną metaforą ucieleśnionego poematu?

Zaś ucieleśnienie tej metafory w obrzędzie i pochodzie pogrzebowym od Krakowa aż po stopy Tatr i na ich szczyty posiada mimo wszystko coś niepokojącego rozważyć nawet wówczas, gdyby wszystkich świątyń wróżyby zaręczyły jednomyślność a niepodzielność narodowego entuzjazmu dla misterium, które się zapowiada. Czasy i miejsce będą o tyle wszelkiemu misterium sporne, że gotowe prawdziwie jednomyślnie wycisnąć na obrzędzie piętno polityczne, podzieliwszy wszelkie „za” i „przeciw”, wszystkie objawy i zapały — wedle partyj, stronnictw i stanowisk społecznych. Czy te czasowe koniunktury nie wypaczą całkowicie marzonego przez Was obrzędzie i pochodu?

Bo jedno z tych niebezpieczeństw oraz jego oddziaływanie już dziś przewidzieć się daje. Sprowadzenie zwłok Słowackiego gotowo otrzymać przykry smak i ponętę epizodu walki z Puzyną, zaś atutem w tej grze wykopana z półwiekowej ciszy cmentarza i obnoszona jako demonstracja przeciw klerowi — trumna poety.

Przyznajemy ponadto, że brak nam wszelkiego bojowniczego poczucia wobec Puzyny, uważając go za tępe narzędzie zgoła innych wpływów i czynników. Mniemamy, że walka ta powinna się stoczyć na innych polach — i wówczas dopiero, gdy wytłą się zrodzone przez nią namiętności, po uprzątniętej i cichej już drodze wstąpić winien Słowacki na Wawel.

Darujcie szczerłość słów i nie każcie czynić przeciw własnemu poczuciu.

Łączymy dla Pana mocne uściski dłoni. Wszystkim podpisanym na odezwie ślemy wyrazy najgłębszego poważania.

Z. Przesmycki

Jan Lemański

W. Berent

Jan Lorentowicz

Konrad Krzyżanowski

¹ S. Wyrzykowski należał do grona inicjatorów, ale najbliższym był związany z literackim środowiskiem warszawskim.

2. Do Jana Hempla

[Warszawa, 18 grudnia 1909]

Szanowny Panie.

Dziś dopiero, d. 18 grudnia, otrzymałem list i odezwę. Za pamięć o starcu dziękuję. Może pomyśleliście Panowie o mnie tylko dlatego, że ja pierwszy¹ pokazał go, tego ducha, którego społecznie uczcić dziś pragniecie, Polakowi pod jarzmem; uczyniłem to, jak słabe siły i ucisk zewnętrzny pozwolił, ale i to przemówiło do serc i podnieciło wyobraźnię, i uradowało mnie rzeczywistością zbiorowego odczucia tej potęgi, jaką dla Narodu był i jest autor *Króla-Ducha* i *Kordiana*, i *Zawiszy*, *Zborowskich* [!] i *Anhellego*, i tylu jeszcze miłością Ojczyzny natchnionych a pięknem promieniejących utworów.

Kiedy się zjawiała myśl pochowania zwłok, szczątków w Tatrach, od razu uderzyła mnie wielkością: taki grób weźmie sobie wiekuistość ze skał, a nieskończoność z przestworu. Wicher z gór symbolizuje jego niepokój, jego rwanie się ciągle i bojowanie wewnętrzne z bogami i losami świata; pustka odpowie samotności jego istoty i istnienia na ziemi; smutek i przerażenie, i groza turni i przepaści dadzą obraz szarpającego bólu i nieukozonej tęsknoty, i wstrząsającego gniewu, że Jej jeszcze nie ma ...

Mam prawdę powiedzieć? Na Wawelu byłoby Mu za ciasno. Może stanie kiedyś — o, daj to, Duchu Świata! — mauzoleum w Krakowie lub w Warszawie; tymczasem niech sarkofag w Tatrach ściąga na siebie wzrok z nizin, niech wzrokowi towarzyszy myśl miłosna, niech za wzrokiem idą i dusze, niech lecą przez Słowackiego do Polski świętego Ideału. Ja, stary

i schorzały, już nie doczekam wielkiego święta², nie podeprę już ramieniem swym trumny, choćby tylko na symbol czci; będzie to tylko jedna więcej żalność zabrana w Zaświat, a Zaci Panowie — serca gorące, energie czynne — doprowadźcie zamiar do szczęśliwego końca. Myśl jest wspaniała, myśl jedyna — poruszy świat, rozbudzi w nim myśl o nas, że żyjemy, podniesie nas w mniemaniu tych ludów, które do wielkości swej nie potrzebują katostwa, rozboju i ohydneho kłamstwa.

Z całego serca podpisuję odezwę i raz jeszcze dziękuję Wam, Zaci Panowie, za sposobność do łzy, którą czuję już w oku. Nam, starym, łzy tylko zostały albo zwierzęcość.

Z głębokim poważaniem, w jednoczącym ludzi w Polsce braterstwie czci, cierpienia i wiary

Warszawa, d. 18 grudnia 1909 r.

Stanisław Krzemiński

Odezwę zwracam, list drukowany zatrzymuję. Nie wygadam się z całego zwrotu do mnie przed nikim.

Przepraszam za wtrącanie się, ale czyby jeszcze nie przejrzeć tekstu odezwy?

¹ Piszący ma zapewne na uwadze swe opracowanie twórczości Słowackiego pomieszczone wraz z wypisami w I tomie wydawnictwa *Złota przędza poetów i prozaików polskich*. Tom ukazał się w Warszawie, 1885, pod wspólną redakcją P. Chmielowskiego i S. Krzemińskiego.

² Krzemiński zmarł w r. 1912.

3. Do Komitetu

Kościeszyna, dnia 18 grudnia 1909

Szanowni Panowie.

Chętnie kładę podpis pod odezwą Szanownych Panów, żądającą, ażeby niebotyczne skały polskich gór były nagrobkiem naszego Juliusza. Zaiste, niepodobna znaleźć dla tych drogich prochów godniejszego miejsca, póki nie spoczną w grobach królewskich.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku.

Aleksander Majkowski

4. Do Jana Hempla

[Berlin, 19 grudnia 1909]

Szanowny Panie.

Zwracam podpisany tekst, przy czym jako niepoprawny pedant-baka-

łarz pozwoliłem sobie kilka odmianek czy poprawek drukowanego tekstu zaznaczyć ołówkiem¹, prosząc o wybaczenie tej śmiałości.

Piszę się z wyrazami prawdziwego szacunku.

19 XII 1909

Sługa Pański

A. Brückner

¹ Może być interesujące, jak Brückner poprawiał tekst Żeromskiego. Nie lubił on strony biernej, więc zam. „zwołany został [...] wiec” chciał mieć „zwołano wiec”; zam. „Przyjęty jednak został wniosek” wolałby „Przyjęto jednak wniosek”; zam. „środki [...] zostały wyczerpane” lepiej „środki [...] wyczerpano”; nie lubił nadużywania zaimka „swój”, mając to za germanizm, więc gdzie mógł, tam go wykreślał; drażniły go germanizmem również trącające „miarodajne czynniki” i zmienić by rad na „wybitniejszych jego przedstawicieli”; nie lubił emfazy, więc zamiast „najbardziej natarczywym wezwaniem” wystarczyłoby mu samo „natarczywym” itp. Propozycji tych wszelako nie uwzględniono.

5. Do Jana Hempla

Warszawa, Widok 23 m. 8, 19 grudnia 1909

Szanowny Panie.

Zwracam list łaskawie mi nadesłany. Podpisałam go z najwyższą radością, zgadzając się jak najbardziej na wyrażony w nim wspaniały projekt.

Wyrazy poważania załączam.

Jadwiga Marcinowska

6. Do Jana Hempla

Kraków, 21 XII [19]09

Szanowny Panie.

Odsyłam list z podpisem. Pod takim listem godziłoby się, gdyby to było możliwe, podpisać sercem.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Józef Ruffer

7. Do Jana Hempla

Lovrana, 21 grudnia 1909

Pension Castide

Szanowny Panie.

Nie mogę podpisać Waszej odezwy. Nie dlatego, żebym miał coś do zarzucenia Waszym zamiarom lub żebym sam miał inne plany urzeczywistnienia tego celu i przeciwstawiał je Waszym — nie. Tylko dlatego, że

inaczej czuję, a jeżeli w ogóle należy być szczerym, to już w tym wypadku wobec Słowackiego trzeba nim być do samego dna duszy. Czuję inaczej, bo nie czuję tego gwałtu wewnętrznej konieczności, która zmusza człowieka do czynu lub mimo jego woli dobywa z niego krzyk o spełnienie tego czynu przez innych. Kto ma nad sobą przemoc tej wewnętrznej konieczności, ten niech woła.

Nie wierzę w wartość nazwisk jako haseł, w wartość podpisów pod odezwaniami. Kto może czynić, współdziałać w robocie, do której wzywa, ten niech podpisuje; ja nie mogę podpisać, bo nie mogę nic dla spełnienia tego celu uczynić. Jestem jeszcze osłabiony chorobą i moje wołanie przypominałoby ten wiersz:

Walczcie tam na każdym kroku,
Ja będę na was patrzył — w myce i szlafroku.

Ja myślę, że dopóki nie znajdzie się człowiek, który będzie do maniaczwa ogarnięty ideał przenieśienia zwłok Słowackiego do Polski, człowiek silny, niewyczerpanej energii, woli, nieugiętego czynu, dopóty tak będzie, jak jest dzisiaj: będzie trwała ta atonia czynu. Żadne komitety i komisje takiego człowieka nie zastąpią, jak żadne odezwy nie poruszą nagle tego społeczeństwa, które od tylu lat urządza wieczorki dla sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego...

Ja nie widzę tych, do których taka odezwa ma trafić; trzeba ich na-przód wychować albo im narzucić swoją myśl, swoją wolę, przemoc własnej energii — to może zrobić tylko ten człowiek, który dotąd się nie objawił.

Z tego, co tu powiedziałem, już Szanowny Pan widzi, że nie mogę Waszej odezwy podpisać — więc na tym kończę.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku, serdecznej życzliwości i wielkiego współczucia dla sprawy, którą podjęliście.

Stanisław Witkiewicz

8. Do Komitetu

Kraków, 22 grudnia 1909
ul. Łobzowska 31

Szanowni Panowie.

Zgadając się zupełnie na projekt Szanownych Panów, dołączam List otwarty z moim podpisem.

Pozostaję z głębokim szacunkiem.

Bolesław Limanowski

9. Do Komitetu

Warszawa, d. 25 XII 1909
Hortensja 4

Szanowni Panowie.

Zgadzam się całym sercem na projekt Wasz w sprawie Słowackiego, odsyłam odezwę z podpisem moim. Sprawie przeniesienia prochów Słowackiego do ziemi ojczystej pragnę służyć, czym mogę, bo uważam to za hańbę dla nas wszystkich, dla całej inteligencji polskiej, że dotąd trumna jego spoczywa w obcym kraju.

„Sfinks” wychodzi raz na miesiąc¹ tylko, zeszyt styczniowy wyjdzie w połowie stycznia, może nawet koło 20 stycznia dopiero; chciałbym już w nim poruszyć tę sprawę, napisać o niej słów kilka od siebie, przytoczyć odezwę Panów, a raczej już teraz odezwę naszą, w całości. Jeżeli tego nie zrobię w styczniowym zeszycie, to głos mój potem będzie już spóźniony, będzie echem głosów innych.

Zwracam się więc z prośbą o upoważnienie mnie do ogłoszenia odezwy ewentualnie do omówienia sprawy samej w zeszycie styczniowym „Sfinksa”. W razie zgody prosiłbym o nadesłanie mi łaskawe zebranych podpisów, chociażby nawet nie wszystkich na razie.

I w ogóle mam zaszczyt ofiarować Panom usługi swoje i pisma mojego do sprawy, którą podjęliście. Chętnie wykonywał będę polecenia Wasze w tej sprawie, służę w razie potrzeby pośrednictwem, zbieraniem podpisów, wypełnię najchętniej, czego Wam trzeba będzie, o ile to tylko będzie dla mnie możliwe.

Pozdrowienie serdeczne łączę dla Panów. Oby rok nowy przyniósł wreszcie proponowane przez Was zakończenie długoletniego wygnania prochów Króla-Ducha z ziemi naszej.

Wł. Bukowiński

¹ Miesięcznik „Sfinks” wychodził w Warszawie pod redakcją W. Bukowińskiego od r. 1908. Tekst odezwy pomieścił tam redaktor dopiero w numerze lutowym 1910 r.

10. Do S. Żeromskiego

[Warszawa, koniec grudnia 1909]

Kochany Panie Stefanie.

Posyłam odbitki. Raczie przesłać jedno do Zakopanego¹, inne zaś do Konopnickiej, gdyż sam nie wydołam. Zresztą, gdy Wy do niej napiszecie, prędzej zgodzi się na podpis.

Dłoń ściskam serdecznie.

Jan Lorentowicz

¹ Część adresatów, którym Lorentowicz miał przekazać odezwy, była w Warszawie nieobecna.

11. Do Komitetu

[Nicea, 31 grudnia 1909]

Szanowni Panowie.

Kładąc mój podpis na *Liście otwartym w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego*, zaznaczyć muszę, że nie na wszystkich punktach akceptuję treść *Listu* tego.

Uważam mianowicie, że nie jest zgodnym z istotnym stanem rzeczy twierdzenie, jakoby „wszystkie środki uzyskania na Wawelu miejsca dla Juliusza Słowackiego wyczerpanymi zostały”. Wręcz przeciwnie, uważam, iż cofnięto się w tej sprawie zbyt pośpiesznie i zbyt czolobitnie przed zakazem kardynała Puzyny.

1°. Kiedy w prasie polskiej odezwał się głos o powagę diecezjalnej ustawy, iż nie kardynał Puzyna, ale kapituła krakowska zarządza katedrą na Wawelu i jej podziemiami¹, nie podniesiono kwestii tej w żadnej publicznej dyskusji i do jądra jej nie dotarto. A przecież na tym ściśle prawnym gruncie należało rozwinąć akcję, która nade wszystko byłaby bronią w tej walce między ks. kardynałem a narodem naszym.

Bo nie jest prawdą, iż to „jeden z nas” — jak czytam w *Otwartym liście* Szanownych Panów — nie zgodził się na dostojny grób w ojczyźnie dla wielkiego naszego poety. Nie, Panowie! To nie jest „jeden z nas”. To jest człowiek obcy nam pojęciami, duchem i uczuciem. On sam się w sprawie tej wyłączył ze społeczności polskiej i przeciw niej stanął. On sam dał nam prawo nazywania go biskupem rzymskim, nie krakowskim!

A tak ów głos, wskazujący potężny środek do wywalczenia królewskiego grobu dla poety, przebrzmiał bez echa i nie podtrzymany.

2°. W programie uroczystości jubileuszowych ku czci Słowackiego w Krakowie zapowiedziany został pochód na Wawel. Otóż w decydującej chwili ten numer programu cofnięto, a głosy związane z tą wspaniałą manifestacją woli narodu stłumiono, wysuwając na pierwszy plan uroczystości owych bezbarwne i obojętne dla nas sprawy literackie zamiast wielkiej, żywej sprawy narodowego protestu.

Otóż te dwa punkty toczącej się akcji — a mówię tu o tych dwu jędynie — wskazują jasno, iż nie tylko nie zostały wyczerpane „wszystkie środki” zdobycia dla poety grobowca na Wawelu, ale dowodzą, że się przed użyciem tych, jakie sam rozwój sprawy tej kolejno nastęrczał — małodusznie cofnięto.

I nie w tym leży porażka, że prochy Słowackiego nie będą miały grobu na Wawelu — gdyż grób w Tatrach godny jest tych wielkich prochów — ale w tej tak przeciwnej dućłowi Juliusza skwapliwości w uleganiu woli oficjalnego Kościoła, w tym pokornym ustępstwie nakazowi rzymskiego purpurata, w tym nie dość silnym, nie dość zwartym, nie dość rozległym i znaczącym wyjawieniu nieodpartej woli całej Polski.

Niechże grób Słowackiego będzie w Tatrach. Do czasu — dobrze! Królewskość ducha poety ma dość majestatu, aby uczynić z tej skalnej pieczary — miejsce święte.

Ale pamiętajmy, że od grobu tego aż po Wawel legnie wielki kontrowers, wielki obszar sporny, na którym rozstrzygnąć się musi: czy kapeluszu rzymskiego kardynała ma nam zastąpić korony Piastów i Jagiellonów? Czy ma nam panować pan jeden jeszcze i czy ma on prawo odzierać zgnębiony naród z ostatniej wolności oddania królewskiej czci wielkim swoim duchom.

Proszę, Szanowni Panowie, o odczytaniu listu tego na pełnym zebraniu Waszego Komitetu i o poddanie go pod dyskusję, jak również o zaprotokołowanie go.

Wyrazy poważania łączę.

Nicea, s. 31 XII 1909

Maria Konopnicka

¹ Artykuł A. Dobrowolskiego tej treści z „Dziennika Polskiego” (Lwów) streścił krakowski „Naprzód”, nr 178 z 27 VI 1909 r. Autor jednakże opierał się na podstawie prawnej dość dawno już uchylonej.

12. Do Jana Hempla

[Warszawa, 1 stycznia 1910]

Szanowny Panie.

Zdecydowałem się, przyznając, po namyśle podpisu mego pod odezwą Szanownych Panów w sprawie pogrzebu Słowackiego nie umieszczać. Staję przez to w opozycji do całego szeregu artystów, jak przypuszczam; by zaś to pozostanie moje na boku słusznie było wytłumaczone, uznaję za potrzebne parę słów objaśnienia przesłać i pozwalam sobie złożyć je w ręce Szanownego Pana z prośbą o łaskawe przyjęcie tego listu i zakomunikowanie go całemu Gronu, które odezwę podpisało.

Umysł ludzki ma tę właściwość, że chcąc wyrzeć na zewnątrz wrażenie, posługuje się językiem sztuki i tworzy dzieło sztuki. By to dzieło istnieć mogło, musi mu znaleźć formę, którą opiera na otaczającej naturze, ale która w zasadzie od tej natury odstępuje. Wrażenie w ten sposób wywołane jest silniejsze, głębiej w istotę ludzką odbierającą je sięgające, niżby je wywołać mogła natura sama, nie przetłumaczona, nie uformowana, inaczej mówiąc: nie wystylizowana. Ten język sztuki, ta forma objawia się między innymi i w słowie, które myśl przyobleka w szatę dostrzegalną.

Otóż Słowacki pochowany w Tatrach jest niczym więcej, jak faktem, zdarzeniem, n a t u r ą. Myśl Szanownych Panów w szatę odezwy przy-

obleczona jest już pewnego rodzaju interpretacją artystyczną tego naturalnego zdarzenia, już staje się dziełem umysłu Waszego, który w sobie tę *matière première* przerobił. Ale nie spostrzegacie, Szanowni Panowie, że Słowacki w Tatrach, ten realny proszek ludzki, zginie wśród otaczających go mas skał i powietrznych przestrzeni, stanie się organiczną częścią łańcucha górskiego. Będziemy co najwyżej wiedzieć, że on tam leży, ale odczuwać Tatr jako grobowca jego nie będziemy; bo skoro tylko interpretacja Wasza przebrzmi, nikt na świecie nie zdoła wpoić w nas przekonania, że Tatry istnieją dla niego.

Napoleon ma jedyny w swoim rodzaju grób, bo cały kościół jest na jego usługi. Ta tumba stoi w nim nie tak jak inne — W St. Denis na przykład czy gdzie indziej. Pamięć Kościuszki ma na swe usługi Wzgórze Św. Bronisławy, i znowu tu umysł ludzki obrachował perspektywę, podniósł wspomnienie jego swą siłą twórczą i ukazał je oczom w sposób artystycznie dobitny. Ołtarz w kościele staje się stołem Bożym i centrum kościoła dzięki artystycznemu organizmowi, który spełnia praktyczną funkcję dania miejsca temu ołtarzowi i ludziom asystującym. Tatry bez interpretacji słownej, poetycznej a dodatkowej grobem Słowackiego nie staną.

Dla tych przyczyn, dla względu, który nakazał Michałowi wystawić kopułę Św. Piotra, a nie zasadzić, choćby w uroczysty sposób, dębu świętego gdzieś na Apeninie czy też w Kampanii rzymskiej — sądzę, że Słowacki powinien mieć grób na warunkach realnego dzieła sztuki pomysłany.

Korzystam z tej sposobności, by wyrazić Szanownemu Panu pełne wysokiego szacunku wyrazy.

Kraków, 1 stycznia 1910

Tomasza 28

Józef Mehoffer

13. Do Jana Hempla

Lwów, d. 3 stycznia 1910

Szanowny Panie.

Nie chciałbym być posądzony ani o obawę koterii — na swym stanowisku jestem niezależny — ani o małoduszność — wszak chowałem się w uwielbieniu piękna. Wiem, że Słowackiemu stała się krzywda. Mickiewicz, który był sekciarzem, spoczywa na Wawelu, podczas gdy on, zawsze wierzący jak dziecko i bliższy Chrystusowego ducha niż biegli w *Piśmie* prałaci, został odsunięty. Wiem, że przyczyną krzywdy stało się to, iż ci, którym dana jest władza, nie wiedzą, jaki w nim ogrom geniuszu.

Mimo to muszę uchylić się od zaszczytnego wystąpienia w gronie Szanownych Inicjatorów niepospolitego pogrzebu. Nie sądzę, aby do Słowackiego miało prawo całe, choćby tak kochające społeczeństwo, jak nasze polskie. Tak do misterium nie mieli przystępu kupcy rodzyneków, ale jedynie wtajemniczeni, którzy przeszli stopnie „wbożenia”. Już w czasie obchodu Słowackiego we Lwowie czytało się jego nazwisko na chorągwiach wszystkich cechów; młodzieńcykom mogło to obrzydzić pragnienie wielkości.

Czy mimo woli pogrzeb ów nie zamieniłby się w jakąś partyjną manifestację jednej części społeczeństwa — może być właśnie, która posiada najmniej danych, aby zrozumieć *Wykład nauki*, a posiada tylko wytrwałe nogi i dosyć wczasu, aby odbyć pielgrzymkę z Krakowa do Czarnego Stawu? I czy ten manifestacyjny charakter protestu nie zmusiłby do rezerwy tego właśnie odłamu drobnego inteligencji, który jedynie zdolny jest Słowackiego rozumieć i kochać?

Kiedy przypomnę, do jakich celów w społeczeństwie tak dojrzałym, jak włoskie, demokracja nadużyła nazwisk takich wzgardzicieli „demosu”, jak Dante i Giordano Bruno, to i u nas miast świętego misterium obawiam się zgorzenia. A skoro już zimne usta trupa przyłgną miłośnie do skały rodzinnej, kto będzie utrzymywał ciągłą straż, aby ręka fanatyka nie strąciła kości do jeziora?

Niech lepiej leżą w wolnym, gościnnym kraju, póki nie będą mogły spocząć tam, gdzie dla nich miejsce właściwe: w drugiej stolicy, u Św. Jana.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

E. Porębowicz

14. Do Komitetu

[Zakopane, 4 stycznia 1910]

Serdeczne składając podziękę za przysłanie listu, całą duszą przyłączam się do akcji Waszej i ślę wyrazy pozdrowienia i życzeń najlepszych.

4 I 1910, Zakopane.

Mariusz Zaruski

P. S. W razie potrzeby pomocy czynnej nie zapomnijcie Sz. Panowie o mnie.

15. Do Jana Hempla i in. w Paryżu

Zürich, 6 I 1909
Guggachstr. 4

Szanowni Panowie.

Na piękne i zaszczyt mi czyniące wezwanie Wasze w sprawie sprowa-

dzenia do kraju zwłok Słowackiego odpowiedzieć nie mogą tak, jak byście życzyli sobie.

Byłem i jestem przeciwnikiem ogałacania zagranicy z kości znakomości naszych.

Sprawa polska jest międzynarodową, z ujmą przeto dla niej byłoby pozbawianie jej charakteru tego, w braku bowiem na obczyźnie pełnomocników urzędowych, ambasadorów, konsulów, agentów obowiązanych do czuwania nad nią zastępują ich wielkich naszych groby świadczące o niej. Zamiast ruszać je, należy o nich pamiętać i przez to w oczach świata etyczne ich i polityczne znaczenie podnosić.

Jestem za stawianiem pomników im w kraju, a pozostawieniem kości ich tam, gdzie padły, tam bowiem mają one znaczenie podwójne: wzoru dla nas, przypomnienia dla narodów obcych, budzącego u nich nie tylko wyrzuty sumienia, ale i zastanowienie się nad krzywdą, jaką sobie samym wyrządziły pozwalając czasu onego na rozbiory Polski. Wszak to z krzywdy owej wyrosły Prusy, zmuszające obecnie wszystkie mocarstwa, wszystkie państwa i państewka na kuli ziemskiej do czuwania w pogotowości zbrojnej dniami i nocami w obawie napaści podobnej do tej, jakiej na poduszeczenie Prus doznała Ojczyzna nasza w latach 1772, 1792 i 1794.

Stąd się wzięły i polskie groby wymowne, rozrzucone po całej kuli ziemskiej.

Nie tykajmyż ich, bo one wymowne, a byłyby jeszcze wymowniejsze, gdybyśmy dla utrzymywania ich i wieńczenia pielgrzymki celowe do nich odbywali, wznosząc w kraju, gdzie można, pomniki Kościuszce, Puławskiemu [!], Dąbrowskiemu, Kniaziewiczowi, Niemcewiczowi, Lelewelowi, Łukasińskiemu, Piotrowi Wysockiemu, Mickiewiczowi, Słowackiemu, Zygmunutowi Krasińskiemu i innym, i innym bohaterom, męczennikom — pomniki nauczające naród polski przy światelku tego kagańca, którego „niesienie przed narodem” Słowacki żywym poleca.

Doniosłości pomników przypatrzyłem się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej¹, gdzie dzięki pomnikom Kościuszki, spotykanym w każdym prawie mieście znaczniejszym, przybываяcy na zarobki ciemny polski chłop, mieniający siebie na spisach Galicjakiem, Ruskiem (od: Rusek) lub Pruskiem (Prusek), jeżeli nie Austriakiem, Ruskim i Pruskim lub Niemcem, dowiaduje się nie tylko, że jest Polakiem, ale staje się gorącym patriotą polskim, gotowym za ojczyznę życie i mienie oddać.

Pomniki wznoszone na placach i rzucające się w oczy ku nauce służą, a artyzmowi wielkie usługi oddają i narodowość podtrzymują lepiej aniżeli grobowce po Skalkach, Wawelach i górach zakopiańskich pochowane.

Ten jest powód, dla którego, szanując opinię Panów Szanownych i większości inteligencji polskiej, podpisu mego nie przyłączę do podpisów

Waszych na *Liście otwartym w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego*.

Piszę się Waszym, Panowie Szanowni, służą powolnym.

Z. Miłkowski²

¹ T. T. Jeż zwiedził Stany Zjednoczone w r. 1900, starając się docierać tam do środowisk emigrantów polskich.

² List powyższy dał powód do wymiany korespondencji między T. T. Jeżem a J. Hempem:

a)

7 III [1]910, Zürich, 4 Guggachstr.

Szanowny Panie.

Upraszam, jeżeli list mój w odpowiedzi na zaszczyt mi czyniące zaproszenie mnie w d. 16 grudnia r. z. do podpisania *Listu otwartego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego* nie uległ zniszczeniu, o łaskawe odesłanie mi go pod adresem jak wyżej.

Racz, Panie, przyjąć ode mnie pozdrowienia uprzejme.

Sługa powolny
Z. Miłkowski

b)

Paryż, 12 III [13]10

Wielce Szanowny Panie.

W odpowiedzi na list z d. 7 bm. dcnoszę, co następuje:

List Sz. Pana, będący odpowiedzią na projekt przeniesienia zwłok Słowackiego w Tatry, nie tylko nie uległ zniszczeniu, lecz wraz z innymi w tej sprawie nadesłanymi listami starannie przechowany zostaje jako dokument ważny. I właśnie dla tej jego ważności zwrócić go nie możemy.

List Wasz, Wielce Szanowny Panie, jest pierwszorzędnym dokumentem jako wyraz poglądów emigracji na zagadnienia życia narodowego. List ten Najszanowniejszego z emigracji mówi więcej i dobitniej o jej stosunku do sprawy narodowej niż całe tomy rozpraw.

Dlatego bardzo chętnie gotów jestem posłać dosłowną tego listu kopię, oryginał jednak stanowczo zatrzymamy.

Raczzie przyjąć, Szanowny Panie, wyrazy głębokiego poważania.

Jan Hempel

c)

16 III [1]910, Zürich, Guggachstr.

Szanowny Panie.

Łaskawa propozycja Pańska zrobienia dla mnie kopii odpowiedzi mojej w sprawie złożenia w Karpatach zwłok Słowackiego czyni mi tę przykrość, że Sz. Pana na trud narałam. Mógłbym list mój sam skopiować i oryginał zwrócić, gdybyś mi Sz. Pan takowy przestał raczył.

Licząc na uwzględnienie kontrpropozycji mojej zasylam Szanownemu Panu wyrazy szacunku rzetelnego, z jakim dla Niego zostaje.

Sługa powolny
Z. Miłkowski

[Na liście notatka J. Hempla:]

Załączona była marka na przysłanie odpowiedzi. Żądana kopia została wysłana d. 29 III 1910 bez listu przy niej.

Jan Hempel

16. Do Komitetu

Kraków, 6 I [19]10

Kopernika 13

Szanownym Panom najuprzejmiej komunikuję, iż zgadzając się z treścią przysłanej mi deklaracji podpisuję takową, ale jednocześnie wyra-

zam życzenie, aby — o ile to jeszcze możliwym się okaże — zmieniono tekst zdania na str. 2 w. 15:

„Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby zniewagą wyrządzoną dostojeniu poety” na zdanie, które by wykluczało przypuszczenie, że my naszym dobrym czy złym postępowaniem możemy czy to pamiętać, czy — cóż dopiero — dostojeniu Słowackiego znieważyc¹.

Od poprawki tej podpisu mojego nie uzależniam, zwracam jednak uwagę Panów na jej ważność i przypuszczam, że drobna poprawka w tym jednym zdaniu dokonana nie będzie wymagała odwoływania się do wszystkich podpisanych.

Z poważaniem

Michał Sokolnicki

¹ Poprawkę uwzględniono. W tekście definitywnym *Listu* czytamy: „Odwlekanie [...] byłoby z ujmą czci, jaką mamy dla poety”.

17. Do Komitetu

Warszawa, d. 7 stycznia 1910 r.

Wielmożni Panowie.

Gdyby projekt W. Panów tak brzmiał w swej postaci pierwiastkowej, nie występowałbym z opozycją, albowiem w takich sprawach intencja więcej warta niż forma, w której się ona objawia. Ale obecnie projekt ma wszystkie cechy demoralizującego ustępstwa, kapitulacji na całej linii, przyznania Puzynie prawa rządu Wawelem, ukorzenia się małodusznego przed czwartym zaborcą.

Projekt jest pozbawiony majestatu, jest skargą bezsilnych. Jeżeli się w dodatku uwzględni fakt, przez Wielmożnych Panów błędnie w odezwie przedstawiony, że Puzyna nawet pod względem ściśle prawnym nie ma słuszności, to jasnym się staje, że Polacy wobec ajenta watykańskiego nie są nawet zdolni o własne upomnieć się prawo. Słowacki był dumny; on nie miał się półśrodków. Dziś nie sprowadzicie go, Panowie, przez bramę tryumfu, ale przez bramę upokorzenia.

Z wszystkiego tedy widzę, że nie nastąpiła pora sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju, gdyż ci, którzy się tym zajmują, nie pojęli swego zadania tak, jak wskazywałyby charakter. Wśród Wielmożnych Panów widzę ludzi, którzy zasiadali w Komitecie krakowskim i domagali się dla Słowackiego Wawelu. Wywołali przeto spór z Puzyną. Wywoławszy go, ccają się teraz przed walną kłótnią. Widzę też wolnych myślicieli, którzy w czwartym zaborze, zaborze katolickim, największe nasze nieszczęście postrzegają. Teraz temu czwartemu zaborowi z drogi ustępują. Wobec tego brak nam wszelkiej gwarancji, czy piersiami swymi i ten projekt obronią, z którym teraz występują. Wielka jest wprawdzie cześć dla Sło-

wackiego, ale większy strach przed Puzyną. Artyści i literaci, uczeni i poeci nie chcą wojny z Puzyną. Wszystkie reprezentacje polskie wiszą u książęcej klamki. Puzyna rozkaże, aby wzdłuż wielkiego gościńca od Krakowa do Tatr zamilkły wszystkie dzwony — zamilkną. Rozkaże, by zagrzmiały wszystkie ambony — będą grzmiały: oto pogrzeb bluźniercy, heretyka, wyrodka!... a cicha gromadka marzycieli bezsilnych będzie się jak z kontrabandą przemyciała ku pustyni tatrzańskiej...

Gorąco proszę Wielmożnych Panów, zrzeknijcie się tego projektu! Nie świećcie narodowi przykładem małoduszności! Pomnijcie na Wasze piękne nazwiska, które dla wielu stały się symbolem pewnych idei! Nie jesteście przecie sentymentalni, więc wiecie, że nie chodzi o przewiezienie do ziemi polskiej tych marnych prochów, które się szczątkami ziemskimi po wielkości nazywają. Uroczystość sprowadzenia zwłok Słowackiego do ojczyzny ma być powrotem do niej pewnej idei. Dziś boli nas, że Mickiewicz organizując Legion zaczął od tego, że polecał prosić papieża o błogosławieństwo. Dziś wstyd nam, że Komitet Krakowski latał do Puzyny o pozwolenie wprowadzenia Słowackiego na Wawel. Ale jeżeli Puzyna narodowi pokazał figę i ci, co naród prowadząc wołają „niepodległość”, na wolnej ziemi galicyjskiej przed ładą agentem watykańskim zmykają, to całe ich wołanie zostanie ośmieszzone ... Nie będzie dziś Polski — zawołają piękne duchy narodowe — bo jeszcze Watykan na to nie pozwolił.

Andrzej Niemojewski

18. Do Stefana Żeromskiego

Warszawa, 8 I 1910

Drogi Panie Stefanie.

Podpisałem *List otwarty w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego* i jednocześnie odsyłam¹. Ale ośmieliłbym się zrobić przy tym kilka uwag, a mianowicie:

Dobrym jest zamiar przeniesienia kości Słowackiego do groty w Tatrach na stałe, lecz jeżeli to ma być na tymczasem, będzie to wyglądało, jak gdybyśmy wysyłali Słowackiego po śmierci w góry dla poratowania zdrowia, którego mu nie daliśmy, kiedy żył.

Słowacki w Paryżu, w tym kochanym przez siebie miasteczku, najniezawodniej czuje się po śmierci stokroć lepiej, niżby mu było w zimnej skale Tatr leżeć osamotnionemu albo nawet w podziemiach wawelskich, tuż obok swego antagonisty Mickiewicza, który może byłby temu wraz z ks. biskupem Puzyną przeciwnym.

Zresztą, pozbawić Paryż Słowackiego byłoby to zmniejszać atrakcję tego miasta, które dla nas, Polaków, nawet żywych, tak miłym jest schronieniem.

Po co? Niechby sobie tam spoczywał i niechby ściągał Polaków tak, jak to robi Shelley w Rzymie i Keats w stosunku do Anglików.

Puzyna nie jest wieczny, i nawet bardzo niewieczny. Gdy zemrze, można będzie i o Wawelu pomyśleć. A tymczasem na co te wszystkie demonstracje, wyglądające tak, jakbyśmy ze zwłok Słowackiego chcieli robić taran przeciwko ks. Puzynie? Zły duch (przykro nam, że uosobiony teraz w ks. biskupie) zwalcza się przez ducha dobrego, a nie przez robienie temu złemu duchowi na złość. Wszakże sama odezwa mieści zwrot: „Ks. biskup krakowski mocą nadanej mu władzy rozstrzyga nieodwołalnie o p o d z i e m i a c h Wawelu”. Ks. biskup rozstrzyga o podziemiach. Któż mu nadał tę władzę? My sami, my — panujący nadziemsko. I powinniśmy uznać tę podziemną władzę biskupią za prawowicie przez nas ustanowioną, i nie powinniśmy przeciwko temu gwałtować. My, czciciele swobody, swobody Króla-Ducha, powinniśmy uznać jej *liberum veto*, nawet podziemne, nawet biskupie. Dopóki ks. Puzyna jest jednym z Polaków, choćby tylko jednym, musimy jego władzę, którą sami jemu nadali, szanować.

Ale musimy zrobić tak, abyśmy my, walczący pod sztandarem Słowackiego, uosabiali nie jego prochy podziemne, ale jego nadziemską, królewską potęgę Ducha, któremu przecież nie chodzi, aby koniecznie był internowanym czy to na Wawelu, czy w grocie tatrzańskiej. Król-Duch tak samo jak nie trzeba, aby pukał w podwoje lochów wawelskich i ubiegał się o pobyt tam za zezwoleniem ks. biskupa Puzyny — Król-Duch tak samo również niekoniecznie musi na złość ks. biskupowi osiedlać się w Tatrach. Dobrze mu jest na Montmartre. Niech sobie tam mieszka w spokoju i niech czeka tych dobrych czasów, kiedy naród tak zjednomyślnie, że właśnie ta sama jednomyślność będzie dla Króla-Ducha Słowackiego nie tymczasowym i przemijającym, jeno trwałym i najdogodniejszym jego przybytkiem.

Podpisałem odezwę, aby się nie wyłączać od uchwały Komitetu Obywatelskiego, ale projektu jego nie uważam za najlepszy i jedyny, i nie wywołujący w nas rozdwojeń.

W zakończeniu odezwy tej powiedziano, że wielki poeta „wśród ponurej [?] zimy i czarującej pogody będzie błogosławił niziny”. Pocię więc nadany jest przez odezwę rys niezmiennej, błogosławiącej pogody ducha, na którą nie wpływa ni ponurość [?] zimy, ani czarująca pogoda. On zawsze błogosławi nizinom. Dobrze. Ale czemuż my, poety czciciele, nie mamy być tak samo pogodni i czemu nie mamy błogosławić nawet nizinom ks. biskupa Puzyny? I czemuż nie mamy wierzyć w to, że kiedyś nizina ta będzie mogła wznieść się do uczczenia i do przyjęcia w siebie Króla-Ducha?

Ufajmy i wierzmy! „Jeżeli byście — mówi św. Łukasz (XVIII 5) — mieli wiarę jako ziarno gorczyczne, rzeczcie temu drzewu morwowemu: wykorzeń się, a przesadź się w morze, a usłucha was”. Tak samo wierzmy, że przyjdzie czas, iż będziemy mogli rzec ks. biskupowi Puzynie: wykorzeń się sprzed wrót Wawelu i precz odejdź! — a usłucha nas i precz odejdzie, i zginie jego moc podziemna, i upadnie wobec nadziemskiej potęgi Króla-Ducha.

Ściskam Was najserdeczniej.

Jan Lemański

¹ Poprzedni jego podpis zob. pod listem nr 1.

19. Do Komitetu

Warszawa, 8 stycznia 1910

Szanowni Panowie.

Bardzo piękny i bardzo poetyczny jest projekt tymczasowego złożenia prochów Słowackiego w granitowej turni Kościelca nad Czarnym Stawem. Lecz zdaje mi się, że mogła Juliusza powinna być świątynią, do której zawsze podążać by mogły tłumy z głębokim westchnieniem i cichą modlitwą na ustach. Do turni Kościelca podążać będą tylko letni goście Zakopanego, a tych liczba może być niewielka.

Należy prochy Słowackiego złożyć na Wawelu lub w Warszawie. Za tym ostatnim miejscem zawsze gorąco przemawiałem na wszystkich zebraniach naszych i gdy sprawa ta przyszła pod głosowanie komitetu złożonego z czterdziestu kilku osób — zyskała bezwarunkową jednogłośnieść. Tysiące nader poważnych względów, wielokrotnie w prasie naszej omawianych, których tu powtarzać nie będę, właśnie za Warszawą przemawia. Do Warszawy sprowadzimy z czasem prochy Chopina i Krasińskiego.

Te trzy więc trumny stanowią będą zaczątek Panteonu narodowego i rozpalić mogą zasypane popiołem nieszczęść i przygnębienia gorące uczucia miłości Ojczyzny oraz cześć dla dobrych, wielkich jej synów.

Zanim jednak nadejdzie, jak pięknie Panowie mówicie, „ten dzień wolny, godny niepodległej, królewskiej harfy Juliusza”, to czy nie lepiej byłoby prochy jego pozostawić na cmentarzu Montmartre i czekać cierpliwie, aniżeli przenosić je do tej „górskiej pieczary”?

Można by pozostałe szczątki śmiertelne wydobyć i dla ochrony od dalszej zagłady złożyć w małym sarkofagu granitowym lub w trumnie szklanej i pozostawić w tej samej mogile.

Przeniesienie prochów do turni tatrzańskiej rozstrzygnie sprawę stanowczo i będzie właśnie ustępstwem dla *liberum veto* jednostki. Pozostawienie ich w mogile będzie żywym, głośnym przeciwko tej jednostce pro-

testem i w niczym nie naruszy uchwały wiecu, stanowiącej o sprowadzeniu zwłok poety do kraju. A prochy Juliusza, którego życie całe było jedną wielką tęsknotą, tęsknić będą nadal do ojczystej ziemi i do ojczystego nieba. O prochach tych marzyć będzie Warszawa, tak jak marzy i tęskni do ideałów, które prędeż lub później urzeczywistnić się muszą.

A ten czyn jednostki, który zmusi do pozostawienia trumny Słowackiego nadal na obcej ziemi, należy upamiętnić przez rozrzucenie po kraju w tysiącach egzemplarzy cdez w i książeczek popularnych, przez wybicie taniego medalu.

Takie przy czytaniu zaszczytnej dla mnie odezwy WPanów nasunęły mi się myśli, kóre oddają pod światły Ich sąd i rozwagę.

Łącząc przy tej sposobności wyrazy prawdziwego poważania zostaję sługą powolnym.

Leopold Méyet

20. Do Jana Hempla

[Lwów, 9 stycznia 1910]

Wielce Szanowny Panie.

Na list WSz. Pana, odebrany 7 I 1910, odpowiadam dzisiaj 9 I. Zastanawiałem się już dawniej nad tym, co zrobić wypada, w razie gdyby odmówiono Wawelu na pogrzeb Słowackiego, i przyszedłem był do przekonania, że do czasu trzeba pozostawić zwłoki na miejscu, a to z powodu, że klerykali gotowi podburzyć lud wiejski do manifestacji wrogiej, która byłaby w swych następstwach przykrą, a nawet gorszą. Gdybyśmy nawet zdołali sprowadzić zwłoki i uroczyście gdzieś „hań w Tatrach” pochować, to kto tam będzie ich strzegł? Wszak lada łotr, namówiony i zapłacony przez czarne dusze, może je zniszczyć i sprofanować. Pan Szukiewicz radził: na wyspie, ale czy to pomóc może? W zimie droga do wyspy swobodna.

Takie myśli były powodem, że od razu był przeciwny pochowaniu zwłok Słowackiego daleko od miejsca, gdzie je strzec można przed zniszczeniem lub profanacją ze strony obskurantyzmu.

Przed kilkoma dniami otrzymałem zeszyt ostatni „Myśli Niepodległej”¹ i tam znajduję potwierdzenie moich obaw. Ustęp ten przytaczam tutaj, ażeby wykazać, że ta moja obawa nie jest przesadną ani odosobnioną, że każdy, co zna charakter tych brudnych, ciemnych osób, kierujących sumieniem ludu, musi przyjść do tego przekonania, jakie wyrobiłem sobie o nich.

Księża w Skrzynnie zażądali od rodziny hr. Zygmunta Szydłowskiego za jego pogrzeb 15 000 rubli, w przeciwnym razie — mówili — lud da wyraz „swemu oburzeniu”. Ponieważ rodzina nie chciała się poddać temu szantażowi religijnemu, przeto

podburzone chłopstwo zdarło klepsydry, rozebrało katafalk i trumnę zepchnęło do kruchty, stojąc z drągami przed kościołem i nie pozwalając na pogrzeb. Wreszcie wdały się w to władze, chłopów poaresztowano.

Przypominamy sobie — pisze dalej korespondent w „Myśli Niepodległej” — w nrach 195 i 196 „Kuriera Lubelskiego” piękny artykuł p. Dzwonkowskiego p. n. *J. Słowacki i kler*². Autor kończy zdaniem, że „jeżeli kardynał Puzyra nie wpuści zwłok Słowackiego na Wawel, to wielbiciele jego geniuszu pochowają go w pustyni tatrzańskiej”. Ostrożnie! Bo jeżeli księża nie cofnęli się przed profanacją zwłok Zygmunta hr. Szydłowskiego, to również mogą nie cofnąć się przed profanacją zwłok Słowackiego.

Tak jest, ja przekonany jestem, że się nie cofną, i dlatego śmiałybym Panów prosić: zaniechać projektu wyłożone w liście WSzPanów. Dzisiaj księża są tak rozwydrzeni, że gotowi ważyć się na wszystko; oni tu, w Galicji, ważą się też na wszystko. Kto dzisiaj zapewnić może, że w tym samym Krakowie nie wywołają awantury i zgorzenia przy sprowadzeniu zwłok. Albo nawet gotowi wymóc na rządzie, że wprost zabroni sprowadzenia zwłok.

Idee liberalne mają tak mało przedstawicieli u nas, że może przyjść do tego, iż sam pochód wypadnie nieimponująco — tchórze odstąpią, obawa przed księżmi jest tak wielka, że każdy tu, u nas, co śmiało i głośno wypowiada swoje przekonania o literaturze, uważany bywa za wariata. Terenu dla każdej myśli niepodległej u nas brak, ale za to teren olbrzymi dla obłudników i obskurantów! Księża u nas są gospodarzami w kraju, jest to fakt smutny, ale niestety pewny; żaden zjazd, nawet naukowy, nie może się odbyć bez księżej aprobaty — a oni byliby ścierpieli demonstrację zwróconą przeciwko nim, przeciwko ich powadze?

Oto myśli, które tu rzucam na papier z całą otwartością, tak jak mnie dyktuje moje sumienie. Zguba nasza w Rzymie i w rządach klerykalnych; walczyć z tą zarazą jest naszym obowiązkiem. Narażać siebie samych możemy i powinniśmy, ale wystawić na niebezpieczeństwo zwłoki Juliusza — nie wolno. Tak mi się zdaje przynajmniej.

Proszę nie myśleć, że przesadzam; ja z bliska znam otoczenie tutejsze i już kilka razy w życiu miałem na własnej skórze sposobność poznania [!] jezuityzm tutejszy.

Lwów, 9 I 1910
ul. Snopkowska

Z głębokim szacunkiem

Dr B. Dybowski

¹ „Myśl Niepodległa”, organ A. Niemojewskiego; zob. nr 1 ze stycznia 1910 r. s. 39. Wypadek w Skrzynnie miał znaczny rozgłos. Wywołał go artykuł w „Kurierze Po-rannym” z 30 XI 1909 *Zajścia w kościele w Skrzynnie* i drugi *Sprawa skrzynecka*

w nrze z 28 XII t.r. Chodziło o koszty nie tyle pogrzebowe, ile urządzenia kaplicy z grobami rodziny Szydłowskich. Sprawa zaczęła się za poprzedniego proboszcza ks. Czajkowskiego i była zawikłana wobec braku zezwolenia na pogrzeb ze strony władz kościelnych. Doszło do rozruchów, które stłumiła policja. Wypadki starał się wyjaśnić urzędujący proboszcz ks. Krawczyński w liście do redakcji „Kuriera Porannego”. Według niego księża za udział w ceremonii pogrzebowej otrzymali po 20 rs. Nie bez podstawy można by sądzić, że wieś broniła się przed ponoszeniem kosztów budowlanej wzniesionej przez dziedzica.

² Artykuł W. Dzwonkowskiego *J. Słowacki i kler* ukazał się w nrach 195 i 196 „Kuriera”, Lublin 1909 (z 24 i 25 VIII).

21. Do Jana Hempla

Kraków, 9 stycznia 1910

Wolska 14

Szanowny Panie.

Nie mając osobistego przekonania, że najlepszym i jedynym sposobem rozstrzygnięcia sprawy sprowadzenia do kraju zwłok Słowackiego będzie popieranie projektu grobowca w Tatrach, nie chciałbym występować jako jeden z inicjatorów, i dlatego uprzejmie proszę podpisu mego na odezwie nie umieszczać.

Muszę się jednak zastrzec, że nie znaczy to bynajmniej, bym do projektu tego odnosił się nieprzyjaźnie.

Z wysokim poważaniem

Jerzy Warchałowski

22. Do Jana Hempla

Kraków, 14 I 1910

Szanowny Panie.

Jako jeden ze szczerych wielbicieli Słowackiego, a także jako mieszkaniec od lat kilku Krakowa, chętnie podpiszę odezwę w sprawie sprowadzenia zwłok nieśmiertelnego Juliusza i chwilowego umieszczenia ich w Tatrach.

Nie wiem jednak, czy do umieszczenia podpisu mam prawo, nie będąc Polakiem, tylko Ukraińcem.

Rozstrzygnięcie tego pytania pozostawiam Panom i proszę w tej sprawie rozporządzać moim podpisem.

Dziękując za łaskawą pamięć, kreślę wyrazy prawdziwego szacunku.

Zielona 28

Bohdan Łepki

23. Do Jana Hempla

Wielmożny Pan
Jan Hempel w Paryżu

Wilno, 9 stycznia 1910

Szanowny Panie.

W odpowiedzi na łaskawie nadesłane pismo oświadczam, że:

1° za jedynie odpowiednie miejsca dla złożenia zwłok Słowackiego uważam groby królewskie na Wawelu,

2° wobec jednak sytuacji, jaka się obecnie wytworzyła, i niemożności zwlekania — przyłączam swój podpis do *Listu otwartego* i wyrażonego w nim projektu.

Z poważaniem
Ferdynand Ruszczyk

24. Do Jana Hempla

[18 stycznia 1910]¹

Szanowny Panie.

Chociaż w liście, który mi przysłał Komitet, postawiony jest warunek, bym przed 10-tym stycznia podpis swój dał, mimo woli czynię to dziś dopiero, gdyż odezwę otrzymałem wczoraj.

Łączę wyrazy poważania.

18 I 1910

E. Wittig

¹ Tekst na bilecie wizytowym, mającym nadruk: „Edouard Wittig. 62 Rue Bar-gue”, ale bez podania, gdzie pisany.

25. Do Grona Literatów Polskich w Paryżu

[Petersburg, 29 stycznia /10 lutego 1910]¹

Odebrawszy z dwóch różnych stron odezwy o sprowadzeniu zwłok Słowackiego do Polski i złożenia w Tatrach, oznajmiam, że nie mogę takiej odezwy podpisać, jakkolwiek stoją pod nią nazwiska dla mnie cenne i miłe, z którymi zazwyczaj się solidaryzuję.

Naród, który dla Słowackiego nie może wywalczyć miejsca na Wawelu, nie jest godzien posiadać tej świętej relikwii na swej ziemi.

Jeżeli dla Mickiewicza znalazło się miejsce na Wawelu, musi się znaleźć dla Słowackiego. I to nie w tej samej krypcie, lecz w krypcie osobnej.

Za życia Słowackiemu odjęto pierwsze miejsce i oddano prym niższemu i realistyczniejszemu, a więc zrozumialszemu dla motłochu Mickiewiczowi.

Kto nie wynagrodzi tego po śmierci i nie wywalczy dla Słowackiego miejsca równego miejscu Mickiewicza, ten nie kocha jego ducha i harfę świętą i srebrnostrunną wszystkich dusz polskich znieważa.

Poetycznym jest sen o Tatrach i o grobowcu w nich Słowackiego. Lecz to nie panteon narodowy. Kto kocha Słowackiego, ten zdobędzie dla niego Wawel. Naród czczący jednego nikczemnego klechę więcej od objawiciela swego — niegodzien posiadać jego świętych kości. Prowizoryczne kompromisy ubliżają Słowackiemu.

Kiedy plan ten zostanie w prasie ogłoszony, będę się starała w miarę słabych mych wpływów zebrać inne protestujące podpisy², bo inaczej mi nie wolno.

Z uszanowaniem i przyjaźnią dla Was

Savitri

¹ Autorka nie podała ani miejsca, ani daty. Jak z rejestru adresatów widać, mieszkała wtenczas w Petersburgu. Nie dochowała się też koperta, ale Hempel odnotował z niej daty stempla pocztowego: „29 I/10 II 1910”.

² O zapowiedzianej tu akcji protestacyjnej nie udało się znaleźć bliższych wiadomości.

26. Do Jana Hempla

[Warszawa, 5 lutego 1910]

Szanowny Panie.

Przepraszam uprzejmie, że wskutek nieporozumienia list ten nie został w skazanym [!] terminie wysłany¹. Wysyłając go obecnie, łączę wyrazy szacunku i wysokiego poważania.

d. 5 II 1910, Warszawa

Wiejska 18

Julia Stabrowska

¹ Do listu dołączony był egzemplarz odezwy z podpisami T. Micińskiego i K. Stabrowskiego. Podpisy te już się nie dostały między nazwiska wydrukowane pod *Listem otwartym*.

MATERIAŁY DO DZIEJÓW PRZYJAŹNI JÓZEFA CZECHOWICZA Z KAZIMIERZEM MIERNOWSKIM

UWAGI WYDAWCY

Wszystko niemal, co będzie się pisało o życiu Józefa Czechowicza, trzeba będzie opatrywać przymiotnikiem „nieznany”. Nieznany ten okres życia, tamten szczegół, owa wiadomość. Nawet czytelnik nieźle zaznajomiony z poezją Czechowicza ma ogromne trudności w zorientowaniu się w głównych sprawach biografii poety, nie ma z czego złożyć sobie jako tako uporządkowanego wizerunku jego życia. Nawet fakty wiadome nie mają dokładnej lokacji czasowej. Wspomnienia jego lubelskich przyjaciół — Konrada Bielskiego i Wacława Gralewskiego — oraz towarzyszy lat warszawskich — Mrozowskiego czy Piętaka — uchylają dość skąpy widok na oblicze poety, więcej — jak to bywa — te wspomnienia mówią o wspominających. Jedynie esej biograficzny Czesława Miłosza przynosi sporo materiału, szkic do portretu, ale tylko do ostatnich lat życia Czechowicza. Stąd potrzeba i postulat, by poeta przemówił sam o sobie. Nie ma trudności z dostępem do liryki Czechowicza, która stanowi poetycki „pamiętnik artysty”. Dopelnieniem tego pamiętnika będzie dorobek epistolarny poety. Ujawniona została do tej pory jego nikła część, a zbiór listów zbliżony do kompletu przyniesie zbiorowe wydanie dzieł poety, które prowadzi Wydawnictwo Lubelskie.

Treścią niniejszej publikacji są w zasadzie listy Czechowicza do K. Miernowskiego i jego wspomnienie o poecie. Przyjaźń poety z adwokatem, poświadczona przez podane niżej materiały obficie, jest nowym faktem w biografii poety, zjawiskiem, które modyfikuje obraz lubelskich lat Czechowicza, przekazany przez wspomnienia przyjaciół. Kim był bliski przyjaciel poety tamtego czasu? Kazimierz Miernowski (1899—1958) ukończył w Lublinie Liceum im. Jana Zamoyskiego, a po zdaniu matury studiował i ukończył prawo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Do ostatnich lat życia był czynnym adwokatem, cieszącym się wzięciem i dużym uznaniem. Prócz pracy zawodowej interesował się bardzo sztuką. Przyjaźnił się z artystami (szczególnie bliskie stosunki łączyły go z Janem Wydrą) i poetami; znał doskonale literaturę polską, rosyjską i francuską. Był kolekcjonerem dzieł sztuki, należał do twórczych odbiorców kultury. Musiał także posiadać wybitne cechy charakteru, skoro Czechowicz uznał go za człowieka godnego całkowitego zaufania i jemu zwierzał się z bardzo osobistych spraw i kłopotów. Temu zaufaniu i przyjaźni zawdzięczamy przechowanie materiałów o niezastąpionej wartości dla badacza twórczości Czechowicza. Nie sposób na tym miejscu przedstawić zawartość całego bogatego archiwum Miernowskiego. On sam w swym wspomnieniu raz po raz do niego się odwołuje, w komentarzu znalazły się też pewne cząstkowe informacje o jego zawartości. Czechowicz, porządkując swoje papiery, nie chciał pewnych rzeczy skazywać na całkowitą

zagładę i przekazał je przyjacielowi. W ten sposób ocalały zeszyty z wierszami obcych poetów, przepisywanymi przez Czechowicza, wiersze jego młodzieńcze, maszynopis *Kamienia*, który był podstawą druku, oraz liczne rękopisy z różnych faz twórczości. Miernowski od początku wierzył w wielki talent Czechowicza, stąd ta pieczołowitość w opiekowaniu się wszystkim, co związane było z osobą przyjaciela.

Zespół publikowanych tu listów Czechowicza jest najbogatszy z ogłoszonych do tychczas. Waga ich dla poznania biografii i drogi pisarskiej poety jest wyjątkowo duża. Odnoszą się one w poważnej mierze do lat startu literackiego Czechowicza, kiedy zaczyna się kształtować jego oblicze jako poety. Oświetlają one parę istotnych epizodów życia Czechowicza, ledwie zanotowanych przez biografów (studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej, pobyt we Francji) bądź całkowicie nie znanych (pobyt w Szkole Podchorążych w Berezie Kartuskiej). Listy pisane z Francji dają dowód zainteresowania nową sztuką francuską, zwłaszcza malarstwem kubistycznym. Sprawy literackie i artystyczne zostały jednak potem przytłumione przez perypetie grożące utratą wzroku. Nie wspomniał np. Czechowicz o nawiązaniu współpracy z pismem „L'Art Contemporain — Sztuka Współczesna”, redagowanym przez Jana Brzękowskiego, gdzie wydrukował wiersz pt. *Śmierć*.

Listy Czechowicza do Miernowskiego obejmują zespół liczący 24 pozycje i stanowią całość kompletną, a luki czasowe tłumaczą się tym, że np. w latach 1931–1933 Czechowicz przebywał w Lublinie, zaś w latach następnych częstotliwość korespondencji osłabła. Zachowały się one nieźle, bez uszkodzeń tekstu. Papieru poeta używał rozmaitego, parę razy posłużył się pocztówkami. Pisał zwykle atramentem niebieskim, choć niekiedy posłużył się czerwonym, ołówkiem kopiowym lub wyręczył się maszyną. Przy wielu listach zachowały się koperty. Pismo — jak zwykle u Czechowicza — czytelne, staranne. Jedynie listy z wojska, pisane w warunkach nienormalnych, odbiegają od przeciętnej: pisane ołówkiem i dosyć niedbale.

Wydawca stosował zasady postępowania ogólnie przyjęte w tego typu publikacjach: nie ingerował w tekst, ograniczył się jedynie do ujednolicenia pisowni i interpunkcji. Zachowano manierę pisania tytułów zbiorów małą literą; w listach ujednolicono datowanie, umieszczając datę zawsze na początku listu.

Listy Czechowicza do Kazimierza Miernowskiego jak również wspomnienie stanowią własność żony Miernowskiego, p. Zofii Miernowskiej w Lublinie. Dzięki jej uprzejmości zostały mi udostępnione.

Wspomnienie Kazimierza Miernowskiego o Czechowiczu nie było pisane z myślą o publikacji. Zanotowane pośpiesznie na parę dni przed śmiercią, w chorobie, po prostu, by dać świadectwo. Waga tego świadectwa usprawiedliwia z pewnością jego druk. Zestawione z listami Czechowicza dają ciekawy dwugłos: wspomnienie i listy wzajemnie się dopełniają i wyjaśniają. Wspomnienie to godzi doskonale uwielbienie dla poety z rzeczowością informacji. Miernowski okazuje rzadką wśród pamiętnikarzy cechę. Niemal całkowicie usuwa z planu swoją osobę, cały wątek skupia na osobie Czechowicza. Przez to ma ono cechy całkowitej wiarygodności. Wspomnienie Miernowskiego jest drukowane w brzmieniu uzgodnionym z p. Zofią Miernowską.

Listy Czechowicza do Józefa Nikodema Kłosońskiego (4 pozycje) i do Marii Wydrowej (1 list) zapełniają luki w korespondencji z Miernowskim. Szczególnie listy do Kłosońskiego przynoszą obfitość informacji.

Józef Nikodem Kłosoński (1905–1959), powieściopisarz i krytyk związany z Lubelszczyzną, przebywał wtedy w Krasnymstawie jako nauczyciel szkoły rolniczej. Tam oddawał się pracy literackiej i społecznej. Współpracował przy redagowaniu pisma „Wiś Krasnostawska”. Listy Czechowicza są komentarzem do jego wiersza *Krasny-staw*, a także dobrze świadczą o przywiązaniu poety do rodzinnej ziemi. Nawet mie-

szkając w Warszawie śledzi on uważnie to, co się w regionie dzieje, utrzymuje kontakt listowny i osobisty z przyjaciółmi, w Warszawie reprezentuje ich interesy. W swej pracy redakcyjnej dawał tego wielokrotnie dowody. Na czas pisania tych listów przypada powstawanie utworów z cyklu *Prowincja noc* i wydanego wspólnie z Arnsztajnową tomiku *Stare kamienie*. Listy do Kłosowskiego, świetnie zachowane, znajdują się w Lublinie u żony zmarłego pisarza. Drukowane są zgodnie z przedstawionymi wyżej zasadami.

Jedyny list do Marii Wydrowej potwierdza zażyłą przyjaźń poety z dawną koleżanką i żoną przyjaciela-malarza. Maria z Maćkowskich Wydrowa uczyła z Czechowiczem w Szkole Specjalnej w Lublinie, potem pracowała w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie. Zmarła w 1961 roku, wszystkie papiery związane z Czechowiczem przekazując osobie bliskiej poecie — p. Michalinie Śliwickiej. Od niej uzyskałem tekst listu. W przekazanej jej teczce nie spotkałem listów Czechowicza do Jana Wydry. A musiało ich być sporo. W czasie wojny ślad po nich zaginął.

Pozostaje jeszcze miły obowiązek serdecznego podziękowania Paniom: Zofii Miernowskiej, Kłosowskiej i Michalinie Śliwickiej za łaskawe umożliwienie publikacji tych listów oraz za wszystkie wyjaśnienia, jakimi uczynnie mi służyły.

Tadeusz Kłak

I

KAZIMIERZ MIERNOWSKI

MOJE WSPOMNIENIA O CZECHOWICZU

Na wiosnę 1921 r. w okresie szkolnych ferii wielkanocnych odwiedziłem swego przyjaciela i kolegę szkolnego Wacia Gralewskiego w jego mieszkaniu przy ul. Króla Leszczyńskiego. Rozmawialiśmy o książkach, o wydarzeniach, jakie nas ostatnio spotkały. W pewnej chwili ktoś zapukał do drzwi i do pokoju — raczej izby na poddaszu, małej, ciasnej, z oknem w dachu, bo tak mieszkał z matką Gralewski — wszedł wysoki, smukły, bardzo szczupły i dziecięco wyglądający chłopak, w bardzo podniszczonym ubraniu i bodaj czy nie boso lub w czymś, co tylko przypominało trepy. Był to właśnie Józio Czechowicz. Piszę Józio, gdyż zawsze go tak nazywałem, nawet wtedy, gdy używał już tylko swego drugiego imienia — Henryk.

Z Czechowiczem wyszliśmy po chwili we dwóch — odprowadził mnie do domu na Misjonarską, gdzie mieszkałem, potem znów ja go na Kapucyńską do jego mieszkania. Przez cały czas rozmowa z nim była dla mnie frapująca i ciekawa. Tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Wkrótce dowiedziałem się od niego wszystkiego o nim; miał wówczas lat 17 i już pracował jako nauczyciel w szkole powszechnej w Słobódce¹,

¹ Miejscowość koło Braclawia w dawnym województwie wileńskim.

gdzieś na ówczesnych naszych kresach wschodnich, i tylko na ferie świąteczne i wakacyjne przyjeżdżał do Lublina do swej „Muni”, jak nazywał matkę², i do swego brata Stasia³.

Matka jego była od lat woźną w Banku Handlowym przy ul. Kapucyńskiej 3 i zajmowała w lewej oficynie (dom nie istnieje już, spalony w czasie ostatniej wojny do fundamentów) jedną izbę w głębokiej suterenie. Do izby tej wchodziło się przez zupełnie ciemny korytarz, nigdy nie oświetlony, w poprzek którego jeszcze, jako pułapka na przechodzących, przeciągnięta była rura kanalizacyjna, którą należało wysoko podnosząc nogi przekroczyć. Izba była ciemna, światło było tylko pod samym oknem, wystającym trochę swą górną częścią nad ziemię. Tu Czechowicz spędził dzieciństwo i nieraz opowiadał mi, jakim strachem napawało go przejście przez ciemny korytarz, lub gdy w wyobraźni jego jako dziecka wyskakiwały spod komina jakieś skrzaty i przebiegały przez izbę, gdy tylko odwrócił od komina oczy.

Matka jego była wyjątkowo dobrą, wyjątkowo bezpośrednią i prostą kobietą. Malutka, zawsze zapracowana.

Brat Stanisław, o, to był wysokiej klasy intelektualista, przy którym w tym czasie Józio gasł. Władał biegle chyba 12 językami, w czym doskonale łaciną i greką, zaczytywał się w filozofii i miał ogromną jak na Lublin bibliotekę, złożoną z co najmniej 2000 tomów. Znałem go zresztą mało, gdyż miał on swoje towarzystwo, a my z Józkiem odseparowaliśmy się zupełnie. Mieliśmy swoje sprawy — przede wszystkim literaturę piękną, którą Stanisław Czechowicz, o ile wiem, nie interesował się specjalnie. Brat ten był chory na gruźlicę, zmarł w rok czy dwa lata później i pochowany został na cmentarzu w Lublinie w jego zachodniej części. Nad grobem były przemówienia przyjaciół zmarłego i pamiętam, jak podobało mi się zachowanie matki Józka, która mocnym i dźwięcznym głosem powiedziała kilka słów podziękowania. Brat ten był o kilka lat starszy od Józka.

Poza bratem Józio Czechowicz miał jeszcze siostrę⁴, zamieszkałą stale we Lwowie, zamężną, która tylko czasami przyjeżdżała do Lublina i którą widziałem kilka razy. Miał natomiast kuzynkę⁵ w swoim wieku, bardzo

² Małgorzata z Sułków Czechowiczowa (zm. 1936) pochodziła ze wsi Młynki pod Puławami.

³ Stanisław Czechowicz (1899–1925), wybitnie uzdolniony, studiował na KUL prawo. Umarł na gruźlicę.

⁴ Kazimiera Głuszevska, przed samą wojną mieszkała w Brodach koło Lwowa. Późniejszy los jej jest nieznany. Miała pewne uzdolnienia literackie, pisała kiedyś w „Ziemi Lubelskiej” o grupie „Reflektora”, a także współpracowała z Czechowiczem i Madejem przy układaniu antologii poetów lubelskich.

⁵ Prawdopodobnie chodzi tu o kuzynkę Bronisławę Kołodyską, wymienioną w liście Czechowicza z dnia 18 IV 1927 r.

miłą panienkę, która w późniejszym czasie rozciągnęła nad nim coś w rodzaju opieki, okazywała mu zainteresowanie, a po tragicznej śmierci Józia 9 września 1939 r. zajęła się jego grobem i do swego wyjazdu z Lublina o grób ten miała staranie.

Ojciec⁶, gdy Józia poznałem, już od szeregu lat nie żył. Wspomnienie o ojcu miał Józio bardzo przykre — po prostu bał się i ojca, i wspomnień. Ojciec obdarzył go nieuleczalną wówczas dziedziczną chorobą i Józio bał się, iż skończy jak ojciec w szpitalu dla obłąkanych. Pamiętam, jak raz byliśmy na cmentarzu na Kalinowszczyźnie i Józio pod żadnym pozorem nie chciał w pewnym momencie pójść dalej w głąb cmentarza, pokazując w panice ręką, iż tam za drzewami leży jego ojciec i złe moce płyną z tego miejsca.

Przyjaźń zawiązaliśmy od początków naszej znajomości, jednak długo mówiliśmy sobie przez pan. Gdy tylko przyjeżdżał do Lublina, zaraz był po mnie na Misjonarskiej i urządzaliśmy długie spacerory lub szli do niego. Odprowadzałem go zawsze na stację kolejową, gdy wyjeżdżał po ferriach.

W tym okresie przeżył już swoją pierwszą wielką miłość, po której długi czas nie mógł się otrząsnąć i której wynikiem artystycznym jest wydrukowana w „Reflektorze” (w numerze z czerwca 1923 r.) *Opowieść o papierowej koronie*⁷. „Reflektora”, śmiałe i postępowe ówczesne pismo literackie w Lublinie, wydawał i drukował przyjaciel mój i Czechowicza — Wacjo Gralewski.

W tym też czasie powstały pierwsze wiersze Józia, drukowane w wydanym w 1955 r. zbiorze *Wierszy wybranych*⁸. Wiersze te w rękopisie podarował mi, nie chcąc ich niszczyć, ale i nie ceniąc ich wcale, gdyż były zupełnie, jego zdaniem, dziecinne.

W tym czasie Józiowi jako pracującemu i zarabiającemu na siebie było finansowo lepiej — poprzedni okres musiał być bardzo ciężki, co widać zresztą z jego wiersza, już późniejszego, o matce⁹. Głód poezji musiał być duży — kupować książek nie miał za co, toteż po prostu przepisywał sobie do zeszytów wszystkie cenniejsze, w jakich znalazł upodobanie i jakie mógł zdobyć w tłumaczeniu polskim, utwory poetów Francji, Niemiec, Anglii, Ameryki, Włoch, Austrii itp. Utworzyło się z tego kilka zeszytów, które również mi podarował i które mam dotąd¹⁰.

⁶ Paweł Czechowicz, zmarły w obłąkaniu jeszcze przed I wojną światową.

⁷ *Opowieść o papierowej koronie*, „Reflektor”, czerwiec 1923, s. 4–28. Przez niedopatrzenie przy *Opowieści* pominięte zostało nazwisko Czechowicza.

⁸ Józef Czechowicz, *Wiersze wybrane*, Oprac. S. Pollak i J. Śpiewak. Notę biograficzną napisał Wacław Gralewski, Warszawa 1955.

⁹ Chodzi o wiersz *jedyna* zawarty w tomie *dzień jak co dzień*.

¹⁰ W posiadaniu Zofii Miernowskiej znajdują się zeszyty Czechowicza o następującej zawartości: Liryka rzymska, Poezja prowansalska, Poezje E. A. Poego, Poeci francuscy i belgijscy drugiej połowy XIX wieku, Poeci francuscy i belgijscy z końca

Po pewnym czasie wrócił do Lublina na stałe i został nauczycielem w Szkole Specjalnej w Lublinie, prowadzonej pod kierunkiem Leopolda Dussila¹¹. Uczył w niej przez kilka lat wraz z Dussilem i p. Mirą Fałkówną¹². Były to lata 1924—1929¹³ — dokładnie nie pamiętam — i wtedy dopiero przyjaźń nasza rozwinęła się mocno i utrwaliła.

Co uderzało w nim, to wdzięk chłopięcy i niesłychana miękkość i delikatność, które pozostały w nim do końca życia. A obok tego chłopięca nieodpowiedzialność, chłopięcy brak powagi i chłopięca gotowość do psich figlów.

To przecież on, już w wieku dwudziestu kilku lat, gdy wyjeżdżałem z bratem swym do Puław rano w niedzielę, już jako adwokat, chyba w 1930 r., przyszedł do mego mieszkania przy ul. Kościuszki odprowadzać mnie — pozwolił sobie na innemu niewybaczalny kawał. Mieszkał ze mną mój ówczesny przyjaciel, Jan Iracki¹⁴, który ustrojony tylko w koszulę pomimo dochodzącej 11 godziny rano, wstał za nami, by wyjąć z pudełka gazetę. Józio siedł ostatni, Iracki w środku. Któryś z nas odezwał się: oj, co by tak było, gdyby się tak drzwi zamknęły. Ledwie te słowa zostały wypowiedziane, gdy rozległ się trzask zamykanych drzwi. Iracki został, prawie goły, bo tylko w koszuli, przed drzwiami mieszkania, na korytarzu, a my odjechaliśmy i tylko schodząc na dół słyszeliśmy rozpaczliwy dzwonek Janka do drzwi. Dzwonek był ręczny, moja ciotka, pozostała w mieszkaniu, akurat wyszła na drugą klatkę schodową i oczywiście sytuacja Janka była niewesoła, a Józio Czechowicz zaśmiewał się serdecznie z tej sytuacji. Drugi wypadek, kiedy z mego balkonu ogłaszał przez gramofonową trąbę, którą porwał mi z ręki, iż tylko tutaj jest adwokat wygrywający wszystkie sprawy itd. Było to w biały dzień i musiałem go siłą odciągać z balkonu i odbierać mu trąbę, co przy jego wzroście nie było rzeczą prostą.

Ta chłopięcość jego najlepiej chyba została oddana w fotografii wykonanej przez mego brata w naszym mieszkaniu przy Misjonarskiej na tle szafy z książkami, z której odbitka, zresztą słaba, jest umieszczona w wyborze jego poezji wydanym w 1955 r. Chłopięcość tę uchwycił też malarz warszawski Kramsztyk¹⁵ w rysunkowym portrecie Józefa Czecho-

XIX wieku (dwa zeszyty o tym samym tytule), Z włoskiej poezji futurystycznej i *Cytra Achillea* G. Pascolego.

¹¹ Por. list Czechowicza z 18 IV 1927 r. i przypisy do niego.

¹² Mira z Fałków Zielińska, nauczycielka Szkoły Specjalnej w Lublinie.

¹³ W roku szkolnym 1924/1925 był Czechowicz słuchaczem Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Lublinie i nauczycielem 7-klasowej szkoły powszechnej nr 3 we Włodzimierzu Wołyńskim.

¹⁴ Jan Iracki, dobry znajomy Miernowskiego i Czechowicza.

¹⁵ Roman Kramsztyk (1885—1942), artysta malarz.

wicza, robionym czerwoną sangwiną. Odbitkę tego portretu, zresztą dobrą, mam.

Portret Józia robiony przez naszego wspólnego przyjaciela Jana Wydrę¹⁶ — światłocieniem oddana głowa Józia Czechowicza — już tego wyrazu chłopczości nie oddaje.

Swoją chłopczość Józio rozumiał, czego wyrazem jest między innymi szczegół, iż gdy wydawał w 1927 r. zbiór swych wierszy *Kamień*, pierwotny projekt nazwy tego zbioru własnoręcznie przezeń wykaligrafowany brzmiał *Dni chłopca*. Egzemplarz ten z ekslibrisem Czechowicza, z zaprojektowaną przez niego okładką jasnoceglastego koloru z pasem ukośnym białym naklejonym, mam u siebie.

Na książkach swojej biblioteki Józio naklejał ekslibris z napisem *vita somnium breve*, przy czym nad literą „v” tańczy śmierć z sierpem i mieczem w ręku. U dołu stylizowane liście, jeszcze niżej napis „Józefa Czechowicza ex libris” i po bokach napisu po jednym stylizowanym kwiatku.

Pismo miał niezwykle czytelne — podpisywał się monogramem J.C. — litery wplecione w siebie.

Bardzo dobrze rysował i ładnie, pomysłowo i z sensem kompozycyjnym ciął z papieru wycinanki. Nieraz do swych wierszy, szczególnie tych dla dzieci, dorysowywał na papierze, na którym wiersz napisał, ludowe stylizowane kogutki lub kwiatki. Mam taki egzemplarz, jak również mam rysunek zwykłym piórem Józia, przedstawiający szopkę, oraz sporych rozmiarów wycinankę, przedstawiającą na granatowym tle czarny krzyż, na nim białe duże promienie w kształcie trochę przypominającym zarys ciała rozpiętego, pod krzyżem Matka Boska w czekoladowym habicie, z dużą białą aureolą — za nią pod krzyżem nisko ceglaste, czerwone i żółte promienie.

Pedagogiem był z umiłowania i doskonałym. Gdyby nie poezja — nic by go nie oderwało od zawodu nauczyciela. Niezwykle był lubiany przez dzieci i swych wychowanków, bo też umiał do nich podejść i dobrać się do ich dusz. A praca w tym zawodzie nie była ani łatwa, ani prosta. Szkoła Specjalna w Lublinie, gdzie uczył i której następnie przez krótki czas po Dussilu był kierownikiem, miała dzieci niedorozwinięte umysłowo i zaniedbane moralnie. Opowiadał mi o chłopcu, który cierpiał głód i nędzę w domu i który z malutkiego posiłku, jaki otrzymywał jak i inne dzieci w Szkole Specjalnej na drugie śniadanie, odkładał połowę i najlepsze części dla swego małego braciszka w domu, a który w tym samym czasie potrafił wraz z innymi chłopcami obedrzeć żywcem ze skóry kota. Albo o chłopcu niedorozwiniętym, silnym i ogromnym, lecz mającym utrudnione chodzenie, którego na pauzie między lekcjami inne dzieci,

¹⁶ Zob. przypis do listu Czechowicza z 5 XII 1928 r.

wykorzystując jego niemożność biegu, biły po nogach różgami i śmiały się z jego bezsilnej złości i łez.

Jak umiał oddziaływać na dzieci, może świadczyć to, iż dorosła już córka moja dotąd pamięta i wspomina wieczór, gdy Czechowicz jej, mającej wówczas może 4 lata, opowiadał i zarazem ilustrował ciętą na poczekaniu wycinanką skomponowaną dla niej bajkę.

Jak podałem wyżej, był jakiś czas nauczycielem w Słobódce. I stamtąd przywiózł подарowany mu przez jakiegoś ucznia piękny w szarym drzewie nabijany koralikami kałamarz z suszką. Miał go długie lata, bardzo cenił i zabrał z sobą do Warszawy.

To Józio Czechowicz był inspiratorem i jednym z założycieli klubu dla gazeciarzy, otwartego przy ul. Kościuszki 2 — znali go wszyscy gazeciarze, miał między nimi wielki mir.

Żeby wrócić jeszcze do książek, dodam, że miał ich z czasem dużo. Był zakochany w książkach, zbierał je, należał do Koła Lubelskich Bibliofilów¹⁷ wraz ze śp. księdzem Zalewskim¹⁸, wraz ze znanym w Lublinie znawcą sztuki ludowej, miłośnikiem książki i bibliofilem Wiktorem Ziółkowskim¹⁹. Nie byłem wówczas sam bibliofilem i o tej działalności Józia, a była ona również ciekawa, niewiele mogę powiedzieć.

Nasze rozmowy, spacer, wzajemne kontakty trwały nadal, Józio wciąż był chłopcem, mądrym, niesłychanie głębokim i dobrym, ale chłopcem. Wszystko, co mówił, nabierało nowego znaczenia i głębszej istoty dlatego, że mówił inaczej, sięgał do sedna rzeczy i mówił tak, iż można było słuchać bez przerwy i bez zmęczenia. Żywo, dowcipnie, z rozmachem, a jednocześnie głęboko. Chodziliśmy godzinami po Lublinie i za Lublin, zaraz pod wieczór i wieczorem do późnej nocy, jeżeli nie poszliśmy do kina. Bo kino lubił Józio, a i ja również, namiętnie. Byliśmy na każdym programie, przy czym do jednego kina (później znanego pod nazwą „Stylowy”) mieliśmy wstęp bezpłatny, gdyż Dussil był jego właścicielem. Siadywaliśmy w ciemnościach, rozwijali chałwę czy czekoladę lub orzeszki palone, patrzyli na obraz na ekranie i jedli. A po kinie znów rozmowy.

Józio namiętnie lubił też słodczyce. Jadał je masami. To o nim poszła gadka, że na zabawie urządzonej przez „Express Lubelski” zjadł przez noc 75 pączków. Byłem na tej zabawie — widziałem, jak się kręcił przy bu-

¹⁷ Bibliofile, Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki, założone w 1927 r., grupowało bibliofilów lubelskich. Przewodził im ks. L. Zalewski, u którego odbywały się zwykle ich spotkania. Do bardziej czynnych członków Towarzystwa należeli: F. Araszkiwicz, S. Wojciechowski, W. Ziółkowski i H. Zwolakiewicz. Czechowicz był kronikarzem Towarzystwa.

¹⁸ Ks. L. Zalewski (1878—1952), historyk kultury Lubelszczyzny, pisarz i bibliofil.

¹⁹ Wiktor Ziółkowski (Julian Kot), ur. 1893, artysta plastyk, nauczyciel rysunków w szkołach lubelskich, krytyk sztuki, znawca lubelskiej sztuki ludowej.

fecie, chwalił się przy tym wobec mnie tą liczbą — ale nie przypuszczam, by mógł taki nadmiar ciast wytrzymać. Był to też, łącznie z jego upodobaniem do kina, objaw jego chłopięcości.

Przypominam sobie, jak w ulewny deszcz przyszedł do mnie na Misjonarską Czechowicz z Gralewskim i Bielskim i jak w tenże ulewny deszcz chciało się nam biegiem udać do kina „Wenus”, by zobaczyć *Nibelungi*²⁰ — wspaniały zresztą film niemiecki. Józiowi podobała się część pierwsza — bajkowa — *Nibelungów*, a w szczególności jasnowłosy Zygfryd, mnie część druga — patetyczna. Całą dyskusję przeprowadziliśmy na ten temat.

W spacerach naszych chodziliśmy pod Zamek, na Kalinowszczyznę, na Czwartek, na Stare Miasto, a już obowiązkowo zwiedzaliśmy z nim wszystkie kościoły w Wielki Piątek i Sobotę, gdy były groby, oraz na dwa tygodnie przedtem chodziliśmy do cerkwi prawosławnej przy ul. Unickiej słuchać chórów na głosy.

W Lublinie wychodził od czasu do czasu „Reflektor”²¹ — Józio Czechowicz, który najpierw wydrukował tam swoją *Opowieść o papierowej koronie* — czuł jednak swoją całkowitą odrębność, o czym mówił, i chciał wydawać własne tomiki. Takie zresztą wydawał.

W okresie do wyjazdu do Warszawy z dostępnych mi w oryginale rosyjskich poetów lubił Błoka, Jesienina, Siewierianina, Gumilowa, Briusowa i Balmonta. Z jakim entuzjazmem czytał mi na Misjonarskiej przekłady Tuwima z Balmonta i Briusowa! Jeszcze dotąd pamiętam dźwięk jego głosu, gdy odczytywał *Tęsknotę stepów* Balmonta o dźwięku dzyngi lub *Płowego kcnia* Briusowa. A czytać umiał pięknie, prosto — bez wysiłania się na modulację głosu, z wydobyciem całej muzyczności i wiersza, i słowa, i całej jego rytmiki. Dotąd słyszę jego „Dzyngi dźwięk jak dzwon, jak dzwon, jak dzwon”. Książeczkę tę mam (wydanie z 1921 r. Tow. Wyd. Ignis) z dedykacją Czechowicza dla mnie z 1938 r. I tu dość charakterystyczny moment dla Józia. Książeczkę tę sam nabyłem, gdzieś mi się zapodziała, prawdopodobnie on sam pożyczył ją ode mnie i po paru dobrych latach przysłał mi ją już z Warszawy z dedykacją²².

Z poezji współczesnej polskiej bardzo podobał mu się *Śpiew w ciemnościach* Przysieckiego, który mi dokładnie odczytywał. Tuwim, Broniewski czy inni — raczej nie. Z dawniejszych Tadeusz Miciński.

Mam w tej chwili przed sobą wydane nakładem Czechowicza i S-ki

²⁰ *Nibelungi* (*Nibelungen*), film niemiecki zrealizowany w 1925 r. przez Fritza Langa.

²¹ „Reflektor”, pismo awangardowej grupy literackiej pod tą samą nazwą. W latach 1923–1925 wyszły ogółem 4 numery. Do grupy „Reflektor” wchodził: Konrad Bielski, Józef Czechowicz, Waław Gralewski i Stanisław Grędziński; teoretykiem jej był Czesław Bobrowski.

²² Zob. przypis do listu Czechowicza z 13 XI 1938 r.

(Lublin 1931 r.) kpiące dobroduszne *Nowości lubelskie*²³, katalog regionalny (jak podaje) najwybitniejszych autorów miejscowych, gdzie pod C jest umieszczony ustęp o Czechowiczu, który przytaczam: „Czechowicz J., *Uprawa Ziemi Lubelskiej przy pomocy tura i pegaza*, 1930. Nakład min. J. Jędrzejewicza”, oraz „Czechowicz J., *Wskazówki metodyczne do interpunkcji w poezji*. Tom pierwszy lepszy. Poleczone przez »Reflektora«, Lublin 1927 r. Nakładem Szkoły Specjalnej”.

Katalog ten zawiera w porządku alfabetycznym wyliczenie fikcyjnych prac kilkudziesięciu osób spośród Lublinian, m.in. — poza Czechowiczem — F. Araszkiwicza²⁴, ks. Zalewskiego, Wiktora Ziółkowskiego, Wacława Gralewskiego, Konrada Bielskiego i in. Układał go wraz z innymi i Czechowicz. Brał również udział w układaniu szopki lubelskiej, która ukazywała się w teatrze lubelskim po świętach Bożego Narodzenia przez kilka lat — udział ten jednak był niewielki i nie zajmował go.

Tu w Lublinie cbaj składaliśmy wizyty w domu państwa Głowińskich²⁵, gdzie były dwie córki p. Głowińskiej z pierwszego małżeństwa, i tu do jednej z nich, p. Inki Śliwickiej²⁶, poczuł miłość. Było to drugie jego poważne uczucie — trwało to przez kilka lat i pod jego wpływem napisał kilka pięknych erotyków.

Trzecia i ostatnia jego miłość była już innego zgoła rodzaju²⁷, przetrwała do końca jego życia i pamiątką o niej pisaną z zamiarem, by taką pamiątką pozostała, jest (nie wiem, dlaczego nie wydany w zbiorze z 1955 r.) mały, a jakże piękny poemat o Hildurze i Baldurze²⁸. Nie ma rzeczy wstydlivych czy niemoralnych w sztuce. O ile jest coś sztuką, to nie może w tym być niemoralności, i dlatego sądzę, iż ten błąd będzie naprawiony i poemat ten ukaże się w pełnym zbiorze Czechowicza. Poza tym zresztą, według tego, co mi mówił — wszystko, o co go posądzano, było bardzo przesadzone.

Czechowicz też pisywał, ot, byle zarobić, gdyż nie przelewało się u niego, wiersze okolicznościowe dla wychodzącego w Lublinie „Expressu Lubelskiego”. Były to wiersze z okazji Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy czy Zielonych Świąt — ale jakie! Zachwycaliśmy się wszyscy nimi,

²³ *Nowości lubelskie. Katalog najwybitniejszych autorów miejscowych*, Lublin 1931. Nakładem J. Czechowicza i S-ki.

²⁴ Feliks Araszkiwicz (ur. 1895), obecnie profesor historii literatury polskiej na KUL, ówczesnie wizytator i nauczyciel szkół średnich. Brał żywy udział w ruchu literackim i kulturalnym Lublin.

²⁵ Franciszek Głowiński prowadził „Dom Wydawniczy Franciszek Głowiński i S-ka”, wydawał „Przegląd Lubelsko-Kresowy” oraz „Express Lubelski i Wołyński”. Ożenił się z wdową po Danielu Śliwickim, redaktorze „Ziemi Lubelskiej”.

²⁶ Zob. przypisy do listu Czechowicza z dnia 18 IV 1927 r.

²⁷ Aluzja do homoseksualnych skłonności Czechowicza.

²⁸ *hildur baldur i czas* znajduje się w zbiorze *nic więcej*, s. 45–53.

bo to były perełki. Jaka szkoda, że roczniki „Expressu Lubelskiego” zaginęły i nie można już ich odtworzyć.

Chciał też sam być redaktorem pisma, co zresztą zrealizował w Warszawie później, obejmując redakcję pisma dla dzieci — „Płomyka”²⁹. Ale tu w Lublinie omal nie wpadł w duże tarapaty, gdy przyjechał jakiś zadreńczony redaktor jakiegoś pisemka wołyńskiego i namówił Józia, by od niego przejął to pismo. Cośmy się namęczyli z Gralewskim, by go od tego przedsięwzięcia oderwać. Przyrzekł, że nie podejmie się prowadzenia tego pisma, lecz zdaje się, że w tajemnicy przed nami w coś się wplątał, gdyż później radził się, jak ma wyglądać likwidacja pisma³⁰.

Jeżeli chodzi o Wołyń, to był nim zachwycony. Stale opowiadał mi, jacy tam są ludzie, żałował, że nasze społeczeństwo źle się odnosi do tamtejszej ludności, że tam są biedni, ale dobrzy ludzie, i że tam jest pełno czaru i poezji. Utkwiła mi w pamięci mała cerkiewka w Równem, o której opowiadał, że stoi pośrodku miasta wśród sadu jabłoni i że gdy kwitną jabłonie, wygląda cudnie. Widziałem tę cerkiewkę w 1927 r. w zimie, gdy za sprawą pojechałem tam, i powiedziałem mu, jak wyglądała.

Wieś lubił bardzo. Toteż korzystał chętnie z mego zaproszenia do mojej matki do Gutanowa pod Garbowem³¹, gdzie była nauczycielką, i tam spędził kiedyś całe Święta Wielkanocne. Mam z tego czasu fotografię Czechowicza z Gutanowa — na błoniu przed lasem stoi przy nas siedzących, podparty laską. Nosił czasami laskę, ale bez potrzeby — raczej dla wyglądu.

Przyjaźnił się także z artystą malarzem Janem Wydrą, do którego wraz z nim któregoś lata pojechaliśmy do Kazimierza nad Wisłą, gdzie Wydra mieszkał w willi p. Łopuskiej³² i gdzie wtedy malował swój wielki obraz *Alegoria*, a miał (będący do dziś w tym samym stanie) nie wykończony obraz *Rybaczka*. Z tego też okresu mam zdjęcia Czechowicza z Wydrą na plaży, roześmianego.

Miał pociąg do pewnej stylizacji: przypominam sobie — i jest taka fotografia u mej rodziny — jak upozował się na mnicha w habitcie, z krzyżem w ręku, z gestem patetycznym, a u stóp jego klęczy jakiś chłopiec, jakby przejęty gestem mnicha.

Był w stosunkach przyjaznych z Waciem Gralewskim [...]. Z kobiet za swą serdeczną przyjaciółkę uważał p. Marię Maćkowską³³, późniejszą

²⁹ Czechowicz był redaktorem „Płomyczka”.

³⁰ Sprawy tej nie udało się wyjaśnić.

³¹ Wsie w powiecie puławskim.

³² Łopuska — zob. przypis 4 do listu z dnia 7 VI 1929 r.

³³ Zob. informacje w notce wstępnej oraz objaśnienia do listu Czechowicza do Wydrowej.

zonę Jana Wydry, jego przyjaciela, i serdecznie cieszył się, gdy się pobrali. Uczyła ona jakiś czas razem z Józiem w Szkole Specjalnej.

Ja byłem jego może najserdeczniejszym przyjacielem. Tu w Lublinie na pewno. Jednak byłem tylko towarzyszem jednej z jego dróg, co sam mi napisał w swej dedykacji do tomu pt. *Kamień*³⁴. A dróg swoich miał wiele, i to takich, do których nie mogłem się dostać, co zresztą rozumiałem i o co nie miałem pretensji.

Wpływ na mnie miał duży — każdy zresztą, z którym się stykał, ulegał jego czarowi i jego indywidualności. Pomimo bowiem całego liryzmu, całej miękkości, i to niesłychanej miękkości, i wrażliwości oraz swej chłopięcości był to mocny człowiek, duża indywidualność i niezwykła inteligencja.

Wyuczył się kilku języków i mógł bezpośrednio z rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego, angielskiego, czeskiego i ukraińskiego tłumaczyć (i to jak pięknie!) poezje na polski, cudowny w jego ujęciu język. Czytając je wówczas, jak przy czytaniu tłumaczeń Tuwima, miałem wrażenie, że są lepsze od oryginałów. A czytał mi także nieraz sam.

Gdy mieszkał już na Radziwiłłowskiej, w tym okropnym trzypiętrowym, czerwonym od frontu domu — mieszkał w prawej oficynie — kupił sobie maszynę do pisania i każdy wiersz przepisywał na niej i przynosił odpis maszynowy dla mnie. Przedtem pisał je na mojej maszynie, pozostawiając mi za każdym razem odpis zwykle podpisany przez siebie.

Pamiętam też, jak zwierzał się, iż poeci ukraińscy — Paweł Tyczyna³⁵, o ile pamiętam — pokazali mu piękno poezji ukraińskiej. Do tego czasu uważał poezję ukraińską za żadną, a język za niepoważny — czego nie omieszkał powiedzieć będącemu wówczas w Warszawie poecie ukraińskiemu (zdaje się Tyczynie). Ten zabrał go do siebie, dał mu cały szereg poezji ukraińskich i Czechowicz zachwycił się nią. Rezultatem jest szereg tłumaczeń z Pawła Tyczyny i innych — robił je w Lublinie. Pisał czystopisy na mojej maszynie i odpisy mi dawał. Mam je.

Z poglądów społecznych — nie był wstecznikiem, jednak w latach 1924—1930 nie mógł pogodzić się z komunizmem — uważał, iż nie może być zrównania ludzi w niczym. Później nieco zmienił zapatrywania na bardziej lewicowe.

Serce miał dobre — potrafił raz oddać biednej i nieznannej starej kobiecie w pociągu całą resztę swej pensji nauczycielskiej, gdy do pierwszego było jeszcze co najmniej 10 dni i gdy były to czasy jeszcze dla niego prawie bezpieniężne.

³⁴ Zob. przypis do listu z dnia 18 IV 1927 r.

³⁵ Pawło Tyczyna (ur. 1891), poeta ukraiński.

Nie używał żadnych narkotyków: nie pił, nie palił, nie grał w karty w ogóle i kart nie znosił. Zaproszony w towarzystwie do picia mógł wypić bardzo dużo bez widoczniejszych zmian w swym zachowaniu. Za to, gdy towarzystwo grało w karty — graliśmy zwykle w preferansa, później w brydża — nigdy nie brał w tym udziału i albo coś czytał, albo nudził się samotnie. Tak raz u mnie podczas gry w preferansa w jakimś 1933—1934 roku powstały dwa wiersze ułożone przez Józia, z których jeden *maestoso* to właśnie przy nas bezpośrednio w pokoju moim podczas takiej nudy dla niego, a gry dla nas ułożony. Wiersz ten znalazł się w tomie wydanym w 1955 r.³⁶

W 1930 r. Czechowicz uzyskał stypendium i wyjechał do Francji, gdzie był chyba rok³⁷. Mam od niego cały szereg listów z Paryża, z Pontorson — tam napisał wiersz o Taanis³⁸, który mi nadesłał własnoręcznie przepisany. Tam też w Paryżu przechodził jedne z najcięższych chwil swego życia. Jak pisałem — odziedziczył po ojcu ciężką chorobę — rzuciła się na oczy. Z listów, które są z tego czasu bardzo smutne, widać, że prawie nic nie widział. Potrzebna była operacja. Na tę operację posłaliśmy stąd — my, jego przyjaciele — pieniądze i odbyła się, dokonana wprawdzie przez profesora w Paryżu, ale publicznie, wobec studentów, co było upokorzeniem dla ambitnego Czechowicza. Wzrok powrócił całkowicie do normy i poeta przyjechał do kraju zdroj. Refleksem stamtąd jest wiersz *koratiti interstitimi* o chorych oczach³⁹.

W okresie do wyjazdu do Warszawy na stałe Czechowicz był mistykiem, i to zdecydowanym. Mistykiem zresztą pozostał do końca. Nie, nie widziałem, by się modlił czy chodził do kościoła modlić się jako praktykujący katolik. Wierzył natomiast w istnienie świata nadprzyrodzonego. Był czas, że uprawiał doświadczenia z wirującymi spodeczkami, serio traktował magię. Uważał ją za klin (według jego słów), wbijający się siłą w inną rzeczywistość, która dla niego była realna tak samo jak ta na ziemi. Brałem nieraz codziennie (był to taki okres w Polsce czy nawet na całym świecie) udział wraz z nim w seansach ze spodeczkiem. Mogę tylko to powiedzieć, iż gdy Józio Czechowicz zasiadł do spodeczka, odpowiedzi były zawsze logiczne, z sensem, pełne nieraz poezji, przypominały mu dawne piosenki zmarłego brata czy z dzieciństwa — jednym słowem był to seans udany. Gdy czasami robiłem to z innym — nic nie wychodzi-

³⁶ *Wiersze wybrane*, s. 266.

³⁷ We Francji przebywał Czechowicz około 4 miesiące — od marca do czerwca 1930 roku — jako stypendysta Ministerstwa WRiOP.

³⁸ Chodzi o wiersz *w kolorowej nocy* ze zbioru *nic więcej*.

³⁹ Wiersz *koratiti interstitimi* drukowany był w *Wierszach wybranych*, s. 259. Autograf w zbiorach Miernowskiego.

ło lub bzdury. Tak to indywidualność Czechowicza nadawała barwę, rumieńce i treść tej czynności, co świadczy właśnie o tym, iż jest ona objawem działania psychiki i siły biorącej [udział] w tej czynności osoby, a nie czymś spoza świata.

Opowiadał mi też nieraz o swoich snach. Jakież miał barwne i piękne! Powtarzał się w nich nieraz obraz jakichś olbrzymich zapasów i walk potężnych mocarzy, walk okrutnych i bezlitosnych, wśród których on sam się znajdował, by po pewnym czasie znaleźć się na łagodnej, cichej łące, gdzie odpoczywały dzieci. Łąki te zwał łąkami odpoczynku, bo znów potem przenosi się na teren walk. Albo chodził we śnie po pięknych kwiatnych łąkach, przy czym wiedział, że jeden fałszywy krok i zapadnie się w topiel bez ratunku. Był to okres tłumaczenia snów i wiary w ich znaczenie. Zresztą Czechowicz inaczej je ujmował — dla niego to były przeżycia raczej mistyczne.

To, co się mówiło o katastrofizmie Józia, było prawdą. Miał poczucie czekającego go czegoś straszego i bał się tego. Wynikało to jednak tylko i wyłącznie z obawy popadnięcia w obłąkanie jako rezultat choroby przekazanej mu przez ojca. Tak czyny rodziców mszczą się na dzieciach. Bał się tego bardzo i nieraz musiałem być przy nim, by obawy przeszły pod wpływem rozmowy czy spaceru. Były to dni depresji.

Z tego to, a nie innego względu zmienił w ostatnich latach życia imię z Józefa na swe drugie chrzestne imię Henryk. Nosił się z tym zamiarem od dawna i tłumaczył mi nieraz magiczne właściwości takiej zmiany. Imię określa osobowość i przez jego zmianę zmienia się istota zmieniającego. Jeżeli więc złe moce sprzysięgły się na Józefa Czechowicza, to nie ruszą Henryka Czechowicza, bo to jest kto inny. Przytaczał mi na poparcie tej tezy wierzenia dzikich.

Bardzo kochał matkę i siostrę — pamiętam, jak cierpiał, gdy matka umierała na raka wątroby, i jak uciekł z domu, gdy przyszedł lekarz i nic nie mógł poradzić. Oczywiście uciekł tylko na parę minut, mówiąc do mnie, że to straszne, iż człowiek nie może pomóc drugiemu.

Matka jego z pierwszej ciemnej sutereny w oficynie przeprowadziła się do jasnej, słonecznej i widnej sutereny w tymże domu, lecz w głównym gmachu, i tam przyjmował mnie Czechowicz w ostatnich dwóch latach przed śmiercią matki. Pamiętam czystym obrusem białym zasłany stół i proste tylko mleko, prawie postne, ale smaczne ciasto, jakim częstowała mnie matka Józia na każde święta. Stamtąd przeniósł się na Radziwiłłowską po śmierć matki⁴⁰, z Radziwiłłowskiej na Sądową, a z Sądowej na stałe do Warszawy, na Narbutta.

⁴⁰ Informacja mylna, ponieważ Czechowicz opuścił Lublin w 1933 r., a matka umarła w 1936 r. Na Radziwiłłowskiej mieszkał poeta w 1932–1933 r.



Józef Czechowicz

8.7. 1938 r.

Maryśko!

Piszę Ci, że ci się nasz /Stamski i moj/ Douglas
tak podobat.

Mamy zamiar kontynuować go i później wydać
jako małe, książeczkę.

Nawazie obje pracujemy nad projektami z angielskiego,
zamierzonymi przez Polskie Radio, z czego obje
nyskamy go 200 zł. Póki Stamski była tu
odwiedzaniem ja z rany w tygodniu, teraz zaś
jeżdżę do Konstantina co wtorek.

Wiesz, ci wysłał "Pióro", kwatermistrz artystyczny
którego jestem redaktorem.

Z nowia o twórczości podaje tylko tyle, że roz-
płynął się nad "Obracem" Leona Schiller, że będzie
to wystawienie w serii pokazów Młodego Teatru
a kto nie, może niechyle "Obrac" ale i "Ber-
nielca" - rzecz, którą gwiazdował w "Piórze".

Od niego odzywam. Dialog tak parzemy mi
że pisać i do Druku i do Radia, a cześć st, dla
zapisania białej karty. Co gorsza jestem znow
na tropie "Berta" i wydaje mi się, że da się to
rozwinąć w dramacie!

Ze stolicy nie wyjeżdżam. Prace i brak mamony
trzymają mnie tu na miejscu. Cześć chodzę
nad wodę i popatruję w obłoki.

Odwiedzałem go w Warszawie w 1938 r., zresztą przyjeżdżał dość często do Lublina i korespondował ze mną. Mieszkał w domu zdaje się willowym, w dwu izbach — niski parter — wypełnionych książkami. Książki te, odchodząc we wrześniu 1939 r. wraz z tłumem ludzi w kierunku Lublina — zostawił. Po jego śmierci zabrał je podobno jakiś znajomy, i to dalszy, Józia — wziął je na wóz i przewiózł do siebie. Niewątpliwie były wśród nich rękopisy Józia i należałoby się zainteresować tym księgozbiorem. Może ocalał z pogromu Warszawy. Dlaczego ta osoba, która je zabrała, nic nie daje znać o tym księgozbiornie?⁴¹

Z 1938 r. mam też ostatnie moje zdjęcie Czechowicza z naszej wspólnej wycieczki do Wilanowa. Jechał wówczas z nami jego dobry znajomy, którego nazywaliśmy „Józkiem Zbójkiem”⁴² i o którym opowiadał bardzo ciekawe historie. Chłopiec ten zginął podobno bohatersko w czasie okupacji. A z jakim humorem opowiadał Czechowicz, jak to chłopiec tuż przed poznaniem się z Józkiem zrobił wyprawę z wędką do stawu łązienkowskiego w Warszawie na karpie, jak to nakładł nałapane karpie do kieszeni i chciał przez dziurę w płócie wyleźć, a tu pełne kieszenie nie puszczają i słychać nadbiegające psy spuszczone przez dozorców ogrodu ze smyczy. Na tego chłopca, który mnie wydał się bardzo sympatyczny, Czechowicz miał bardzo zbawienny wpływ. Szkoda go, jak zresztą wielu innych.

Dając mi swój tomik pt. *dzień jak co dzień* napisał mi w dedykacji, iż nie ma dni codziennych, lecz tylko 24-godzinne legendy⁴³.

Taką legendą były wszystkie spotkania z nim. Są na świecie ludzie-gwiazdy. Taką gwiazdą właśnie był Józio Czechowicz. Było to zjawisko i takim pozostał w mej pamięci.

⁴¹ Rękopisy i książki zabrał z mieszkania Czechowicza dobry jego znajomy, poeta Wacław Mrozowski. Zainteresowanych tą sprawą odsyłam do następujących pozycji: W. M r o z o w s k i, *Cyganeria*, Lublin 1963, s. 237—239, i W. G r a l e w s k i, *Co się stało ze spuścizną literacką Józefa Czechowicza?*, „Kamena”, 1963, nr 11.

⁴² Zapewne pomyłka: chodzi o Stefana zwanego „Zbójkiem”, jednego z wychowanków Czechowicza.

⁴³ Dedykacja na tomiku *dzień jak co dzień*: „Kaziowi Miernowskiemu — niech pamięta, że nie ma dni codziennych — są tylko 24-godzinne legendy. Lublin 23 XII 1929, J. Czechowicz”.

A oto dedykacje na pozostałych tomikach ofiarowanych przez Czechowicza Miernowskiemu:

1. *ballada z tamtej strony*: „Kaziowi Miernowskiemu z serdecznym uściskiem dłoni za lata dawne i nowe. 1932, J. Czechowicz”.

2. *w błyskawicy*: „Kaziowi Miernowskiemu z przyjacielskim uściskiem dłoni. 1934, J. Czechowicz”.

3. *nic więcej*: „Zosi i Kaziowi Miernowskiemu, serdecznym przyjaciółom. 1936, J. Czechowicz”.

II

JÓZEF CZECHOWICZ

LISTY

DO KAZIMIERZA MIERNOWSKIEGO

1

Lublin, d. 18 kwietnia 1927 r.

Drogi Kaziu!

Chciałbym cię zobaczyć nie dlatego, żebym miał jakieś specjalne nowiny, ale dlatego, że dawno cię nie widziałem. Oczywiście, jest również trochę nowin, w gruncie rzeczy dość ciekawych. Pierwsza: że książka moja¹ już jest gotowa i jutro będę mógł ci ją przesłać. Kolportażem zajmę się dopiero z początkiem sezonu, tj. koło września. Druga nowina, że wobec wyjazdu Dussila² zostałem mianowany p.o. kierownikiem szkoły. Trzecia nowina: Juszczakowski³ namawia mnie, abym siedząc w Lublinie korzystał z czasu i robił prawo. Co ty na to? Rozumiem, że to łatwo powiedzieć, a nieco trudniej zrobić, ale pociesza mnie fakt, że tyle gorszych od mojego mózgow prawo zrobiło, choć z trudem, to i mój powinien tę pracę odwalić. Przypuszczam, że mi w realizacji tej idei pomożesz, zresztą przyjedź w niedzielę, to pomówimy o szczegółach.

W Lublinie wszystko senne i ospałe. Ja zaś nie bardzo, bo prażę się na słońcu od szóstej do dziesiątej rano i cały dzień pracuję naładowany energią słoneczną, wykąpany, wyświeżony i wesoły. Dokucza mi trochę amikoszoneria [...] Galisa⁵, który mnie klepie po ramieniu, telefonuje przez mój telefon, na mój kredyt jada lody u Jeranka⁶ i jeszcze ośmiela się dedykować mi wierszydła w „Ziemi Lubelskiej”⁷. W Nałęczowie cisza. Dziewczęta dopiero przyjechały spod Warszawy. Dopiero po ogromnym napięciu radości, że ją widzę po tak długiej przerwie, uświadomiłem sobie, że jednak kocham tę dziewczętkę⁸. Nota bene skończyła dzisiaj 20 lat, jest więc kobietą, a nie dziewczynką. Możliwe, że roztęskniony (złe wyrażenie, bo nie mam nic wspólnego z tym rozmazanym uczuciem) wyruszę do Nałęczowa w najbliższą niedzielę. Pretekst pyszny: bawi tam moja kuzynka, Bronka⁹.

C.

[Adres:]

Józef Czechowicz
Lublin skrytka poczt. 117

¹ Chodzi o *Kamień*, pierwszy zbiór wierszy Czechowicza, wydany w 1927 r. w Bibliotece „Reflektora”. Czechowicz dał Miernowskiemu egzemplarz tomiku znacz-

nie później z następującą dedykacją: „K. Miernowskiemu, Towarzyszowi jednej z mych dróg. 13. VII. 1927, J. Czechowicz”.

² Leopold Dussil, kierownik Szkoły Specjalnej dla dzieci niedorozwiniętych przy ul. Radziwiłłowskiej. Czechowicz był przez kilka lat nauczycielem w tej szkole, a przez pewien czas jej p.o. kierownikiem.

³ Kazimierz Juszczakowski (ur. 1884), nauczyciel fizyki i chemii w szkole lubelskiej. O podjęciu przez Czechowicza studiów prawniczych nie ma żadnych wiadomości.

⁴ Opuszczono dwa wyrazy.

⁵ Adam Galis (ur. 1906), poeta, prozaik, tłumacz.

⁶ Jeranek, właściciel cukierni w Lublinie przy ul. Kościuszki.

⁷ Wiersz Galisa *Ucieczka w kraj legendy*, dedykowany Czechowiczowi, był wydrukowany w „Ziemi Lubelskiej”, 1927, nr 194.

⁸ Chodzi o Michalinę Śliwicką. W następnych listach wymieniana jest jako Inka. M. Śliwicka była córką Daniela Śliwickiego, redaktora „Ziemi Lubelskiej”.

⁹ Bronisława Kołodyńska.

2

[Warszawa], 5 XII 1928

Kochany Kaziu!

Koresponduję często z Jankiem Wydrą¹ i bardzo mi miło, że to biedaczysko chore i zajęte wystawą w Łodzi mimo to znajduje tyle dobrej i silnej woli, żeby odpisywać.

Natomiast ty, kochanie, zaniedbujesz się jak diabeł i wcale nie piszesz do ubogich przyjaciół sysających chleb macierzysty psychopatologii². Na szczęście przyjadę do Lublina już 20 bm, co mi pozwoli oglądać twe wredne oblicze i słuchać twego głosu słowiczego. Miałem parę dni temu wesoły przypadek. Zamówiono u mnie wiersz o Piłsudskim³. Napisałem (jeszcze nie zapłacili) i miałem satysfakcję widzieć, jak pewien stary piłsudczyk płakał czytając rękopis. Poza dziećmi nie widziałem jeszcze nikogo płaczącego nad poezją. Widowisko było ciekawe. Poznałem tu ostatnio kilka sztuk poetów w wieku lat 15—18^{1/2}, należących do grupy konstruktywistów-metaforystów (*Meteor*)⁴. Szczenięta są bardzo śmieszne, bo zarozumiałe. Napisze facet kiepski ustęp prozą i już w niego wmawiają, że jest przyszłością polskiej literatury. Poznałem Timofiejewa, Ostaszewskiego i Sowińskiego. Z Kwadrygi⁵ zaś Gałczyńskiego i Bibrowskiego. Zresztą nic interesującego. Pomyślałem sobie podczas ostatniej podróży plan nowej opowieści prozą. Opowieści tym razem z akcją, nie zaś *short story*, jak dotychczas.

Będzie to historia oparta na psychoanalizie, jeśli chodzi o treść, i na kinie, jeśli chodzi o formę (styl). Sprawa ponura, bo na tle homoseksualizmu. Rzecz się dzieje w Wilnie i okolicy jego⁶. Zresztą będzie to tylko próba nowej roboty, przygotowanie do pracy nad epopcją. A nawet jeszcze

gorzej, doświadczenie stylowo-konstrukcyjne. Szczegóły opowiem ci w Lublinie. Mam nadzieję, że w święta zajdziesz do (...)»¹.

Gnębi mnie mortus, ale możliwe, że jest on czynnikiem pieśniotwórczym, bo pęd mam do pisania olbrzymi. Czuję się strasznym pod tym (i innym) względem potensem. Już połowa tomu *dzień jak co dzień* jest gotowa. Co więcej, mówiłem z Mortkowiczem o *Kamieniu*. Weźmie resztę nakładu na skład główny.

Nasyciłem się masą nowych myśli. Nie tyle zresztą nowych, ile wziętych przeze mnie bardzo na świeżo. Między innymi dużo myślę i dyskutuję z pewną b. inteligentną studentką z Sorbony⁸, u której bywam we czwartki na herbacie.

Do teatrów i kin prawie nie chodzę. Raz byłem w lupanarku (Luna Parku) i wygrałem tam kilo czekoladek. U Galisa bywam raz na 2, 3 tygodnie. On mi czyta swoje nowele i potem razem je omawiamy. Ma ciekawe pomysły i kąty patrzenia, ale jego robota partacka wcale mi się nie podoba. Ten egzemplarz nie rozumie całości, harmonii konstrukcji. Sedno rzeczy np. umieszcza na końcu noweli, a na początku rozpisuje się na 6 stronach o wykwiwnej kolacji.

Ostatnio pisze nowelę *Matewry* b. efektowną. Na pewno pójdzie w „Głosie Prawdy”.

Napisz do mnie, co u ciebie słyhać, i odpowiedz mi, czy w spadku przyjętym z dobrodziejstwem inwentarza (bez testam.) przez najbliższą rodzinę należy się co skarbowi i ile procent. Jeżeli tak, to napisz, czym motywować prośbę o rozłożenie opłat na raty. Dobrze?

C.

P.S. Pozdrowienia dla wszystkich. Всем, всем, всем!

¹ Jan Wydra (1902—1937), malarz należący do ugrupowania Bractwo Św. Łukasza. Serdeczny przyjaciel Czechowicza.

² W roku szkolnym 1928/1929 Czechowicz studiował w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie.

³ Chodzi zapewne o utwór *Piłsudski*, opublikowany w tomiku *dzień jak co dzień*, Warszawa 1930.

⁴ Grupa poetycka Meteor istniała w latach 1928—1930. Organem grupy było pismo pod tym samym tytułem. Członkami Meteora byli m. in. W. Bieńkowski, J. Ostaszewski, G. Timofiejew, M. Piechal i K. Sowiński. W wieczorach poetyckich Meteora, jak wynika z następnego listu, brał także udział Czechowicz.

⁵ Kwadryga — grupa poetycka, do której należeli m. in.: Bibrowski, Dobrowolski, Gałczyński, Sebyła, Słobodnik i Szenwald. Znajomość Czechowicza z poetami Kwadrygi przekształciła się później w „wiązek bardziej ścisły. „Kwadryga” (R. 3, nr 3, grudzień 1929—styczeń 1930) donosiła o przystąpieniu Czechowicza do tej grupy; brał on także udział we wspólnych wystąpieniach publicznych. Do Kwadrygi zaliczył również Czechowicza A. Galiński w *Poezji Polski Odrodzonej*, Łódź 1931. Poeta replikował na to następującym oświadczeniem („Wiadomości Literackie”, 1931, nr 24): „W nowo wydanej książce p. Galińskiego *Poezja Polski Odrodzonej* kilkakrotnie (na

str. 237, 327, 328) nazwano mnie poetą Kwadrygi. Ponieważ zdarzyło mi się, że poprzednio nazywano mnie poetą Meteora, a nawet Kadry, oświadczam, że do żadnej grupy poetyckiej nie należę. Józef Czechowicz (Lublin)”.

⁶ Nic dokładniejszego o tym utworze nie wiadomo.

⁷ Zdanie nie skończone. Przypada ono na koniec strony i jest raczej wynikiem przeoczenia autora, zagubienie kartki listu należy wykluczyć.

⁸ Osoba nie zidentyfikowana.

3

Warszawa 26 I [19]29

Drogi Kaziu!

Dowiedziałem się dziś z pism o śmierci Tadzia¹, więc zasiadłem i piszę do ciebie. Jeszcze nie wiem, jak się zakończyła tamta sprawa twoja, w trakcie której wyjechałem, a już dowiaduję się o tym nieszczęściu, które na pewno przeżyłeś mocniej niż każdy z nas, jako jego towarzysz dzieciństwa.

Może to okrutne z punktu widzenia etyki przeznaczonej do powszechnego użytku, ale uważam, że ten smutny fakt ma swoje dobre dla ciebie strony. Irracjonalizm tej jednej rzeczywistej prawdy świata myślę, że skruszył twój nadmierny racjonalizm czasów ostatnich. Umarli grzebią swoich umarłych, ale my, żywi, *nolens volens* do nich wracamy, bo tam, i nigdzie indziej, jest dla nas jakaś nauka, jakiś znak, którego się trzeba domyśleć, badać.

W lutym nie przyjadę do Lublina, więc chciałbym, abyś mi napisał duży i szczery list o dniach ostatnich. Co do mnie, chodzę z gorączką od 3 dni. Zdaje się, że to grypa. Ale, broń Boże, nie mów tego mojej Matuleńce, boby się zapłakała.

W środę 15 bm. czytałem wiersz *Jedyna* w Klubie Artystycznym i podbiłem publiczność. Pisma nie zajmują się w sprawozdaniach z wieczoru Meteora innymi poetami prawie zupełnie, podkreślając zgodnie wartość *Jedynęj*. Miła to była chwila. Tuwim mi wieszował, Słonimski chwalił, Grydzewski wziął, aby wydrukować w „Wiadomościach”². Przez tydzień prawie było mi dobrze. Potem przyjechała Inka, a nie mogłem się z nią spotkać, dopiero w niedzielę pójde do nich. Potem, dziś, przypadkowo przeczytałem w gazecie o śmierci Tadzia.

Jakie to dziwne, że ostatnie o nim wspomnienia to wspomnienia z piątyki u W. Gr.!³

Mam moc pracy. Kolokwia półroczne zbiegły się z Wystawą Kuratorium Warszawskiego, w której biorę udział, bo robię wykresy (oczywiście nie za darmo) itp. Wykresy bezczelnie kreślę podczas wykładów. Od czasu do czasu odwiedzam chorego Horzycę⁴. Poznałem w Ziemiańskiej (byłem tam dwa razy) paru nowych ludzi, m. in. zdolnego malca, R. Kołonieckiego, tego, który wydał *Wschody i zachody*.

Pysznie tę pozycję bibliograficzną sparodiował Galis: „Romans Kołkiecki — Wchody i wychody”.

W ogóle nowin dużo, ale nie wszystkie dobre. Napiszę więcej po kolokwiach. Nie zrażaj się moim skąpym wypowiedaniem się i pisz.

C.

Gdybys zaszedł do Muni⁵, powiedz jej, żeby wynalazła na szafie 20 egz. *Kamienia*, a najlepiej sam to zrób. Kiedy będzie posyłała do mnie przesyłkę, niech te kamienie wsadzi w środek. Są mi b. potrzebne. Różni ludzie domagają się, a ja nie mam egzemplarza!

J.C.

¹ Tadeusz Jaworowski, prawnik, prokurator w Lublinie. Popenił samobójstwo.

² W tym roku w „Wiadomościach Literackich”, nr 31 (292), wydrukowany był tylko wiersz *Jednakowo* jako zapowiedź tomiku *dzień jak co dzień*, 1929, nr 31 (292).

³ Wacław Gralewski (nr. 1900), poeta, wydawca „Reflektora”, redaktor „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego”. Przyjaciół Czechowicza, autor wielu o nim wspomnień i artykułów. W publikowanych tu listach Czechowicza wszystkie odmiany imienia Wacław odnoszą się do niego i nie będą objaśniane.

⁴ Wiłam Horzyca (1889–1959), krytyk i reżyser, redagował miesięcznik „Droga”. Czechowicz był zaprzyjaźniony z Horzycą, który w „Drodze” zamieszczał jego wiersze. Tomiki: *ballada z tamtej strony* i *w błyskawicy* ukazały się również nakładem wydawnictwa „Droga”.

⁵ Munia, Małgorzata Czechowiczowa (zm. 1936), matka poety.

4

[Warszawa], 7 VI 1929

Drogi Kaziu!

Jestem w rozpacz. Dziś 7 czerwca, ostatni termin, a jeszcze nie mam od was ani jednego papierka. Rozumiem dobrze, że nie jest to wcale ani twój obowiązek, ani żadna konieczność, ale Krieger¹ mi mówił, że wzięłeś się do sprawy. Czekam jak na rozżarzonych węglach i nie mogę się doczekać.

Jutro już muszę być w PKU² i nie wiem zgoła, co z tego wyniknie.

Egzamina robię powoli. Odwała się je jakoś, aby handel szedł.

Wróć do Lublina koło 20, to porozmawiamy szerzej o różnych sprawach. Opowiem ci wrażenia z imienin panny Jasi³. Pisał do mnie Wydra. Może byśmy tak, po moim powrocie do Lublina, odwiedzili „Łopuszankę”⁴ wspólnie w jakąś niedzielę? Czy wiesz, że w Poznaniu są 3 jego wielkie płótna na PWK⁵ w pałacu „Sztuki”? Jest *Szopka*, *Pejzaż* i *Boże Narodzenie*. Nie gniewaj się, że tak mało piszę, przyślij natychmiast, zaraz dokumenty i podanie. Błagam cię, nie lekceważ sobie tej sprawy!

J.C.

¹ K r i e g e r lub Krygier, aplikant adwokacki.

² PKU – Powiatowa Komenda Uzupelnień. Z kontekstu można przypuszczać, że chodziło Czechowiczowi o uzyskanie dokumentów służących do uwolnienia go od służby wojskowej jako jedynego żywiciela rodziny.

³ Janina Śliwicka-Sikorska, córka Daniela Śliwickiego (zob. przypis 8 do listu z dnia 18 IV 1927 r.).

⁴ Willa p. Łopuskiej w Kazimierzu nad Wisłą, w której w tym czasie mieszkał Wydra.

⁵ Powszechna Wystawa Krajowa.

5

[Bereza Kartuska], 15 VIII 1929

Drogi Kaziu!

Jestem już w mundurze, co prawda rekruckim i potwornie wymiętym. Zaliczono mnie do 1 kompanii strzeleckiej, administracyjnie zaś do 3 drużyny. Są ze mną przeważnie obywatele z WSH¹ i z prawa Uniw. Warszawskiego, ludzie dość mili, aczkolwiek strasznie *sans façon*. Szczególnie mało mam zaufania do pewnego faceta, którego nazwiska nie znam, ale tyle wiem, że jest u nas komendantem sali. Wikt dobry: chleb biały z masłem, rano biała kawa, wieczorem czarna lub zupa, obiad z 2—3 dań. Natomiast bielizna potworna. Cała pociecha, że za 3 miesiące, po przeszkoleniu, szeregowiec Czechowicz zmieni się w podchorążego Czechowicza i umunduruje się go lepiej.

Koszary mamy w pobliżu jakichś ruin. Jeszcze nie zbadalem, co to za ruiny, aczkolwiek dziś o 10 rano już byłem tam (w kościele). Okolica płaska, kurzu mnóstwo, upał. Razem z nami stoi artyleria, ale obecnie jest ich tylko kilka sztuk, reszta zaś na manewrach. Służba moja dotychczas nie jest ciężka. Ćwiczeń jeszcze nie zaczęliśmy. Pogadankę umoralniających jeszcze nie było. W drużynie mojej obecnej i w tej, w której byłem uprzednio, nastrój niestety bardzo nielegionowy. Tej wścieklej młodzieży drobnoburżuazyjnej nie można powiedzieć nazwiska Piłsudski, bo się im robi niedobrze. Jeśli zobaczą, że ja, aczkolwiek luźno z legunami związany, przywiozłem ze sobą fotografię „dziadka”, to mnie zjedzą. Dowódca drużyny mojej, sierżant Różalski, jest prostym, ale zdaje się, prawym i przyzwoitym człowiekiem. Śmieszne mi się wydaje, że gdy mowa o dziewczynkach, to on się rumieni po uszy.

Jest tu w 6 drużynie sekretarz Instytutu Leon Chojnacki², dobry znajomy z Warszawy.

Wydatków na razie moc. Szafy mamy kupić na własny koszt, opłacamy służbę do sprzątania na korytarzach, w umywalniach i „OO”. W ogóle za pieniądze można żyć. W spółdzielni na miejscu można dostać igły i „powidły”, ale znów trzeba mieć monetę. Mam jeszcze 15 złotych, ale nie wiem, czy do 1-go obciągnę. Co zaś zupełnie nieprzeciętnym lękiem mnie

napawa, to fakt, że w listopadzie trzeba będzie sobie na własny koszt za-
fundować długie buty do podoficerskiego munduru. Są tu różne Potockie
i inne grafy, przegrywają wieczór w wieczór po 500, 600 złotych, ale skąd
ja wezmę tych marnych 100 złociszów. Nie wiem. Może Konrad³ mi
w paźdz. przyśle. Pozdrowienia dla wszystkich! Wkrótce napiszę więcej.

J. Czechowicz

Szkoła Pchr. Piech. w Berezie Kart. (Polesie) 1 kompania

P.S. Drogi, zajdź do „Expressu”⁴ i powiedz, żeby gazetę adresowali bez
tytułu „p c h r.”, bo mi się to będzie należało dopiero po 3 miesiącach.

C.

¹ Wyższa Szkoła Handlowa, późniejsza Szkoła Główna Handlowa, obecnie Szkoła
Główna Planowania i Statystyki.

² Leon Chojnacki, sekretarz Instytutu Pedagogiki Specjalnej, gdzie studiował
Czechowicz w latach 1928/1929.

³ Konrad Bielski (ur. 1902), poeta „Reflektora”, przyjaciel Czechowicza.

⁴ Chodzi o „Express Lubelski i Wołyński”, który wydawał Franciszek Głowiński,
a redagował Wacław Gralewski. Redakcja mieściła się przy ul. Kościuszki 8. Na
II piętrze w tym samym domu mieszkał Kazimierz Miernowski oraz — obok —
Wacław Gralewski.

Drogi Kaziu!

Coraz gorzej ze mną. Nie dość, że jestem zgnębiony i daleki od począt-
kowej werwy i mocnej postawy życiowej, ale na dobitkę jestem chory.
Od jakich dwu tygodni mam jakieś dziwne uczucie: ni to miłość, ni to
jeść się chce. Powoli sprawa się wyjaśniła. Dziś i wczoraj nie spałem w no-
cy, tak bardzo bolało mnie serce. Dziś rano zasłabłem i doktor orzekł, że
konieczne jest leczenie w szpitalu, wobec czego za dzień lub dwa wyjadę
do Brześcia, skoro tylko wydane zostaną dokumenty podróży. Jadę tam
z prawdziwym przerażeniem, bo wiem, że w brzeskim szpitalu jest b. źle
z tymi, którzy nie mają monety, a ja jej właśnie nie mam. Okazało się, że
nie domyka mi się prawa komora sercowa i że to jest rzecz poważna. Woj-
sko czy szpital, wszystko mi już jedno: skoro mnie wypiekl, to niech
mnie już i zjedzą. Przypuszczam, że egzamina nie wprawiają cię bynaj-
mniej w bajkowy humor i że musi ci być ździebko przykro. Wierz mi,
współczuję ci naprawdę. Dziś, w nocy, aby przegonić chwile bezsenności,
przez czas od wieczora do świtu dużo wspominałem. Ile to rzeczy przeży-
liśmy razem, rzeczy niezwykłych nieraz, nieraz pięknych. Jedne dni się
skończyły, inne zaczynają — kręci się kołowrót kolorowy. Jest to rzeka
rzeczy, o której kiedyś opowiadałem ci, gdy przed północą staliśmy na bal-
konie nad ciemną ulicą, a dom twój czymś innym był wówczas domem.

Dokąd płynie rzeka rzeczy? Nieskończoność jest nie do pomyślenia, ale mogę spokojnie myśleć o potężnym wodospadzie u krańca rzeki. Jakże się musi mienić, lśnić wszechświat tam, u końca.

Zresztą byłoby to logiczne: niepokój lat kończy się burzą, wirami, wodogrzmotem — na pewno nie spokojem.

Bywaj, chłopcze, napisz wkrótce i przyślij mi znaczek na odpowiedź, inaczej nie będę mógł odpisać. Proszę o pamięć i przyjaźń.

Józek

P.S. 9 X 1929¹. Jadę do szpitala. Wstrzymaj się z korespondencją, napiszę do ciebie, w razie gdybym się czuł gorzej oraz gdybym wrócił do Berezy. Nie mów nic mamie.

J. C.

¹ W przypisku data oznaczona błędnie: 9 X. Stempel na kopercie nosi datę 9 IX 1929 r.

Bereza, 28 IX 1929

Drogi Kaziu!

Trochę nie tak jest wojsku, jak ty mi to z entuzjazmem wmawiasz, omamiony dalekim wspomnieniem własnym i mistyfikacją filmów (oczywiście mam na myśli *Świat w płomieniach* z Laglenem)¹.

Nie zgodzę się z tobą nigdy na to, że urok tych rzeczy leży w tym, że można pełną piersią wdychać prymityw życia. Te menażki, mundury, buty podkuwane nie są bynajmniej radością dni. Przez czas jakiś wabiło i bawiło mnie życie wielką gromadą, bo właściwie jest się tu nie człowiekiem, ale całą kompanią. Poza tym na mnie samym łuszczy się jeszcze skóra z 1920 roku², więc inaczej widziałem pierwsze moje bereskie tygodnie.

W ostatniej fazie przeobraziły się moje samopoczucia w wagę. Gdy coraz wyżej idzie rozrośnięte i krzepkie zdrowia, mięśni i żelaza, psyche ze swą szalą opada coraz niżej na dno udręczeń. Naprawdę, gdy tylko nie ma ćwiczeń, gdy się nie leży w bruździe, a drugi pluton nie naciera w huku granatów ręcznych, przygnębienie prowadzi mnie za rękę po długich korytarzach koszar i po ciemnych uliczkach Berezy. Myśli nie odżywiane niczym nowym płaczą się wokół tych samych rzeczy, bodajże nawet tym samym zawsze deseniem: matka, wiersze, Inka, wy, niewdzięczni przyjaciele, czasem Warszawa — oto wszystko.

To samo przed zaśnięciem, to samo w niedzielne popołudnie, to samo w bezsenne noce służby. Wierz mi, to ciężkie. A równocześnie ranki wesole na słońcu i rosie, rozśpiewane, zawadiackie: taki jest różaniec moich godzin.

Dobrze zdaję sobie sprawę z faktu, jak bardzo na samopoczucie wpły-

wają różne drobnostki. Więc np. trochę mnie to gryzie, że ja, zawsze uprzywilejowany i pierwszy w szkołach, na Kursach czy Instytucie³ — tu wciąż jestem jednym z kompanii, którego nazwisko instruktorowie ledwo pamiętają. Za grenadierkę dostałem stopień tylko sześć. Nie dlatego, że bym rzucił granatem źle, blisko, nie w kierunku lub nie w przepisanej postawie, lecz dlatego, że rwąc granat zgubiłem przetyczkę, upadła mi gdzieś w piasek okopu i wdeptała się. Za strzelanie mam 9, a wołałbym mieć 10, żeby nosić czerwony sznureczek wyborowego strzelca.

Często już marznę w drelichu, bo ranki są naprawdę chłodne i na gimnastyce o 6 rano palce grabieją. Jeśli chodzi o jadło, powoli przywykam do kuchni naszej i jeśli mam się skarżyć na nią, to tylko na jej monotonię: mięso z buraczkami, gulasz i kotlety z kaszą wyczerpują całkowicie menu. Poza tym przymus kawopicia jest okropny. Czy się jej chce, czy nie chce, czy boli trochę serce, czy może się nie ma ochoty, musi się tę kawsko pić dwa razy dziennie. Rozumiesz? M u s i!

Skarżąc się na te wszystkie drobiazgi muszę ci się jeszcze poskarżyć na brak monety. Od czasu jak wyjechałem z 25 złotymi, nie otrzymałem od nikogo jeszcze ani grosza i np. nie wiem, dlaczego piszesz, że Wacio wysłał mi parę złotych. Nie mam nic i nic nie otrzymałem.

W dodatku jeszcze znalazłem się w głupim położeniu, bo licząc na to, że przyśle mi na 1-go pieniądze, pożyczyłem tu kilka złotych i z dnia na dzień czekałem na pieniądze. Dziś jest nie pierwszy, lecz 28, i doprawdy nie wiem, co o mnie ów kolega pomyśli. Proszę cię, załatw jakoś tę sprawę z Waciem. Niechże raz się dowiem, czy mogę na jego obietnicę liczyć, czy nie, bo sytuacja moja jest więcej niż przykra.

Koledzy moi są dość mili. Na ćwiczeniach stają się oporną, złośliwą i mało karną gromadą, w pojedynkę są o wiele przyjemniejsi. Najwięcej jest absolwentów WSH, bankowców, buchalterów, słowem ludzie cyfr. Toteż nic mnie z nimi właściwie nie łączy, a tym samym nic się nie dzieje. Na humorze nam nie zbywa. Świadczy o tym chociażby ta piosenka na melodię słynnego *Gramofonu*:

Pobudka rano gra i gra, i gra,
 Więc zrzucam koc!
 Ach, jakże krótko trwa i trwa, i trwa
 Ta piękna noc.
 Już nie ma złotych snów,
 Gdzie dziewczę tuli nas.
 Więc trzeba znów,
 Śniadania nadszedł czas.
 Hu! hu! hu! Ha! ha! ha!
 Świetna kawa ta!
 Hu! hu! hu! Ha! ha! ha!
 Cudny zapach ma!
 Jak to dobrze w wojsku być,

Kawę pić,
 Statki myć.
 Lepiej niż w cywilu gnić
 I bez ćwiczeń żyć...
 I znów na ramię broń i broń,
 I równy krok!
 I wciąż po polu goń i goń
 Okrągły rok!
 Wołają padnij, wstań,
 Aż z ziemi idzie kurz,
 Instruktor zrywa krtań,
 A ja nie mogę już!

O psiakość,
Mam już dość,
Kolka sparła mnie!
Jeden gość,

Jak na złość,
W błocie skąpał się!
Jak to dobrze w wojsku być
etc.

Jak ci się to podoba?

O pamiętniku myślałem. Rzecz ta jednak jest nie do wykonania, bo czasu jest tu naprawdę zbyt mało, a raczej jest on za bardzo rozdrobniony. Zresztą notatki robię b. luźne. Jeśli będę miał ochotę coś napisać na ten temat, wystarczą mi jako szkielet.

Wczoraj znowu myślałem o Ince. Nie, nie mogę do niej napisać, choć tak bardzo tego chcę. Jedyna rzecz, jaką zrobię, to chyba tylko będzie karta imieninowa (jutro imieniny), bo przecież wypada...

Bardzo cię proszę, gdy ją zobaczysz, napisz mi wszystko nowe: co robi, co myśli, jak się czuje; byłbym ci wdzięczny, gdybyś naprowadził rozmowę na mój temat. Nie próbuj tylko blagować w liście celem zrobienia mi przyjemności, bo od razu się na tym poznam.

Im dłużej o tym myślę, tym częściej mam uczucie, że to ja, właśnie ja, a nie kto inny, jest winowajcą. Trudno!

Chciałbym bardzo, żebyś mi równie szczerze napisał o swoich sprawach, co ciebie gnębi poza tymi nieszczęsnymi egzaminami. Czytałem między wierszami twego listu jakieś poważne smutki. Napisz mi, co to takiego. Jesteśmy teraz tak daleko od siebie, tak rzadko się w ciągu roku będziemy widzieli, że nie powinna cię żenować nawet najdalej idąca otwartość.

Nie uwierzysz, jak bardzo się ucieszyłem twoim listem. Poza listami Mamy i Kicieńki⁴ był to pierwszy list od swoich. Pisywali do mnie obcy: Hoesick w sprawie książki⁵ (za miesiąc będzie już w księgarniach), inspektor szkolny etc. Ale od przyjaciół list pierwszy to był twój list. Dziękuję ci.

Krygierowi powiedz, że nie chcę go znać, kiedy się z moimi listami obnosi, a odpisywać nie raczy. W ogóle postanowiłem do takich osobników nie pisać, bo nie mam znaczków ani monety na nie.

Wyobraź sobie, że z Kom. Rządu przyszedł tu list urzędowy z zapytaniem, czy podtrzymuję moją prośbę o przyznanie mi praw jedyne go żywiciela. Napisałem, że oczywiście tak. Było to przed miesiącem. List odwędrował z powrotem i teraz głucha cisza. Zobaczymy, co z tego wyniknie, chociaż, przyznam ci się, nie robię sobie żadnej nadziei.

Już nie proszę cię, ale błagam, zrób coś z tym Waciem. Z góry dziękuję ci, przyjacielu. Daj łapę!

Twój
J. Czechowicz

¹ Nie udało się uzyskać o tym filmie żadnych wiadomości.

² Aluzja do ochotniczego udziału poety w wojnie 1920 r.

³ Wyższy Kurs Nauczycielski ukończył Czechowicz w roku szkolnym 1924/1925, a w Warszawie Instytut Pedagogiki Specjalnej.

⁴ Mowa o siostrze Czechowicza, Kazimierze.

⁵ Tomik Czechowicza *dzień jak co dzień* ukazał się u Hoiesicka z datą 1930 r.

8

Paris, 23 mars 1930

Cher ami!

Dziękuję za kartkę, powinszowania oraz wiadomości. Jesteś dobrym chłopcem i wykazałeś nawet trochę inteligencji starając się samodzielnie o mój adres. Nie liczyłem na to, że zajdziesz do Muni i zapytasz o moją siedzibę, ale okazało się, że widocznie o niej pamiętasz.

Szaleję w Paryżu od drzwi do klamki. Gdy się ma cały boży dzień bez lektury, bez obowiązków, słowem, zupełnie wolny — można szaleć.

Zresztą robię to programowo, usiłując zapomnieć o różnych historiach, i dobrze mi się to udaje. Obrazy niedawnej przeszłości błędną wobec orgii kolorów Paryża.

Jaka to cudowna rzecz bulwary nocą! Wyobraź sobie 3 kilometry gładkiego asfaltu, rzędy latarni i nikogo, dosłownie nikogo, bo Paryż bogobojnie o 10 zasypia i na największych ulicach nie ma tego ruchu i życia, które w Warszawie znajdziesz o 12 i po 12 w nocy np. na Nowym Świecie. Stąd sztuka Utrilla — rzędy domów o własnej fizjonomii, puste zaułki, mury omszałe.

Nawiasem mówiąc nowe malarstwo francuskie jest cudowne i tu właśnie to widzę. Reprodukcje nauczyły mnie lekceważyć ździebko te załamania linii, kuby i kwadraty. Ale zobaczywszy na własne oczy nawróciłem się jak „syn marnotrawny” — to są cuda.

A pełno jest nowych wystaw na rue des Beaux Arts, na rue de la Seine, na rue Bonaparte — w okolicy bulwaru Saint Germain.

O teatrach, kinach dowiesz się z mego listu do Wacka.

Wina rozliczne pijam namiętnie nie bacząc na serce. Cóż robić! Jedyna okazja!

W chińskiej restauracji, po sfryganiu potrawy z chińskiego wosku i tureckiego pieprzu zrozumiałem, dlaczego Smok w herbie Niebieskiego Mocarstwa ma zawsze język na wierzchu. Sam też tak chodziłem po Paryżu parę godzin, a jadąc autobusem otwierałem paszczę pod wiatr, dziwiąc się, że z niej ogień nie leci. Egzotyka ma dużo słabych stron... Zbieram fotografie i pocztówki, więc po moim powrocie ujrzysz szlak mojej wędrówki.

Myszę, że do połowy kwietnia będę tu w stolicy świata przeżywał dal-

szy ciąg wiosny, a gdy tylko przyjdą upały, wyruszę nad Atlantyk. Czy ty to rozumiesz? N a d A t l a n t y k...

Twój C.

P.S. Pozdrowienia dla wszystkich w domu; proszę też, zajdź do Muni mojej i zobacz, co robi i jak żyje. Kiedy ślub? Odpisz wkrótce, najlepiej zaraz, bo możliwe, że zmienię adres.

J. C.

F r a n c e

Monsieur J. Czechowicz

Paris 1

12 rue de la Grande Truanderie, hôtel d'Aveyron

9

Paris, 24 IV 1930

Drogi Kaziu!

Po powrocie pomówię z tobą o bardzo wielu ważnych rzeczach, które trudno jest w liście zmieścić, chociaż papier jest cierpliwy. Na razie może bym i nie pisał teraz do ciebie, skoro się zachowujesz tak brzydko i na listy nie odpisujesz, gdyby nie to, że mam do ciebie interes. Oto z moimi oczyma jest źle i czeka mnie operacja. Aczkolwiek niewielka, będzie kosztowała trochę franków, bo nie chcę się oddawać w byle łapy, tylko uznanym rzeźnikom.

Mam na ten cel trochę floty, bo mi siostra przysłała, brak mi jednak około 250 fr, czyli 80 zł. Gdybyś mógł — przyślij możliwie zaraz, bo z operacją zwlekać mogę najwyżej jeszcze tydzień. Jeśli nie możesz (wiem, że sprawiłeś se sypialnię i pseudożonę), będę musiał się operować w taniej klinice, ale ten mus będzie dla mnie bardzo, bardzo przykry — chodzi przecież o oczy, o świat. Prośba moja płynie nie z tego, że uważam cię za burżuja, lecz z tego, że jesteś moim przyjacielem. O tym twoim burżujstwie mam nieco inne pojęcie niż miły Wacio, zresztą sam o tym wiesz.

Po południu tegoż dnia

Ciężko mi pisać jednym „ciągłem”. Pisanie, czytanie to są właściwie zabronione dla mnie czynności. Źle się jednak czuję nerwowo i muszę to komuś wypowiedzieć. Fatalnie działa na mnie leczenie w szpitalu — to nieustanne drażnienie oka lekarsstwami i „dobrowolne” poddawanie się bólowi. Każdy wtorek i piątek (dni w szpitalu) kosztują mnie tyle zdrowia! Trzeba przydeptywać własną samobroniącą się naturę, poddawać bólowi i nie protestować. Jest to gwałt, przeciw któremu wrzeszczy każdy nerw — on nie chce bólu. Ciężko jest. Życie to nie romans. Horzyca wyjechał do Włoch, więc jedyna naprawdę przyjazna dusza znikła z horyzontu.

Nie mogę długo pisać, więc kończę list. Czekam na odpowiedź i forszę, bo wierzę, że ją wydobędziesz spod ziemi.

10

Paris, avril 1930

Drogi Kaziu!

Dziękuję ci za zainteresowanie się moją niedolą, która zresztą ma się już na ukończeniu, to znaczy, że kuracja dobiega końca, a ja w lewym oku widzę ciągle mgłę, co prawda trochę jaśniejszą niż na początku choroby. Prawe oko widzi świetnie, tylko na skutek współdziałania z lewym — chorym, trudno mu patrzeć w górę lub na błyszczące przedmioty. Noszę teraz ciemne okulary, co umożliwi mi dalsze oglądanie Paryża. Dużo czasu spędzam w parkach, które są cudowne, pełne drzew kwitnących białą i różowo, kaskad, jezior i wysp. Lasek buloński jest trochę za daleko od mego *locum*, żebym tam często bywał, ale byłem kilka razy. Trawniki są zapuszczone, jak w prawdziwym lesie, drzewa przeróżne: węzowce obok choin, palmy przy platanach, a nierzadko pośrodku trawnika bieleje drzewo tulipanowe podobne do żyrandola z wielkimi płomieniami kwiatów.

Koło szpitala mojego, w XIX *arrondissement*, jest śliczny park Butles Chaumontes; w nim spędzam co wtorek i piątek godziny pooperacyjne. Widok zieleni i kwiatów, i wody tak uspokaja, tak daje zapomnienie o bólu — lepiej niż alkohol.

Pić mi zupełnie nie wolno. Doktor Richman powiedział mi zresztą, że mimo wszelkich komplikacyj choroba oczu przeszłaby łagodnie w ciągu dni kilku, gdyby nie to, że mam za sobą pijacką przeszłość. I on, i Babiński twierdzą, że alkohol powinien być dla mnie „tabu” — nawet w najmniejszej ilości, nawet w postaci piwa.

Trzeba będzie żyć bez wódki — to smutne, ale ta choróbko wyraźnie mnie przekonała, że konieczne. We wszystkich knajpach patrzą na mnie jak na raroga, bo obiady jadam bez wina, co wygląda tak, jakby ktoś w Polsce pożerał dary boże bez widelca. Wybieram się po pierwszym do Casino de Paris, bo jeszcze tam nie byłem, a zobaczywszy Mistinguet¹ w Kupoli przy stoliku, chciałbym tę 60-letnią dziewczycę ujrzeć także na scenie.

Możliwe, że w niedzielę pojedę do Hawru, zobaczyć wielki port. Zatrzymam się tam ze dwa dni¹ i z 1 dzień albo 2 spędzę po drodze w Rouen, średniowiecznym mieście, ojczyźnie Gustawa Flauberta².

Po powrocie opowiem ci różne cuda. Jak marynarze urlopowani śpiewali nocą na Mont St. Michel i co widziałem w wielkim jak morze Londynie, i jak to było w Chartres, i w czym leży piękno Paryża. Z każdego miasta, które zwiedzam, kupuję kilka pocztówek i w ten sposób będę mógł

ilustrować swoje opowieści o Zachodzie. Przywiozę także guidy, przewodniki, Baedekery, mapy i różne w ogóle śmiecie.

Jedną z najmilszych pamiątek jest dla mnie dzwonek mosiężny wielkości pięści, ulany na wzór średniowiecznych dzwonów z Mont St. Michel. Kiedy mi bardzo smutno i siedzę sam w przyciemnionym pokoju, dzwonię sobie od czasu do czasu i cisza ucieka razem z czarnymi myślami.

Na M. St. Michel zrobiłem też kilka zdjęć pożyczonym aparatem — wszystko to zobaczysz, gdy wrócę.

Układam sobie plany tak: między 1 a 15 maja: wycieczka 2-dniowa do Beauvais; między 15 a 30 maja: zwiedzenie Bretanii — najmniej 10 dni. Połowę czerwca przesiedzę w Paryżu, po czym ruszę do domu.

Lato spędzę u znajomych w Karpatach, ale dopiero po 2-tygodniowym wypoczynku u Muni (strasznie się stęskniłem za moją starą mamą). Na jesień, jeśli losy i Ministerstwo pozwolą, puszczę się do Włoch: Wenecja, Florencja, Siena, Rzym, Neapol — Sycylia i *retour*³.

Póki nie wyjadę do Bretanii, adres zostaje ten sam — napisz wkrótce.

Kondziowi⁴ za to, że do mnie nie pisze, powiedz w moim imieniu: „kto wódki dużo pije, wcześniej umrzeć musi” — jest to cytata z *Ody do wina*⁵.

Wacka ucałuj, w co chcesz, podziękuj mu za wieści i powiedz, że niecierpliwie czekam na obiecany duży list.

Do p. Inki mam żal, że nie pisze od miesiąca. Rozumiem, że nic jej po mnie dalekim i kalekim, ale mi przykro.

Uścisk dłoni
J. Czechowicz

Przyślij przez Bank Polski albo PKO na mój adres.

France — Paris 1

12 rue de la Grande Truanderie, hôtel d'Aveyron

Monsieur J. Czechowicz

Adres ten jest ważny do połowy maja. Jeśli masz forszę, to przyślij z a r a z. Jeśli nie — z a r a z odpisz.

J. Czechowicz

P.S. Pozdrów Wacia ode mnie. Czekam na obiecany list od niego.

¹ Mistinguett, właściwie Jeanne Marie Bourgeois (1871–1956), francuska aktorka rewii i variété.

² Gustaw Flaubert (1821–1880) urodził się w Rouen.

³ Projektowany wyjazd do Włoch nie doszedł do skutku.

⁴ Konrad Bielski.

⁵ W drukowanej w „Barykadach” (1932, nr 1) *Odzie do wina* K. Bielskiego cytata ten brzmi nieco inaczej: „Kto wódki dużo pije, umrzeć koniecznie musi”.

11

Rouen, 11 maja 1930¹

Drogi Kaziu!

Dziękuję tobie i Wackowi. Operacyjka czeka mnie we wtorek, a więc dla zabicia czasu przyjechałem do Rouen. Są to dwa miasta: wielki nowoczesny port z morskimi okrętami, mimo iż to tylko Sekwana, oraz stare gotyckie miasteczko kapiące przepychem rzeźb i kolumn wysmukłych. A napiszże coś, jeden i drugi.

J. C.

¹ Kartka pocztowa.

12

Paryż, 16 maja 1930 r.

Drogi Kaziu!

Jest już po operacji. Skończyło się na wielkim strachu, bo prawie nie bolało. Mimo to było mi bardzo głupio, kiedy oko ujęto w jakies szczyprycki i majstrowano tam przez 2 minuty. Nie rozumiem tylko, po co było przy tym tyle osób: ze 3 asystentów i z 5 sanitariuszek — chyba po to, żeby doktor nie wziął całej forszy dla siebie. Niestety rezultat jest minimalny. Widzę trochę lepiej, ale mgła nie ustępuje, bo soczewka trochę zmętniała, a przecież nie można jej inną zastąpić...

W ogóle chcę już wracać. Wszystko tu oszałamiająco piękne, Rouen to skarbiec gotyku, prowincja francuska to kraj dorównywujący Litwie (między Bretanią a Litwą są nawet nastroje pokrewieństwa b. bliskie), ale ciężko mi tu. Choroba zepsuła smak Francji.

Wczoraj myślałem nawet, czyby nie spakować walizek i nie ruszyć do domu nagle; nie ruszyłem — namysł zwyciężył impulsy dość łatwo, ponieważ moje impulsy, o ile mają wysoki płomień, o tyle paliwa w nich mało.

Niezależnie od choroby jestem zmęczony psychicznie zupełnie jak w listopadzie, po wojsku. Przypuszczam, że w Lublinie będę koło 10 czerwca.

Wybacz, że piszę tak mało — trudno mi pisać.

Pozdrów Wacka (obiecane listu dotąd nie mam...) i p. Stacha¹. Panie (może już Pani?) Zosi² przesyłam spóźnione, ale serdeczne pozdrowienia z powodu, że się urodziła 30 lat temu.

J. Czechowicz

Adres dawny

¹ Stanisław Miernowski, nauczyciel matematyki, brat Kazimierza Miernowskiego.

² Zofia z Poradowskich Miernowska, żona K. Miernowskiego.

13

Warszawa 4 III 1934¹

W dniu imienin przesyłam ci, miły Kaziu, serdeczne pozdrowienia i życzenia 12 cór, trzech żon (równocześnie) i w o g ó ł e.

J. Czechowicz

¹ Kartka pocztowa.

14

[Warszawa, 3 V 1934]¹

Kaziu Miły!

Primo — piszę wiersze. Po niedzieli będę w Lublinie i przywiozę ci rękopisy trzech nowych rzeczy. Odczytamy je z Waciem i Zosią, i namaszczeniem. Jeden z tych wierszy wkrótce będzie w „Pionie” wydrukowany². Mam się na ogół dobrze. Związałem nareszcie, po tylu latach kołatania się tu i ówdzie, metafizykę z dniem biegnącym jak co dzień. Ale Warszawa właściwie nie ma sensu. To Sodoma. Gdybym tylko dostał w Lublinie takie warunki pracy jak tu i takie *locum*, wróciłbym jeszcze w tym tygodniu.

Smętno w Warszawie moim snom, a w Lublinie — to miasteczko najsze jest jak dziewczyna mickiewiczowska, z którą „nudno, a odjechać od niej trudno”...

Zresztą wszystko jedno, gdzie człowiek jest, jeżeli piana myśli błyska przepastnymi kolorami i jeśli noc ciałem się podkłada pod niego młodym, pachnącym, gładkim. Ach, miły, zgubi mnie kiedyś to, że ujmuje życie (tzw. życie) wyłącznie i jedynie w aspekcie estetycznym. Opętany przez poezję, życzę ci tego samego.

Uściskaj ode mnie Waclawa. To Europejczyk.

P.S. Wysłałem na twój adres 60 złotych z gorącą prośbą o doręczenie ich mojej Mamie (najlepiej w porze obiadowej), żeby miała z czego żyć, zanim przyjadę.

Z góry dziękuję ci serdecznie za tę przysługę. Tylko nie zapomnij!

J. Czechowicz

J. C.
Warszawa
Dobra 6

¹ Kartka pocztowa. Data stempla pocztowego.

² W roku 1934 w piśmie tym Czechowicz wydrukował tylko wiersz *W kolorowej nocy* („Pion”, 1934, nr 2/3).

[Warszawa], maj 1934

Kaziu miły!

Oto jeden z ostatnich wierszy. Może ci się spodoba — może nie. Ale i tak musiałbym napisać, bo mam do ciebie kilka spraw (nie musisz odpisywać — wkrótce będę w Lublinie). Przede wszystkim, jeśli masz jakieś pieniądze dla Jasia Wydry, to nie posyłaj jemu do Zakopanego, ale wyślij je do Warszawy, do Marychny Maćkowskiej¹ — plac 3 Krzyży, Instytut Ociemniałych.

Chodzi o to, że każdą gotówkę przesłaną do Jasia zarząd Sanatorium konfiskuje na długi jego, a on, biedak, nie ma nawet na znaczki. Marychna mu wysyła paczki żywnościowe i znaczki i dlatego lepiej te pieniądze jej doręczyć.

Secundo: jeśli ten duży obraz jego nie jest jeszcze sprzedany, zabiorę go do Warszawy, bo mam nabywcę dość poważnego. Nie pamiętam tylko, czy on jest rozpięty na wewnętrznym blejtramicie, czy wprost na ramie (której mi się nie chce wozić). Jeśli chodzi o ramy, to i tu, jak w Lublinie, najlepszy popyt mają dzieła w złożonych ramach...

U mnie — dużo roboty zawodowej. Poza tym dużo obcuje z kilkoma młodymi poetami, ale mało z nimi piję. Stefcio² mieszka u mnie, pracuje w tutejszych Państw. Zakł. Lotniczych i dobrze mu się wiedzie — a rośnie!

W wolnych od pracy chwilach chodzę nad Wisłę lub do parków, piszę wiersze. Lirycznych rzeczy mało, bo moc pracy pochłaniają poematy, w których buduję „nowe rzeczy, nowe kwiaty, nowe zwierzęta” — stwarzam świat.

Książeczka moja nowa³, jak i poprzednie, padła w otchłań niezrozumienia, a była przecież o wiele łatwiejsza niż *ballada*. Na dwóch recenzjach skończył się odzew o niej. A mnie co! Nas, arystokratów ducha, mało to obchodzi. I więcej, książeczka ta nauczyła mnie, że nie trzeba zawierać z publicznością żadnych paktów, że nie należy skłaniać się ku kompromisom. Skoro te wiersze czyta grono ze 100 ludzi złożone, niech mają pełną satysfakcję artystyczną, bezkompromisową.

Bywaj, miły; pozdrów ode mnie Zosię i Telimenę (tj. drugą Zosię — swoją siostrę). Będę w Lublinie koło 10-go bm.

Jeśli nie doręczyłeś jeszcze pieniędzy mojej Matuli, zrób to koniecznie dziś. Ona jest bez grosza.

fr

J. Czechowicz

¹ Maria Maćkowska, żona Jana Wydry. Pracowała razem z Czechowiczem w Szkole Specjalnej w Lublinie, potem przeniosła się do Warszawy do Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Czechowicz był z Wydrami bardzo zaprzyjaźniony.

² Stefan Górski („Lotnik”), wychowanek Czechowicza.

³ Mowa o tomie *w błyskawicy*, który ukazał się w 1934 r. nakładem „Drogi”.

16

Włochy, 21 IX 1936 r.

„Płomyk”¹

Kochany Kaziu, piszę na razie tylko tyle. Po prostu, aby ci dać znak życia i abyś wiedział, że nie przepadłem w otchłaniach Warszawy². Jeślibyś był w Warszawie i chciał się ze mną zobaczyć, dzwoń o 10 rano pod 2-38-92. Tam ci powiedzą, gdzie mnie znaleźć. Jeślibyś zaś chciał do mnie parę słów napisać, pisz do Stefcia. Adres jego: St. Górski, Narbutta 11-a, m. 2.

Pozdrawiam Zosię i Krystynę³.

J. C.

¹ Kartka firmowa „Płomyka”.

² W 1936 r. w wyniku insynuacji i plotek Czechowicz zrezygnował z pracy w pismach ZNP i usunął się na pewien czas z Warszawy. O tych sprawach szerzej pisze W. Szymański w *Balladach przed burzą*, Warszawa 1961, s. 174—177. Patrz także sprostowanie A. Madeja, „Kamena”, 1961, nr 20. Obszernie omawia tę sprawę także W. Mrozowski w tomie *Cyganeria*, Lublin 1963, 180—218.

³ Córka Miernowskich.

17

Warszawa 2 IV 1938 g. 10 min. 58¹

Wyrazy serdecznego współczucia.

Czechowicz

¹ Telegram dotyczący śmierci ojca Kazimierza Miernowskiego.

18

[Warszawa], 7 VII 1938 r.

Drogi Kaziu!

Bardzo Ci dziękuję za wszelkie informacje i zaproszenia. Z tych ostatnich na razie skorzystać nie mogę z różnych powodów. Główny to ten, że 1. mam dostać robotę stałą w Radio¹ i czekam na różne decyzje, a w związku z tym nigdzie na razie ruszyć się nie mogę. 2. Zaraz po otrzymaniu decyzji idę do roboty albo na urlop. W tym ostatnim wypadku pojedę na Litwę.

Ponieważ w Radio jest wielki bałagan i nigdy nic nie wiadomo, może się zdarzyć, że jutro już będę się męczył przy robocie albo też że jutro będę mknął pociągiem na północ-wschód.

To ostatnie ma duże, b. duże szanse prawdopodobieństwa. Powodzi mi się ostatnio niezłe. Za jakieś dwa lata — nie wątpię — zasłynę jako dramaturg i będziesz sypiał na moich sztukach.

Aha: pozwoliłem sobie wczoraj nadużyć twego cennego nazwiska. Wysyłając pewną sumę pieniężną do Lublina (100 zł) podałem cię jako nadaw-

cę. Nie gniewaj się. Chodzi o to, że adresat prawdopodobnie nie jest obecnie w Lublinie, więc być może ta setka zostanie przez pocztę zwrócona. Umyśliłem więc, że niech ją lepiej zwrócą do ciebie, niż gdyby miała tułać się za mną po Litwie i zawieruszyć się gdzie.

Serdecznie pozdrawiam Zosię i Krystynkę², a także *toute famille*.

Uścisk dłoni

J. Czechowicz

P.S. W sierpniu posłuchaj mojej nowej sztuki radiowej pt. *Nocne opowieści*.

C.

¹ Czechowicz pracę w radio otrzymał i pracował tam do września 1939 r. na stanowisku kierownika literackiego.

² Córka Miernowskich.

[Warszawa, październik (?) 1938]

Drogi Kaziu!

Potrzebuję Twojej pomocy i proszę, nie odmawiaj mi jej. Chciałbym, abyś się dowiedział, co za historia skontaktowała z policją Bol. Altmayera i Stefana Drozda. Rzecz jest teraz w śledztwie w Lublinie, ale nawet nie wiem, gdzie, czy w obyczajówce, czy w brygadzie kryminalnej.

Przed chwilą wyszli ode mnie dwaj panowie z tutejszej służby śledczej, którzy przesłuchali mnie m. innymi na okoliczność, za co doręczyłem wyż. wym. 26 złotych.

Stan faktyczny: 1 maja zjawił się u mnie B. Altm., którego znam z Lublina (pracował w „Kurierze” Łobodi¹ i w ogóle), i oświadczył, że jest nie sam, ale z kolegą, którym okazał się być jakiś Stefan x (nazwiska nie dosłyszałem, a osobnik mi się nie podobał...). Mieli się zatrzymać czas jakiś w Warszawie. Powiedziałem im, że u mnie dłużej, jak do następnego dnia, nie zatrzymam ich, bo wyjeżdżam (zbujałem ich — coś mi się w tej historii nie podobało). Mieli pełne kieszenie drobniaków. W poniedziałek rano 2 bm. prosili, żeby im poradzić, jak, co i gdzie kupić, bo nie znają Warszawy. Chodziliśmy po sklepach i kupowaliśmy: koszule, krawaty, pończochy sportowe, walizeczki itp. Potem ów osobnik czarnowąsy około godz. 13 zatrzymał się w jakimś podejrzanym lokalu przy ul. Przebieg, a B.A. miał wyjechać autobusem do Lublina. Po drodze powiedział, żeby mu pożyczyć na drogę, bo jest już bez pieniędzy. Pożyczyłem — chciałem się pozbyć tego wszystkiego.

Odtąd nie widziałem ani jednego, ani drugiego. Mam wrażenie, że to ten Drozd, pierwszy raz w życiu przeze mnie widziany, coś zmalował. Pro-

szyć cię, dowiedz się coś konkretnego. Może przez Wacia. Chciałbym także wiedzieć, o ile to mnie dotyczy i co mam o tym sądzić.

Pozdrowienia dla Zosi i Krysi przesyła wraz z uściskiem dłoni

Józek

P.S. Proszę, jeśli się możesz czego dowiedzieć, napisz o tym zaraz.

Narbutta 11 a, m. 2.

¹ „Kurier Lubelski” w 1932 r. wydawał i redagował przez parę miesięcy Czechowicz, w pewien czas później redaktorem był Józef Łobodowski.

20

[Warszawa], 30 X 1938 r.

Drogi Kaziu!

W grudniu otrzymasz nowy mój tomik wierszy¹. Nie jest wykluczone, że dostarczę ci go osobiście w okresie świąt Bożego Narodzenia. Będą w nim zawarte m. innymi 2 przekłady na j. niemiecki i 2 na francuski (3 tłumaczy).

Tak się składa, że nigdy jakoś nie piszę do ciebie „bezinteresownie”, ale przyczyną tego nie jest brak sentymentu, tylko warunki życia mojego...

Prośba: jeśli mógłbyś omówić z sędzią, który będzie sądził sprawę B. Altmayera o kradzież, a raczej o współudział — zrób to. Może akurat będzie sądził jakiś twój przyjaciel... Proszę cię bardzo... Sprawa ma nr Kg 2748/38² i ma być w pierwszych dniach listopada rozpatrywana w Sądzie Okręgowym jako odwoławczym (była już w grodzkim — rezultat 6 mies. bez zawieszenia). Chodzi mi o to, że to skandal, aby taki młodzik po nienagannym dotąd żywocie, na 1 sprawie i — mam nadzieję — ostatniej, dostawał wyrok bez zawieszenia. Niechże przynajmniej zawieszają!

C.

P.S. Serdeczne pozdrowienia dla Zosi, Krystynki i Wacława, który także otrzyma nowy tom.

¹ *nuta człowiecza*, bo o ten tomik tutaj chodzi, ukazał się z datą 1939 r.

² Na marginesie listu ręką Miernowskiego jest poprawiona sygnatura: Ka 2687/38 J. XII. 38.

21

[Warszawa], 13 XI 1938

Drogi Kaziu!

Różne miewam do Ciebie sprawy, ale starałem się nie prosić cię o pieniądze, bo nie byłem pewny, kiedy mógłbym oddać. Teraz jednak, gdy wiem 100%-wo, że mogę ci dług zwrócić na 1 XII, raz jeden muszę cię poprosić o przysługę finansową: doręcz we wtorek lub środę 20 złotych czło-

wiekowi, który się do ciebie zgłosi, a nazywa się Sawicki¹. Bardzo cię o to proszę. Obiecałem mu pod chajrem w tej dobrej wierze, że „Kurier Poranny”² wypłaci mi honorarium, i nie mogę go zawieść tylko dlatego, że ta ośła gazeta nie płaci. A to biedny człowiek i bardzo potrzebuje pieniędzy, nie może czekać, aż ja dostanę pensję. Więc bardzo ci to kładę na sercu. Zwrócę — słowo — na pierwszego, a prócz tego otrzymasz w prezencie książeczkę, o którą ci chodziło. Wysyłam ją równocześnie³.

Kaziu drogi, nie odmów mi — proszę! Zobaczymy się osobiście w pierwszych dniach grudnia, bo przyjadę na wieczór poetycki do Lublina, a wówczas jeszcze ci podziękuję osobiście.

Serdeczny uścisk dłoni

J. Czech.

P.S. Pozdrów Zosię, a Krysię ucałuj ode mnie

C.

[Adres:]

W-wa XII, Narb[utta] 11-a

¹ Zachowało się jego pokwitowanie: „Kwotę 20 zł (dwadzieścia złp) z polecenia p. Józefa Czechowicza z rąk p. Miernowskiego otrzymałem. Lublin, dn. 16 XI 38 r. Sawicki Bolesław”.

² „Kurier Poranny”, dziennik warszawski, w którym Czechowicz zamieszczał wiersze, artykuły i recenzje. Współpracował także z dodatkiem literackim do „Kurieriera” pt. „Apel”, który ukazywał się w latach 1938–1939.

³ Chodzi o tomik K. Balmonta i W. Briusowa *Liryki*, w wyborze i przekładzie Juliana Tuwima, Warszawa 1921. Na egzemplarzu znajduje się dedykacja: „Drogiemu Kaziovi Miernowskiemu. Listopad 1938 r. J. Czech.”

Zachował się odpis listu Miernowskiego do Czechowicza z 25 listopada, będący odpowiedzią na list poety:

„Kochany Józciu. Dziękuję Ci za książkę i miły list. Przyjeżdżaj do nas w grudniu, tylko na pewno. Kwotę 20 zł wypłaciłem zgodnie z Twoim poleceniem i wziąłem pokwitowanie. Zapomniałem się zapytać Ciebie, gdy byłem w Warszawie ostatnio, czy to nie Ty czasem wysłałeś niejakiemu Pełce kwotę 20 zł w lecie br. podając mój adres i nazwisko jako wysyłającemu [!], gdyż do mnie te pieniądze jako nie podjęte wróciły. Przyjąłem je, sądząc, że zawsze ktoś się po nie zwróci, lecz dotychczas nikt się nie zwraca. Bądź zdrow! Miło mi, że list do mnie napisałeś, i z książki się ucieszyłem, ale jak to wszystko mija i przechodzi. Dużo więcej zadowolenia dawała mi ta książeczka dawno temu, jeszcze na Misjonarskiej, niż teraz. Zmieniam się zapewne. Piszę na maszynie, gdyż mój charakter pisma jest coraz gorszy”.

[Białystok], 24 XI 1938¹

Drogi Kaziu!

Dziękuję Ci uprzejmie za spełnienie mej prośby i przesyłam Tobie oraz Rodzinie i Wackowi Gr. serdeczne pozdrowienia z Białegostoku, gdzie mam wieczór literacki.

J. Czechowicz

¹ Kartka pocztowa.

23

[Warszawa], 3 XII 1938 r.

Drogi Kaziu!

Raz jeszcze dziękuję Ci za uprzejmość. Powetuj ją sobie z pieniędzy, które Ci zwrócono z poczty, bo to ja wysłałem pod adresem K.P.¹ Warszawa — poste restante. Przy okazji komunikuję Ci, że jestem już etatowym urzędnikiem P. Radia i pracuję w centrali na placu Dąbrowskiego 6. Gdybyś był kiedy w W-wie i szukał mnie, to wiedz, że telefon jest 5-65-20, a wewnętrzny (bo tamto centralka) 52.

Skąd ten ton pesymizmu w twoim krótkim liściku?

Myślę, że mało masz rozrywek, mało „płodozmianu” duchowego, że obrastasz mchem. Nie daj się. Wieczna młodość zależy tylko od wewnętrznego życia naszego i od częstych wycieczek w krainy inne niż nasza codzienność.

Sciskam cię, pozdrawiam Zosię, Krysę i Wacława.

Twój J. Czech.

¹ K. Pełka. Patrz odpowiedź Miernowskiego na poprzedni list Czechowicza.

24

[Warszawa], 17 II 1939 r.

Luby Kaziu!

Piszę do Ciebie, aby Ci dać możność wejrzenia w duszę udręczonego poety, którego jak na wiwisekcji po przedstawieniu jednoaktówki¹ o charakterze poetyckim i wizyjnym oceniają:

W „Kurierze Czerwonym” — Migowa², wielka autorka, onaże pseudo Kamil Morden, w „Kurierze Warszawskim” Grzymała Siedlecki³, onże autor pornograficznej bzdury pt. *Ormianie z Bejrutu*, w „Wiadomościach” Słonimski⁴, a w „Gazecie Polskiej” Wierzyński⁵, dwaj moi osobiści i literaccy wrogowie — ten pierwszy dał przynajmniej wesoły dowcip w sprawie żywiołaków (żigolaki z żylakami), aczkolwiek poniżej swojej i tak niezbyt wysokiej klasy. Wreszcie — w „ABC” recenzentem był Stanisław Grzelecki⁶, o którym powiadają, że jest — o ile to możliwe — o wiele głupszy od najgłupszego endeka, zaś w szanownej skądinąd „Polsce Zbrojnej” — niejaki St. Poraj Koźmiński⁷, a o tym to tyle tylko wiadomo, że Poraj. Czuję się jak ciele na targu, obmacywane i oglądane od zębów i gdzie indziej.

Z innych spraw spieszę zakomunikować, że w marcu wyjdzie mój nowy tom wierszy pt. *Nuta człowiecza*, że Stefan we wrześniu wyjdzie z wojska i ma bardzo dobre i realne projekty zarabiania na własną rękę, poza fa-

bryką, usamodzielnivszy się z własnym warsztatem mechanicznym i przedsiębiorstwem dorożek bagażowych samochodowych.

Cieszy się dobrym zdrowiem, ma pretensję do śp. Papieża, że zepsuł mu część i tak królewskiego karnawału żałobą⁸, oraz majstruje zawzięcie z części (wykopywanych spod ziemi po całej Warszawie) motocykl. Do końca już niedaleko. W kwietniu, mam nadzieję, odwiedzimy was na tym właśnie motocyklu.

Mniejszy Stefan⁹ ciężko chory. Mimo młodego wieku istnieje podejrzenie, że to rak. Prześwietlają go, męczą, faszerują lekarswami i naświetlają. Chodzi biedak smutny, nic go nie cieszy, chyba jak kogoś oszuka po mistrzowsku przy grze w karty. Cóż mu zostało? Ani nic konkretniejszego jeść nie może, ani alkoholu powąchać... Zrobił się jeszcze bardziej sentymentalny niż dawniej i żegnając się ze mną nie mówi: do widzenia, ale: lubię cię...

I jeszcze jedno. Jest w Lublinie chora kobiecina, obarczona dziećmi i porzucona przez męża. Posiada magiel i z tego z trudem opędza wydatki codzienne, bo to w dzielnicy biedoty, na Kowalskiej — zarobki minimalne.

Powinna by pójść do szpitala, ale nie ma na to. Z drugiej strony, pannie z Trybunału opierając się na fakcie, że ona ma ten nieszczęsny magiel, nie chcą jej przyznać prawa leczenia się na koszt opieki społecznej.

Kaziu, jesteś radcą magistrackim i wielką figurą. Czy mógłbyś jej co pomóc? Może jednak miasto da jej jakąś pomoc?

Nazwisko jej *M a r i a A l t m a y e r*, lat 52, zam. Kowalska 8.

Bardzo, ale to bardzo polecam ci ją. Zrób coś, Kaziu drogi!

Mam nadzieję, że wiesz o *Antologii poetów lubelskich*?¹⁰ Ukaże się na początku marca rb. z ładnym wyborem wierszy i interesującymi portretami poniekórych złoczyńców, m. in. i niżej podpisanego.

Serdeczne pozdrowienia dla całej Rodziny i uścisk twej dłoni.

J. Czech.

[Adres:]

Józef Czechowicz

Warszawa XII

ul. Narbutta 11a, m. 2.

¹ Utwór dramatyczny Czechowicza *Czasu jutrzennego* („Pion”, 1939, nr 19) był razem z *Miłością czystą u kąpiel morskich* Norwida i *Odwiedziny o zmroku* Rittnera wystawiony w Teatrze Nowym jako *Wieczór jednoaktówek*. Inscenizował W. Horzyca, reżyserował A. Zelwórowicz, scenografię opracował A. Pronaszko, muzykę H. Gadomski. W sztuce Czechowicza występowali m. in. Tamara Paławska i T. Białoszczyński. Premiera odbyła się 4 II 1939.

² Jadwiga z Gancwohlów Migowa (1896—1942), dziennikarka, recenzentka teatralna „Kurier Czerwony”. Zginęła w obozie w Ravensbrück. Pisywała powieści pod pseudonimem Kamil Norden (Czechowicz przekreślił na Morden). Recenzja pt.

Wieczór jednoaktówek w Teatrze Nowym podpisana J. M. ukazała się w „Kurierze Czerwonym”, 1939, nr 49.

³ Adam Grzymała Siedlecki (ur. 1876), krytyk i dramaturg. O *Wieczorze jednoaktówek* pisał w „Kurierze Warszawskim”, 1939, nr 49 (wydanie wieczorne) w stałym felietonie *Z teatru*.

⁴ As.: *Premiery w Nowym i Buffo*, „Wiadomości Literackie”, 1939, nr 49.

⁵ Kazimierz Wierzyński: *Wieczór jednoaktówek w Teatrze Nowym*, „Gazeta Polska”, 1939, nr 40.

⁶ st. g.: *Wśród „mdławych blasków konch”*, „ABC”, 1939, nr 41.

⁷ Stanisław Poraj Kozmiński (1882—1944), dziennikarz. W „Polsce Zbrojnej” nie udało się odnaleźć tej recenzji.

⁸ Papież Pius XI zmarł 10 II 1939 r.

⁹ Stefan „Zbójek” w przeciwieństwie do Stefana Górskiego („Lotnika”).

¹⁰ *Antologia współczesnych poetów lubelskich*, oprac. przez ks. L. Zalewskiego, ze wstępem Czechowicza. Portret poety rysował Henryk Donga.

List pisany na papierze firmowym „Ziemi Lubelskiej”, dziennika wychodzącego w tym czasie w Lublinie. W latach 1930—1931 Czechowicz prowadził redakcję tego dziennika.

II. DO JOZEFA NIKODEMA KŁOSOWSKIEGO

25

Lublin, dnia 20 października 1930 r.

Szanowny Panie!

Bardzo mi miło, że mogę Pana poznać chociaż tą drogą. Prace Pańskie znam od dawna i po objęciu redakcji „Ziemi” chciałem się zwrócić do Pana o współpracę, ale nie znałem Pańskiego adresu, zaś o kontakcie Pana z J. Kotem¹ nie wiedziałem.

W najbliższych dniach, mimo że to gorący czas wyborczy, wskrzeszamy dodatek literacki². Możliwe, że pierwszy numer ukaze się już w tą [!] niedzielę. Nie wątpię, że pomoże nam Pan przy pracy, czekamy niecierpliwie.

Uparłem się, że następny numer dodatku będzie „regionalny” — w tym znaczeniu, że będą w nim rzeczy pisane gwarą lubelską. Od Wacława Oskoły³ otrzymałem już wiersz wzorowany na pieśni ludowej i napisany po puławsku, Archer⁴ przygotowuje szkic o lubelskiej pieśni ludowej. Bardzo by się nam przydała nowela gwarą pisana. Termin maksimum 3-tygodniowy. Myślę, że Pan nie zawiedzie, bo liczę właśnie na Pana. Przytoczymy także z jedną oryginalną pieśń ludową, przybierzemy dodatek reprodukcjami wycinanek — myślę, że wyjdzie wspaniale.

Co do „Reflektora”⁵ — umarł i pogrzebion. Żyje natomiast Biblioteka „Reflektora”. Jako nr 1 wyszły *Parabole* St. Grędzińskiego (wyczerpane)⁶, nr 2 stanowił mój *Kamień*⁷, nr 3 drukuje się. Będzie to 1-arkuszowy zeszyt z 6-ma moimi wierszami i 6-ma Konrada Bielskiego (tytuł: *Ballada z tamtej strony*). W przygotowaniu tom Bielskiego pt. *Whisky i krew*⁸.

O związku literatów lubelskich⁹ myślę od chwili powrotu z Francji. Przeprowadzałem nawet wstępne konferencje z Madejem¹⁰ i Arnsztajnową¹¹. Na razie tyle.

Serdeczny uścisk dłoni
J. Czechowicz

¹ Julian Kot, pseudonim Wiktora Ziółkowskiego (ur. 1893), krytyka i historyka sztuki, znawcy sztuki ludowej, znanego kolekcjonera materiałów dotyczących plastyki.

² Dodatek ten ukazał się w numerze „Ziemi Lubelskiej”, 1930, nr 317.

³ Waclaw Oskoła umieszczał wiersze w „Ziemi Lubelskiej”. Brak o nim dokładniejszych wiadomości.

⁴ O Archerze nie ma żadnych informacji.

⁵ Reflektor, grupa literacka istniejąca w Lublinie, obejmował poetów: K. Bielskiego, J. Czechowicza, W. Gralewskiego, S. Grędzińskiego oraz C. Bobrowskiego, krytyka. Organem grupy było pismo „Reflektor”, którego cztery numery ukazały się w latach 1923–1925.

⁶ Stanisław Grędziński, *Parabole*, Lublin 1926.

⁷ Józef Czechowicz, *Kamień*, Lublin 1927.

⁸ Publikacja pierwsza nie ukazała się, dopiero w 1932 r. wydał Czechowicz własny tom wierszy pod tytułem *ballada z tamtej strony*. Druga — zbiorek Bielskiego — nie został nigdy wydany.

⁹ Związek Literatów Lubelskich rozpoczął działalność dopiero w 1932 r.

¹⁰ Antoni Madej (ur. 1899), poeta i nauczyciel, działacz ZNP. Autor licznych zbiorów wierszy i przekładów.

¹¹ Franciszka Arnsztajnowa (1865–1943), poetka wywodząca się z Młodej Polski, w dwudziestoleciu międzywojennym uczestniczyła żywo w literackim ruchu Lublina. Wraz z Czechowiczem wydała zbiór wierszy o Lublinie pt. *Stare kamienie*.

Szanowny Panie!

Ostatni numer „Wsi Krasnystawskiej”¹ otrzymałem i z prawdziwą przyjemnością przeczytałem. Fragment pracy², o której mi Pan mówił, ciekawy, i dobrze, że go Pan wydrukował — jest gwarancja, że ocaleje, że nie pójdzie do pieca.

Obiecałem Panu wiersze z cyklu *Prowincja w nocy*, ale nie jestem zadowolony z tych dwóch nowych, które napisałem (*Krasnystaw, Kazimierz*). Przesyłam jedynie wiersz „ludowy” mojej roboty i prawie fonetycznie zapisany. Może go Pan, tak jak jest, da do druku z niewielkim komentarzem o poezji gwarowej we Włoszech, Francji i Polsce³. Ostatnio bardzo zajęty jestem moją prozą. Piszę akurat o rzeczach z 1863 r. na terenie Lubelszczyzny. Myślę, że pierwszy tom do Wielkiejnocy wykończę.

Pan H. Zwolakiewicz⁴ zalił mi się, że „Wieś Krasnystawska”, którą mu Pan obiecał, jakoś jeszcze nie doszła do niego. On chętnie coś tam napisze.

Adres jego: Lublin, ul. Radzikowska 17. Serdeczny uścisk dłoni dla p. Kutrzepy⁵.

Proszę o pamięć i przyjaźń.

J. Czechowicz

Co zrobić z dramatem?⁶ Zatrzymać czy wysłać?

¹ „Wieś Krasnystawska”, dwutygodnik, potem miesięcznik regionalny ukazujący się w Krasnymstawie w latach 1930–1931. Kierownikiem literackim pisma był początkowo J. N. Kłosowski.

² Józef N. Kłosowski, *Przysięga*. Wyjątek z powieści dla młodzieży z czasów strajku szkolnego, „Wieś Krasnystawska”, 1931, nr 1.

³ Dotyczy wiersza *U moi matysi*, zapisanego w gwarze wsi Młynki pod Puławami, drukowanego we „Wsi Krasnystawskiej”, 1931, nr 2/3.

⁴ Henryk Zwolakiewicz (nr. 1903), nauczyciel rysunków, artysta grafik, etnograf, bibliofil.

⁵ Ludwik Kutrzeba zamieszczał we „Wsi Krasnystawskiej” materiały z historii regionu, następnie był redaktorem pisma.

⁶ Dotyczy rękopisu dramatu Kłosowskiego *Jawnogrzesznica*.

27

Lublin, 6 III 1931

Szanowny Panie!

Zgodnie z obietnicą przesyłam Panu do zużytkowania we „Wsi” nie drukowany nigdzie *Kazimierz* oraz specjalnie dla Pana napisany *Krasnystaw*, oba wiersze z cyklu *Prowincja w nocy*, który kiedyś uzupełnię jeszcze *Krakowem*¹.

Piszę bardzo dużo. Jeżeli gwiazdy będą sprzyjać, w końcu kwietnia ukaże się *ballada z tamtej strony*, rzecz jednoarkuszowa (32 str.), w której zamknę siedem wierszy o śmierci, starych i nowych, oraz 3 listopadowe elegie i wiersz na śmierć Conrada Korzeniowskiego².

Poza tym mam około dwudziestu wierszy wybranych z tego, co napisałem od 1 I 1930. Prawdopodobnie wejdą one w skład zbioru, który Horzyca chce mi wydać za rządowe pieniądze³. Praca nad *Berłem*⁴ ciągle postępuje naprzód. Jakoś się rozpisalem. Artykuły i notatki piszę wieczorami, gdy neurastenia moja nie pozwala mi na pracę twórczą.

Proszę mi wybaczyć lakoniczność listu. Czy nie weźmie mi Pan za złe, że dramat Pański zatrzymam jeszcze przez czas pewien u siebie?

Pozdrowienia dla Pańskiego przyjaciela.

Uścisk dłoni

J. Czechowicz

¹ *Krasnystaw* był drukowany w nrze 2/3 z 1931 r. Wiersza o Krakowie nigdy Czechowicz nie opublikował.

² W rzeczywistości *ballada z tamtej strony* ukazała się dopiero w roku 1932, i to w objętości większej (50 stron): zamiast 11 znalazło się 24 utwory.

³ Zapewne *ballada z tamtej strony* jest połączeniem dwu planowanych samodzielnych tomików. Pierwszy z nich miał się ukazać w Lublinie.

⁴ Powieść ta, pisana na przestrzeni lat, nie była chyba nigdy ukończona. Losy rękopisu nie są znane.

28

Lublin, 24 III 1933

Kochany Panie!

Proszę uprzejmie o skomunikowanie się z chłopem-poetą¹, o którym pisał Pan w „Dzienniku Poznańskim”², aby zechciał mi przysłać coś ze swoich wierszy do kolumny poetyckiej „Zetu”, która obecnie jest w moich rękach.

Co teraz Pan pisze i czemu Pan do Lublina nie przyjeżdża? Niechże Pan da znak życia o sobie, projektach i planach, abyśmy nie potrzebowali dowiadywać się o tych rzeczach drogą okrężną via „Dziennik Poznański”.

Miklaszewski³, z którego korekta zrobiła w tym artykule Miklasa, przesyła Panu pozdrowienia, a p. Ludwikowi⁴ adres: Jan Miklaszewski, Lublin, Archidiakońska 1.

Komunikuję, korzystając z okazji, że wspólnie z Tow. Przyj. Nauk Związek nasz rozpoczął pracę nad monografią literacką współczesnej Lubelszczyzny⁵. Będzie to książka o 7—8 arkuszach druku, zawierająca prócz monografii antologię lubliniaków.

Pierwszym etapem pracy jest zebranie materiału faktycznego drogą ankiety. Z prośbą o wypełnienie w ciągu kwietnia (może w czasie świąt) przesyłam takową.

Serdeczny uścisk dłoni i spóźnione, z powodu wyjazdu do Lwowa, życzenia imieninowe.

Józef Czechowicz

P.S. Czy mógłby się Pan podzielić tą ankietą z Konradem?⁶ Miałbym o 1 egz. mniej do pisania na maszynie.

C.

¹ Stanisław Bojarczuk (1869—1956). poeta chłopski, którego odkrył J. N. Kłosowski. opiekował się jego twórczością i drukował liczne wiersze we „Wsi Krasnostawskiej”.

² Kłosowski był przez pewien czas stałym współpracownikiem „Dziennika Poznańskiego”.

³ Jan Samuel Miklaszewski, artysta grafik, przyjaciel Czechowicza; był przez pewien czas sekretarzem redakcji „Kuriera Lubelskiego” w 1932 r., kiedy redaktorem jego był Czechowicz.

⁴ Ludwik Kutrzepa.

⁵ Praca ta ukazała się dopiero w 1939 roku jako *Antologia współczesnych poetów*

lubelskich w opracowaniu ks. L. Zalewskiego. Że wersja antologii wspomniana w liście była już opracowana, świadczy anons w *Kronice lubelskiej* („Zet”, 1933, nr 11), z całą pewnością autorstwa Czechowicza. Informuje on, że rękopis antologii poezji lubelskiej został złożony w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, druk jej miał się rozpocząć w sierpniu 1933 r. Jako autorzy antologii zostali wymienieni: Józef Czechowicz, Kazimiera Głuszewska (siostra Czechowicza), Antoni Madej i Henryk Zasiłowski (pseudonim Czechowicza). Do książki tej miało wejść 47 utworów 16 autorów.

⁶ Konrad Bielski przebywał wtedy w Krasnymstawie.

29

[Warszawa], 16 XII 1933 r.

Kochany Panie!

Bardzo ucieszyła mnie książka Pana¹, a więcej może list, świadczący, że moja wiara w związanie z Lubelszczyzną nie zawodzi. Pisze Pan do mnie z miłego Krasnegostawu, Arnsztajnowa² — z Lublina, Jaworski³ — z Chełma. Odpisuję, załatwiam, czuję się w stolicy lubelskim ambasadorem.

Prowadzę dodatek literacki w „Państwie Pracy”⁴, redaguję kolumnę poetycką w dwutygodniku „Zet”⁵, pomagam „Kamieniu”⁶, współpracuję z „Pionem”⁷ oraz „Drogą”⁸. Chyba wszystko.

Jeśli chodzi o recenzje w dod. „Państwa Pracy”, chętnie je przyjmę wdzięcznym sercem. Niechże Pan pisze i przesyła na mój adres: W-wa, Dobra 6, Wydż. Wydawniczy Zw. Naucz. Polskiego.

Pracuję tu od sierpnia, roboty mam mnóstwo, ale b. przyjemnej, bo jest rozmach i możliwości dalsze. Wydział Wydawniczy ZNP wydaje 14 czasopism, a w roku przyszłym będzie ich wydawał 17. Mamy też ochotę zająć się drukiem książek i zagarnąć tzw. Naszą Księgarnię. Montuje się drukarnia: śliczne, najnowszego typu maszyny sprowadzono już z Anglii.

A ja jestem sekretarzem tego wydziału. Wyobraża Pan sobie, jaki tu młyn! Warszawy nie widzę. Czas wolny spędzam u miłych znajomych (ostatnio wlażłem w grono filozofów) albo w domu, przy pracy literackiej.

Tom w *błyskawicy* wyjdzie w II połowie stycznia⁹ z zasiłku Min. WRiOP, tom wspólnie z Arnsztajnową pt. *Stare mury*¹⁰ (wiersze o Lublinie) będzie już na gwiazdkę gotowy. Robią to lubelscy bibliofile. Właściwie już zrobili.

Plany artystyczne mam bardzo szerokie. Uznałem, że dość już liryki, która jest ekshibicją „duchostanów”. Czasy dzisiejsze warte są i epickiej poezji, a jeżeli jej dotychczas nie było, to dlatego, że ci, co próbowali to zrobić, nie umieli zrozumieć, że współczesna poezja epicka musi się różnić od dawnej tak, jak np. liryka Przybosa od liryki Tetmajera.

Piszę poematy i namawiam wszystkich do tego. Między innymi poemat Konrada pt. *Legenda*¹¹ skłonił świetnego poetę Jerzego Zagórskiego do próbowania epiki. Dziś już poemat jego *Narodziny Antychrysta*¹² leży goto-

wy w redakcji „Pionu”. Zobacz Pan, wkrótce będziemy świadkami renesansu epiki w Polsce.

Powieść moja zamarła. Nie mogę.

Serdeczny uścisk dłoni

J. Czechowicz

P.S. 9 XII był w Lublinie w ramach tyg. książki wieczór pod hasłem zbliżenia autorów do publiczności. Byłem tam, jako wierny mojemu miastu. J.S. Miklaszewski czytał fragmenty z pańskiej *Karczmy*¹³. W Święta lub Nowy Rok (termin jeszcze nie ustalony) będą w Radio recytacje lubelskich poezyj w interpretacji artysty Henryka Ładosza.

J.C.

¹ W 1933 r. ukazała się powieść Kłosowskiego *Tańcząca karczma*. Czechowicz kwituje zapewne jej odbiór.

² Zob. przypis do listu z 20 X 1930.

³ Kazimierz Andrzej Jaworski (ur. 1897), poeta i tłumacz. W 1933 założył w Chełmie miesięcznik poetycki „Kamena”.

⁴ Tygodnik wychodzący w Warszawie. W 1933 i 1934 redagował Czechowicz Kolumnę Literatury i Sztuki, później wspólnie z Henrykiem Domińskim.

⁵ „Zet” (1932–1939), dwutygodnik poświęcony propagowaniu filozofii Hoene-Wrońskiego, redagowany przez Jerzego Brauna. W 1933 r. Czechowicz prowadził Kolumnę Poetów; mieszkając jeszcze w Lublinie.

⁶ Zob. przypis 3.

⁷ „Pion” (1933–1939), tygodnik literacki. Umieszczał tu Czechowicz wiersze, utwory dramatyczne, opowiadania i recenzje.

⁸ „Droga”, miesięcznik założony przez Adama Skwarczyńskiego, redagowany przez Wilama Horzycę. Z „Drogą” współpracował Czechowicz od 1928 r.

⁹ Tomik *w błyskawicy* wyszedł w roku 1934 nakładem wydawnictwa „Droga”.

¹⁰ Zbiorek Arnsztajnowej i Czechowicza ukazał się w 1935 r. pt. *Stare kamienie* w nakładzie 125 egz. jako 5 pozycja Biblioteczki Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki.

¹¹ Konrad Bielski, *Legenda*, „Zet”, 1933, nr 15.

¹² Jerzy Zagórski, *Przyjście wroga* — baśń. Z pieśni pierwszej pt. *Narodziny Antychrysta* — Dwa widzenia, „Pion”, 1934, nr 17.

¹³ Powieść Kłosowskiego *Tańcząca karczma*.

[Warszawa], 8 VII 1938 r.

Marychno!

[r.]

Ciesz się, że ci się nasz (Staruszki i mój) dwugłos tak podobał¹.

Mamy zamiar kontynuować go i później wydać jako małą książeczkę².

Na razie oboje pracujemy nad przekładem z angielskiego, zamówionym przez Polskie Radio, z czego oboje uzyskamy po 200 zł. Póki Staruszka by-

ła tu, odwiedzałem ją 2 razy w tygodniu, teraz zaś jeżdżę do Konstancina co wtorek.

Muszę ci wysłać „Pióro”³, kwartalnik artystyczny, którego jestem redaktorem.

Z nowin o twórczości podają tylko tyle, że rozplywał się nad *Obrazem*⁴ Leon Schiller, że będzie to wystawione w serii pokazów Młodego Teatru, a kto wie, może nie tylko *Obraz*, ale i *Bez nieba*⁵ — rzecz, którą przeczytasz w „Piórze”.

Od liryki odpływam. Dialog tak pasjonuje mnie, że piszę i do druku, i do Radia, a często, ot, dla zapisania białej karty. Co gorsza, jestem znów na tropie *Berła* i wydaje mi się, że da się to rozwiązać w dramacie!

Ze stolicy nie wyjeżdżam. Prace i brak mamony trzymają mnie tu na uwięzi. Często chadzam nad wodą i popatruję w obłoki.

A oto wiersz z 1937 r.⁶

Rymy pobożne

1.

Smutku pora siwa porośla mieszkania sprzęty
wiatr chmurzysko przywiał bladym odmętem
okno szumiące krzaki kosaciec powiewa dłonią
to ty dajesz znaki

Persefono

2.

Jutro czyha we wszystkim nim do niego zegary dotrą
błyskawic jarzy się błyskiem widnokrąg
koniec dnia ma oczy sarnie błyskawice chwytają za nóż
nam i bitwom elementarnym na dwoje wróżący

Janus

3.

Błądząc miastem nad sobą się uzał
ang ang ang
katedr sennych dzwonienie łamie ulic promienie
tak bym tę sprawę nazwał
neonów konstelacje jak Męki Pańskiej stacje
krwawią asfalt
blask czerwona perła duża.

ang ang ang

błądząc miastem nad sobą się uzał
tak by szepnąć z mozaiki w bazylice
roniąca perły

Eleusa

J. Czech.⁷

¹ Wiersze F. Arnsztajnowej *Zielonym wiadrem* i J. Czechowicza *Jabłko życia* ukazały się w „Pionie”, 1938, nr 26.

² Zamiar ten nie doszedł do skutku, natomiast w „Piórze” (1939, nr 2) ukazał się *Dwugłos* Arnsztajnowej i Czechowicza. Początek tego utworu stanowią wiersze obojga autorów z „Pionu” (patrz p. 1).

³ „Pióro”, kwartalnik poetycki redagowany przez Czechowicza. Numer 1 ukazał się w 1938 r., 2 zaś we wrześniu 1939 r.; z całego nakładu ocalało tylko parę egzemplarzy.

⁴ *Obraz*, rzecz jednoaktowa drukowana była w „Pionie”, 1937, nr 51/52.

⁵ *Bez nieba*, jednoaktówka drukowana w „Piórze”, 1938, nr 1. Ze sztuk Czechowicza wystawiona była jedynie *Czasu jutrzeznego* (patrz przypisy do listu Czechowicza z dnia 17 II 1939 r.).

⁶ Wiersz *Rymy pobożne* ukazał się w „Wymiarach”, 1938, nr 3, a następnie wszedł do tomu *nuta człowiecza*. W redakcji przytoczonej w liście wiersz ma nieco inny układ graficzny.

⁷ W prawym rogu u dołu naklejona maleńka (3 × 2 cm) fotografia portretu poety. Autora portretu nie udało się ustalić.

INDEKS OSÓB

- A. O. 114
 Abramowicz Ignacy 35, 46, 95, 96, 99, 166
 Abramowski Edward 312, 352, 372
 Adamowicz Bogusław 312
 Aischylos 362
 Alain zob. Chartier Emile Auguste
 Albrecht von Hohenzollern, elektor pruski 267
 Aleksander I, car rosyjski 90
 Aleksander II, car rosyjski 106, 110
 Aleksandra Fiodorowna, żona cara Mikołaja I 52
 Aleksiejew Piotr 39, 98
 Altmayer Bolesław (B. A.) 500, 501
 Altmayer Maria 504
 Amerek Józef 311
 Anakreont z Teos 354
 Andrejewowie 404
 Anna, jakucka żona Sieroszewskiego 368, 401
 Annunzio Gabriele d' 358, 359, 362
 Apollinaire Guillaume (właściwe nazwisko: Kostrowicki Wilhelm Apolinary) 369
 Apuchtin Aleksandr L. 24, 92
 Araszkievicz Feliks 474, 476
 Archer 505, 506
 Archimedes 348
 Ariosto Lodovico 88, 371
 Arnsztajnowa Franciszka 469, 506, 509, 510, 511, 512
 Arystoteles ze Stagiry 415
 As zob. Słonimski Antoni
 Asnyk Adam (pseud. El-y) 21, 60, 91
 Attyla 378
 Au-Wi zob. Wilkoński August
 August II, król polski 106
 Awejde Oskar 184
- B. A. zob. Altmayer Bolesław
 Babiński Józef Franciszek 494
 Bachman Karol 39, 71, 98, 165
 Bachmanówna Lucyna zob. Cwierciakiewiczowa z Bachmanów Lucyna
 Bacon Francis 415
 Badeni Atanazy 43, 100
 Badeni Ignacy 43, 100
 Badeni Seweryn 43, 100
 Badeni Stanisław 439
 Badeniowie 43
 Badoski Ignacy 304
 Bagrynowski Korneli 402, 403, 404
 Bakunin Michaił A. 201
 Balińscy (Jan i Władysław) 28
 Baliński Ignacy 434, 435, 438
 Baliński Jan 28, 93
 Baliński Karol (pseud. Karol B. z Jarosławca) 8, 15, 16, 17, 45, 56, 59, 89, 90, 100, 121
 Baliński Michał 28, 93, 98
 Baliński Władysław 28
 Balmont Konstantin D. 475, 502
 Balzac Honoré 97
 Bandurski Władysław 431
 Baraniecki Adrian 331
 Barciński Antoni Feliks 57, 103
 Bartels Artur 22, 91
 Bartkiewicz Zugmunt 443
 Bartoszewicz Julian 59, 74, 75, 104
 Bartoszewicz Kazimierz 107, 438
 Batory Stefan zob. Stefan Batory, król polski
 Beethoven Ludwig van 302, 342
 Belmont Leo (właściwe nazwisko: Blumental Leopold) 437
 Belcikowski Adam 437
 Belza Władysław (pseud. Piast Władysław) 437

- Bem Józef Zachariasz 55, 102
 Benedict zob. Rogalewicz Benedykt
 Béranger (Beranżer) Pierre Jean 22, 91, 109
 Berent Wacław 329, 367, 427, 435, 438, 443, 444, 447
 Berg Fiodor Fryderyk Rembert 67, 68, 106, 107
 Białoszczyński Tadeusz 504
 Biberstein-Kazimierski A. zob. Kazimierski-Biberstein A.
 Bibrowski 483, 484
 Bielowski August 12, 47, 48, 59, 81, 101, 104
 Bielscy 322
 Bielski Konrad 467, 475, 476, 488, 495, 505, 506, 508, 509, 510
 Bieńkowski Wacław 484
 Bieńkowski Zbigniew 361, 372, 379
 Biernat z Lublina 6
 Billard 163
 Birnbaum (właściciel pensji) 15, 89
 Bismarck Otto Leopold von 199
 Bispingowie 322
 Blumenfeld 46, 100, 184, 185
 Blumental Leopold zob. Belmont Leo
 Błok Aleksandr A. 475
 Boalo zob. Boileau-Despréaux Nicolas
 Bobkowski 377
 Bobrowska 36, 166
 Bobrowski Czesław 475, 506
 Bogdanowicze 308
 Bogdanowiczówna Kazimiera (Kazia) 308, 323
 Bogusławski Stanisław 37, 97
 Bohdanowicz Karol 402
 Bohomolec Franciszek 95
 Bohusz Marian zob. Potocki Józef K.
 Bohuszewiczówna Stefania Maria 390, 393, 396
 Boileau-Despréaux (Boalo) Nicolas 363
 Bojarczuk Stanisław 508
 Bojko Jakub 439
 Bolesław Krzywousty, król polski 298
 Bolesław Śmiały, król polski 274
 Bona Sforza, królowa polska 178, 266
 Bonaparte (ród) 102
 Bonaparte zob. Ludwik Napoleon zob. Napoleon III, cesarz francuski
 Bonaparte zob. Napoleon I, cesarz Francuzów
 Bonarówna 313
 Boros (prof. w Cambridge) 351
 Borowy Wacław 374, 442
 Borzkówna Marcjanna zob. Wiszniewska z Borzków Marcjanna
 Boscy 301
 Boska z Dunin-Wąsowiczów Ewa 299, 301
 Boski Juliusz 301
 Boski Paweł 308
 Botwinko Hieronim 112
 Bourdet zob. Janowska z Bourdetów
 Bourdet (kontradmiral w Rochelle) 18
 Bourgeois Jeanne Marie (Mistinguett) 494, 495
 Boznańska Olga 443
 Branicy 8, 10
 Branicki Franciszek Ksawery 84, 267
 Braun Jerzy 510
 Briusow Walerij J. 475, 502
 Brodowski Antoni 165
 Brodowski Tadeusz 41, 99, 165
 Brodziński Kazimierz 10, 33
 Broniewski Władysław 475
 Bronikowski Józef 295
 Bronisławska A. 443
 Brougham Henry 163, 241
 Bruchnalski Wilhelm 443, 444
 Bruner Ludwik (pseud. Sten Jan) 437
 Bruno Giordano 455
 Brückner Aleksander 94, 443, 444, 449
 Brzeziński Kazimierz 8, 20
 Brzękowski Jan 468
 Brzozowski Juliusz 36
 Brzozowski Stanisław 440
 Buckle Henry Thomas 111
 Budzyk Kazimierz 5—7
 Bukowiński Władysław 85, 113, 442, 443, 451
 Bulwer-Lytton Edward George 382
 Buonarroti Michelangelo zob. Michał Anioł Buonarroti
 Bykowski-Jaksa Piotr 60, 65, 105, 106
 Byron George Gordon 95, 354, 362, 371
 Callier A. 359
 Calonne de (żona Alfonsa) 37
 Calonne Alfons Bernard de 37, 97
 Cavaignac Louis Eugène 54, 55, 102
 Cavour Camillo Benso 191

- Cegielski Hipolit 414, 422
Cervantes de Saavedra Miguel 24, 98
Chamerska Halina 108
Charles Edmond zob. Chojecki Edmund
Chartier Emile Auguste (pseud. Alain) 369
Chateaubriand François René de 98
Chesterton Gilbert Keith 373
Chlebowski (Ksawery i Józefa z Dzwonkowskich) 296
Chlebowska zob. Komornicka z Chlebowski (żona Wojciecha)
Chlebowska z Dzwonkowskich 1-o voto Komornicka Józefa 294, 295, 296, 297
Chlebowski Ksawery 295, 296, 297, 305
Chlewaski F. 95 *je pseud.*
Chłapowska z Modrzejewskich Helena zob. Modrzejewska (Modjeska) Chłapowska Helena
Chłapowski Karol 436
Chłędowska Aniela zob. Dembowska z Chłędowskich Aniela
Chłędowska Seweryna zob. Dembowska z Chłędowskich Seweryna
Chmielowski Piotr 60, 91, 104, 106, 110, 304, 305, 351, 437, 448
Chodkiewiczowa Zofia zob. Ossolińska z Chodkiewiczów Zofia
Chodźko Ignacy 59, 77, 110
Chojecki Edward zob. Chojecki Edmund
Chojecki Edmund (pseud. Charles Edmond) 22, 36, 37, 91
Chojnacki Leon 487, 488
Chopin Fryderyk 431
Chosiłowska z Krzyckich Flora 15
Chrzanowska Anna Dorota 274
Chrzanowski Ignacy 438, 443, 444
Chromik Józef 311
Ciemniewski Edward 412, 421
Ciemniewski Hieronim 48
Ciemniewski Jan 431
Ciepliński Marcin (pseud. Ossoria Marcin) 45, 109
Cieszkowski August 39, 98
Cieszkowski Henryk 61, 62, 105
Cobel (Zobel) F. 404
Coleridge (Coleridż) Samuel Taylor 84, 113
Colomb von Ferdynand August Peter 55, 103
Conrad Joseph (właściwe nazwisko: Korzeniowski Józef Teodor Konrad) 385, 507
Corneille (Kornel) Pierre 88, 114
Cybulski-Łada Adam 443
Cyprysiński Antoni 101
Czacka Aniela 63
Czacka z Potockich Beata 62, 63
Czacka z Małachowskich Katarzyna 105
Czacka z Czackich Maria 62, 64, 105
Czacka z Sapiehów Pelagia 105
Czacki Dominik 105
Czacki Feliks 62, 63, 105
Czacki Feliks (ojciec Tadeusza) 105
Czacki Michał 63
Czacki Tadeusz 62, 64, 105
Czacki Wiktor Grzegorz 64, 105
Czajkowski 462
Czajkowski Antoni 33, 95
Czapska z Rzewuskich Maria 43, 44, 100
Czapski Adam 100
Czarnecki Stefan 176
Czarnowska-Loévy Maria zob. Loévy z Mireckich 1-o voto Czarnowska Maria (pseud. Szeliga Maria)
Czartoryscy 341
Czartoryska Zofia zob. Zamoyska z Czartoryskich Zofia
Czartoryski Adam 10
Czechowicz Józef Henryk (pseud. Zaslowski Henryk) 467—512
Czechowicz Paweł 471, 479, 480
Czechowicz Stanisław 470, 479
Czechowicz Kazimiera zob. Głuszewska z Czechowiczów Kazimiera
Czechowiczowa z Sułków Małgorzata 470, 471, 480, 485, 486, 489, 491, 492, 493, 495, 497, 498
Czerwiński Bolesław 93
Czosnowska 37
Czubek Jan 443
Czwalina Paweł 25
Czwalina (syn Pawła) 25
Ćwierciakiewicz Józef 41, 99
Ćwierciakiewicz Maksymilian 41, 99
Ćwierciakiewiczze 41, 72, 99
Ćwierciakiewiczowa z Bachmanów Lucyna 39, 98
Daniłowski Gustaw (pseud. Orwid Władysław) 423, 443

- Dante Alighieri 88, 362, 388, 455
 Daszyńska-Golińska Zofia 311
 Daszyński Ignacy 439
 Dawid Jan Władysław 307
 Dawidowie 324
 Dawison Bogumił 35, 96
 Dąbrowski Henryk 456
 Deak Ferenc 191
 Delille (Delil) Jacques 87, 114, 363
 Dembiński Bronisław 439
 Dembowska Maria 68, 107
 Dembowska Jadwiga 68, 107
 Dembowska z Chłędowskich Aniela 99
 Dembowska z Chłędowskich Seweryna 107
 Dembowski Edward 39, 98, 99, 107, 165
 Dembowski Leon 68, 107
 Deotyma zob. Łuszczewska Jadwiga
 Dernałowicz Maria 341, 379
 Despréaux-Boileau Nicolas zob. Boileau-Despréaux Nicolas
 Dębicki Stanisław 443
 Dębicki Zdzisław 8, 369
 Długosz Jan 101
 Dobrowolski Adam 453, 484
 Dobrski Julian 35, 96
 Dobrzyński Ignacy Feliks 58, 72, 73, 104, 108
 Domiński Henryk 510
 Donga Henryk 505
 Don Juan d'Austria zob. Juan d'Austria Don (Don Żuan Austriacki)
 Drewnowski Jan zob. Jaworski Jan
 Drogoszewski Aureli 380
 Drozd Stefan 500
 Duchńska z Żochowskich 1-o voto Pruszkowa Seweryna 73, 81, 108, 112
 Dunin-Wąsowicz Amelia zob. Kochanowska z Dunin-Wąsowiczów Amelia
 Dunin-Wąsowicz Anna zob. Komornicka z Dunin-Wąsowiczów Anna
 Dunin-Wąsowicz Ewa zob. Boska z Dunin-Wąsowiczów Ewa
 Dunin-Wąsowicz Helena zob. Stanowska z Dunin-Wąsowiczów Helena¹
 Dunin-Wąsowicz Maria zob. Rutkowska z Dunin-Wąsowiczów Maria
 Dunin-Wąsowicz z Gostkowskich Józefa zob. Wąsowicz-Dunin z Gostkowskich Józefa
 Dunin-Wąsowicz Józef zob. Wąsowicz-Dunin Józef
 Dunin-Wąsowicz Karol zob. Wąsowicz-Dunin Karol
 Dunin-Wąsowicze zob. Wąsowicze-Dunin
 Dussil Leopold 472, 473, 474, 482
 Dutkiewicz Walenty 41
 Dutkiewicz (syn Walentego) 41
 Dybowski Benedykt 443, 463
 Działyńscy 22, 89, 91
 Działot (Działott, Działota) Juliusz Wilhelm Maria 299
 Dziekoński Józef Bohdan 40, 41, 90, 98, 165
 Dziekoński Tomasz Sylwester 16, 90, 91
 Dzwonkowscy 295, 296
 Dzwonkowska Józefa zob. Komornicka z Dzwonkowskich Józefa zob. Chlebowska z Dzwonkowskich 1-o voto Komornicka Józefa
 Dzwonkowska z Witkowskich-Nowinów Ludwika 294
 Dzwonkowski Włodzimierz 463, 464
 Eckchoud J. 381
 Edward III, król angielski 281
 Eile Stanisław 425
 El. zob. Laskowski Kazimierz
 El-y zob. Asnyk Adam
 Elzenberg Anna (pseud. Savitri) 443
 Elżbieta (siostra Kazimierza Wielkiego) 13
 Emerson Ralph Waldo 364
 Epstein Mieczysław 43
 Erywański Książę zob. Paskiewicz Iwan F.
 Espinas A. 423
 Estreicher Karol 60, 78, 102, 105, 108, 111
 Estreicherowa z Grabowskich Stefania 81, 112
 Estreicherowie 107
 F. J. zob. Jasiński Feliks
 F. Medard zob. Faleński Felicjan Medard
 Faleńscy 13, 105, 107
 Faleńska zob. Janowska z Faleńskich
 Faleńska Apolonia (matka) 13, 14, 15, 48, 89
 Faleńska Apolonia (siostra) zob. Wieniawska z Faleńskich Apolonia
 Faleńska Józefa zob. Marconi z Faleńskich Józefa

- Faleńska z Fredrów Tekla (macocha) 17, 18, 19, 32, 42, 45, 56, 90
 Faleńska z Trembickich (Trębickich) Maria (żona) 11, 12, 89, 102, 105, 107, 111, 112, 197
 Faleński Felicjan Medard (pseud. F. Medard, Felicjan) 8—293, 443, 444
 Faleński Józef 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 21, 22, 31, 32, 33, 34, 89, 94, 112
 Falińscy 13
 Falkówna Mira zob. Zielińska z Fałków Mira
 Fedorówna zob. Aleksandra Fiodorowna, żona cara Mikołaja I
 Fedrus zob. Phaedrus Caius Julius
 Feldman Wilhelm 116
 Felicjan zob. Faleński Felicjan Medard
 Felicjan zob. Kozłowski Feliks Antoni
 Feliński Alojzy 64, 105
 Feliński Zygmunt Szczęsny 100, 204
 Ferdynand, cesarz austriacki 55, 103
 Fersen Iwan 195
 Fersen (syn Iwana) 194, 195
 Feydeau (żona Ernesta) 37
 Feydeau Ernest Aimé 37, 97
 Fierich Franciszek Ksawery 439
 Fijałkowski 103
 Filip II, król hiszpański 24
 Filleborn Seweryn 40, 41, 98, 165
 Fiodorówna zob. Aleksandra Fiodorowna, żona cara Mikołaja I
 Fiszer Jan 315, 380
 Flaubert Gustave 494, 495
 Flika 323
 Florkiewicz Władysław 82, 113
 Franciszek Józef I (Franz Joseph), cesarz austriacki 54, 102, 341
 Fredro Aleksander 104
 Fredro Andrzej Maksymilian 45, 90, 100
 Fredro Felicjan 18, 42, 90
 Fredro Jan Aleksander 60, 104
 Fredrowa ze Stamirowskich 18
 Fredrowie 18
 Fredrówna zob. Grodzicka z Fredrów (żona Aurelego)
 Fredrówna zob. Grodzicka z Fredrów (żona Felicjana)
 Fredrówna Tekla zob. Faleńska z Fredrów Tekla
 Frejer (Freyer) August 71, 108
 Frenkiel (ojciec Leonarda) 391
 Frenkiel (stryj Leonarda, powstaniec) 390
 Frenkiel Leonard 390, 391, 404
 Freyer zob. Frejer August
 Freytag Gustav Theodor 199
 Frycze (Fryze) Gustaw 23, 92
 Fryderyk II Wielki, król pruski 267
 Fryze zob. Frycze Gustaw
 Fuhrmann (prezes banku) 43, 100
 Gadomski H. 504
 Gagatkiewiczówna Eleonora zob. Ziemięcka z Gagatkiewiczów Eleonora
 Gagern Hans Christoph Ernst 163
 Galiński A. zob. Stolarzewicz Ludwik
 Galis Adam 482, 483, 484, 486
 Gall Anonim 47, 101
 Gałczyński Konstanty Ildefons 117, 483, 484
 Gałcki Tadeusz zob. Strug Andrzej
 Ganzmann 116
 Ganzwohl Jadwiga zob. Migowa z Ganzwohlów Jadwiga
 Gardien Ange 375
 Gasztowt Wacław 443
 Gawroński Rawita Franciszek 437
 Gebethner (firma księgarsko-wydawnicza) 107, 392
 Gide André 345
 Giebułtowska Teodora zob. Matejkowa z Giebułtowskich Teodora
 Giedroyć Kazimierz (pseud. Snopek Kazimierz) 77, 111
 Gierdziejewski Ignacy 31, 41, 94, 99, 165
 Gladston Helene 307, 309
 Glücksberg Michał 80
 Głowacki Aleksander zob. Prus Bolesław
 Głowińscy 476
 Głowińska 1-o voto Śliwicka 476
 Głowiński Franciszek 476, 488
 Głuszewska z Czechowiczów Kazimiera 470, 491, 492, 493, 509
 Goethe Johann Wolfgang 95, 121, 241, 362
 Gogol Nikołaj W. 39
 Goliń Zygmunt 204
 Golińska Zofia zob. Daszyńska-Golińska Zofia
 Gołębiowski Seweryn 61, 105
 Gołowiń Jewgienij 24, 92
 Gomulicki Juliusz Wiktor 93, 97

- Gorzkowski Marian 112, 113
 Gosia (piastunka) 300
 Gostkowska Józefa zob. Wąsowicz-Dunin
 z Gostkowskich Józefa
 Gostkowska Melania 307
 Goszczyński Seweryn 93
 Góra Stefan 425, 427, 428, 429, 433
 Górowa Maria 425
 Górski Artur 427, 430, 437, 438, 440, 441,
 444
 Górski Konstanty 74, 77, 111
 Górski Stefan 498, 499, 504, 505
 Grabowska Stefania zob. Estreicherowa
 z Grabowskich Stefania
 Grabowski 323
 Grabowski Edward 304, 305
 Grabowski Ignacy 427, 438
 Grabowski Michał 33, 95
 Grabski Władysław 108
 Grakchów matka zob. Kornelia, matka
 Grakchów
 Gralewska (matka Wacława) 469
 Gralewski Wacław 467, 469, 471, 475, 476,
 477, 481, 485, 486, 488, 490, 491, 492, 493,
 495, 496, 497, 501, 502, 503, 506
 Grass (Gras) Józef 42, 46, 99, 184
 Gregorowicz Jan Kanty (pseud. Janek
 z Bielca) 74, 109
 Grędziński Stanisław 475, 505, 506
 Grodziccy 42
 Grodzicka z Fredrów (żona Aurelego) 42
 Grodzicka z Fredrów (żona Felicjana) 42
 Grodzicki (ojciec) 42
 Grodzicki Aureli 42
 Grodzicki Ewaryst 42
 Grodzicki Felicjan 42
 Groicki Bartłomiej 6
 Gruszecki Artur 393
 Gryczowa Alodia 7
 Grydzewski Mieczysław 485
 Grzegorz XVI, papież 88
 Grzegorzewska Sabina 341
 Grzelecki Stanisław (st. g.) 503, 505
 Grzędzielska Maria 121
 Grzymała-Siedlecki Adam zob. Siedlecki-
 -Grzymała Adam
 Gubrynowicz Bronisław 5
 Gulkowscy 313
 Gulkowska z Komornickich Franciszka
 296, 313
 Gulkowski 296
 Gulkowski Jan 313
 Gulkowski Stanisław 313
 Gulkowski Tadeusz 313
 Gumilew Nikołaj S. 475
 Gwozdecka Teodozja 35, 96
 Hahn Wiktor 443
 Hahnemann Samuel 247
 Hajota zob. Rogozińska Helena Janina
 Haraschin Juliusz 428
 Harting Kazimierz 323
 Harting Zofia 322, 323
 Hartingowa z Jodko-Narkiewiczów (żona
 Kazimierza) 323
 Hartingowie Guciostwo 323
 Hartingowie Kazimierzostwo 323
 Hawełka 314
 Haynau Julius Jacob von 55, 103
 Hegel Georg Wilhelm Friedrich 39, 98,
 415
 Hello Ernest 381
 Hempel Jan 430, 441, 442, 443, 447, 448,
 449, 453, 454, 455, 457, 462—463, 464, 465,
 466
 Hercen Aleksandr 192, 201, 241
 Hirsband Alfred Teofil (Jellenta Alfred
 Teofil) 310, 358, 359, 360
 Hirsband Napoleon (pseud. Jellenta Ce-
 zary) 307, 310, 311, 341, 351, 352, 353,
 358, 359, 380
 Hirsband Stefan zob. Jellenta Stefan
 Hoene-Wrońska Aniela zob. Przesmycka
 z Hoene-Wrońskich Aniela
 Hoene-Wroński Józef Maria 510
 Hoesick Ferdynand 491, 492
 Hoffmanowa z Tańskich Klementyna 10
 Hohenzollern Albrecht von zob. Albrecht
 von Hohenzollern, elektor pruski
 Homer 21, 112, 283, 354, 362
 Horacy — Horatius Quintus Flaccus 93
 Horacy Chrześcijański zob. Sarbiewski
 Maciej Kazimierz
 Horodyski Bogdan 101
 Horoszewicz 57
 Horzyca Wilam 485, 486, 493, 504, 507, 510
 Hugo Victor 28, 93, 95, 98
 Huysmans Joris Karl 381
 Ibsen Henrik 349, 354, 374
 Ilnicka Maria 80

- Howajski Dmitrij 304
Iracki Jan 472
Iuvenalis zob. Juvenalis Decimus Iunius
Iwazkiewicz Jarosław 360, 370, 377
Iwo zob. Lemański Jan
- J. M. zob. Migowa z Ganzwohlów Jadwiga
Jabłonowski Aleksander 443
Jabłonowski Władysław 85, 113, 354
Jabłoński Adolf (pseud. Jasińczyk) 99
Jabłoński Henryk 75, 109
Jachowicz Stanisław 10, 58, 59, 103, 104
Jadrincew H. M. 416
Jagiellonka Katarzyna zob. Katarzyna Jagiellonka
Jagiellonka Zofia zob. Zofia Jagiellonka, siostra Zygmunta Starego, matka Albrechta von Hohenzollerna
Jagiellonowie 453
Jagielska (baletnica) 36, 166
Jagiellowie 176
Jaksa-Bykowski Piotr zob. Bykowski-Jaksa Piotr
Jakubowski Jan Zygmunt 382
Jakubowski Salwian 36, 97
Jammes Francis 371
Jan, arcyksiężę austriacki 55, 103
Jan, św., ewangelista 111
Jan Paweł zob. Richter Johann Paul
Jandołowicz Marek zob. Książd Marek
Janek z Bielca zob. Gregorowicz Jan Kanty
Jankowski 296
Jankowski Józef 323, 331
Jankuła, gospodar wołoski 212
Janowscy 18
Janowska Konstancja zob. Rechkronowa z Janowskich Konstancja
Janowska Marcjanna zob. Stamirowska z Janowskich Marcjanna
Janowska Zofia zob. Troszczycka z Janowskich Zofia
Janowska z Bourdetów (żona Aleksandra) 18
Janowska z Faleńskich 18
Janowski 18
Janowski Adam 18
Janowski Aleksander 18
Jarry Alfred 117
Jasińczyk zob. Jabłoński Adolf
Jasiński Feliks (F. J.) 324, 325
Jastrun Mieczysław 379
Jaworski Jan (pseud. Drewnowski Jan) 38
Jaworski Kazimierz Andrzej 379, 509, 510
Jaworski Tadeusz 443
Jaworowski Tadeusz 485, 486
Jazłowiecki Mikołaj 212
Jedlicz Józef zob. Kapuścieński Józef
Jellaczyc (Jellachid, Jelaczić) de Buzim 54, 55, 102
Jellenta Alfred Teofil zob. Hirszbant Alfred Teofil
Jellenta Cezary zob. Hirszbant Napoleon
Jellenta Stefan (Hirszbant Stefan) 358
Jenike Ludwik 81, 91, 112
Jenikowa Aniela 81, 112
Jeranek 482, 483
Jeremiasz (psalmista) 376
Jesienin Siergiej A. 475
Jeziński Feliks 113
Jeziński Jan 76, 110
Jeż T. T. zob. Miłkowski Zygmunt
Jeżyński J. 380
Jędrzejewicz Janusz 476
Jocher Adam 33, 95
Jodko-Narkiewicz zob. Hartingowa z Jodko-Narkiewiczów
Jodko-Narkiewiczze zob. Narkiewiczze-Jodko
Józefowiczowa 323
Józefowiczowie 323
Juan d'Austria Don (Don Żuan Austriacki) 24, 92
Jundziłłowie 23, 92
Juszczakowski Kazimierz 482, 483
Juwenalis Decimus Junius 60, 354, 376
- K. P. zob. Pełka Kazimierz
Kaczkowski Zygmunt 59, 77, 110
Kadłubek Wincenty 74, 109
Kallenbach Józef 437
Kamocka Józefa 304, 351
Kania Władysław 329
Kaniewski Jan Ksawery 70, 108
Kant Immanuel 415
Kapliński Leon 45, 100
Kapuścieński Józef (pseud. Jedlicz Józef) 443

- Karliński (syn Kacpra) 274
 Karliński Kacper 274
 Karol V, cesarz niemiecki, król hiszpański 24
 Karol B. z Jarosławca zob. Baliński Karol
 Karol Robert, król węgierski 13
 Karoli Władysław 437
 Karski 323
 Kasprowicz Jan 85, 113, 428, 430, 439, 440, 443, 444
 Kaszewski Kazimierz 8, 20, 21, 90, 92
 Kasztelowicz Stanisław 425
 Katarzyna Jagiellonka 23
 Katkow Michał N. 219
 Kaulbach Wilhelm 41, 99
 Kazimierski (Kazimirski) - Biberstein Wojciech (Adalbert) de 34, 95
 Kazimierz Wielki, król polski 13, 216, 217
 Keats John 460
 Keller 35, 96
 Kellerman Wawrzyniec 96
 Kenig (König) Józef 36, 76, 77, 97, 110
 Kepler Jan 129
 Kirkor Adam Honory 110
 Kisfaludi (Kiszfalude) Karol 13, 89
 Kisielewski Jan August 322, 426, 428, 429, 439
 Klaczko Julian 76, 110
 Kleiner Juliusz 443
 Kleopatra, królowa egipska 171
 Klimcia (krewna Sieroszewskiego) 396
 Kluczeńska 14
 Kłak Tadeusz 469
 Kłobukowski Antoni 78, 111
 Kłosowska (żona Józefa Nikodema) 469
 Kłosowski Józef Nikodem 468, 469, 505, 506, 507, 508, 509, 510
 Kmiecyc 422
 Kmita Stanisław 313, 314
 Kniaziewicz Karol Otton 456
 Kochanowska z Dunin-Wąsowiczów Amelia 299
 Kochanowski Jan 93
 Kocówna Barbara 387
 Kokular Aleksander 108
 Kolberg Oskar 59, 104
 Koliński Edward 382
 Kolowrath (hrabina) 37
 Kołakowski 42, 43
 Kołłątaj Hugo 189
 Kołodyńska Bronisława 470, 482, 483, 491, 492
 Kołoniecki Roman 485
 Komarnicka Maria zob. Komornicka-Lemańska Maria
 Komierowski Jan Wacław (pseud. Pomian Wacław) 104
 Komornicy-Nałęcz 297, 310
 Komornicka Aniela (siostra Marii) 294, 300, 306, 307, 308, 311, 312, 315, 324, 331, 333, 339, 340, 350, 352, 353, 361
 Komornicka Elżbieta (Lila — siostra Marii) zob. Mrozowska z Komornickich Elżbieta
 Komornicka Eufemia zob. Skłodowska z Komornickich Eufemia
 Komornicka Franciszka zob. Gulkowska z Komornickich Franciszka
 Komornicka Julia zob. Lutomska z Komornickich Julia
 Komornicka z Chlebowskich (żona Wojciecha) 295, 296
 Komornicka z Dunin-Wąsowiczów Anna (matka Marii) 296, 298, 299—304, 306—321, 323—333, 335—339, 345, 351, 352
 Komornicka z Rakowieckich Halina 300
 Komornicka ze Słoneckich Helena 296
 Komornicka z Dzwonkowskich Józefa 2-o voto Chlebowska zob. Chlebowska z Dzwonkowskich 1-o voto Komornicka
 Komornicka-Lemańska Maria (pseud. Komarnicka Maria, Piotr Włast, Piotr Odmieniec Włast, P.O.W.) 294, 296, 298—326, 328—354, 358, 360, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 375, 376, 378, 379, 381, 382
 Komornicka z Rogoyskich Maria 300
 Komornicka z Madalińskich Róża 294
 Komornicka z Trębickich Wanda 300, 311
 Komornicki Adam (brat Marii) 296, 300, 303, 307, 310, 311, 333, 337
 Komornicki Augustyn (ojciec Marii) 295—310, 326, 327, 328, 332, 336, 345, 351, 352
 Komornicki-Nałęcz Florian Stanisław 295, 296
 Komornicki Franciszek (brat Marii) 300, 307, 311, 322, 333
 Komornicki Gustaw 325
 Komornicki Jan 294, 296

- Komornicki Jan Chryzostom (brat Marii) 299, 300, 302, 303, 304, 307, 308, 310, 311, 317, 320, 324, 333, 339, 350, 351, 352, 353
- Komornicki Józef 296
- Komornicki Leon (brat Marii) 300
- Komornicki Piotr 296
- Komornicki Stanisław 296, 297, 310
- Komornicki Władysław 296, 297
- Komornicki Wojciech 294, 296
- Komorowscy 71
- Komorowska (siostra Ignacego i Józefa) 72
- Komorowska (żona Józefa) 2-o voto Tun-celman 31, 71, 94
- Komorowska Gertruda zob. Potocka z Komorowskich Gertruda
- Komorowski (ojciec Ignacego i Józefa) 72
- Komorowski Ignacy 31, 55, 66, 71, 72, 79, 94, 108, 112
- Komorowski Józef 35, 66, 71, 94, 96
- Konczyński Tadeusz 437
- Kondratowicz Ludwik zob. Syrokomla Władysław
- Konieczny Włodzimierz 443
- Kononowicz Władysław 297
- Konopnicka Maria 87, 114, 388, 389, 404, 426, 436, 439, 442, 443, 444, 453
- Konstanty, wielki książę, brat cara Aleksandra I i Mikołaja I 46, 97, 103
- Konstanty, wielki książę, brat cara Aleksandra II 67, 106
- Kończyc Tadeusz 437
- Koper (lichwiarz z Radomia) 301
- Kopernik Mikołaj 438
- Korbut Gabriel 341
- Kordecki Augustyn 176
- Kornel zob. Corneille Pierre
- Kornelia, matka Grakchów 63
- Korotyński Wincenty 75, 109
- Korotyński Władysław Rajnold 306
- Korycki Władysław 312
- Korzon Tadeusz 309
- Korzeniowska zob. Malczewska z Korzeniowskich
- Korzeniowska zob. Sowińska z Korzeniowskich (siostra Józefa)
- Korzeniowski Apollo 40, 98
- Korzeniowski Józef 33, 35, 59, 64, 65, 77, 95, 105, 106, 110
- Korzeniowski Józef Teodor Konrad zob. Conrad Joseph
- Kossowscy 35, 96, 165
- Kościelski Józef Teodor Stanisław 431, 433
- Kościuszek Tadeusz 10, 176, 189, 217, 313, 454, 456
- Kośmiński 437
- Kot Julian zob. Ziółkowski Wiktor
- Kotarbiński Miłosz 436
- Kott Jan 361, 377
- Kotzebue Paweł 68, 107
- Kowalski Franciszek 10
- Kozerski Jan Nepomucen 8, 30, 94
- Kozicki Władysław 443
- Kozłowski Feliks Antoni (Felicjan) 21, 91
- Koźmian Stanisław 60, 93, 104
- Koźmiński-Poraj Stanisław 503, 505
- König Józef zob. Kenig Józef
- Krajewski Michał Dymitr 95
- Kramsztyk Roman 472
- Krasicki Ignacy 33
- Krasińscy 43
- Krasiński Adam 438
- Krasiński Wincenty 75, 76, 109
- Krasiński Zygmunt 25, 109, 188, 191, 362, 456, 461
- Kraszewski Józef Ignacy 70
- Kraushar Aleksander 107, 437
- Krawczyński 464
- Krechowiecki Adam 437
- Kremer Józef 39, 98
- Kronenberg Leopold 110
- Kropiński Ludwik 64, 105
- Krieger (Krygier) 486, 487, 491
- Kryński Stanisław 113
- Krzemińska z Łosakiewiczów Stefania 305
- Krzemiński Stanisław 305, 442, 443, 444, 447, 448
- Krzycka 15
- Krzycka Anna zob. Wereszczyńska z Krzyckich Anna
- Krzycka Flora zob. Chosłowska z Krzyckich Flora
- Krzycka ze Słubickich (żona Alojzego) 15
- Krzycki (ojciec Alojzego) 14, 15
- Krzycki Alojzy 15
- Krzymski 107
- Krzywicki Ludwik 403, 443

- Krzywicki Teodozjusz 41, 56, 99
Krzyżanowski Konrad 443, 447
Ksiądz Marek (Jandołowicz) 84
Kucharski Andrzej 24, 59, 92
Kucharzewski Jan 91, 92, 97, 98, 103
Kucz Karol 36, 70, 97, 107
Kuczalska-Rajnszmid Paulina zob. Rein-
schmitowa-Kuczalska Paulina
Kuleszyńska Ludmiła 302
Kurella Emilia 391, 408, 413
Kurella Janina 408
Kurella Józef (ojciec) 408
Kurella Józef 391
Kurella Rajmund 391, 413
Kurella Stanisław 391
Kurellowie 391, 392, 408, 423
Kurnatowscy 322
Kutrzepa Ludwik 507, 508
- Laforgue Jules 381
Laglen 489
Lajchte Franciszek zob. Leichte Franci-
szek
Lam Andrzej 385
Lamartine Alphonse de 53, 54, 55, 102
Landowska Wanda 443
Landy Stanisław 417
Lang Fritz 475
Lange Antoni 374, 443
Laotse (chiński mędrzec) 348
Laskarys Jerzy 75, 109
Laskowski Kazimierz (El.) 437
Lasalle Ferdynand 164
Lauczówna Paulina zob. Wilkońska z Lau-
czów Paulina
Laveye Emile de 397
Lebel Nicolas 285
Le Flô Adolphe Emmanuel Charles 52,
55, 102
Leichte (Lajchte) Franciszek 42, 46, 47,
99, 184
Leleweł Joachim 456
Lemańscy (Maria i Jan) 316, 319, 352
Lemańska (matka Jana) 318
Lemańska Maria zob. Komornicka-Le-
mańska Maria
Lemański Jan (Iwo) 300, 312—319, 321,
322, 324, 342, 349, 352, 443, 448, 461
Lemański Wincenty 312, 313
Lemartin 102
Lemercier Rémond Jules 48
- Lenartowicz Teofil 31, 71, 78, 79, 94, 99,
108, 111
Lenc Stanisław 443
Leo Juliusz 439, 440
Leopold II, cesarz austriacki 103
Leppla A. 329, 443
Lermontow Michaił J. 39
Lesmann Bolesław zob. Leśmian Bolesław
Leszczka Konstanty 443
Leszczyńscy 91
Leszczyński A. 443
Leszczyński Stanisław zob. Stanisław Le-
szczyński, król polski
Lesznowski Antoni 35, 36, 96, 110, 306
Leśmian Bolesław (właściwe nazwisko:
Lesmann Bolesław) 443
Leśniewska Ludwika 35, 96
Leuchtenberg Maximilian Eugen Joseph
Napoleon, mąż Marii Nikołajewny,
wielkiej księżny rosyjskiej 200
Levittoux Karol 30, 94
Lewak Adam 94
Lewandowska Felicja 417
Lewestam Fryderyk Henryk 36, 41, 42,
60, 65, 77, 80, 97, 112
Lewinówna Zofia 93
Libelt Karol 39, 98
Limanowski Bolesław 442, 443, 450
Linde Samuel Bogumił 22, 91
Lipiński Wacław 443
Listowski Andrzej 36, 96
Locke William John 378
Loévy z Mireckich 1-o voto Czarnowska
Maria (pseud. Szeliga Maria) 83, 113
Loewenstein 334
Lombroso Cesare 387
Londyński Bolesław 114
Lorentowicz Jan 312, 427, 438, 440, 443,
447, 451
Lubomirscy 81
Lubowidzki Józef 43, 99
Lubowski Edward 60, 79, 105
Lucretius Carus Titus (Lukrecjusz) 373
Ludwik Filip, cesarz francuski 102, 103
Ludwik Napoleon Bonaparte zob. Napo-
leon III Bonaparte, cesarz francuski
Lukrecjusz zob. Lucretius Carus Titus
Lutomska z Komornickich Julia 305
Lutowski Bolesław 305, 306, 351
Lutosławski Wincenty 432

- Lyn Yutang 348
Lytton-Bulwer Edward George zob. Bulwer-Lytton Edward George
- Łada Kazimierz 165
Łada-Cybulski Adam zob. Cybulski-Łada Adam
Ładosz Henryk 510
Łagiewnicki 37
Ładnowska Aleksandra zob. Rakiewiczowa z Ładnowskich Aleksandra
Łebkowscy 412
Łepki Bohdan 442, 443, 464
Łobodowski (Łobodia) Józef 500, 501
Łopuska 477, 486, 487
Łopuszańskie 312
Łosakiewicz Stefania zob. Krzemińska z Łosakiewiczów Stefania
Łoś Jan 382
Łotocki Zygmunt 10, 11, 12, 112
Łozińscy 78
Łoziński Walery 78, 111
Łoziński Władysław 111
Łubieński Henryk 43, 99
Łubieński Feliks Walerian 99
Łukasz, św., ewangelista 461
Łukasiński Walerian 456
Łuszczewscy 66, 67, 69, 76, 80, 106
Łuszczewska Jadwiga (pseud. Deotyma) 21, 60, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 85, 91, 106, 107, 108
Łuszczewska z Żółtowskich Magdalena (Nina) 67, 70, 106
Łuszczewski Wacław 66, 67, 70, 106
- M. 391
Mach Wilhelm 361, 370
Machiavelli Niccolo 54, 102
Maciejowscy 47
Maciejowski Wacław Aleksander 47, 48, 100, 101
Madalińska Róża zob. Komornicka z Madalińskich Róża
Madaliński Antoni Józef 294
Madej Antoni 470, 499, 506, 509
Maeterlinck (Meterlink) Maurice 88, 114, 353
Magnuszewska Anna zob. Wójcicka z Magnuszewskich Anna
Magnuszewski Dominik 59
Majer Józef 82, 112
Majewski 37
Majkowski Aleksander 443, 448
Majorkiewicz Jan (pseud. Mazur z Płocka) 39, 98
Makłowicz Jan 431
Makowiecki Tadeusz 374
Maksymilian, arcyksiążę austriacki 212, 274
Malcz Jan Fryderyk Wilhelm 73, 109
Malczewska z Korzeniowskich 64
Malczewski 64
Malczewski Jacek 443, 444
Małczyński Karol 101
Malinowski Mikołaj 110
Malletska Waleria zob. Marrené-Morzkowska z Malletskich Waleria
Małachowska zob. Czacka z Małachowskich Katarzyna
Małachowski Stanisław 57
Małaczewscy 374
Małaczewski Eugeniusz 374
Małecka (żona Antoniego) 81
Małecki Antoni 60, 81, 105, 384, 431, 434
Małgorzata z Zembocina 274
Manassowa 37
Mannlicher Ferdinand 285
Marcinowska Jadwiga 443, 449
Marconi Eleonora 10
Marconi z Faleńskich Józefa 9
Marconi Leonard 9
Maria Ludwika de Gonzaga, królowa polska 266, 268
Maria Teresa, cesarzowa austriacka 159
Marino Giambattista 88, 114
Maritain Jacques 345
Markowska Maria 443
Marrené-Morzkowska z Malletskich Waleria 85, 93, 113, 306
Masłowski Ludwik 8
Maszewski Adam 77, 111
Maszkowski Karol 443
Maszyńscy (Julian i Piotr) 408, 423
Maszyński Julian 408, 412, 413
Maszyński Piotr 408, 413
Matejko Jan Alojzy 10, 80, 81, 112, 113
Matejkowa z Giebułtowskich Teodora 81, 112
Matuszewski Ignacy 85, 113, 427, 433, 438, 443, 444

- Maurcis André 345
 Mazur z Płocka zob. Majorkiewicz Jan
 Mazzini Giuseppe 93
 Mączyński Franciszek Mateusz 443
 Mehoffer Józef 443, 444, 454
 Mencius (mędrzec chiński) 348
 Mendel Mojżesz 358, 360
 Mérodack Sar zob. Péladan Josephin
 Meterlink zob. Maeterlinck Maurice
 Meunier Constantin 329
 Méyet Leopold 437, 438, 443, 462
 Mianowska Stefania zob. Sieroszewska z Mianowskich Stefania
 Miączyńska (matka Celiny) 304
 Miączyńska Celina 304
 Miączyńska Iza 304
 Miączyńska Nina zob. Moesowa z Miączyńskich Nina
 Michał Pawłowicz, wielki książę, brat cara Mikołaja I 52, 200
 Michajłowski Nikołaj N. 423
 Michał Anioł Buonarroti 86
 Michaux Aleksander (pseud. Miron) 60, 105
 Miciński Tadeusz 374, 427, 428, 429, 443, 466, 475
 Mickiewicz Adam 16, 25, 30, 76, 88, 101, 103, 110, 182, 191, 328, 374, 431, 432, 441, 442, 445, 454, 456, 459, 466
 Mickiewicz Władysław 328, 431, 435, 443
 Mickiewicz 361
 Mieczysławska (Miecznikowska) Makryna 88, 114
 Miernowska (matka Henryka) 477
 Miernowska Krystyna (córka Henryka) 474, 499, 500, 501, 502, 503
 Miernowska z Poradowskich Zofia (żona Henryka) 468, 469, 471, 481, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503
 Miernowska Zofia (Telimena), siostra Henryka 498
 Miernowski (ojciec Henryka) 499
 Miernowski Henryk 467, 468—504
 Miernowski Stanisław (brat Henryka) 472, 496
 Migowa z Ganzwohlów Jadwiga (pseud. J. M., Norden (Morden) Kamil) 503, 504, 505
 Miklaszewski (Miklas) Jan Samuel 503, 510
 Mikołaj I, car rosyjski 26, 27, 52, 54, 75, 88, 90, 93, 109, 110, 197
 Miller 35, 96
 Miłkowski Stanisław 68, 107
 Miłkowski Zygmunt (pseud. Jeż Teodor Tomasz) 60, 94, 426, 431, 437, 443, 444, 456, 457
 Miłosz Czesław 361, 370, 371, 467
 Minasowicz Jan Klemens 41, 99
 Minasowicz Józef Dionizy 41
 Minkiewicz Romuald 443
 Mirecka Maria zob. Loévy-Czarnowska Maria (pseud. Szeliga Maria)
 Miriam zob. Przesmycki Zenon
 Miron zob. Michaux Aleksander
 Mirski Światopełk Jan Tomasz Bogumił 48, 101
 Mistinguett zob. Bourgeois Jeanne Marie
 Miszkiel Andrzej 38, 97
 Mitarski Wilhelm 441
 Młocki Walenty 26
 Młodzianowski Kazimierz 443
 Młodziejowska-Szczurkiewiczowa N. zob. Szczurkiewiczowa-Młodziejowska Nuna
 Modrzejewska-Chłapowska (Modjeska) Helena 436
 Moes (mąż Niny) 305
 Moesowa z Miączyńskich Nina 304
 Molière (Molier) Jean Baptiste Poquelin 329
 Moncosé Marie 302, 303
 Moniuszko Stanisław 90, 94, 165
 Montesquieu (Monteskiusz) Charles Louis de Secondat 114
 Montez Lola 35, 96
 Morden Kamil zob. Migowa z Ganzwohlów Jadwiga
 Morgan L. H. 423
 Morski 379
 Morstinowie 322
 Mortkowicz Jakub 484
 Morzkowska-Marrené Waleria zob. Marrené-Morzowska z Malletskich Waleria
 Morzkowski Michał 28, 93
 Moskorzewscy 101
 Mostowski Tadeusz 33, 95
 Mozart Wolfgang Amadeus 316

- Mrozowska z Komornickich Elżbieta (Li-
la — siostra Marii) 300, 304, 305, 306,
307, 308, 309, 311, 312, 330, 333, 350,
358, 359
- Mrozowski Ignacy 300, 311, 313
- Mrozowski Wacław 467, 481, 499
- Muchanow Paweł Aleksandrowicz 26, 93
- Nalepiński Tadeusz 335, 439, 440, 441
- Nałkowsy 309, 331
- Nałkowska Anna (Hania) 358, 360
- Nałkowska-Rygier Zofia 443, 444
- Nałkowski Wacław 307, 311, 341, 351, 352,
353, 358, 359, 360, 380, 443
- Napoleon I Bonaparte, cesarz Francuzów
45, 54, 55, 102, 163, 454
- Napoleon III Bonaparte, cesarz francuski
54, 102, 103
- Narkiewicz-Jodko zob. Hartingowa z Jod-
ko-Narkiewiczów
- Narkiewiczowie-Jodko 322
- Naruszewicz Adam Stanisław 95
- Narwojń (Narwoń) Józef 25, 92
- Nencki Marcei 305
- Nero (Neron) Lucius Domitius 110
- Nicolas August 100
- Niegoś zob. Nikita I
- Niemcewicz Ursyn Julian 89, 95, 456
- Niemojewski Andrzej 443, 459, 463
- Niemojewski Ludwik 36, 97
- Niesiołowski Tymon 443
- Nietzsche Friedrich 345, 349, 358
- Niewiadomski Stanisław 437
- Niewiarowski Aleksander (pseud. Półko-
zic Aleksander) 8, 29, 30, 40, 69, 77,
93, 94, 98, 110, 112, 165
- Nikita I (Niegoś), król-poeta Czarnogór-
ców 442
- Noakowski Stanisław 443
- Nobel Alfred 287
- Norden Kamil zob. Migowa z Ganzwoh-
lów Jadwiga
- Norwid Cyprian Kamil 8, 10, 17, 18, 33,
90, 95, 98, 116, 165, 361, 369, 504
- Nowakowski 37
- Nowina-Witkowska Ludwika zob. Dzwon-
kowska z Witkowskich-Nowinów Lud-
wika
- Nowina-Witkowski August Kajetan zob.
Witkowski-Nowina August Kajetan
- Nowodworski Bartłomiej 297
- Nowosielski Teofil 57, 58, 61, 103
- Nowosilcow Nikołaj N. 112
- Obuchowska 36, 166
- Ochorowicz Julian 60, 104
- Odyniec Antoni Edward 68, 70, 76, 107,
108, 110
- Ogiński Feliks 74
- Ohm 35, 165
- Okuniew Nikołaj 24, 26, 28, 92, 93
- Ordon zob. Szancer Władysław
- Orkan Władysław (właściwe nazwisko:
Smreczyński Franciszek) 341, 437, 443,
444
- Orłow 409
- Orwid Władysław zob. Daniłowski Gu-
staw
- Orzechowski Stanisław 95
- Orzeszkowa Eliza 404, 415, 442, 443, 444
- Osbergerowa Zofia 314
- Oskota Wacław 505, 506
- Ossolińska z Chodkiewiczów Zofia 69, 107
- Ossoria Marcin zob. Ciepłiński Marcin
- Ostaszewski J. 483, 484
- Ostroróg 323
- Ostrowska Bronisława 443, 444
- Ostrowski Antoni 74
- Oszaccy 314
- Oszacka (matka Aleksandra) 347
- Oszacki Aleksander 341, 342, 344, 345,
347, 349, 350
- Oszacki Juliusz 314, 341
- Otto Leopold 73, 108
- Oudinot Michel Charles Victor 55, 103
- Owidiusz zob. Publius Ovidius Naso
- P. O. W. zob. Komornicka-Lemańska
Maria
- Pac 35, 96, 165, 419
- Paderewski Jan Ignacy 443, 444
- Fajzderski Nikodem 443
- Papłowski Jan 302
- Paprocki Ludwik 108
- Pascoli Giovanni 472
- Paskiewicz (Paszkievicz) Iwan F., książę
erywański, książę warszawski 12, 25,
27, 35, 36, 42, 43, 65, 75, 92, 93, 95, 99,
100, 106, 107, 109, 110, 165, 185
- Paśławska Tamara 504

- Paszkowski Józef 33, 94
 Paszkowski Józef Edmund 58, 95, 104
 Pathié Konstanty 36, 97
 Patti Adelina 379
 Paulucci 184
 Paweł, św., apostoł 177
 Pawlikowska Idalia 314
 Fawlikowski Jan Gwalbert 431, 435, 443, 444, 445
 Pawlikowski Michał 9
 Pawlikowski Tadeusz 443
 Pawliszczew Nikołaj I. 39, 97
 Péladan Joséphin (pseud. Mérodack Sar) 368
 Pełka Kazimierz (K. P.) 502, 503
 Pełowska Irena 323
 Perzyński Włodzimierz 322
 Petrarca Francesco 88
 Pfuell (Pfuhl) Ernst 55, 103
 Phaedrus Caius Julius (Fedrus) 21, 90
 Phillipotts Eden 383
 Piast Władysław zob. Bełza Władysław
 Piastowie 101, 176, 453
 Piechal Marian 484
 Fiekarski Kazimierz 6
 Pieńkowska Maria 308
 Fieńkowski Ignacy 443
 Fieńkowski Karol 40, 99
 Fieńkowski Stanisław 307, 437
 Pietrzycki Jan 426
 Piętaś Stanisław 467
 Figoń Stanisław 9, 341, 342, 349, 350, 351, 353, 361, 430, 437
 Filler 380
 Filtz Erazm 409
 Fiłat zob. Pontius Pilatus
 Piłsudski Bronisław 430, 440, 441, 443
 Piłsudski Józef 483, 487
 Pinetti 36
 Fiotr Odmieniec Włast zob. Komornicka-Lemańska Maria
 Fiotr Wielki, car rosyjski 102
 Fisarew Aleksander 24, 92
 Piskorz Tadeusz 295
 Piskorz Wojciech 295, 297
 Pius XI, papież 504, 505
 Platon 21, 91, 415
 Podchoroński 75
 Podhorski-Okołów Leonard 379
 Podwysocki Klemens 184
 Poe Edgar Allan 471
 Pol Marian Emil 111
 Pol Wincenty 18, 59, 62, 78, 79, 90, 111, 189, 280, 432
 Polakiewicz Onufry 8, 20, 21, 28
 Pollak Roman 3
 Follak Seweryn 379, 471
 Polcia 338, 339
 Połoniecki Bernard 381
 Pomian Wacław zob. Komierowski Jan Wacław
 Pomian-Zakrzewski Walenty zob. Zakrzewski-Pomian Walenty
 Pomianowski 379
 Poniatowski Józef, książę 10
 Poniatowski Stanisław August zob. Stanisław August Poniatowski
 Pontius Pilatus (Piłat) 276
 Popławski Jan Ludwik 403
 Popowski Stefan 312
 Poquelin Jean Baptiste zob. Molière Jean Baptiste Poquelin
 Poradowska Zofia zob. Miernowska z Poradowskich Zofia
 Poraj-Koźmiński Stanisław zob. Koźmiński-Poraj Stanisław
 Porębowicz Edward 443, 455
 Potoccy 81, 488
 Potocka zob. Rostworowska
 Potocka Beata zob. Czacka z Potockich Beata
 Potocka Róża zob. Zamoyska z Potockich Róża
 Potocka z Komorowskich Gertruda 44
 Potocki Franciszek 107
 Potocki Ignacy 62, 63, 189
 Potocki Józef K. (pseud. Bohusz Marian) 312, 352, 393, 403
 Potocki Leon 98
 Potocki Stanisław Kostka 87, 114, 266, 267
 Powidaj Ludwik 78, 111
 Półkoźic Aleksander zob. Niewiarowski Aleksander
 Prądzyński Edward 68, 107
 Pronaszko Adam 504
 Protasow 43, 44
 Prudhomme Sully René François Armand 374

- Frus Bolesław (właściwe nazwisko: Głowacki Aleksander) 305
 Prusinowski Jan 70, 75, 107, 109
 Pruszkowa z Żochowskich Seweryna zob. Duchnińska z Żochowskich 1-o voto Pruszkowa Seweryna
 Przecławski Kazimierz 8
 Przecławski Wacław 8, 9, 10, 107, 111
 Przerwa-Tetmajer Kazimierz zob. Tetmajer-Przerwa Kazimierz
 Przesmycka z Hoene-Wrońskich Aniela 328
 Przesmycki Zenon (pseud. Miriam) 114, 298, 324, 325, 326, 329, 330, 334, 350, 352, 353, 367, 368, 369, 377, 427, 434, 437, 438, 443, 444, 447
 Przyboś Julian 509
 Przybyszewski Stanisław 84, 85, 113, 313, 361, 367, 440
 Przysiecki Feliks 475
 Pszonka Stanisław 177, 178, 179, 180, 181, 182
 Ptaszycki Stanisław 443
 Publius Ovidius Naso (Owidiusz) 21
 Puhacz 323
 Pułascy 297
 Pułaski (Puławski) Kazimierz 456
 Puszkin Aleksandr S. 39, 371, 379
 Fuzyna Jan 427, 428, 429, 430, 433, 439, 445, 447, 452, 453, 458, 459, 460, 461, 463

 Rabelais François 166
 Rabski Władysław 107
 Racine Jean de 354
 Raczyńska Maria 443
 Radetzky (Radecky) Joseph Wenzel 54, 55, 102
 Radliński Ignacy 443
 Radziwiłł Ferdynand 433
 Radziwiłł Michał 97
 Radziwiłłówna Michalina zob. Ryszczewska z Radziwiłłówn Michalina
 Rajnszmid-Kuczalska zob. Reinschmitowa-Kuczalska Paulina
 Rakiewiczowa z Ładnowskich Aleksandra 23
 Rakowiecka Halina zob. Komornicka z Rakowieckich Halina
 Rakowiecka Maria 323
 Rakowska Maria 443
 Rapacki Wincenty 323, 432
 Raspail François Vincent 55, 102
 Rautenstrauch Józef 104
 Rawiakowa 339
 Rechenberg Albrecht 206
 Rechkron (mąż Konstancji) 18
 Rechkronowa z Janowskich Konstancja 18
 Rechniewski Tadeusz 443
 Reinschmitowa-Kuczalska Paulina 83, 113, 331
 Rej Mikołaj 29
 Rejtan Tadeusz 269
 Remer Julius August 89
 Reszka 70
 Reymont Władysław Stanisław 353, 443, 444
 Ribot Théodule 387
 Richman 494
 Richter Johann Paul (Jan Paweł) 130
 Rimbaud Jean Arthur 369
 Rittner Tadeusz 504
 Rivoli Paulina 35, 96
 Rodziewiczówna Maria 404
 Rogalewicz Benedykt (pseud. Benedict) 30
 Rogoszówna Zofia 371
 Rogoyska Maria zob. Komornicka z Rogoyskich Maria
 Rogozińska Helena Janina (pseud. Hajonta) 108
 Romanowski Mieczysław 118, 197
 Ronikier Bohdan 36
 Ronikierowa Wanda 306, 323
 Rostafiński Józef 387, 390
 Rostand Edmond 88, 114
 Rostworowscy Januszowstwo 69
 Rostworowska 1-o voto Potocka 167
 Rostworowski Janusz 107
 Rotwandowie 322
 Roźniecki Aleksander (ojciec) 37, 97
 Roźniecki Aleksander (syn) 37, 97
 Różalski 487
 Różewicz Tadeusz (Rudnicki Tadeusz) 361, 368, 370, 377
 Rubens Peter Paul 81
 Rudnicka Jadwiga 12, 102
 Rudnicki T. zob. Różewicz Tadeusz
 Ruffer Józef 443, 449
 Ruszczyc Ferdynand 330, 442, 443, 444, 465
 Ruśkiewicz August 20, 90

- Rutkowska z Dunin-Łąsowiczów Maria 299
- Rychter Ignacy Łojola 47, 100, 101
- Rydel Lucjan 85, 86, 113, 426, 437, 439
- Rydzewski 204, 205
- Rygier Leon 437
- Rygier-Nałkowska Zofia zob. Nałkowska-Rygier Zofia
- Rywacka Ludwika 35, 96
- Rzewuska Maria zob. Czapska z Rzewuskich Maria
- Rzewuski Henryk 43, 59, 65, 66, 67, 75, 109, 106, 166
- Rzyszczeńska z Radziwiłłów Michałina 37, 97
- Rzyszczeński Leon 97
- Saavedra Cervantes Miguel de zob. Cervantes de Saavedra Miguel
- Sadowska Maria (pseud. Zbigniew) 60, 105
- Sadowski Henryk 323, 324
- Salomon, król żydowski 235, 257
- Sandauer Artur 361, 373, 379
- Sapieżanka Aniela zob. Zamoyska z Sapiechów Aniela
- Sapieżanka Pelagia zob. Czacka z Sapiechów Pelagia
- Sarbiewski Maciej Kazimierz (Horacy Chrześcijański) 28, 93
- Sarnecki Zygmunt 421
- Savitri zob. Elzenberg Anna
- Sawicka Stanisława 101
- Sawicki Bolesław 502
- Schiller Friedrich 33, 41, 95, 108, 387
- Schiller Leon 511
- Schopenhauer Arthur 117, 415
- Sebyła Władysław 484
- Secondat Charles Louis de zob. Montesquieu Charles Louis de Secondat
- Sęp-Szarzyński Mikołaj zob. Szarzyński-Sęp Mikołaj
- Sforza Bona zob. Bona Sforza, królowa polska
- Shakespeare (Szekspir) William 35, 58, 88, 95, 104, 114, 362
- Shelley (Szellej) Percy Bysshe 83, 113, 460
- Siciński Władysław 193, 267, 268
- Siedlecki-Grzymała Adam 374, 443, 503, 505
- Sielawowie 322
- Siemieński Lucjan 59, 78, 79, 104, 112
- Siemiradzki Henryk 77, 110
- Sienkiewicz Henryk 60, 104, 314, 361, 385, 414, 425, 426, 428, 430, 438, 440, 442, 443, 444
- Sieroszeńska Anna (siostra Wacława zob. Waryńska z Sieroszeńskich Anna
- Sieroszeńska Leonia (stryjenka Wacława) 392
- Sieroszeńska Leonia (siostra Wacława) 392
- Sieroszeńska Maria (Micia — siostra Wacława) 391, 392
- Sieroszeńska Maria (córnka Wacława) 384, 386, 400, 401, 404, 408, 414
- Sieroszeńska Paulina (siostra Wacława) 383 — 423
- Sieroszeńska Waleria (siostra Wacława) 392, 399, 400
- Sieroszeńska z Ciemnieńskich (matka Wacława) 392, 412
- Sieroszeńska z Mianowskich Stefania (żona Wacława) 386
- Sieroszeński Adam 392, 401, 405, 412, 414, 422
- Sieroszeński Wacław 383—423, 428, 429, 430, 439, 440, 443, 444
- Sieroszeński Władysław (syn Wacława) 383, 386
- Siewierianin Igor W. 475
- Sikorska z Śliwickich Janina 486, 487
- Simmler Józef 23, 62, 70, 91
- Simmlerówna (córeczka Józefa) 23
- Sinko Tadeusz 443
- Sipowicz Aleksander 404
- Skarbek Fryderyk 44, 96, 100, 110
- Skarbek Henryk 44
- Skarga Piotr 273
- Skarjatin Władimir D. 55, 103
- Skimborowicz Hipolit 68, 70, 103, 107, 103
- Skimborowiczowa z Sokołowskich Anna 56, 103
- Skłodowska z Komornickich Eufemia 297
- Skwarczyński Adam 510
- Ślobodnik Włodzimierz 484
- Ślonecka Helena zob. Komornicka ze Śloneckich Helena

- Słonimski Antoni (As) 485, 503, 505
 Słoński Edward 443
 Słowacki Juliusz 25, 77, 84, 86, 100, 109, 110, 182, 191, 342, 360, 362, 374, 375, 425—443, 445—448, 450—466
 Słubicka zob. Krzycka ze Słubickich
 Słupski Feliks 323
 Smarzewski (eks-pijar) 22
 Smiles Samuel 406
 Smreczyński Franciszek zob. Orkan Władysław
 Snopek Kazimierz zob. Giedroyć Kazimierz
 Sobański Feliks 74, 80
 Sobeski Michał 443
 Sofokles 354
 Sokolnicki Michał 442, 443, 458
 Sokołowska Anna zob. Skimborowiczowa z Sokołowskich Anna
 Sokołowski E. 443
 Soliman II, sułtan turecki 24
 Solski Ludwik (właściwe nazwisko: Sosnowski Ludwik) 443
 Sosnkowscy 374
 Sosnkowski Kazimierz 374
 Sowa Antoni zob. Żegligowski Edward
 Sowińska z Korzeniowskich (siostra Józefa) 64
 Sowiński (stryj Leonarda) 64
 Sowiński K. 483, 484
 Sowiński Leonard 21, 64, 91, 109
 Spencer Herbert 396, 403, 423
 Spinoza Benedictus de 415
 Srokowski Konstanty 322
 st. g. zob. Grzelecki Stanisław
 Stabrowska Julia 466
 Stabrowski Kazimierz 443, 466
 Staff Leopold 376, 381, 443
 Stamirowska zob. Fredrowa ze Stamirowskich
 Stamirowska z Janowskich Marcjanna 18
 Stamirowski Walery 18
 Stanisław Leszczyński, król polski 469
 Stanisław August Poniatowski, król polski 67, 106
 Stanowscy 323
 Stanowska z Dunin-Wąsowiczów Helena 299
 Stanowski Jerzy 323
 Stańczyk 27, 84, 118, 177, 178, 179, 181, 182
 Starzyńska (Starzeńska) z Trawnów Julia 35, 96
 Starzyński (Starzeński) Henryk 35, 96
 Stefan Batory, król polski 101, 176, 212
 Stempowski 312, 313
 Sten Jan zob. Bruner Ludwik
 Stolarczyk Józef 51, 102
 Stolarzewicz Ludwik (pseud. Galiński A.) 484
 Storożenko Andriej J. 42, 46, 99, 184, 185
 Strindberg August 349
 Strogonow Aleksandr 92
 Stronczyński Kazimierz 48, 101
 Strug Andrzej (właściwe nazwisko: Gallecki Tadeusz) 117, 430, 440, 441
 Sue Eugène 34, 95
 Sully Prudhomme René François Armand zob. Prudhomme Sully
 Sułkówna Małgorzata zob. Czechowiczowa z Sułków Małgorzata
 Surzycka Wanda 361
 Suworow Aleksandr W. 195
 Syrokomla Władysław (pseud. Kondratowicz Ludwik) 59, 76, 77, 79, 109, 110
 Szabrański Antoni Józef 33, 95, 98
 Szamowska Felicja 312
 Szancer Władysław (pseud. Ordon) 60, 105
 Szaniawski Józef Kalasanty 91
 Szarzyński-Sęp Mikołaj 93
 Szczepański Jan Julian 95
 Szczurkiewiczowa-Młodziejowska Nuna 443
 Szczyt Adam 93
 Szczyt Marcin 93
 Szczyt Paweł Michał 28, 93
 Szech Antoni zob. Wysłouch Antoni
 Szekspir William zob. Shakespeare William
 Szela Jakub 84
 Szeliga Maria zob. Loévy z Mireckich 1-o voto Czarnowska Maria
 Szellej zob. Shelley Percy Bysshe
 Szembek Stanisław 206
 Szenwald Lucjan 484
 Szeptycka Aniela 105
 Szeptycka Konstancja 105
 Szeptycka z Czackich (siostra Feliksa) 63
 Sztarkiel (Starkel, Starkiel) Juliusz 78, 111
 Szujska (żona Józefa) 81

- Szujski Józef 60, 78, 81, 93, 105, 118, 178
 Szukiewicz Aleksander 78, 111
 Szukiewicz Maciej 427, 442, 443, 462
 Szwajnic Jan 22, 91
 Szweykowski Zygmunt 5, 107
 Szydłowieccy 74
 Szydłowiecki Krzysztof 109
 Szydłowscy 464
 Szydłowski Zygmunt 462, 463
 Szymanowski Józef 87, 95, 114
 Szymanowski Karol 443, 444
 Szymanowski Wacław 22, 66, 67, 69, 74, 77, 91, 106, 107, 443, 444
 Szymański Adam 387, 388, 390, 396, 403, 423, 443
 Szymański Antoni 403
 Szymański W. 499
 Szymonowicz Szymon 6, 95
 Szypow 24, 92
- Słewiński J. 443
 Śliwicka zob. Głowińska 1-o voto Śliwicka
 Śliwicka Janina zob. Sikorska z Śliwickich Janina
 Śliwicka Michalina (Inka) 469, 476, 482, 483, 485, 489, 491, 495
 Śliwicki Daniel 476, 483, 487
 Śliwiński Artur 443
 Śniadecki Jędrzej 93
 Śpiewak Jan 471
 Świątoplek Mirski zob. Mirski Świątoplek Jan Tomasz Bogumił
 Świącki Wojciech 70, 108
 Świącicki Julian Adolf 363
 Świętochowski Aleksander 106
- Talma François Joseph 63, 105
 Tańska Klementyna zob. Hoffmanowa z Tańskich Klementyna
 Tarasiewicz Michał 437
 Tarnowski Stanisław 79, 93, 111, 112, 431, 432, 434
 Tasso Torquato 88
 Tetmajer-Przerwa Kazimierz 84, 85, 87, 113, 114, 314, 322, 361, 427, 434, 437, 443, 510
 Tetmajer Włodzimierz 439, 444
 Theremin 206
- Tiberius Claudius Nero (Tyberiusz) 275, 276, 277
 Tichy Karol 444
 Timofiejew Grzegorz 483, 484
 Tiziano Vecelli (Tycjan) 81
 Tokarżówna Krystyna 107
 Tołstoj Lew 329
 Tomaszewscy (Jerzy i Konstancja) 18
 Tomaszewska (córka Jerzego i Konstancji) 18
 Tomaszewska Konstancja 19
 Tomaszewski Jerzy 18, 19
 Towiański Andrzej 165
 Trawna Julia zob. Starzyńska z Trawnów Julia
 Trąbczyński 60
 Trembicka (Trębicka) Maria zob. Faleńska z Trembickich (Trębickich) Maria
 Tremo (kucharz Stanisława Augusta) 67, 106
 Trentowski Bronisław 39, 98
 Trepow Fiodor 206
 Tretiak Józef 431, 432, 433
 Trębicka Wanda zob. Komornicka z Trębickich Wanda
 Tripplin 61
 Tripplin L. T. 61, 105
 Tripplin Teodor 61, 62, 105
 Trojanowski Edward 443, 444
 Tropieński Konstanty 165
 Troszczycka z Janowskich Zofia 18
 Troszczycki (mąż Zofii) 18
 Troszel (Troschel) Wilhelm Karol 35, 58, 96, 104
 Trzeciecki Franciszek 78, 111
 Tuncelman zob. Komorowska 2-o voto Tuncelman
 Turkuł Ignacy 36, 56, 75, 76, 96, 109, 165
 Turno Gotard 118
 Turno Witold 197
 Turowski Kazimierz Józef 59, 104
 Turski Stefan 439
 Tuwim Julian 360, 375, 376, 377, 379, 475, 478, 485, 502
 Twardowski 177, 178, 179, 180, 181, 266
 Tyberiusz zob. Tiberius Claudius Nero
 Tycjan zob. Tiziano Vecelli
 Tyczyna Pawło 478
 Tyszyński Aleksander 38, 40, 80, 97, 98, 112

- Ujejski Kornel 78
Unger Joseph 72
Urban 55
Ustriałow Nikołaj G. 23, 92
Utrillo Maurice 492
Uziębło Józef 395
- Vergilius Publius Maro (Wergiliusz) 21, 89, 151
Verne Jules 374
Villaume Zofia zob. Zahrtowa-Villaume Zofia
Villaumowie 308
- Waga Antoni 22, 91
Wagner Richard 72
Walewscy 322
Walewski Cyprian 48, 101
Walewski Gustaw 322, 324
Walicki Aleksander 92
Warchałowski Jerzy 444, 464
Warszawski Książę zob. Paskiewicz Iwan F.
Waryńska z Sieroszewskich Anna 392, 413
Waryński Ludwik 413
Wąsowicz-Dunin Amelia zob. Kochanowska z Dunin-Wąsowiczów Amelia
Wąsowicz-Dunin Anna zob. Komornicka z Dunin-Wąsowiczów Anna
Wąsowicz-Dunin Ewa zob. Boska z Dunin-Wąsowiczów Ewa
Wąsowicz-Dunin Helena zob. Stanowska z Dunin-Wąsowiczów Helena
Wąsowicz-Dunin Maria zob. Rutkowska z Dunin-Wąsowiczów Maria
Wąsowicz-Dunin z Gostkowskich Józefa 298
Wąsowicz-Dunin Józef 298
Wąsowicz-Dunin Karol 298
Wąsowicze-Dunin 298, 326, 335
Wąsowiczówny-Dunin 298
Weiss Wojciech 444
Wells Herbert George 374
Wend (Wendt) 35, 96
Wereszczakówna 23
Wereszczyńska z Krzyckich Anna 15
Wergiliusz (Wirgiliusz) zob. Vergilius Publius Maro
Wędrychowski Władysław 13, 89
Węgierski Tomasz Kajetan 95
Węgliński (Węgleński) Franciszek 70, 107
Wernyhora 84
Wertheimowie 322
Wieczorkowski Józef 75, 109
Wieczorkowski Władysław 75, 109
Wielopolski Aleksander 27, 67, 93, 191
Wieniarski 404
Wieniawscy (Henryk i Józef) 12
Wieniawska z Faleńskich Apolonia 12, 15, 48, 56, 89
Wieniawski 72
Wieniawski Henryk 56
Wieniawski Józef 56
Wieniawski Tadeusz 12, 56, 72, 89
Wierzyński Kazimierz 360, 375, 376, 503, 505
Wiktoria, królowa angielska 325
Wilczyński Alfons 75, 109
Wilde Oscar 345, 383
Wilhelm I, król pruski 199
Wilkońscy (August i Paulina) 99, 166
Wilkońska z Lauczów Paulina 92, 94, 96, 99, 103, 106, 110, 166
Wilkoński August (Au-Wi) 39, 40, 98, 99, 110, 166
Willisen Wilhelm 55, 103
Wincenty Kadłubek zob. Kadłubek Wincenty
Windischgraetz Alfred 54, 55, 102
Wiszniewska z Borzków Marcjanna 105
Wiszniewski Aleksander 63, 105
Wiszniewski Michał 33, 39, 95, 98
Wiślicki Adam 106
Witkiewicz Jan 443
Witkiewicz Stanisław 426, 431, 444, 450
Witkowska-Nowina Ludwika zob. Dzwonkowska z Witkowskich-Nowinów Ludwika
Witkowski-Nowina August Kajetan 294
Wittig Edward 443, 465
Witwicki Władysław 444
Własow 68
Włast Piotr zob. Komornicka-Lemańska Maria
Włast Piotr (Dunin) 298
Wodzicki Ludwik 93
Wojciechowski Stanisław 474
Wolf Eugenia 69
Wolf 67, 69
Wolff (wydawca) 107, 392

- Wolff Józef 392
Wolff (Wolf) Robert 107
Wolfowie 67, 69
Wolska Maryla 444
Wolski Włodzimierz 8, 21, 28, 29, 30, 31, 36, 40, 41, 71, 73, 90, 93, 94, 98, 109, 165, 341, 444
Wołczaski F. 97
Wołoszowski 323
Wołoszynowski Julian 374, 375
Wosko Wincenty 89
Woskowa Teodora zob. Wyspiańska 2-o voto Woskowa Teodora
Wójcicka z Magnuszewskich Anna 59, 104
Wójcicki Kazimierz Władysław 58, 59, 60, 104
Wroczyński Kazimierz 444
Wrońska-Hoene Aniela zob. Przesmycka z Hoene-Wrońskich Aniela
Wroński-Hoene Józef Maria zob. Hoene-Wroński Józef Maria
Wrozowski W. 499
Wyczółkowski Leon 439, 444
Wydra Jan 467, 469, 473, 477, 478, 483, 484, 486, 487, 498
Wydrowa z Maćkowskich Maria 468, 469, 477, 498, 510, 511
Wydrowie (Jan i Maria) 498
Wyka Kazimierz 361, 378
Wyrzykowski Stanisław 427, 428, 430, 438, 440, 441, 445, 447
Wysłouch Antoni (pseud. Szech Antoni) 443
Wysocki Alfred 311, 313
Wysocki Piotr 456
Wysocki Wincenty 428, 429
Wyspiańska Teodora 2-o voto Woskowa 88, 89
Wyspiański Stanisław 10, 82, 85, 86, 87, 88, 89, 113, 114, 369, 432
Zaborowska (żona Jana) 386
Zaborowski Jan 386
Zaborowski Tymon 33, 95
Zachariae (Zachar) Karol Salomon 163
Zachariasiewicz Jan 60, 71, 75, 105, 108, 109
Zagórski Jerzy 510
Zahrtowa-Villaume Zofia 308
Zajączkowie 322
Zakrzewski Bogdan 99
Zakrzewski-Pomian Walenty 39, 98, 165
Zaleski Bohdan 59, 79
Zaleski Jan 304, 305
Zalewski Ludwik 474, 476, 505, 509
Zamoyscy 56, 81, 101, 103, 302
Zamoyska (żona Konstantego) 48
Zamoyska z Sapiehów Aniela 101
Zamoyska z Potockich Róża 107
Zamoyska z Czartoryskich Zofia 101
Zamoyski Andrzej 56, 57, 101, 103, 212
Zamoyski Jan 101, 193, 212, 467
Zamoyski Konstanty 48, 101, 103
Zamoyski Stanisław 68, 101, 107
Zarębianka 323
Zarębski Mieczysław 50
Zaruski Mariusz 443, 455
Zarzycki 74
Zasławski Henryk zob. Czechowicz Józef Henryk
Zawadzki Władysław 78, 111
Zawisza Artur 76, 110
Zawisza Jan 35, 96
Zawiszyna (matka Artura) 76, 109
Zbigniew zob. Sadowska Maria
Zborowski Juliusz 425, 437
„Zbójek” Stefan (Józef) 481, 504, 505
Zbyszewski Leon 74
Zdanowicz Aleksander 91, 214
Zdanowicz Ignacy 214
Zelwerowicz Aleksander 443, 504
Zielińska z Fałków Mira 472
Ziemiecka z Gagatkiewiczów Eleonora 39, 40, 98
Zimorowicz Bartłomiej Józef 95
Ziółkowski Wiktor (pseud. Kot Julian) 474, 476, 505, 506
Zmorski Roman 8, 29, 30, 40, 41, 93, 98, 165
Zobel zob. Cobel F.
Zofia Jagiellonka, siostra Zygmunta Staroego, matka Albrechta von Hohenzollerna 267
Zola Emile 354, 365
Zwolakiewicz Henryk 474, 506, 507
Zygmunt Stary, król polski 178, 267
Zygmunt III Waza, król polski 212
Żaba August 34, 95
Żeligowski Edward (pseud. Sowa Antoni) 40, 98

- Żeromska Monika 442
Żeromski Stefan 85, 214, 353, 365, 367, 425,
427, 428, 429, 430, 431, 437, 438, 439, 440,
441, 442, 444, 445, 449, 451, 459
Żmichowska Narcyza 10, 41, 56, 59, 99,
103, 121
Żmichowski Janusz 41, 99
Żochowska Seweryna zob. Duchńska z
Żochowskich 1-o voto Pruszkowa Se-
weryna
Żochowski Józef 57
Żołądkiewicz 42
Żółkowski Alojzy Fortunat 95
Żółkowski Alojzy Gonzaga 35, 95
Żółtowska Magdalena zob. Łuszczewska z
Żółtowskich Magdalena (Nina)
Żuczowski (Morok) 184, 185
Żukowski Wasilij A. 39
Żuliński Roman 214
Żuławski Zygmunt 352

SPIS ILUSTRACJI

	Po str.
1. Felicjan Medard Faleński. Fotografia wykonana po r. 1873 w zakładzie J. Kostki i Mulerta, dawniej K. Bayera w Warszawie	32
2. Maria z Trembickich (Trębickich) Faleńska. Fotografia, jak wyżej	32
3. Felicjan Medard Faleński, <i>Wspomnienia z mojego życia</i> . Autograf, k. 34 r. (Biblioteka Narodowa w Warszawie, rkps 5812)	48
4. Maria Komornicka (Reprodukcja z „Kalendarza na rok przestępny 1908 mający dni 366”, Warszawa b.r.)	304
5. Wacław Sieroszewski (ze zbiorów rodziny Sieroszewskich)	384
6. Brulion odezwy S. Żeromskiego w sprawie sprowadzenia prochów J. Słowackiego do Tatr s. 1 i 5 (autograf w zbiorach Biblioteki Polskiej w Pa-ryżu, w depozycie w Muzeum Mickiewicza w Warszawie)	440
7. Józef Czechowicz (rys. R. Kramsztyk)	480
8. Autograf listu Józefa Czechowicza do Marii Wydrowej z 8 VII 1938 r., s. 1	480

SPIS TREŚCI

	Str.
Od Redakcji	5
Felicjan Medard Faleński: Wspomnienia mojego życia (w opracowaniu Jadwigi Rudnickiej)	8
Felicjan Medard Faleński: Tańce śmierci (w opracowaniu Marii Grzędzielskiej)	115
Materiały dotyczące biografii i twórczości Marii Komornickiej	294
Aniela Komornicka: Maria Komornicka w swych listach i mojej pamięci	294
Stanisław Pigoń: Trzy świadectwa	341
Teksty (zebrał i opracował Stanisław Pigoń)	353
Maria Dernałowicz: Bibliografia pism Marii Komornickiej	379
Wacław Sieroszewski: Listy z Syberii (w opracowaniu Barbary Kocówny)	383
Sprawa sprowadzenia do kraju prochów Juliusza Słowackiego w roku 1909	425
Juliusz Zborowski: S. Żeromski i Akademicki Komitet dla Sprowadzenia Zwłok Słowackiego do Kraju	425
Dodatek z listów otrzymanych przez Komitet Akademicki (zestawił Stanisław Pigoń)	430
Stanisław Pigoń: Zabiegi o wzniesienie Słowackiemu grobowca w Tatrach	437
Materiały do dziejów przyjaźni Józefa Czechowicza z Kazimierzem Miernowskim (w opracowaniu Tadeusza Kłaka)	467
Kazimierz Miernowski: Moje wspomnienia o Czechowiczu	469
Józef Czechowicz: Listy	482
Indeks osób	513
Spis ilustracji	531